

NIE PODDADZĄ SIĘ BEZ WALKI. PRZYNAJMNIEJ TAKĄ MAMY NADZIEJĘ.

# AURORA POZOGA

AMIE KAUFMAN JAY KRISTOFF

AUTORZY „ILLUMINAE FOLDER” – BESTSELLERA Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

CYKL\_AURORA\_02

AURORA  
POZOGA

Amie Kaufman  
Jay Kristoff

**CYKL AURORA\_o2**

Przełożyła  
Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2023



Tytuł oryginału: *Aurora: Burning. The Aurora Cycle Book 2*

Text copyright © 2020 by LaRoux Industries Pty Ltd. and Neverafter Pty Ltd.

Jacket art copyright © 2020 by Charlie Bowater

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Charlie Bowater

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-78-0

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Co powinniście wiedzieć

Część 1. Na dnie w Szmaragdowym Mieście

1. Tyle

Temat: Organizacje Galaktyczne

2. Auri

Temat: Galaktyczne rasy

3. Scarlett

4. Zila

Temat: Handel galaktyczny

5. Kal

Temat: Galaktyczne rasy

6. Finian

Część 2. Wieży krwi

Temat: Galaktyczne rasy

7. Finian

Temat: Kosmiczne wyprawy odkrywcze

8. Auri

9. Kal

10. Finian

Temat: Stosunki międzyrasowe

11. Scarlett

12. Zila

Temat: Galaktyczne konflikty

13. Tyle

14. Kal

Temat: Kogo należy unikać (aktualizacja)

15. Tyle

16. Scarlett

Część 3. Czas pożogi

Legion Aurory

17. Finian

18. Auri

19. Tyle

20. Kal

21. Tyle

22. Echo

23. Tyle

24. Echo

25. Zila

26. Auri

27. Tyle

28. Scarlett

#### Część 4. Cień na słońcu

29. Kal

30. Finian

31. Tyle

32. Kal

33. Tyle

34. Zila

35. Auri

36. Tyle

37. Scarlett

38. Kal

39. Tyle

40. Scarlett

41. Trzy jeden dwa

Witajcie, kadeci!

*Dla drużyny 312.  
Dla absolutnie każdego z was.*

## Co powinniście wiedzieć

### ► Tom 1: Aurora. Przebudzenie

#### ▼Obsada

**Aurora Jie-Lin O'Malley** – Dziewczyna spoza czasu. Ponad dwieście lat temu Aurora wyruszyła z Terry razem z dziesięcioma tysiącami innych kolonistów na Octavię III. Jej statek, *Hadfield*, zaginął w przestrzeni między wymiarami zwanej Fałdą i został odnaleziony wieki później przez kadeta Legionu Aurory, Tylera Jonesa.

Aurora jako jedyna przeżyła.

Po tym, jak została uratowana, Aurora zaczęła mieć prorocze sny i przejawiać zdolności telekinetyczne. Ucieczka z drużyną 312, prawdziwą zbieraniną wyrzutków, doprowadza ją ostatecznie z powrotem na Octavię III. Odkrywa, że planeta, która miała stać się jej domem, jest tak naprawdę światem-wylęgarnią dla Ra'haam, pradawnej jedni, składającej się z milionów zasymlowanych form życia, pogrążonej we śnie pod płaszczem planety.

Aurora odkrywa także, że jej moce to dar od tajemniczej rasy zwanej Eshvaren, która pokonała Ra'haam wiele eonów temu. Wiedząc, że ich starodawny wróg pewnego dnia znowu spróbuje pochłonąć Galaktykę, Eshvarenowie ukryli w Fałdzie broń zdolną pokonać Ra'haam i uruchomili ciąg wydarzeń, żeby stworzyć „Zapalnik” do tej broni.

Aurora odkryła, że to ona jest tym Zapalnikiem.

Auri jest drobnej postury, ale nadrabia to animuszem. Nadal szuka swojego miejsca w nowym czasie i w Galaktyce, ale stoi murem za Legionistami Aurory, którzy ją przygarnęli.

Ma czarne krótko obcięte włosy i białe pasemko w grzywce; jest pół Irlandką i pół Chinką. Jej prawa tęcza stała się biała i płonie jasno, gdy Aurora posługuje się swoimi mocami.

**Tyler Jones** – Złoty Chłopak. Tyler wstąpił do Legionu Aurory, gdy miał trzynaście lat, po śmierci ojca, Jericho Jonesa. W Akademii przygotowywał się do roli Alfy; chciał poświęcić swoje życie utrzymywaniu galaktycznego pokoju i porządku. Jednak po uratowaniu Aurory w Fałdzie został zmuszony stanąć na czele grupki wyrzutków, nieudaczników i przypadków dyscyplinarnych – drużyny 312 Legionu Aurory.

Odkąd Tyler i jego drużyna zostali schwytani przez Globalną Agencję Wywiadowczą na pokładzie stacji górniczej Sagan, byli zmuszeni uciekać przed rządem terrańskim. Po wylądowaniu na objętej kwarantanną Octavii III Tyler i jego towarzysze odkrywają starożytny spisec, który zagraża wszystkim inteligentnym rasom w Galaktyce. Wygląda na to, że tylko nieudacznicy z drużyny 312 mogą powstrzymać zagrożenie.

Ty jest urodzonym przywódcą i genialnym taktikiem, ale według jego siostry „nie rozpoznaję dobrej zabawy, nawet gdyby najechała na jego planetę”. Jest tak pewny siebie, że wręcz arogancki, ale zwykle jego wiara w siebie nie jest bezpodstawna.

Ma niebieskie oczy, potargane blond włosy i dołeczki, które mogą spowodować eksplozję jajników w promieniu trzydziestu kroków.

**Kaliis Idraban Gilwraeth** – Outsider. Kaliis to jeden z nielicznych Syldran, którzy wstąpili do Legionu Aurory od czasu końca wojny między Ziemią i Syldrą. Jest członkiem Ligi Zbrojnych – syldrańskiej kasty wojowników. Jego straszliwe umiejętności w walce sprawiły, że był stworzony do specjalności Czołgów w Akademii. Mimo to wszyscy od niego stronili i dlatego wylądował w drużynie 312.

Po spotkaniu z Aurorą Kal natychmiast odkrył, że znalazł się pod wpływem Przyciągania – niewiarygodnie silnego syldrańskiego instynktu godowego. Nie chciał stawiać Aurory w trudnej



sytuacji ani narzucać jej związku, którego natury nie mogłaby w pełni zrozumieć, więc postanowił opuścić drużynę. Kiedy jednak Aurora wyznała mu swoje uczucia, zdecydował się zostać i poświęcić się ochronie swojej be'shmai (ukochanej).

Kal nieustannie musi walczyć ze swoimi instynktami wojownika, a jego walka z tak zwanym Wewnętrznym Wrogiem sugeruje istnienie czegoś mrocznego w jego przeszłości, czego jeszcze nie ujawnił. Kal jest mistrzem w ponurej zadumie. Naprawdę mógłby to robić zawodowo. Ma śliczne jak marzenie fiołkowe oczy, oliwkową skórę i długie, srebrne włosy. O kościach policzkowych nie będą nawet wspominać.

**Scarlett Jones** – pożeraczka serc. Siostra bliźniaczka Tylera, starsza od niego o trzy minuty i trzydzieści siedem i cztery dziesiąte sekundy. Zaciągnęła się do Legionu Aurory razem z bratem nie z powodu umiłowania prawa i porządku, ale żeby upilnować brata przed kłopotami. Jako swoją specjalność wybrała dyplomację i objała się w Akademii bardziej niż jakikolwiek inny kadet w historii uczelni, ale ma niemal szósty zmysł, jeśli idzie o wyczuwanie, co inni brali za coś, dzięki czemu okazała się genialną Twarzą.

Scarlett ma czarny pas w sarkazmie. Jest co prawda roztrzepana, ale i nadzwyczajnie inteligentna, potrafi błyskawicznie rozgryźć dowolną sytuację/kulturę/otoczenie, a dzięki temu wpaść na siebie bez mała idealnie w dowolny scenariusz. Nawiasem mówiąc, dzięki temu jest też kopalnią ciekawostek na każdy temat.

Scar jest błada, posągowo piękna i ma płomiennie rude, przycięte asymetrycznie włosy. Nigdy nie była w związku, który trwał dłużej niż siedem tygodni i sznur złamanych serc, jaki ciągnie się za nią, jest długi jak moja ręka.

Gdybym miał rękę, rzecz jasna.

**Finian de Karran de Seel** – mądrala. Finian jest Betraskaninem i genialną złotą rączką, którego uszczypliwość i dalekie od ideału umiejętności społeczne sprawiają, że ze wszystkich Macherów na swoim roku w Akademii został wybrany jako ostatni.

Jako dziecko Finian padł ofiarą zarazy lysergijskiej i co prawda nie umarł, ale choroba w ogromnym stopniu pozbawiła go zdolności poruszania się. Odesłano go z Traska na stację kosmiczną, żeby mógł żyć w środowisku pozbawionym grawitacji razem z trzecimi dziadkami. Wykorzystał swoje zdolności techniczne, żeby skonstruować sobie egzozskielet, który nosi przez cały czas. Egzozskielet pozwala mu poruszać się bez niczyjej pomocy i zawiera szereg przydatnych narzędzi i urządzeń.

Finian ukrywa swój brak pewności za murem cynizmu. Jak wszyscy przedstawiciele jego rasy ma jasną skórę i włosy, nosi czarne szkła kontaktowe, by chronić oczy przed promieniowaniem ultrafioletowym.

NIE, bynajmniej nie podkochuje się bez wzajemności w Scarlett Jones, ale miło, że pyta. Wszelkie plotki, że uznałby jej brata za jak najbardziej satysfakcjonującą nagrodę pocieszenia, to także nie wasza sprawa.

**Zila Madran** – przerażająco inteligentna osoba. Tudzież po prostu przerażająca osoba. Zila jest oficerem naukowym w drużynie 312. Chociaż rzadko się odzywa, jej spostrzeżenia są zwykłe błyskotliwe. Kieruje się w życiu żelazną logiką.

Zila ma tak słabo rozwinięte umiejętności społeczne, że ich istnienie jest praktycznie zaniedbywane. Mówi bez ogródek, jest chłodna i nie potrafi okazywać współczucia. Dała do zrozumienia, że przyczyną jej zachowania jest traumatyczne przeżycie z przeszłości, ale nie zdradziła na razie, co to mogło być. Zila jest niska, ma ciemnobrązową skórę i długie, kręcone włosy, które sprawiają wrażenie, jakby żyły własnym życiem (co wiele wyjaśnia). Nosi różne złote kolczyki, które w przedziwny sposób pasują do tego, czym się właśnie zajmuje. Mówi łagodnie, jest porażająco bystra i zdecydowania za bardzo lubi strzelać do wszystkiego ze swojego pistoletu dezেলatora.

**Catherine Brannock** – zdolniacha. Cat Brannock zwana Zerem była genialną pilotką i członkinią Legionu Aurory. Znała Ty'a i Scar Jonesów od dziecka, była ich najlepszą przyjaciółką. To Cat zafundowała Tylerowi bliznę na prawej brwi (połamała krzesło na jego głowie pierwszego dnia w przedszkolu).

Cat i Tyler spali ze sobą raz w noc po ukończeniu ostatniego roku na Akademii. Chociaż Tyler przekonał ją, że poważny związek to kiepski pomysł, ona nie przestała wdychać do niego i została z nim, kiedy wylądował z bandą wyrzutków – czyli drużyną 312.

Cyniczna i wojownicza, często darła koty z Aurorą i próbowała dopilnować, aby drużyna obrała właściwą drogę. Niestety została zainfekowana przez zbiorowy umysł Ra'haam, kiedy drużyna wylądowała na Octavii III. Chociaż dzielnie opierała się jedni, zapewniając drużynie czas potrzebny do ucieczki z planety, ostatecznie została zasymilowana przez kolektyw.

Wiem. Mnie też było z tego powodu smutno.

**Eshvarenowie** – zależnie od tego kogo zapytać, to albo pradawna rasa, tajemnicze istoty, które wymarły milion lat temu, albo przekręt wymyślony przez drobnych kanciarzy i handlarzy podrabianymi antykami.

W rzeczywistości Eshvarenowie nie tylko istnieli, ale i walczyli z Ra'haam o losy całej Galaktyki. I ostatecznie wygrali.

Eshvarenowie wiedzieli, że ich starodawny wróg może pewnego dnia wrócić, ale oni najpewniej tego nie dożyją, dlatego ukryli w Faldzie urządzenia, które doprowadziły do stworzenia Zapalnika – istoty o nadzwyczajnych zdolnościach parapsychicznych. Podobno ukryli gdzieś tam także broń zdolną pokonać Ra'haam.

Jeśli wiecie, gdzie można ją znaleźć – naprawdę, to byłoby ogromnie pomocne...

**Ra'haam** – istota łącząca w sobie miliony umysłów. Ra'haam próbował pochłonąć wszystkie świadome istoty, pragnąc włączyć do swojej „jedni” całą Galaktykę.

Pokonany przez Eshvarenów Ra'haam zapadł w hibernację na dwudziestu dwóch ukrytych planetach-wylęgarniach rozrzuconych po całej Drodze Mlecznej. Schowany pod powierzchnią planet – z których wszystkie znajdują się w pobliżu naturalnych przejść prowadzących do Fałdy – Ra'haam liżał rany przez milion lat.

Niestety jednym z tych światów była Octavia III, planeta wybrana przez terrańskich kolonistów. Po odkryciu Ra'haam pod powierzchnią planety koloniści zostali pożarci i włączeni do całości, w tym także ojciec Aurory, Zhang Ji.

Przebieg dalszych wydarzeń jest nieco niejasny, ale Ra'haam najwyraźniej wysłał zainfekowanych kolonistów z powrotem na Ziemię, żeby przeniknęli do Globalnej Agencji Wywiadowczej, gdzie mieli realizować jego dalsze plany. Teraz Ra'haam czeka pod powierzchnią dwudziestu dwóch światów i zbiera siły, aż będzie mógł znowu się rozplenić, przelać przez Fałdę i zainfekować całą Galaktykę.

**Magellan** – To ja! Cześć! Stęskniłem się za waszymi gąbczastymi ludzkimi twarzami!

W porządku, wszyscy są już zorientowani? No to zapinajcie pasy, ludziska. Nie jesteśmy już w Kansas...

# **CZĘŚĆ 1**

---

**NA DNIĘ  
W SZMARAGDOWYM MIEŚCIE**

---

Strzał z dezelatora trafia Betraskankę prosto w pierś.

Krzyczy, naręczce e-techów wylatuje jej z rąk, gdy pada i już tylko się ślini. Przeskakuję nad nią, robię unik, kiedy kolejny strzał z dezelatora przelatuje z sykiem koło mojego ucha. Na otaczającym nas bazarze panuje tłok, tłum rozstępuje się przede mną w panice, gdy kolejne strzały rozlegają się za nami. Scarlett pędzi tuż za mną, ognistoczerwone włosy lepią jej się do spoconych policzków. Przeskakuję nad nieprzytomną Betraskanką i jej rozrzuconym towarem, krzycząc:

– Wybacz!

Rozlega się kolejny strzał z dezelatora. Gangsterzy, którzy nas ścigają, ryczą na tłum, żeby schodził im z drogi. Przeskakujemy nad ladą straganu z semptarem, mijamy oniemiałego właściciela i wybiegamy tylnymi drzwiami na kolejną zapakowaną, parną uliczkę. Poduszki i wirowoty. Bładozielone ściany po bokach, czerwone niebo w górze, żółty plastobeton pod naszymi nogami, dookoła nas tęcza strojów i odcieni skóry.

– W lewo! – krzyczy Finian przez system łączność. – Biegnijcie w lewo!

Skręcamy w lewo, wpadamy rozpędzeni do brudnego zaułka odchodzącego od głównej ulicy. Handlarze uliczni i szemrane typy gapią się na nas, gdy przebiegamy sprintem, wzbijając chmurę śmiecia. Małeńcy gangsterzy, którzy nas ścigają, dobiegają do wylotu zaułka i wypełniają powietrze hukami wystrzałów ze swoich dezelatorów. Świst naładowanych cząstek przelatuje mi koło uszu. Wpadamy z poślizgiem za kosz pełen wyrzuconych części od maszyn i próbujemy się z nim schować.

– Mówiłam, że to kiepski pomysł! – dyszy Scarlett.

– A ja ci powiedziałem, że moje pomysły nigdy nie są kiepskie! – krzyczę, otwierając kopniakiem drzwi.

– Tak? – pyta, strzelając do naszych prześladowców.

– Tak! – Wciągam ją do środka. – Zdarzają mi się tylko mniej genialne!

\* \* \*

No dobrze, cofnijmy się nieco.

O jakieś czterdzieści minut, kiedy sytuacja wyglądała mniej wybuchowo. Wiem, że już to kiedyś robiłem, ale ten sposób opowiadania jest bardziej ekscytujący. Zaufajcie mi. Dołączki, pamiętacie?

Zatem czterdzieści minut wcześniej siedzę sobie przy zatłoczonym stoliku w zatłoczonym barze, muzyka dudni mi w uszach. Mam na sobie obcisłą czarną tunikę i jeszcze bardziej obcisłe spodnie, które podobno są szalenie stylowe – w końcu wybrała je dla mnie Scarlett. Siostra siedzi obok mnie na siedzeniu przy stoliku i też jest ubrana po cywilnemu: w krwistą czerwień tak obcisłą i tak skąpą, jak to ona lubi.

Naprzeciwno nas siedzi tuzin grempów.

Siedzimy w wypełnionej pulsującym światłem i dymem spelunie zapchanej po sufit. Pośrodku sali znajduje się rozległa jama, gdzie pewnie urządza się jakieś krwawe zawody, ale na szczęście w tej chwili nikt nikogo tam nie zabija. Wszędzie wokół nas drobni kanciarze uwiłają się w codziennym kieracie, handlując narkotykami i ciałami. I jeśli pominąć zapach leiriumskiego dymku i dudnienie dubu z głośników, to w głowie kotłuje mi się tylko jedno pytanie.

Na Stwórcę, jak ja tu wylądowałem?

Grempy siedzą naprzeciwko nas – tuzin małych porośniętych futerkiem postaci ściśniętych przy stoliku. Wbijają zmrużone ślepią w unikron, który Scarlett przesunęła po blacie stolika między nami. Płaska tafla przezroczystego silikonu wielkości dłoni wyświetla hologram. Obraz obraca się kilka cali nad unikronem i przedstawia nasz Łuk. Statek ma kształt grotu, jest zbudowany z lśniącego tytanu i karbonitu. Na burcie widnieje logo Legionu Aurory i numer naszej drużyny – 312.

To dzieło sztuki. Przepiękna rzecz. Wiele razem przeszliśmy.

A teraz musimy się z nim rozstać.

Grempy pomrukują między sobą w swoim języku składającym się z syczenia i pomruków, wąsiki im drgają. Przywódczyni ma nieco ponad metr wzrostu – jest wysoka jak na swoją rasę. Szybkretowe futro, które pokrywa jej ciało, jest nieskazitelnie ułożone, a jej perłowobiały kostium dosłownie krzyczy „gangsterski styl”. W jej bladzielonych, obwiedzionych ciemnym cieniem oczach widzę błysk kogoś, kto dla zabawy karmi swoje domowe zwierzaki ludźmi.

– To ryzykowne, Ziemianko – pomrukuje słodko przywódczyni grempów. – Rrrryzykowne.

– Powiedziano nam, że Skeff Tannigut nie boi się małego ryzyka. – Scarlett się uśmiecha. – Masz tu niezłą reputację.

Wyżej wspomniana pani Tannigut bębni pazurami o blat, zerka na hologram naszego Łuku i patrzy mojej siostrze w oczy.

– Istnieje normalne ryzyko, Ziemianko i istnieje ryzyko dwudziestu lat w księżycowej kolonii karnej. Handel kradzionym sprzętem Legionu Aurory to nie są żarty.

– Ten sprzęt to nie żarty – wtrącam.

Dwanaście par zmrużonych ślepi kieruje się na mnie. Dwanaście wypełnionych kłami szczęk opada ze zdumienia. Skeff Tannigut zerka osłupiała na moją siostrę, strzepując uszami.

– Pozwalasz swojemu samcowi odzywać się w miejscu publicznym?

– Ma... temperament. – Scarlett się uśmiecha i rzuca mi z ukosa spojrzenie pod tytułem „Morda w kuuubeł”.

– Mogłabym ci sprzedać neurobrożę? – proponuje gangsterka. – Żebyś mogła go porządnie wytresować.

Unoszę brew.

– Dzięki, ale... auć!

Łapię się za posiniaczoną łydkę pod stołem i piorunuję wzrokiem Scarlett, która pochyla się, żeby spojrzeć szefowej gangu w oczy.

– Skoro masz taki gest, to darujemy sobie grę wstępną, co? – Macha na hologramowy obraz Łuku. – Sto tysięcy i jest twój. Łącznie z kodem dostępowym do broni.

Tannigut porozumiewa się krótko z towarzyszami. Nie chcę znowu oberwać po łydce buciorem, więc trzymam gębę na kłódkę i rozglądam się po klubie.

Nad barem stoją butelki pełne tęcz, ściany rozświetlają holograficznymi obrazami – mecze dżetbolu i najnowsze raporty ekonomiczne z Centrum oraz wiadomości na temat ruchów statków Nieugiętych w strefach neutralnych. Ta stacja znajduje się daleko od Jądra, ale nadal zdumiewa mnie to, jak wiele różnych ras tu widzę. Odkąd wylądowaliśmy tu dwie godziny temu, zliczyłem ich co najmniej dwadzieścia: bladei Betraskanie, porośnięte sierścią grempy, zwalści niebiescy Chellerianie. To miejsce przypomina brudny wycinek Drogi Mlecznej wrzucony do szemranego, suborbitalnego tygła.

Planeta, nad którą się unosimy, to gazowy olbrzym nieco mniejszy od Jowisza z rodzinnych okolic. Stacja unosi się w stratosferze ponad burzą, która trwa od czterech stuleci i obejmując obszar dwudziestu tysięcy kilometrów. Powietrze przechodzi przez filtry, całe latające miasto jest zamknięte w przezroczystej kopule ze zjonizowanych cząstek skwierczących cicho na niebie nad naszymi głowami. Wciąż jednak czuję posmak chloru, który nadaje burzy kolor i któremu stacja zawdzięcza swoją nazwę.

Wypijam łyk wody. Zerkam na podkładkę pod szklanką.

WITAMY W SZMARAGDOWYM MIEŚCIE! – napisano na niej. NIE PATRZ W DÓŁ!

Grempy przestały rozmawiać i Tannigut kieruje spojrzenie błyszczących ślepi z powrotem na Scar. Wygląda wąsiki łapą, mówiąc:

– Dam ci trzydzieści tysięcy – odpowiada. – To ostateczna oferta.

Scar unosi idealnie wyregulowaną brew.

– Od kiedy to grempy są komediantami?

– A od kiedy Legioniści Aurory sprzedają swoje statki?

– Mogliśmy ukraść to cacko. Dlaczego bierzesz nas za legionistów?

Tannigut wskazuje mnie.

– Przez jego fryzurę.

– A co jest nie tak z m... auć!

– Z całym szacunkiem, ale nasze powody to nie wasza sprawa – odpowiada gładko Scarlett.

– W całej Galaktyce nie znajdziesz równie dobrego sprzętu jak ten pochodzący z laboratoriów Aurory. Sto tysięcy to okazja i dobrze to wiesz. – Scar odrzuca ognistorude włosy z oczu i udaje jej się nie robić wrażenia tak zdesperowanej, jak jesteśmy. – Dlatego, droga pani, życzę pani miłego dnia.

Scar wstaje, żeby wyjść, a Tannigut wyciąga łapę, żeby ją zatrzymać, kiedy w barze podnosi się wrzawa. Patrę zaciekawiony i widzę, że przerwano różne mecze i raporty giełdowe, żeby puścić wydanie specjalne wiadomości.

Żołądek mi się zaciska, kiedy odczytuje informację na pasku na dole ekranu.

TERRORYSTYCZNY ATAK LEGIONU AURORY.

Zwalisty Terranin prosi barmana, żeby wyłączył głos. Jeszcze większy Chellerianin ryczy, żeby wyłączyć z powrotem mecz. Kiedy wybucha bójka na pięści, barman ścisza muzykę i przełącza dźwięk na głośniki.

– „...w ataku zginęło ponad siedem tysięcy syldrańskich uchodźców. Rząd terrański i betrańskański wyrażają oburzenie z powodu masakry...”.

Serce mi zamiera, a potem kołaczę boleśnie, gdy patrzę na załączone nagranie. Pokazuje stalowoszare pęcherze na platformie wydobywczej, którą umieszczono na masywnej asteroidzie, płynącej przez morze gwiazd.

Natychmiast rozpoznaję konstrukcję. To stacja Sagan i platforma wydobywcza, gdzie Akademia Aurora wysłała naszą drużynę w ramach pierwszej misji. Zostaliśmy tam złapani przez terrański niszczyciel i zatrzymani przez GAW. Stację zniszczono, żeby uciszyć wszelkich świadków, którzy mogli wiedzieć, że Auri dostała się w ręce agentów. Nic nie zostało ze stacji poza smętnymi ruinami.

Trudno uwierzyć, że to się wydarzyło raptem parę dni temu...

Nagle nadlatuje statek, strzela salwą i niszczy stację Sagan. Kiedy jednak nagranie zatrzymuje się, by pokazać atakujący statek, zdaję sobie sprawę, że to nie jest ociężały tępodzioby terrański niszczyciel. Atakujący statek ma kształt grotu, jest zbudowany ze lśniącego tytanu i karbonitu, ma logo Legionu Aurory i numer drużyny wymalowane na burcie.

312.

– Wielki Stwórco...

Zerkam na Scarlett. Głos zza kadru jest głośniejszy niż odgłosy coraz zacieklejszej bójki w barze.

– „Sprawcy masakry na Saganie są poszukiwani także w związku z naruszeniem Galaktycznej Kwarantanny podczas ucieczki przed terrańskim pościgiem. Współdowódca Legionu Aurory, admirał Seph Adams, wygłosił kilka minut temu następujące oświadczenie...”.

Obraz przeskakuje na znajomą postać admirała Adamsa, dowódcy Legionu Aurory w galowym mundurze. Dziesiątki medali lśnią na jego szerokiej piersi. Cybernetyczne ręce trzyma skrzyżowane, twarz ma ponurą. Mówiąc, puka protezą palca w przedramię i słowom towarzyszy cichy brzęk metalu uderzającego w metal.

– „Potępiamy w najostrzejszy możliwy sposób działania drużyny 312 Legionu Aurory na stacji Sagan. Nie potrafimy wyjaśnić ich motywów, ale z całą pewnością należy uznać, że drużyna się zbuntowała i działa na własną rękę. Ci legionieści zawiedli nasze zaufanie. Złamali nasz regulamin. Dowództwo Legionu Aurory oferuje wszelką pomoc terrańskiemu rządowi w schwytaniu tych morderców. Myślami i modlitwą jesteśmy przy rodzinach zabitych uchodźców”.

Na ekranie rozbłyskują fotografie. Twarze i nazwiska mojej załogi.

FINIAN DE KARRAN DE SEEL.

ZILA MADRAN.

CATHERINE BRANNOCK.

KALIIS IDRABAN GILWRAETH.

SCARLETT JONES.

TYLER JONES.

Pod naszymi imionami i nazwiskami pojawiają się kolejne słowa:

POSZUKIWANY/-A. NAGRODA: 100 000 KREDYTÓW.

I wtedy żołądek jest gotowy wypełznąć mi ustami.

Zerkam bez słowa na siostrę. Musimy się stąd wynosić. Scar już porywa unikron ze stołu, kiedy Tannigut wbija pazury w jej nadgarstek.

– Jak się nad tym zastanowię... – Grem্প uśmiecha się, szczerząc ostre ząbki – ...sto tysięcy kredytów rzeczywiście brzmi jak okazja.

Scarlett zerka na mnie. Zawsze mówiłem, że bycie bliźniakami jest zabawne. Czasem czuję, że wiem, co moja siostra powie, zanim to powie. Czasem mógłbym przysiąc, że wystarczy jej na mnie spojrzeć, żeby wiedziała, co myślę. A w tej chwili myślę, że musimy wynieść się z tego cuchnącego baru i z tej cuchnącej stacji.

Najlepiej wczoraj.

Scarlett przywała Tannigut nasadą dłoni prosto w nos. W nagrodę słyszy głośny trzask i wrzask bólu. Tryska krew w kolorze ciemnej fuksji. Łapię siostrę za zakrwawioną rękę i odciągam ją od stolika, kiedy inne grem্পy wyją i rzucają się na nas.

Bójka o pilota na drugim końcu baru trwa w najlepsze i uznaję, że odrobina więcej zamieszania nie zaszkodzi. Dlatego strzelam w twarz grem্পowi z dezelatora, a drugiemu wybijam zęby kopniakiem i popycham Scar w stronę drzwi.

– Biegiem! Biegiem!

Ktoś krzyczy. Cma barowa przelatuje nad moją głową i uderza o ścianę. Trzy grem্পy skaczą na mnie, drapiąc pazurami i gryząc. Kopię i strzelam, żeby się uwolnić, turlam się po podłodze i podrywam na równe nogi, wypadam z baru za siostrą. Czmychamy w labirynt uliczek tworzących Szmaragdowe Miasto.

Stacja ma osiem poziomów, sto kilometrów szerokości. Niższe poziomy są zajęte przez odwrócony las turbin wietrznych, które wykorzystują potężne prądy burzowe w dole i zmieniają je w energię, a miasto jest połączone przez potężną kratownicę przezroczystych rur transportu publicznego zasilanego przez te same prądy. Moja siostra i ja skaczymy głową naprzód do właśnie jednej z takich rur.

– Wielki bazar! – krzyczy Scarlett.

– WYKONUJĘ POLECENIE – brzęczy w odpowiedzi komputer i zanim zdążę mrugnąć, zostajemy poniesieni przez rurę na poduszce zjonizowanego tlenu.

– Fin? Słyszysz mnie?! – przekrzykuję pęd powietrza.

– Ehm, pewnie – pada odpowiedź. – Widziałeś wiadomości, Złotko? To nie było moje najlepsze zdjęcie.

– Jasne, widzieliśmy wiadomości. Obstawiam, że tak samo jak połowa ludzi w mieście. Łącznie z gangiem, któremu próbowaliśmy sprzedać Łuk.

– Czyli nici z transakcji?



Oglądam się, widzę stadko gremków śmigających tuż za nami z dezelatorami gotowymi do strzału, kiedy tylko wyskoczymy z rury ze sprężonym powietrzem.

– Można tak to ująć – odpowiadam. – Wracamy przez bazar, potrzebuję, żebyś nami pokierował. Powiedz Kalowi i Zili, żeby przygotowali się do startu. Będą nas ścigać wszyscy łowcy nagród, przedstawiciele prawa i niewydarzeni nadgorliwcy w tej dziurze.

– Mówiłem przecież, że to kiepski pomysł.

– Już ci tłumaczyłem. Ja nie mam kiepskich pomysłów.

– Tylko mniej genialne? – rzuca Fin.

Szmaragdowe Miasto śmiga obok naszej rury transportowej, dziesiątki poziomów, tysiące sekretów, miliony ludzi. Chmury wokół nas wirują i kłębią się, tworząc piękne wzory jak akwarele na wilgotnym płótnie. Ściany i łuki, lśniące iglice pod zjonizowaną kopułą są zabarwione bładą zielenią chlorowej burzy w dole, a niebo powyżej wygląda jak wyjątkowo krwisty siniak.

Wiedziałem, że narażamy się, przylatując na nawet tak peryferyjną stację jak ta. To była tylko kwestia czasu, zanim rozniesie się wieść, że działamy na własną rękę, i wiedziałem, że Globalna Agencja Wywiadowcza weźmie nas na cel po Octavii III. Powinienem był jednak wiedzieć, że spróbują zrobić nas na szaro. Wrobienie nas w masakrę, której sami dokonali, było sprytne. Sam był mógł zrobić coś podobnego, gdybym spuścił wszystkie zasady moralne do recyklera. Zrobiwszy z nas ludzi, którzy naruszyli warunki Kwarantanny, i morderców niewinnych uchodźców, odcięli nas od Akademii Aurory i wszystkich, którzy mogli nam pomóc.

Nie winię Adamsa za to, że się nas wyparł. Jednakże ja i Scar znaleźliśmy się pod jego skrzydłami po śmierci naszego taty i muszę przyznać, że zabolalo mnie, gdy nazwał nas mordercami. I chociaż to logiczne, że odciął się od nas, kiedy zostaliśmy oskarżeni o galaktyczny terrorizm, to pewna część mnie jest zdruzgotana na myśl, że mógł uwierzyć w naszą winę.

– Uwaga, Szczawiku! – woła do mnie Scar.

– NASTĘPNY PRZYSTANEK WIELKI BAZAR – OZNAJMIA KOMPUTER.

– Gotowa? – pytam.

Siostra zerka na mnie i mruga.

– Jestem w końcu Jones!

Podmuch powietrza z drugiej strony spowalnia nas, aż całkowicie się zatrzymujemy tuż obok drzwi. Wyskakujemy w morze straganów i gwaru Wielkiego Bazaru Szmaragdowego Miasta. Gdybym miał chwilę, to przystanąłbym, żeby popodziwiać widoki.

Niestety wiem, że za tę chwilę moglibyśmy zapłacić życiem.

\* \* \*

Wypadamy przez drzwi z zaułka do kuchni betraskańskiej knajpy, powietrze wypełnia słodki zapach oleju z orzechów luka i smażonego javi. Kucharz już ma na nas wrzasnąć, ale dostrzega dezelatory w naszych rękach. On i jego pomocnicy rozsądnie uznają, że czas zrobić sobie przerwę w pracy.

Grempy wpadają za nami, a ja i Scarlett strzelamy z dezelatorów. Załatwiam czterech (na egzaminie ze strzelania miałem 98% skuteczności), pozostałe czmychają do zaułka. Wybie-

gamy, zanim zdążą się przegrupować, wypadamy frontowymi drzwiami do zatłoczonej jadłodajni, a z niej na ulicę.

Nastolatek rasy ludzkiej zatrzymuje się na poduszkowym śmigaczu przed jadłodajnią i właśnie schodzi z siodełka. Kiedy tylko jego stopy dotykają chodnika, podcinam go, zabieram mu kartę dostępową, którą wypuszcza z ręki, i wskakuję na siodełko. Scar wskakuje za mnie i krzyczy przepaszając do właściciela, gdy ruszamy.

- Wybacz!

Śmigamy na główną ulicę, drony i pojazdy z kierowcami śmigają i skręcają wokół nas i nad nami. Tutejszy ruch to czysty chaos – nieustanne godziny szczytu z maksymalną prędkością i głębokie na trzy warstwy. Mam nadzieję, że zgubimy pościg w tym ścisku. Jednak strzał z dezperatora w nasze plecy mówi mi, że...

- Nadal są za nami! – krzyczy Scar.

- To strzelaj do nich!

- Wiesz, że fatalnie strzelam! – Scar odgarnia włosy z oczu. – Przez cały ostatni rok na zajęciach ze strzelania flirtowałam z moim partnerem od ćwiczeń!

Kręcę głową.

- Przypomnij mi, dlaczego właściwie jesteś w mojej drużynie?

- Bo się na to zgodziłam, mądralo!

Głos Finiana rozlega się w naszym systemie łączności:

- Lepiej, żebyś skręcił w najbliższy zjazd, Żółtko. Prowadzi prosto do portu.

- Hejka, Finian – mruczy przeciągle Scar.

- Ehm... cześć, Scarlett.

- Co porabiasz?

- Ach... – Mój Macher odchrząkuje. – To znaczy...

- Scar, przestań! – krzyczę, gnając zjazdem, kiedy kolejne strzały z dezperatorów rozlegają się za nami. – Fin, czy ochrona stacji zorientowała się już, że tu jesteśmy?

- Na razie niczego nie ma w ich biuletynach.

- Silniki gotowe?

- Jesteśmy gotowi do startu, gdy tylko dojedziecie. – Fin znowu odchrząkuje. – Chociaż bez ciebie... to właściwie nie mamy pilota...

I tak po prostu świat, który przelatuje obok mnie z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, zwalnia i zaczyna się wlec.

Scar obejmuje mnie mocniej w pasie. Dech więźnie mi w gardle. Staram się o niej nie myśleć. Staram się nie pamiętać jej imienia. Staram się ignorować ból w piersi i pilnować, żebyśmy parli przed siebie, bo ugrzęźliśmy tak głęboko, że nie ma teraz czasu na żalobę. Mimo wszystko...

Cat.

- Będziemy tam za sześćdziesiąt sekund – mówię. – Otwórzcie drzwi do ładowni, wpadniemy rozpędzeni.

- Przyjąłem.

Uderzamy w zjazd tak szybko, że prawie się od niego odbijamy, ruch obok nas tworzy rozmazaną plamę. Ryzykuję i zerkam przez ramię, widzę nisko zawieszony poduszkowy wóz, który przepycha się między pojazdami w ślad za nami. Ponad tuzin gremków czepia się jego boków. Nie bardzo wiem, jak zdołała załatwić to tak szybko, ale Tannigut wezwała posiłki i wygląda na to, że mają wobec nas POWAŻNE zamiary.

Zjazd jest zapchany ładownikami i ciężkimi śmigaczami, Scar strzela z tuzin razy prawie na oślep, zużywa całą baterię dezelatora i trafia w parę przypadkowych rzeczy. Krzyczy jednak triumfalnie przy ostatnim strzale, gdy trafia gremka w ramię i gangster spada na drogę.

- Trafiłam jednego!

Łapie mnie mocniej w pasie i potrząsa mną szaleńczo.

- Trafiłam! Widziałeś? Właśnie...

Przestawiam dezelator na zabijanie i strzelam prosto w zwalistą śmieciarkę, która leci dokładnie nad nami. Strzał wysadza jej stabilizatory i całość pikuje w chmurze dymu. Skręcam w bok, kiedy dron spada na nasz pas, koziołkuje i rozsypuje kilka ton śmieci do recyklingu na zjazd za nami. Rozlega się ryk klaksonów, powietrze bucha ogniem, a wóz gremków wali prosto w rozbitego drona-śmieciarkę. Gremki wylatują z niego w gradzie palącego się futra i przekleństw.

Załatwiłem całą bandę tym jednym strzałem.

Dmucham na lufę mojego dezelatora. Uśmiecham się i chowam broń do kabury.

- Wiesz, nikt nie lubi zarozumiałców, Szczawiku – dąsa się Scarlett.

- Nie cierpię, kiedy tak mnie przezywasz – odpowiadam z szerokim uśmiechem.

Wpadamy do portu, gnamy wśród pieszych, autopakowarek i platform z towarami. Przed nami rozciąga się port kosmiczny Szmaragdowego Miasta w całej swojej okazałości – połyskujące światła, rojne niebo i smukłe statki na lądowiskach. Widzę dokładnie przed nami Łuk, spoczywający między potężnym betraskańskim długodystansowcem i nowiutkim rigelskim wycieczkowcem prosto z talmarrskiej stoczni.

Fin stoi na końcu rampy ładunkowej i przygląda się portowi ze zmartwioną miną. Jego biała jako kość skóra świeci się w światłach Łuku, jasne włosy ma ułożone w krótkie kolce. Obcisłe cywilne ubranie stanowi ciemne tło dla błyszczącego srebrnego egzozszkieletu, który opasuje jego kończyny i plecy.

Kiedy nas dostrzeża, zaczyna wymachiwać szaleńczo rękami.

- Widzę cię, Złotko, rusz cztery litery, bo musimy... – zaczyna mówić przez system łączności.

- UWAGA, ALARM! – ryczą portowe głośniki. – WSZYSTKIE STATKI ZNAJDUJĄCE SIĘ OBECNIE W SZMARAGDOWYM MIEŚCIE ZOSTAJĄ UNIERUCHOMIONE DO ODWOŁANIA. POWTARZAM: UWAGA ALARM...

- Myślisz, że chodzi o nas?! – krzyczy mi do ucha Scarlett.

Zerkam w niebo nad nami, widzę drona ochrony pośród roju dronów transportowych, ładowarek i dźwigarek.

- Aha. – Wzdycham. – Chodzi o nas.

Podłoga pod nami dygoce i masywne klamry cumownicze zaczynają się unosić z pokładów portu kosmicznego przed nami. Opasują zaparkowane statki, wywołując potoki przekleństw członków załóg i otaczających nas robotników. Dodają gazu, rozpaczliwie próbując dowieźć nas na czas, ale zatrzymujemy się z poślizgiem obok Fina w chwili, kiedy blokady portowe zamykają się wokół Łuku.

Scar zeskakuje ze śmigacza. Alarm nadal rozbrzmiewa rykiem wokół nas. Odgarniam wilgotne włosy z oczu, z rękami na biodrach przyglądam się klamrom. Elektromagnetyczne, ze wzmacnianego tytanu, śliskie od smaru. I są ogromne.

- Za nic w świecie nie wyrwiemy się z nich bez względu na siłę ciągu - mówię.

Fin kręci głową.

- Rozerwałyby kadłub na strzępy.

- A zdołasz włamać się do systemu? Zwolnić klamry?

Mój Macher już wyciąga unikron, urządzenie rozbłyskuje tuzinem maleńkich holograficznych obrazów, gdy Fin coś wpisuje.

- Daj mi pięć minut.

- Nie chcę wywoływać paniki, ale nie mamy pięciu minut - odzywa się Scar.

Patrzę w kierunku wskazywanym przez moją siostrę bliźniaczkę i widzę dwa opancerzone poduszkowe wozy pędzące przez port. Ich światła rozbłyskują, głośny sygnał alarmowy sprawia, że tłum się rozpierzcha, gdy pędzą prosto na nas.

Na platformach za kabinami sterowania widzę dwa tuziny ciężkobrajnych ochronobotów z działkami dezelatorowymi. Na maskach wozów i napierśnikach ochronobotów widnieją słowa ochrona szmaragdowego miasta.

- Zatem... jakieś jeszcze genialne pomysły? - odzywa się Scarlett, patrząc na mnie.

## **Temat: Organizacje Galaktyczne**

### **► Dobroczynne**

#### **▼ Legion Aurory**

Oparty na sojuszu Terry i Traska, do którego niedawno dołączyli Wolni Syldranie Legion Aurory od ponad wieku pełni rolę niezależnych sił pokojowych w Drodze Mlecznej. Legion bierze udział w mediacjach dotyczących sporów przygranicznych, udziela pomocy humanitarnej i pomaga utrzymać stabilizację w Galaktyce, przestrzegając motto:

*Jesteśmy Legionem*

*Jesteśmy światłem*

*Płonącym jasno pośród nocy*

Legioniści Aurory kształcą się w jednej z sześciu specjalności:

dowodzenie i planowanie (**Alfy**)

dplomacja i negocjacje (**Twarze**)

pilotowanie i transport (**Asy**)

naprawy i konserwacja urządzeń mechanicznych (**Macherzy**)

taktyka pola walki i strategia wojskowa (**Czołgi**)

obowiązki naukowe i medyczne (**Mózgi**)

Już poderwaliśmy się na równe nogi, kiedy Fin przybiega rampą, mocno kulejąc.

– Zgarnijcie swoje rzeczy! – woła. – Zwiewamy!

Tyler i Scarlett wpadają tuż za nim i pędzą do swoich szafek i łóżek.

– Dwadzieścia sekund! – wrzeszczy nasz przywódca, mijając mnie i Kala.

Nie mam niczego poza moim unikronem, Magellanem, który zawsze noszę w kieszeni, i ubraniem, które mam na sobie. Biegnę więc do Fina – pakuje w szaleńczym tempie zestaw narzędzi, za pomocą którego razem z Zilą naprawia swój egzozskielet.

– Biegnij i zbierz swoje rzeczy – mówię. – Ja to spakuje.

Rzuca mi pełne wdzięczności spojrzenie i odwraca się, żeby pobiec w głąb statku. Nie mam czasu na układanie drobnych narzędzi i przyrządów do piankowych wytłoczek, więc po prostu wrzucam wszystko do torby.

– Dziesięć sekund! – wrzeszczy Ty z głębi statku.

– Tylko rzeczy cenne i przenośne! – woła w odpowiedzi Scarlett. – Nic zbędnego!

Unoszę torbę drżącymi rękami i rozglądam się po kajucie w poszukiwaniu czegoś, co powinnam zabrać.

Spędziliśmy z Kalem ostatnie parę godzin na tyłach statku, kiedy próbował mnie nauczyć paru syldrańskich ćwiczeń. Miał nadzieję, że dzięki nim będę lepiej skupiać umysł. Dzika moc, nad którą zapanowałam przelotnie na Octavii III, nadal czai się we mnie. Czuję, jak kłębi się i przewala za moimi żebrami, ale w najlepszym razie ledwie nad nią panuję. Jeśli odkręcę zawór, który ją powstrzymuje, to nie mam pojęcia, co wyleci, ale wiem, że nie będzie to miłe. Kal ma nadzieję, że dzięki treningowi i dyscyplinie nauczę się nad nią panować.

Kiedy próbowałam wyobrazić sobie spokojnie płonący fioletowy ogień, odsuwając rzeczywistość i skupiając się na sa-mēi – to syldrańskie pojęcie, którego nadal nie rozumiem – trudno mi było nie zerkać spod rzęs na Kala. Robi mu się taka zmarszczka, gdy się koncentruje, dla której z radością odepchnęłabym całą rzeczywistość, byle całkowicie skupić się na niej. Myślę jednak, że Kal uznałby to za wysoce niestosowną wersję treningu.

Ostatnie pięć sekund poświęcam na zgarnięcie walających się na stole racji żywnościowych i ciskam je na narzędzia Fina. Zarzucam torbę na ramię, gdy pozostali wysypują się z głębin statku.

– Ruszajmy – rzuca Tyler. – Kal, idziesz na szpicy. Nadlatują dwa opancerzone poduszkowe wozy, są może ze trzydzieści sekund od nas. Wynośmy się, zanim dolecą.

- Tak jest - odpowiada po prostu Kal. Zerka, żeby się upewnić, gdzie jestem, i sprowadza nas po rampie.

Tyler idzie tuż za nim, ja jestem następna i dlatego wpadam prosto na jego plecy, gdy przystaje nagle.

- Ej, uważ...

Wychylam się w bok, żeby zerknąć zza niego, i widzę, że zatrzymał się, bo Kal się zatrzymał. A Kal przystanął, ponieważ...

- Myślę, że trzydzieści sekund to był mylny szacunek - odzywa się cicho nasz Czółg.

Stanowimy łatwy cel, stojąc na rampie załadunkowej Łuku, i to nie jest dobra nowina. A stoimy tak, bo nie jesteśmy sami. Dwa ogromne poduszki ciężarowe z platformami zatrzymały się przed naszym statkiem i rozbłyskują nagłymi niebieskimi światłami. Wyskakują przed nie wielgachne, przerażające stwory, jakieś bojowe roboty, które przypominają karaluchy. Ich nogi wyginają się do tyłu, żeby zamortyzować lądowanie. Są uzbrojone w działka wielkości mojego tułowia, a ich wypolerowane broje odbijają migoczące stroboskopowe światła.

- UWAGA, PODEJRZANI! - ryczy jeden, chociaż nie widzę, żeby poruszał ustami. - JESTEŚCIE ZATRZYMANI W CELU PRZESŁUCHANIA. NA OPÓR ODPOWIEMY SIŁĄ. UNIEŚCIE RĘCE NA ZNAK POSŁUSZEŃSTWA.

Na chwilę wszystko cichnie. Nawet ryk miasta wokół nas przycicha, jakbym znalazła się pod wodą - widzę tylko rozbłyskujące niebieskie światła tańczące na pancierzach bojowych karaluchów-robotów. Kal przenosi ciężar z nogi na nogę ledwie widocznym ruchem, osłaniając mnie swoim ciałem. Czuję mrowienie na karku, adrenalinę buzującą w żyłach. Mam wrażenie, że świat... przesuwają się i bez żadnego ostrzeżenia obraży zalewają mój umysł.

Kolejna wizja.

Widzę w swojej głowie, jak rozegrają się następne chwile, zupełnie jakbym oglądała wizual. Spostrzegam przed sobą ścieżki, którymi podążymy, z całą wyrazistością widzę, jak się rozgałęziają.

Widzę, jak zakładają nam kajdanki, ładują nas na jedną z tych platform, przypinają kajdanki do długiego pałaka biegnącego pośrodku, żebyśmy nie mogli uciec. Widzę, jak wykręcają Zili ręce na plecy, jak sfrustrowany i pokonany Ty zaciska zęby.

Na innej ścieżce widzę, jak Kal atakuje, Ty skacze w bok, a ja stoję sparaliżowana niezdecydowaniem, gdy bojowe roboty atakują i ogień przecina nasze ciała.

I widzę też...

- Be'shmai - odzywa się łagodnie Kal.

- Tak - odpowiadam cicho i biorę powolny, głęboki wdech.

Moje płuca rozszerzają się, nacisk od wewnątrz napiera na moje żebra, coś, co obudziłam, kłębi się we mnie w gotowości, pragnie, żebym to wypuściła, wręcz się tego domaga. Podnoszę trochę głos, żeby drużyna 312 mnie usłyszała:

- Na trzy niech wszyscy padną. Raz...

Słyszę pytanie za sobą, ryk już wypełnia mi uszy.

- Dwa...

Mam nadzieję, że konsternacja nie spowolni moich towarzyszy. Mam nadzieję, że mi zaufają, chociaż łączące nas zaufanie to nowa, krucha rzecz, zbudowana na bólu.

– Trzy!

Tyler i Kal padają na ziemię, a ja wyciągam przed siebie ręce, wypuszczając każdą cząstkę swojej osoby. Moje ciało przepadło – zostało z tyłu, stoi w drzwiach Łuku i się kołysze. Ja jestem kłębowiskiem ciemnognatowej mocy mentalnej poprzecinanej złowieszczymi srebrnymi niciami, które eksplodują we wszystkie strony.

Dla reszty świata jestem niewidzialna albo tkwię tam, gdzie stoi moje ciało. A może jestem gdzieś pomiędzy. Jednak w wymiarze, w którym istnieję, jestem kotłującą się sferą rozszerzającą się z prędkością światła, żeby pochłonać stojące przede mną ochronoboty.

To fala, na której ledwie się utrzymuję, w żadnym stopniu nad nią nie panuję i nie potrafię jej skierować – mogę tylko trzymać to tsunami z dala od siebie, oszczędzając słabe, kruche ciała Kala, Tylera i reszty drużyny za mną. Poza tym jednak bąbel rozszerza się naprzód, w górę i poza nas w ułamku sekundy.

Zmarszczka mocy eksploduje w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni i jak przez mgłę dociera do mnie, że Łuk zostaje zgnieciony w tej samej chwili, co ochronoboty. Moje srebrne nici owijają się wokół nich, zaciskają ze śmiertelnością siłą, zachwyty ryczy we mnie, kiedy obwody buchają i umierają.

Wszystko milknie, ryk jest ogłuszający, a ja jestem częścią ciemnoniebieskiej chmury, chwytam ich moimi srebrnymi niciami i nagle wracam do swojego ciała, jakby łączył mnie z nim kawałek zbyt mocno rozciągniętej gumki. Nagle...

...wszystko się kończy.

Znowu jestem nieskończenie kruchym stworzeniem, które stoi na dwóch drżących nogach, a wszędzie wokół mnie rozlegają się krzyki i ryczą alarmy, a przede mną walają się pozostałości poduszki ciężarowych i ochronobotów, za mną leżą szczątki Łuku. Znowu się zataczam, kolana chcą się przede mną ugiąć do tyłu jak tym robotom, kiedy zeskoczyły z platform, mam krew na ustach, ruszam się, gdzieś lecę i nagle ziemia pędzi mi na spotkanie.

\* \* \*

Kiedy odzyskuję przytomność, Kal pochyla się nade mną, trzyma delikatnie rękę na moim policzku. Jego fiołkowe oczy są wielki i piękne, długie srebrne włosy okala rozmyta aureola światła.

– Wyglądasz jak anioł – mruczę.

– Co to jest anioł? – pyta, zaciskając swoją dłoń na mojej. Patrzy poważnie jak zawsze, ale dostrzegam troskę w jego oczach. Wyczuwam, jak bardzo musi się powstrzymać, żeby nie zmiażdżyć mi ręki w uścisku.

– To taki ziemniak ze skrzydłami – tłumaczy stojący gdzieś za mną Fin.

Kal unosi brwi.

– Przecież istoty ludzkie nie mają skrzydeł.

– A skąd wiesz? Widziałeś jakiegoś człowieka nago?



Kal unosi brwi jeszcze wyżej i zaczyna ją mu się rumienić uszy. W tym momencie odzywa się Scarlett:

– Zachowuj się, Finian. Żyjesz, Auri? To był imponujący pokaz.

W moim polu widzenia pojawiają się ona i Tyler, stają nad ramieniem Kala. Dociera do mnie, że nikt nie ma aureoli – po prostu znajdujemy się w pomieszczeniu, a ich głowy są podświetlone przez lampy na suficie. Czuję się jak ludzki kształt ulepiony z makaronu – kończyny mam słabe, nie chcą współpracować, ale powoli odzyskują ostrość wzroku. Zila delikatnie odsuwa Kala i zaczyna przesuwać nade mną medskaner.

– Gdzie jesteśmy? – pytam.

– W hotelu w dolnej części Szmaragdowego Miasta – odpowiada Tyler. – Z gatunku tych tanich, w których nikt nie zadaje żadnych pytań. Zarezerwowałem tu pokój, nim zaczęliśmy dogadywać się z grempami, na wypadek gdyby sytuacja ułożyła się wyjątkowo nie po naszej myśli.

– Co jest dziwne, bo myślałam, że wszystkie twoje pomysły są rewelacyjne – wtrąca jego siostra, szturchając go w ramię. – Na szczęście sam wiedziałeś, że potrzebujesz czegoś w odwodzie.

– Prawie jakbym studiował taktykę – odpowiada, odwzajemniając jej kuksaniec.

– Nic ci nie jest – oznajmia Zila, patrząc na mnie. – Wskaźniki aktywności bioelektrycznej mózgu nadal są podwyższone, ale bioodczyty zaczynają wracać do normy.

– Co się stało? – pytam.

– Straciłaś przytomność – odpowiada Kal.

– Po tym, jak zamieniałaś ochronoboty w kupę złomu i ściągnęłaś z nieba ich poduszki – dodaje Fin. – To było naprawdę coś, chociaż nie zaszkodziłoby, gdybyś nauczyła się trochę celować, nie uważasz? Gdybyśmy nie uskoczyli...

– Ale uskoczyliśmy – przerywa mu Scarlett. – A jej fala mocy uratowała nasze kształtne tyłki, więc dzięki ci za to, Auri.

Twarz naszej drużyny pomaga mi usiąść z cieniutkimi jak wafelek poduszkami pod plecami i teraz lepiej widzę nasz obskurny pokoik hotelowy. To ten sam typ wystroju (łącznie z lepką podłogą), który nigdy nie wychodzi z mody w najbardziej niskobudżetowych lokalach. Na jednej ścianie wisi wyświetlacz holograficzny, stoją tu dwa łóżka – ja zajmuję jedno, a wokół mnie stoi drużyna. Na drugim ulokował się Fin i znowu pracuje nad egzoszkieletem, narzędzia leżą porozrzucane na materacu. Pokój ma jedno brudne okno, pod którym walają się nasze rzeczy.

\* \* \*

– Zameldowałem się sam po naszej ucieczce z portu – wyjaśnia Tyler. – Wciągnąłem resztę przez okno. To daje mniejsze ryzyko, że ktoś nas zapamięta. Powinniśmy być tu bezpiecznie przez pewien czas. Zapłaciłem nieznakowanymi kredytami.

– Czyli mamy chwilę. – Scarlett przysiadła na brzegu mojego łóżka. – Możemy odetchnąć.

Przygląda się nam po kolei, a ja zdaję sobie sprawę, że jej opiekuńczość starszej siostry rozciąga się teraz na nas wszystkich. Zila pomaga Finowi przy egzoszkiecie; Fin krzywi się za

każdym razem, gdy przesuwa jego kolano. Kal stoi obok mnie jak posąg. Tyler się zamyślił. A może wspomina.

Wiem, że myśli o Cat co kilka uderzeń serca. Jak my wszyscy.

„Ta porażka to zwycięstwo” – powiedziała mi Cat, zanim zniknęła na zawsze w zbiorowym umyśle Ra’haam.

Jednakże w tej chwili odbieram to zupełnie inaczej. Uciekamy przed zarówno terrańskim, jak i betraskańskim rządem. Nawet legion, który nosi moje imię, stanął teraz przeciwko nam. Straciliśmy najcenniejszy atut w postaci Łuku, mamy śladowe ilości broni i jeszcze mniej pieniędzy, nie mamy pojęcia, dokąd się udać.

– Co teraz zrobimy? – pytam cicho.

Tyler wparuje się w podłogę, mocno marszczy w namyśle przeciętą blizną brew. Widzę, jak bardzo stara się nami dowodzić, i współczuję mu w każdej sekundzie. Czasem jednak mam wrażenie, że poruszamy się tylko dlatego, że żadne z nas jeszcze nie zdało sobie sprawy, że otrzymaliśmy śmiertelną ranę. Nie zorientowaliśmy się, że już powinniśmy paść.

– Jedzenie – mówi Scarlett, klaszcząc w dłonie w krępującej ciszy. – W chwili wątpliwości bierz się za jedzenie.

– Podoba mi się twój sposób rozumowania. – Wzdycham.

Scar wyciąga racje, które spakowałam. Całkiem przekonująco odgrywa entuzjazm, odczytuje z powątpiewaniem nazwy na saszetkach i rozdaje je teatralnym gestem. Mnie trafia się paczka „Gulaszu wołowego z purée ziemniaczanym™”. Nie ma słowa wyjaśnienia na opakowaniu, dlaczego akurat słowo „gulasz” zapisano kursywą.

– CZY CHCESZ, ŻEBYM PRZEDSTAWIŁ CI ANALIZĘ WARTOŚCI ODŻYWCZYCH TEGO POSIŁKU? – dobiega z mojej kieszeni głos Magellana. – BO W NIEKTÓRYCH KULTURACH TAKI POSIŁEK MÓGŁBY ZOSTAĆ UZNANY ZA AKT AGRESJI, ZWŁASZCZA...

– Tryb cichy – rozlega się zgodny chór, co wystarcza, by wszyscy uśmiechnęli się blade.

Fin kręci głową.

– Wiem, że te stare modele unikronów były trochę upierdliwe, ciągle się sypały, ale ten naprawdę przebija wszystko.

– Aha. – Tyler wdycha. – Nigdy już nie był taki sam po tym, jak Scar zainstalowała na nim osobowość beta z OkazjaNetu.

Kal wytrzeszcza oczy, patrząc na Scarlett.

– Ściągacie nowe wersje oprogramowania do unikronu z kanału zakupowego?

– Nie – odpowiada Tyler. – To ona ściągnęła nową wersję oprogramowania do mojego unikronu z kanału zakupowego.

– Dorzucali darmową torebkę. – Scar wzrusza ramionami. – A poza tym to był twój stary unikron, dzieciuchu.

Tyler przewraca oczami i zmienia temat.

– Jak tam twój egzozskielet, Fin?

– Świetnie.

– To podsumowanie jest nieścisle – wtrąca się natychmiast Zila. – Egzozskielet Fina uległ poważnym uszkodzeniom i nadal wymaga wielu napraw. Co więcej, sam Finian potrzebuje

odpoczynku w niskiej lub zerowej grawitacji, żeby odzyskać siły. Przez ostatnie kilka dni zmuszał ciało do wysiłku wykraczającego poza jego możliwości.

Fin otwiera usta, nim Zila dociera do połowy swojej przemowy, ale nic z nich nie pada. Wreszcie udaje mu się coś powiedzieć przez zaciśnięte zęby.

– Nic mi nie jest. Dam sobie radę. Może powinnaś nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Chociaż czasem trochę trudno coś wyczytać z jego miny z powodu czarnych szkieł kontaktowych, które nosi, to w tej chwili nie sposób pomylić z cymkolwiek innym śmiercionośnego spojrzenia, jakie rzuca Zili. Nasz drużynowy Mózg przygląda się Macherowi przez długą chwilę, a potem odwraca się do Tylera z twarzą równie beznamiętną jak zawsze. Jednakże coś w sposobie, w jaki Zila mruga i pociąga za długie złote kolczyki – dzisiaj mają kształt grempów – wskazuje, że jest trochę mniej odporna na wszystko niż zwykle.

Wszyscy jesteśmy nieco mniej odporni niż kiedyś. Tyle że w przypadku Zili oznaka słabości jest naprawdę niepokojąca.

– Jestem oficerem naukowym i medycznym w tej drużynie – oznajmia, zwracając się bezpośrednio do Tylera. – Powinam zameldować Alfie, w jakim stanie są członkowie jego drużyny.

– W porządku, Zila, dzięki – odpowiada łagodnie Tyler.

Finian kompletnie ignoruje zalecenie odpoczynku wydane przez Zilę. Wyrzywa narzędzie z jej ręki, pociąga łyk jedzenia z paczki i wraca do pracy nad egzozszkieletem. Scarlett zerka na Ty'a, a potem wstaje z mojego łóżka i sadowi się obok Fina.

– Jeśli zalejesz sobie obwody tymi Prawie Prawdziwymi Taco™, to w życiu nie naprawisz już egzozszkieletu – informuje go cicho.

– Muszę to naprawić – upiera się Fin, mówiąc z pełnymi ustami.

– Daj sobie chwilę – odpowiada Scarlett, kładąc dłoń na jego ręce. – Zjedz. Odetchnij.

Fin zerka na nią. Jakimś cudem udaje mu się przeżuwać i łączyć jednocześnie. Jednakże napięcie znika z jego ramion, gdy przelyka, jakby zgadzał się na coś innego niż możliwość usmażenia obwodów egzozszkieletu.

– Aha, jasne – odpowiada z westchnieniem.

Wszyscy milkniemy na chwilę, kończąc posiłek. Skupiam się na tym, żeby donieść jedzenie do ust, opieram się o ramię Kala, kiedy siada obok mnie przy wezglowiu. Chociaż jestem obołała, wyczuwam każde jego lekkie poruszenie, każdy oddech. Tak dużo czasu spędzał na unikaniu dotykania mnie od czasu naszego pierwszego spotkania, żeby nie zdradzić w żaden sposób, że odczuwa Przyciąganie, że kiedy teraz pozwala sobie na ten luksus, za każdym razem wywołuje to iskry w całym moim ciele. I odczuwam to, chociaż Kal tak bardzo uważa w obecności innych... Wiem, że nie czas na takie rzeczy, ale... łapię się na tym, że chciałabym poczuć coś więcej.

– Dobra, musimy się zastanowić – oznajmia Tyler po kolacji. – Kal, zobacz, czy wspominają o nas w lokalnych wiadomościach. Musimy wiedzieć, jak głęboko wdepnęliśmy. Zila, Scar, zajmijcie się inwentaryzacją. Fin, dowiedz się, co się stało z Łukiem.

– Nie wyglądał najlepiej – mówi Kal, zerkając na mnie z podziwem pomieszany z lękiem.

– Kiedy już Aurora z nim skończyła.

– Wiem. – Tyler kiwa głową. – Ale jeśli nie da się go naprawić, to będziemy potrzebowali innego sposobu, żeby wydostać się z tej dziury.

Fin wyciera ręce, wyjmuje unikron i zaczyna włamywać się do sieci stacji. Kal włącza holoekran, przeskakuje przez kanały informacyjne, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy tam gośćmi specjalnymi. Zila i Scarlett przeglądają metodycznie nasze torby, kategoryzując wszystko, co mamy, dzieląc nasz dobytek na rzeczy osobiste, rzeczy należące do całej grupy i na to, co da się sprzedać. Widzę, że Zila zgarnęła dwa mundury agentów GAW, które ukradliśmy z Wieki-istego. Miga mi moje odbicie w jednej z lustrzanych masek. Białe pasmo w grzywce, biała tęczęwka w prawym oku. Dziewczyna, która patrzy na mnie z odbicia, wydaje mi się czasem całkiem obca.

Patrzę akurat wtedy, kiedy Scarlett wyjmuje z torby Fina pluszowego smoka Cat, Koniczynkę. Zerka przez ramię na Tylera z oczami błyszczącymi od łez, a potem odchyła się, żeby podać mu zabawkę. Tyler bierze smoka delikatnie, jakby był absolutnie bezcenny, i przyciska do piersi. A potem patrzy na Fina, który go obserwuje. Fina, który musiał popędzić do fotela pilota, żeby zabrać ostatnią pamiątkę po Cat, kiedy powinien uciekać z Łuku.

Betraskanin tylko kiwa głową i ponownie patrzy na unikron.

Chociaż drużyna jest teraz dla mnie najbliższym odpowiednikiem rodziny, to nadal czuję się przy nich nieswojo. W takich chwilach jak ta zdaję sobie sprawę, jak daleko jestem od domu, jak daleko w czasie, nie tylko w przestrzeni. Dwieście lat minęło w okamgnieniu, kiedy trwałam pogrążona we śnie kriogenicznym. Dla mnie minęło raptem parę tygodni, odkąd weszłam na pokład *Hadfielda*, żeby zacząć nowe życie na Octavii III. Teraz jednak wszystko, co znałam, przepadło, a razem z tym przepadli wszyscy, których kocham.

Nie wiem, co powinnam czuć, ale patrząc na starą zabawkę Cat, na anonimowe szare mundury, nie mogę opędzić się od myśli o konfrontacji z Ra'haam na Octavii III. O kolonistach, których absorbował do swojego zbiorowego umysłu razem z Cat. O twarzy mojego ojca pod maską agenta GAW, srebrnych kwiatach w jego oczach.

„Jie-Lin, potrzebuję cię”.

I chociaż cząstka mnie ma ochotę zwinąć się w kłębek i krzyknąć na samo wspomnienie, to większość mnie jest po prostu wściekła. Z powodu świadomości, że Ra'haam pochłonął go, posłużył się nim, nosił go jak kostium. Czuję ciemnogrnatową moc jak mrowienie w opuszkach. Dary od Eshvarenów skrzą się tuż pod moją skórą. Starożytni wrogowie Ra'haam jakimś sposobem żyją we mnie.

Mogę się nauczyć panować nad tym. Wiem to. Mogę być Zapalnikiem, jakiego oni potrzebują.

Jednak – jak powiedział Tyler na Octavii – najpierw musimy znaleźć Bron.

– W porządku, Złoty Chłopaku. – Fin wzdycha, z głową pochyloną nad unikronem. – Chcesz najpierw usłyszeć dobrą wiadomość czy złą?

– Tę mniej dramatyczną.

– Dobra wiadomość jest taka, że Łuk już leży rozłożony na kawałeczki na złomowisku Szmaragdowego Miasta. Na bardzo małe, bardzo płaskie i bardzo drogie kawałeczki.

Tyler zamyka oczy. Chociaż wiedzieliśmy, że szanse na odzyskanie statku są małe, to fakt, że straciliśmy szansę na jego sprzedanie, wciąż jest prawdziwym ciosem.

– Jakim cudem to dobra wiadomość? – pyta Tyler.

– Chyba przez kontrast z tą złą.

Tyler wzdycha.

– Strzelaj.

– Zła wiadomość jest taka, że jedyny statek, na jaki stać nas przy naszych obecnych funduszach to stusiedemdziesięcioletni chelleriański frachtowiec, który nie ma napędu, nawigacji ani systemu podtrzymywania życia i pracował ostatnio jako śmieciarka przewożąca śmieci z Arktura IV.

– To brzmi cudownie – mówi ze śmiertelnie poważną miną Scarlett.

– Brzmi pachnąco – wtrącam.

– Brzmi jak coś kompletnie nieprzydatnego. – Tyler się krzywi. – Nie ma nic więcej?

Finian wzrusza ramionami i ruchem palca wysyła informacje z unikronu na holoekran na ścianie. Widzę skomplikowany network z ofertami tysięcy różnych statków, od potężnych krążowników po maleńkie holowniki. Każdy z nich tak daleko wykracza poza nasze możliwości finansowe, że robi mi się dosłownie niedobrze. Zerkam na nazwę przedsiębiorstwa na nagłówku, na jarzące się logo w kształcie płonącego koła zębatego.

– Spółka Hefajstos – mruczę.

– To największa firma ze złomowiskiem w Szmaragdowym Mieście – wyjaśnia Fin. – Na klejnoty Stwórcy, gdybyśmy mieli kredyty, moglibyśmy kupić rydwan godny osławionych międzgwiezdnych przestępców, ale...

– Nie mamy kredytów – zauważa ponuro Tyler.

– Proszę, powiedz, że nie rozważamy kupna śmieciarki – odzywa się Scarlett. – Bo nie mam do tego odpowiedniego stroju.

Kal zerka na Scar, unosząc srebrną brew.

– A jak ubrałabyś się na taki statek?

– Czekajcie, chwileczkę... – szepczę, gdy oddech więźnie mi w gardle. – Fin, przestań przewijać i wróć...

Mój ton sprawia, że wszyscy w pokoju nieruchomieją. Fin unosi rękę, przesuwając ją z prawej na lewo jak dyrygent, przewijając powoli statki na złomowisku.

– Jest, zatrzymaj! – Wszyscy patrzą na mnie, kiedy wstaję powoli, wskazując jeden ze statków na ścianie.

– Auri? – pyta Tyler.

– To *Hadfield* – mówię.

Tyler podchodzi i patrzy na ekran, mrużąc oczy. Fin coś wpisuje, powiększa obraz i prosi: prosto z moich wspomnień *Hadfield* powraca na jawę.

Przypomina trochę okręt wojenny z czasów starej Ziemi, jest długi i ma kształt cygara. Ma osmalony i poznaczony długimi wyrwami kadłub, w niektórych miejscach metal wygląda jak stopiony, ale rozpoznalabym ten statek wszędzie. Statek, na którego pokład weszłam dwa tygo-

dnie i dwieście dwadzieścia lat temu, zamierzając zacząć nowe życie na Octavii III. To życie teraz przepało wraz ze wszystkim i wszystkimi, których znalazł.

– Na oddech Stwórcy, masz rację, Auri. – Ty kręci głową, wpatrując się z trwożnym zdumieniem w *Hadfielda*. – Kiedy ostatnim razem widziałem ten statek, rozrywała go Burza Fałdowa. Jakim cudem go zdobyli?

Fin wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Domyślałam się, że ekipa złomiarzy Hefajstosa natknęła się na niego w Fałdzie, po tym, jak uratowałaś naszą Pasażerkę na Gapę. Według specyfikacji należy do ogromnego konwoju, który zostanie wystawiony na aukcję na Picardzie VI.

– Po co komuś taki złom? – Scarlett zerka na mnie. – Bez urazy, ale...

– Nie uraziłaś mnie – mruczę.

– Piszą tu wprost. – Fin kiwa głową. – „Najsłynniejszy wrak w historii terrańskich wypraw międzygwiazdnych! Kup sobie autentyczny kawałek historii!”

– Musimy go zdobyć – mówię.

Tyler odwraca się do mnie.

– Po co?

– Nie wiem. Po prostu... mam przeczucie.

– To twój dar, be'shmai? – pyta Kal.

– Może. – Rozglądam się po niepewnych twarzach, zdając sobie sprawę, że chociaż nauczyli się mi ufać, to legionieści z drużyny 312 będą potrzebować czegoś więcej niż przeczucia. – Słuchajcie, wiemy, że mam powstrzymać Ra'haam przed rozkwitem, prawda? W przeciwnym wypadku rozprzestrzeni się przez Fałdę i pożre Galaktykę. Nic jednak nie wiemy na temat Eshvarenów. To oni to wszystko uruchomili, to oni w jakiś sposób zrobili ze mnie to... czym jestem.

Kal staje powoli obok mnie, wpatrując się we wrak *Hadfielda*. Ze wszystkich ras w Galaktyce tylko Syldranie naprawdę wierzą w to, że Eshvarenowie kiedykolwiek istnieli. Światło z ekranu pada na jego fiołkowe tęczęwki, gdy Kal mówi:

– I wierzysz, że zdołamy dowiedzieć się czegoś więcej na temat Pradawnych na pokładzie *Hadfielda*?

– Nie wiem tego – przyznaję – ale wiem, że coś mi się stało na pokładzie tego statku. Byłam zwykłą dziewczyną, kiedy wchodziłam do kriokapsuły, a gdy Tyler mnie z niej wyciągnął, byłam...

Zerkam znowu na swoje odbicie w hełmie. Na obcą osobę, która na mnie patrzy.

– ...tym.

– Mogli wydobyć czarną skrzynkę – mówi Fin. – Zapiski z lotu powiedzą nam, czy *Hadfield* znalazł się gdzieś, gdzie nie powinien, czy wydarzyło się coś nietypowego, co przyrzędy zdołałyby wychwycić. Kiedy. Jak. Gdzie.

– Będziemy lepiej wyposażeni, żeby wesprzeć misję Aurory, jeśli zrozumiemy jej naturę – przytakuje Zila. – I tych, którzy wyznaczyli jej tę misję.

Kal kiwa głową.

– Poznaj przeszłość albo cierp w przyszłości.

Tyler patrzy przez długą chwilę na Scarlett, która przechyla głowę i wzrusza elegancko ramionami.

- W porządku - mówi w końcu, zaciskając palce na Koniczynce. - Zawsze to jakiś początek. Nie mamy żadnych innych wskazówek. Sun Zi powiedział „Jeśli znasz siebie i swojego wroga, przetrwasz pomyślnie sto bitew”.

- Kto to jest Sun Zi? - pyta Fin.

- Stary niezwywy gość - odpowiada Scarlett.

- I traktujemy jego radę poważnie, bo...?

Tyler nie odrywa oczu od *Hadfielda*. Widzę w nich ogień, gdy mówi:

- Wiemy niedużo o wrogu, dowiedzmy się więc czegoś o przyjaciołach.

- W porządku - mówi Scar. - Możemy zacząć od dowiedzenia się, jak wydostać się z tej kupy złomu?

## **Temat: Galaktyczne rasy**

### **► Sprzymierzone**

#### **▼ Syldranie**

Syldranie to najstarsza rasa w Galaktyce. Są wysocy i eleganccy, mają wydłużone uszy, fiolkowe oczy i srebrne włosy, które tradycyjnie zaplatają w warkocze. Są zwykle silniejsi i szybsi od ludzi. Przez inne rasy często są odbierani jako aroganccy i wyniośli ... i szczerze mówiąc, nie bez powodu.

Ich społeczeństwo dzieli się na kasty zwane ligami:

**Zbrojni** – wojownicy i strażnicy

**Wędrowcy** – mistycy obdarzeni telepatią, którzy poświęcają się badaniu Fałdy.

**Tkacze** – naukowcy, inżynierowie i rzemieślnicy.

**Obserwatorzy** – politycy i inni administratorzy.

**Robotnicy** – bo ktoś musi wykonywać prawdziwą robotę.

Syldranie do niedawna prowadzili wojnę z Terrą i dopiero dwa lata temu, w 2378 roku, podpisano pokój zwany Porozumieniem Jericho. Obecnie cała rasa jest uwikłana w brutalną wojnę domową (patrz: Wolni Syldranie i Nieugięci).

Zasadniczo nie mają teraz głowy do zabawy, tyle tylko powiem.



Moje cacuszka są za duże do tego munduru.

Nie zrozumcie mnie źle – kocham moje cacuszka. Walory. Zderzaki. Jakkolwiek chcecie je nazwać. Są takie dni, kiedy udaje ci się wyrzeźbić idealny kształt i słyszysz, jak ludziom trzaskają kręgi w szyi, gdy ich mijasz? O, to właśnie mam na myśli. Są fantastycznym wykrywaczem idiotów. (Podpowiedź: nie mam pretensji, jeśli na nie zerkacie, ale jeśli mówicie do nich zamiast do mnie – znaczy, patrząc mi w twarz – to oblaliście Próbę.) Często gwarantują świetną zabawę wieczorem, gdy się ma je pod ręką.

Bywają jednak dni, kiedy ich posiadanie to prawdziwy przypał.

Na przykład muszę je trzymać, gdy biegnę. Nie robię tego po to, żeby nimi w was celować, po prostu w przeciwnym wypadku to boli. Porządne staniki są drogie, trzeba je naprawdę delikatnie prać, bo inaczej szybko odkrywasz, że musisz kupić następny drogi stanik. Nie każcie mi nawet zaczynać tematu fiszbin. Ludzka rasa potrafi podróżować wśród gwiazd, a nadal nikt nie wymyślił stanika dla dziewczyn moich rozmiarów, w którym nie czułabym się jak w więzieniu. Oto ogólnie znana prawda: zdjęcie tego ustrojstwa pod koniec dnia to najcudowniejsze uczucie pod słońcem.

Przykro mi, chłopcy.

I są takie chwile jak ta. Kiedy próbujesz zaprzeczyć prawom fizyki i upchać materię w przestrzeni, która jest zdecydowanie dla niej za mała. Jestem pewna, że Zila ma gdzieś w swojej mózgownicy odpowiednie równanie na tę okazję: Obszar.ñ – [Balony + æ {gdzie.æ = gęstość-stanika}] = BÓÓÓLLL.

- Zawsze nie cierpiałam fizyki – mruczę, poprawiając się po raz siedemnasty.
- Co takiego? – pyta przez system łączności Tyler.
- Nic. – Wzdycham.

Maszerujemy z Zilą przez sekcję 12 Promenady Dzeta w porcie Szmaragdowego Miasta, w mundurach agentów ziemskiej Globalnej Agencji Wywiadowczej. Ukradliśmy te mundury podczas naszego śmiałego napadu na Statko-Świecie, prosto z ciał oprychów GAW, którzy próbowali nas aresztować. Z naciskiem na słowo „próbowali” – legionista Kaliis Idraban Gilwraeth, adept Ligi Zbrojnych rozłożył tych agentów GAW jak układankę i to gołymi rękami.

Przynaję, że robiło mi się trochę gorąco, gdy patrzyłam, jak Kal pracuje. Nasz drużynowy Czołg nie jest przykry dla oczu. Jednak widzę po nie takich znowu ukradkowych spojrzaniach,

jakimi ciągle wymieniają się z Auri, że Coś ich łączy. Dlatego w ramach babskiej solidarności teraz muszą odwracać (zwykle) od niego oczy. Życie...

Szkoda, bo nigdy dotąd nie spotykałam się z Syldraninem...

A wracając do tematu: kradzione mundury oznaczają niedopasowane mundury. Chociaż przysięgłabym, że ten mundur nie ścisnął mnie aż tak bardzo poprzednim razem. Niestety nikt w drużynie nie kłamie tak dobrze jak ja, a poza tym już raz odgrywałam agenta GAW. Dlatego jestem teraz ubrana od stóp do głów w ciemnografitową nanotkaninę i robię, co w mojej mocy, żeby poruszać się w niej, jakby należała do mnie. Zila maszeruje obok mnie, umyślnie ignorując moją osiemnastą próbę właściwego ułożenia walorów. Znowu ogląda na swoim unikronie komunikat, w którym Adams wyparł się nas oficjalnie.

– „...drużyna zbuntowała się i działa na własną rękę. Ci legionści zawiędli nasze zaufanie. Złamali nasz regulamin. Dowództwo Legionu Aurory oferuje wszelką pomoc...”

– Masz czasem taki problem? – pytam ją.

Zila wyłącza dźwięk w unikronie i podnosi na mnie wzrok.

– PROBLEM?

– No wiesz. – Macham na swoją klatkę piersiową. – Z... fluktuacją rozmiaru.

Zila przechyla głowę, a jej głos jest jeszcze bardziej beznamiętny, gdy płynie przez lustrzaną maskę agenta GAW.

– ZMIANA POZIOMU HORMONÓW W TRAKCIE OWULACJI MOŻE POWODOWAĆ OPUCHNIĘCIE. ESTROGEN OSIĄGA NAJWYŻSZE STĘŻENIE TUŻ PRZED POŁOWĄ CYKLU I TO MOŻE POWODOWAĆ POWIĘK...

– Ehm, Scarlett? – Słyszę przez nasz system łączności.

– Tak, Finian?

– Ty i Zila wciąż nadajecie.

– No i...?

– Ehm... nieważne.

– Doskonała odpowiedź.

Tyler wtrąca się, nim ktokolwiek z nas zapędzi się za daleko:

– W porządku, Scar, jesteśmy na szóstej, jakieś trzysta metrów za wami. Namierzylaś nas?

Oglądam się i widzę Tylera z resztą drużyny. Czają się w cieniu stacji paliwowej. Mają na sobie skradzione kombinezony, dopasowując się do reszty pracowników portu, kaptury i czapki dżetbolowe noszą mocno naciągnięte, żeby ukryć twarze. Szmaragdowe Miasto to dość cywilizowane miejsce, regularnie przelatują nad nami drony ochrony – próbują powiedzieć, że wyjście na zewnątrz to spore ryzyko, zważywszy, jaką nagrodę wyznaczono za nasze głowy. Jeśli mamy jednak dostać się na *Hadfielda* przed końcem aukcji, to musimy wydostać się z tej stacji. A przepadnięcie naszego Łuku oznacza, że musimy znaleźć sobie inny statek.

– WIDZIMY CIĘ, TYLER – melduje Zila.

– Będziemy obserwować przez wasze unikrony, więc miejcie je pod ręką. Jeśli wpakujecie się w jakieś kłopoty, zmywajcie się i kierujcie się do stacji transportowej.

– Spokojnie, braciszku – odpowiadam. – Mam wszystko pod kontrolą.

– Nie wątpiłem w to ani przez chwilę.

- Doooskonała odpowiedź.

- Statek, którego szukamy, powinien pojawić się po waszej prawej.

Rozglądam się ponad tłumem wokół mnie, chociaż raz ciesząc się, że jestem dość wysoka, by coś widzieć. Jeśli myślicie, że bycie dziewczyną mającą sześć stóp wzrostu to rewelacja, spróbujcie kupić sobie spodnie. Albo znaleźć sobie chłopaka, którego nie peszy fakt, że jest niższy.

Port kosmiczny znajduje się na górnym poziomie Szmaragdowego Miasta, najbliższej kopuły z naładowanych cząstek, mających za zadanie zatrzymanie na zewnątrz trującej atmosfery. Port jest równie barwny jak miejski bazar i panuje tu taka sama gorączkowa atmosfera, chociaż wynika z czego innego. Blokada zarządzona przez ochronę, a spowodowana naszą związaną z grempami eskapadą, trwała dwadzieścia cztery godziny, zanim władze zostały zmuszone do jej zniesienia. To oznacza, że każdy statek w porcie ma całą terrańską dobę spóźnienia w stosunku do swojego harmonogramu. Kapitanowie wrzeszczą na załogi, autodokerzy i tankownicy pracują na maksimum obrotów, powietrze aż buczy od dronów załadunkowych.

Na lewo od nas znajduje się stacja transportowa, przyprowadzająca o zawrót głowy płatanina przezroczystych rur, przenoszących ludzi i towary na różne poziomy. Na prawo od nas, na jednym ze średniej wielkości miejsc do lądowania widzę smukły, prawie staroświecki statek.

Jest stalowoszary, ma kształt serca, jego burty zdobia długie białe pasy w stylu wyścigówki. Na nosie wypisano jego imię *Opha May*. Na dziobie? Naprawdę nie znam się na statkach. Prawdę mówiąc, nigdy nie interesowałam się statkami kosmicznymi. Przespałam większość zajęć z inżynierii mechanicznej, poza czterema tygodniami na trzecim roku, kiedy uważałam, żeby zaimponować pewnemu chłopakowi.

(Liam Chu. Były chłopak nr 32. Plusy: pisał dla mnie piosenki miłosne. Minusy: naprawdę nie potrafił śpiewać).

Tyler jednak mówi mi, że *Opha May* to dobry statek. Dostatecznie mały dla sześciuosobowej załogi. Dostatecznie szybki, żeby uciec przed większością problemów i dostatecznie zadziorny, żeby poradzić sobie z pozostałymi. A jeśli mój młodszy brat naprawdę na czymś się zna (poza wkurzaniem mnie, wymądrzaniem się na każdy temat i układaniem włosów tak, żeby zawsze wyglądały idealnie), to właśnie na statkach. To jeden z powodów, dla których tak dobrze dogadują się z Cat.

To znaczy dogadywali.

Do diabła...

I tak po prostu znowu pieką mnie oczy. Serce mnie boli na kolejne wspomnienie, że odeszła. Znałam Cat od przedszkola. Mieszkałyśmy w Akadami w jednym pokoju przez pięć lat. To głupie, że najbardziej brakuje mi różnych drobiazgów, bo były czymś stałym w moim życiu, i teraz, gdy ich nie ma, odczuwam to na każdym kroku.

Teżsknię za tym, że gadała przez sen. Chowiała mi skarpetki w przyjaznej próbie doprowadzenia mnie do kompletnego szaleństwa. Pożyczała moje rzeczy bez pytania. I te drobiazgi w życiu z Cat, codzienne, bezustanne, sprawiały, że czułam, że zawsze jest przy mnie. Zapewniały mnie o jej obecności. A ta oznaczało, że zawsze mam przy sobie najlepszą przyjaciółkę. Zawsze mam przy sobie moją współniczkę przestępstwa. I że zawsze mam wszystkie te więk-

sze i trudniejsze do nazwania rzeczy, jakie stały się częścią mojego życia wraz z pojawieniem się Cat.

Znalazłam jej kredkę do oczu w mojej torbie zeszłego wieczoru i płakałam przez godzinę.

Dlatego pozwalam sobie teraz to poczuć. Niech emocje zaleją mnie na chwilę, która wydaje się trwać wieczność. Nie chcę zaprzeczać temu, jak potwornie to boli, bo na swój sposób zaprzeczałabym wtedy wszystkiemu, co dla mnie znaczyła. Potem jednak biorę głęboki wdech i odsuwam na bok myśli o Catherine „Zerze” Brannock. Skupiam się na tym, co muszę zrobić.

Bo tego właśnie oczekiwałyby ode mnie Cat.

Idziemy z Zilą w stronę *Opha May*, a tłum omija nas szerokim łukiem. Założę się, że nieczęsto agenci GAW tak bardzo oddalają się od Jądra, ale mają reputację ludzi, z którymi się nie zadziera, i to sprawia, że nawet w tłumie obcych na drugim końcu Drogi Mlecznej, nikt nas nie zaczepia. Zwalił ci chelleriańscy robotnicy zerkają raz na nasze mundury i odsuwają się na bok. Banda skwaszonych oprychów w barwach związkowych rozstępuje się jak dym. Przysięgam, że nawet dron załadunkowy ucieka z naszej drogi, kiedy wchodzimy na lądowisko. Myślę o twarzach ludzi, których znaleźliśmy w tych mundurach, o tacie Auri i reszcie, całkowicie przeżartych przez Ra'haam. Jakaś część mnie zastanawia się, jak głęboko sięga to zepsucie.

Odsuwam tę myśl od siebie na inny dzień i patrzę na małą grupkę ludzi i robotów pracujących przy statku przed nami. Członkowie załogi mają różne odcienie skóry, ale wszyscy są z Terry. I dlatego właśnie Ty wybrał ten statek spośród wszystkich zarejestrowanych w porcie Szmargdowego Miasta.

- Ten na rampie załadunkowej to kapitan - informuje nas Finian przez unikron. - Wrzaskliwy facet z futrem na twarzy.

- To ma nazwę: wąsy - wyjaśnia mu Tyler.

- Ja to nazywam obrzydlistwem, Złotko.

- To wygląda, jakby skenk wypełził mu na usta i zdechl - wtrąca Kal.

- Prawda? - przytakuje mu Finian. - Ludzkie owłosienie na ciele, brrrr.

- Chwileczkę - odzywa się Aurora. - Chcesz powiedzieć, że Syldranie nie mają zarostu?

- Nie, be'shmai.

- A... zarastacie gdziekolwiek indziej?

- BŁAGAM... - cedzi Tyler. - Czy moglibyśmy się skupić? Na zadaniu?

Słyszę chórek przeprosin w systemie łączności i wbrew sobie uśmiecham się. Chociaż nasza mała rodzinka jest naprawdę dysfunkcyjna, to przynajmniej zaczynam odbierać ją jak rodzinę. Obserwuję krzątanicę na lądowisku i rzeczywiście udaje mi się wypatrzeć niskiego, hałaśliwego mężczyznę, który ma nad wargą coś, co wygląda jak zdechła gąsienica. Nosi kombinezon pilota i magnetoboty. Jest wymizerowany, twarz mu poczerwieniała od wrzeszczenia na załogę, na roboty pomagające mu przy załadunku i przypadkowych przechodniów. Wygląda dostatecznie staro, żeby mógł być moim ojcem.

Oczywiście tata zginął, gdy miałam jedenaście lat, ale wiecie, co mam na myśli...

- W porządku. - Kiwam głową do Zili. - Czas trochę poczarować...

- NIE MA CZEGOŚ TAKIEGO JAK CZARY, SCARLETT - odzywa się Zila.

- To patrz i ucz się, moja droga.

Podchodzimy do kapitana *Opha May*, postukując błyszczącymi butami o pokład. Nawet nie odrywa oczu od unikronu.

- Josef Gruber - mówię, posługując się danymi, które Fin wyciągnął z serwerów portowych.

- Kto pyta? - odpowiada niski mężczyzna, nadal na mnie nie patrząc.

- Zgodnie z uprawnieniami, jakie gwarantuje nam Terrańska Ustawa o Rejestracji, artykuł 12, ustęp B, rekwirujemy twój statek.

Teraz zwraca na nas uwagę. Wreszcie podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi w twarz, a ja wykrzystuję wszystkie lata nauki, na tych jedyńskich zajęciach, których nie przespałam, żeby go rozgryźć. Może i nie miałam najlepszych ocen, może i nie byłam najlepszym strzelcem albo taktikiem, ale Scarlett Isobel Jones nadal jest piekielnie dobra w swoim fachu. A jej fach to Ludzie.

Kapitan ma za sobą ze cztery godziny snu. Nie był w domu od sześciu miesięcy i bardzo za nim tęskni. Widzę, że jedno oko ma cybernetyczne, a sądząc po rozszerzonych naczynekach na nosie, lubi wypić. Widzę pobrużdżoną twarz, jego sylwetkę, gdy prostuje się i na mnie patrzy, i wyczuwam wrogość. Niedowierzenie. I odrobinę strachu.

- Jaja sobie robicie, co?

- Zapewniam pana, kapitanie Gruber, że jesteśmy śmiertelnie poważni.

Rozgląda się, a niedowierzenie walczy w nim z gniewem.

- Znajdujemy się sześćdziesiąt milionów lat świetlnych od Terry - warczy, a jego warga ze zdechłą gąsienicą trzęsie się z gniewu. - Na Stwórcę, co GAW tu w ogóle robi?

Wykorzystuję jego strach.

- Jak już wyjaśniliśmy, kapitanie, przejmujemy pański statek. Jest pan obywatelem Terry, pański statek podlega terrańskiemu prawu. Proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że nie chce pan, żebyśmy dołączyli do sprawozdania z misji raport na temat pańskiej niechęci do współpracy.

Wyciągam rękę w rękawiczce. Nie drży. Nawet odrobinę.

- Proszę o karty dostępu.

Załoga Grubera przestała pracować, zebrała się wokół nas w małym, wrogim półkolu. Kapitan piorunuje mnie wzrokiem. Posługuję się takim samym tonem, jakim mówili wszyscy instruktorzy w akademii, kiedy łajali mnie za spóźnienie, mieszała z błotem za oddanie pracy po terminie albo udzielali nagany za rozmawianie/spanie/całowanie się na zajęciach. Wszyscy ci nauczyciele ostrzegali mnie, że nigdy do niczego nie dojdę.

Po serii przekleństw, których nie powtórzę, bo jestem damą, kapitan Gruber sięga do kurtki i wręcza mi komplet błyszczących kart dostępowych.

Widać teraz, że moi nauczyciele nie mieli o niczym pojęcia.

- Świetna robota, siostrzyczko - rozlega się głos Tylera w moim uchu.

- W końcu jestem Jones.

- Co? - pyta wściekły kapitan.

- Pan i pańscy ludzie macie pięć minut na zabranie osobistych rzeczy - mówię. - Proszę dopilnować, żeby statek był zatankowany i gotowy do odlotu.

- Pięć minut? - Gruber ledwie jest w stanie to wykrztusić. - A co z moim ładunkiem?

- Może pan domagać się rekompensaty, wystarczy wysłać formularz z netwęzła GAW.

Odwracam się i szukam w tłumie Ty'a.

- Dziękujemy za pańską współpracę - mówi do kapitana Zila.

Czuję wzrok kapitana wbijający mi się między łopatki. Wstyd i gniew mężczyzny spowodowany upokorzeniem na oczach jego ludzi. Jedno muszę przyznać terrańskiej biurokracji: ostatnim, czego chcesz w całej Drodze Mlecznej, to podpadnięcie jej. Trzeba być takimi idiotami jak my, żeby choćby wziąć taką możliwość pod uwagę. Znowu klnąc, Gruber warczy na swoich ludzi, żeby ruszali po swoje rzeczy.

Widzę, że Ty i drużyna idą przez tłum w naszą stronę. Podniecenie zwycięstwem ogrzewa mi pierś. Poszło nawet lepiej, niż się spodziewałam. Uśmiecham się za lustrzaną maską, a Zila przysuwa się do mnie i szepcze:

- TO BYŁO...

- Magiczne? - podsuwam.

- NADZWYCZAJNE.

- No pewnie. Ale nie zakochuj się we mnie, Zila, bo tylko złamię ci serce.

- To rzeczywiście robi wrażenie spójnego z twoim modus operandi w związkach. - Milknie na chwilę, a potem dodaje: - Poza tym jesteś dla mnie za wysoka.

Zatyka mnie na moment.

- Czekaj... lubisz dziewczyny?

Zila wzrusza ramionami, przyglądając się tłumowi.

- ALE NIE TE WYSOKIE.

Jestem tym trochę zaskoczona. Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że Zila kogokolwiek lubi. Zanim jednak zdołam zastanowić się nad tym nowym odkryciem, Ty i pozostali stają obok nas na lądowisku *Opha May*.

Szeroki uśmiech mojego brata sprawia, że sama szczerzę zęby, chociaż nikt nie może tego widzieć pod moim hełmem. Kiedy tylko Gruber i jego chłopcy skończą zbierać sprzęt, ruszymy w drogę.

- To rzeczywiście ładny statek - wzdycha przez system łączności Auri, przyglądając się *Opha May*.

Chociaż nie znam się w ogóle na statkach, muszę się zgodzić - *Opha May* to prawdziwa ślicznotka. Ostatnie tygodnie były ciężkie dla nas wszystkich, ale wygląda na to, że sprawy wreszcie zaczynają się układać po naszej myśli. Nasz chodzący Zapalnik wygląda na zmęczoną, ale jest zupełnie przytomna. Finian, pierwszy raz w życiu, przestał pyskować i zamiast tego posyła mi głupawy uśmiech. Tylko Kal sprawia wrażenie, jakby był trochę nie w sosie.

Trudno mi się odczytuje Syldran, bo tak dużo przesłania ich zakorzeniona na poziomie genetycznym arogancja. Pewnie gdybym miała żyć trzysta lat i połowa ludzi wokół mnie miała umrzeć, zanim minie połowa tego czasu, to też zachowywałabym dystans. Jednak to nie jest typowa dla naszego Czołga postawa w stylu „Wszyscy jesteście dla mnie jak muszki owocówki”. Przyglądam się grymasowi na jego ładnej twarzy, widzę rozwarte źrenice i mogłabym uznać, że sprawia wrażenie bez mała... zdenerwowanego.

- Wszystko w porządku? - mruzcę cicho.

- Kal...? - dopytuje się Auri i muska jego rękę palcami.

On pociera czoło i rozgląda się po porcie.

- Czuję...

- Cześć, Kaliisie.

Głos rozlega się za naszymi plecami. Jest wystarczająco przenikliwy, żeby przebił się przez panujący w porcie rejdach. Coś w tym głosie sprawia, że żołądek napelnia mi się lodowatymi motylami. Odwracam się i widzę w tłoczonym porcie młodą kobietę, piorunującą wzrokiem tył głowy Kala.

W każdym razie wygląda jak młoda kobieta. Jakby miała dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Jednak w przypadku Syldran nigdy nic nie wiadomo. Jest wyższa nawet ode mnie. Ma nieskazitelną oliwkową cerę, wysokie kości policzkowe i bolesną wręcz, eteryczną elegancję typową dla jej ludu. Mruży oczy - oszalamiające i jaskrawofioletkowe. Ma długie włosy, zasłaniające szpiczaste uszy i zaplecione w ozdobne warkocze. Są czarne jak atrament - nigdy jeszcze nie widziałam Syldranina o takim kolorze włosów. Jej uroda należy do tego rodzaju, który dosłownie wrywa ci serce spod żeber.

Nieznajoma nosi też czarną zbroję ozdobioną białym syldrańskim pismem. Na czole ma symbol Ligi Zbrojnych - trzy skrzyżowane ostrza jak u Kala. Od skroni do skroni, dokładnie na oczach, ma namalowany czarny pas. Usta też ma pomalowane na czarno, a na szyi nosi coś, co wygląda jak odcięte kciuki nanizane na nić. Kiedy się uśmiecha, zauważam, że ma spiłowane na ostro kły.

Widziałam już taką zbroję. W wiadomościach na temat Inwazji na Oriona, niespodziewanego ataku, w którym zginął mój tata. Syldranka jest jednym ze zbuntowanych bojowników, którzy zaczęli syldrańską wojnę domową.

Nieugięci.

- Na duchy Pustki... - szepcze Kal, patrząc na nią.

Ty zerka na niego z ukosa.

- Kal?

Wyczuwam nagle napięcie promieniujące od naszego Czołga falami. Napina wszystkie mięśnie, zaciska dłonie w pięści. Jego głos osiąga temperaturę bliską absolutnego zera.

- Słuchajcie, wszyscy, posłuchajcie mnie uważnie - mówi. - Nie pozwólcie jej zbliżyć się do siebie.

Młoda kobieta nadal się zbliża, tnąc tłum jak nóż. Kal sięga do Auri i popycha ją za swoje plecy.

- Stań za mną, Auroro.

Mruga zdziwiona.

- Kal, co...

- Be'shmai. - Patrzy w jej dwubarwne oczy. - Proszę.

- Zatem to prawda.

Odwracam się do Nieugiętej. Zatrzymała się dziesięć metrów od nas i patrzy na Kala, krzywiąc usta. Mówi po syldrańsku, ale nauka języków to był jeden z nielicznych przedmiotów, w których celowałam w akademii, więc niespodzianka, skarbie, ja też mówię w tym języku.

Stoi z jedną ręką opartą na biodrze, a grymas pogardy zmienia jej śliczną buzię w coś paskudnego.

– Kiedy adeptci, których złałeś podczas bójk w barze na Statko-Świecie, powiedzieli mi, nie mogłam uwierzyć – mówi do Kala. – Poderżnęłam im gardła, żeby uciszyć ich kłamstwa. Powinnam była jednak wiedzieć, że jesteś zdolny zniżyć się do każdego poziomu. Do każdego hańby. – Zerka na Aurorę. – Nawet do tego, żeby nazywać istotę ludzką „ukochaną”.

Ręka Kala przesuwają się do dezelatora pod kurtką.

– Czego chcesz, Saedii?

Hmm, są po imieniu, ciekawe, myślę sobie.

Panna Twardzielka opuszcza podbródek i uśmiecha się, szczerząc szpiczaste zęby.

– Wiesz, czego chcę, Kaliisie – odpowiada.

Członkowie załogi *Opha May* wychodzą ze statku za nami obładowani bagażem i skonsternowani marszczą czoła na widok sceny, która rozgrywa się przed nimi. Tyler szepcze ostrzegawczo, a ja widzę kolejnych sześciu Nieugiętych, którzy otaczają nas w tłumie. Spostrzegam jeszcze dwóch na dachu magazynu naprzeciwko ładowiska. Wszyscy noszą czarne zbroje, mają długie srebrne włosy i piękne poblźnione w walce twarze. Noszą też symbole Zbrojnych na czołach, uśmiechy na ustach i nienawiść w dużych, ładnych oczach.

I chociaż wyglądają bardzo niebezpiecznie, w porcie panuje zdecydowanie za duży ruch, żeby narobili prawdziwych kłopotów. Nie wiem, kim są te elfiki, ale bez względu na to, co tu jest grane, mam tego dość. Czas znowu wykorzystać mundur i wynosić się do diabła z tej stacji, zanim pojawią się prawdziwe kłopoty.

– Nie radzę podchodzić bliżej – mówię po syldrańsku, znowu przemawiając autorytarnym tonem. – Ci osobnicy zostali zatrzymani przez GAW i...

– Taki z ciebie funkcjonariusz GAW jak ze mnie Terranka – szydzi kobieta, nie odrywając oczu od Kala. – A teraz trzymaj język za zębami, bo ci go wytnę z głowy.

– Musimy iść – mruczy Kal, zerkając na Tylera. – Natychmiast!

Ty kiwa głową, nie odrywając oczu od Twardzielki.

– Wszyscy na pokład.

Ruszamy w stronę rampy ładunkowej *Opha May*. Nieugięta przechyla głowę. I bez sekundy gry wstępnej, bez choćby całusa na pożegnanie, jeden z jej kumpli w magazynie wystrzeliwuje w nas rakiętę pulsacyjną.

Wygląda jak błyskawica z błyszczącej zieleni, sunie, ciągnąc za sobą smużkę dymu. Leci z sykiem. Auri krzyczy ostrzegawczo i unosi ręce, a ja widzę przelotnie rozbłysk białego światła w jej prawym oku. Przez sekundę powietrze skrzy się napięciem, wydaje się tłuste i ciepłe. Ale kiedy rakietka pulsacyjna przelatuje tuż nad naszymi głowami, zdają sobie sprawę, że nie została wycelowana w nas.

Gruber i jego załoga rozbiegają się, kiedy Tyler ryczy na całe gardło:

– Padnij!

Kal rzuca się na Aurorę, żeby ją zastonić, my padamy na pokład, a rakietka przelatuje prosto przez otwarte drzwi ładunkowe do mojego dopiero co zrealizowanego głównego punktu ucieczki. Eksplozja rozrywa wnętrze *Opha May* i bucha na zewnątrz dyszami wylotowymi.



Kawałki metalu przelatują ze świstem nad moją głową, prześlizgują się po zbroi z nanotkaniny na moich plecach. Słyszę, jak Aurora wrzeszczy, Zili wyrywa się słaby okrzyk, Fin przeklina. W całym porcie rozbrzmiewają alarmy, tłum ryczy w panice. Ostrzeżenia rozbłyskują na ekranie wewnątrz mojej maski, kiedy komunikat wylewa się z systemu nagłaśniającego w porcie:

– POŻAR W SEKCJI 12, DZETA. PROSZĘ UDAĆ SIĘ DO NAJBLIŻSZEGO WYJŚCIA.

Port pogrąża się w całkowitym chaosie. Czarny dym kłębi się w powietrzu. Ogień i wybuchy na pokładzie stacji suborbitalnej nigdy nie oznaczają niczego dobrego, zdesperowany tłum wokół nas zaczyna rozbiegać się do rur transportowych, krzycząc i się tratując. Dysze otwierają się w pokładzie i zaczynają tryskać chemikaliami na płonącą skorupę *Opha May*.

Zerkam przez dym, mrużąc oczy, i widzę, że Nieugięci idą do nas przez spanikowany motłoch. Młoda kobieta im przewodzi, wbijając fiolkowe spojrzenie w Kala. Nasz Czołg obejmuje Auri, której krew spływa z rozciętego odłamkiem czoła. Usta ma rozwarłe, rzęsy jej trzepoczą.

– Auroro?! – krzyczy Kal, dotykając jej twarzy. – Auroro!

– M-motyła noga... – jęczy dziewczyna.

Wstaję chwiejnie, potrząsając głową, by oprzytomnieć. Zbroja GAW uchroniła mnie przed najgorszymi skutkami wybuchu. Wyciągam dezelator i celuję w Syldranek.

– Stój! – rozkazuję jej.

Zamiera na chwilę. Całkowicie nieruchomieje. A potem rusza.

Widziałam już, jak Kal roznosi pokój pełen żołnierzy Terrańskich Sił Obronnych w kilka sekund. Załatwił dwóch agentów GAW i nawet się nie spocił. Jednakże Pani Twardzielka nadaje nowe znaczenie słowu „szybki”. W jednej chwili biorę ją na muszkę, a w drugiej ona stoi tuż przede mną i wali mnie pięścią w pierś. Czuję, jak moje stopy odrywają się od plastali. Słyszę, że coś pęka, widzę czarne gwiazdy i czuję smak krwi w ustach. A potem leżę na plecach, z trudem łapiąc powietrze i obejmując się rękami.

– Scar! – krzyczy Tyler.

– Auuuć – jęczę.

– Na oddech Stwórcy, dobrze się czujesz? – pyta kłęczący obok mnie Finian.

– Nie. – Z ust wyrywa mi się cichy jęk. – Przywaliła mi... w cacuszka...

Rozumiecie już, co mam na myśli, mówiąc, że czasem to przechlapane być ich właściwie cielką?

Jak przez mgłę dociera do mnie, że mój brat wstaje i celuje z dezelatora w kobietę, która właśnie przywaliła mi w zderzaki. Ona jednak w okamgnieniu robi unik i jeszcze szybciej podchodzi do niego – jest jak rozmazana plama. Widzę, że łapie go za ramiona. Słyszę paskudny chrzęst i fałszywą nutę pisku z bólu, gdy jej kolano zderza się z klejnotami mojego brata z taką siłą, że prawie czuję to poprzez nasze wspólne DNA.

Biedny Szczawik...

Łapie Ty'a za rękę i przerzuca go przez ramię, ciskając nim o pokład tak mocno, że plastal trzęsie się pod nami. Nadal trzyma go za nadgarstek, gdy przykuca i bierze zamach, żeby przyłożyć mu otwartą dłońią w głowę.

– Przestań! – rozlega się krzyk.

Mrugam mocno i patrzę, jak Kal, który kuczał nad półprzytomną Aurorą, wstaje. Ma szyję zadrapaną odłamkiem, cienka linia fioletowej krwi sączy się z rany.

Długie pasmo srebrnych włosów wysunęło mu się z jednego z warkoczy, a ciepłe powietrze z pożaru unosi mu je przed oczami.

Opuszki ma mokre od krwi Auri. Krzywi piękną twarz z gniewu i wygląda naprawdę przerażająco.

– Saedii, przestań – warczy.

– Tylko ty możesz położyć temu kres, Kaliisie. Twoje miejsce jest wśród nas.

– Nie. Nie jestem taki jak wy.

Patrzę na znak na jej czole i identyczny znak na czole Kala. Widzę nienawiść w jego oczach, która odbija się w jej własnych. Pozostali Nieugięci zebrali się wokół nas; w ich czarnych zbrojach odbija się blask płonącej *Opha May*. Tamci dwaj z dachu już zeszli i teraz idą z kolejnymi raketami pulsacyjnymi w pogotowiu. Fin kuca obok mnie, Zila jest obok Auri i sprawdza stan jęczącej dziewczyny medskanerem. Zastanawiam się, jak głęboka okaże się dziura, w której się znaleźliśmy, kiedy jeden z Syldran podchodzi do Kala z wyciągniętą ręką.

– Chodź z nami, towarzyszu.

Ruchem tak szybkim, że nie da się za nim nadążyć, Kal łapie go za nadgarstek i wygina do tyłu przy wtórce wyraźnego trzasku. Mężczyzna krzyczy, a Kal wykręca mu rękę i słyszę kolejny trzask, kiedy łokieć tamtego wygina się w zupełnie niewłaściwym kierunku. Pozostali Nieugięci podchodzą, ale Saedii osadza ich na miejscu sykiem. Patrzę przerażona, jak Kal podcina wojownika i zaczyna go okładać pięścią po twarzy. Krzywi się potwornie. Srebrne warkocze zwieszają się wokół jego twarzy. Szczęrzy zęby. Oczy mu płoną.

Trzask.

– Wielki Stwórco – szepcze Fin.

Trzask.

– Kal, przestań – szepczę.

Trzask.

Kal się prostuje. Fioletowa krew ścieka mu z knykcii. Ma nią zbryzgane śliczne policzki.

Kobieta patrzy na niego triumfalnie.

– Oto on – szepcze. – Oto Kaliis, którego znam.

Kal robi krok w jej kierunku. Ona błyskawicznie wyjmuje dezelerator zza pasa i celuje prosto w jego pierś. Nie trzeba być Czołgiem, żeby po brzmieniu szumu zorientować się, że broń jest nastawiona na zabijanie.

– Nie waż się – ostrzega go.

– Nie zabijesz mnie, Saedii – odpowiada Kal.

– To prawda. – Kieruje broń na mnie i Fina. – A ich?

– Nie odejdę z tobą – odpowiada Kal. – Nie wrócę.

– Och, Kaliisie. – Młoda kobieta wzdycha, spuszcza wzrok na jego dłoń, z których fioletowa krew ścieka na pokład. – Ty nigdy nie odsze...

Uderzenie odrzuca ją do tyłu; kobieta młóci powietrze rękami, włosy unoszą się wokół jej twarzy. Jej kumple też lecą do tyłu, tylko krew i ślina tryskają, gdy koziolkują w powietrzu.

Patrzę, jak sfera przezroczystej siły napiera do przodu, miażdżąc statki wokół nas, jakby były z papieru, zdzierając pokład, zgniatając mrowie dronów w powietrzu jak robaki na przedniej szybie. Podłoga trzęsie się pod nami, powietrze skrzy się elektrostatycznie, wydaje się tłuste i ciepłe. Wszystkie włoski na ciele stają mi na baczność.

Odwracam się i widzę, że Aurora chwyciła się na nogach, wyciąga przed siebie ręce. Jej prawe oko migocze księżycowym, bladym światłem, włosy unoszą się jak na wietrze, białe pasmo w grzywce skręca się, niemal świeci. Z rozciąętego czoła leje się krew.

– Auri? – udaje mi się wykrztusić.

I jakby ktoś zgasił światło, blask w jej oku umiera, a dziewczyna znowu osuwa się na kolana, krew tryska jej z nosa. Kal łapie ją, obejmuje w pół. Jest niewiarygodnie delikatny, podczas gdy jeszcze chwilę temu ucieleśniał całkowite przeciwieństwo delikatności.

– Musimy... – Auri z trudem przetyka ślinę, ociera usta.

– Be'shmai? – pyta Kal.

– Musimy się... stąd w-wynosić – udaje jej się powiedzieć.

– Aurora ma rację – mówi Zila i zdejmuje maskę. – Zaraz zjawi się ochrona.

Rozglądam się. Nadal czuję ból w piersi, z trudem łapię oddech, gdy podczołguję się do brata. Jest ledwie przytomny, jęczy cicho.

Nieugięci leżą porozrzucani jak zabawki, otępiali, zmieceni jednym ruchem ręki Aurory. W podobnym stopniu skasowała port i statki wokół nas. Z *Opha May* został dymiący przycisk do papieru, a ja nie mam kart dostępowych do żadnego więcej statku w porcie.

Nasz plan wydostania się ze Szmaragdowego Miasta poszedł się paść.

– Musimy się u-ukryć – mówi Aurora. – Tak głęboko, jak tylko się da.

Słyszę zbliżające się syreny.

– W porządku – mówię. – Ruszajmy.

– Złap się mnie – proponuje Fin, pomagając mi wstać.

– Kal, m-możesz zabrać Ty'a? – pyta Auri.

Nasz Czołg posłusznie pomaga Tylerowi.

– Wstajemy, bracie.

Kal podtrzymuje Ty'a. Fin i ja pomagamy sobie wzajemnie utrzymać się w pionie. Zila idzie przodem z wyciągniętym dezelatorem. Najszybciej jak zdołamy, kuśtykamy przez zniszczone nabrzeże załadunkowe, powyginane pokłady. Wokół nas bucha dym, wyją alarmy, jęczą porozrzucani jak domino Nieugięci.

Docieramy do stacji transportowej, Fin sprawdza coś na unikronie, wpisuje nazwę naszej stacji docelowej drżącymi rękami, a my czekamy, aż ciśnienie w rurze się wyrówna. Na szczęście fala uderzeniowa Aurory zniszczyła wszystkie drony ochrony, więc możliwe, że władze stacji nie zdołają ustalić, dokąd się udaliśmy. Jeśli dotrzemy do podbrzusza Szmaragdowego Miasta, to może uda nam się znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogli się przycząić.

Aurora ogląda się na port, na obalonych Syldran. Ma krew na powiekach i ustach. Żołądek mi się zaciska na widok podnoszącej się Twardzielki.

– Wy dwoje się znacie – mówi Auri, ocierając zakrwawiony nos.

– Tak – odpowiada Kal.

- Niech zgadnę - odzywa się Fin, oglądając się przez ramię i naciskając klawisze rury transportowej z nowym zapalem. - Wściekła była dziewczyna?

- Nie.

Zerkam na Auri.

- Wściekła obecna dziewczyna?

- Gorzej.

- A co może być gorsze? - pyta Zila.

Kal wzdycha, gdy drzwi rury transportowej się otwierają. Ogląda się przez ramię, wchodząc do środka.

- To moja siostra.

Aurora potwierdza, że nasza kryjówka jest dostatecznie głęboka i ciemna, żeby zgadzała się z jej wizją.

Drużyna siedzi ściśnięta, cała nasza szóstka tłoczy się pod skrzyżowaniem jedenastu różnych rur transportowych. To niepewne i niewygodne miejsce – każda ściana wznosi się pod innym kątem, więc musimy się obejmować, żeby zostać na miejscu. Chwila nieuwagi oznacza długi lot w dół przez jedną ze szczelin.

Finianowi udało się zatrzymać nas na dość długo, żebyśmy otworzyli wyjście awaryjne w tunelu, którym się poruszaliśmy. Opuściliśmy system rur i znaleźliśmy się w ciemnej przestrzeni, w której rozciąga się cała sieć transportowa. Nasza obecna kryjówka to mały, ciasny obszar, nieustannie wibrujący i dygocący, gdy miejscowi przelatują obok nas za szybko, żeby zauważyć nasze prowizoryczne obozowisko. Stanowimy płataninę kończyn i plecaków, ale chwilowo jesteście bezpieczni.

Przy akompaniamencie symfonii zgrzytów i szumów myśli w mojej głowie śmigają równie szybko jak pasażerowie rur transportowych. Łapię się na tym, że pukam palcem w kolano w zmiennym tempie, a potem to powtarzam. Nie znam źródła tego wzoru, ale czuję, że zbliża się do powierzchni mojego umysłu.

Puk.

Puk, puk.

Puk.

To Tyler przerywa milczenie. Siedzi skulony w kącie, siostra przyciska się do niego. Ma podkurczone kolana, żeby chronić krocze. Powinam zaproponować, że zbadam jego najnowsze obrażenia, ale szacuję, że prawdopodobieństwo odmowy, po której Finian rzuci sarkastyczną uwagę, jest niemal stuprocentowe.

Tyler nadal sprawia wrażenie lekko oszołomionego, gdy się odzywa:

- Kal, mamy mnóstwo problemów i bez takich niespodzianek.
- Moja siostra szczyci się tym, że pojawia się, kiedy jest najmniej potrzebna – odpowiada nasz Czołg. Twarz ma nadal umazaną krwią: własną i Nieugiętych.
- Skąd ona się wzięła? – pyta Scarlett.
- Nie wiem – odpowiada Kal. – Nie widziałem Saedii, odkąd wyjechałem do Akademii. Nie wiedziała, że wstąpiłem do Legionu Aurory.

- Wspomniała o Nieugiętych, z którymi walczyliśmy w barze na Statko-Świecie - odzywa się Tyler. - Domyślam się, że przekazali jej wiadomości na twój temat?

Kal kiwa głową.

- Wspomniałem przecież, że zacząłem walkę dla odwrócenia uwagi.

- Bo posłużyłem się twoim imieniem.

Kal kiwa ponuro głową.

- Może powinienem był uciszyć ich raz na zawsze...

Znowu mimowolnie pukam palcem w kolano. Moja ręka rusza się, jakby kierowała się własną wolą, i zaczyna wystukiwać dla odmiany rytm na moim lewym przedramieniu.

Oczywiście...

Zdaję sobie sprawę, że naśladowuję ruch palca admirała Adamsa podczas przekazu, w którym nas potępił. Oglądałam to nagranie już czternaście razy. Nie próbowałam walczyć z tym wewnętrznym przymusem. Z doświadczenia wiem, że kiedy mój umysł uczepli się czegoś pozornie nieistotnego, zwykle próbuje rozwiązać problem, którego jeszcze nie zidentyfikowałam.

To charakterystyczne dla wybitnie inteligentnych ludzi.

Puk, puk, puk.

Puk, puk.

Puk.

„Potępiamy w najostrzejszy możliwy sposób działania drużyny 312 Legionu Aurory na stacji Sagan...”.

Aurora kładzie delikatnie dłoń na rękę Kala.

- Opowiedz nam o swojej siostrze - prosi, nie zdając sobie sprawy z przeprowadzanej właśnie przeze mnie analizy problemu.

Kal przełyka ślinę, spuszcza wzrok na palce Aurory. Pobrudziła je własną, czerwoną krwią i jego, fioletową. Krew już wyschła i zaczyna się łuszczyć przy paznokciach.

- Nasz ojciec był wojownikiem z Ligii Zbrojnych, ale matka należała do Ligii Wędrowców - mówi. - To najbardziej uduchowieni spośród moich ludzi. Studiują tajemnice Fałdy i jaźni. Ojciec nauczył nas zabijać, ale matka próbowała nas nauczyć, jakim marnotrawstwem jest śmierć. - Milknie na chwilę. Widzę, że Aurora ścisza mu rękę. - Wziąłem sobie do serca jej lekcje. Saedii przeciwnie.

Rozważam różnicę między moimi rodzicami. Moja matka była bardziej praktyczna. Mój ojciec był serdeczniejszy. Zastanawiam się, co by pomyślał o osobie, jaką się stałam. Różnię się teraz od dziewczynki, którą byłam.

To niewygodne pytanie, którego nie rozważałam od lat.

Odpycham je od siebie.

Puk.

Puk, puk, puk.

Kal mówi dalej:

- Dorastaliśmy z Saedii razem, ale coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy. Kiedy nasz ojciec zginął podczas bitwy na Orionie, wstąpiłem do Akademii Aurory, żeby pomóc zasypać

przepaść między naszymi ludami. Moja siostra zaś dołączyła do Gwiazdobójcy, żeby ją pogłębić. Nasze wybory to wszystko, czego potrzebujecie, żeby nas zrozumieć.

- Też... - zaczyna Scarlett. - Też straciłeś tatę na Orionie?

Kal kiwa powoli głową. Bliźniaki Jones patrzą po sobie - ewidentnie wspominają własnego ojca, który zginął w niesławnej bitwie. Scarlett patrzy łagodniej na Syldranina.

- Przykro mi, Kal - mówi cicho. - Nigdy nie wspominałeś...

Kal, który zwykle jest idealnie wyprostowany, garbi się odrobinę. Aurora znowu ściska mu rękę. Na chwilę oczy naszego Czołga zasnuwa mgiełka, jego twarz wyraża ból. Jednakże, mimo odkrycia, że trójka członków naszej drużyny straciła ojców w tym samym gorzkim konflikcie, Tyler nie traci z oczu aktualnych wyzwania.

- A czego teraz chce twoja siostra? Zabić cię?

Kal wychwytuje szczególną nutę w głosie Alfę i znowu siada prosto.

- Chce, żebym pogodził się z wojną w mojej krwi. Fakt, że nie dołączyłem do Nieugiętych, jest dla niej źródłem wstydu. Nie przestanie mnie ścigać, dopóki nie postawi na swoim.

- Jesteśmy niezli w wymykaniu się - mówi Scarlett. - Ostatnio sporo ćwiczyliśmy.

Syldranin kręci głową.

- Wędrowcy w naszym ludzie są wrażliwi. To empaci. I chociaż Saedii została wychowana na wojowniczkę, to odziedziczyła część daru naszej matki. Potrafi mnie... wyczuć. Potrafiła to robić, odkąd byliśmy dziećmi. Odległość nie może być nieskończenie wielka, ale z pewnością, dopóki będziemy w Szmaragdowym Mieście... - Urywa, unosi podbródek w sposób, który jak się nauczyłam, poprzedza wygłoszenie oświadczenia podyktowanego raczej szlachetnymi intencjami niż rozsądkiem. - Stanowię zagrożenie dla was wszystkich. Lepiej, żebym odszedł i odciągnął zagrożenie.

Aurora zaczyna protestować, ale przerywa jej Ty, który unosi rękę (nawet to sprawia mu ból) i mówi:

- Nikt nigdzie się nie wybiera.

Ja tylko słucham ich jednym uchem. Mój umysł brzęczy tak głośno, jak rury transportowe wokół, i kiedy widzę kolejne ciała przemykające obok nas, przypominam sobie twarz Adamsa podczas oświadczenia. Rytm i modulację jego słów.

Zawiedli nasze zaufanie.

Puk.

Puk, puk, puk.

Złamali nasz regulamin.

Puk, puk, puk.

Rumienię się z nagłego wstydu, że potrzebowałam tak dużo czasu, by zrozumieć. Wyjmuję unikron i zaczynam liczyć.

- A ty też potrafisz wyczuć swoją siostrę? - pyta Aurora. - Bo kiedy ja... kiedy posługuję się mocami... widzę coś w tobie. Wyczuwam coś w twoim umyśle. Może w tobie też jest odrobina daru matki?

- To możliwe, be'shmai - odpowiada. - Ten dar dziedziczy się z krwią.

Przewijam kolejny ciąg obliczeń i odsuwając zaciekawienie faktem, że w ogóle odczuwam taką potrzebę, uśmiecham się z satysfakcją.

- Zila? - Scarlett zauważa zmianę w moim zachowaniu, zerka na mój unikron. - Chcesz się czymś podzielić z resztą klasy?

- Tak - odpowiadam, nadal wpatrując się w obliczenia.

- No więc? - dopytuje się Scarlett.

- Admirał Adams nie porzucił nas - oznajmiam. - Jego oświadczenie zawiera ukrytą wiadomość.

Patrzę na Tylera.

- I właśnie ją rozszyfrowałam.



## **Temat: Handel galaktyczny**

### **► Organizacje**

#### **▼ Dominium**

Ktokolwiek powiedział, że pieniądź jest źródłem wszelkiego zła, pewnie nie miał złamanego grosza, ale pieniądź rzeczywiście komplikuje nieco życie w Galaktyce. Droga Mleczna nie ma oficjalnej waluty i z powodów, które mogą nie być jasne dla waszych małych ludzkich rozumków, szansa, żeby takowa się pojawiła, są bardzo małe.

Wchodzi Dominium.

Dominium to banda spekulantów i największy kantor wymiany waluty w całej Galaktyce. Zdając sobie sprawę, że można czerpać olbrzymie zyski z braku wspólnej jednostki monetarnej, Dominium stworzyło własną walutę. Oferuje wszystkim znanym rasom możliwość wymiany ich waluty (za małą opłatą, rzecz jasna) na kredyty Dominium, które są obecnie w pełni wymienne i powszechnie akceptowane w większości ośrodków handlowych.

Oczywiście dzięki temu pomysłowi Dominium szybko stało się bogatsze niż profesor Lisa McCarthy IV, wynalazczyni samopiorących się pieluch, co z kolei zapewniło mu ogromny wpływ na polityków Galaktycznego Konwentu. I to wyjaśnia, dlaczego nie zobaczymy w żadnym przewidywalnym czasie jakiegokolwiek oficjalnej wspólnej galaktycznej waluty.

To się nazywa demokracja, co?

Nawet się jeszcze nie pocałowaliśmy.

Członkowie mojej drużyny uznałyby, że to dziwna myśl w obliczu tak kryzysowej sytuacji. Wiem, że sama Aurora pewnie uznałaby to za głupie. I w tym, zasadniczo, tkwi sedno problemu. Ponieważ nie czuję tego, co czują istoty ludzkie. Nie czuję niczego w rodzaju żądz czy nawet miłości.

Czuję Przyciąganie.

Syldrańscy poeci poświęcili całe tysiąclecia na próby opisanie Przyciągania. Studiowałem dzieła najsynniejszych mistrzów jeszcze na Syldrze. Czasem dokładałem muzykę do ich wersów i wygrywałem ją na siifie siedząc pod drzewami lias przed naszym domem. Miliardy słów w ciągu tysięcy lat. Pieśni i sonety, kuplety i hymny. Wszystkie usiłowały oddać choćby ułamek tego uczucia.

A odkąd sam tego doświadczyłem, wiem, że żaden z nich nawet się do tego nie zbliżył.

Przyciąganie to więcej niż słowa.

Miłość to kropla w oceanie tego, co do niej czuję.

Miłość to raptem jedno słońce na niebie pełnym gwiazd.

Wiem, że Aurora nie może tego naprawdę zrozumieć. Istoty ludzkie nie czują tego co Syldranie. Chociaż bardzo jej pragnę, nie chcę jej ponaglać albo – niech duchy Pustki bronią – przerazić jej. Dlatego staram się zamykać to wszystko w sobie najlepiej, jak się da.

Tyle że my nawet się jeszcze nie pocałowaliśmy.

Na duchy Pustki, to prawdziwa tortura...

– Weź się w kupę, Elfiku – mruczy Finian.

– Co?

Beatrakanin mruga powiekami, patrząc na mnie wielkimi czarnymi oczami.

– Powiedziałem rusz kuper, Elfiku – powtarza. – Musimy to przejrzeć.

Biorę głęboki wdech i przesuwam ręką po czole. Moja drużyna zebrała się w ciasnej przestrzeni naszego tak zwanego „pokoju”. Jest mniejszy od nory Enlei i dwa razy bardziej śmierdzący. Nie mamy jednak dużego wyboru przy naszych skromnych funduszach, a odkąd moja siostra grasuje po Szmaragdowym Mieście, musimy się przyciącać pośród szumowin, które nie zadają żadnych pytań. Przynajmniej dzięki sile dedukcji Zili – muszę przyznać, że popisała się prawdziwym geniuszem – mamy teraz szansę wydostać się z tej przekłętej stacji raz na zawsze.

Ekran na ścianie naszej nowej nory nie działa. Finian podłączył unikron do egzozszkieletu, żeby wyświetlić schemat Repozytury Dominium na ścianie. Siadam na malutkiej sofie obok Aurory i wpatruję się w obraz. Jej rozcięte czoło zostało zamknięte drobnym szwem w cielistym kolorze. Siniak pod jej prawym okiem tworzy ciemną konstelację. Usta ma miękkie, w kształcie łuku, ich widok mnie hipnotyzuje. Aurora dotyka delikatnie mojej ręki, a jej opuszki rozpalają ogień na mojej skórze.

– Nic ci nie jest? – pyta cicho.

Silę się na uspokajający uśmiech.

– Oczywiście.

– Wy dwoje potrzebujecie więcej miejsca? – pyta Tyler.

– Co? – warczę.

– Powiedziałem, że są dwa wyjścia z tego miejsca – powtarza Tyler, wskazując schemat. – Główne wejście na południu i mniejsze na zachodzie. Oba są strzeżone, ale przy zachodnim jest dwóch oprychów mniej. Zatem jeśli pojawią się kłopoty, najlepiej wyjść tamtędy.

– Ale nie będzie kłopotów, co? – pyta Scarlett. – Bo wszystkie twoje pomysły są genialne?

– Właśnie – mówi Tyler, ignorując kpinę siostry. – No dobrze, według zakodowanej informacji od admirała...

Tyler urywa, żeby zaklaskać dla Zili, a ja i reszta drużyny przyłączamy się do niego. Zila pochyła głowę, ciemne loki spadają jej na oczy. Dostrzegam jednak cień uśmiechu na jej ustach, gdy Tyler podejmuje wątek:

– ...czeka na nas jakaś skrytka depozytowa w skarbcu za głównym holem. Podobno zabezpieczona jest tak, żeby zareagować na DNA Scar. Nie jestem pewien, dlaczego Adams tak to urządził.

Scarlett unosi brew.

– Bo jestem fantastyczna?

– Aha, pewnie dlatego – mruczy Tyler i wywraca oczami. – W każdym razie to znaczy, że Scar zajmie się jej odebraniem. Nie mamy pojęcia, ile depozyt waży, więc Kal, pójdiesz z nią, na wypadek gdyby okazało się, że sama tego nie udźwignie.

Scarlett zerka na mnie.

– Ty i ja, Osilku. Ubierz się seksownie.

Mruga porozumiewawczo do Aurory, która odpowiada uśmieszkiem i ścisza mi dłoń. Większość z nas przywykła do tego, że Scarlett flirtuje ze wszystkim, co oddycha. Widzę jednak, że Finian wpatruje się w podłogę z ponurą miną.

– Fin, przedstawiś im resztę planu? – pyta Tyler.

Nasz Macher mruga zaskoczony.

– Ehm... pewnie, jeśli chcesz?

– Wybacz. – Nasz Alfa kuśtyka do kanapy. – Muszę usiąść na minutkę.

Scarlett patrzy na brata, który siada na zatęchłej kanapie z ręką na kroczu. Krzywi się współczująco.

– Biedaczysko – mówi. – Twardzielka solidnie przydzwonila ci w klejnoty, co?

– No wiesz, zawsze zostaje mi możliwość adoptowania – jęczy Tyler.

- Jeśli to cię pocieszy, to do twarzy ci z podbitym okiem. A jego przekrwienie podkreśla błękit tęczęwki.

Tyler rzuca Scarlett miażdżące spojrzenie, a ona uśmiecha się szeroko i mierzwi mu blond włosy. Tyler jęczy w proteście i wygładza fryzurę, którą znowu siostra mu czochra.

Tak bardzo się różnią – on jest ucieleśnieniem porządku, a ona uosobieniem chaosu. Czasem trudno mi myśleć o nich jak o rodzeństwie. Jednak kiedy na nich patrzę, widzę, jak bardzo się kochają. Jednoczy ich smutek po śmierci Zera. Zbliżyła niepewność sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Wiąże ich krew. To prawdziwa rodzina. Nierozłączna i niezwyknięta.

W porównaniu z nimi ja i moja siostra wypadamy haniebnie.

- Mam dwa czarne pasy. – Tyler wzdycha. – Dziesięć lat treningów systemy i krav magi. A ona odbijała mnie jak piłkę do dżetbolu.

- Nie masz powodu do wstydu – odzywam się. – Saedii jest mistrzynią Aen Suun.

Scarlett tłumaczy, marszcząc brwi.

- Mistrzynią... Drogi Fali?

Kiwam głową.

- To najbardziej śmiertelna sztuka walki w Lidze Zbrojnych. Ojciec osobiście nas trenował, zanim zginął. Odkąd byliśmy dziećmi. – Smutek napęła mi serce na wspomnienia naszej trójki ćwiczącej pod drzewami lias. Uśmiecham się smutno do Tylera. – Saedii skopała mnie poniżej pasa więcej niż raz. Przyjmij moje serdeczne wyrazy współczucia.

- Więcej niż raz? – Tyler krzywi się i poprawia na krześle. – Na oddech Stwórcy, jakim cudem jeszcze żyjesz?

- Ostrzegalem, żeby nie pozwolić jej się zbliżyć.

- Nie miałem wyboru, uwierz mi – jęczy Tyler. – Jeśli będę miał cokolwiek do powiedzenia w tej kwestii, to od tej pory będę zawsze zachowywał bezpieczną odległość od rzeczonyj młodej damy. Kilka układów planetarnych od niej, tyle powinno wystarczyć.

- To może nie zależeć od nas. Saedii i jej adepci nie przestaną na mnie polować. Nie zostajesz templariuszem Gwiazdobjcy, bo łatwo odpuszczasz sobie pościg za zwierzyną.

- Tym bardziej powinniśmy szybko wejść do Repozytury i z niej wyjść – wtrąca Aurora.

- Zgrabna zmiana tematu, Pasażerko na Gape. – Finian uśmiecha się, odwracając się do schematów. Bierze głęboki wdech. – W porządku, zatem plan jest prosty. Wchodzimy, znajdujemy to, co Adams zostawił dla nas w skrytce depozytowej, i wychodzimy. Największy problem, rzecz jasna, polega na tym, że wyznaczono nagrodę za nasze głowy, bo uznano nas za galaktycznych terrorystów.

- Domniemanych terrorystów – wtrąca Zila.

- W porządku. Domniemanych. Zatem dobra wiadomość jest taka, że Szmaragdowe Miasto ma ponad milion mieszkańców, więc nie tak łatwo nas wypatrzeć. Zła wiadomość jest taka, że system ochrony Repozytury Dominium łączy się z netwęzłami większości ważniejszych rządów galaktycznych, a ich kamery są wyposażone w najnowsze oprogramowanie do rozpoznawania twarzy. Mówię o oprogramowaniu, które jest w stanie rozpoznać człowieka po brwiach.

Scarlett odrzuca płomiennorude włosy.

- No cóż, są olśniewające.

- Ehm, właśnie. - Finian przewija ciąg danych obok schematu. - Mówię tylko, że nie wystarczy czapka dżetbolowa i ciemne okulary. Te systemy bardzo szybko rozpoznają nas jako poszukiwanych przestępców.

- Moglibyśmy znowu skorzystać z mundurów GAW? - sugeruje Aurora.

Tyler kręci głową.

- To zbyt ryzykowne po tym, co wydarzyło się w porcie. Agenci GAW rzadko zapędzają się tak daleko od Jądra, a ci w mundurach będą teraz zwracać uwagę.

- Rozumiem, że masz jakieś rozwiązanie? - pytam.

- Tak się składa, że owszem, Elfiku. - Finian się uśmiecha. - Kamery Repozytury zarejestrują nas przy wejściu. Nic na to nie poradzimy. Jednak to potrwa, zanim ich systemy prześlą sygnał do swoich oddziałów. Światło porusza się z ograniczoną prędkością, nawet przez Fałdę. Zanim dane powrócą, zdążę postawić blokadę na łączu. Mogę je blokować dość długo, żebyśmy zdążyli wejść i wyjść.

- Imponujące - mówię.

Scarlett się uśmiecha.

- Imponujący to drugie imię Fina.

Podejrzana plama bardzo podobna do rumieńca rozlewa się na policzkach Finiana po komplementach Scarlett, ale wtedy wtrąca się Tyler.

- Nnnnie do końca - mówi.

- Rety, wielkie dzięki, Złotko - mruczy Finian. - Nie ma to jak podbudować morale.

- Wybacz. - Nasz Alfa znowu zmienia pozycję na kanapie. - To klejnoty koronne, dobijają mnie. Wiesz jednak, co mam na myśli, Fin, powiedz im, na czym polega trudność.

Finian niechętnym skinieniem głowy zgadza się na to, że jednak nie jest tak do końca imponujący.

- Kłopot w tym, że muszę być w Repozyturze, żeby zhakować system.

Drobna zmarszczka pojawia się na czole Zili.

- Myślę, że to nadzwyczaj mało prawdopodobne, żeby ochrona Dominium pozwoliła ci po prostu usiąść w holu i zająć się szpiegostwem komputerowym.

- Racja - mówi Tyler. - I tu wchodzimy na scenę my, Zil.

Dziewczyzna się dziwi.

- Ty i... ja?

- Właśnie. - Tyler uśmiecha się i na jego policzku pojawia się charakterystyczny dołeczek.

- I dlatego... co powiesz na randkę ze mną?

\* \* \*

Nie mam pojęcia, jak Scarlett udaje się zdobywać dla nas ubrania.

Jej zdolność przywoływania nowych strojów, wydawałoby się samą siłą woli, jest wręcz nadprzyrodzona. Wyszła na całe osiemdziesiąt siedem minut z garstką kredytów w kieszeni i wróciła z nową garderobą dla każdego z nas. Nie kradnie, pomachała rachunkami przed twarzami Zili i Aury, a potem podjęła ich opowieściami o swojej zuchwałości w szukaniu okazji,

posługując się tak tajemniczymi terminami jak „dwafceniejednego” i „zniżka na dekolt”. Aurora zareagowała z przesadną radością na buty, jakie znalazła dla niej Scarlett. Obawiałem się, że jej piski mogą zwrócić uwagę lokalnej ochrony.

Zapamiętuję to sobie.

Aurora lubi buty.

Scarlett ciska w moją pierś torbę z zakupami, a ja zerkam podejrzliwie na zawartość, unosząc brew prawie do linii włosów.

– Serio?

Starsze z Jonesów uśmiecha się tylko.

– Zaufaj mi.

Czeka nas misja, więc przechodzimy do różnych pomieszczeń w naszym obskurnym mieszkanku, żeby się przebrać. Aurora, Scarlett i Zila zajmują sypialnię. Finian wychodzi do łazienki, żeby mieć trochę prywatności. Zauważam, że jego egzoszkielec syczy przy chodzeniu, a Fin oszczędza lewą nogę. Podejrzewam, że przydałaby mu się pomoc przy zmianie ubrań, ale odmawia, bo chce zachować poczucie niezależności. Za mało wiem o jego przypadłości, żeby się martwić, ale mimo to martwię się.

Nie mając innego wyboru Tyler i ja przebieramy się razem w małym salonie. Pierwszy raz zostaliśmy sami od pewnego pocałunku w pewnej serwerowni na Statko-Świecie. Zdejmuję kombinezon pracownika portu i z trudem wciągam spodnie, które dała mi Scarlett. Ty zsuwa kombinezon, ściąga podkoszulek, zostaje w samych bokserkach i srebrnym łańcuszku na szyi, na którym nosi pierścień ojca. Kiedy sięga po spodnie kupione przez siostrę, łapię się na tym, że przyglądam mu się kątem oka.

Nasz Alfa robi wrażenie zmęczonego. Garbi się. Siniaki po laniu, jakie spuściła mu moja siostra, kładą się pasami na mięśniach pleców, na liniach torsu. Wciąga na poobijane ciało tunikę, przeczesuje rękami potargane blond włosy i wzdycha.

Wyczuwam, jak jego umysł pracuje. Niepewność, którą skrywa za murem optymizmu. Jego unikron brzęczy cicho na stole – sygnał przypomnienia z kalendarza. Na ekranie rozbłyskują słowa: „moje urodziny – za 2 dni!”.

– Nie wiedziałem, że twoje i Scarlett urodziny są tak blisko – mówię.

Smutek wypełnia oczy Tylera, które z jasnoniebieskich zmieniają się w stalowoszare.

– Bo nie są – odpowiada cicho, wskazując unikron. – Rzuciłem swoim unikronem w ultra-zaura na Statko-Świecie. Ten należał...

Dociera do mnie, kogo ma na myśli – nie musi wypowiadać jej imienia. Musiał zabrać od niej unikron jeszcze na Octavii III. Widzę ból w oczach Tylera, kiedy patrzy na wiadomość – jeszcze jedno przypomnienie o wszystkim, czego ona już nie będzie miała, czym już nigdy nie będzie.

– Oplakuję Zero – mówię mu cicho. – Wiem, ile dla ciebie znaczyła.

Podnosi wtedy wzrok. Widzę jej twarz odbijającą się w jego oczach – atrament na jej skórze, ogień w jej spojrzeniu. A potem Tyler patrzy w sufit, mrugając gwałtownie.

– Aha.

– Robisz to, co należy, Tylerze Jonesie.

Zerka w stronę stłumionych śmiechów dobiegających z sypialni. Głosy tych, na których nam zależy. Łączy nas tak krucha sieć, obaj to wiemy. Może lepiej niż ktokolwiek z pozostałych. Przelotnie udaje mi się przeniknąć wzrokiem jego mury. Spostrzegam okrucieństwo niepewności przeświecający przez szpary.

- Mam nadzieję - wzdycha.

- Przeciwno nam stoi cała Galaktyka - mówię mu. - Jednak właśnie tu powinniśmy byli trafić. Stanowimy teraz część czegoś większego. Czuję to w kościach. Przeprowadzisz nas przez to. A ja pójdę za tobą, bracie.

Syldranie nie dotykają siebie nawzajem poza chwilami intymności albo rytuałami, ale Tyler Jones i ja walczyliśmy we wnętrznościach terrańskiego niszczyciela, spieraliśmy się w Faldzie, stojąc ramię w ramię, spojrzeliśmy śmierci w oczy. Może i jest istotą ludzką, zmęczoną, posiniaczoną i niedoskonałą jak oni wszyscy, ale w walce wszyscy krwawią tak samo.

Podaję mu dłoń.

- Znam swoich przyjaciół i jest ich niewiele, ale za tych nielicznych oddałbym życie.

Znowu patrzy mi w oczy. Zaciska mięśnie zuchwy, gdy ściska mi dłoń.

- Dzięki, Kal. Świadomość, że mogę liczyć na twoje wsparcie, bardzo wiele znaczy.

- De'lnai - odpowiadam.

Zaskoczony marszczy brwi, słysząc, jak mówię w moim ojczyznym języku.

- Scar chyba mi wyjaśniła, co to znaczy, ale...

- Zawsze - wyjaśniam. - To znaczy „zawsze”.

Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów z cierpkim uśmiechem.

- Wybrała ci niezły strój.

Patrzę na swoje nowe ubranie z niepokojem. Spodnie są z błyszczącego czarnego plastiku, rząd srebrnych sprzączek ciągnie się wzdłuż nogawki od kostki po biodro. Moja koszula to przezroczysta siateczka, też czarna, opina mi się ciasno na torsie, nie zostawiając zbyt wiele wyobraźni. A takie buty włożyłbym tylko wtedy, gdybym planował przeciągającą się wojnę lądową na powierzchni wrogiej planety.

- Rety. - Słyszę czyjś głos.

Podnoszę wzrok i widzę Aurorę w drzwiach sypialni. Ma na sobie biały kostium, który pewnie inni opisaliby jako szykowny. Dla mnie jednak jest odziana w światło, promienne jak słońce.

Jej wzrok wędruje od moich butów aż do twarzy.

- Wyglądasz...

- Mam dobry gust? - pyta za jej plecami Scarlett. - Czy też może mam dobry gust?

Aurora zerka na wyższą od siebie dziewczynę.

- Masz wybitnie dobry gust.

Sama Scarlett jest ubrana w podobnym stylu co ja. Obcisły czerwony polimer, przylegający jak druga skóra. Gorset, który większość galaktycznych konwencji uznałaby za narzędzie tortur. Setka sprzączek niemających żadnego praktycznego znaczenia. Peruka z włosami platynowo-blonde sięgającymi jej aż do pasa.

Zerkam po sobie i unoszę pytająco brew.

- Nie pojmuję, dlaczego te spodnie muszą być takie obcisłe.
- Scarlett nakręca na palec coś, co wygląda jak smycz.
- Kał, skarbie, jeśli zamierzasz grać pewną rolę, to musisz stosownie się do niej ubrać.

\* \* \*

Wchodzimy różnymi drzwiami, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Główny hol Repozytury Dominium jest rozległy, zbudowany z plastali, która ma przypominać czarny marmur i ma złote zdobienia. Na ścianach i posadzkach przewijają się dane z różnych galaktycznych giełd. Mimo ogromu miejsca panuje tu tłok, przedstawiciele kilkunastu różnych ras stoją za kontuarami i w holu – Tyler wybrał najruchliwszą godzinę na naszą rozgrywkę.

On i Zila weszli pierwsi. Nasza oficer naukowa sprawia wrażenie trochę oniemiałej, ale Tyler trzyma ją blisko siebie, pochyla się czasem, żeby szepnąć jej coś do ucha. Idą, trzymając się za ręce, wyglądają jak młodzi kochankowie na spacerze w ciągu dnia.

Finian przychodzi tuż za mną, ubrany zwyczajnie, w ciemne kolory pod błyszczącym srebrnym egzozskieletem. Udaje, że odbiera rozmowę przez unikron zaraz po wejściu, przechodzi do cichego kąta Repozytury z jednym palcem przy uchu, jakby chciał lepiej słyszeć rozmówcę.

Ja i Scarlett przyszliśmy ostatni i zgodnie z jej intencjami nasze wejście zwróciło powszechną uwagę – podejrzewam, że nieczęsto posągowa blondynka w obcisłym stroju z polichloru winylu prowadzi na smyczy Syl dranina. Pewność siebie tryska wszystkimi jej porami, gdy pochodzi do terrańskiego kierownika – mężczyzny w średnim wieku i w stroju biznesmena.

Mężczyzna obrzuca ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Mogę w czymś pomóc?
- Oczywiście, skarrrrbie, że możesz – odpowiada Scarlett przeciągając „r” w afektowany sposób. - Nazywam się Mademe Belle, jestem trzecią żoną Rielle Von Lumiere i cesarzową Dworu Zmierzchu na Elberii IV. Mój mąż zostawił coś dla mnie w waszych skrytkach depozytowych.

Kierownik zerka na mnie.

- To... pani mąż?
- Och, nie, skądże. - Scarlett śmieje się perliście, dotykając ręki Terranina. - Nie, Germaen jest moim... osobistym trenerem. Rozumie pan. - Ciągnie za smycz i syczy: - Wyprostuj się, Germaen!

Wbijam w nią wzrok bardziej pałający niż tuzin białych karłów, zanim przypominam sobie o roli, jaką mam odgrywać.

- Wybacz, cesarzowo - mruczę i się prostuję.

Scarlett przewraca oczami, mówiąc do kierownika:

- Potwornie trudno znaleźć porządnego pupilka w dzisiejszych czasach.
- Ehm... rozumiem.



Scarlett posyła mężczyźnie uśmiech, który mogę opisać tylko jako szelmowski, i obdarza go kolejnym przeciągłym muśnięciem ręki.

– Och, nie wątpię, skarbie.

Skarrrrrbie.

– Cóż – mówi kierownik więcej niż tylko trochę wytracony z równowagi uwagą Scarlett. – Proszę za mną. Do skarbców idzie się tędy.

Scarlett posyła mu piękny uśmiech i rusza za nim, pociągając za moją smycz.

– Chodź, Germaen, nie guzdrz się!

Kiedy idziemy przez tłoczny hol, widzę Finiana, który pracuje w kącie nad swoim unikronem. Podczas gdy większość ochrony jest zajęta gapieniem się na przedstawienie, jakie urządza Scarlett, jeden z bardziej sumiennych pracowników Repozytury idzie już zapytać naszego Machera, czy nie potrzebuje pomocy.

I wtedy nadchodzi czas na drugi etap naszego przedstawienia.

– Ty ŁAJDAKU!

Scarlett zamiera, tak samo jak wszyscy inni w Repozyturze. Odwracam się i widzę Aurorę, która stoi z czerwoną twarzą przed nosem naszego Alfy i Zili. Wytyka go oskarżycielsko palcem i wrzeszczy na całe gardło.

– Powiedziałaś, że idziesz do matki! – Piorunuje wzrokiem Zilę. – A to znowu to?!

Tyler rozgląda się po pomieszczeniu i widzi, że wszyscy gapią się na niego.

– Ehm, cześć, pączuszkule...

Aurora unosi rękę i z plaśnięciem, od którego aż się krzywiew, policzkuje już posiniaczoną twarz Tylera.

– Nie wciskaj mi tu żadnych pączuszków! – krzyczy.

– O rety. – Scarlett przyciska rękę do gorsetu i patrzy na kierownika. – Nie myślałam, że to tego typu miejsce.

– Ochrona się tym zajmie – zapewnia ją kierownik, pstrykając palcami i wskazując ochroniarzom przedstawienie. – Tędy proszę.

Ochrona zbiega się ze wszystkich stron, podczas gdy Aurora krzyczy i przeklina. Ochroniarz dotyka jej ręki i prosi, żeby „nie robiła scen”. Ona wsuwa mu palec pod brodę i krzyczy:

– Nie dotykaj mnie! Znam kung-fu!

Tyler próbuje coś wyjaśnić, ale Aurora go przekrzykuje, a pośród tego wszystkiego Zila robi wrażenie zwyczajnie przerażonej. Podejrzewam, że bynajmniej tego nie odgrywa.

Kiedy jednak kierownik odprowadza nas do ciężkich drzwi na tyłach holu, widzę, że Finian nadal stoi w kącie i cicho pracuje nad unikronem.

Ciężkie drzwi otwierają się po zakończonym skanie siatkówki kierownika i gdy zostajemy sprawdzeni magnetycznym wykrywaczem, na wypadek gdybyśmy ukrywali broń lub wszczepy podskórne, wchodzimy do sali ze skrytkami. Krzyki Aurory nadal rozbrzmiewają za nami. W porównaniu z ekstrawagancją holu to pomieszczenie jest wręcz nijakie. Długi plastenowy stół stoi pośrodku. Wzdłuż białych ścian ciągną się tysiące małych drzwiczek z hartowanego stellitu.

– Pozwoli pani? – mówi kierownik i podsuwa wacik do pobrania DNA.

- Oczywiście – odpowiada z uśmiechem Scarlett, unosi podbródek i odyma perfekcyjnie usta.

Kierownik dotyka wacikiem jej ust.

- Siedem jeden osiem cztery alfa – mruczy Scarlett.

Kierownik kiwa głową i odwraca się do odpowiedniej skrytki. Kiedy przyciska wacik z DNA do receptora, łąpię się na tym, że wstrzymuję oddech. Jeśli to jakiś podstęp i będziemy musieli wywalczyć sobie drogę odwrotu...

Dioda na drzwiczkach z czerwonej zamienia się w niebieską. Słyszę elektroniczny brzęk, gdy skrytka się otwiera. Kierownik uśmiecha się, otwiera skrytkę, wyciąga ze środka długą metalową skrzynkę.

- Mój mąż nie ma głowy do dat – mówi Scarlett, pukając się w usta. - Byłby pan tak kochany i sprawdził, jak dawno temu przygotował dla mnie ten depozyt?

- Oczywiście. - Kierownik sprawdza to na unikronie. - Skrytkę zajęto... 17/9/2372.

- W siedemdziesiątym drugim? - Marszczę brwi. - Ale to osiem lat temu.

Scarlett szarpie mocno smyczą.

- Dziękujemy, Germaen, sami potrafimy liczyć. A teraz ucisz się, bo nie doczekasz się kary dziś wieczorem!

Przełykam protest, kiedy Scarlett odwraca się do kierownika ze słodkim uśmiechem.

- Możemy zostać na chwilę sami?

Kierownik kłania się i z leciutkim uśmiechem wychodzi z pomieszczenia. Zerkam na kamerę ochrony w kącie, modląc się do Pustki, żeby Finian okazał się tak dobry, jak mam nadzieję, że jest. Zerkam z ukosa na Scarlett.

- Zdecydowanie za dobrze się bawisz – mruczę.

- Nawet nie masz pojęcia – odpowiada szeptem.

Otwieram skrzynkę i sprawdzam zawartość przed wyjściem. Widzę pół tuzina paczuszek, każda z drobną etykietką. Tyler. Scarlett. Kaliis. Finian. Zila. I jeszcze jednak paczka podpisana Drużyna 312.

- Ta skrytka czekała tutaj prawie dziesięć lat – mówię.

- Wiem – odpowiada Scarlett ze zdumieniem. - Zanim się poznaliśmy. Zanim ktokolwiek z nas wstąpił do Akademii.

- Jakim cudem? – pytam. - Jak admirał Adams zdobył twoje DNA, zanim w ogóle cię poznał? Skąd mógł znać oznaczenie drużyny? Nasze imiona? Skąd wiedział, że w ogóle tu się znajdziemy?

- Jeśli chcesz, żeby naprawdę zakręciło ci się w głowie... – mruczy Scarlett i głos jej drży – ...to zadaj sobie pytanie, skąd wiedział, że Cat tu nie będzie?

Zerkam znowu na zawartość skrzynki i zdaję sobie sprawę, że Scarlett ma rację – nie widzę nigdzie paczki dla Zera. Za to pod innymi zawiniątkami leży komplet kart dostępowych i przywieszka z numerem lądowiska w porcie Szmargdowego Miasta.

SEKCJA 6, PROMENADA GAMMA. LĄDOWISKO 9[A].

Wręczam karty Scarlett. W głowie mam gonitwę myśli.

– Cokolwiek tu się dzieje, przynajmniej Adams uznał, że należy zaopatrzyć nas w statek. To już coś.

Scarlett zerka w kamery.

– Lepiej ruszajmy.

Kiwam głową, zamykam skrzynkę i wsuwam ją pod pachę. Wychodzimy z sali depozytowej, Scarlett przodem, a ja drepczę za nią posłusznie. Kiedy wychodzimy do holu, Finian podnosi wzrok i na jego twarzy maluje się nietajona ulga. Zili nigdzie nie widać, ale Aurora i Tyler stoją na ulicy przed budynkiem. Aurora nadal zaciekle gestykuje, szkło tylko trochę wycisza jej wściekłe okrzyki.

– Ona bawi się jeszcze lepiej niż ja. – Scarlett się uśmiecha.

Idziemy spokojnie rozległym holem, a każdy krok ciągnie się jak miła. Finian wstaje i zaczyna kuśtykać powoli do innego wyjścia. Tłum wokół nas kłębi się i przepływa. Kierownik uśmiecha się na pożegnanie. Wygląda na to, że nasz podstęp wypalił. Może uda nam się stąd wyrwać.

– Mogę o coś zapytać? – odzywam się cicho.

– Nie poprosisz mnie o rękę, co? – mruczy Scarlett.

– Nie. I wiem, że to niemądre pytać o to w tej chwili, ale rzadko jesteśmy sami i mogę nie mieć drugiej takiej okazji.

– To brzmi poważnie.

Przełykam z trudem ślinę, nagle ogarnia mnie wielkie zażenowanie.

– Sporo czytałem na temat... ludzkich zalotów. Jednak istnieje ogromna przepaść między słowem pisanym a rzeczywistością. A ty sprawiasz wrażenie... dobrze zaznajomionej z tematyką miłosnych matni.

– Można to tak ująć. – Uśmiecha się krzywo samym kącikiem ust. – Chodzi o Aurorę, co? Wzdycham. Nawet na dźwięk jej imienia rośnie mi serce.

– Tak.

– Widzę, że zadurzyłeś się po uszy.

– Owszem... bardzo ją lubię.

Już prawie doszliśmy do drzwi. Scarlett mówi cicho:

– Pewnie nie jestem najlepszą osobą do tego typu pytań, Osilku. Nigdy nie byłam w związku, który trwał dłużej niż siedem tygodni.

– Jesteś ludzką dziewczyną – odpowiadam zdesperowany. – Wiesz, jakie są ludzkie dziewczyny.

Drzwi odsuwają się przed nami, Scarlett ogląda się przez ramię, unosząc brwi.

– Nie jesteśmy jednakowe, Kal...

Urywa gwałtownie, gdy zderza się z drobną postacią wchodzącą do Repozytury. Słyszę oburzone warczenie, patrzę w dół i widzę drobną samicę grempa otoczoną przez tuzin towarzyszy.

– Och, wybacz mi, złotko – mówi Scarlett.

Przywódczyni grempów ma z metr wzrostu, całkiem sporo jak na ten gatunek. Jej szylkretowe futro jest idealnie ułożone pod perłowobiałym kostiumem. Bładozielone oczy ma obma-

lowane czarnym cieniem. Robi wrażenie kogoś, kto dla zabawy karmi swoje domowe zwierzaki ludźmi.

Podnosi wzrok na Scarlett i szczyrzy kły.

- Ty! - warczy Skeff Tannigut.

- O, w mordę - wrywa się Scarlett.

## **Temat: Galaktyczne rasy**

### **► Niesprzymierzone**

#### **▼Grempy**

Grempy to dwunożne istoty pokryte futrem. Pochodzą z układu Arktura. To jedna z najmłodszych ras w Galaktyce. Zwykle mają nie więcej niż metr wzrostu i z perspektywy Terran przypominają małe humanoidalne koty.

Chociaż mogą wyglądać słodko i miłusio, to jedna z najbardziej wrogich ras w Galaktyce. Jako z natury mięsożerne uważają inne rozumne rasy za potencjalne źródło pożywienia. I ich pierwszy kontakt z inną podróżującą po kosmosie rasą (Ishtarri z Freyi III) zakończył się krótką wymianą ognia, po której nastąpił czterodaniowy posiłek. Reprezentanci Ishtarri natychmiast przypominają o tym fakcie w Galaktycznym Konwencie za każdym razem, gdy grempy domagają się przyznania im członkostwa.

Każda chęć pogłaskania grempa powinna zostać natychmiast stłumiona, o ile nie znudziło ci się posiadanie palców.

Wychodzę bocznymi drzwiami obolały, jakby stratował mnie ultrazaur. Mój egzoszkielet jest o krok od kompletnej rozsypki, ale niewiele brakuje, żeby udało nam się wykręcić ten numer, więc ostatnie, czego chcę, to zwracać na siebie czyjąkolwiek uwagę. Drzwi zamykają się za mną z zadowolonym z siebie szumem, a ja skręcam w prawo, w stronę skrzyżowania, gdzie Scarlett i Kal powinni wykaraskać swoje smakowite tyłeczki frontowymi drzwiami i spotkać się z resztą drużyny.

Wreszcie, nareszcie coś się układa po naszej myśli. Kal miał skrzynkę pod pachą, gdy wychodzili ze skarbcza, więc wiem, że mamy szansę na następny ruch. Jestem w miarę zadowolony z siebie i nawet silę się na nonszalancki krok, gdy wychodzę zza rogu akurat, kiedy Scarlett staje twarzą w twarz – a właściwie mordką w brzuch – z grempem, który wygląda na wkurzonego.

Naprawdę zdążę jeszcze pomyśleć: „Rety, co by to było, gdyby to był ten sam grempe, który...”, gdy nagle chodnik jeży się od broni i okazuje się, że wszyscy mamy dziś wyjątkowo nerwowy dzień.

Zamieram w miejscu. Scar już nawija jak nakręcona, unosi błagalnie ręce, kiedy mierzy do niej tuzin dezeltatorów. Za jej plecami ochrona Dominium odpowiedziała, wyciągając własną artylerię, która jest zdecydowanie za ciężka jak na mój gust. Plus tego jest taki, że Skeff Tannigut nie może po prostu zawlec Scarlett i Kalę gdzieś, gdzie porąbie ich na drobne kawałeczki, minus zaś taki, że moi przyjaciele są otoczeni.

– To są poszukiwani przestępcy! – warczy grempe, mrużąc obrysowane na czarno ślepia. – Zaatakowali mnie i moje potomstwo/broodkin, prawie zabili mojego brata-w-miocie!

– Bzdura, skarbie – odpowiada Scarlett. – Pierwszy raz życiu cię widzę.

– Wiedziałam, że nie można ufać twojemu rodzajowi – warczy Tannigut.

– Mojemu rodzajowi?! – Scarlett udaje się wypowiedzieć te słowa z przekonującym oburzeniem. – Rozumiem, że dla ciebie wszyscy ludzie wyglądają tak samo, co?

Strażnicy Dominium, wśród których jest niemało Terran, nie są pod dużym wrażeniem oskarżeń grempa. Kuśtykając, oddalam się od Repozytury, staram się nie rzucać w oczy. Nie mam pojęcia, gdzie podziewa się Zila, ale Tyler i Auri już wycofują się w tłum na skrzyżowaniu, biorąc ze mnie przykład, i pilnują, żeby nikt ich nie zauważył.

– Finian? – mruczy przez unikron Tyler. – Zdołasz obmyślić coś dla odwrócenia uwagi?

W odpowiedzi już piszę na unikronie.

- Już nad tym pracuję, Złotko. Za trzydzieści sekund odciągnę ich uwagę. Upewnijmy się tylko, że wszyscy będziemy uciekać w tym samym kierunku, dobrze?

Tyler robi kolejny powolny krok, rozglądając się po ruchliwej ulicy.

- Skręć w stronę centrum, a my...

Krzyk na łączu przerywa naszą rozmowę, a towarzyszy mu nieprzyjemne skwierczenie. Podnoszę wzrok znad unikronu i widzę, że Aurora leży na ziemi jak marionetka, której obcięto sznurki. Spowija ją coś, co wygląda jak pasma skwierczącej czerwonej energii, para bucha z jej skóry, usta ma otwarte w bezgłośnym krzyku. I w tej samej chwili wszystko się wali. Kal skacze w jej stronę z okrzykiem czystej furii, kompletnie zapominając o tym, że Scarlett ma smycz owiniętą na nadgarstku.

Smycz, serio?!

W każdym razie pociągnął Scarlett za sobą - leci, jakby nic nie ważyła, wpada prosto na Skeff Tannigut i obie zwalają się w płataninie kończyn i gorsetów. Wszyscy zaczynają strzelać. Grempy strzelają, gdy tylko ich przywódczyni pada, strażnicy Dominium odpowiadają ogniem. Parę osób już leży po obu stronach, strzały skwierczą w powietrzu, grempy i ochroniarze szukają osłony albo upadają, krzycząc z bólu.

Przypadkowy strzał trafia w przelatujący śmigacz, który skręca w bok i wpada na zaparkowany pojazd, koziółkuje w powietrzu i uderza w witrynę sklepu. Tłum na skrzyżowaniu krzyczy i się rozpierzcha. Kolejny pocisk przelatuje obok mojej głowy, więc kulę się za zaparkowanym śmigaczem, mój egzozskielet jęczy, czuję przenikliwy ból w kolanach.

Zerkam przez dym i ogień, widzę, że Ty i Scar schowali się za poduszkowcem ciężarowym. Kal zaciągnął Auri za rząd auto-straganiarzy. Naszą pasażerkę na gapę nadal spowija skrząca się czerwona energia, dziewczyna szarpie się konwulsyjnie. Kal przykuca przy niej, szczerzy zęby i ogląda się przez ramię. Wtedy zdaje sobie sprawę, że niektóre ze strzałów rozlegają się za moimi plecami.

Pełen najgorszych przeczuć - a miałem ostatnio okazję doskonale dostroić się do tego typu odczuć - obracam się.

Na klejnoty Stwórcy.

Ulicą idą w naszym kierunku Nieugięci. Siostra Kala trzyma broń, która wygląda jak owoc związku między dezeleratorem a starodawną terrańską kuszą. Dociera do mnie, że tym właśnie załatwiła Auri. Jej zbiory rozproszyły się za nią, szczerzą zęby, warcząc, białe symbole zdobią ich czarne zbroje. Żaden z nich nie jest tak przerażający jak Saedii z zaostrozonymi kłami i czarnym pasem na oczach, który podkreśla ich blask i fiołkowy kolor. Syldranie strzelają do ochrony Dominium, huk dezeleratorów wypełnia powietrze. Znajdują sobie osłony wzdłuż arterii, kiedy kolejny śmigacz rozbija się na drodze w fontannie iskier i skręconego metalu.

Kulę się i liczę. Na razie nikt mnie jeszcze nie zauważył, ale moja drużyna znalazła się w krzyżowym ogniu z trzech różnych stron.

Naziemny ruch całkiem zamarł, w powietrzu rozpętał się chaos. Robi się cicho, kiedy wszyscy potrzebują chwili na przeładowanie. Cywile uciekają w panice, alarmy dzwonią, nad naszymi głowami już unosi się dron ochrony. Widzę, że Scarlett kuca obok Kala, szepcze mu

do ucha, a Ty rozgląda się wzdłuż ulicy, szuka drogi ucieczki. Szef ochrony Repozytury Dominium, wysoki Rikeryjczyk z dwoma zakrzywionymi rogami na czole, podnosi głos:

– Ochrona Szmaragdowego Miasta już nadlatuje! Niech wszyscy rzucą broń!

Nasza Pani Piękna i Bestia W Jednym całkowicie go ignoruje, wskazuje Kala i nadal miotającą się w konwulsjach Aurorę i zwraca się do Skeff Tannigut z minimum uprzejmości:

– Mnie interesuje tylko ta dwójka, mikrusie.

Chwileczkę... Teraz chcą też zgarnąć Auri?

Nasz Czołg podrywa się na równe nogi płynnym ruchem, krzywiąc potwornie twarz.

– Sprawiasz jej ból! Przestań, Saedii!

Nawet w takiej chwili muszę przyznać, że wszystkie te sprzączki i siateczka to jedyny w swoim rodzaju widok. Siostra rozdziawia usta na jego widok.

– Co ty masz na sobie, Kaliisie? – syczy, nie kryjąc zgrozy.

– Wypuść ją w tej chwili!

– Rzućcie broń! – ryczy znowu ochroniarz. – Mam na myśli wszystkich!

Podkradłem się nieco bliżej do drużyny i czaję się koło budynku niedaleko od głównego wyjścia, wciąż pisząc na unikronie jedną ręką. Panuje takie napięcie w związku z chwilowym trójstronnym zawieszeniem broni, a cywile tak panikują, że nikt mnie jeszcze nie zauważył. Widzę jednak poprzez dym i między szczątkami wozów, że Tyler ledwie zauważalnie kiwa do mnie głową. Bystry jest ten mój Alfa.

– Jeśli chcecie tych dwoje... – mówi przywódczyni grempów, kiwając głową w stronę Kala – ...to my weźmiemy resztę i rozstaniemy się, zanim sytuacja bardziej się skomplikuje. Zgoda?

– Słuchajcie! – woła ochroniarz Dominium. – To my reprezentujemy tu władzę. Wszyscy mają natychmiast się wycofać!

– Służymy Caersanowi Gwiazdobójcy – odzywa się Saedii. – Ta sprawa dotyczy tylko Nieugiętych. Nie wtykaj rogów w nasze sprawy, bo ci je obetnę.

I to wstrząsa gościem z Dominium. Większość rządów w Galaktyce boi się Gwiazdobójcy i nikt nie chce mu się narazić, a już na pewno nie jakiś koleś z ochrony, który tu tylko pracuje.

Ochroniarze Dominium patrzą po sobie niespokojnie i odkładają broń. Z pogardą na twarzy Saedii wychyla się zza osłony i otoczona przez swoich Nieugiętych towarzyszy podchodzi do Repozytury Dominium. Kala i pozostali nadal trzymają na muszce grempy – nie mają dokąd uciec. Moje myśli pędzą z prędkością roku świetlnego na sekundę. Zastanawiam się, jak mamy wykaraskać się z tego szamba, kiedy głos Zili rozlega się na łączu:

– Finian, nadal możesz odwrócić ich uwagę?

– Zila? – Prawie zapomniałem o jej istnieniu. – Gdzie jesteś?

– Czy możesz odwrócić ich uwagę?

– Jasne.

– To, proszę, aktywuj plan dokładnie dwanaście sekund po moim sygnale – odpowiada spokojna jak zawsze Zila. – Sprowadzam transport. Teraz!

Słyszę zbliżające się syreny – ochrona Szmaragdowego Miasta już nadlatuje. Przesuwam palcami po unikronie, wchodzę do systemów Repozytury Dominium z finezją metaforycznego ultrazaura, który wcześniej mnie stratował. Widzę spojrzenie Tylera – on też usłyszał wiado-



mość od Zili. Kiedy Saedii i jej grupa zbliżają się, aktywują gaśnice przeciwpożarowe umieszczone w markizie nad frontem Repozytury i cały świat znika w chmurze oslepiającej białej mgły.

Rozbrzmiewają krzyki i przekleństwa co najmniej pięciu ras, ale mimo to słyszę wycie syren i zgrzyt hamulców za sobą. Żołądek mi się zaciska, gdy ciężka powietrzna furgonetka wpada na skrzyżowanie, rozblyskując światłami z napisem „Patrol Ochrony Szmaragdowego Miasta” na boku. Jednakże zalewa mnie fala radości, gdy drzwi się otwierają i widzę znajomą postać siedzącą przy sterze.

– Zila?

Macha do mnie ze spokojną twarzą i beznamiętnym wzrokiem. Wypadam zza osłony i próbuję bieć. Niestety przy gwałtownym ruchu egzozkielet w końcu przestaje działać. Kolano ugina się pode mną, potykam się, z rozpędu lecę do przodu, wymachując na osłep rękami. I wtedy ktoś mnie łapie, czuję ból w ramieniu, gdy chwytą mnie za łokieć i prostuje do pionu.

To Tyler, a za nim Kal z bezwładną Auri na rękach, Scarlett ze skrzynką ze skrytki. Tuzin strzałów z dezelatorów śmiga przez mgłę z gaśnic za nami, trafiają w ścianę koło mojej głowy i krzeszą iskry. Oddycham szybko i z trudem, Tyler na wpół mnie niesie, gdy rzucamy się do furgonetki. Prawie wysuwam się z niej z powrotem, gdy Zila dodaje gazu i pojazd się przechyla. Bliźniaki Jones łapią mnie jednocześnie, Scarlett wciąga mnie z powrotem, a Tyler sięga za mnie, żeby zatrzaskać drzwi. Rozlega się salwa strzałów z dezelatorów i kolejny ładunek skrzęcej się czerwonej energii uderza o kadłub.

– Gaz do dechy, Zila! – krzyczy Tyler.

Cała nasza piątka wpada na ścianę, kiedy Zila wciska pedał gazu, ścina zakręt tak, jakby miała dość życia, i śmiga arterią. Tyler przeczołguje się obok mnie i siada na fotelu drugiego pilota.

– Ukradłaś radiowóz? – pyta.

– Kazałeś mi załatwić środek transportu – odpowiada pogodnie Zila i wyciąga rękę, żeby nagłośnić nasze syreny.

Pojazdy zjeżdżają nam z drogi, bo włączają się im autopiloty, ale zaraz za nami wracają na swoje pasy ruchu, blokując pościg. Zauważam, że Zila nosi długie złote kolczyki z małymi maseczkami bankowych rabusiów.

Chwileczkę, nie nosiła dziś rano grempów?

Wysokie budynki śmigają obok nas, kiedy pędzimy przez elegancką część miasta, złote i białe fasady mieszają się z czerwonymi i zielonymi strzyżonymi krzewami oraz ozdobnymi wejściami do sieci rur transportowych.

Na tyle furgonetki Scarlett i Kalowi udało się zdjąć skwierczące opaski z ciała Auri. Kiedy Kal odrzuca je kopniakiem w kąt, energia skwierczy i gaśnie. Auri nabiera powietrza, policzki ma mokre od łez. Teoretycznie to ja powinienem pomagać Zili przy wykonywaniu obowiązków oficera medycznego, więc, zgrzytając zębami, zaczynam czołgać się mimo jęków egzozkieletu i włączam funkcję medskanu na unikronie. Scarlett funduje mi niezapomniany widok w głąb przekłętego gorsetu, gdy pochyla się nad Auri, ale gwoli ścisłości zaznaczam, że bardzo staram się nie patrzeć.

- Z czego do niej strzelili? - dopytuje się Scarlett, patrząc na martwe więzy.

- To ulubiona broń Saedii - wyjaśnia Kal. Ma ponurą minę, gniewne oczy, kiedy podtrzymuje głowę Auri. - Agonizator.

- Co to takiego?

- To syldrańska broń - wyjaśniam, przypominając sobie informacje z zajęć inżynierii mechanicznej na Akademii. - Więzy podłączają się do układu nerwowego. To działa trochę jak dezelerator przełączony na pacyfikację, ale jest o nieeeebardziej bolesne.

- Nic jej nie będzie? - pyta Scarlett.

- Jest tylko oszołomiona - odpowiadam chwilę potem, unosząc medskaner. - Nie doznała żadnych trwałych uszkodzeń. Domyślałam się, że Nieugięci nie chcieli, żeby znowu załatwiła ich magią swojego mózgu. Szybko się uczą.

- Auroro? - pyta Kal, głaszcząc ją po policzku. - Słyszysz mnie?

- K-Kal? - szepcze.

Elfik wzdycha z ulgą, przestaje zaciskać zęby.

- Tak, be'shmai?

- Twoja siostra to wredna suka...

Wszyscy uśmiechamy się szeroko, słysząc żart, chociaż siedzimy w bagnie po uszy. Głos Zili z siedzenia kierowcy bardzo szybko gasi nasze uśmiechy:

- Nie chcę przeszkadzać, ale ktoś nas ściga.

- Kto? - pyta Kal, podnosząc głowę.

- Skeff Tannigut i jej wspólnicy, Nieugięci, ochrona Repozytury Dominium, organy ochrony porządku publicznego Szmaragdowego Miasta i funkcjonariusze, którzy kierowali poprzednio tym pojazdem.

- Hura? - rzucam niepewnie.

- Mamy pomysł, dokąd lecieć? - pyta Zila.

Scarlett grzebie w dekolcie gorsetu (Patrz przed siebie, de Seel, przed siebie!) i wyjmuje kartę dostępową.

- Czeka na nas statek przy Promenadzie Gamma.

Jej brat obraca się w fotelu i wytrzeszcza oczy.

- Co?!

- Nie uwierzysz, co znaleźliśmy w Repozyturze - odpowiada mu Scarlett. - Na razie jednak mówię, że czeka na nas statek i musimy stąd zmiatać.

- W takim razie lecimy na Promenadę Gamma - orzeka Tyler i skupia wzrok na drodze przed nami. - Ale nie możemy ściągnąć tam wszystkich za sobą. Musimy najpierw zgubić ogon.

Wiem, że tej chwili nie ja jeden myślę o Cat. Ta dziewczyna potrafiła prowadzić wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, potrafiła przelecieć przez ucho igielne z jedną ręką związaną na plecach. Ból uderza we mnie jak sierpowy.

Zachowywałam się wobec niej jak skończony dupek. Traktowała to poważnie? A może rozumiała, że po prostu jestem fizycznie niezdolny do szczerości?

Zamiast Zera mamy Złotego Chłopaka i Zilę na przednich siedzeniach. Ty jest przyzwoitym pilotem, ale do dzisiejszego dnia nie wiedziałem nawet, że Zila potrafi prowadzić. Zastanawiam się, czy Ty nie powinien przejąć sterów, kiedy Zila mruży oczy i patrzy prosto przed siebie.

- Zgubić ogon. - Kiwa głową. - Zrozumiano.

Ty unosi poblížnioną brew.

- Zila?

- Drużyno, proszę zapiąć pasy bezpieczeństwa - mówi spokojnie nasz Mózg.

\* \* \*

Furgonetka zatrzymuje się na Promenadzie Gamma z piskiem hamulców i w fontannie isker, jej turbiny wyją jak rigelscy śpiewacy operowi. Duszący czarny dym wylewa się z silnika, kilka pachółków drogowych utknęło nam we wlotach wentylacyjnych i ciągniemy za sobą wielki, dymiący transparent, na którym wypisano po chelleriańsku „Najlepszego z okazji 50-tki, Stary Pierniku”. Tyler obraca się, żeby sprawdzić, czy dojechaliśmy w jednym kawałku. W moim odczuciu nasz nieulekły przywódca jeszcze nigdy nie patrzył równie błędnym wzrokiem.

- Na oddech Stwórcy, Zilo! - mruży.

- Imponujący wyczyn - przytakuje mu Kal z głębokim szacunkiem.

Auri jęczy z fotela, zwieszając się w pasach.

- Powinnaś projektować kolejki górskie.

Silnik wydaje z siebie ostatnie, rozpaczliwe kaszlnięcie, po czym gaśnie i zdycha. Zila sięga do klamki i w tej samej chwili drzwi odpadają z głośnym brzękiem. Wszyscy siedzą na swoich miejscach przez długą chwilę, rozkoszując się uczuciem, że są żywi. Albo - jak to jest w moim przypadku - rozważając niektóre pochopne obietnice złożone Stwórcy w ciągu ostatniego kwadransu w zamian za ocalenie.

- Nie powinniśmy zwlekać - mówi Zila, patrząc na nas wyczekująco. - Z łatwością podążą naszym tropem.

- Rzeczywiście zostawiliśmy za sobą trochę bałaganu - przytakuje jej Scarlett.

Jedno po drugim ożywiamy się, wysiadamy z nieszczęsnego wozu, chwiejnie łapiemy równowagę. Staram się nie krzywić z bólu, kiedy moje stopy dotykają pokładu. Okazuje się, że Promenada Gamma obejmuje długoterminowe lądowiska w porcie Szmaragdowego Miasta - wiele stojących tu statków przygotowano na długi postój. Szukane przez nas miejsce znajduje się kawałek dalej, ale furgonetka nie drgnie ani na metr, więc musimy iść pieszo.

Chwieję się niemal równie mocno jak Auri, ale wlekę się za innymi w stronę lądowiska nr 9, odliczając statki i oceniając w myślach każdy z nich. Ten byłby niezły, ten byłby dobry, ten byłby rewelacyjny...

Mój wzrok pada na... coś, co na nas czeka parę statków dalej, i mimowolnie zwalniam. Liczę drugi raz, bo a nuż się mylę. Kiedy zatrzymujemy się przed tym czymś, patrzę w dół na numer namalowany ma pokładzie pod naszymi nogami.

- To jakiś żart – szepcze Tyler.

- Trzeba było zostać przy szambiarce – odpowiada cicho Scarlett. – Przynajmniej nie wyglądała jak ulepiona z gówna.

Zardzewiały wrak przed nami jest odrobinę większy od naszego starego Łuku i nadaje nowy sens słowom „brzydki jak czarna listopadowa noc”. Wygląda, jakby ktoś rozniósł na strzępy sześć albo siedem statków, przegrzebał szczątki w poszukiwaniu tych najmniej atrakcyjnych i pospawał je razem. Kiedyś był pomalowany na czerwono, ale teraz jest całkowicie pokryty rdzą, wypukłe okno kokpitu jest prawie nieprzezroczyste od brudu, czarne strugi spływają po bokach od każdej śruby i nitu. Zupełnie jakby ktoś, kto nienawidzi prędkości, wydajności i elegancji, usiadł, żeby zaprojektować statek swoich marzeń, i odwalił kawał rewelacyjnej roboty.

- Jesteśmy do końca pewni, że admirał stoi po naszej stronie? – pytam.

To nie może być statek, którego szukamy – nie ma mowy, żeby Adams obiecał nam pomóc i zostawił nam coś takiego.

- Może k-ktoś podmienił statki? – sugeruje Auri.

- Nie... – mówi cicho Tyler. – To ten.

Podchodzi, żeby otrzeć rdzę i brud na tabliczce z nazwą obok głównego włazu. Kiedy odsuwa brudną rękę, widzimy imię statku wymalowane na metalu.

ZERO

Jakim cudem statek został nazwany na jej cześć?

Tyler przyciska rękę do sensora przy włazie. Już mam mu powiedzieć, że ten rupiec ma w sobie mniej życia niż mój czwarty pradziadek – zmarł przed moim urodzeniem – kiedy drzwi odsuwają się bezszelestnie.

Nasz Alfa zerka na nas, a potem rozgląda się po porcie. Wiem, że nie zgubiliśmy naszych przesładowców na zbyt długo, więc nie ma czasu do stracenia. I chociaż zapowiada się to straszliwie, wyniesienie tego wraka na orbitę może wcale nie być najgorszą rzeczą tego dnia. Dron ochrony już unosi się nad nami i niewątpliwie mnóstwo innych potwornych możliwości nadciąga ku nam właśnie w tej chwili.

Zatem, kiedy Złoty Chłopak wchodzi przez właz do ciemnego wnętrza, ruszamy za nim. Wstrzymuję oddech, ale bardziej z obawy przed toksyczną pleśnią niż z napięcia. Z przyjemnym szumem wewnętrzne światła ożywają.

I nagle... jakbyśmy znaleźli się w całkiem innej rzeczywistości.

Wnętrze to nieskazitelny, lśniący świat nowoczesnej techniki, który przyciąga moją uwagę niemal w taki sam sposób jak Scarlett Jones.

- Rety – mruczy Auri.

- Dobrze powiedziane, Pasażerko na Gapę – mruczę w odpowiedzi.

Wielki Stwórco, to jest... niewiarygodne.

Wszystko jest pięknie zaprojektowane, od kokpitu po konsole ciągnące się przez całą długość głównej kabiny. Komplet ekranów włącza się, przekazując najróżniejsze obrazy spoza statku, począwszy od transmisji z kamer rejestrujących ruch uliczny Szmaragdowego Miasta, a skończywszy na wiadomościach z dzienników w całej Galaktyce. Jeśli zewnątrz statku

zaprojektowano tak, żeby wyglądało najbrzydziej, jak się da, to wewnątrz reprezentuje skrajnie inną filozofię. Jest eleganckie, białe i ultranowoczesne. Ucieleśnienie najskrzytszych fantazji Machera.

Tyler już siada w fotelu pilota i zaczyna przeprowadzać testy przed startem.

– Zapinajcie pasy – mówi. – Zmiatajmy stąd, nim się zjawia.

Za nim ciągnie się przez pół głównej kabiny długa, elegancka konsola z trzema fotelami po obu stronach. Tylna część pomieszczenia ma pulpity z większym przystupem i większymi ekranami, stoją tam kanapy, są drzwi, które prowadzą do magazynu, sypialni i kambuza.

Scarlett dotyka mojej ręki i kiwa głową, wskazując fotel przy drugim końcu konsoli. Zdaje sobie sprawę, że został zaprojektowany specjalnie dla mnie. Są tam porty, do których mogę się podpiąć, a całość ma kształt dostosowany do mojego egzoszkieletu. Kiedy się rozglądam, widzę, że wszystkie fotele zostały tak dopasowane – siedzenie Kala jest większe, te dla Auri i Zili są mniejsze.

Patrzymy po sobie ze Scarlett zdumieni i siadamy na wyznaczonych miejscach. Pasy automatycznie zapinają się na nas i fotele obracają się do przodu przed startem.

– Nadciąga nieprzyjaciel – melduje Kal.

Jego palce tańczą po pulpicie sterowniczym, wyświetlając obraz z jednej z zewnętrznych kamer nad naszymi głowami. Widzę, że ma rację – Nieugięci zjawili się pierwsi, biegną przez port w naszym kierunku, spychając na bok wszystkich, którzy staną im na drodze. Widzę za nimi ochronę Szmaragdowego Miasta.

Tyler nadal przeprowadza test przed startem, pracuje teraz z prędkością światła, pomrukując do siebie, gdy włącza układ sterowania. Z brzękiem *Zero* odcumowuje i wznosi się gładko w powietrze z cichym pomrukiem systemu napędowego.

Saedii jednakże znajduje się już tylko kilka kroków od nas i przyspiesza.

Czarne włosy łopoczą wokół jej twarzy poruszone podmuchem wzbudzonego przez nasz statek, a jej twarz jest zimna, piękna i przerażająca. Widzę, że dobiega do krawędzi lądowiska dwie chwile po tym, jak się wzbiliśmy, i nawet nie patrząc w dół, skacze ku nam.

Patrzymy na obraz z kamer jak zaczarowani, gdy Saedii zaczepia się o zamknięty włącznikami i czubkami butów, wali pięściami w metal, aż sypie się rdza. Nie mogę oderwać wzroku, gapię się na drzwi, na poły spodziewając się, że zaraz się przez nie przedrze.

Kal otwiera usta i chociaż nic nie mówi, wiem, co myśli. Czeka ją bardzo długi lot w dół, w chlorową burzę pod miastem, gdzie szybko zginie z powodu ciśnienia i temperatury. Wbrew wszystkiemu jestem pewien, że nie życzy siostrze śmierci.

Na szczęście Tyler nie jest takim mordercą jak ona. Ostrożnie przechyła stery, zatacza kółko nad portem, gdy buty Saedii ześlizgują się i teraz wisi tylko na samych palcach przez jedną, boleśnie długą chwilę, a potem z przekleństwem, które prawie wytapia dziurę w kadłubie, musi się puścić. Spada do portu i ląduje wśród pozostałych Syldran, którzy rozbiegają się jak spłoszone kazary.

– Nadlatuje ochrona – melduje Zila.

Bez słowa Tyler wyrównuje kurs, przelatuje przez zjonizowaną kopułę prosto w szalejącą za nią atmosferę. Nasz nowy statek prawie nie zauważa turbulencji, gdy w nie wpadamy,

i sunie tak gładko, jak nie sądziłem, że jest to możliwe.

- To cacko to prawdziwa bestia - wzdycham.

- Pa, pa Szmaragdowe Miasto - mruczy Scarlett. - Nie będę za tobą tęsknić.

Auri rozgląda się z uśmiechem.

- Udało nam się.

- Tak. - Tyler kiwa głową. - Ale nadal długa droga przed nami.

Obraca się w fotelu i patrząc na mnie, mówi rzeczowym tonem:

- Legionisto de Seel?

- Tak, dowódco?

- Wprowadź te współrzędne. Poszukajmy *Hadfielda*.

# CZĘŚĆ 2



**WIĘZY KRWI**

### **Temat: Galaktyczne rasy**

► Sprzymierzone

▼ Betraskanie

Mieszkańcy Trasku to bladokóra rasa o fizjologii zdumiewająco podobnej do ludzkiej. Z powodu katastrofalnej pośepności środowiska na ich planecie tysiące lat temu Betraskanie stworzyli podziemną cywilizację i całkowicie dostosowali się do życia pod ziemią.

Ich skóra nie zawiera melaniny, stąd charakteryzują się błądą, bezkrwistą cerą. Oczy mają dostosowane do małej ilości światła, dlatego na powierzchni Betraskanie noszą ochronne szkła kontaktowe.

Spółczesność betraskańskie opiera się na niewiarygodnie skomplikowanych strukturach rodzinnych zwanych klanami i jeszcze bardziej skomplikowanej sieci zobowiązań zwanych Przysługami.

Nikt poza Traskiem nawet nie udaje, że rozumie te zależności, ale jedno jest jasne: dla Betraskanina nie ma niczego ważniejszego od rodziny.



Drzwi do naszych kwater wychodzą na błyszczący biały korytarz, automatyczne światła powoli włączają się przede mną. Niektóre drzwi są nieoznaczone, ale na drugich po lewej widnieje namalowany niebieską farbą wizerunek żuka khyshakk – to niezłomny symbol mojego ludu i najstarszy gatunek nadal żyjący na naszej planecie.

Przesuwam palcami po panelu wejściowym, a kiedy drzwi odsuwają się cicho, widzę, dlaczego ten pokój jest przeznaczony dla mnie. Zamiast czystych, jasnych kolorów, które zdobią resztę statku, tu ściany są ciemnoszare, budząc wrażenie, że znajduję się pod ziemią. Rośnie tu nawet na ścianie na prawo ode mnie pnącze flic. Na jej widok powracam myślami do mieszkania kuzyna Dariela na Statko-Świecie, a potem do domu moich rodziców na Trasku. Kiedy drzwi zamykają się za mną z cichym szumem, liście pnącza ożywają i zaczynają świecić się na tyle delikatnie, że mógłbym zdjąć szkła kontaktowe, gdybym zechciał.

Tak zajmuje mnie odpoczywanie w ciemności i oddychanie chłodnym powietrzem, że mija chwila, nim zauważam brak łóżka. Serce mi bije szybko – proszę-proszę-proszę – kiedy odwracam się do drzwi.

Jest! Przyciskam guzik i cichy głos oznajmia po terrańsku:

– Redukcja grawitacji za trzydzieści sekund. Proszę zabezpieczyć wszelkie płyny.

Odliczam sekundy, zapiera mi dech z napięcia i nagle ciężar, który przygniatał mnie od tygodni, powoli słabnie, aż wystarczy ledwie wyczuwalny ruch stopą, bym oderwał się od podłogi. To jest jak wejście do chłodnej wody po skwarным dniu. Całe napięcie uchodzi z mojego ciała i po raz pierwszy od długiego czasu nie czuję bólu i nie muszę wysilać się tylko po to, żeby utrzymać się w pionie.

Miałem podobną kwaterę jako dzieciak, gdy mieszkałem u dziadków i potem, w Akademii Aurory. Miano zainstalować mi taką na Łuku, ale oczywiście nigdy nie wróciliśmy z naszej pierwszej misji. Obniżona grawitacja oznacza, że będę mógł zdjąć egzoszkielet, żeby go naprawić, co ogromnie ułatwi zadanie. Przy tak bardzo zmniejszonym ciężarze, jestem w stanie manipulować przedmiotami prawie bez żadnego wysiłku. Rozglądam się uważniej i widzę, że na lewej ścianie wisi mnóstwo narzędzi – wszystko, czego mógłbym chcieć lub potrzebować.

Prawie płaczę z ulgi. Nareszcie znalazłem wyjście. Od Statko-Świata udawałem, że wszystko jest w porządku, podczas gdy stan mojego ciała i egzoszkieletu systematycznie się pogarszał. Bałem się chwili, kiedy nasz Alfa nie będzie mógł dłużej ignorować mojego stanu. Teraz wreszcie będę mógł coś na to poradzić.

Głośnik w suficie znowu odzywa się cicho i tym razem głos należy do Tylera.

– Kiedy już wszyscy się ogarniecie, spotkajmy się w głównej kabynie. Czas otworzyć puszkę Pandory.

Kiedy idę korytarzem i wszystkie moje dolegliwości z powrotem wracają, zastanawiam się, kim jest Pandora i dlaczego mamy jej puszkę. Zero leci teraz spokojnie na autopilocie, bo dostatecznie oddaliliśmy się od Szmaragdowego Miasta. Lecimy w stronę Bramy Fałdy i według odliczania nad główną konsolą powinniśmy ją pokonać za jakąś godzinę. Koniczynka siedzi nad fotelem pilota. Wędruję wzrokiem do wypchanego smoka, kiedy siadam na swoim miejscu. Jest tu sześć foteli, na rufie jest sześć kajut. To w połączeniu z imieniem statku jasno wskazuje, że ktokolwiek przygotował to dla nas, wiedział, że Cat nie będzie już niczego potrzebować.

Pozostali wracają po kolei. Kal i Auri najwyraźniej znaleźli izbę chorych, bo nasza Pasażerka na Gapę wygląda już nieco lepiej po bliskim spotkaniu z agonizatorem, a Scar chrupie ciasteczka, co sugeruje z kolei, że znalazła kambuz.

Zila zerka na stosik w rękę Scarlett.

– Ta ilość ciastek to znacznie więcej kalorii, niż wynosi twoje dzienne zapotrzebowanie.

Scarlett klepie ją w tyłek.

– Po prostu będzie więcej Scarlett do kochania, Zee.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Zila zaciska usta, zastanawia się, a potem sięga po ciastko.

Szybko rozsiadamy się i pochylamy wyczekująco. Wszyscy chcą wiedzieć, co jest w skrzynce. Tyler odwraca się na fotelu od przednich ekranów, żeby spojrzeć na nas.

– W porządku – mówi. – Scar, Kal, zobaczmy, co wyjęliście z banku.

Scarlett strzepuje okruszki, wstaje i otwiera skrzynkę.

– No dobrze... Po pierwsze, jest tu kilka paczuszek, których nie mieliśmy czasu rozpakować. Są podpisane naszymi imionami.

Wręcza małą paczuszkę Zili, która zdejmuje niebieskie opakowanie i wyciąga rękę. Na kawałku materiału leżą złote kółka, takie jak te, które zwykle nosi. Tyle że do tych doczepiono ptaki.

– Jastrzębie – orzeka Auri po bliższym przyjrzeniu.

– Bardzo ładne – mruczy Zila. – Ciekawe, skąd wiedzieli, że mi się spodobają.

Następna, większa paczka jest dla naszego nieulekłego przywódcy. Złoty Chłopak zdejmuje opakowanie z pełną powagą i marszczy czoło na widok pary butów. Są najwycyżajniejsze pod słońcem: czarne, błyszczące, z głębokim bieżnikiem na podeszwach.

– Coś jest nie tak z tymi, które masz? – pyta siostra.

– Nie – odpowiada i patrzy skonsternowany na stopy. – Oczywiście nie miałem okazji wypolerować ich przez ostatnie dwa dni...

– O, wielki Stwórco. – Scarlett ujmuje jego dłoń. – I jak się trzymasz?

– Było naprawdę ciężko.

Zila przygląda się butom i w końcu mówi:

- Sugeruję, żebyś je włożył, dowódcu. Tak jak zauważyła Scarlett, ktokolwiek zostawił to dla nas, dobrze mnie zna. Powinniśmy uznać, że zna także ciebie i uważa, że te buty są konieczne. Na razie nasi dobroczyńcy wykazali, że leży im na sercu nasze dobro.

Tyler zastanawia się, wzrusza ramionami i pochyla się, żeby zmienić stare buty na nowe.

Teraz swoją paczkę otwiera Scarlett. Jest mniej więcej tej samej wielkości co paczuszka dla Zili, a w niebieskim opakowaniu znajduje się okrągły srebrny medalion na łańcuszku. Po jednej stronie wypisano ozdobnymi literami słowa „Trzymaj się planu B”.

- „Trzymaj się planu B”? - dziwi się Tyler.

- To zwykle dobry pomysł, gdy w grę wchodzi twoje plany, mój drogi bracie.

- Ranisz mnie, Scar. Ranisz mnie do głębi.

Scarlett trzyma łańcuszek w palcach, pozwalając medalionowi się obracać, i przygląda mu się uważnie. Po drugiej stronie wstawiono nieregularny kawałek diamentu. Światła kabiny rozszczepiają się na jego powierzchni, drobne tęcze tańczą w oczach Scar.

- Ładny - mówię.

Scarlett wzrusza ramionami.

- Chyba rzeczywiście diamenty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny.

- Tak? - mówi Kal, zerkając na Aurorę.

Nikt nie jest w stanie podzielić się żadną mądrością w tej kwestii, więc po chwili Scarlett zakłada łańcuszek przez głowę i wsuwa medalik pod mundur.

Paczuszka dla Kala też jest mała, a kiedy ją otwiera, widzimy cienkie, srebrne, prostokątne pudełeczko. Ma zawias i wygląda jak coś, co należy otworzyć, ale kiedy Kal próbuje podważyć rzekome wieczko, nawet nie drgnie.

- Co to jest? - pytam, wyciągając szyję.

Podjeźrzałbym, że to jakieś terrańskie albo syldrańskie urządzenie, ale napotykam tylko zdumione spojrzenia. Wszyscy kręcą głowami. Auri sięga w końcu do kieszeni, wyjmując Magellana i trzyma go nad małym metalowym pudełeczkiem na dłoni Kala. Nie mogę uwierzyć, że sam teraz nazywam jej unikron tym imieniem, ale jego zaprogramowana osobowość zdecydowanie... odróżnia go od wszystkich standardowych unikronów.

- Magellanie? - pyta Auri.

- CZEŚĆ! STĘSKNIŁEM SIĘ ZA TWOJĄ BUZIĄ!

- Wzajemnie. Możesz mi powiedzieć, co to jest?

- Z. NAJWIĘKSZĄ. PRZYJEMNOŚCIĄ! - Unikron wyświetla linię zielonego światła, która przesuwa się po przedmiocie, a potem wydaje sygnał. - TO JEST TERRAŃSKI ARTEFAKT POPRZEDZAJĄCY CZASY PODRÓŻY MIĘDZYGWIEZDNYCH, SZEFOWO! JEST PRZEZNACZONY DO PRZECHOWYWANIA WIZYTÓWEK LUB CYGARETEK!

Większość twarzy wokół mnie wyraża konsternację.

- No dobrze, wiem co to jest wizytówka - mówi Auri. - To kawałek papieru z danymi na twój temat. Coś takiego daje się ludziom, żeby mogli się z tobą skontaktować.

Marszczę brwi.

- A nie wystarczy stuknąć się unikronem?

- Nie było unikronów za moich czasów.

- MROczne CZASY, W RZECZY SAMEJ! - wtrąca się Magellan.

Kal marszczy brwi.

- Tyle że ja nie posiadam żadnych wizytówek - oznajmia z powagą, jakby to stanowiło jakiś problem.

Auri zerka na Magellana.

- Magellanie, zdefiniuj cygaretkę.

- NIC NIE SPRAWI MI WIĘKSZEJ RADOŚCI, SZEFOWO! CYGARETKA TO TAKIE MAŁE CYGARO. -

Urywa, napawa się naszą konsternacją i milczeniem, po czym wyjaśnia dalej. - ROŚLINA ZWANA TYTONIEM ZOSTAJE ZWINIĘTA W CIENIUTKIM KAWAŁKU PAPIERU, A POTEM SIĘ JĄ PODPALA. TERRANIE WDYCHALI JEJ DYM, TRAKTUJĄC TO JAKO ŚRODEK STYMULUJĄCY!

- To brzmi jak zagrożenie dla zdrowia - uznaje Zila.

- ZGADZA SIĘ! PRAKTYKA TA WYSZŁA Z MODY W DWUDZIESTYM DRUGIM WIEKU, KIEDY TERRANIE ODKRYLI W DWUDZIESTYM, ŻE PALENIE ZABIJA!

- Potrzebowali dwustu lat, żeby przestać? - Nie posiadam się ze zdumienia.

- PRAWDA, ŻE TO KOMPLETNE SZALEŃSTWO? - mówi Magellan. - SZCZERZE PYTAM, CZY NIE MASZ WRAŻENIA, ŻE TAKIEMU GATUNKOWI PRZYDAŁBY SIĘ JAKIŚ ŻYCZLIWY PAN W POSTACI MASZYNY?

- Tryb cichy - mówi Tyler.

- OJEJ.

Patrzmy po sobie zagubieni, zastanawiając się nad pudełkiem w rękę Kala. Nasz Czołg przygląda się metalowemu przedmiotowi raz jeszcze, a potem chowa go w kieszeni na piersi munduru. Porusza przy tym ciałem w sposób, który tak bardzo kojarzy się ze wzruszeniem ramionami, jak to tylko możliwe w przypadku naszego najbardziej dystygowanego członka drużyny.

Nadszedł czas na mój prezent. Nie będę kłamać: nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co to jest. Jednakże moje podniecenie gaśnie, kiedy rozwijam papier i odkrywam mały, prosty metalowy cylinder. Trochę przypomina rysik cyfrowy, ale nie jest pod żadnym względem elektroniczny.

- Do czego to służy? - pytam. - To jakieś fajne narzędzie?

Auri sięga, żeby wziąć ode mnie przedmiot, przyciska kciukiem jeden koniec i rozlega się ciche pstryknięcie. Cieniutki czubek wysuwa się z drugiego końca.

- To długopis - wyjaśnia, oddając mi przedmiot.

- Co takiego?

- Przyrząd do pisania z moich czasów - wyjaśnia.

- Czuję się oszukany - mówię jej. - Nie potrzebuję staroświeckiego przyrządu do pisania.

- Wymienisz się na moje buty? - proponuje Tyler.

- Albo moje pudełko do palenia, które się nie otwiera? - odzywa się Kal.

Przyciskam kciukiem jeden koniec tak jak wcześniej Auri i koniuszek się chowa. Muszę przyznać, że pstryknięcie jest odrobinę satysfakcjonujące. Scarlett znowu sięga do pudełka i wyjmuje paczkę opisaną numerem naszej drużyny, 312, która z kolei zawiera cały stos czerwonych i złotych kredytów Dominium.

- Niestety nie ma niczego dla Auri – mówi.

- Ja już dostałam swój prezent – odpowiada zwyczajnie Aurora.

- Tak? – dziwi się Tyler.

- Jasne. Was.

Rozgląda się po drużynie 312 i się krzywi.

- Ja piórkuję, to zabrzmiało nieznacznie sentymentalnie, co?

- Niewybaczalnie. – Scar uśmiecha się szeroko, rzucając kredyty na konsolę. – Poza dokumentami kierującymi nas do statku i kartami dostępowymi, nie ma już nic więcej.

- Przynajmniej nie zabraknie nam funduszy. – Kal kiwa głową.

- To nie jest żeton kredytu – odzywa się Zila, wyciągając szton z turkusowym paskiem spod czerwonych i złotych. Podaje go mnie, bo siedzę obok portu odczytu danych.

Waham się chwilę, bo mam zasadę – nigdy nie wkładam do sprzętu niczego, co dostałem od nieznanego, no, chyba że... sami rozumiecie, całe to zdanie należy rozumieć metaforycznie. Gdyby jednak nasi dobroczyńcy chcieli nas załatwić, to mieli do tego więcej niż jedną okazję. Dlatego, krzywiąc się, wsuwam nośnik do portu.

Główny ekran ożywa i wita nas obraz admirała Adamsa i nadkomendantki klanów de Stoy. Są w galowych mundurach, emblemat Legionu Aurory zdobi ich ramiona. Adams unosi cybernetyczną dłoń w geście powitania, a de Stoy kiwa głową do kamery; z jej czarnych oczu nie da się niczego wyczytać, tak jak z oczu wszystkich Betraskan.

- Witajcie, legionieści – oznajmia z powagą Adams. – Po pierwsze, dobra robota: rozszyfrowaliście nasz kod. Nadkomendantka de Stoy i ja żałujemy, że nie możemy przekazać instrukcji osobiście, ale jeśli oglądacie tę wiadomość, to mamy nadzieję, że przebywacie na pokładzie Zera i lećcie w kierunku konwoju Hefajstosa.

Urywa, co jest bardzo pomocne, bo mamy czas na chórálne:

- Coooo?

Zanim powszechne niedowierzanie i przerażenie wymknie się spod kontroli, de Stoy podejmuje wątek:

- To niewątpliwie będzie dla was dziwne, legionieści. Wiemy, że musicie mieć wiele palących pytań. Niestety z powodów, które pewnego dnia staną się jasne, nadal nie możemy ujawnić wielu rzeczy związanych z tą sytuacją. Przykro nam z powodu ciężkich chwil, jakie was w związku z tym czekają, ale musicie wiedzieć chociaż tyle. – Rozgląda się po mostku, jakby naprawdę mogła nas wszystkich widzieć. – Wszelkie nasze wysiłki mają na celu wspieranie was. Wiemy, że podjęliście się sprawy Eshvarenów. Wiemy, że jesteście naszą ostatnią nadzieją w starciu z Ra'haam.

- Nie możemy publicznie ogłosić naszego poparcia – odzywa się Adams. – Co więcej, musimy sprawiać wrażenie, jakby Legion Aurory podjął wszelkie działania przeciwko wam. Ra'haam ma swoich agentów w Globalnej Agencji Wywiadowczej i możliwe, że także w innych gwiazdnych rządach.

Zerkam na Auri, która ma twarz jak z kamienia. Wiem, że tak jak ja widzi oczami wyobraźni swojego ojca w białym mundurze princepsa GAW, który ją nawołuje, zachęca, żeby dołączyła do Ra'haam.

- Weźcie te dary i miejcie je przy sobie przez cały czas - mówi Adams. - Wiedźcie, że zmierzacie właściwą ścieżką.

- Wiedźcie, że w was wierzymy - dodaje de Stoy. - I musicie wierzyć w siebie nawzajem. Jesteśmy Legionem. Jesteśmy światłem. Płonącym jasno pośród nocy.

Adams wpatruje się w kamerę i powtarza słowa, które powiedział, kiedy opuszczaliśmy Akademię Aurory, nie mając najmniejszego pojęcia o tym, co nas czeka.

- Musicie wierzyć - mówi po prostu.

I na tym wiadomość się kończy.

Milczymy przez długą chwilę. Próbujemy ogarnąć to, co się właśnie wydarzyło. Moje myśli śmigają z prędkością lat świetlnych na sekundę, świadomość rzeczywistych rozmiarów zaistniałych okoliczności dzwoni mi w czaszce i grozi wysadzeniem mózgu.

Nasi dowódcy wiedzą o Eshvarenach. Wiedzą o Ra'haam. Wiedzą, przeciwko czemu stoimy i jakimś cudem, w jakiś sposób, chociaż to wydaje się niemożliwe, wiedzieli, co nas czeka - wiedzieli, że znajdziemy Auri, stracimy Cat, wiedzieli o naszej nowej karierze w charakterze międzygwiazdnych poszukiwanych przestępców - zanim cokolwiek z tego się wydarzyło. Ta wiadomość czekała na nas w skarbcu całe lata, zanim ktokolwiek z nas choćby wstąpił do Akademii Aurory. Na długo przed tym, zanim zostaliśmy legionistami.

To Aurora przerywa w końcu milczenie.

- Nie znam za dobrze waszych szefów, ale jeśli wiedzieli, że to nas czeka, byłoby miło, gdyby nas uprzedzili.

Scarlett zerka na smoka siedzącego nad pustym siedzeniem pilota. Wszystkie kolory zniknęły z jej twarzy i głosu:

- Nawet mi nie mów.

Kal sięga ostrożnie po dłoń Auri.

- Nie trać wiary, be'shmai. Jak dotąd Adams i de Stoy robili, co w ich mocy. Musimy wierzyć, że ukrywając przed nami informacje, działają w naszym najlepszym interesie.

Oczywiście jemu, jak to Syldraninowi, taka sytuacja trafia w smak - pełna tajemnic i pseudoprzepowiedni. Nic dziwnego, że Kal natychmiast to lyknał. Widzę jednak, jak Tyler patrzy na mnie, świdruje mnie tymi wielkimi niebieskimi ślepiami.

- Musimy wierzyć - mówi cicho.

Jesteśmy jedynymi dwiema religijnymi osobami na statku, Tyler i ja, dlatego wiem, że czuje to samo co ja - że Stwórca maczał w tym jakoś ręce. To właśnie do wiary Tylera odwoływał się Adams, gdy wypowiedział te słowa. Jednak potwornie trudno nie tracić wiary, kiedy już tak wiele nas kosztowała. Kiedy ludzie, na których nam zależy, uznają nas za zdrajców. Kiedy Galaktyka, o której ocalenie walczyliśmy, sprzymierza się przeciwko nam.

Kiedy ceną jest pusty fotel naszego pilota.

- Cóż, plus tego jest taki, że wiemy, że bez wątplenia lecimy we właściwym kierunku - odzywa się z przesadną wesołością Scarlett.

Zila kiwa głową.

- Czarna skrzyznka z *Hadfielda* to nasz następny cel.

To oświadczenie przełamuje poważny nastrój, jaki nas ogarnął. Tyler kiwa głową i tym jednym szybkim ruchem powraca znowu do roli Złotego Chłopaka. Prostuje się i odzywa:

– Dobrze więc. Mieliśmy za sobą niezły dzień. Zjedzmy coś i opracujmy strategię, żebyśmy mogli po przekroczeniu Bramy Fałdy chwilę odpocząć.

Pewność w jego głosie pobudza resztę drużyny do działania, więc wszyscy biorą się do pracy – odwracają się do swoich ekranów, zaczynają myszkować w szafkach z zapasami, przygotowują się do wejścia do Fałdy. Zerkam na mój podarunek leżący przede mną na konsoli – nudny i metalowy, równie użyteczny jak skafander kosmiczny bez zapasu tlenu.

Z westchnieniem chowam go do górnej kieszeni.

– Mam tylko nadzieję, że wiemy, co robimy.

\* \* \*

Kilka godzin później mam wachtę. Siedzę z nogami opartymi o centralną konsolę, żeby zmniejszyć nieco klucie w krzyżu. Będziemy dość długo lecieć przez Fałdę, zanim dotrzemy do bramy znajdującej się najbliższej konwoju, a dłuższy pobyt w Fałdzie może pociągać za sobą najróżniejsze rzeczy: od paranoi po dreszcze albo psychozę, ale wszyscy jesteśmy dostatecznie młodzi, żeby taki skok nam nie zaszkodził.

Kiedy skończymy dwadzieścia pięć lat, równanie bardzo się zmieni. W tym wieku nie można podróżować zbyt długo przez Fałdę bez kriostazy. Dlatego do Legionu Aurory wstępuję się w tak młodym wieku. Kończymy naukę około osiemnastki i mamy siedem lat, zanim większość z nas zacznie pracować za biurkiem.

Czasem zastanawiam się, czy przez to, jak przeciążam swoje ciało, zostanie mi mniej czasu, zanim Fałda zacznie na mnie wpływać. Jednakże z drugiej strony, hej, jak mawia Scarlett, nie ma co się zamartwiać: muszę dożyć odpowiedniego wieku, żeby taki problem się pojawił. A szanse na to są niewielkie.

Gdyby Ty wiedział, jak się miewa mój egzozskielet, w ogóle nie wyznaczyłby mi wachty. Wciąż jednak nie zorientował się do końca, w jak fatalnym jest stanie, a Scar uszanowała moją prośbę, żeby zachować tę informację w sekrecie. Zresztą wkrótce to przestanie stanowić problem – mam w kajucie wszystko, czego mi trzeba do naprawy. A kiedy mój egzozskielet zostanie już wykalibrowany i zacznie prawidłowo działać, zmniejszy obciążenie dla mięśni, dzięki czemu one także zaczną się goić.

Zerkam na skanery po raz piąty w ciągu pięciu minut. Trzymamy się kursu, nikt nas nie ściga, obraz na ekranach zredukował się do skontrastowanej bieli i czerni jak wszystko inne w Fałdzie. Czerni i biel to nic nadzwyczajnego dla Betraskan – życie pod ziemią nawet w najlepszym wypadku jest niezbyt kolorowe. Czasem jednak zastanawiam się, czy mojej drużynie przeszkadza ta monochromia.

Słyszę ciche kroki, podnoszę wzrok znad ekranów i widzę Auri wychodzącą z korytarza w swetrze i w spodniach od piżamy. Musiała zajrzeć do supereleganckiego kambuza na rufie, bo trzyma dwa parujące kubki.

– Cześć Pasażerko na Gapę. Nie możesz spać?

Dygoce lekko w odpowiedzi.

- Koszmary.

Krzywię się współczująco i zdejmuję nogi z konsoli, żeby wziąć od Auri kubek. To baris, ulubiony napitek Betraskan, którego nikt poza nami nie pija w Galaktyce.

- Rety - mrużę. - Naprawdę zaopatrzyli kambuz we wszystko.

- Nawet nie mów - przytakuje mi Auri. - Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zobaczę rumianek.

Pochylam się, żeby spojrzeć na jej napar, a ona podsuwa mi kubek. Zaciągam się parą.

- Pachnie kwiatkami - uznaje.

- To jedna z moich ulubionych rzeczy. Zwykle pija się rumianek przed snem. Pomaga się uspokoić.

- Rumianek - powtarzam to słowo, żeby je zapamiętać, na wypadek gdybym miał to kiedyś dla niej zaparzyć. - Chcesz pogadać o tym śnie? Brzemie, którym się dzielisz, to lżejsze brzemie.

Auri się uśmiecha.

- To jakaś starożytna betraskańska mądrość?

Kręcę głową.

- Przeczytałem to na podkładce pod kufel w jakimś barze z golizną. Ale wiesz, czasem sny wydają się mniej straszne, gdy opowiesz je na głos.

Mówiąc te słowa, myślę o snach, jakie pewnie ma. O tym, w którym ja zobaczyłem Trask pokryty niebieskim śniegiem - pyłkiem Ra'haam, jak się okazało. Taki los czeka moją ojczystą planetę, jeśli nie powstrzymamy rozprzestrzeniania się Ra'haam. Taki los czeka całą Galaktykę.

Auri zamyka oczy i wypija łyk rumianku.

- Łatwo się domyślić, co mi się śniło - mówi cicho. - Tyle że tym razem to nie była Octavia. Za dużo księżyców. I niebo było zieleńsze. Za to rośliny wyglądały tak samo. Były jedynie większe i silniejsze. Próbowałam przyjrzeć się lepiej, ale pyłek unosił się zbyt gęsto, żeby dało się coś zobaczyć. Myślę, że widziałam... pączki. Na roślinach.

Lodowaty palec przesuwa mi się po kręgosłupie.

- Myślę, że szykowały się do rozkwitnięcia i sygnięcia zarodnikami - szepcze Auri.

Nie bardzo wiem, jak na to zareagować. Zastanawiam się, jak bym się czuł na jej miejscu: gdyby los całej Galaktyki spoczywał na moich barkach, a nie na jej. Próbuję wymyślić, jak mam powiedzieć, że moim zdaniem jest niesamowicie dzielna, że większość ludzi po prostu rozpadłaby się na kawałki, gdyby pożyła jej życiem przez ostatnie tygodnie. Jednakże nigdy nie byłam szczególnie biegły w obsłudze... ludzi. Nigdy nie wiem, co powiedzieć.

Na szczęście ratują mnie wtedy Scar i Kal. Oboje wyglądają na zaspanych, ale Kal zdążył wciągnąć mundur, a jego włosy jak zawsze prezentują się nienagannie. Jedwabny szlafrok Scar zachęca mnie do wyobrażania sobie, co pod nim nosi. Staram się ze wszystkich sił tego nie robić, ale z mieszanym skutkiem.

- Cześć - mówi Auri, uśmiechając się do Kala.

- Cześć - witam ich tonem radosnego kretyna. - Też mieliście koszmary?

- Nie wiem, co mnie obudziło - przyznaje Scarlett. - Po prostu ogarnął mnie...



- ...niepokój - dokończył za nią Kal.

Zastanawiam się nad tą nerwowością. Wiem, że matka Kala była empatką, a jeśli jego siostra odziedziczyła część jej daru, to może on też? Może wychwytał koszmar Auri? Co jednak nie wyjaśnia, dlaczego Scarlett też nie może spać...

Cisza się przeciąga. Aurora pozwala, żeby jej opowieść o śnie oddaliła się, jakby znikwała w tylnym lusterku. Kal i Scarlett szukają lepszego powodu, dla którego przyszli na mostek.

Wesoło tu jak podczas ceremonii pożegnalnej trójduszy, myślę sobie.

- W porządku - odzywam się. - Schodzę z wachty dopiero za pół godziny, a skoro nikt nie śpi, to może nauczymy Pasażerkę na Gapę grać we frenneta?

- Słyszałem o tej grze, ale nie znam jej zasad - odpowiada Kal.

Myślę chwilę o tym, że żaden Betraskanin w Akademii Aurory nie pomyślałby nawet, żeby zadawać się z Kalem, już nie mówiąc o tym, żeby go nauczyć tej gry, zwłaszcza z jego symbolem Ligii Zbrojnych wytatuowanym na czole.

- Nie ma sprawy - mówię mu. - Co powiesz na to: udzielię lekcji tobie i Auri, a potem wykorzystamy do czegoś te nowiutkie błyszczące kredyty?

Scar mruga do mnie, dając do zrozumienia, że widzi, że staram się poprawić morale drużyny, i to pochwała. Robię, co w mojej mocy, żeby nie posłać jej szerokiego durnego uśmiechu.

Wiem, że ta trójka przejęłaby moją wachtę, gdybym o to poprosił, a ja mógłbym wtedy zająć się naprawą egzoszkieletu, ale mam wrażenie, że pół godziny gry jest ważniejsze. Po naszej wcześniejszej naradzie strategicznej, wiemy, że czeka nas ciężka próba. Uznaję, że nie zaszkodzi, jeśli trochę się zabawimy, rozjaśnimy nieco te ciemności.

- Pójdę po coś do picia - proponuje Scar. - Fin, może wyświetlisz przez ten czas program?

- W porządku - odpowiadam, przerzucając podkatalogi w menu statku w poszukiwaniu przywoitego programu do frenneta. Wyświetlam trójwymiarowy obraz nad konsolą. - Zatem w pierwszej rundzie gramy siedemnastoma kośćmi.

- Siedemnastoma?! - wykrzykuje Auri.

- Nie martw się, zastosuję taryfę ulgową.

Drobna zmarszczka pojawia się na czole Kala, oznaka ogromnej troski.

- Nie okazuj litości, Finianie - mówi. - Uczymy się poprzez przegrane.

- Nie mówiłem, że ciebie też potraktuję ulgowo, Elfiku - odpowiadam uśmiechając się szeroko, i wyznaczam nam żetony graczy. - Ty, mój szpiczastouchy przyjacielu, nauczysz się ogromnie dużo.

- Hmm. - Jego fiołkowe oczy skrzą się w odpowiedzi na żart. - Przekonamy się.

- Wiesz, jeśli nie chcesz narażać swojego świeżo zdobytego bogactwa, to możemy zagrać w inną wersję. W rozbieranego frenneta.

- Słucham?!

- Właśnie. - Uśmiecham się szeroko. - Każdy stawia część garderoby i przegrany musi ją zdjąć. To bardzo ubarwia rozgrywkę.

Muszę przyznać, że ogarnia mnie perwersyjna radość, gdy widzę, jak wzrok Kala prześlizguje się odruchowo po Auri i gorącym rumieńcem rozlewa się po jej piegowatych policzkach.

- Nie sądzę, żeby to było stosowne - orzeka Kal.

- Ej, nie wiedziałem, że Syldranie rumienia się na uszach!
- Wcale się nie rumienię. - Kal piorunuje mnie wzrokiem.
- Scar wraca z tacą pełną napoi w jednej ręce i uderza mnie w ucho w przelocie.
- Przestań zachowywać się jak łajdak.
- Ale przecież jestem w tym taki dobry!

Scarlett uśmiecha się szeroko i kręci głową, a jej uśmiech sprawia, że jeszcze bardziej się uśmiecham. Zaczynamy grać i okazuje się, że to bynajmniej nie Kal bardzo dużo się nauczył. Odkryłem, że Auri zaczyna pochrząkiwać, kiedy za bardzo się śmieje. Dowiedziałem się, że Kal ma basowy, dudniący śmiech, którego wibracje czuje się w piersi. Przekonałem się, że Scarlett nie nabierze się na żaden błąd, bez względu na to, jak bardzo się starasz. I okazało się, że nie jestem taki kiepski w obsłudze ludzi, jak podejrzewałem.

Siedzimy dużo dłużej, niż trwała moja wachta. Gramy dłużej, niż powinniśmy.  
Ale przynajmniej nikt już nie myśli o koszmarach.

### **Temat: Kosmiczne wyprawy odkrywcze**

► Słynne katastrofy

▼ Hadfield

W czasach przed powstaniem TerraRządu, gdy władze poszczególnych krajów nie chciały inwestować w wyprawy kosmiczne, korporacje wzięły na siebie umożliwienie ludzkości postawienia pierwszych kroków poza Układem Słonecznym.

*Hadfield* miał być ukoronowaniem tych wypraw badawczych. Został wybudowany wkrótce po odkryciu Technologii Faldowej, ale przed Pierwszym Kontaktem, przez nieistniejącą już spółkę Ad Astra. Był pierwszym ziemskim statkiem kolonialnym klasy Arka.

*Hadfield* zaginął w Faldzie, wioząc dziesięć tysięcy kolonistów do pierwszej ziemskiej międzygwiazdnej kolonii na Lei Gong. Katastrofa ta doprowadziła do finansowego upadku spółki Ad Astra i do utworzenia pierwszego naprawdę globalnego programu kosmicznego Terry, ET1 i zakończenia ery korporacyjnej eksploracji kosmosu.

liiiiiii dopadła mnie deprecha.

Nie wiem, czy pozostali dobrze śpią w Faldzie, bo moje sny są rwane i dziwne. Mimo to i tak jestem bardziej wypoczęta niż wcześniej. Ból po agonizatorze Saedii zaczyna słabnąć, chociaż domyślałam się, że nie dostanę od niej wkrótce zaproszenia z okazji świąt. To dziwne obudzić się podczas lotu przez Fałdę. Wszystko na statku jest czarne i białe z powodu Fałdy i mam wrażenie, że nadal śnię.

Teraz jednak stoję przy śluzie *Zera* i jestem zajęta szykowaniem się do wyjścia razem z *Finem* i *Kalem*, podczas gdy *Zila* skrupulatnie sprawdza nasze skafandry kosmiczne. Wpinam rękawice, a ona obraca moje ręce i sprawdza szczelność łączenia. Podpina mi włosy, żeby nie opadały na twarz – sama nie dałabym rady w rękawicach. Pewnie powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. Tyler wygłosił mi krótki wykład, odbyłam półgodzinny trening w niskiej grawitacji w pokoju *Finiana* – takie przygotowanie każdemu wystarczy, żeby wyjść w przestrzeń kosmiczną, prawda?

Tak, zgadza się: mam wyjść.

W przestrzeń.

Kosmiczną.

Bliźniaki *Jones* siedzą w fotelach pierwszego i drugiego pilota, podlatują coraz bliżej do konwoju złomiarzy *Hefajstosa*, *Hadfielda* i jego czarnej skrzynki. Widzę statki na ekranach dzięki naszym kamerom dalekiego zasięgu na kadłubie i wygląda to jak... jak coś żywcem wziętego z filmu fantastyczno-naukowego. Konwój jest ogromny – setki statków w różnym stopniu zdezelowania – od „niewielkich” do takich, przy których pozostaje tylko „mieć nadzieję, że mają miłą osobowość”. W głowie mi się nie mieści różnorodność ich kształtów i rozmiarów. Są smukłe i piękne albo zwaliste, ale funkcjonalne... albo licho wie jakie. Każdy statek jest ciągnięty przez mniejszy holownik oznakowany płonącym kołem zębatego spółki *Hefajstos*.

Jak wyjaśnił Ty, holowniki to praktycznie same silniki, które mają ciągnąć większe statki przez przestrzeń kosmiczną albo do portów kosmicznych. Nie wyglądają szczególnie przerażająco, ale konwojowi towarzyszy także mała flota ciężkozbrojnych krążowników. Widzę je na ekranie – kliny z błyszczącego srebra, lecące przewidywalnym kursem typowym dla pilotów, którzy już umierają z nudów. Nikt nie spodziewa się napadu. W końcu statki, które holują, są rozpadającymi się kawałkami złomu.

A skoro mowa o złomie: widzę go na obrzeżach konwoju.

*Hadfield* jest ogromny, przypomina okręt wojenny, ma poczerniały i rozerwany kadłub. Kiedy ostatnim razem go widziałam, uważano go za supernowoczesny. To był największy statek klasy Arka zbudowany na Ziemi. Przewoził dziesięć tysięcy kolonistów i nadzieję całej planety. A teraz wszyscy oni nie żyją, z wyjątkiem mnie.

Po raz tysięczny zastanawiam się, dlaczego właśnie ja przeżyłam. Dlaczego ze wszystkich niewinnych ludzi Eshvarenowie właśnie mnie wybrali na swój Zapalnik. Patrząc na wrak sunący przez czerni, czuję dreszcz przebiegający mi po plecach i coś szepcze mi z tyłu...

– Aurora?

Mrugam zaskoczona i dociera do mnie, że Zila przygląda mi się wyczekująco.

– He?

– Pochyl się, proszę.

Robię, co mi każe, i pochylam się, żeby mogła założyć mi hełm.

Ty nadaje z mostka:

– W porządku, praktycznie możemy już ruszać. Analizowałem razem z komputerem taktycznym ich trasy i wychwyciliśmy szczelinę w patrolu, która wynosi jakieś trzydzieści siedem minut.

– Nadal mamy dwadzieścia pięć godzin, zanim konwój dotrze do celu na Picardzie IV. – Zila zamyka zatrzaski i jej głos staje się stłumiony w rzeczywistości, ale brzmi krystalicznie czysto przez łącze komunikacyjne. – Ochrona nie powinna być szczególnie wyczulona.

– Zgadza się. Większość leci na autopilocie – mówi Tyler. – Mimo to niech nikt nie uzna tego za zaproszenie do guzdrania się. Wejdźcie, weźcie to, po co weszliście, i się wynoście. Wszystko inne to bonus.

Przez „wszystko inne” ma na myśli to, co ja mogę wnieść do misji. Fin wchodzi na pokład, żeby zgrać zawartość czarnej skrzynki *Hadfielda*. Kal ma nas chronić. A ja idę, na wypadek gdyby coś przypomniało mi... o czymkolwiek w gruncie rzeczy. O czymś, co się wydarzyło, o tym, jak do tego doszło. Zważywszy, że nie bardzo wiemy, czego szukamy, złapiemy się każdej możliwej wskazówki. Mam nadzieję, że odkrywając, co systemy *Hadfielda* pamiętają na temat chwili, kiedy... przesłałam transformację... zdołamy zaplanować nasz kolejny krok.

– Włączyliśmy maskowanie, a urządzenia do maskowania na *Zerze* to najnowsze technika, więc nie powinny nas wychwycić żadne czujniki, ale ci ludzie mają oczy i mogą nas zobaczyć – mówi Tyler. – Dlatego zadbajcie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Będziemy na pozycji za dziewiętnaście sekund – wtrąca się jego siostra.

Na naszych ekranach widzę reprezentującą nas maleńką czerwoną kropkę, która zbliża się do konwoju przez szczelinę w patrolach ochrony konwoju. Kierowani fachową ręką Tylera kluczymy wśród floty. Żołądek podchodzi mi do gardła. Zila sprawdza szczelność zapięcia hełmu Kala; musi się wspiąć na palce, żeby do nich dosięgnąć.

– Będziecie mieli sześćdziesiąt sekund, by dotrzeć do *Hadfielda*, zanim flota ochrony poprawi formację i zniknie szczelina – mówi Zila.

– Tylko nie patrz w dół, Pasażerko na Gape. – Fin uśmiecha się szeroko.

Zila wycofuje się ze służby i zamyka za sobą drzwi.

– Powodzenia.

Teraz zostaliśmy zamknięci w służbie i dzieli nas od kosmosu już tylko jeden właz. Dłonie mam wilgotne. Zimny pot ścieka mi po plecach.

- Otwarcie zewnętrznych drzwi za dziesięć sekund – oznajmia przez system łączności Zila.  
- Zajmijcie pozycje. Złapcie się uchwytów w ścianach na wypadek nagłego ruchu.

Wsuwam ręce w pasy i chwytam się mocno, chociaż nie ma prawdziwego powodu, żebym wypadła ze statku w nieskończoną próżnię. Jednakże nie zamierzam zaniedbać teraz żadnych środków ostrożności. Pewnie, że trenowałam podróżowanie w kosmosie, ale istnieje ogromna różnica między załadowaniem się do kriokapsuły a rzeczywistym, no wiecie, spacerowaniem w przestrzeni kosmicznej.

Zewnętrzne drzwi odsuwają się i... ja piórkuję, tam jest cały Kosmos!

I jest naprawdę duży.

Znaczy pewnie, wiadomo, że jest wielki, przecież słynie z tego, że jest wielki. A jednak jakoś inaczej to wygląda, niż kiedy patrzysz przez monitor albo iluminator.

Pierwszy raz dociera do mnie, że mogłabym szybować w przestrzeni całą wieczność.

Kal staje obok mnie, opiera jedną rękę w rękawicy na moim ramieniu. Patrzy spokojnie, mówi łagodnie:

- Nic się nie martw, be'shmai. Pomożemy ci z Finianem.

Okazuje się, że Fin dorównał Tylerowi podczas egzaminu z orientacji w zerowej grawitacji – też zdał go bezbłędnie. Najwyraźniej to efekt całych lat spania przy braku ciężenia. Kiwa z powagą głową.

- Będę tuż obok, Pasażerko na Gapę. Ja nie tylko wyglądam jak superbohater, ale naprawdę nim jestem. – Posyła mi szeroki uśmiech, a potem kuca nad wyrzutnią, już całkowicie skupiony na zadaniu. – Jaki mamy czas, Scar?

- Piętnaście sekund – pada odpowiedź. – Dziesięć, dziewięć, osiem...

Tyler coś przełącza u siebie na mostku i nieskończony widok na przestrzeń kosmiczną zostaje zastąpiony przez obraz lewej burty *Hadfielda*, płaszczyzna podziurawionego metalu wypełnia nam pole widzenia w otwartej służbie. Według danych z wyświetlaczy lecimy równolegle do wraku – mamy taką samą prędkość, ten sam kierunek, dzieli nas około piętnastu metrów.

Biorę głęboki wdech, łapię się mocniej pasów, upewniam się, że będę w stanie oderwać ręce, kiedy rzeczywiście przyjdzie czas ruszać. Delikatne ruchy, powtarzam sobie w myślach słowa, które Fin i Tyler wypowiadali raz za razem podczas mojej krótkiej sesji treningowej. Przy braku ciężenia nagle szarpnięcie czy inny gwałtowny ruch mogą pozbawić człowieka równowagi, a moment pędu sprawi, że zaczniesz kręcić się bezradnie. Każdy ruch musi być precyzyjny i łagodny. W przestrzeni kosmicznej nie ma góry i dołu. Jeden niewłaściwy ruch i mogą skończyć, spadając przez resztę życia.

Droooobne ruchy.

Scarlett dalej odlicza:

- ...trzy, dwa jeden, teraz.

Fin patrzy spokojnie przez celownik i pociąga spust wyrzutni liny z hakiem. Metalowa lina wylatuje w przestrzeń między *Zerem* i *Hadfieldem*, doczepia się bezgłośnie do większego statku

tuż obok wielkiego, stopionego rozdarcia w kadłubie.

- Lina przymocowana - szepcze Fin. - Za chwilę zaczniemy transfer.

- Dlaczego szepczesz? - pytam.

- Nie... Nie wiem właściwie.

- Żaden z ciebie wojownik, co, Finian? - droczy się z nim Kal.

- Wyleziesz stąd wreszcie? - syczy Finian. - Mamy numer do wykręcenia.

Z ledwie widocznym uśmiechem na ustach Kal wychodzi przez służę i ręką za ręką przesuwają się wzdłuż metalowej liny między dwoma statkami. Ja idę następna. Oddech mi drży, gdy wychodzę z *Zera*.

Chociaż lecimy z prędkością setek tysięcy kilometrów na minutę, nie czuję tak naprawdę ruchu i jeśli pominąć mój własny oddech w uszach, to wokół mnie panuje absolutna cisza. Kal, Fin i ja jesteśmy uwiązani do siebie nawzajem i do głównej liny, wszyscy mamy małe napędy odrzutowe w skafandrach, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Mimo to pustka wokół nas jest tak ogromna, że aż robi mi się niedobrze. Jest czarna i jest po prostu... niczym - nie mogę tego w żaden sposób ogarnąć. Przystaję więc próbować, skupiam się na metalowej linii przed sobą i szepczę do siebie:

- Prawa ręka, lewa ręka, prawa ręka, lewa ręka.

Wiem, że Fin jest za mną, gotowy mi pomóc, gdyby zaszła potrzeba. To jednak nie zmienia tego, jak niemożliwie mała się czuję. A mimo to, zamiast się bać, łapię się na tym, że ogarnia mnie... uniesienie. Gdy czuję się tak bardzo mała, zdaję sobie sprawę, jak wielkie jest przedsięwzięcie, którego część stanowimy. Fakt, że znaleźliśmy się w tej nieogarnionej pustce, sprawia, że dociera do mnie, czym jestem i co mam.

Ci przyjaciele, którzy narażają dla mnie życie. Nasze małe światełko świecące w ciemności. Nigdy tak naprawdę nie wierzyłam w przeznaczenie. Jednakże, dopiero znalazłszy się w tej pustce, zrozumiałam z absolutną pewnością, jakiej nigdy dotąd nie znałam, kim jestem i gdzie powinienam się znajdować.

Przedemną po drugiej stronie czerni Kal dociera do rozdarcia w kadłubie. Powoli, ostrożnie, sprawdza brzegi, aż znajdzie miejsce, które nie rozetnie mu rękawic. A wtedy zupełnie pozbawionym wysiłku ruchem wciąga się do czarnego że oko wykol wnętrza *Hadfielda*.

Teraz moja kolej i dosłownie zmuszam się do puszczenia liny i złapania się powłoki *Hadfielda*. Kiedy wlatuję w ciemność, robię to ze zbyt dużym impetem. Kal łapie mnie, zanim wpadnę na ścianę. Chwyta mnie w ramiona i zręcznym ruchem ściąga w dół. Moje serce bije jak szalone, oddech mi dudni w płucach i teraz, kiedy już znajduję się we wnętrzu statku, zdaję sobie sprawę, że nie mogę się doczekać, żeby to powtórzyć.

- Rety, co za jazda - wyrzywa mi się.

Kal patrzy na mnie z góry.

- Wiem, co masz na myśli.

Przyciskam się ciałem do niego, jego twarz znajduje się raptem parę cali od mojej, światło gwiazd odbija się w jego oczach, jakby iskry tańczyły w fioletowych płomieniach. Przelykam gulę w gardle i serce wali mi jeszcze mocniej niż do tej pory.

Fin wciąga się przez rozdarcie za nami, udając, że nie zauważył, jak niechętnie wysuwam się z objęć Kala.

– Lina zwolniona, Złotko – melduje. – Do zobaczenia wkrótce.

– Przyjąłem – odpowiada Ty. – Udanych łowów.

Patrzę przez dziurę w kadłubie, jak *Zero* oddala się bezgłośnie. Znika za łukiem napędu *Hadfielda* i nam z pola widzenia, chowa się w konwoju, zanim nadleci z powrotem patrol ochrony. Włączamy światła w hełmach i widzę, że znajdujemy się w długim plastalowym korytarzu. Wydaje mi się wręcz znajomy. I wygląda zupełnie normalnie. Poza tym, że panuje tu całkowita ciemność. I że otwiera się na przestrzeń kosmiczną.

– W porządku – odzywa się Fin. – Na mostek idzie się tędy. Za mną, rozguchane gołębki.

Fin odpycha się od podłogi i porusza się tak naturalnie jak ryba w wodzie. Odpychając się delikatnymi muśnięciami ściany, ruszamy za nim, lampy w hełmach oświetlają nam drogę. Fin sprawdza mapę na unikronie przyczepionym do lewej ręki. Jego ruchy są płynne i pełne gracji.

– Twój egzozskiolet prezentuje się znacznie lepiej – zagaduję go.

– Nie wygram żadnego konkursu tańca w najbliższym czasie, ale już niewiele mi brakuje.

– Jestem pewna, że rewelacyjnie tańczysz.

Uśmiecha się do mnie z ukosa.

– Chcesz, żebym ja też się w tobie zakochał, Pasażerko na Gapę?

Kal zerka na Fina, ale reaguje z tym swoim spokojem, który doprowadza mnie do szału. Zagłębia się we wnętrzości *Hadfielda*, wokół nas panują cisza i ciemność. Stąd statek nie wygląda aż tak źle – prawie mogę sobie wyobrazić, że nadal jest w doskonałej formie. Dopiero kiedy pokonujemy zniszczoną gródź, skala zniszczenia uderza mnie jak kopniak w pierś. Na prawo od nas rozdarcie ciągnie się przez cały statek od górnych pokładów po stępkę. Kable i przewody wylewają się z rozdarc między poziomami, metal i plastik są poskręcane i porozrywane. Wygląda na to, że kwantowa burza, przez którą Ty musiał się przedrzeć, żeby do mnie dotrzeć, załatwiła *Hadfielda* na cacy. A może statek przeszedł wiele takich Burz Fałdowych, zanim Ty mnie znalazł?

Wszyscy zatrzymujemy się na dłuższą chwilę i po prostu gapimy się na zniszczenia, próbując ogarnąć ich skalę. Wiem, że obaj chłopcy martwią się o mnie i zastanawiają się, jak pobyt w tym miejscu może na mnie wpływać. Jednak przynajmniej z zewnątrz nie robię wrażenia wstrząśniętej. Fin bez słowa odpycha się znowu od ściany, a ja płynę za nim. Kal leci ostatni.

– Nadal nie ma żadnych śladów życia – melduje Kal.

– Dobrze. Nie miałem tego ranka czasu na ułożenie włosów. – Fin znowu zerka na mapę. – Mamy jakieś dziewięćset metrów do mostka. Stara pani Czarna Skrzynka trafi do naszych lepkich łapek za jakieś pięć minut, Tyler.

– Przyjąłem – odpowiada Ty. – Zachowajcie czujność.

To brzmi jak dobra rada, więc staram się jej trzymać, ignorując narastający w żołądku niepokój. Kiedy jednak ruszam za snopem światła przez ciemny korytarz, zaczynam czuć słabe mrowienie na skórze.



To przypomina klucie igiełkami albo jakby ładunek elektrostatyczny gromadził się w mojej piersi i sięgał ku palcom rąk i nóg. Wychwytyuję urywek rozmowy przed nami, oddech mi więźnie w gardle, kiedy grupka pięciu postaci wychodzi z za rogu i rusza korytarzem w naszą stronę.

Motyła noga, to są ludzie!

Wszyscy mają na sobie szare kombinezony, jakie nosili członkowie misji *Hadfielda*. Jedna z kobiet się śmieje – krystalicznie czysty perlisty dźwięk niesie się w ciemności. Szok, jakiego doznaję na ich widok, jest jak policzek. Próbuję zatrzymać się gwałtownie i, tak jak mnie ostrzegano, nagły ruch sprawia, że koziołkuję do tyłu i wpadam prosto na Kała. Wyrywa mu się stęknięcie, gdy uderzam w niego, obejmuje mnie mocno jedną ręką, a drugą łapie się framugi, żeby nas zatrzymać.

– Wszystko w porządku, Auri? – pyta Fin, obracając się, żeby zobaczyć, co się stało.

Puls dudni mi w skroniach, kiedy zdaje sobie sprawę, że ludzie zniknęli.

I wtedy dociera do mnie, że żadne z nich nie miało na sobie skafandra kosmicznego.

Słyszałam ich, chociaż znajdujemy się w próżni.

I szli, chociaż nie ma tu grawitacji.

To były... duchy?

Nie, coś tu się nie zgadza. Czuję teraz mrowienie w palcach, ładunek elektrostatyczny narasta. Tak jak wtedy, gdy zmiażdżyłam statek w porcie Szmaragdowego Miasta. Tak jak wtedy, gdy śnię o rzeczach, które się potem wydarzają. Czuję, że moje moce działają, gdy zamykam oczy – wyczuwam bezdenne ciemny błękit pod skórą. To jednak mniej przypomina jedną z moich wizji, a bardziej wygląda... jakby ożyło jedno ze wspomnień *Hadfielda*?

– Dobrze się czujesz? – pyta Kal, wpatrując się w moje oczy.

Mrugam, patrząc na miejsce, gdzie widziałam ludzi, i kręcę głową.

– Właśnie...

– Widziałaś coś, be'shmai?

– Sama... – Z trudem przetykam ślinę, bo nagle zaschło mi w ustach. – Sama nie wiem...

Chłopcy patrzą po sobie, żaden z nich mi nie wierzy, ale są zbyt uprzejmi, żeby to powiedzieć. Fin próbuje poprawić ponury nastrój.

– O czym zapomnieliśmy, Pasażerko na Gapę?

– O złotej zasadzie. – Staram się mówić wesołym tonem, ale to mi się nie udaje.

Fin to porządny gość i powtarza ze mną podstawową lekcję:

– Drooobne ruchy.

Ruszamy w stronę mostka. Zdecydowanie czuję coś nienaturalnego, coś złowieszczonego, co narasta mi za oczami. Powrót do tego miejsca, zobaczenie go... Pewnie, że wiem, że przeniosłam się ponad dwieście lat w przyszłość. To oczywiste. Wszystko wokół mnie mówi mi o tym – kosmici, technika, kompletny brak czegokolwiek znajomego. Jednakże z jakiegoś powodu to zupełnie inne uczucie, gdy widzę coś znajomego, co było nowe i błyszczące raptem parę tygodni temu, a teraz wygląda tak potwornie staro. Tak całkowicie martwo.

Bardzo współczuję *Hadfieldowi*.

- Auroro, twoje funkcje życiowe osiągnęły maksymalne poziomy - odzywa się przez system łączności Zila. - Czy jesteś w stanie stresu?

- Nic mi nie jest - kłamię, ale głoś i tak mi drży.

- Już prawie jesteśmy na mostku - mówi Fin. - Widzę szyb windy. Jeśli nie jest zablokowany, to możemy podlecieć na samą górę, mijając poziom kriogeniczny.

Poziom kriogeniczny. Gdzie poszłam spać, spodziewając się, że obudzę się na nowym świecie, a tam będzie czekać mnie nowe życie. Gdzie znalazł mnie Tyler w otoczeniu trupów wszystkich ludzi, z którymi mnie wysłano. Serce mi wali, w uszach mi buczy. Zmuszam się do powiedzenia:

- Zamierzam... Chcę ich zobaczyć.

- Be'shmai? - pyta Kal, przyglądając mi się niepewnie.

- Jeśli mam sobie przypomnieć... Jeśli mam się czegoś dowiedzieć, to najpewniej tam. - Przełykam ślinę. - Tam, gdzie... gdzie do tego doszło.

Słowa brzmią prawie rozsądnie, gdy padają z moich ust. Jakbym podchodziła do sprawy jak naukowiec, jakbym wcale nie była cną lecącą w ogień, jakbym wcale nie ulegała przyciąganiu miejsca, w którym cudem przeżyłam. Nie chcę mówić tego chłopcom, nie chcę mówić niczego, co sprawiłoby, że wyjdę na wariatkę, ale teraz cały korytarz wokół nas ożył. Przemierza go mnóstwo ludzi, śmieją się i rozmawiają. Wyczuwam ich. Widzę ich. Słyszę.

Tyler że oni wszyscy nie żyją. To echo wdrukowane w statek jak stare plamy z krwi.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył? - pyta cicho Kal.

Kiwam bez słowa głową, wpatrując się w otaczające mnie postaci.

Chyba nigdy w życiu niczego nie pragnęłam bardziej.

- Złotko? - odzywa się Fin. - Nie mamy tu żadnych śladów życia i będę raptem paręset metrów nad nimi. Nie masz nic przeciwko, jeśli pójdę na mostek sam?

Milczenie przeciąga się, zanim w końcu Tyler odpowiada:

- Udzielam pozwolenia, ale cały czas miejcie włączony system łączności. Auri, Kal, macie pozostać w stałym kontakcie, jasne?

- Tak jest, dowódco - odpowiada Kal.

Stęka z wysiłku, gdy rozsuwa drzwi do windy. Szyb jest ciemny i wielki, ciągnie się z dołu ku najwyższym poziomom statku, ale przynajmniej tutaj nie ma żadnego widmowego echa. Ruszamy w górę, Fin pierwszy, Kal tuż obok mnie. Wiem, że to moja wyobraźnia, ale kiedy szybujemy w górę, mogłabym przysiąc, że czuję ciepło jego ciała przez skafander. Mimo echa statku pamiętam, jak to jest czuć go blisko, gdy przyciska się do mnie. I z jakiegoś powodu świadomość, że jest obok, ułatwia mi oddychanie.

Skup się na zadaniu, O'Malley, mówię sobie.

- W porządku, to wasz przystanek, dzieciaki - odzywa się wesoło Fin, wskazując drzwi w szybie nad nami. - Ja będę kilkanaście poziomów wyżej.

- Zwołał, gdybyś potrzebował pomocy - przestrzega go Kal. - I pilnuj się.

- Zawsze. - Fin zerka to na Kala, to na mnie. Nie da się niczego wyczytać z jego oczu z powodu soczewek, ale z uśmiešku już owszem. - Nie róbcie niczego, czego ja bym nie zrobił.

Kal rozsuwa drzwi prowadzące na poziom kriogeniczny, a ja dotykam ścian i wyczuwam dźwięk przez skafander. Kal odbija się i leci w ciemność, podczas gdy Fin rusza w górę. Odciam się delikatnie z szybu windy i lecę za Kalem korytarzem.

Przed nami wznoszą się ogromne drzwi do krypt kriogenicznych, stopione na żużel przez uderzenie kwantowej błyskawicy. Żołądek wypełnia mi się lodowatymi motylami. Słyszę głucho głosy, jakby niosły się z daleka.

Moje światło przecina wąskim promieniem ponurą ciemność. Oglądam się na Kala, uważając, żeby obrócić głowę powoli. Warkocze unoszą mu się wewnątrz hełmu, jarząc się srebrzyście; mruży oczy, patrząc w mrok przed nami. Rysy jego twarzy są gładkie i ostre, jego kości policzkowe tak wyraziście zarysowane, że całując je, mogłabym skaleczyć usta.

Kal napotyka moje spojrzenie i jego wzrok jest piękny, chłodny, obcy. Wyczuwam jednak w nim ciepło i głębię, jakby mógł ogarnąć wzrokiem każdą cząstkę mojej osoby. To przyprawia mnie o drżenie. Bez słowa sięga do Magellana przyczepionego do mojego przedramienia. Puka w mój ekran, a potem w swój.

- Nadal mamy nasłuch drużynowego kanału łączności, ale możemy teraz porozmawiać w cztery oczy.

- Skąd wiedziałeś, że chcę porozmawiać?

- Twoje oczy – odpowiada zwyczajnie. – Dużo mówią.

- Nie jestem... nawet pewna, co chciałam powiedzieć – przyznaję.

- Kto wiedziałby, co powiedzieć w takiej chwili? – pyta, wskazując salę kriogeniczną za stopionymi drzwiami. – W tym miejscu przyszłość twoich ludzi zmieniła się raz na zawsze. I twoja przyszłość zmieniła się raz na zawsze.

- Przynajmniej ja mam przyszłość – odpowiadam cicho. Bo właśnie to mi ciąży i sprawia, że moje serce bije z trudem, w ustach mi zasycha i ledwie mogę wykrztusić słowo. – Tylko ja jedna się stąd wydostałam. Co jest we mnie takiego specjalnego, że zasłużyłam, żeby żyć, a nie nikt z tych ludzi, którzy mieli swoje życie, nadzieje, rodziny, własną historię.

Kal odpowiada cicho, poważnie:

- To jest trudne. Być tym, kto przetrwał.

I oczywiście wtedy przypominam sobie, że cała planeta Kala została zniszczona, że wszyscy Syldranie, którzy nadal żyją, zostali raz na zawsze pozbawieni domu, swojego świata. A ja tu oplakuję jeden statek.

- Kal... – zaczynam.

- Wiem, co chcesz powiedzieć... – przerywa mi łagodnie. – Ale nie da się porównywać strat, be'shmai. Nie chciałem tego robić. Miałem tylko na myśli to, że rozumiem, co czujesz. I gdybym mógł zabrać twój ból, zrobiłbym to.

Zatrzymujemy się w drzwiach, a ja biorę go za rękę mimo rękawicy. Jak zawsze wyczuwam u niego lekkie wahanie, ale potem zaciska mocniej dłoń na mojej, jakby tylko tego pragnął. Syldranie w zasadzie się nie dotykają – dowiedziałam się tego od Magellana. Nie potrafię jednak się powstrzymać, potrzebuję tego dotyku i wiem, że Kal zaczyna to lubić, więc już się nie hamuję. To sposób porozumiewania się, kiedy słowa nas zawodzą, a często tak bywa.

Patrzy na mnie w ciemności i wyczuwam, że ogromnie mnie pragnie. Prawie to widzę, tak jak widzę echa – niewidzialne nici płonącego złota i srebra wylewające się z niego falami, powstrzymywane tylko przez obawę, że mnie sparzy. Kiedy jednak patrzę mu w oczy, zdaję sobie sprawę, że chcę spłonąć. Chcę poczuć, jak przyciska się do mnie całym ciałem i rozpala we mnie ogień. I wiem, że on też tego chce.

Strasznie głęboko wpadliśmy jak na dwoje ludzi, którzy dopiero co się poznali.

Głos Fina rozlega się na łączu i przerywa czar chwili.

– No dobra, mam dobrą wiadomość, dzieciaki – rzuca.

– Ej, to jakaś odmiana – odpowiada Tyler.

– Żartuję, tak naprawdę to mam jedną złą wiadomość i drugą, też złą.

– Na oddech Stwórcy, Finian... – jęczy Tyler.

– Wiem, wiem, jestem niepowtarzalny – odpowiada Fin. – Więc zasadniczo ktoś już tu był i wyciął z podłogi czarną skrzynkę.

– Cudownie. – Tyler wzdycha.

– Zatem czarna skrzynka może być wszędzie, to chcesz powiedzieć? – odzywa się Scarlett.

– Ehm, nie do końca – mówi Fin. – Wycięto ją z chirurgiczną precyzją. Odczyty z mojego unikonru sugerują, że wypalone ślady mają ze dwadzieścia godzin. Podejrzewam, że chłopaki z Hefajstosa wycięli ją i schowali w głównym holowniku konwoju.

– To mamy problem – orzeka Tyler.

– Nie ma szansy, żeby odpalić te konsole i poszukać kopii zapasowej, zresztą i tak stopiłby się na chakk. Daj mi minutkę, rozejrzę się, ale nie jestem optymistą. Nawet jeśli mamy po naszej stronie cały mój geniusz.

– Kal? – pyta Tyler. – Znaleźliście coś z Auri?

Kal patrzy mi w oczy.

– Możliwe, że za chwilę coś znajdziemy. Zostańcie w gotowości.

Ja również patrzę mu w oczy, mając nadzieję, że zrozumie.

Nie chcę tam wchodzić. Nie chcę zobaczyć tego, co wiem, że tam jest.

Muszę jednak nad tym zapanować.

Dam radę.

Kal ściska mi rękę i kiwa głową. Mówi do mnie bez słów. Czuję się silniejsza, czuję się czymś więcej, gdy on stoi przy mnie, więc zbieram się wreszcie na odwagę i przekraczam próg.

Znajdujemy się w jednej z wielu rozległych sal pełnych zbiorników ustawionych w wysokie stopy jak niekończące się rzędy trumien. Cała lewa strona sali została wysadzona, ale wszystkie ciała po prawej nadal spoczywają w spokoju. Zastanawiam się, kto tam leży. Gdzie są pozostali. Szybują gdzieś za nami, tam gdzie statek uległ katastrofie, koziółkują nieskończenie przez Fałdę?

– Be'shmai? – pyta Kal, a ja zdaję sobie sprawę, że ściskam jego rękę tam mocno, że mogłabym mu połamać palce.

Byłam już tu kiedyś, dokładnie w tym pomieszczeniu. I nagle wracam do tamtej chwili. Jestem na przeszkoleniu, zwiedzam statek. Wesoła kobieta o krótko przyciętych włosach

w kolorze różowej waty cukrowej prowadzi naszą grupę przez pomieszczenie wzdłuż rzędów i żartuje, że już za kilka dni udamy się na drzemkę, której desperacko potrzebujemy po żmudnych przygotowaniach do podróży.

Śmiejemy się, niektórzy z nas nerwowo: kriogenika to nadal względnie nowa technika, a Fałda jest tajemniczym miejscem. I wtem scenę rozświetla nagły przebłysk i nasza przewodniczka zamienia się w wysuszonego trupa. Wszyscy wokół mnie nie żyją, ich twarze nieruchomieją, ciała zaczynają odlatywać.

Czuję, że Kal mną potrząsa, ale nie jestem w stanie zareagować. Całe moje ciało buzuje, narasta we mnie huragan, a ja rozpaczliwie próbuję nad tym zapanować. Przestrzeń wokół nas wypełnia się echami, ludzie chodzą, mówią, przechodzą przez nas, jakbyśmy to my nie istnieli naprawdę, jakbyśmy to my byli martwi i zostali zapomniani wieki temu.

Wyczuwam teraz głęboki fiolet umysłu Kala, przetykany złotymi i srebrnymi niciami. Powiedział mi, że jego zdaniem w przeciwieństwie do swojej siostry nie odziedziczył niczego po matce Wędrowczyni, ale w tej chwili wiem, że się myli. Jego złote nici są tak głęboko schowane, że na pewno nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia, ale przywieram do jego umysłu swoim ciemnym granatem, mój srebrzysty gwiazdny pył wiruje w dzikim tańcu. Nie mogę go unieruchomić. Nie mogę go w sobie pomieścić.

Muszę.

MUSZĘ.

Już nie stoję w korytarzu, a jednak... stoję – jeden rozbłysk błyskawicy po drugim zwiastuje zmianę, nowe miejsce, na które zostaje nałożona jak obraz. Statek nagle zostaje spowity pnączami Ra'haam, które wyrastają z rusztowań podtrzymujących kriokapsuły. A potem oślepia mnie białe światło izby chorych w Akademii Aurory. To przekształca się w wielobarwny obraz baru na Wiekuistym, gdzie Kal i Tyler walczyli z Nieugiętymi. Potem wir przekształca się w podwodną salą balową Casseldona Bianchiego. Słyszę ryk jego gości, tancerzy, dudnienie muzyki, a potem rytm zmienia się w odgłos biegnących stóp.

Ryk zamienia się w doping i jestem na bieżni w domu, otoczona przez uczniów szkoły średniej. I oni też zamieniają się w wysuszone trupy i rozpadają się w pył.

Czuję siłę narastającą we mnie jak woda napierająca na tamę. Widzę odwracającą się do mnie Cat, wyciągającą jedną rękę, a potem jej oczy stają się niebieskie, źrenice zamieniają się w kwiaty i Cat krzyczy. Widzę admirała Adamsa patrzącego prosto na mnie poprzez obiektyw kamery. Widzę Kala ubranego w taki sam skafander kosmiczny jak teraz, chociaż prawdziwy Kal nadal stoi obok mnie. Wizja. Duch. Przyszłość. Unosi ręce, jakby chciał osłonić się przed ciosem, i wtedy strzał trafia go prosto w pierś. Leci do tyłu z okropnym krzykiem.

– KAL! – wrzeszczę.

Słyszę jego głos z oddali, próbuje mnie przywołać z powrotem do domu, do sali kriogenicznej, do mnie samej. Jednakże wizja, duch, przyszły Kal osuwa się po ścianie z dymiącą dziurą w piersi i huragan we mnie eksploduje smutkiem, gniewem i strachem.

Nie mogę...

NIE.

MOGĘ.

Wracam gwałtownie do swojego ciała i w końcu tracę panowanie, siła napiera naprzód, rozszerza się w postaci idealnej sfery zniszczenia, a Kal i ja stoimy w jej epicentrum. Ściany *Hadfielda* odpadają, kriokapsuły zaraz przestaną istnieć, ciała wysypią się w pustkę. Pokład pod nami rozpada się, sufit nad nami zostaje rozerwany, srebrne światło wylewa się z mojego prawego oka i świeci jak latarnia morska.

- Na oddech Stwórcy, co to, kurwa, było?! - ryczy Finian.

Jak przez mgłę dociera do mnie, że inni też krzyczą przez system łączności, *Hadfield* dygoce wokół mnie i myślę, że Kal też się porusza, ciągnie mnie za sobą. Moc bucha ze mnie falami, tama we mnie pękła, moje ręce naciskają na rozszerzające się pęknięcia.

Głos Tylera przenika mgłę wokół mnie.

- Natychmiastowa ewakuacja! Namierzam się na ich sygnały i ustawiam *Zero* równolegle. Ruchy, ruchy!

Nie widzę Kala, a jedynie skalisty jałowy krajobraz, piasek i poszarzałe gruzy, cienie tak głębokie, że aż niebieskie, niebo w górze martwe, pozbawione życia.

Nigdy w życiu nie widziałam tego miejsca, ale tylko tam chcę się teraz udać.

Kal obejmuje mnie.

Wizja znika.

Wszystko pochłania czerni.

Wszystko rozgrywa się w całkowitej ciszy.

Kadłub *Hadfielda* rozpada się, tworząc idealną ciemnoniebieską sferę, sale z kriokapsułami zostają w jednej chwili zniszczone. Tytan i karbonit uginają się pod wpływem uderzenia siły Aurory, a ja przyciskam ją mocno do siebie, kiedy brzuch potężnego statku zostaje rozerwany od środka. Odłamki plastali, metalu i szkła wylatują, wirując, w wieczność, a ja włączam napęd odrzutowy w skafandrze, żeby utrzymać nas w oku cyklonu – tego chaosu, który rozpełtała moja be'shmai. Jej oko płonie jak latarnia w ciemności. I wszystko to – wszystko! – rozgrywa się w całkowitej ciszy.

– Kal, zgłoś się! – domaga się Tyler przez system łączności. – Finian, podaj status!

– Nic mi nie jest! – wykrzykuje Finian. – W gorszym stanie jest moja bielizna. Na Stwórcę, co w nas uderzyło?

– Aurora – odpowiadam, trzymając ją mocno. – Ciała, samo to miejsce... Aurora musiała coś tu zobaczyć. Straciła panowanie.

– U ciebie wszystko w porządku? – pyta Tyler.

A jak cokolwiek mogłoby nie być w porządku? Jak mógłbym nie czuć się idealnie, kiedy trzymam ją w ramionach? Włosy unoszą się wokół jej twarzy w zerowej grawitacji, rzęsy trzepoczą. Oślepiające światło jej prawego oka przygasło teraz nieco i kładzie się ciepłym blaskiem ognia na mojej skórze. Znam każdą jej linię, każdą krągłość, przyciskam palce do jej hełmu, przesuważając nimi po...

– Kal, podaj status!

– Aurora jest półprzytomna – odpowiadam. – Nadal przebywamy przy kriokapsułach, a w każdym razie przy tym, co z nich zostało. Ochrona Hefajstosa z pewnością się zorientuje, że tu jesteśmy. Jakie rozkazy, dowódco?

– Utrzymaj pozycję – odpowiada Tyler. – Zabieramy Finiana, a potem przyjdziemy po was.

– Zrozumiałem.

Robię, co mi kazano. Utrzymuję pozycję – mocno. Tuląc Aurorę do piersi. Z *Hadfielda* została ruina, kadłub wokół nas jest rozerwany na całą szerokość. Holownik, który nas ciągnie, rozpaczliwie próbuje zwolnić i naprężenia związane z wytracaniem pędem dalej rozrywają *Hadfielda*. Mam cyfrowy wyświetlacz wewnątrz hełmu i widzę statki ochrony Hefajstosa rojące się w ciemności na zewnątrz, wyobrażam sobie spanikowane transmisje między nimi.

Straciliśmy szansę, żeby załatwić to po cichu.

A nadal nie mamy czarnej skrzynki, po którą się zjawiliśmy.

- K-Kal?

Serce mi wzbiera, gdy Aurora się odzywa, patrzę w jej oczy jak onyks i perła, i czuję, że cały wszechświat ucieka mi spod nóg.

- Wszystko w porządku, be'shmai - mruczę. - Wszystko dobrze.

- Co się stało? - szepcze.

- Twoja moc. Straciłaś nad nią panowanie.

- P-przepraszam - odpowiada szeptem, rozglądając się powoli, ze zdumieniem, po otaczającym nas chaosie i zniszczeniu. Widzę krew zbierającą się przy jej nozdrzach, jasnoczerwona, czepiącą się skóry przy braku ciężenia. - Myślałam... Myślałam, że zaczynam lepiej nad tym panować.

- Bo tak jest. - Patrzę na nią z powagą. - Nauczysz się.

Aurora kręci głową.

- Widziałam...

- Co takiego, be'shmai?

Patrzy mi w oczy i wyczuwam w niej strach. Strach i potworne cierpienie sięgające aż do szpiku kości.

- Widziałam jak... otrzymujesz ranę. Poważną.

Serce bije mi mocniej i nie mogę go uspokoić. Zbrojni nie boją się śmierci. Zbrojni nie boją się bólu. Zbrojni boją się tylko tego, że nigdy nie zasmakują zwycięstwa. Tego nauczyli mnie ojciec.

- W jaki sposób? - pytam.

Aurora kręci głową, krzywi się, gdy statek coraz bardziej rozpada się wokół nas, pękają wręgi, grodzie się rozginają. Ogrom zniszczenia, jakiego dokonała, powinien zmrozić serce. Jej moc jest przerażająca.

A jednak czuję tylko podziw.

- Widziałam to... jak przez mgłę. Ktoś do ciebie strzelił. Byłeś na pokładzie statku. Widziałam... ciemny metal. Pluszową kostkę. Byłeś... tak samo ubrany jak teraz.

- Nikt mnie nie skrzywdzi - odpowiadam z uśmiechem. - Z tobą u mego boku jestem niezniszczalny.

Ona kręci głową i szepcze:

- Tyle że nie było mnie u twego boku.

- Kal, czy mnie słyszysz?

Dotykam unikronu, żeby włączyć nadawanie.

- Doskonale, dowódcu.

- Mamy Fina. Wysłałam wam koordynaty miejsca spotkania. Ochrona oblaża nas jak wysypka, więc wparujemy jak po ogień. Zila wami pokieruje.

- Czy mnie słyszysz, legionisto Gilwraeth? - rozlega się cichy, spokojny głos.

- Tak, Zilo, głośno i wyraźnie.

- Ściga nas obecnie trzynaście myśliwców klasy Kosa i dwa krążowniki klasy Kosiarz, więc nie będziemy w stanie zwolnić poniżej tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę, o ile nie



chcemy spłonąć w ogniu ich pocisków.

- Zrozumiałem.

- Spróbujecie dopasować się do naszej prędkości, przechwycić *Zero* i wylądować w naszej ładowni, gdy będziemy przelatywać.

- Z prędkością tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę – mówię.

- Zgadza się – odpowiada śmiertelnie poważnie Zila.

- Zrozumiałem.

- Czy to w ogóle wykonalne? – pyta wyraźnie przerażona Aurora.

- To bardziej prawdopodobne, że legionście Gilwraethowi się uda, niż gdyby próbował tego człowiek – odpowiada Zila. – Syldranie mają lepszy refleks od Terran. Jeśli dopasuje się do prędkości *Zera* wzdłuż osi X ucieczki i utrzyma prędkość poniżej tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę wzdłuż osi Y podejścia, szacuję, że jego szanse na wykonanie tego manewru wynoszą około sześciuset i...

- Dziękuję, Zilo, nie potrzebujemy w tej chwili analizy matematycznej – odzywa się Tyler. – Kal, prześlę ci trajektorię, po prostu dodaj gazu i trzymaj się sygnału Zili.

- Zrozumiałem.

- Dasz radę, stary – mówi Tyler.

Zerkam na Aurorę w moich objęciach i się uśmiecham.

- Wiem.

- Dziesięć sekund, legionisto Gilwraeth – mówi Zila.

Aurora zaciska zęby i kiwa głową. Obejmuje mnie w pasie, a mój żołądek wykonuje tuzin salt pod wpływem jej dotyku.

- Osiem sekund.

Zgrzytam zębami, oddycham głęboko.

- Sześć.

- Kal? – odzywa się Aurora.

- Cztery.

- Tak, be'shmai?

- Trzy.

Unosi twarz i przyciska hełm do mojego, jakby całowała mnie w policzek. Dzieli nas tylko kilka milimetrów osłony hełmu. Ciepły oddech kładzie się mgiełką na plastali. Cały wszechświat nieruchomieje.

- Dwa.

- Dasz radę – mówi, patrząc mi w oczy.

- Teraz.

Włączam silniki manewrowe na pełną moc, gdy wylatujemy z wraku *Hadfielda*. Początkowo lecimy powoli, gdy przeprowadzam nas obok ton metalu, potężnych grodzi i rozpadających się ścian, ale stopniowo osiągamy przerażającą prędkość. Widzę nadlatujące *Zero* jako małą zieloną kropkę na wewnętrznym wyświetlaczu otoczoną przez pulsujące czerwone kropki, a Aurora i ja jesteśmy małąkimi białymi drobinami.

Kluczę wśród kotłującej się burzy szczątków, kawały metalu wielkości domów lecą porzywane jak bibułka. Teraz poruszamy się już szybko – wystarczająco, żeby zabiło nas dowolne zderzenie. Czerni poza kadłubem *Hadfielda* rozświetla się wybuchami i smugami ognia, a ja wyczuwam to w sobie – to coś, co budzi się na myśl o toczącej się bitwie i przelewanej krwi. To coś, na co mnie wychowano.

Źna Sai'nuit.

Odpycham go jednak. Odpycham od siebie.

– Trzymaj się mnie – mówię.

Aurora ściska mnie, wpatruje się we mnie ze zdumieniem. Wokół nas panuje chaos, prze-wala się burza poskręcanych kawałków metalu, bo *Hadfield* nadal się rozpada. Śmigam spiralą między ogromnymi rurami koziółkującymi przez próżnię, dwadzieścia ton rozerwanego wężu przecina czerni raptem metr od mojej głowy. *Zero* jest coraz bliżej.

– Twoja prędkość jest niewystarczająca, legionisto Gilwraeth.

Widzę nadlatujące *Zero*, jest zardzewiałe i paskudne, ale sunie ku nam szybko i prosto jak ostrze honoru. Widzę myśliwce Hefajstosa rojące się wokół niego jak świetliki w ciemności. Poprawiam kurs, tnę w stronę ścieżki zarysowanej na moim wewnętrznym wyświetlaczu, napęd odrzutowy pracuje teraz z maksymalną mocą. Unoszę się po gładkim łuku, żeby przechwycić nasz statek – drzwi do ładowni czekają otwarte dla nas szeroko, światło płonące w ciemności. Pociski smugowe przelewają się bezszelestnie w mroku nocy, a Aurora ściska mnie tak mocno, że ledwie mogę oddychać, serce tłucze mi się o żebra.

– Nadlatujemy – oznajmiam po prostu.

– Widzę cię! – wykrzykuje Tyler. – Jeszcze kilka sekund.

– Alfo, zmień kurs o zero przecinek cztery...

– Jasne, jasne!

– Nie uda im się!

– Kał, przyhamuj!

Rozmazana plama zardzewiałego metalu. Błysk nieskazitelnego światła. Piękna dziewczyna w moich ramionach. A wokół nas absolutna cisza. Widzę tę scenę w zwolnionym tempie – *Zero* unoszące się nad nami, ulotne chwile mojego ulotnego życia przelatujące stroboskopowymi błyskami przed moimi oczami. Ja i siostra stoimy pod drzewami lias razem z naszym ojcem, ćwiczymy Drogę Fali. Wewnętrzny Wróg przeciąga się i rozluźnia mięśnie, rozkwita jak kwiat w ciemnej ziemi pod ręką mojego ojca. Matka wyciąga rękę, żeby dotknąć mojej twarzy, siniaki wywołują łzy w jej oczach. Słowa matki rozbrzmiewają w mojej duszy.

„Nie ma miłości w przemocy, Kaliisie...”

– Uwaga!

Światło przybiera na sile, a ja obejmuję Aurorę mocno, gdy wlatujemy przez otwarte drzwi ładowni. Uderzam w silniki manewrujące, żeby nas spowolnić, i obracam się, osłaniając ją własnym ciałem, gdy uderzamy w ścianę naprzeciwko. Gryzę się w język i mózg objęta mi się w czaszce, kiedy uderzamy w gródź i padamy na pokład. Czuję vibracje zamykających się za nami drzwi ładowni. Aurora leży na mnie. Posiniaczona. Zadyszana.

Ale żywa.

Ciążenie wraca i włosy opadają jej wokół twarzy, nos ma umazany we krwi. Kiedy jednak unosi się, żeby spojrzeć na mnie, nadal jest najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. Ładownia napełnia się powietrzem i Aurora majstruje przy zapięciu hełmu, zdejmuje go i odgarnia włosy z błyszczących triumfalnie oczu.

- Ja piórkuję, to było niesamowite - szepcze.

Uśmiecha się szeroko, zdumiona i oszołomiona. Jej wzrok jest rozentuzjasmowany z powodu prostego faktu, że żyjemy, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu żyjemy. Po chwili zdejmuje mi hełm.

- Byłeś niesamowity.

- Auroro...

Jej usta lądują na moich, tłumiąc wszelkie myśli i słowa. Łapie mnie za skafander i przyciąga, wzdycha prosto w moje płuca, kiedy przyciskam ją do piersi tak mocno, że prawie łamię jej plecy. Jest snem, żywym i ciepłym w moich ramionach, a ja płonę jej bliskością, zapachem, smakiem. Jest dymem i gwiazdnym blaskiem, krwią i ogniem, pieśnią w moich żyłach, starą jak czas i głęboką jak Pustka, wzbiera przy mnie, a ja czuję delikatny dotyk jej języka. Prawie mnie niszczy.

Pocałunek.

To takie drobne słowo określające tak cudowną rzecz.

Nasz pierwszy pocałunek.

Płonę w słodkiej i nagłej miękkości jej ust, pod naciskiem ostrych zębów, gdy skubie moją wargę. Wsuwa palce w moje warkocze. Dotyk Aurory przyprawia mnie o szaleństwo. Dla mojego ludu w dotyku kryje się wielki ciężar, wielka obietnica, i już nic ze mnie nic zostało, absolutnie nic - jest tylko ona w moich objęciach i proste słowo płonące jak pierwsza jutrzienka za moimi oczami.

Więcej.

Muszę poczuć więcej.

Uderzenie sprawia, że lecimy w bok, alarmy rozbrzmiewają na pokładzie *Zera*, światła awaryjne migoczą. Rozdzielamy się, wargi Aurory są opuchnięte jak po użądleniu i rozwarte, nadal czuję smak jej krwi w ustach. Pokład dygoce pod nami.

- Wszystko u was w porządku? - pyta przez system łączności Tyler.

Patrzę w oczy Aurorze, a jej uśmiech to jedyne niebo, jakie kiedykolwiek poznam.

- Mamy się doskonale - szepcze Auri.

- Nie chcę was ponaglać, ale przydałby nam się tu ekspert od walki!

Mrugam, żeby się otrząsnąć. Zmuszam się do wzięcia oddechu.

- Już idę, dowódco.

Aurora schodzi ze mnie, a ja unoszę się, pociągając ją za sobą. Niczego tak nie chcę, jak zostać tu dłużej. Zatonąć powoli w niewypowiedzianej obietnicy skrytej za tym pocałunkiem. Niebezpieczeństwo jednak płonie jasno jak ogień, który Aurora we mnie rozpałała. Biorę ją więc za rękę i biegniemy razem poobijani, kuśtykając głównym korytarzem na mostek.

Scarlett podnosi wzrok znad konsoli i mruga porozumiewawczo.

- Ładny lot, Osilku.

- Nasz status? - pytam, siadając na swoim miejscu.

- Jeden z krążowników odniósł poważne uszkodzenia w polu szczątków *Hadfielda* - meluje Zila. - Dziesięć myśliwców i drugi krążownik nadal nas ścigają.

- Wysyłają sygnał SOS - mówi Finian. - Dane identyfikacyjne naszego statku i nagrane wizualne.

- Myślą, że jesteśmy piratami! - wykrzykuje Tyler, pochylając się mocno nad sterami, kiedy kluczymy pośród konwoju. - Możesz zagłuszyć ich przekaz?

Fin kręci głową.

- Wysłał sygnał, zanim wszedłem na pokład. Nie oczekuj po mnie cudów, Złotko!

- Każdy kto nas monitorował, kiedy uciekaliśmy ze Szmaragdowego Miasta, będzie wiedzieć, że to my jesteśmy na tym statku! - wrzeszczy Scarlett, przekrzykując wycie alarmów. - TSO. GAW. Legioniści. Łowcy nagród. W tym sektorze zrobi się bardziej gorąco niż w moich dolnych niewymownych, gdy okręt marynarki wojennej zawita w porcie!

- Dzięki, Scarlett, nie potrzebuję w tej chwili meldunku na temat stanu twojej bielizny! - ryczy Tyler.

- A ja mógłbym usłyszeć coś więcej? - odzywa się Fin.

Unikron Aurory brzęczy w jej kieszeni:

- Pierwszy odnotowany typ ludzkiej bielizny to przepaska biodrowa, prosta część garderoby noszona powszechnie...

- Tryb cichy! - wykrzykuje Tyler.

Pociski smugowe rozcinają otaczającą nas ciemność. Wypuszczam salwę z naszych rufowych działek elektromagnetycznych i w nagrodę widzę rozbłysk jasnego ognia i bezgłośnie eksplozję. Myśliwce odpowiadają ogniem, ale tarcze *Zera* i pociski przechwytyjące to najnowocześniejsze cacka, a na razie przeciwnik wciąż nas nie dogonił. Tyler nie jest takim asem jak Zero, ale niezłe sobie radzi, wzbija się ponad rozległą stalowoszarą połacią konwoju, kluczy między wrakami jak tancerz.

- Pomijając majtki, wolałabym zachować swój tyłek w spodniach, jeśli to możliwe - odzywa się Scarlett. - Powinniśmy wynieść się stąd, nim zaczną się prawdziwe problemy.

- Nadal potrzebujemy czarnej skrzynki - zauważam. - Jeśli wycofamy się teraz, nie zdążymy po raz drugi zbliżyć się do konwoju.

- Nie wiemy, gdzie znajduje się czarna skrzynka - zwraca uwagę Zila.

- Jak już wspomniałem, najprawdopodobniej przeniesiono ją do głównego holownika - odzywa się Finian.

- Niestety nie zwolnią dla nas, żebyśmy mogli tam zajrzeć i sprawdzić! - krzyczy Tyler. - A niedługo nie tylko te oprychy będą do nas strzelać.

Alarmy ryczą, kiedy salwa pocisków wybucha pod nami, żłobiąc czarne pasy w skórze wraku. Puls mi dudni, elektryczność skrzy się w opuszkach, zacięte, płomienne uniesienie wzbiera we mnie - na wspomnienie pocałunku Aurory i z powodu podniecenia walką.

Czuję się niezwyknięty.

Niepokonany.

- Ja mogę ją zdobyć - słyszę własne słowa.

Scarlett gapi się na mnie z niedowierzaniem, rude włosy okalają jej wytrzeszczone oczy.

- Odwaliło ci?

- Kal... - odzywa się Aurora.

Patrzę na mojego Alfę, który nadal pochyla się nad sterami.

- Potrzebujemy tych danych, dowódco - mówię mu. - Jeśli przegapimy tę okazję, to następnym razem konwój będzie miał podwójną ochronę. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny zacumują. To nasza szansa. Dowieź mnie jak najbliżej głównego holownika, a ja zajmę się resztą.

Tyler odrywa wzrok od ekranów i patrzy mi w oczy.

- Miej wiarę, Bracie - mówię.

Zaciska zęby, ale kiwa głową.

- Podlecę najbliżej, jak się da.

Już wstałem, krew mi płonie. Biorę karabin-dezelator i paczkę ładunków termeksowych z szafki z bronią, kiedy Fin wstaje z westchnieniem.

- A ty dokąd się wybierasz? - pyta Scarlett.

- Razem z nim.

- Mamy tu jakiś przeciek CO<sub>2</sub>, czy coś takiego? - Scarlett patrzy na nas. - Czy wszyscy zaraziliśmy się ciężkim przypadkiem durnego heroizmu, kiedy nie uważałam?

- Jestem Macherem w tej drużynie. - Fin wzrusza ramionami i sprawdza stan swojego egzoszkieletu. - Elfik nie poznałby czarnej skrzynki, nawet gdyby spadła z nieba, wylądowała mu na twarzy i zaczęła się ocierać.

Scarlett się krzywi.

- Domyślam się, że jest czarna? I, sama nie wiem, podobna do skrzynki?

- Wybacz, o Mistrzyni Sarkazmu, ale czarne skrzynki są pomarańczowe, a nie czarne - odpowiada Fin, unosząc brew. - Dzięki temu łatwiej je znaleźć w szczątkach po katastrofie. Poza tym już jestem gotowy. I nie mamy czasu na sprzeczkę.

Rzucam drugi karabin dezcelatorowy przez mostek, który Fin łapie przy wtórze szybkiego syku dopiero co naprawionego egzoszkieletu. Scarlett unosi zrezygnowana ręce. Zila kuca obok Aurory, sprawdza jej funkcje życiowe, ściera zaschniętą krew z ust. Patrzę mojej be'shmai w oczy i widzę w nich strach. Widzę ogień. Widzę wspomnienie naszego pocałunku, obietnicę stojącą za nim i myśl o czymś więcej zawisa w nieskończoności pomiędzy nami.

- Wróć - mówię.

- No, ja myślę.

Kiwam głową do Finiana i biegnę korytarzem do dodatkowej śluzi powietrznej. Wsuwam hełm, aktywuję wewnętrzny wyświetlacz i obserwuję widok poza *Zero*, kiedy śmigamy między statkami konwoju. Automatyczne systemy naszych działek elektromagnetycznych są dość dobre, żeby myśliwce nie siedziały nam na ogonie, chociaż nie zdziałają dużo więcej, a nasze rakiety przechwytyjące są w stanie utrzymać pociski krążownika z dala od nas. Jeśli jednak pojawiają się kolejne problemy - a z pewnością już nadciągają - przeciwnik zyska przewagę.

- Musimy się śpieszyć - mówię do Finiana, kiedy ładuje się za mną do śluzy.

- Nie martw się - odpowiada Betraskanin, wkładając hełm. - Robię to tylko po to, żeby wypaść imponująco. Nie chcę tam być dłużej, niż to absolutnie konieczne.

Patrzy mi w oczy i uśmiecha się kpiąco.

- Wiem, wiem, żaden ze mnie wojownik, Kal.

Obrzucam go spojrzeniem od stóp do głów, patrzę na karabin w jego ręce, zarys egzoszkieletu pod skafandrem. Dziwny jest ten Betraskanin. Muszla o ostrych krawędziach zbudowana wokół kruchoego wypełnionego smutkiem serca. Prawdę mówiąc, my, Zbrojni, nie znamy współczucia dla kruchości. Ktoś taki jak Finian z jego niepełnosprawnością zostałby odrzucony przez moich braci i siostry, rzucono by go drakkanowi, żeby jego słabość nie zainfekowała reszty ligi. Tak postępujemy. Tylko słabi szukają litości. I tylko najslabsi ją okazują.

Widzę jednak teraz głupotę tego podejścia. Widzę w Finianie odwagę, jakiej inni Zbrojni mogliby mu pozazdrościć. Ten chłopak o nic nie prosi. Nie prosi o specjalne względy. Nie prosi o litość. W życiu przy każdym kroku towarzyszy mu ból, a mimo to żyje. I stoi tam, gdzie inni dawno by już padli.

- Moim zdaniem wyglądasz jak prawdziwy wojownik, Finianie de Seel - mówię.

Zdumiewa się na te słowa. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale...

- Zbliżyliśmy się do głównego holownika - melduje Tyler. - Odległość sto pięćdziesiąt kilometrów i spada. Podejdę jak najbliżej, ale i tak będziemy musieli szybko działać.

- Zrozumiałem. - Patrzę na Finiana. - Gotowy?

Kiwa głową, wsuwa pięści w mocowania na ścianie.

- Gotowy.

Naciskam przełączniki zewnętrznych drzwi i po krótkiej ucieczce powietrza znowu otacza mnie cisza. Patrzę, jak statki konwoju przelatują obok nas rozmazaną plamą, jak gwiazdy wirują, gdy Tyler robi uniki i kluczy pośród ostrzału zza naszych pleców. Ogarnia mnie piękno tej chwili. Wojna w mojej krwi tęskni, żeby ją wypuścić.

„Nie ma miłości w przemocy, Kaliisie...”.

Zbliżyliśmy się do głównego holownika, jego silniki płoną jasno, ostrzał z działek elektromagnetycznych i wybuchające pociski rozświetlają ciemność wokół nas. Widzę nazwę *Totentanza* namalowaną na brzuchu holownika. Kiwam głową do Finiana i włączam silniki manewrowe, na naszych wewnętrznych wyświetlaczach zaczęło się odliczanie. *Zero* koziołkuje i śmiga, zbliżając się coraz bardziej do holownika, który rośnie, aż wypełnia mi całe pole widzenia.

Usta nadal mnie mrowią po pocałunku Aurory.

- Teraz! - mówię.

*Zero* odbija od holownika w tej samej chwili, w której my wyskakujemy ze śluzy, czuję żar silników naszego statku, gdy przelatuje nad nami bezgłośnie. Nieskończona czerni buzuje ogniem dookoła nas, rakiety w naszych plecakach płoną z maksymalną mocą, żebyśmy zwolnili, zanim rozbijemy się na miazgę na burtach *Totentanza*. Widzę nasz cel dokładnie przed nami - trzecia śluza powietrzna tuż poniżej głównego napędu sterującego. Pędzimy przez czerni, ja przodem, Finian tuż za mną, serce mi bije jak młotem.

Pochyliłam się, włączam magnetobuty, obejmuję kolana, szykując się na uderzenie. Moje silniki dygocą, płoną, gwałtowne spowolnienie sprawia, że żołądek osuwa mi się do pięt. Ude-

rzam mocno w burtę *Totentanza*, prawy magnetobut ześlizguje mi się, ale drugi trzyma mocno, gdy zatrzymuję się tuż poniżej drzwi słuzy z takim impetem, że mało mi nie pogruchotało kości. Odwracam się, żeby złapać Finiana, który nadlatuje błyskawicznie tuż za mną. Uderza mocno o statek, klnąc głośno, a ja łapię go za skafander, by nie odbił się od burty. Wymachuje rękami, czarne oczy ma wielkie jak wielka jest otaczająca nas pustka. W końcu jednak udaje mu się oprzeć buty na kadłubie.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Potrzebuje chwili, żeby złapać oddech, zgina się wpół z rozwartymi ustami.

– Nie tak sobie wyobrażam dobrą zabawę – mówi.

– Podajcie swój status! – domaga się Tyler.

– Dotarliśmy bezpiecznie – odpowiadam, rozglądając się w ciemności. Widzę potężne kadłuby konwoju ciągnącego się za nami, dostrzegam odległy rozbłysk ognia, gdy *Zero* nadal wymyka się prześladowcom. – Szykujemy się do wejścia.

Palce Finiana tańczą na unikronie. Mruży oczy, patrząc na ekran.

– Szybko – ponaglam go.

– Jak chcesz sam pobawić się hakerką, to proszę bardzo, Elfiku – warczy w odpowiedzi.

Każda sekunda wlecze się cały eon, każda chwila, jaką tu tracimy, to dodatkowa odległość, jaką przemierzy sygnał SOS Hefajstosa. Z każdą sekundą sygnał pędzi ku kolejnym uszom: łowców nagród, Terrańskich Siły Obronnych, GAW, mojej siostry.

W końcu jednak z triumfalnym uśmiechem Finian spogląda na mnie i kiwa głową. Wyczuwam serię ciężkich szczęknięć przebiegających przez metal, sięgam w dół i łapię się włazu. Napinam mięśnie, żyły nabrzmiewają mi na szyi, kiedy otwieram służę dość szeroko, żeby Finian wcisnął się do środka. Ruszam szybko za nim, zatraskując wąż za nami. Nasz Macher już pracuje nad wewnętrznymi drzwiami, gdy w służie jest przywracane normalne ciśnienie. Grawitacja i hałas powracają z całą mściwością, czerwone światła rozbłyskują, alarmy wrzeszczą.

– Wiedzą, że tu jesteśmy – mówię.

– Właśnie włamaliśmy im się do systemu podtrzymywania życia i otworzyliśmy ich statek wprost na przestrzeń kosmiczną, więc jasne, że wiedzą, że tu jesteśmy!

– Nie wychylaj się – mówię mu. – Trzymaj się za mną.

Rozlega się szczęk i wewnętrzna słuza rozsuwa się z cichym szumem. Natychmiast salwa strzałów z dezektorów uderza do wnętrza. Odpycham Finiana pod ścianę, sam chowam się za włazem, gdy naładowane cząstki rozbłyskują i skwierczą. Metal blisko mojej głowy czernieje pod wpływem następnego strzału. Krew gra mi w żyłach.

– Czy wyście całkiem poszaleli?! – rozlega się krzyk.

– Wypierdzielajcie z mojego statku! – krzyczy ktoś inny.

Wewnętrzny Wróg jest już blisko powierzchni. Pływa tuż pod moją skórą.

To nie są wojownicy, szepcze.

To robaki.

Czekam, aż nastąpi przerwa w ostrzale, wychylam głowę zza drzwi i zaraz chowam się z powrotem. W okamgnieniu zliczyłem sześciu ludzi. Wszyscy są uzbrojeni. Bez pancerzy. Na

wpół odkryci.

Złam ich, mówi Wewnętrzny Wróg.

Wychodzę na korytarz, a oni wstają zza osłony, żeby otworzyć ogień. Umykam przed ich salwą w bok, czuję rozbłysk naładowanych cząstek obok policzka. Wszechświat porusza się w zwolnionym tempie. Sześć uderzeń w spust, sześć strzałów z karabinu i wszyscy leżą na podłodze. Ślina sączy im się z ust.

To wszystko. Skończyło się, zanim się zaczęło.

Powinieneś ich zabić, szepcze Wewnętrzny Wróg.

„Litość to domena tchórzy, Kaliisie”.

– W mordę kopane – szepcze Finian, wychylając się ze śluzy. – To było...

– Rozczarowujące – rzucam. – Chodź. Musimy się śpieszyć.

Przeskakujemy nad powaloną załogą i biegniemy na mostek.

---

<sup>1</sup> *Totentanz* (niem.) – taniec śmierci (przyp. tłum.).



Zatem pomysł kapitana, żeby wysłać do nas wszystkich, był ewidentnie błędem, zważywszy, że Kal rozważał ich tak, że teraz wszyscy leżą w ładowni jak banda kadetów na przepustce.

W końcu słyszałem, co wyprawiają kadeci podczas przepustek.

Oczywiście sam jestem ucieleśnieniem wysokich standardów naszej Akademii.

Niemniej skoro cała załoga *Totentanza* wybrała się do krainy snów, drużyna 312 przejmując oficjalną kontrolę nad holownikiem i misja przebiega dokładnie zgodnie z planem. Co zawsze sprawia, że zaczynam się denerwować. Oczywiście dla Tylera i reszty gangu sytuacja nadal jest dość ekscytująca i pojawia się drobne pytanie, jak, na miłość Stwórcy, mamy wrócić na *Zero* i nie dać się przy okazji zamienić w obłoczek pary, jednakże, jak mawia moja druga matka, wszystko w swoim czasie.

Jesteśmy na mostku i właśnie czaruję czarną skrzynkę z *Hadfielda* (która rzeczywiście jest pomarańczowa, jak zauważam z pewną satysfakcją), zerkając na Kala kątem oka. Gdyby ukrywanie mojego zauroczenia Scarlett Isobel Jones nie było pracą na pełen etat, to serio rozważałbym, czy nie dodać Kala do harmonogramu moich fantazji na jawie. Rozumiem, co Auri w nim widzi. Silny, milczący, posępny. Wszystko to co najlepsze.

Kal przyłapuje mnie na zerkaniu na niego i unosi idealną brew.

- Ile czasu potrzebujesz na wykonanie zadania? - pyta bez krztyny romantyzmu.

- Pracuję nad tym, wielkoludzie - odpowiadam.

I rzeczywiście pracuję. Skłaniam strumień danych do przewędrowania z pomarańczowej skrzynki na podłodze prosto do mojego unikronu i szepczę do nich słodkie głupstewka, byle się pośpieszyły. Ekipa złomiarzy wycięła rejestrator z biednego starego *Hadfielda* całkiem schludnie, ale wciąż fakt, że leży tu tak po prostu na podłodze kokpitu, jest nieco upiorny. Wiecie, gdy myślę, po co go zbudowano i w ogóle...

Kręcę głową, żeby odpędzić tę myśl, bo poprowadzi prosto do statku-widma pełnego trupów, który właśnie zostawiliśmy za sobą, jeśli nie będę uważny. Zamiast tego przyglądam się danym, które właśnie rabuję. Na pierwszy rzut oka widzę, że mnóstwo tych informacji dotyczą nawigacji, a właśnie tego szukaliśmy. Przy odrobinie szczęścia doprowadzą nas do miejsca, gdzie coś dziwnego przydarzyło się *Hadfieldowi*. I Aurorze.

Ustawiam szyfrowanie danych przy zapisie, żeby nikt poza niżej podpisanym nie mógł się do nich dostać. To sześćdziesięciocyfrowe szyfrowanie mimetyczne z zaciemnieniem kodu, taki drobiazg, który wymyśliłem jeszcze w akademii. Miałem mnóstwo wolnego czasu

z racji tego, że moje życie towarzyskie nie istniało. I komu jest teraz do śmiechu, hę? Mam ten morderczy szyfr, najnowocześniejszy statek kosmiczny i wielkiego przystojnego kumpla, który strzela do ludzi, kiedy tego zapagnę.

Czego więcej może chcieć chłopak?

I jakby w odpowiedzi na to pytanie rozlega się głos Scarlett w mojej słuchawce:

- Mamy problem.

Kal mruży oczy.

- Rozwiń, proszę.

- Nadlatują statki – melduje Zila. – Zbliżyły się dzięki maskowaniu, ale już je widzimy. Jest ich co najmniej tuzin. Zbliżają się szybko.

- Ktoś odpowiedział na SOS Hefajstosa – mówi Scarlett.

Marszczę czoło, licząc to w myślach.

- Już?

- Musieli być o wiele bliżej niż w Szmaragdowym Mieście, skoro już tu dotarli. Całe nasze szczęście.

Kal zerka na mnie i pyta z kamiennym spokojem:

- Ile jeszcze, Finian?

- Dziewiętnaście sekund – odpowiadam, poganiając w myślach dane, żeby przelatywały szybciej. Bo to zawsze działa, jak wiadomo.

- Będziemy gotowi do odbioru za dwie minuty – odpowiada Kal.

- Przyjąłem, możemy... – odzywa się Tyler. – Och, na oddech Stwórcy...

Już mam sam poprosić, żeby rozwinął tę myśl, kiedy Kal klnie cicho po syldrańsku, co sprawia, że zerkam na ekrany. Na przednim ekranie holownika widzimy bez przeszkód pół tuzina smukłych, ostrych jak brzytwy myśliwców, które pędzą nam na powitanie. Ich kształt utrudnia wykrzycie. Serce ucieka mi do butów, kiedy widzę, jak jeden z nich przeprowadza jak gdyby nigdy nic błyskawiczny ostrzał, po którym z trzech myśliwców ochrony zostają wraki, a ich szczątki powoli koziółkują przez czerni.

Kolejni z nowo przybyłych włączają się do walki, pociski i ostrzał pulsacyjny rozświetlają ciemność. Po paru chwilach statki ochrony Hefajstosa, z którymi Tyler bawił się w chowanego przez cały ten czas, przestają istnieć.

- Kal... – szepczę. – Czy to są statki...?

- Syldran – odpowiada lodowatym głosem.

- Ale to tylko myśliwce przechwytyjące – protestuję. – Są za małe, żeby przylecieć tu bez wsparcia. Musi im towarzyszyć...

Zerkam w kamery rufowe i serce zaciska mi się w piersi.

- O, w mordę...

Ciemny kształt wisi na ekranie podświetlony od tyłu przez słońce tutejszego układu planetarnego – widzę tylko sylwetkę na tle dysku płonącej czerwieni. Jest wielki, szpiczasty i w życiu nie widziałem czegoś, co wyglądałoby bardziej śmiercionośnie. Jest cały czarny i ma ogromne białe znaki wymalowane na burtach pięknym pismem.

To są znaki Nieugiętych.

Drobna zmarszczka pojawia się między brwiami Kala – to u niego najbliższy odpowiednik zdenerwowania.

– *Andarael* – szepcze.

– Kal? – Tyler znowu się odzywa. – Znasz ten statek?

Scar odpowiada jednak za Kala, wyprzedza go o dwa kroki.

– To statek jego siostry.

Zielone światło rozbłyskuje przy moich stopach, zerkam w dół.

– Dane przegrane – mówię cicho, chociaż w tej chwili to naprawdę nie jest nasze największe zmartwienie.

Mimo wszystko jestem legionistą i otrzymałem rozkazy, więc przyklękam, zamierzając usmażyć czarną skrzynkę. Dzięki temu jedyna kopia danych będzie należała do nas. Na wypadek gdybyśmy wyszli z tej przygody żywi i mogli z nich skorzystać.

Słyszę wybuch trzasków zakłóceń z panelu komunikacyjnego *Totentanza* i niestety szanse na nasze przetrwanie zaczynają wyglądać coraz marniej.

– Witaj ponownie, Kaliisie.

Kal patrzy beznamiętnie na mrugające światło, które czeka na odpowiedź.

– Saedii – mruczy.

Nasz Czółg podchodzi do nadajnika na kokpicie krokiem lunatyka. Rozglądam się po mostku, szukając czegokolwiek, co może nam pomóc. Brudny kubek z napisem „Najlepsza babcia w całej Galaktyce!” stoi koło fotela drugiego pilota. Kurtka drużyny dżetbolowej leży pomięta na pokładzie koło stanowiska nawigacyjnego. Para pluszowych kostek zwiesza się nad fotelem pilota. Kiedy Kal się odzywa, mówi spokojnie, jakby rozmawiał o pogodzie. Mówi po syldrańsku, ale mój unikron ma dość wolnej mocy przetwarzania, żeby tłumaczyć mi wszystko.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko, siostro.

– Wybacz – odpowiada i w jej głosie rozbrzmiewa kpiący uśmieszek. – Odleciałeś w takim pośpiechu, że zapomniałeś wystosować zaproszenie.

– A mimo to jesteś.

– W rzeczy samej – mruczy Saedii.

– Jak to możliwe?

– Kaliisie, dotknęłam twojego statku. Chcesz powiedzieć, że nawet nie poszukałeś transmi-tera? Stałeś się powolny, miękki i głupi w tej przeklętej akademii. Uczą was tam zidiocenia?

Kal znowu zamyka oczy. Tak jak ja wyobraża sobie tamtą chwilę, gdy wylatywaliśmy ze Szmaragdowego Miasta. Saedii rzuciła się na *Zero*, trzymała się przez kilka bezcennych sekund, zanim Ty ją zrzucił. Musiała przyczepić sygnalizator do kadłuba. To dlatego Nieugięci byli tak blisko, kiedy ochrona konwoju wysłała SOS. Nie potrzebowali tego sygnału, żeby wiedzieć, gdzie jesteśmy.

– Saedii... – kontynuuje Kal. – Pytałaś raz za razem, a ja odpowiadałem i odpowiadałem. Nie chcę brać udziału w tym, co robisz.

– To, co robie, wymaga twojego udziału – odpowiada jego siostra nie kryjąc gniewu. – On się ciebie domaga.

Kal wyłącza nadajnik, przerywając połączenie z Saedii, żeby porozmawiać z *Zerem*.

– Tyler, musisz odlecieć – oznajmia. – Natychmiast.

Rozlega się chór protestów ze strony Złotego Chłopaka, Scarlett i Auri. Tyler zwycięża przy najmniej na chwilę.

– To nie wchodzi w grę – mówi.

Światelko nadajnika na tablicy rozdzielczej znowu ożywa.

– Zhakowaliśmy waszą łączność, więc nadal mogę cię słyszeć, braciszku. I nikt nigdzie się nie wybiera. Poddasz się żołnierzom, których wysłałam na twój statek, a twoja drużyna wyląduduje w hangarze *Andarael*.

– Czego chcesz od mojej drużyny? – pyta Kal i przez chwilę brzmi wręcz niemożliwe syl-drańsko. Jakby żaden z ludzi na pokładzie *Zera* nie miał najmniejszej wartości, jakby nie było warto opóźnić dla nich podróży choćby o minutę.

– Kaliisie, nie uważasz, że powinieneś należycie przedstawić starszej siostrze swoją be'shmai? – beszta go łagodnie Saedii.

Coś w sposobie, w jaki to mówi, w porażającym chłodzie jej słów, sugeruje, że nie droczy się tak po prostu z Kalem. Auri ma także i dla niej pewną wartość.

– Moja drużyna to nie twoja sprawa, Saedii. Wypuść ich, a dołączę do ciebie.

Kal zerka na mnie i widzę przeprosiny w jego wielkich fiołkowych oczach. Obaj wiemy, że cokolwiek stanie się z pozostałymi, jego siostra nie pozwoli mi wrócić na pokład *Zera*. A obaj wiemy, co Nieugięci pomyślą o moich ograniczeniach fizycznych. O moim egzozszkielecie.

Na klejnoty Stwórcy, co za beznadzieja.

Nie szkodzi. Niech drużyna odleci. To klan, który wybrałam, i chcę, żeby żyli. Dlatego biorę głęboki wdech i kiwam do niego głową.

Wyciąga rękę, żeby uścisnąć mi ramię, nie zważając na to, że prawie mi je miażdży.

– Kal... – odzywa się nagle na łączu Aurora. – Kal, nigdzie nie odleczę bez ciebie.

Słyszę strach w jej głosie, ból. Nabijam się z Kala i Auri z tego powodu, bo – sami rozumiecie – taki już jestem, ale przecież widzę, co się między nimi dzieje. Jak wiele ona znaczy dla niego i jak dużo on zaczyna znaczyć dla niej. Aż sam się zastanawiam, jak by to było, gdyby ktoś myślał w taki sposób o mnie. Gdybym znalazł kogoś, kto patrzy na mnie tak, jak on patrzy na nią. Wiem, to pewnie głupie myśleć o tym w takiej chwili.

I dlatego dostrzegam ją pół sekundy za późno.

Postać w wejściu na mostek, która opiera się o drzwi i krew kapie jej z nosa. Dociera do mnie, że to nie jest Syl-dranka, tylko ktoś z załogi holownika Hefajstosa, którą Kal załatwił zaraz po naszym przybyciu. Może najlepsza babcia w Galaktyce. Może fanka dżetbolu. Kimkolwiek jest, wygląda jak odgrzewana śmierć; mimo to udało jej się wstać i podejść chwiejnie do kokpitu.

I trzyma dezelator.

– Kal! – krzyczę, unosząc ręce, jakbym mógł zatrzymać strzał.

Nasz Czołg nadal patrzy na przyciski systemu łączności, na głośnik, z którego wylewają się groźby jego siostry. Jednakże na dźwięk mojego głosu obraca się i wyciąga dezelator zza pasa. Porusza się szybko, szybciej niż jakikolwiek Betraskanin albo Terranin, ale nie dość szybko.

Odpycha mnie na bok, zaciska palec na spuście, kiedy przenikliwy ssssyk dezalatora ustawionego na zabijanie przecina mostek i dzwoni mi w uszach.

Serce zaciska mi się, kiedy scena przed moimi oczami rozgrywa się jak w zwolnionym tempie.

Kal obraca się w bok, próbując uniknąć trafienia.

Strzał uderza go prosto w pierś.

Kal otwiera szeroko fiołkowe oczy z bólu, rozdziawia usta wstrząśnięty.

I leci do tyłu, ślina tryska mu spomiędzy wyszczerzonych zębów. Uderza o panel sterowania i osuwa się na ziemię. Pracownica Hefajstosa zatacza się i pada trafiona przez Kala, jej karabin uderza z brzękiem o pokład. Słyszę, jak drużyna krzyczy przez nasz kanał łączności, siostra Kala przez system łączności *Totentanza* dopytuje się, co się stało.

Mnie jednak odebrało głos.

Mogę tylko gapić się na dymiącą dziurę w skafandrze Kala, na jej czarne przypalone brzegi.

Dokładnie na wysokości serca.

I mimo wszystkich krzyków, mimo wstrząsu rzucam się do działania w sposób, który ucieszyłby i z pewnością zaskoczył moich instruktorów z akademii – tak jak mnie tego uczono.

Najpierw zabezpiecz swoją pozycję.

To jedno jest łatwe – zerkam na babcię i widzę, że trafienie Kala całkiem ją załatwiło – leży nieprzytomna w przejściu.

W drugiej kolejności pomoc medyczna.

Opadam na kolana, wydjmuję multitoola ze schowka w egzoszkielecie, rozcinam materiał skafandra Kala i izolację pod nim. Przez cały ten czas on się nie rusza, a mój mózg przywołuje obrazy Cat na Octavii – niebieskie oczy, źrenice jak kwiaty, wyciągnięta ręka, smutek na jej twarzy, gdy patrzyła, jak odchodzimy.

Najpierw siedmioro.

Potem sześcioro.

A teraz piątka?

– Finian, podaj status! – krzyczy Tyler.

Nie znowu, nie, tylko nie Kal, Stwórco, nie on...

– Fin, co się stało?! – wrzeszczy Auri.

– Kal oberwał – udaje mi się odpowiedzieć.

– Fin, nie!

– Oberwał...

Puls dudni mi w uszach, w ustach mi zasycha, gdy odsuwam na bok materiał, oczekując głębokiej rany, ciepłego fioletu brudzącego mi ręce.

Ale...

Nie widzę tam niczego.

Mrugam powiekami i coś pomiędzy szlochem i śmiechem wyrывa mi się z ust. Bo, chwała Stwórco, widzę pod spaloną izolacją skafandra i przypalonym materiałem munduru Legionu coś, co zatrzymało siłę uderzenia. Ręce mi się trzęsą, gdy wyciągam to z jego kieszeni na piersi

i patrzę, jak światełka z pulpitu sterowniczego błyszczą na przypalonym srebrze. Rozdziawiam usta ze zdumienia.

To przekłete pudełko na cygaretki...

Kal stracił przytomność, może z powodu trafienia, może od uderzenia o konsolę. Będzie miał konkursowego siniaka, kiedy się obudzi.

Ale żyje.

Nie mogę tego samego powiedzieć o biednym pudełku na cygaretki. Jest wykrzywione i otwarte. Serce tłucze mi się o żebra, gdy głosy mojej drużyny rozbrzmiewają przez system łączności, a ja zdaję sobie sprawę, że w pudełeczku coś leży.

- Finian, podaj status! - domaga się Tyler.

- Fin, co się dzieje?! - krzyczy Auri.

- Wszystko w porządku - mówię drżącym głosem. - Nic mu nie jest...

Otwieram pudełko, zmuszając ręce do współpracy, chociaż adrenalina zalewająca mi nerwy sprawia, że egzoszkielec ledwie sobie radzi. W pokrzywionym metalu leży kawałek papieru, mały, kwadratowy skrawek z napisanymi odręcznie czarnymi literami.

Liścik.

Trzy słowa.

*Powiedz jej prawdę.*

Komu?

Jaką prawdę?

To są dwa dobre pytania. Na razie jednak słyszę, że Saedii domaga się, żebyśmy się poddali, kolejne syldrańskie myśliwce roją się w otaczającej nas przestrzeni. Słyszę, jak Tyler niechętnie rozkazuje mi nie stawiać oporu. Dlatego mój mózg odpycha te dwa pytania na bok na rzecz istotniejszego.

Odwracam się z liścikiem w drżących rękach i z trudem zaczerpuję tchu. Staram się poskładać kawałki w całość. Ponieważ tak samo jak reszta podarków ze skrzynki depozytowej, tak jak *Zero* w porcie Szmaragdowego Miasta, ten liścik czekał na nas, odkąd ja i Kal byliśmy dziećmi.

Na Stwórcę, jakim cudem to może być mój charakter pisma?

### **Temat: Stosunki międzyrasowe**

► Słynne bitwy

▼ Inwazja na Oriona

Inwazja na Oriona nastąpiła w 2370.2. To najbardziej niesławny incydent w wojnie Terrańsko-Syldrańskiej. Atak przeprowadziła zbuntowana syldrańska frakcja Ligi Zbrojnych (patrz: Nieugięci) podczas zawieszenia broni między terrańskim i syldrańskim rządem.

Terrańskie Siły Obronne były zajęte rozmowami pokojowymi, więc Ziemia dała się całkowicie zaskoczyć. Chociaż ostatecznie udało się odeprzeć atak, terrańskie stocznie na Bellatrix i Sigma Orionis zostały zniszczone, TSO zdziesiątkowano.

Zdrada Nieugiętych pobudziła terrańską populację do działania i przedłużyła konflikt z Syldranami o kolejne osiem lat. Chociaż ostatecznie zawarto pokój zwany Porozumieniem Jericho, napięcie między obiema rasami nigdy nie minęło.

Hmm. To smutny temat.

Przytulić?

Pamiętajcie o Orionie.

Te trzy słowa płoną w moim umyśle, kiedy Ty wprowadza *Zero* do hangaru *Andarael*. Powinam martwić się o Kala. O Auri. Powinam martwić się, że słowo *Andarael* znaczy po syldrańsku „Ta, która Spoczywa ze Śmiercią”. Powinam zastanawiać się, jak nas wykaraskać z tej sytuacji. W końcu jestem Twarzą drużyny. Przeciwnik ma przewagę w uzbrojeniu i ludziach, jedynie dzięki dyplomacji możemy wyjść z tego cało. Nie mogę jednak skupić się na aktualnym problemie, nie potrafię wymyślić żadnych błyskotliwych, hardych, seksownych słów – nic.

Ponieważ ci ludzie zabili naszego tatę.

Pamiętajcie o Orionie.

Nasz tata był Wielkim Człowiekiem. Wszyscy tak mówili mnie i Ty’owi. Te właśnie słowa powtarzano w kółko na pogrzebie senatora Jericho Jonesa. Wszyscy dyplomaci i dygnitarze, wszyscy oficerowie z piersiami obwieszonymi błyszczącymi medalami. Wypowiadali te słowa z powagą. Wypowiadali je z przekonaniem.

Przez duże „W”. I duże „C”.

Wielki Człowiek.

Kłopot w tym, że Wielcy Ludzie zwykle nie są wspaniałymi ojcami.

Nigdy nie poznaliśmy mamy. Zmarła, kiedy oboje byliśmy za mali, żeby ją zapamiętać. Tata oczywiście starał się, naprawdę się starał. Kłopot w tym, że wszyscy chcieli czegoś od wspaniałego Jericho Jonesa. Nie wystarczało go dla wszystkich.

Syldrańska wojna z Terrą szalała już od dwudziestu lat, kiedy pojawiliśmy się z Tylerem, a tata służył w wojsku przez dwanaście lat z tego okresu. Należał duszą i ciałem do TSO, był asem, który uciekł z niewoli i poprowadził atak na Kireinę IV, podczas którego Flota Terrańska powstrzymała dwukrotnie większą armadę syldrańską. O tego czasu stał się żywym symbolem walki. Terrańskie Siły Obronne umieściły go w swoich reklamach rekrutacyjnych – patrzył prosto na ciebie lodowato niebieskimi oczami i mówił „Ziemia potrzebuje bohaterów”. Rok później został kontradmirałem. Najmłodszym w historii TSO.

A potem pojawiliśmy się Tyler i ja, a on zrezygnował ze służby.

Tak po prostu.

Niestety nie po to, by wychowywać dzieci. Rok po opuszczeniu TSO tata zaczął się ubiegać o miejsce w senacie i wygrał z miażdżącą przewagą. Potem nigdy go nie było. Mimo to Ty po



prostu go uwielbiał i nie mogłam naprawdę mieć mu tego za złe, zważywszy, co tata robił. Ponieważ, będąc symbolem TSO, został najdonioślejszym głosem w terrańskim rządzie, który domagał się pokoju. Nadal uczył w Akademii Aurory o ciętej mowie, jaką wygłosił przeciwko wojnie w 2367. „Nie mogę już patrzeć własnym dzieciom w oczy i nie widzieć zła w zabijaniu dzieci innych ludzi” – powiedział i to zawsze doprowadzało mnie do szału, bo tak niewiele czasu z nami spędzał.

Jednakże widok największego ziemskiego bohatera nawołującego do pokoju z Syldranami pomógł zmienić zdanie opinii publicznej na temat wojny. To Jericho Jones zapoczątkował prawdziwe rozmowy pokojowe z syldrańskim rządem, to on zorganizował zawieszenie broni w 2370. Wojna szalała już wtedy prawie od trzydziestu lat. Klęski, jakie ponieśli, sprawiły, że Zbrojni stracili przewagę w radzie syldrańskiej, a Obserwatorzy i Wędrowcy tak samo jak my mieli dość rozlewu krwi. Spisano traktat pokojowy. Wszyscy byli gotowi go podpisać.

A potem?

Pamiętajcie o Orionie.

Zbrojni uznali traktat za haniebny. Za przejaw słabości. I pod dowództwem archonta zbuntowany odłam Zbrojnych zaatakował podczas rozejmu. Zdesperowany rząd terrański przywrócił do służby czynnej wszystkich rezerwistów, żeby wzięli udział w kontrataku.

Tata nie latał myśliwcem od lat. A mimo to odpowiedział na wezwanie. Pamiętam, jak pocałował mnie w czoło, otarł mi łzy i powiedział, że zdąży wrócić na nasze urodziny.

Zamiast niego wrócił mały aluminiowy pojemnik z jęgo prochami.

Słowa „Pamiętajcie o Orionie” stały się wtedy wezwaniem do walki. Na każdym plakacie rekrutacyjnym widniały słowa „Pamiętajcie o Orionie”, pojawiały się w każdym simprzekazie, w każdych wiadomościach. „Pamiętajcie o Orionie!” – ryczał sam prezydent na pogrzebie taty, zaraz po tym, jak powiedział nam, jakiego Wielkiego Człowieka wszyscy straciliśmy.

Ja jednak nie straciłam Wielkiego Człowieka na Orionie. Straciłam tatę. I chociaż żałowałam, że nie był równie wielkim tatą, jak był człowiekiem, to możecie założyć się o własny tyłek, że nie zapomniałam.

Pamiętam, że archont, który dowodził atakiem na Oriona, nazywał się Caersan, a potem zapamiętano go pod imieniem Gwiazdobójcy. Zaś odłam, któremu przewodził? Ci łajdacy, którzy tak kochali ideę wojny, że nie mogli znieść życia w pokoju?

Pamiętam, że nazwali siebie Nieugiętymi.

A teraz jesteśmy przez nich otoczeni.

Hangar *Andarael* jest dość duży, żeby pomieścić w środku dwadzieścia *Zer* – starsza siostra Kala ma pozycję wśród tych wariatów, a jej statek to nie przelewki. Sam w sobie byłby imponujący, ale okręty wojenne to nie moja broszka i bardziej przejmuję się małą armią syldrańskich wojowników, którzy czekają na nas na zewnątrz, gdy Tyler wyłącza napęd. Stara się zachować spokój, ale widzę, że myśl o poddaniu się tym łajdakom boli go równie mocno jak mnie. Auri wytrzeszcza oczy, ledwie powstrzymuje panikę – nadal nie wiemy, jak poważne rany odniósł Kal na *Totentanzu*. A skoro nie ma go na pokładzie, to ja muszę przygotować drużynę.

– W porządku, Kal powiedział, że Saedii jest templariuszką – mruczę, wychodząc za konsoli. – Co zasadniczo znaczy, że jest dowódcą okrętu wojennego w służbie czynnej. To nie jest

ranga, do której dochodzisz wśród Nieugiętych, nie będąc pod każdym względem złą nowiną.

- Jasne. - Ty kiwa głową.

- Pamiętajcie, większość Nieugiętych należała kiedyś do Ligi Zbrojnych tak jak Kal. Oni szanują siłę. Waleczność. Odwagę.

Ty patrzy mi w oczy i narzuca kurtkę od munduru Legionu Aurory.

- Nie mam wątpliwości, że okażesz to wszystko i znacznie więcej, legionistko.

Kręcę głową.

- Tyler, to ty powinieneś z nimi rozmawiać.

- Ty jesteś moją Twarzą. Przygotowywałaś się do tego. Nie mówię po syldrańsku nawet w połowie tak dobrze jak ty, nie znam zwyczajów i...

- Jesteś naszym Alfa, Szczawiku. Jeśli mają widzieć w tobie przywódcę, musisz stać na czele. W dodatku nasza rodzina miała do czynienia z tymi ludźmi. Kireina IV to była największa porażka, jaką Syldranie odnieśli podczas całej wojny. Te sukinsyny będą pamiętać nazwisko naszego ojca.

Patrzę mu w oczy, zaciskając usta.

- To także nasze nazwisko - dodaję.

Ty bierze głęboki wdech. Widzę teraz w jego oczach tatę. Wspomnienie tego aluminiowego pojemnika z prochami, które zjawilo się akurat na nasze urodziny.

Wszystkiego najlepszego, dzieciaki!

- W porządku. - Kiwa głową. - Nie każmy gospodarzom czekać.

Maszerujemy korytarzem do głównego hangaru, zbieramy się na rampie wyladunkowej. Zila milczy jak grób. Zerkam na Aurorę i widzę, że zaciska zęby, strach maluje się w ułożeniu jej ramion, w przechyleniu podbródka. Zerkam na jej prawe oko, ale nie dostrzegam tam żadnego błysku, żadnej sugestii mocy. Mimo to widziałam, jak rozerwała *Hadfielda* na strzępy siłą umysłu, więc jeśli straci panowanie nad sobą i tutaj...

- Wszystko w porządku, skarbie? - pytam.

- Mówiłam Kalowi - mruczy wściekła i roztrzęsiona. - Mówiłam mu! Widziałam w wizji, jak zostaje postrzelony, a on i tak popędził tam jak ostatni idiota.

Dłoń Tylera zatrzymuje się nad przyciskiem otwierającym drzwi.

- Nie widziałaś przypadkiem, co teraz się stanie?

Kręci głową.

- I nie chcę sprawdzać. Myślałam, że... zaczynam się uczyć. Myślałam, że panuję nad tym, ale...

- W porządku, Auri - mówi Ty, ściskając jej dłoń. - Trzymaj się blisko mnie. Kalowi na pewno nic nie jest. Wyjdziemy z tego, jasne?

- Masz jakiś plan? - pytam.

- A ty? - odpowiada pytaniem, patrząc mi w oczy.

Klepię logo dyplomacji na moim rękawie: mały kwiatek w złotym pierścieniu.

- Taktyka to nie mój wydział.

Uśmiecha się i kręci głową.

- Może powinnaś poćwiczyć. Może pewnego dnia będziesz musiała poradzić sobie beze mnie.

- Nie dzisiaj. - Wzruszam ramionami. - Załatw ich, Tygrysie.

Tyler przyciska guzik, drzwi otwierają się z cichym elektronicznym szumem. Rampa opada na pokład *Andarael*. Wnętrze hangaru skontrolowano z ciemnego metalu podświetlonego czerwonym jak krew światłem. Projekt jest uderzająco piękny: eleganckie linie, łagodne łuki, równie wdzięczne jak czekający na nas wojownicy Nieugiętych.

Ich twarze są eteryczne i piękne, zacięte i okrutne, srebrne włosy noszą splecione w wymyślne warkoczki. Każdy ma na sobie pięknie wykonaną czarną taktyczną zbroję ozdobioną syldrańskim pismem i trofeami z różnych bitew. Każdy trzyma dezelatorowy karabin i ma dwa srebrne ostrza na plecach. Stoją wyprostowani w schludnych rzędach wzdłuż naszego zejścia ze statku. Na końcu czeka z podobnym do kuszy agonizatorem opartym o biodro siostra Kala, Saedii.

Wszyscy Syldranie są piękni, ale uroda niewątpliwie jest cechą członków rodziny naszego pana Gilwraetha. Saedii może i jest skończoną suką, ale jest też zabójczo piękna. To ten rodzaj urody, która każe dziewczynie się zastanowić, czy jednak nie woli dziewczyn. Jej oliwkowa cera jest gładka i nieskazitelna. Długie czarne włosy nosi odgarnięte z twarzy w kształcie serca, dla której można by odpalić milion statków. Jej oczy to tłący się fiolet okolony idealnie namalowanym czarnym pasem. Srebrny łańcuch z czymś, co wygląda jak obcięte kciuki, zwiesza jej się z szyi. Odzywa się po syldrańsku, a jej głos jest cichy i melodyjny, jakby raczej śpiewała, niż mówiła.

- Witajcie na pokładzie *Andarael*, ludzkie szumowiny.

Z uśmiechem podnosi agonizator z biodra i strzela prosto w Auri.

To się dzieje w ułamku sekundy, niemal za szybko, żeby się zorientować. Auri krzyczy, unosi ręce, ale zanim zdąży przywołać dar, czerwone pasy owijają się wokół niej i ozywają z trzaskiem. Jej krzyk rozbrzmiewa w hangarze, Auri pada na podkład i zaczyna się konwulsyjnie miotać.

- Auri! - woła Tyler.

Kłęką, dotyka jej ramienia i w nagrodę obrywa skrzącą się energią agonizatora. Cofa rękę, sycząc z bólu, podrywa się i widzi, że setka karabinów-dezelatorów celuje w jego pierś. Nie martwię się zbyt o niego - Ty nie jest tak głupi, żeby rzucić się na setkę uzbrojonych syldrańskich zabójców, a jego słowa nie będą zbyt obraźliwe, bo Tyler Jones, dowódca drużyny pierwszej klasy nie przeklina.

Za to Scarlett Isobel Jones klnie jak szewc.

Płynnie i po syldrańsku.

- Całkiem ci odwaliło, ty szurnięta suko?

- Mówisz w naszym języku. - Oczy Saedii błyszczą, kiedy obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów. - Zabawna sztuczka, mikrusie.

Tyler odzywa się po syldrańsku, ale mówi w rwany sposób.

- My... traktatowo żądamy... konwencji zgodnej...

Saedii obrzuca go spojrzeniem, krzywiąc usta.

- Ty, jednakże, jesteś mniej zabawny.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby się zabawiać, długoucha suko - odpowiadam.

Saedii wyciąga rękę i syczy gardłowo. Rozlega się łopot błoniastych skrzydeł. Stworzenie opada z dźwigara pod sufitem i pikuje przez hangar. Jest wielkości kota, przypomina gada, ma spore nietoperzowe skrzydła, długi węzowy ogon zakończony kolcem, który wygląda nieprzyjemnie. Bardzo przypomina mi wypchanego smoka Cat, tyle że jest czarny i gładki, a nie zielony i pluszowy. Stwór ląduje na przedramieniu Saedii i świergocze, mrugając na nas złotymi ślepiami.

Saedii szepcze do niego, a on trąca pyskiem jej długie szpiczaste ucho i mruczy. Elfia suka odgarnia włosy z ramienia i idzie wzdłuż szeregów wojowników w naszym kierunku. Tyler stoi obok mnie napięty jak struna, zaciska pięści, kiedy Saedii zatrzymuje się przed nim. Aurora nadal leży na plecach, jęczy i dygoce spazmatycznie w skwierczących czerwonych więzach.

- Mój Alfa żąda sprawiedliwego traktowania zgodnie z Porozumieniem Jericho, podpisanym przez terrański rząd i Wewnętrzną Radę Syldry w dwa tysiące trzysta siedemdziesiątym ósmym roku - mówię.

Saedii jest równie wysoka jak Ty, więc kiedy patrzy jej w oczy, to stoją praktycznie nos w nos.

- Twój Alfa powinien sam tego zażądać.

- Żądam sprawiedliwego traktowania zgodnie z Porozumieniem Jericho, podpisanym przez terrański rząd i Wewnętrzną Radę Syld... - mówi Tyler, doskonale naśladowując mój akcent i wymowę.

- Wewnętrzna Rada Syldry spłonęła razem z samą Syldrą - odpowiada Saedii. - Nie uznajemy waszego żałosnego rządu ani wasze żałosnego traktatu. - Pochyla się, patrząc Tylerowi prosto w oczy. - Urodziliśmy się z rękami zaciśniętymi w pięści, mikrusie. Urodziliśmy się ze smakiem krwi w ustach. Urodziliśmy się dla wojny.

- Nieugięci - mówią otaczający nas żołnierze zgodnym chórem. I nie wykrzykują tego jak żołnierze TSO na paradzie. To nie jest warczenie typowych mundurowych trepów. Wypowiadają to słowo z nabożeństwem, jakby to była modlitwa.

Saedii wyciąga smukłą dłoń. Z tak bliska widzę, że wysuszone grudki na srebrnym łańcuchu na jej szyi to rzeczywiście odcięte kciuki.

- Wasze unikrony - oznajmia lodowato.

Tyler patrzy jej w oczy i nawet nie drgnie. Nadal czuję słabe echo kopniaka w jego klejnoty niosące się przez nasze wspólne geny. Saedii dotyka kolby agonizatora i Auri leżąca u naszych stóp wygina plecy i wrzeszczy.

- Ślicznie śpiewa. - Uśmiech Saedii jest zimny jak czerni poza statkiem. - Rozumiem, dlaczego Kaliis może ponizać się w jej świątyni.

Smoczy stwór na ręce Saedii świergocze. Auri znowu krzyczy. Templariuszka Nieugiętych jest spokojna, jej twarz jest piękna i straszna.

- W każdej chwili, którą marnujecie, ona będzie dłużej śpiewać, mikrusy.

- Ona chce dostać nasze unikrony - wyjaśniam.

Tyler zerka na mnie i kiwa głową. Sięgamy do kurtek i podajemy unikrony. Saedii rzuca je Syldraninowi, który stoi w pobliżu – wysokiemu, smukłemu mężczyźnie z blizną biegnącą przez policzek i ze sznurem odciętych syldrańskich uszu przy pasie. Łapie je i kłania się.

– Gdzie mój brat, Erienie? – pyta go Saedii.

– Nasi adepci pojмали jego i Betraskanina, templariuszko – odpowiada jej przyboczny. – Są na pokładzie promu, który już leci na *Andarael*.

– Jest ranny?

– Poinformowano mnie, że dochodzi do siebie.

Saedii kiwa głową, chłodna i wyniosła.

– Zabierzcie go do izby chorych, gdy przyleci, dopilnujcie, by się nim zajęto. Zabierzcie ją... – wskazuje Auri – ...do celi i podajcie jej taką dawkę środków uspokajających, żeby znalazła się ledwie o włos od śmierci. Jeśli odzyska przytomność, zanim znajdzie się w rękach archonta Caersana, to będę bardzo niezadowolona.

– Twoja wola, moje ręce, templariuszko. – Przyboczny kłania się, zerka na mnie i Ty'a. – A oni?

Saedii obrzuca nas spojrzeniem i zaciska usta. Niby-smok świergocze znowu, trzepocze skrzydłami i liże Saedii po uchu długim różowym jęzorem.

– Mało mieliśmy ostatnio rozrywek, prawda? – mówi. – Powinniśmy zatańczyć we krwi, żeby uczcić powrót mojego brata. Zatem kiedy Betraskanin przyleci...

Patrzy mi w oczy i wzrusza ramionami,

– Rzucie ich wszystkich drakkanowi.

\* \* \*

Nie jestem miłośniczką statków kosmicznych, ale trochę ich zaliczyłam. Korwety i krążowniki, myśliwce i niszczyciele. Jeden z moich chłopaków miał jacht kosmiczny i zabrał mnie na wycieczkę z Tamarr IV na Rigel z okazji moich siedemnastych urodzin. Miał na statku salę balową, w której było wszystko – w tym trzydziestoosobowa orkiestra.

(Pieres O'Shae. Były chłopak nr 30. Plusy: wysoki, bogaty, przystojny. Minusy: zdecydowanie przesadzał z języczkiem).

Mimo to nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była na statku, który ma własną arenę.

Znajduje się w trzewiach okrętu, jakieś dziesięć metrów poniżej poziomu pokładu. Jej ściany są wykonane z takiego samego ciemnego metalu co reszta *Andarael*, oświetlone szkarłatnymi kulami i poznaczone czymś, co wygląda jak ślady pazurów. Podłoga areny jest zasypała milionami gładkich, jarzących się kamieni i wznoszą się wśród nich wysokie, poskręcane iglice z ostrego, ciemnego metalu. Długie ławki ustawione w koncentrycznych kręgach zapewniają widok na arenę w dole.

Prowadzą nas tam, cały czas trzymając na muszce. Setki Nieugiętych wojowników zajmują miejsca zgodnie ze swoją rangą. Są tam i kobiety, i mężczyźni, wszyscy uzbrojeni i piękni. Każdy ma znak trzech skrzyżowanych ostrzy Ligi Zbrojnych na czole. Wykazują się typową dla Syldran arogancją, mówiącą „jesteśmy lepsi od was”, dzięki której są duszą towarzystwa na

każdej imprezie. Wyczuwam jednak niecierpliwe podniecenie, jakie ich ogarnia. Żądcę krwi i przemocy.

Saedii zajmuje miejsce na balkonie, wyciąga się na krzesle podobnym do tronu, którego oparcie ma kształt trzech skrzyżowanych ostrzy. Skrzydlaty pupilek siada jej na ramieniu i patrzy błyszczącymi złotymi ślepiami. Mały legion strażników czai się w jej pięknym cieniu.

Elfiki odprowadzają nas do skraju areny i na trap, który nad nią wisi. Słyszę zamieszanie za plecami i kiedy się odwracam, widzę, że kolejna grupa Syldran prowadzi do nas Finiana. Jego strój jest w lekkim nieładzie, ale wygląda na to, że nic mu się nie stało. Obejmuję go mocno i cmokam w policzek.

- Wszystko w porządku? - pytam.

Nasz Macher rozgląda się po tłumie wokół areny i zerka w dół.

- Poza tym, że zaraz zostanę pożarty ku uciesze tych ludzi? Pewnie, miewam się doskonale, Scar.

- *Touché*, panie de Seel. - Uśmiecham się. - Jak się miewa Kal?

- Nic mu nie jest. - Fin marszczy brwi, zamyśla się, jakby nagle nie był czegoś pewien. - Pudełko na cygaretki, które dał nam Adams... zatrzymało strzał. Jakby Adams wiedział...

- Jak to możliwe? - pytam zdumiona.

Tyler odzywa się, nim zaczniemy spekulować, jak zwykle przechodząc od razu do sedna sprawy.

- Zdobyłeś jednak dane z czarnej skrzynki, co?

Fin kiwa głową.

- Są na moim unikronie. Syldranie skonfiskowali mi go, ale dane zaszyfrowałem tak, jak to tylko możliwe. Będą potrzebowali czasu, żeby złamać szyfr, jeśli nie chcą całkiem stracić tych informacji.

- Świetna robota, legionisto.

Fin kiwa głową, zerka na arenę i z trudem przełyka ślinę.

- To ktoś coś wie na temat tego drakkana, któremu rzucają nas na pożarcie?

Wzruszam ramionami.

- Przespałam ksenobiologię.

- Nie są przypadkiem uczulone na Betraskan?

- Ten tam. - Ty wskazuje stworzenie na ramieniu Saedii. - To jest drakkan.

- Aha. - Fin marszczy brwi na widok małego gada o ciemnych łuskach owiniętego wokół gardła Saedii.

Templariuszka sięga do miski, która stoi obok niej, i rzuca stworzeniu kawałek mięsa, a drakkan chwytą je w locie ostrymi zębami.

- Ahaaa - mówię i od razu poprawia mi się nastrój.

Fin ściąga blade brwi.

- Nie zamierzam oceniać nikogo po rozmiarach, ale czy on nie jest odrobinę... za mały?

Saedii wstaje, wyciąga przed siebie ręce, przerywając naszą rozmowę. Rozgląda się po pozostałych Nieugiętych, promieniując mroczną władczą wolą, aż wszystkie szmery rozmów cichną, urywają się szeptem i słychać tylko szum silników i bicie mojego serca.

Kiedy na arenie zapada niezmacona cisza, Saedii przemawia po syldrańsku, a ja tłumacząc po cichu:

- Ten, który zaginął, został odnaleziony. W podzięcie dla Pustki za powrót mojego brata zaśpiewamy pieśń zniszczenia i odtańczymy taniec krwi. Będziemy ucztować na sercach naszych wrogów, aby ich siła stała się naszą siłą.

Daje znać wysokiej Syldrance na arenie w dole, stojącej przy panelu sterowania w ścianie pod nami. Wykrzywia usta w leciutkim uśmiechku.

- Wypuścić drakkana - rozkazuje.

Kobieta naciska guzik. Podłoga pośrodku areny rozwiera się nagle i z hukiem, odkrywając leże pod spodem.

A stamtąd dobiega donośny ryk, który przenika aż do szpiku kości.

- Ten nie brzmi mi jak malutki - szepczę.

Nieugięci wokół nas zaczynają tupać, rytmicznie i z powagą, a mnie serce zamiera, kiedy potwór wyłazi z legowiska. Ma dwadzieścia metrów długości, wijące się cielsko, przypomina gada i jest czarny jak noc. Jest też o wiele większą i o wiele wściekleszą wersją stworzenia, które siedzi na ramieniu Saedii. Odchyła łeb i ryczy, błyskając kłami w szkarłatnym świetle. Czuję ten dźwięk aż w piersi. Kły ma długie jak moja cała ręka. Żądło na ogonie jest dwa razy dłuższe ode mnie.

- Na oddech Stwórcy, umrzemy - szepcze Finian.

Tyler patrzy na mnie, zaciska zęby. Oczy robią mu się wielkie, kiedy szuka jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Taktyczny geniusz z tego mojego młodszego brata. I nawet jeśli nabijam się z niego z tego powodu, to muszę przyznać, że jego plany zawsze się sprawdzały. I chociaż nie jestem religijna, łapię się na tym, że jestem o krok od modlitwy do Stwórcy, żeby Ty odkrył jakiegoś asa w rękawie.

Saedii otwiera usta w zwolnionym tempie, a mnie serce zamiera, gdy zaczyna mówić.

- Chwileczkę! - ryczy Tyler.

Grzmot tupiących nóg odrobinę przycicha. Saedii patrzy z góry na Tylera i przekrzywia głowę, jakby był psem, który nauczył się mówić.

- Scar, tłumacz dla mnie - mruczy Tyler. - Wszystko, co powiem. To rozkaz.

Mówi twardo, jego oczy są jak lód i przez sekundę widzę w nim tak wiele z taty, że aż zbiera mi się na płacz.

- W porządku - odpowiadam cicho.

Tyler odwraca się do Saedii i rozkłada ręce. Zaczynam tłumaczyć, gdy on mówi:

- Nazywam się Tyler Jones. I jestem synem Jericho Jonesa!

Na te słowa na arenie zapada cisza. Imię taty niesie się falą wśród wojowników jak płomień. Tak jak powiedziałam, oni też pamiętają Wielkiego Człowieka.

- Mój ojciec walczył z waszym ludem przez wiele lat podczas wojny! - krzyczy Tyler. - Przelewał krew waszych wojowników tysiącami. I jego krew płynie w moich żyłach.

Teraz cisza jest absolutna, płonący gniew odbija się w morzu fiołkowych oczu. Pamiętają klęskę, jaką zadał im nasz ojciec podczas walk o Kireinę. Wstyd dla całej ligi, jaki przyniosła im ta porażka.

Ty patrzy na Saedii. Zaciska zęby, mruży oczy.

– Jestem dowódcą tej drużyny. Ja dowodzę, oni wypełniają rozkazy. Wśród nich jest twój brat. Moja siostra nie jest wojowniczką. Moja załoga to nie są wojownicy. Jeśli więc ktokolwiek wylądował tam, na dole, to ja i tylko ja. Syn Jericho Jonesa nie potrzebuje pomocy w zrobieniu torebki z marnej jaszczurki.

Przy tych słowach zacinam się i patrzę bratu w oczy.

– Tyler...

– Powiedziałas, że ci ludzie szanują odwagę – mówi cicho, nadal patrząc na Saedii. – Większej odwagi w sobie nie znajduję. Powiedz im, Scar.

Tłumaczę i widzę, jak Saedii mruży oczy na te słowa.

– Oni nie – mówi do niej Tyler, wskazując swoją pierś. – Tylko ja.

Templariuszka Nieugiętych odchyła się na tronie, przesuując czarnym paznokciem po brwi. Jej mały drakkan owija ogon wokół jej ręki i szczebiocze jej do ucha. Mama drakkan odpowiada rykiem.

– Jeśli pragniesz umrzeć samotnie, Terraninie, to proszę – mówi w końcu Saedii.

Kiwa głową do otaczających nas strażników i zanim zdąży zaprotestować, sprowadzają nas z trapu. Wołam, gdy znowu zaczyna się tupanie, narastający grzmot przybiera na sile wraz z dudnieniem w moich skroniach. Ty jest moim młodszym bratem, jedyną rodziną, jaka mi została. To ja jestem starszą siostrą, to ja powinnam opiekować się nim, nie odwrotnie!

– Tyler!

Nieugięty wojownik, który został przy nim, wyjmuje zza pasa i podaje mu małe ozdobne ostrze. Nóż jest tak mały, żeby można było ledwie przekroić nim bochenek proteinowego chleba, więc do czego niby ma się przydać w walce z długą na dwadzieścia metrów maszyną do zabijania – to przekracza moje rozumienie. Syldrańska wojowniczką na dole przyciska kolejny guzik i drzwi do legowiska drakkana się zatrząskują. Wybiega z areny, kiedy stwór pod nami zaczyna się kręcić, a jego ryk sprawia, że pokład drży pod moimi nogami. Żołądek mi się buntuje. Fin ściska moją dłoń. Ty patrzy na mnie i mruga.

– Wrzucić go! – woła Saedii.

Nieugięty unosi rękę, ale Ty już ruszasz, zeskakując na arenę, zamiast pozwolić, by pozbawiono go równowagi. Jego buty uderzają z chrzęstem o kamienie, a drakkan ryczy.

Musiano mu podciąć skrzydła, bo nie próbuje latać, a jedynie podskakuje i szybuje w stronę Ty'a z szeroko otwartą paszczą.

Tyler już koziołkuje za jedną z dziwnych metalicznych iglic. Potwór uderza o ziemię tam, gdzie Ty stał jeszcze chwilę temu, odwraca się gwałtownie i ryczy z wściekłości, wyciągając długą szyję jak wąż szykujący się do uderzenia. Mój brat jednak znowu koziołkuje za barykady. Rozgląda się desperacko po arenie i szuka drogi wyjścia.

– Tyler, uważaj! – krzyczę.

Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje – to mi się wydaje nierealne; tupanie, dzikie ryki zalewają mnie potwornymi, czarnymi falami. Ty jest szybki, zręczny, trenował walkę wręcz z najlepszymi w akademii, ale stwór, z którym się mierzy, nie ma rąk. Drakkan znowu skacze w powietrze, wznosi się nad kryjówką Ty'a, wali ogonem z kolcem w ziemię, kiedy mój



brat turla się w bok. Uderza długimi łapami, wyrrywając kawały metalu – tak, najwyraźniej jest w stanie rozciąć metal pazurami.

Odpryski spadają na kamienie i niektóre są równie wielkie jak głowa Tylera. Drakkan bierze zamach ogonem, uderza w Ty'a, który leci w powietrzu, a potem koziołkuje po jarzących się kamieniach, a ja znowu krzyczę. Mój brat podrywa się, jedną ręką ściskając żebra, i chwylie nie odsuwa się przed kolejnym ciosem. Ma krew na czole, kapie mu na usta. Widzę, jak potworną, straszliwą przewagę ma nad nim drakkan.

Jeden bezpośredni cios i stracę resztę mojej rodziny.

Zerkam na Syl dran i gniew wzbiera mi w piersi.

Jak mogą po prostu siedzieć i na to patrzeć?

Właściwie to nie ma w tym żadnego „po prostu”. Oni wiwatują. Obserwują jednostronną walkę i rozkoszują się tym. Gdzie w tym honor?

Jakim cudem to może być uczciwa walka?

Patrzę na Saedii i przysięgam na grób taty, że jeśli coś stanie się mojemu młodszemu bratu...

To zabiję cię, ty suko.

Tylerowi kończy się miejsce, kończą się pomysły, oddech mu się rwie. Wygląda na to, że ostatecznie uderzenie ogonem poważnie go zraniło. Drakkan szarżuje. Ten stwór to same mięśnie i ścięgna, jest szybki jak kobra. Tyler skacze do przodu, daje nura pod kłapiącą paszczą i ląduję pośrodku areny, padając na brzuch i sunąc po gładkich, jarzących się kamieniach.

Drakkan wykręca cielsko i skacze w powietrze, rozkłada okaleczone skrzydła, mój brat jest pod nim. Tyler drapie ziemię, próbuje wstać, unosi w desperacji mały nóż. Myślę, że Tyler wymanewrował się tak, żeby uderzyć bestię w brzuch, ale ten nóż to zaledwie wykałaczką.

Drakkan wrzeszczy triumfalnie i opada.

Tyler turla się, rzuca nożem, ale nie w brzuch stwora, jak myślałam, tylko przez całą szerokość areny. Przez sekundę podejrzejwam, że stracił rozum, że zmarnował jedyną broń, jaką miał, i teraz na pewno zginie.

Nóż kreśli łuk w powietrzu, obraca się – to doskonały, piękny rzut, po którym ostrze uderza rękojęścią w panel sterowania na ścianie.

Ty już się podrywa i rzuca się do przodu, kiedy drzwi do legowiska drakkana otwierają się z hukiem. Drakkan ryczy, gdy ziemia rozwiera się pod nim, trzepocze okaleczonymi skrzydłami i spada prosto do klatki, z której wypęłzł. Uderza o podłogę z grzmiotem, jego wrzask złości odbija się echem od metalu. Serce mi podchodzi do gardła, otwieram szeroko oczy. Tyler jednak już wstał i pędzi desperacko, kamyki wylatują mu spod nóg, kiedy skacze, wyciągając rękę ku przełącznikom akurat, kiedy monstrum wylazi z powrotem z legowiska. To wyścig: Tyler kontra drakkan, człowiek kontra potwór, pierwotny głód kontra rozpacz i niezłomna wola przetrwania.

Tyler wygrywa.

Drakkan wyskakuje z rykiem, drzwi się zatraskują. Brzegi uderzają w klatkę piersiową unoszącego się potwora, a Nieugięci podrywają się na równe nogi, paru nawet krzyczy z nie-

dowierzaniem, gdy drzwi klatki miażdżą żebra drakkana, krew tryska mu z paszczy. Zwierzę miota się i szarpie.

Tyler robi kilka kroków do przodu, jest zadyszany, zakrwawiony. Patrzy, jak stwór szarpie się w agonii, drapie metal, który go miażdży. Drakkan został pokonany, ale nie jest martwy, jego wrzask przyprawia mnie o mdłości, gdy próbuje się wyrwać, smród czarnej krwi wypełnia mi nozdrza.

Skwierczący strzał przecina powietrze, zabijający strzał z karabinu-dezelatora prosto w oko drakkana. Bestia szarpie się raz jeszcze i pada. Cała arena zamiera, legiony Nieugiętych stoją zaszokowane i skonsternowane. Podnoszę wzrok i widzę Saedii stojącą z karabinem przy biodrze. Patrzy na mojego brata, a jej twarz to piękna nieodgadniona maska.

Serce mi bije młotem, żołądek się zaciska. Zbrojni szanują umiejętność walki ponad wszystko, ale naprawdę nie wiem, jak to się teraz rozegra. W końcu Ty właśnie zabił pupilka tej obłąkanej suki.

Saedii celuje z karabinu w głowę Tylera. On patrzy na nią śmiało. Wystarczy jedno pociągnięcie za spust.

- Może jednak okażesz się zabawnym - mówi w końcu Saedii.

Wzdycham z ulgą, rozluźniam ramiona, z mojego ciała uchodzi całe napięcie. Saedii odwraca się do swojego przybocznego.

- Zabierz ich na poziom więzienny. Zamknij ich porządnie.

- Twoja wola, moje ręce, templariuszko - odpowiada. - A co z ich Alfą?

Saedii patrzy na Tylera, mrużąc oczy.

- Nakarmcie go i opatrzcie rany. - Zaciska usta i odrzuca warkocze na plecy. - A potem przyslijcie go do moich komnat. Chcę osobiście go przesłuchać.

Przyboczny kłania się i śpieszy wykonać rozkazy swojej pani. Patrzę na Tylera w dole i wbrew sobie uśmiecham się szeroko, kręcąc głową, a on mruga do mnie, ocierając krew z ust. A potem łapie mnie garstka pięknych Nieugiętych i popycha w górę schodami.

Prowadzą Finiana tuż za mną. Wygląda na równie zdumionego jak ja. Wciąż jesteśmy więźniami Nieugiętych, to jasne. Wciąż jesteśmy odcięci od Auri, Kala, a teraz także Ty'a, wciąż jesteśmy poszukiwani jako galaktyczni terroryści i wciąż zmierzamy nie wiadomo dokąd pod opieką tej psychopatki, siostry Kala. Wciąż siedzimy w bagnie po uszy.

Jednakże z drugiej strony jakimś cudem żyjemy.

Prowadzą nas serią ciemnych korytarzy oświetlonych plamami krwistego w kolorze światła. Syldrańskie znaki zdobią ściany, wystrój wnętrza stanowi dziwne zderzenie pięknych krzywych i prostych z makabrycznym gotyckim klimatem. Dudnienie silników to jedyny dźwięk.

Docieramy do miejsca opisanego „Więzienie” i bez żadnych ceregieli zostajemy wrzuceni do jednej z małych cel. Wzdłuż jednej z czarnych ścian ciągnie się ławka do spania, na podłodze jarzy się pasmo czerwonego światła.

Drzwi się zamykają. Siadam na ławce i obejmuję brzuch rękami. Cała się trzęsę.

- Scar? - pyta Fin.

- Tak? - odpowiadam szeptem.

- Myślisz, że Tyler przyjmie już niedługo propozycję małżeństwa?

Śmieję się, a mój śmiech zamienia się w zduszony szloch i obejmuję się mocniej, żeby zapanować nad sobą. Przez chwilę mogę tylko powstrzymać się przed całkowitym rozpadem. Myśl o tym, że prawie straciłam Ty'a, że prawie straciłam jedyne go krewnego, to dla mnie za dużo.

Fin siada obok mnie, gładki szum jego egzoszkieletu jest znajomy i pocieszający. Obejmuje mnie niezręcznie za ramiona.

- Nic mu nie jest - mruczy. - Ty'owi nic nie jest.

Kiwam głową, pociągam głośno nosem, powstrzymując łzy. Wiem, że nic mu nie jest. Wiem, że muszę wziąć się w garść, że muszę zebrać nas wszystkich z powrotem do kupy. W tej chwili jesteście rozproszeni po całym statku: Kal w izbie chorych, Auri zamknięta gdzieś na cztery spusty, Ty w szponach Saedii, a...

Mrugam i rozglądam się po celi. Żołądek zaciska mi się potwornie, gdy dociera do mnie, że kogoś jeszcze brakuje.

O, w mordę...

Nie pamiętam, żeby widziała ją na arenie. Nie mogę uwierzyć, że przegapiłam jej zniknięcie, nawet jeśli wziąć pod uwagę chaos walki i to, że zawsze jest taka cicha. Marszczę jednak czoło w skupieniu, przypominając sobie, że kiedy ostatni raz ją widziałam, byliśmy na pokładzie Zera i mieliśmy właśnie wyjść.

Odzywam się w ciemnościach szeptem:

- Gdzie, do diabła, jest Zila?

Szyby wentylacyjne na statku Saedii przywołują nieprzyjemne wspomnienia, kiedy się nimi czołgam. Mam podwyższone tętno, przyspieszony oddech. Oba te czynniki w znaczącym stopniu obniżają moją efektywność.

Zatrzymuję się, żeby zapanować nad myślami, zamykam oczy i skupiam się na wrazeniu, jak moje płuca rozszerzają się i kurczą. Przypominam sobie, że nie ma związku między tym, co się stało, gdy miałam sześć lat, i tym, co dzieje się teraz. Podobieństwa ograniczają się do faktu, że chowam się w szybach wentylacyjnych i że wrogie mi jednostki będą mnie szukać, o ile już tego nie robią.

Oraz do tego, że życie pozostałych zależy ode mnie.

Tym razem pozostałymi nie są moi rodzice, ale moja drużyna. Niemniej drużyna jest dla mnie... ważna. I oczywiście nasza misja jest ważna.

Tym razem nie zawiode, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować.

Według mojej oceny nikomu nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Finian i Scarlett niewątpliwie znaleźli się w mało komfortowych warunkach. Aurorę uspio i najpewniej nie jest świadoma swojego położenia. Kal i Tyler są dobrze traktowani zgodnie z rozkazem templariuszki.

Na podstawie tych faktów decyduję, że najpierw odzyskam nasz sprzęt, a dopiero potem zajmę się ratowaniem drużyny. Sama jestem zwinniejsza, a zauważyłam, że moi towarzysze często rozmawiają w trudnych chwilach, czego nie uważam za pomocne.

W pojedynkę jest łatwiej.

\* \* \*

*Miałam sześć lat.*

*Mieszkaliśmy na małym statku badawczym, który nazywał się Janeway i orbitował wokół Galanosy III. To była niegościnna planeta, ale doskonała kandydatka na instalację górniczą. Statek był mały, całą długość mogłam pokonać w dziewięć minut, a przebiec w trzy, ale była domem dla piątki naukowców i mnie.*

*Miałam raptem sześć lat.*

\* \* \*

Jestem w systemach podtrzymywania życia *Andarael*, w krętym labiryncie szybów pod pokładami i między poziomami. Patrę przez kratę na siódmkę syldrańskich techników, którzy próbują włamać się do naszych unikronów. Urządzenia techniczne stosowane w Akademii Aurory są najwyższej klasy i jestem pewna, że ich wysiłki spełzną na niczym przez następne siedem do ośmiu minut, zależnie od poziomu ich kompetencji.

Tyle wystarczy.

W tej chwili wygląda na to, że dwóch techników szykuje się, by zrobić sobie przerwę, więc czekam. Ich wyjście zwiększa moje szanse na powodzenie.

Cierpliwości.

\* \* \*

*Cierpliwość była wymagana na pokładzie Janeway i nie przychodziła mi łatwo. Mieliśmy ogromną cyfrową bibliotekę, wspólne miejsce odpoczynku, atlas do ćwiczeń i jednostkę hydroponiczną. Jednakże, prawdę mówiąc, było tam bardzo mało do roboty. Byłam niesfornym dzieckiem. Przebiegałam całą długość statku, żeby rozładować energię, wspinałam się na atlas do ćwiczeń na najróżniejsze sposoby, których nie przewidziano, gdy go projektowano, i hodowałam kwiaty na własnej malutkiej rabatce w jednostce hydroponicznej.*

*Moja matka była dowódcą wyprawy mającej na celu odnalezienie potencjalnych miejsc wydobycia cennych surowców. Ojciec był ekologiem, który miał poświadczyć, że instalacje wydobywcze nie zagrażą niczemu rzadkiemu ani unikatowemu. Dysponował mnóstwem wolnego czasu, zważywszy na naturę jego obowiązków, więc zajmował się także moją edukacją. Miał talent do prowadzenia ciekawych lekcji, a moja inteligencja oznaczała, że uczyłam się coraz szybciej bez specjalnego wysiłku i poczucia, że się przepracowuję.*

*Właśnie kończyłam odpowiednik szkoły średniej, kiedy zjawili się tamci mężczyźni.*

\* \* \*

Mężczyźni nade mną pochylają się nad przezroczystą silikonową ławką i rozmawiają cicho po syldrańsku. Obok unikronów, do których próbują się włamać, widzę przez przezroczyste tworzywo karty dostępowe do *Zera*.

Ucieczka naszym własnym statkiem to najlepsza opcja, ponieważ znamy jego możliwości i został przystosowany do naszych potrzeb. Może udałoby mi się odzyskać ukradkiem karty dostępowe, ale nie sądzę, żebym zdołała zabrać unikrony, nie zwracając niczyjej uwagi.

Obmyślam więc inny plan.

\* \* \*

*Rodzice wyjaśnili mi, że moje plany są nierealistyczne – sześciolatka na zajęciach na poziomie college'u napotka wiele trudności, bez względu na to, jak bardzo będzie rozwinięta czy społecznie przystosowana. Nawet jako małe dziecko wolałam nauki ścisłe, więc rodzice zabrali mnie ze sobą na Gallanosę III, uznając, że zacznę zdobywać wyższe wykształcenie we właściwym czasie.*

*Chociaż już w tak młodym wieku rozumiałam, że moja inteligencja jest nietypowa, nie chcieli, żebym czuła się wyizolowana. Chcieli, żebym była bezpieczna.*

*W obu kwestiach zawiedli.*

\* \* \*

Obaj starsi syldrańscy technicy wychodzą i zostaje tylko piątka, z którą muszę sobie poradzić. Przeczolguję się pod nimi szybem wentylacyjnym w stronę skrzyżowania na drugim końcu laboratorium.

Rozważyłam możliwości, przeprowadziłam analizę statystyczną każdego z możliwych działań najlepiej, jak byłam w stanie na podstawie dostępnych mi informacji.

Pierwszy krok: alarmy.

\* \* \*

*Alarmy uprzedziły nas siedemdziesiąt trzy minuty wcześniej, co nie było nietypowe w tak odizolowanym miejscu. To, że nadlatujący statek nie zareagował na nasze wezwania, było bardziej niepokojące, ale mogli mieć problemy z łącznością. Nie byliśmy kuszącym celem, przedstawialiśmy małą wartość. Jednak przestaliśmy mieć jakiegokolwiek wątpliwości, kiedy przemocą przycumowali do Janewy i wysadzili nasze słuzę.*

*W tym momencie byliśmy już bardzo zaniepokojeni.*

*Cały statek zadygotał, kiedy zamki puściły. Ojciec pchnął mnie – pierwszy raz zachował się wobec mnie tak szorstko poza zabawą w saigo – w stronę laboratorium Maxa i Hò.*

*– Schowaj się – szepnął, kiedy obejrzałam się zdziwiona.*

*Nie rozumiałam, ale byłam posłusznym dzieckiem, więc pobiegłam do przejścia i znalazłam sobie miejsce za skrzynkami z próbkami, które mieliśmy dostarczyć przy następnym locie na stację Marney. Mogłam stamtąd obserwować, co się dzieje.*

*Moja matka podeszła do nowo przybyłych. To było trzech mężczyzn ubranych w kombinezony równie zniszczone jak ich statek. Natychmiast ich rozpoznałam – spotkałam ich tydzień wcześniej, kiedy odwiedzałam Marney razem z ojcem.*

*Pamiętam widok matki w tamtej chwili. Miała na sobie niebieski kombinezon, włosy nosiła rozpuszczone – mocno zwinięte czarne loki, takie same jak moje, opadały jej na ramiona.*

*Nie pamiętam już jej twarzy.*

*Pamiętam jednak, że zastrzelili ją bez słowa.*

\* \* \*

Bezszelestnie docieram do skrzyżowania i włazu technicznego w ścianie. Potrzebuję więcej czasu, niż oceniałam, żeby rozbroić zabezpieczenia za pomocą unikronu. Nie jestem takim fachowcem od szpiegostwa komputerowego jak Finian.

Zamek na skrzynce z regulatorami to przyziemna rzecz i wystarczy mój uniwersalny nóż, żeby podważyć wieko, które rozcina mi wskazujący palec, gdy odskakuje. Ból jest przenikliwy

jak strużka ognia, zaciskam powieki i krzywię odruchowo twarz, starając się zachować ciszę.

Moje serce aż zbyt ochoczo wykorzystuje tę okazję, żeby znowu przyspieszyć, więc robię sobie następną rundkę ćwiczeń oddechowych, kiedy wyciągam autoszwy z kombinezonu i nakładam. Zerkam na techników Nieugiętych, ale ich pochłania pojedynki z zabezpieczeniami unikronów.

Wracam do pracy i badam panel techniczny, aż jestem pewna, że go rozumiem. Mogę odczytać znaki syldrańskie za pomocą unikronu, a oparty na tlenie system podtrzymywania życia nie może działać na nieskończenie wiele sposobów. Sprawdzam jednak raz i drugi, doskonale świadoma konsekwencji pomyłki. A potem zajmuję się systemem filtrów, odwracam kierunek działania wyciągu i czekam.

Oceniam, że oczekiwany rezultat otrzymam za mniej więcej piętnaście i pół minuty. Plus minus trzy, cztery sekundy.

\* \* \*

*Wystarczyły trzy, może cztery sekundy, żeby wszystko się posypało. Żeby ciało mojej matki padło na pokład, żeby następną salwa strzałów z dezperatorów przypaliła powietrze.*

*Na wizualach sensoryjnych (moi rodzice ich nie pochwalali, ale Miriam pozwalała mi je oglądać, gdy nie uważali) widziałam, że ludzie postrzeleni zawsze padają na plecy. Oczywiście trzecia zasada dynamiki Newtona tego zabrania – kula nie ma dość siły, żeby zmienić moment pędu ciała. Nadal jednak pamiętam zaskoczenie, kiedy Max zachwiał się i padł twarzą do przodu na pokład, po tym jak do niego strzelili.*

*Pozostała trójka dorosłych, w tym mój ojciec, uniosła ręce, poddając się. Patrzyłam zza skrzynek, powstrzymując krzyk. Pamiętam, że tętno miałam podwyższone, oddech przyspieszony do niebezpiecznego poziomu, w ustach mi zaschło.*

*Pamiętam, że to uczucie mi się nie podobało.*

*– Gdzie jest dziecko? – warknął przywódca napastników. To był głos mężczyzny; mówił z akcentem, być może z Tempery.*

*– Jakie dziecko? – zdumiał się mój ojciec, zanim Miriam albo Hòa mogli zareagować.*

*– Twoje dziecko – odpowiedział mężczyzna, zniżając nieco głos.*

*Mężczyzna przystanął, żeby oprzeć się o breg dziury, jaką napastnicy wyrwali w naszym statku. Uznałam, że to efekt narkotyku.*

*Wdychał nielegalną substancję, kiedy widziałam go tydzień wcześniej. Stacja Marney nie cieszyła się dobrą reputacją, ale można było tam dotrzeć do wielu czarnorynkowych substancji, a mój ojciec był człowiekiem praktycznym. Kiedy oddał nasze najnowsze próbki, zjechaliśmy graw-windą na niższe poziomy, żeby kupić składniki do specjalnego posiłku z okazji urodzin Hòa.*

*– Nigdzie nie odchodź, mam cię mieć stale na oku – powiedział mi.*

*Wypełniałam jego polecenie, ale przyciągnęła mnie grupka hazardzistów, którzy grali w tinterę. Uwielbiałam gry. Stanęłam na palcach, żeby widzieć rozdawane karty – przy każdej rundzie gracze musieli zdecydować, czy przyjąć nową kartę od rozdającego. Celem gry było zebranie tylu kart, żeby razem dawały dwadzieścia cztery.*

*Łatwo dało się zauważyć, które karty już poszły, ocenić prawdopodobieństwo sprzyjającego układu pozostałych kart i zgodnie z tym podjąć decyzję.*

*Kiedy za pierwszym razem poradziłam mężczyźnie, co ma wybrać, zaśmiał się.*

*Za drugim razem postuchał.*

*Za trzecim dał mi pięćdziesiąt kredytów i zaprosił do gry.*

*– Chodź, będziesz moim szczęśliwym talizmanem.*

*Wszyscy się zaśmiali, a ja uśmiechnęłam się szeroko. To było ekscytujące mieć nowych ludzi do zabawy. Życie na Janeway było okropnie przewidywalne.*

*Kiedy ojciec zabrał mnie piętnaście minut później, miałam już tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt kredytów. Kazał mi odejść od stołu i odprowadził mnie z pośpiechem, którego nie rozumiałam.*

*Teraz ten mężczyzna stał na naszym statku i pytał o mnie.*

*– Nie ma tu żadnego dziecka – odpowiedział mój ojciec.*

*Mężczyzna zastrzelił więc Hòd. Nie wydał najmniejszego dźwięku, umierając.*

*To Miriam nie wytrzymała.*

*– Nie strzelaj, ona tu jest! Pomogę wam ją znaleźć. – Odwróciła się, żeby mnie poszukać. Głos jej drżał. – Zila? Zila, chodź tu!*

*Nie podobało mi się to, co wtedy poczułam. Gniew, że przyjaciółka, która oglądała ze mną wizualne, zdradziła mnie. Pogarda, bo uznała mnie za dość głupią, bym jej postuchała. Strach, bo teraz wiedzieli, że tam jestem.*

*– Nie ma jej tu – odpowiedział cicho ojciec, zachowując spokój. – Odesłaliśmy ją do szkoły.*

*Zrozumiałam, że wkrótce zaczną szukać. A wtedy znajdą moje rzeczy. Głos mojego ojca ścichł do łagodnego, znajomego pomruku, gdy weszłam do szybu wentylacyjnego i poczołgałam się do kwater mieszkalnych.*

*Kiedy zeszłam do naszego pokoju, poczułam zapach matki, ciepły, korzenny aromat jej perfum, skandaliczny luksus na takiej placówce jak nasza.*

*Miałam niewiele rzeczy. Upchnęłam ubrania do kosza na pranie, ściągnęłam pościel z łóżka i rzuciłam ją na ubrania, żeby je zasłonić. Zgniotłam model wyposażenia górniczego, który przygotowywałam z ojcem, i wrzuciłam do recyklera.*

*Trzymałam się szybów, unikając mężczyzn, kiedy mnie szukali. Już zastrzelili trzy osoby. Szukali mnie. Zastrzelą mojego ojca i odlecą, kiedy już mnie znajdą. Zatem ode mnie zależało bezpieczeństwo ojca.*

*Tak podpowiadała logika.*

\* \* \*

Logika każe mi uznać, że to nie może dużo dłużej potrwać, a mimo to ogarnia mnie ulga, kiedy po dwunastej minucie jeden z Syldrán tłumi ziewnięcie. Zapamiętuję sobie, żeby później sprawdzić, jakie zmienne mogły spowodować, że gaz wpłynął na niego szybciej niż na innych. Tlenek węgla jest lżejszy od powietrza. Może więc dlatego, że jest wyższy?

Przyglądam się czterem technikom. Jeden ewidentnie słabnie, ale pozostała trójka ma się świetnie. Mam nadzieję, że w ich wypadku nie okaże się, że organizmy Syldrán są bardziej



wytrzymała, niż to szacowałam.

\* \* \*

Zapewnienie ojcu bezpieczeństwa okazało się trudniejsze, niż się spodziewałam, ale przez jakiś czas mi się udawało. To był mały statek, ale ja też byłam mała i miałam ogromne doświadczenie w zabawie w chowanego. Tym razem jednak nie chichotałam cichutko, gdy wymykałam się tym, którzy szukali. Nie uśmiechałam się pod nosem, kiedy mnie mijali.

Odepchnęłam uczucia bardzo mocno, kiedy wyszłam z szybu do biura matki. Wyobraziłam sobie, że wkładam je do pudełka i zamykam pokrywkę, żeby mnie nie rozpraszały.

Weszłam pod biurko, gdzie był podłączony system łączności, i wyrwałam kable. System został tak pomysłany, żeby automatycznie wysyłał informację o statusie statku co trzy godziny. W przeciwnym wypadku ktoś zjawiłby się z pytaniami. Mogą poczekać, aż dwa razy przegapimy meldunek, ale jeśli gdzieś w pobliżu był akurat statek korporacji, to mogło nam się poszczęścić.

Dwie godziny później sprzęt nie zdołał wysłać raportu. Po czterech godzinach napastnicy zaczęli klócić się między sobą. Wpływ narkotyków słabł, a ich atak nie okazał się tak łatwy, jak się spodziewali. Jeden argumentował, że czas ograniczyć straty.

Przywódca odparł, że a) moja dowiedziona umiejętność szacowania prawdopodobieństwa nadal będzie cenna dla ich pracodawców i b) widziałam ich twarze i mogłabym przeciwko nim zeznawać.

Jednakże po kolejnych trzech godzinach szukania, stracili cierpliwość. Zastrzelili Miriam, mimo jej błagania i łez. A potem przystawili broń do głowy mojemu ojcu.

– Chodź, Zila! – zawołał mężczyzna. – Nie chcę zastrzelić także twojego taty. Wyjdź, a będzie bezpieczny, mój Szczęśliwy Talizmanie.

Rozważyłam swoją sytuację. Byłam przekonana, że jeśli wyjdę, zastrzelą ojca i natychmiast mnie zabiorą. W przeciwnym wypadku może zdecydują się poczekać nieco dłużej, zostawiając go przy życiu, żeby wykorzystać go przeciwko mnie później. Dzięki temu korporacja będzie miała więcej czasu, żeby przysłać ekipę, która sprawdzi przyczyny naszego milczenia.

Dlatego zostałam na swojej dotychczasowej pozycji.

– Nie ma jej tu – powtarzał uparcie mój ojciec. – Ale gdyby tu była, powiedziałbym, że ją kocham. – Spojrzał w górę na szyb wentylacyjny. Może miał nadzieję, że patrzę. – I że to nie jest jej wina.

Mężczyzna go zastrzelił.

A potem splądrowali Janeway i odlecieli.

Kiedy wyszłam z kryjówki, awaryjne pole jonizujące skwierczało wokół nierównej dziury wyrwanej w lewej burcie, chroniąc wewnątrz przed próżnią.

Pamiętam, że pomyślałam, że mam takie same pole, które chroni mnie przed uczuciami. I że też nie wiem, jak długo wytrzyma. Mimo to przelałam w nie wszystkie swoje siły. Pomyślałam, że lepiej mi będzie bez emocji.

I przez dwanaście lat miałam rację.

\* \* \*

Miałam rację. Nim minęło szesnaście minut, cała piątka syldrańskich techników leżała nieprzytomna. Osunęli się na przezroczyście blat. Ostrożnie wyjęłam kratę wentylacyjną i starając się trzymać blisko podłogi, wyszłam do pomieszczenia. Choć serce mi biło jak szalone, trening Legionu Aurory zapewniał mnie, że jeśli będę trzymać się nisko i pracować szybko, uniknę niebezpiecznej dawki gazu.

– Cześć!

Zamieram, gdy unikron Aurory odzywa się ze swojego miejsca na stole. Serce wali mi o żebra jak szalone.

– Nie śpieszyło ci się zbytnio! – świergocze, nieświadomy mojego niepokoju. – Już się bałam, że mnie pokroją na kawałki!

– Jesteś maszyną – odpowiadam. – Nie możesz się bać.

– Przyznaję, to była sprytna sztuczka, ten numer z gazem! Jesteś naprawdę sprytna jak na...

– Siedź cicho.

– Masz szczęście, że lubię was ludzi tak bardzo. To ciągle uciszanie mogłoby sprawić, że mniej wielkodusza maszyna już zaczęłaby planować dla was makabryczną śmierć i...

– Tryb cichy! – syczę.

Magellan w końcu wypełnia polecenie i milknie. Zabieram szybko karty dostępowe i pozostałe unikrony, a potem częstuję się dostępną bronią – technicy Zbrojnych są lepiej uzbrojeni niż jakikolwiek naukowiec Zjednoczonych Władz Terrańskich. Nie marnuję więcej czasu, pakuję zdobycz do jednej z ich toreb i wczołguję się z powrotem do szybu.

\* \* \*

*Kiedy wypelzłam z szybu, odkryłam, że jestem za mała, żeby przesunąć ciała, więc ułożyłam je najlepiej, jak potrafiłam. Nawet Miriam. Wiedziałam, że się bała. To dlatego tak postąpiła.*

*Dlatego to było takie ważne, żeby nie czuć emocji.*

*Wszyscy tu działali pod wpływem emocji i z tego powodu nie żyli.*

*I z powodu mnie.*

*W końcu ktoś zostanie przysłany, żeby zbadać, dlaczego sygnał nie jest wysyłany. Ewidentnie nadzieja, że statek korporacji zjawi się po sześciu godzinach i dwóch przegapionych sygnałach, była zbyt optymistyczna, w końcu Janeway nie była ważnym statkiem. Kiedyś jednak się zjawią. Musiałam przetrwać do tego czasu i mieć nadzieję, że pole siłowe wytrzyma.*

*Minęło kolejne siedemdziesiąt sześć godzin, zanim obudziłam się w łóżku rodziców, słysząc nad sobą głosy.*

*– Na Wielkiego Stwórcę, jakim cudem ona wciąż żyje?*

*Obróciłam się na plecy i spojrzałam na nich. Pięciu dorosłych w mundurach korporacji.*

*Nie bałam się.*

*Nie czułam ulgi.*

*Nie czułam nic.*

Nie jest już tak, że niczego nie czuje, kiedy przechodzę do następnego etapu swojej misji. Po raz pierwszy zastanawiam się nad tym na poważnie i zdaję sobie sprawę, że członkowie drużyny 312 naruszyli moją barierę emocjonalną. Powoli coś z dziecka, jakim byłam, powraca. Jeszcze nie zdecydowałam, czy to dobra zmiana.

Trzy poziomy niżej znajdują izbę chorych, gdzie Kal leży unieruchomiony na biokoi i zajmuje się nim dwoje medyków Nieugiętych. Podnoszę skradziony dezelerator do kratki szybu i celuję starannie. Czekam. Cierpliwie. Wreszcie słyszę to, na co czekałam – komunikat płynący z systemu nagłaśniającego na całym statku, ostrzegający załogę przed wejściem do Fałdy. Jest dość głośny, by zagłuszyć strzały z dezeleratora.

Bum!

Mój strzał trafia pierwszego medyka w tył głowy. Drugi wyciąga broń osobistą ze zdumiewającą szybkością, ale trafiam go w gardło, a on pada obok swojej towarzyszki.

Niewiele brakowało.

Wychodzę z szybu, kiedy ogłoszenie się kończy.

– Kto tam? – pyta Kal, próbując obrócić głowę.

Nie tracę czasu na słowa i biorę się do uwalniania go.

– Zila... – szepcze.

– Rozumiem, że zostałeś postrzelony. Czy twoje obrażenia są poważne?

– Nie – odpowiada. – Gdzie jest Aurora?

Uznaję, że poinformowanie go, że jego siostra posłużyła się wobec niej agonizatorem, nie pomoże mu racjonalnie myśleć.

– Siedzi w jednej z celi razem z Finianem i Scarlett.

– Musimy do niej pójść – upiera się, siadając, gdy tylko ma wolne ręce.

– Zgadzam się. Możemy dostać się tam szybami.

– Nie zmieszczę się.

Jestem boleśnie świadoma, że gdyby był tam z nami Fin, to na pewno skomentowałby to w jakiś pikantny sposób. Odchrząkuję i marszczę czoło w skupieniu.

– Więc...

Kal patrzy na mnie zniecierpliwiony.

Błyskawicznie odkrywam, jak pomocny może być czasem żart.

– Nieważne – mówię w końcu.

Kalowi udaje się obezwładnić strażników przed izbą chorych dzięki wykorzystaniu elementu zaskoczenia. Zauważyłam, ale nie dzielię się swoim spostrzeżeniem, że wkłada więcej wysiłku w ich obezwładnienie niż to konieczne. Podejrzewam, że tak jak ja z trudem utrzymuje optymalny poziom opanowania.

Kolejny komunikat dla całego statku dobiega z głośników, kiedy Kal zdejmuje z pierwszego strażnika zbroję. Nasz Czołg ewidentnie czuje dyskomfort, wchodząc w rolę Nieugiętego, ale nie ma czasu, żeby roztrząsać te uczucia.

Kal zabiera magnetokajdanki z biokoi i zakłada mi na nadgarstki.

- Idź przede mną - mówi. - Wzrok spuszczoney. Nic nie mów.

Kiwam głową, sprawdzamy szybko, czy korytarz jest pusty, i wychodzimy. Kal najwyraźniej dobrze się orientuje na syldrańskim okręcie wojennym, szybko kieruje mnie do turbowindy, która prowadzi na poziom więzienny.

- Dziękuję - mruczy do mnie. - Dobrze się sprawiłaś.

Robi mi się odrobinę cieplej w piersi na dźwięk jego pochwały.

Nie jest już tak, że... niczego nie czuję.

- Nic ci nie jest? - pyta mnie.

Odpowiadam spokojnie, z beznamiętną twarzą, ale...

- Cieszę się. - Marszczę brwi. - Że wyszłam z ciemności.

Patrzę mu w oczy, czego chyba nigdy dotąd nie robiłam. Zastanawiam się, czy on ją widzi. Tę małą dziewczynkę. Czołgającą się w szybach wentylacyjnych na cichej stacji. Której kawałki zostały w ciemności. Jej strach. Ból. Gniew.

Czy tylko je zostawiła za sobą? Czy też samą siebie?

Czy zrobiła to, bo tak było łatwiej?

Co zrobi teraz, po dwunastu latach, kiedy w końcu naprawdę wypełzła z szybu?

Nie jest już tak, że niczego nie czuję.

Nie jest.

**Temat: Galaktyczne konflikty.**

► Syldrańska wojna domowa

▼ Nieugięci

Nieugięci to wojujący odłam syldrańskiej Ligi Zbrojnych, którym dowodzi zbuntowany archont imieniem Caersan, znany też jak Gwiazdobójca.

Odrzuciwszy traktat pokojowy między Ziemią i Syldrą, Nieugięci odcięli się od swojego rządu, Syldrańskiej Rady dziesięć lat temu. Napadli na ziemskie stocznie podczas zawieszenia broni i ostatecznie zaatakowali z nadzwyczajną brutalnością swój rodzinny świat.

Posługując się nieznaną bronią, Nieugięci sprawili, że syldrańskie słońce – Evaa – zapadło się, tworząc czarną dziurę, która zniszczyła cały układ planetarny.

Dziesięć miliardów Syldrów zginęło.

Można tylko zgadywać, w jaki sposób Nieugięci tego dokonali.

„Opiekuj się siostrą”.

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział do mnie tata. Po tym, jak pocałował Scar w czoło i powiedział jej, że wróci akurat na nasze urodziny. Po tym, jak przykleknął i objął mnie po raz ostatni. Wstał, zmierzwił mi włosy w sposób, którego nie cierpiałem, i odezwał się do mnie w sposób, który uwielbiałem. Jakbym nie był dzieckiem. Jakbym był mężczyzną. Jakby mówił coś Ważnego, a ja byłem godny to usłyszeć.

„Opiekuj się siostrą”, powiedział mi.

Dlatego opiekowałem się. Zawsze.

Byliśmy ze Scar nierozłączni jako dzieci. Tata mówił, że wymyśliliśmy własny język, zanim nauczyliśmy się mówić. I chociaż nie byłem zachwycony tym, że moja siostra wstąpiła do Legionu Aurory – próbowałem jej to nawet wyperswadować – to w głębi ducha cieszyłem się, że stoi obok mnie w kolejce na stacji Nowy Gettysburg. Czuję się, jakby wydarło mi kawałek duszy, gdyby jej tam zabrakło. I mogłem lepiej się nią opiekować, mając ją blisko. Nie ma rzeczy, której bym nie zrobił, żeby nie zapewnić jej bezpieczeństwa.

Na przykład wskoczyłbyś do dziury z dorosłym drakkanem?

Szczerze mówiąc, jakaś częśćka mnie nadal nie może uwierzyć, że wykręciłem taki numer. Tyler Jones, który ukończył Akademię Aurory, nawet nie wziąłby tego pod uwagę. On grał zgodnie z regułami. Przepisowo. Ostrożnie. Starannie zastanawiając się przed każdym ruchem. Jednakże zszedłem na bezdroża i im dłużej jestem w tym miejscu, tym bardziej czuję się tu jak w domu. A przy przeciwniku, z jakim się mierzę?

Czasem jedyny sposób, żeby wygrać, to zniszczyć grę.

Wpatruję się w sześciokątne szachownice ułożone w stopy po sześć, na których rozstawiono białe i czarne kamienie. To plansza do chelleriańskiej gry strategicznej dóa, uważanej za jedną z najtrudniejszych do opanowania w Galaktyce. Ja jestem w najlepszym razie graczem z trzeciego poziomu. Plansza stoi na ozdobnym, rzeźbionym biurku z ciemnego metalu w zewnętrznych kwaterach Saedii. Wibruje cicho do wtóru silników *Andarael*.

Rozglądając się po słabo oświetlonym pomieszczeniu, monochromatycznym, bo jesteśmy w Faldzie, widzę inne gry. Zestaw do samettu z Traska. Trzy piękne plansze do tae-sai z Syldry, wszystkie wyrzeźbione w drewnie lias. Niedokończona partyjka szachów. Gdy siedząc w wygodnym fotelu przed biurkiem, czekam na moją gospodynię, mogę stwierdzić, że jest

taktykiem. Wszystko w tym pokoju – gry, książki, nawet proste geometryczne zdobienia – mówi mi, że siostrę Kala fascynuje strategia.

Biorę jedną z bierek dóa. Żebra i mięśnie nadal mnie bolą po utarczce z drakkanem. To płaski biały dysk z trójkątnym czarnym symbolem. Pełni w przybliżeniu rolę pionka w tej grze. Kozły ofiarne, które się wykorzystuje, żeby w pewnym momencie zyskać przewagę w rozgrywce.

Zaczynam rozumieć, jakie to uczucie.

– Grywasz? – rozlega się niski, słodki głos za moimi plecami.

Odwracam się i widzę Saedii wchodzącą przez dwuskrzydłowe automatyczne drzwi ze srebrną tacą w rękach. Na jej ramieniu siedzi mały drakkan i obserwuje mnie błyszczącymi złotymi oczami. Zanim drzwi zamkną się za nimi z cichym szumem, widzę jej wewnętrzne kwatery: proste zdobienia, wielkie łóżko, terminal komputera. Przelotnie zastanawiam się, gdzie wieszka skóry swoich ofiar.

Zdjęła zbroję i przebrała się w syldrański mundur galowy – obcisły, czarny, o eleganckich liniach, błyszczący srebrnymi ozdobami i trofeami wojennymi. Czarne włosy opadają jej na ramiona siedmioma grubymi warkoczami – tak samo zaplata włosy Kal. Znalazła czas, żeby odświeżyć czarną szminkę na ustach i pas okalający oczy. Widzę jej brata w kształcie tych oczu, w linii policzka i czoła. Promieniuje autorytetem – to zimna, okrutna i wyrachowana aura.

– Grywasz? – powtarza pytanie.

Odkładam pionek dóa na miejsce.

– Tyler Jones – odpowiadam. – Alfa. Legion Aurory, drużyna 312.

Saedii podchodzi do biurka i odstawia tacę. Stoją tam dwie szklanki i karafka krystalicznej wody. Obok nich leżą cztery kule, które rozpoznaję – to syldrański owoc zwany bae'el – i piękny nóż o długim ostrzu.

Saedii siada naprzeciwko mnie i piorunuje mnie fiołkowym spojrzeniem.

– Naprawdę? – odpowiada bezbłędnie po terrańsku. – To twój otwierający gambit? Imię, ranga i numer drużyny?

Unosi ciemną brew i nalewa wody. Drakkan przechodzi po oparciu krzesła i świergocze cicho, wpatrując się we mnie. Saedii przesuwając krysztalową szklankę po biurku i mruczy do swojego pupilka.

– Tak, Isha, kochanie, mnie też rozczarowuje – mówi, znowu patrząc na mnie. – Myślałam, że wie, jak się gra w tę grę.

Rozpaczliwie chce mi się pić po walce na arenie, ale zamiast wziąć wodę, patrzę Saedii w oczy i odzywam się cicho spokojnym głosem:

– Pierwszym krokiem w udanym przesłuchaniu jest nawiązanie kontaktu – odpowiadam. –

Okaż przesłuchiwanemu życzliwość, zaoferuj mu wodę, jedzenie lub środek przeciwbólowy. Złagodzenie bólu podsyca wspomnienie cierpienia, jakiego doświadczył, i sprawi, że przesłuchiwany zacznie widzieć w przesłuchującym kogoś empatycznego, w przeciwieństwie do wcześniejszych jego oprawców. – Zerkam na wodę, a potem znowu patrzę Saedii w oczy. – Doskonale wiem, w co pogrywasz.

Odchylam się na krześle i splatam palce na kolanach.

– Tyler Jones, Alfa. Legion Aurory, drużyna 312.

Saedii nalewa sobie wody i wypija łyżek.

– My, Zbrojni, uczymy naszych adeptów czegoś innego, mały Terraninie. Pierwszym krokiem w przesłuchaniu jest jednoznaczne ujawnienie swojej przewagi. Zapewnij przesłuchiwanego, że pod każdym względem to ty sprawujesz kontrolę nad sytuacją.

Podnosi nóż z tacy i delikatnie przyciska czubek do palca wskazującego drugiej dłoni. Tak samo jak włosy, paznokcie ma pomalowane na czarno.

– Zacznij od drobnej amputacji – mówi. – Od czegoś małego. Ale czegoś, czego będzie mu brakować.

Zerka na moje krocze, a potem patrzy mi w oczy.

– Może od siostry.

Żołądek mi się zaciska, ale nie pozwalam, żeby strach odmalował się na mojej twarzy. Kalkuluję w myślach.

– Skąd wiedziałaś, że ona jest m...

– Nie jestem głupia, Tylerze Jonesie, Alfo, Legion Aurory, drużyna 312. – Wbijają nóż w kawałek bae'elu, a potem zaczyna zdejmować skórkę zręcznymi ruchami noża. – Im szybciej to do ciebie dotrze, tym lepiej.

– Doskonale mówisz po terrańsku, to muszę ci przyznać.

Odkrawa kawałeczek ciemnego mięszu.

– O wiele lepiej niż ty po syldrańsku.

– Dziwi mnie, że chciało ci się uczyć. Zważywszy, że ewidentnie nami gardzicie.

Saedii wsuwa kasek między zęby. Patrzy mi prosto w oczy.

– Zawsze studiuję swoją zwierzyńę.

Odchyła się i opiera nogi na biurku. Popycha szklanke wody obcasem wysokich do kolan butów ze srebrnymi noskami.

– Pij, chłopcze. Potrzebujesz siły.

Isha świergocze, trzepocze skrzydłami i patrzy, jak wreszcie pochylam się i biorę szklanke. Jest z kryształu, ciąży mi w ręce. Przez moment zastanawiam się, czy nie rzucić nią w głowę Saedii i nie sięgnąć po jej nóż. Bardziej rozsądna część mojego mózgu przypomina mi, jakiego lanie mi spuściła ta dziewczyna przy ostatniej naszej potyczce. Moje krocze posyła naglący sygnał, przypominając, że chciałbym kiedyś mieć dzieci.

Piję więc.

– Ty i twoja drużyna zdobyliście dane z floty złomowej Hefajstosa – mówi Saedii. – Z zapisów wynika, że czarna skrzynka, którą twój technik zniszczył na pokładzie *Totentanza*, należała do starodawnego terrańskiego wraka. *Hadfielda*. Statku, który wyruszył w rejs ponad dwieście lat temu. – Odkrawa kolejny kawałek owocu i przyciska do języka. – Czego szukacie w faktach sprzed dwustu lat, mały Terraninie?

– Mam świra na punkcie historii.

– Poznaj przeszłość albo cierp w przyszłości.

– Właśnie.



- Kłamiesz - mówi łagodnie i chłodno. - Kłam dalej, a twoja siostra zostanie poddana najgorszym torturom, zanim wyrzucimy ją w kosmos.

- Zważywszy, że byłaś gotowa nakarmić nami swojego potwora jeszcze godzinę temu, zakładam, że i tak nas zabijesz. - Wzruszam ramionami. - A jeśli ta informacja jest dla ciebie ważna, to może trzeba było zacząć od przesłuchania i dopiero potem przejść do egzekucji, a nie na odwrót?

- Mój brat też zna te wszystkie odpowiedzi, mały Terraninie - odpowiada spokojnie Saedii.  
- Zatem nie jesteś niezbędną częścią tego równania.

- To dlaczego w ogóle ze mną rozmawiasz?

Nóż błyska. Kolejny kawałek owocu znika w czarnych ustach Saedii. Mija długa chwila, zanim templariuszka odpowiada.

- Nie często zdarza się, żeby ktoś w pojedynkę pokonał dorosłego drakkana. - Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów z błyskiem w oku. - Dostrzegłam twoją waleczność. I pochodzenie. Jericho Jones był godnym szacunku przeciwnikiem.

Ogarnia mnie gniew. Zaciskam zęby.

- To nie powstrzymało waszych ludzi od zamordowania go na Orionie.

Unosi idealnie wyregulowaną brew.

- Jesteśmy wojownikami, Tylerze Jonesie, nie wdowami. Nie oplakujemy ceny wojny. I chociaż szanuję wasze pochodzenie, nie myśl choćby przez chwilę, że nie zabiję ciebie, twojej siostry i tej małej kaleki, żeby dowiedzieć się tego, czego chcę.

Najeżam się, gdy obraża Fina, i mrużę oczy. Ona uśmiecha się, widząc, że wbiła mi szpilkę. Patrząc jej w oczy i zdając sobie sprawę, że ta dziewczyna wywodzi się z całkowicie innej kultury niż moja - kultury, w której ceni się siłę, zachęca się do okrucieństwa, gardzi się słabością. Zaczynam doceniać, jakie to musiało być trudne dla Kala wyrwać się z tego cyklu, stać osobą, którą jest. Im więcej czasu spędzam z jego siostrą, tym bardziej jestem pod wrażeniem Kala. I tym bardziej pogardzam nią.

Jednakże chociaż większość Zbrojnych naprawdę myśli w taki sposób, dociera do mnie, że Saedii mnie prowokuje. Pogrywa ze mną. Obserwuje moje reakcje. Wszystko, co robiła, odkąd przyszła - woda, pogrózki, rozmowa o mojej drużynie, o moim ojcu - to wszystko służyło ocenie, jaką jestem osobą.

Spoglądam na gry strategiczne w pokoju. Tuzin różnych gier z tuzina różnych światów. Wszystkie te światy były zaangażowane w konflikt z Syldraniem w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

„Zawsze studiuję swoją zwierzynę”.

- Zatem ta dziewczyna o imieniu Aurora. - Saedii wygina usta w jak zawsze subtelnej pogardzie. - Dziewczyna, którą mój brat nazywa be'shmai.

- Widzę, że wreszcie przechodzimy do rzeczy.

Podnosi rękę do sznura z obciętymi kciukami na szyi.

- Wam, samcom, zawsze się tak śpieszy.

Isha świergocze, błyska złotymi ślepiami.

- Nie ma umiejętności ani treningu legionistki - mówi Saedii. - Kim jest? Skąd pochodzi? Dlaczego z nią podróżujecie?

- To pasażerka na gape, która znalazła się na naszym statku. Pochodzi z Ziemi. A twój brat nie byłby zachwycony, gdybym ją odesłał.

- Półprawdy - grucha Saedii, drapiąc drakkana pod brodą. - Mały Terranin myśli, że jest sprytny, Isho. Nadal wyobraża sobie, że panuje nad sytuacją. Powinniśmy zabić najpierw jego siostrę? Czy tę małą powykrecaną betraskańską ropuchę?

- Czujesz się wtedy większa? - pytam. - Próbując umniejszyć innych?

- Ale przecież ty jesteś mały - odpowiada. - Mały, słaby i przestraszony. Twój własny rząd uznał was za terrorystów. Wasi ludzie polują na was jak stado ogarów.

- A jak ciebie nazywałby twój rząd? - ripostuję. - Gdybyś, rzecz jasna nie wymordowała ich wszystkich za to, że ośmielili się zawrzeć pokój z Ziemią?

- „Pokój” to sposób, w jaki kundel woła „poddaję się” - mówi Saedii, przyglądając się paznokciom. - Litość to domena tchórzy. Wewnętrzna Rada Syldry sprzymierzyła się z naszym wrogiem. To oni zdradzili syldrański lud.

- Więc zniszczyliście ich razem z całą swoją planetą? - pytam i w moim głosie rozbrzmiewa gniew. - Wraz dziesięcioma miliardami niewinnych Sylدران?

- Syldranie zgodzili się na pokój z Terrą, stracili honor. Nie zasługiwali na litość. Archont Caersan im jej nie okazał.

Znowu się najeżam na dźwięk tego imienia. Caersan. Gwiazdobójca. Człowiek, który zniszczył własny świat i zaatakował Oriona. W tym ataku straciliśmy ojca.

- Wiesz, to zabawne. Wy, Nieugięci, zawsze mówicie o honorze, ale kiedy ostatni raz sprawdzałem, atak podczas rozmów pokojowych jest równie tchórzliwy jak cios w plecy. Coś mi się wydaje, że wasz ukochany Gwiazdobójca ma tyle honoru co zwykły karaluch.

W oczach Saedii pojawia się niebezpieczny błysk.

- Ostrzegę cię jeden jedyny raz, mały Terraninie. Gdy w grę wchodzi Gwiazdobójca, trzymaj język za zębami. Bo inaczej zobaczysz, jak ci go podaję.

- To wariat - warczę. - On...

Właściwie nie widzę dobrze, jak Saedii się porusza, czuję tylko jej cios - wnętrzem dłoni uderza mnie w nasadę nosa. Słyszę trzask, widzę czarne gwiazdy, czuję smak krwi w gardle. Spadam z krzesła na plecy, ale zaraz się podrywam, chociaż żebra nadal mnie boją po walce z drakkanem. Świat rozmazuje mi się z powodu łez, dostrzegam tylko ciemny kształt, zanim dwie ręce łapią mnie za ramiona...

O, Stwórco, tylko nie znowu...

...i kolano trafia mnie w krocze. Czarne gwiazdy w moich oczach płoną bielą i przez chwilę jestem tylko bólem. Padam na kolana, zwijam się na podłodze w kłębek cierpienia i nieszczęścia. Jedyne, na co mnie stać, to pamiętanie o oddechu. Czekałam, aż zakończone srebrem buty zatańczą na moim gardle, kiedy głos przecina płonąca mgiełkę.

- Templariuszko, wybacz, że przeszkadzam.

Buty nigdy nie uderzają. Rozpoznaję głos: to przyboczny Saedii, a jego głos jest zniekształcony przez system łączności.

Przez lzy widzę, jak Saedii dotyka transmitera na piersi munduru. Mówi chłodno, odrzucając czarny warkocz przez ramię, i uśmiecha się do mnie zupełnie nieporuszona.

– O co chodzi, Erienie?

– Wykryliśmy kilka statków na kursie kolizyjnym z *Andarael*. Zbliżają się do nas z różnych kierunków.

– Kto to?

– Terrańskie okręty wojenne. Cztery niszczyciele. Dwa lotniskowce.

Na oddech Stwórcy. Trudno to nazwać „kilkoma statkami”. To flota szturmowa...

– Zignoruj ich – odpowiada Saedii. – Terranie nie ośmielią się zaatakować statku Nieugiętych i naruszyć zasady neutralności. Zachowaj kurs na Neridąę.

– Poruszają się z prędkością bojową, templariuszko. I wywołują nas.

To daje Saedii do myślenia. Powiedziała prawdę – od wybuchu syldrańskiej wojny domowej Ziemia robiła, co w jej mocy, żeby nie mieszać się w sprawę Syldran. Trudno ją tak naprawde winić – Gwiazdóbójca nie tylko zniszczył ojczysty świat, ale zdołał też sprawić, że syldrańskie słońce zapadło się w siebie. Powstała w ten sposób czarna dziura zniszczyła cały syldrański układ planetarny i kilka niezamieszkanym systemów w pobliżu.

Nikt nie chce narazić się komuś, kto dysponuje taką mocą.

Teraz jednak terrańska flota zamierzała zaatakować?

*Andarael* sama w sobie była potężnym okrętem wojennym, klasy Drakkan, największym w armadzie Nieugiętych, to jednak nie znaczyło, że jakże nieporuszona pani kapitan nie zaniepokoi się ani odrobinę na myśl o walce z tak dużymi siłami terrańskimi.

– Daj transmisję na ekran – mówi Saedii.

Mrugam, żeby pozbyć się łez, potworny ból w kroczu słabnie do stłumionego pulsowania, gdy jedna ze ścian migocze i ożywa. Przez chwilę widać tylko białe światło, które wypala mi oczy. Potem biel zamienia się w znajomy kształt i zmuszam się do tego, żeby usiąść, chociaż żołądek mi się buntuje.

Widzę skrzydlaty emblemat Terrańskich Sił Obronnych. Pod nim widnieje identyfikator statku – *Kusanagi*.

Widzę mundur Globalnej Agencji Wywiadowczej – biały, nieskazitelny.

Gładką, pozbawioną wszelkich cech lustrzaną maskę.

– POZDROWIENIA OD GLOBALNEJ AGENCJI WYWIADOWCZEJ, TEMPLARIUSZKO. MOŻESZ ZWRACAĆ SIĘ DO MNIE „PRINCEPSIE”.

Głos nie ujawnia płci. Jest metaliczny. Nie zdradza w żaden sposób, kto może kryć się za tą maską. Tyle że ja znam człowieka, potwora, pod tym nieskazitelnym mundurem.

To ojciec Auri, Zhang Ji.

Czy raczej to, co z niego zostało. Był jednym z setek kolonistów na Octavii III pożartych i zasymilowanych przez Ra'haam. Pracowali w cieniu przez dwieście lat, przenikając do GAW i Stwórcy jeden wie, do jakich jeszcze organizacji w obrębie terrańskiego rządu. Usuwali wszelkie dowody istnienia kolonii na Octavii. Ukrywali istnienie dwudziestu dwóch światów, na których Ra'haam zostawił swoje nasiona, przygotowując grunt na swój powrót.

Wstrząs związany z widokiem princepsa uderza we mnie jak kolejny kopniak – o ile wiem, zostawiliśmy go na Octavii. Nagle wracam tam, na ten zniszczony, utracony świat. Niebieskie zarodniki sypią się z nieba. Kolonia pozarastana liściastymi pnączami czegoś, co śpi pod płaszczem planety. Oczy Cat, niebieskie, w kształcie kwiatów, wypełniające się łzami, kiedy patrzyła na mnie po raz ostatni.

„Musisz pozwolić mi odejść”.

Świat znowu się rozmazuje. Ocieram piekące oczy.

Na Stwórcę, jak bardzo mi jej brakuje...

– Czego chcesz, Terraninie? – odpowiada Saedii, patrząc na postać na ekranie.

– TEMPLARIUSZKO, ROZUMIEMY, ŻE POJMAŁAŚ KILKU TERRAŃSKICH OBYWATELI, KTÓRZY PRZEPROWADZALI AKCJĘ SZPIEGOWSKĄ NA POKŁADZIE KONWOJU ZŁOMOWEGO HEFAJSTOSA. PRACOWNICY HEFAJSTOSA, KTÓRZY PRZEŻYLI, POTWIERDZAJĄ, ŻE TWÓJ STATEK BRAŁ UDZIAŁ W POTYCZCE.

Przez chwilę jestem zaskoczony tym, że Nieugięci zostawili kogoś żywego z konwoju, kto mógł złożyć zeznania. Ale gdy się nad tym zastanowię, uznaję, że to pewnie logiczne – chcieli zostawić świadków, żeby szerzyć strach. W końcu poplecznicy Gwiazdobójcy nie boją się odwetu. Nikt w Galaktyce nie będzie dość odważny, żeby z nimi zadrzeć.

Z wyjątkiem...

– Kogo pojmamałam, a kogo nie, to nie twoja sprawa – odpowiada Saedii.

– CI PRZESTĘPCY SĄ POSZUKIWANI PRZEZ RZĄD TERRAŃSKI Z POWODU POPEŁNIONEGO AKTU GALAKTYCZNEGO TERRORYZMU – odpowiada princeps. – BETRASKANIN FINIAN DE SEEL I SYLDRANIN KALIIS IDRABAN GILWRAETH NAS NIE INTERESUJĄ. BYLIBYŚMY JEDNAK WDZIĘCZNI, GDYBY ZWRÓCONO NAM NASZYCH OBYWATELI.

Chcą Auri...

Ra'haam. Istota-jednia, inkubująca na dwudziestu dwóch światach z gwiazdnej mapy Auri. Jeśli ją zdobędą, będą mieli Zapalnik do broni Eshvarenów. Przejmą jedyną osobę, która może powstrzymać planety przed zakwitnięciem i rozsypaniem zarodników Ra'haam po całej Galaktyce. Nabieram powietrza, żeby zaprotestować, ostrzec Saedii, że w żadnym razie nie może nas oddać, zasugerować, o jaką stawkę toczy się gra.

Oczywiście niepotrzebnie zwracam sobie głowę.

– Jestem templariuszką Nieugiętych – oznajmia władcym tonem. – Zbrojną z urodzenia i przekonania. Więźniowie, których mogę mieć lub nie na pokładzie mojego statku, to tylko i wyłącznie moja sprawa. A wy jesteście niebezpiecznie blisko wtrącania się do spraw Syldrana. Radzę wam się wycofać.

Pochyliła się nad biurkiem i piorunuje wzrokiem princepsa.

– Zanim poznacie gniew Gwiazdobójcy.

Stało się. Wykorzystała największy atut. Nikt nie zadziera z archontem Caersanem. Nikt nie chce, żeby gość, który potrafi zniszczyć układ planetarny, wykurzył się na niego. To po prostu kwestia rozsądku.

Tyle że Ra'haam ma w nosie Rozsądek.

Princeps zerka na kogoś poza ekranem.

– POWIADOM FLOTĘ. WSZYSTKIE STATKI MAJĄ WYCELOWAĆ BROŃ W SYLDRAŃSKI OKRĘT ANDARAEL. ESKADRY MYŚLIWCÓW W GOTOWOŚCI DO STARTU.

Mija chwila, zanim princeps otrzymuje odpowiedź. Domyślam się, że nawet w tak emocjonującej chwili ktoś, kto otrzymał te rozkazy, doskonale rozumie ich monumentalne znaczenie. Terra nie miesza się w sprawę Syldrana. Z pewnością nie zaatakuje flagowego okrętu Nieugiętych z jednym z zaufanych adiutantów samego Caersana. Jeśli sprawa potoczy się źle, jeśli te statki zaczną walkę...

...to może oznaczać wojnę.

W końcu zza ekranu dobiega odpowiedź:

– Tak jest, princepsie.

Cichutki alarm rozbrzmiewa chwilę później w systemie nagłaśniającym *Andarael*. Przyboczny Saedii odzywa się przez wewnętrzny system łączności. Mówi po syldrańsku, ale rozumie dość, żeby złapać sens.

Terranie wycelowali broń.

Wyrzutnie myśliwców się otwierają.

I po raz pierwszy widzę drobnutką szparę w zbroi mojej gospodyni. Szybko ją skrywa, ale widziałem ją. Ten przebłysk tuż za jej oczami.

Niepewności.

Mimo to Saedii prycha, patrząc w lustrzaną maskę princepsa, powraca tradycyjna syldrańska arogancja – to także swoista maska.

– Blefujesz, Terraninie.

– DOPRAWDY?

Transmisja urywa się, ekran czernieje. Kolejne ostrzeżenie przychodzi od przybocznego Saedii, która odpowiada, każąc przygotować broń i myśliwce do startu. Dzieli ich jakieś trzydzieści sekund do walki na całego. Pierwszy raz syldrańskie i terrańskie okręty wojenne otworzą do siebie ogień od czasu zawarcia Porozumienia Jericho w 78, traktatu, który dwa lata temu oficjalnie zakończył wojnę między naszymi światami.

Widzę to wtedy jak lamigłówkę przed sobą. Jak partię szachów, kilkanaście ruchów naprzód. Widzę, co tu się dzieje i dokąd to doprowadzi. Wiem, z całą straszliwą pewnością, że to się może zakończyć tylko na dwa sposoby. Albo Saedii podda się i odda Auri, do czego nigdy nie dojdzie. Albo Terranie i Syldranie znowu zaczną wojnę.

A Ra'haam wygra w obu przypadkach.

Bo jeśli Terra zacznie wojnę z Nieugiętymi, to do wojny włączą się nasi sprzymierzeńcy, Betraskanie. A to znaczy, że Legion Aurory też przystąpi do wojny. Konflikt, który z tego wyniknie, może ostatecznie wciągnąć wszystkie rozumne rasy w Galaktyce. A pośród tego chaosu i rzezi Ra'haam będzie mógł spokojnie dojrzewać, aż będzie gotowy wylęgnać się, wytrysnąć ze światów-nasion przez najbliższe Bramy Fałdy.

Rozkwitnie i sypnie zarodnikami.

I Galaktyka będzie należała do niego.

– Saedii – stękam, bo nadal jestem obolały. – Nie rób tego.

– Zamilcz – odpowiada, nawet na mnie nie patrząc.

Patrzy na ekran taktyczny, pulsujący teraz na miejscu postaci princepsa. Widzę, że terrańskie statki się zbliżają – dwa lotniskowce pełne myśliwców, cztery niszczyciele uzbrojone po zęby.

– Oni chcą, żebyś pierwsza strzeliła – odzywam się zdesperowany. – Chcą, żebyś ty to zaczęła. Jeśli strzelisz do tej floty, przekreślisz neutralność między Terranami i Syldranami, nie rozumiesz tego? To może oznaczać wojnę!

Patrzy na mnie zimno.

– My jesteśmy Zbrojni – odpowiada po prostu. – Urodzeni dla wojny.

Przyciska transmiter na piersi, a mnie zaciska się serce.

– Erienie, powiadom Neridaę, że walczymy z wrogimi terrańskimi siłami.

– Natychmiast, templariuszko.

– Broń gotowa?

– Czekamy na twój rozkaz.

– Saedii, nie!

Mruży oczy.

Zaciska usta.

– Zniszczyć ich – rozkazuje.

*Andarael* to okręt wojenny z tysiącem adeptów, paladynów, dragonów i personelu pomocniczego w załodze. Zatem jest nam względnie łatwo uniknąć czyjejkolwiek uwagi, gdy maszerujemy do bloku więziennego. Zila szura nogami idąc przede mną wśród tłumu, na rękach ma magnetokajdanki, ale nie są zatrzaśnięte. Czasem ktoś na nas zerka i nic nadto. Jednak pewna cząstka mnie wie, że to nie może trwać zbyt długo.

Moja pierś to jeden wielki siniak od strzału dezelatora na pokładzie *Totentanza*. Żebra mi płoną żywym ogniem. Pudełko na cygaretki od Adamsa zatrzymało większość siły strzału, ale Nieugięci odebrali mi ten prezent, kiedy byłem nieprzytomny i nie mam pojęcia, gdzie się teraz podziewa. Mimo to wiem, że ocalił mi życie. Wiem, że jesteśmy częścią wielkiej zagadki, która rozgrywa się na przestrzeni dziesięcioleci, a nawet stuleci.

Nie wiem tylko, jak to się skończy.

Zila poinformowała mnie, że Tylera zabrano do komnat Saedii na przesłuchanie. Odzyskanie go oznaczałoby bezpośrednią konfrontację z moją siostrą. A ponieważ jestem ranny, wydostanie pozostałych członków naszej drużyny z więzienia będzie dostatecznie trudne, chociaż nie wymaga przeniknięcia do centrum kontroli i dowodzenia, czego wymagałoby ratowanie mojego Alfya.

Moja siostra zawsze była okrutna, nawet kiedy byliśmy dziećmi. Matka nie mogła tego ścierpieć, ale ojciec do tego zachęcał. Wyobrażam sobie tortury, jakim mogła poddać Tylera. Na razie jednak odpycham niepokój o niego na bok.

Nade wszystko muszę zobaczyć Aurorę.

Docieramy do bloku więziennego i natychmiast widzę, że coś jest nie tak – cele są przepelnione. Już sam fakt, że Nieugięci biorą jeńców, jest nietypowy. Nawet na największych statkach część więzienna jest mała i często nieużywana. Jednakże przez półprzezroczyste ściany i za skwierczącym polem kary widzę setki postaci. To sami Syldranie. Są chudzi i nieszczęśliwi, żołądek mi się zaciska, kiedy widzę, że wszyscy mają ten sam znak na czole. Oko z pięcioma łzami. Taki sam nosiła moja matka.

Na Pustkę, po co Saedii więzi Wędrowców?

Nie ma czasu na pytania. Adept zawiadujący więzieniem patrzy na Zilę zdumiony i podnosi wzrok na mnie. Jego biurko jest okrągłe jak otaczający nas blok więzienny. Syldranin jest raptem rok albo dwa starszy ode mnie, ale trofea na jego zbroi mówią mi, że nie jest nowicjuszem.

- Jaką masz sprawę, adeptcie? - pyta mnie.

Rozglądam się po pomieszczeniu z zaciśniętym sercem. Planowałem wejść tu, blefując, obezwładnić paru strażników przez zaskoczenie. Niestety jest tu tuzin strażników. Ciężko opancerzonych. W pełni uzbrojonych. Sami wojownicy i zabójcy. Czwórka stoi przed jedną celą i serce mi wzbiera, gdy widzę leżącą na ławce Aurorę, całkiem samą. Jest nieprzytomna. Związano ją, zakneblowano i założono jej przepaskę na oczy. Wstawka dermoplast na nadgarstku dostarcza cały czas środki uspokajające wprost do jej systemu nerwowego.

Wygląda na to, że moja siostra bardzo poważnie traktuje transport mojej be'shmai.

Ale czego Saedii w ogóle od niej chce?

Co tu robią ci wszyscy Wędrowcy?

W celi obok Aurory widzę Scarlett i Finiana. Siedzą przygnębieni i milczący na ławkach. Oddzielono ich od uwięzionych Syl dran. Scarlett spostrzeża mnie i zamiera. Czuję wzbierający gniew, gdy widzę, jak potraktowano moich przyjaciół.

Przeprowadzam desperackie rachunki w głowie. Jest trzynastu adeptów. Wyczuwam Wewnętrznego Wroga, jak krąży w kółko za moimi oczami. Zmagam się z nim, odkąd porzuciłem tę część mnie, która uwielbia rozlew krwi i ból. Staram się stać czymś więcej niż tym, na co mnie wychowano.

I'na Sai'nuit.

Wyczuwam jednak napięcie narastające w moich mięśniach, dzwonienie prętów klatki z Wewnętrznym Wrogiem. Coraz mocniej zaciskam pięści.

Złam ich, Kaliisie - szepcze Wewnętrzny Wróg.

Zabij ich.

Jestem jednak ranny. I nawet w najlepszym razie nie zdołałbym pokonać tak wielu przeciwników. Odpycham Wroga.

- Adeptcie - powtarza strażnik więzienny. - Jaką masz tu sprawę?

- Dostarczam więźnia - wyjaśniam, kiwając głową w stronę Zily. - Złapaliśmy ją, gdy czołgała się szybem wentylacyjnym.

Strażnik patrzy zdziwiony na Zilę.

- Nie powiadomiono mnie.

Wzruszam ramionami. Moje żebra protestują.

- Jeśli chcesz, to mogę ją z powrotem wypuścić do szybów wentylacyjnych.

Adept patrzy mi w oczy wyzywająco. Odpowiadam tym samym. Nieulekły. Spokojny. Tacy są Zbrojni. Nieustannie poddają się próbom. Silni przetrwają. Słabi giną. Nie ma miejsca na strach wśród tych, którzy urodzili się dla wojny.

W końcu wskazuje celę.

- Wsadźcie ją z resztą tego terrańskiego śmiecia.

Kiwam głową. Idę z Zilą przez więzienie, moje buty podzwaniają na metalu. Jeden ze strażników przed celą Scarlett i Finiana wyłącza pole kary, otwiera drzwi. Zila wchodzi do środka, nie podnosząc głowy. Scarlett obejmuje ją przelotnie, a Zila zamiera, ale się nie odsuwa.

- Świnio. - Scarlett pluje na mnie, żeby podtrzymać mój wizerunek. - Mam nadzieję, że zgnijesz.



- Ucis się, terrański śmieciu – odpowiadam po syldrańsku.
- Jak się nazywasz, adeptcie? – rozlega się głos za moimi plecami.

Odwracam się powoli i patrzę na strażnika. Zerka na numer identyfikacyjny wypisany na mojej kradzonej zbroi, zerka do terminalu komputerowego przy swoim stanowisku. Przy tak dużej załodze i na tak wielkim okręcie to możliwe, że ludzie kojarzą się tylko z widzenia, ale to mało prawdopodobne, żeby w ogóle się nie znali. Jak już wspomniałem, Nieugięci nie są głupi.

- Jak się nazywam? – powtarzam, sięgając po karabin-dezelator na ramieniu.
- Według harmonogramu, powinieneś stacjonować w izb...
- CZERWONY ALARM – rozlega się nagle z głośników. – CZERWONY ALARM, OKRETY TERRAŃSKICH SIŁ OBRONNYCH NA KURSIE PRZECHWYTUJĄCYM. CAŁA ZAŁOGA NA STANOWISKA BOJOWE.

Mrugam, słysząc komunikat, a oświetlenie przybiera ciemniejszy odcień szarości. Syldranie patrzą po sobie zdumieni.

Terranie?

Atakują *Andarael*?

Alarm nadal wyje. Odgłos silników zmienia się, staje się niższy. Potrafię wyczytać z twarzy otaczających nas Nieugiętych to samo, co odczuwa moje serce. To niemożliwe. Żadna flota TSO nie ośmieliłaby się zaatakować statku Nieugiętych. To by ozna...

- ALARM, TERRAŃSKA BROŃ ZOSTAŁA WYCELOWANA. NADLATUJĄ MYŚLIWCE. CAŁA ZAŁOGA NA STANOWISKA BOJOWE. NATYCHMIAST. TO NIE JEST PRÓBNY ALARM.

Załoga Saedii jest dobrze wytrenowana, więc mimo konsternacji natychmiast reaguje. Strażnicy rzucają się do działania, niektórzy rozmawiają przez system łączności, inni sięgają po broń. Dwóch natychmiast maszeruje do wyrzutni. Kilku innych zbiera się wokół biurka naczelnika więzienia i patrzy z niedowierzaniem na jego ekrany. Widzę sześć terrańskich statków zbliżających się do naszej pozycji. Cztery niszczyciele. Dwa ciężkie lotniskowce jeżdżące się od eskadr myśliwców.

Taka siła może przeciwstawić się nawet tak imponującemu okrętowi jak *Andarael*.

Jeśli ośmielią się ją zaatakować...

To mogą ją pokonać.

Kątem oka widzę, że Zila wysuwa unikron z rękawa i podaje Finianowi. Nasz Macher odwraca się od drzwi, niezauważony przy tym nagłym zamieszaniu i pracuje gorączkowo nad małym, jarzącym się ekranem.

Widzę, jak Zila sięga pod tunikę po ukryty pistolet-dezelator.

Podkradam się do najbliższego strażnika.

- CZERWONY ALARM – dobiega z głośników. – CZERWONY ALARM. NADLATUJĄ POCISKI. WYPUSZCZONO CELE POZORNE. CAŁA ZAŁOGA W GOTOWOŚCI. ESKADRY MYŚLIWCÓW, START!

Finian patrzy mi w oczy i kiwa głową. *Andarael* przesuwa się pod nami, kiedy silniki sterowe przeprowadzają manewr unikający. Słyszę grzmot napędu, stłumiony huk wystrzałów z broni pulsacyjnej. Wewnętrzny Wróg wzbiera w klatce moich żeber, tęskniąc za rozlewem

krwi. Chce walczyć razem z siostrami i braćmi, brodzić przez czern i czerwień, rozkoszować się smakiem soli i dymu, puścić się w taniec krwi.

Tutaj jednak też możemy zatańczyć.

Zdejmuję karabin-dezelator i strzelam cztery razy w głowy najbliższych strażników.

Palce Finiana są jak rozmazana plama na unikronie, pole kary wokół ich celi wreszcie znika.

Zila wypada przez drzwi, strzela szybko i załatwia kolejnego strażnika trafieniem w kręgosłup.

Rzucam karabin Scarlett i wyjmuję ostrza, które noszę na plecach. Scarlett łapie broń w locie i powietrze wypełnia się strzałami z dezeltatorów – Scarlett strzela na oślep, Zila bardziej przytomnie.

Kompletnie zaskakujemy adeptów – niektórzy szukają osłony, inni odwracają się do mnie, a kiedy kluczę, tnę i uderzam. Pokład kołysz się pode mną, alarmy wyją, a to, czym nie chcę być, z rykiem wydobywa się ze mnie na powierzchnię. Czuję rękę ojca na ramieniu, kierującą moimi ciosami, kiedy trenował mnie i Saedii, zanim nasza rodzina się rozpadła i nasz świat przepadł.

Kolejny wojownik pada pod moimi ostrzami. Czuję krew na języku. Strzał z dezeltatora trafia mnie w ramię i jedno z ostrzy wypada mi z ręki. Strzał Zili powstrzymuje dalszy atak mojego przeciwnika, a ja uderzam mimo bólu i podrzynam mu gardło. Fontanna ciemnej krwi maluje sufit, ściany, moje ręce i twarz.

Pokaż im, kim jesteś, Kaliisie.

Pokaż im, czym jesteś.

Staję się wtedy niczym. Nie ma myśli. Tylko ruch. Zatracam się w chwili, w hymnie, w hipnotycznym, zawrotnym tańcu krwi. Kiedy muzyka nagle cichnie, kiedy trafienie w kadłub *Andarael* szarpie całym okrętem, budzę się z transu, rozglądam się i widzę, co zrobiłem.

Dziewięć ciał. Dziewięcioro mężczyzn i kobiet, kiedyś żywych. Teraz zostało z nich zimne mięso. Ogarnia mnie uniesienie. Odrza. Puls dudni mi w uszach, czuję smród krwi na rękach.

Oto kim jesteś, Kaliisie, szepcze Wewnętrzny Wróg.

Urodziłeś się dla wojny.

Źna Sai'nuit.

Wróg wycofuje się, kiedy *Andarael* dygoce, ciężkie trafienia dzwonią o jej kadłub, a alarm wciąż wyje. Patrzę, jak Scarlett zbiera się z pokładu, Finian też próbuje się podnieść. Widzę zgrozę w ich oczach z powodu jatki, jaką urządziłem. Zila jest bardziej pragmatyczna, ale mimo wszystko wyczuwam w niej cień, gdy patrzy na śliską od krwi podłogę i ciała. Wyczuwam ich strach. Spowodowany tym, czym jestem i co robię. Jednakże żadna z tych rzeczy nie ma prawdziwego znaczenia.

Bo to wszystko dla niej.

Dla Aurory.

Zabieram kartę dostępową zabitemu strażnikowi, wyłączam pole kary przed jej celą. Wygląda pięknie jak zawsze z oczami zamkniętymi we śnie, z drżącymi powiekami w czarnej

i białej oprawie włosów.

Kiedy otwieram kajdanki, Zila wchodzi do celi i staje obok mnie. Sprawdza szybko odczyt na swoim unikronie, zrywa dermoplast z nadgarstka mojej be'shmai. Wyjmuje środki, które ukradła z izby chorych, i przyciska iniektor podskórny do jej gardła.

- Podano jej dużą dawkę środków uspakajających – melduje Zila. – Będzie potrzebowała trochę cza...

- Ja ją poniosę – mówię, biorąc ją na rękę. – Musimy ruszać.

- Twoje ramię – sprzeciwia się Zila. – Zostałeś ran...

- Nic mi nie jest – ucinam kwestię, wychodząc z celi. – Musimy iść. Natychmiast.

- Jaki mamy plan? – pyta Scarlett.

Kolejny wstrząs kołysze *Andarael*, po chwili następny. Zerkam na terminal naczelnika i widzę obraz Fałdy. Krajobraz jest czarno-biały, ale wody są nadal czerwone. Trzy z terrańskich niszczycieli zostały spopielone, jeden z lotniskowców unieszkodliwiono. Nieugięci walczą odważnie. Genialnie. Mimo to sytuacja *Andarael* nie wygląda dobrze. W próżni roi się od myśliwców – terrańskich mustangów o splaszczonych pyskach jak u buldogów i syldrańskich korwet o kształtach jak ostrza. Kluczą w burzy ognia. Obrony *Andarael* zostały zniszczone. Terrańskie pociski walą teraz prosto w kadłub. Kolejne trafienie trzęsie okrętem, iskry sypią się z instrumentów, alarmy wyją.

- Z LOTNISKOWCA TERRAŃSKIEGO NADLATUJĄ KAPSUŁY ABORDAŻOWE – rozlega się ogłoszenie. – CAŁA ZAŁOGA, PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO ODPARCIA ABORDAŻU.

- Lecą po Aurorę... – mruczę.

- Kim jesteś? – pyta ktoś.

Odwracam się i widzę wysokiego Wędrowca patrzącego na mnie z jednej z cel, otoczonego przez chudych i wyniszczonych towarzyszy. Srebro jego włosów wyblakło z wiekiem, cienkie zmarszczki położyły mu skórę wokół ust. To starszy Syldranin, za jego spojrzeniem może kryć się nawet dwieście lat. Żyłby w chwale przed naszym upadkiem. Zanim Gwiazdobjca doszedł do władzy. Zanim porzuciliśmy honor i zaczęliśmy walczyć ze sobą jak wygłodniałe talaeni nad ochłapami.

Zerka na symbol Zbrojnego na moim czole, na jatkę, jaką urządziłem pośród Nieugiętych, i ewidentnie nie pojmuję. Wyczuwam, że przesuwają się po powierzchni mojego umysłu, próbując rozwiązać tę zagadkę.

- Nie jestem nikim ważnym – odpowiadam.

Odwracam się do Finiana i kiwam na ciała.

- Weź sobie broń, Finianie de Seel. Musimy iść.

Scarlett marszczy brwi, patrząc na uwięzionych Wędrowców.

- Nie możesz tu zostawić tych ludzi, prawda?

- Nie możemy zabrać ich ze sobą – odpowiadam, maszerując przez blok więzienny. – Nie ma dość miejsca na pokładzie *Zera*. I nie ma czasu na spory. Chodźcie.

Zila kiwa głową, już kręci się przy wyjściu z karabinem w rękach.

- Taka zwłoka byłaby niedopuszczalna. A masowa ucieczka zwróciłaby uwagę na naszą.

- Mogą narobić zamieszania – sprzeciwia się Scarlett, zerkając na najbliższą celę. – Mogą pomóc. Nie możemy ich po prostu porzucić. Nie czujecie ich bólu?

Płytką zmarszczka pojawia się na czole Zili, kiedy odwraca się do naszej Twarzy.

- Scarlett, naszym jedynym i najważniejszym celem jest pomóc Aurorze zapobiec wylęgowi Ra'haam na planetach w Drodze Mlecznej. Każda cena, jaką zapłacimy my i inni za powodzenie naszej misji, jest do przyjęcia.

- Każda sekunda kłótni to zmarnowany czas – mówię coraz bardziej zdesperowany.

- Mamy chwilę? – pyta Finian. – Zila już odzyskała dane z Hefajstosa i nasze unikrony.

- Mam je wszystkie przy sobie – odpowiada Zila, poklepując się po kieszeni.

- Tak, jestem tutaj, niech nikt nie panikuje! – rozlega się stłumiony głosik.

- Tryb cichy – mówi Zila.

- Musimy uratować twojego brata i uciec z tego statku – mówię do Scarlett.

- Mój brat byłby pierwszą osobą, która wypuściłby tych ludzi – protestuje Scarlett. – Nie waz się wykorzystywać go jako pretekst, żeby ich porzucić.

Maszeruje przez pomieszczenie i zaczyna przeszukiwać mundur naczelnika. Kolejne trafienie wstrząsa *Andarael*. Aurora, którą trzymam na rękach, marszczy czoło przez sen. Rana w moim ramieniu to powolne cierpienie. Światła rozbłyskują, przechodząc z bieli w szarość, a alarmy są niemal ogłuszające.

- WYŁOM NA POKŁADZIE 17 I 12 – informują głośniki. – OCHRONA I CAŁA WOLNA ZAŁOGA MAJĄ SIĘ UDAĆ NA POKŁAD 17 I 12.

- Scarlett, nie ma na to czasu – mówi Zila.

Statek znowu się trzęsie, a Scarlett wreszcie wyjmuje kartę dostępu. Wyczuwam dym w powietrzu, smród paliwa i czegoś zwęglonego. Serce mi bije szaleńczo, żołądek się buntuje, kiedy Scarlett idzie od celi do celi przez cały blok, uwalniając powódź skonsternowanych, zdesperowanych Wędrowców. *Andarael* szarpie się jak dzikie zwierzę pod naszymi stopami.

Aurora otwiera oczy.

- Kal? – szepcze.

- Wszystko dobrze, be'shmai – odpowiadam i wbrew wszystkiemu czuję, że to prawda.

- Motyla noga – jęczy Aurora. – Czuję się, jakby ktoś mnie przeżuł i wypluł. Ta twoja siostra... – Mruga mocno spoglądając na dym, ciała, uciekających Wędrowców. – C-co się dzieje?

- Opuuszczamy to miejsce. Dasz radę chodzić?

- Scar, chodźże – prosi Finian.

Pomagam Aurorze stanąć i krzyczę:

- Scarlett, musimy iść!

Scarlett włącza pole kary i otwiera ostatnią celę. Starzec i jego towarzysze wychodzą na wypełnioną krzykami, chaotyczną wolność.

- Jesteśmy ci winni wdzięczność, młoda Terranko – mówią.

- Biegnijcie do hangaru z promami – odpowiada Scarlett. – I wynoście się stąd gdzie pieprz rośnie.

Syldranin przygląda jej się długo, a potem kiwa głową, zamykając oczy i splatając palce dłoni. Okazuje naszej Twarzy szacunek, jaki zwykle rezerwowałby dla innych Wędrowców.

- Jeśli będziemy mogli spłacić nasz dług, znajdziesz nas na stacji Tiernan – mówi z godnością mimo panującego chaosu. – Jestem Starszy Raliin Kendare Aminath.

Scarlett grzecznie kiwa głową w odpowiedzi, chociaż w tej chwili nawet ona pali się do ucieczki.

Wędrowcy zabierają trochę broni i uciekają przez dym i jatkę. Statek kołysze się pod nami, światło rozbłyskuje i gaśnie, pograżając nas w nagłej ciemności. Mimo bólu tulę Aurorę do piersi.

- WYŁOM NA POKŁADZIE 4 – dobiega ponownie z głośników. – OCHRONA DO CENTRUM KONTROLI I DOWODZENIA. CAŁA ZAŁOGA: WŁOŻYĆ SKAFANDRY NA WYPADEK DEKOMPRESJI.

Włącza się światło awaryjne i cała nasza piątka patrzy po sobie w półmroku.

- Ten wyłom znajduje się w pobliżu komnat Saedii – mówię. – Gdzie powinien być Tyler.

- Już straciliśmy za dużo czasu – oznajmia beznamiętnie Zila. – Musimy dotrzeć do hangaru. Dzięki urządzeniom maskującym Zera i chaosowi, jaki rozpętał się na zewnątrz, może uda nam się uciec niezauważenie.

- Ale... – Finian patrzy na nas. – Nie możemy zostawić Tylera!

- Nie możemy ryzykować, że Aurora znajdzie się w pobliżu grup abordażowych TSO – odpowiada Zila. – Tylko ona się tu liczy.

Nadal otepiała od środków uspokajających Aurora kręci głową, próbując zebrać myśli. Sekundy uciekają, a my milczymy. Nagle dociera do mnie, jak ważny jest Tyler dla naszej drużyny. Bez niego nie mamy przywódcy. Nie ma nikogo, kto szybko dokona wyboru, kto podejmie trudną decyzję, kto zmierzy się z bolesną odpowiedzialnością, narażając innych na niebezpieczeństwo.

- Auri... – mówi Fin. – Możesz... posłużyć się swoją mocą?

Auri wytrzeszcza oczy. Widzę w nich wspomnienie *Hadfielda*. Gdy straciła panowanie nad mocą w sekcji kriogenicznej, powodując zniszczenie, wywołując chaos. Mogłaby zabić nas wszystkich. My to wiemy. Ona to wie. Jej oczy płoną strachem z powodu tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby znowu straciła panowanie.

- Ja...

Patrzy na mnie udręczona.

- Wątpię, żebym zdołała...

- W porządku, be'shmai – mówię, całując ją w czoło.

- Nie chcę nikogo skrzywdzić...

- Zabierz Auri na pokład Zera – mówi Scarlett, patrząc na mnie. – Zila ma rację, nie możemy ryzykować, że TSO ją złapie. Jeśli nie zjawię się tam za dziesięć minut, macie schrzaniać z hangaru i nie oglądać się za siebie.

- A dokąd ty się wybierasz? – pyta Finian.

Scarlett rusza do szafki ze sprzętem potrzebnym w nagłych wypadkach, wyjmując z niej maskę tlenową. Dźwiga karabin, który jej dałem, sprawdza stan baterii.

- Idę po Ty'a.

- Scarlett, to nierozsądne – mówi Zila.

- W korytarzach będzie mnóstwo adeptów i żołnierzy TSO – dodaję.

Patrzy mi w oczy. W jej własnych płonie ogień.

- To mój brat, Kal.

I znowu wstrząsa mną siła więzi, jaka łączy bliźniaki Jones. Jak jest głęboka w porównaniu z tym, co łączy mnie i Saedii.

Przypominam sobie, że kiedyś byliśmy ze sobą blisko. Gdy byliśmy dziećmi na Syldrze i nasi rodzice wciąż się kochali, byliśmy nierozłączni. Teraz łączące nas więzy krwi bardziej przypominają wodę. Wspomnienie naszej matki, duch naszego ojca wiszą między nami. Gdyby groziło mi niebezpieczeństwo, wiem, że porzuciłaby mnie, zostawiła na łasce losu, i to sprawia mi ból - większy niż rana w ramieniu, niż siniaki na żebrach i świadomość, że nie mogę towarzyszyć Scarlett w jej misji. Bo nie mogę narażać Aurory.

- Scarlett... - szepcze Aurora ze łzami w oczach. - Tak mi przykro...

- Wiem. - Scarlett kiwa głową. - Uciekajcie.

Finian bierze wdech i opiera na ramieniu skradziony karabin.

- W takim razie idę z tobą.

Scarlett otwiera usta, ale on nie daje jej dojść do słowa.

- Nawet nie próbuj się sprzeciwiać - mówi. - Nie pójdziesz sama.

Scarlett obrzuca chłopaka spojrzeniem od stóp do głów z ręką na biodrze i krzywi usta w znaczącym uśmiešku.

- Nadal cierpisz na dumny heroizm, co?

Finian wzrusza ramionami.

- Miejmy nadzieję, że ta przypadłość jest uleczalna.

Statek szarpie się pod nami. Mimo wycia alarmów słyszę huk dezelatorowego ostrzału w oddali. Krzyki bólu. Wykrzykiwane rozkazy, skrzywienie wyginanego metalu, huk ognia. Smak płonącego plastiku wisi ciężką chmurą w powietrzu.

- Dziesięć minut - ostrzega Zila. - A potem musimy odlecieć bez was.

Scarlett kiwa głową.

- Tylko Auri naprawdę się liczy. Opiekuj się nią, Kal.

- Za cenę życia - przysięgam.

- Uważaj na siebie - prosi Auri.

Scarlett i Finian wkładają bez słowa maski i wybiegają w chaos. Widzę ich jeszcze po raz ostatni, jak biegną ramię w ramię, zanim znikną w dymie.

Wiem, że biegną w paszczę niebezpieczeństwa i zastanawiam się, czy zobaczę ich jeszcze żywych.

***Temat: Kogo należy unikać (aktualizacja)***

► Terrański rząd

▼ Globalna Agencja Wywiadowcza

GAW, najsilniejsze ramię terrańskiej służby wywiadowczej, strzeże interesów Ziemi i zwalcza wrogie siły wywrotowe zarówno na Ziemi, jak i w przestrzeni kosmicznej.

Agenci GAW noszą broje i hełmy, uniemożliwiające zidentyfikowanie poszczególnych agentów i umacniające przekonanie, że GAW to jedna ogromna upiorna manifestacja terrańskiego wymiaru sprawiedliwości. Ci goście naprawdę nie potrafią się bawić.

[Aktualizacja]

To wstrząsające, ale każdy agent GAW, któremu członkowie drużyny 312 zdjęli maskę, okazuje się byłym kolonistą z Octavii III, chociaż ci ludzie powinni umrzeć setki lat temu. Co bardziej przerażające, każdy z nich został zainfekowany przez jednię Ra'haam.

Wiem, kompletne szaleństwo, nie?

Naprawdę powinienem był pilniej uczyć się syldrańskiego.

Na mostku wokół mnie rozpętało się coś w rodzaju ściśle kontrolowanego chaosu. Syldrańska arogancja jest wręcz legendarna, a wyniosłość Syldranie podnoszą do poziomu sztuki, ale to wszystko – arogancja, chłód, postawa pod hasłem „jesteśmy o niebo od was lepsi” – zostało teraz doprowadzone do punktu załamania. Niektórzy Nieugięci zapędzają się już tak, że prawie podnoszą głos, więc wiem, że sytuacja jest Poważna. Rozumiem co szóste słowo, ale są to te ważne słowa. Takie jak „zdziętkowany” i „zniszczony”. Takie jak „niezdolny” i „nie reaguje”.

Te słowa oznaczają, że *Andarael* przegrywa.

Saedii nie ma czasu odesłać mnie do więzienia, a nie chce mnie zostawiać w swoich komnatach, więc jej osobisty strażnik zawłókł mnie na mostek razem z nią i wepchnął do kąta, żebym popatrzył na fajerwerki. Prawda jest taka, że nigdy nie widziałem bitwy takich rozmiarów na żywo, więc mój wewnętrzny świr na punkcie taktyki jest pod wrażeniem. Studiuję ruchy i odpowiedzi, holograficzne obrazy na każdej ścianie, jarzące się wizerunki lotniskowców, niszczycieli i myśliwców pokryte syldrańskimi napisami.

Nawet jeśli nie potrafię odczytać tekstu, to jestem w stanie docenić to, w jaki sposób bitwa rozgrywa się przed naszymi oczami. Chociaż nie mam ochoty tego przyznać, Saedii genialnym dowódcą. Stoi na mostku z Ishą na ramieniu, dyrygując bitwą jak dyrygent orkiestrą. Działa zdecydowanie, myśli szybko, odczytuje konflikt doskonale. Wydaje rozkazy bez wahania, a załoga natychmiast je wypełnia – zupełnie jakbym obserwował obracające się tryby i zębátky jakiejś śmiercionośnej maszyny.

*Andarael* to imponujący okręt z dwukrotnie większą siłą ognia od wszystkiego w terrańskiej armadzie. Tyle że przeciwnik ma przewagę w ludziach i w uzbrojeniu. As w rękawie w postaci nietykalności Nieugiętych nie zadziałał i chociaż Saedii zniszczyła trzy statki i unieszkodliwiła czwarty, to jej kontrataki nie były w stanie odeprzeć przeważającej siły. Bez względu na to, jak sprytnym może być dowódcą, jej jedyną opcją w tej chwili jest ucieczka. A to jest coś, czego templariuszka Nieugiętych nigdy nie robi.

Kolejny pocisk orze naszą rufę, wstrząsą przenikają *Andarael* aż do szpiku kości. Artylerzyści TSO celują w nasze silniki i system naprowadzania, próbując nas unieszkodliwić. Nadchodzą raporty z niższych pokładów – terrańskie grupy abordażowe przebijają się ze swoich przyczołków, żołnierze piechoty morskiej w pancierzach wspomaganych niepowstrzymanie wycinają sobie drogę przez obronę Nieugiętych. Liczby są nieubłagane. Każdy Syldranin zabija co



najmniej pięciu terrańskich żołnierzy, zanim sam padnie, ale TSO dysponuje większymi siłami i atakuje wszystkim, co ma.

Walki na dole to prawdziwa rzeź.

Część mnie nadal nie może pojąć, jak do tego doszło. Konsekwencje takiego starcia, walki na pełną skalę między siłami Terry i Nieugiętych – nie chcę nawet myśleć, co to znaczy dla Galaktyki...

Wszyscy Nieugięci na mostku noszą maski tlenowe na wypadek dekompresji, ale nikt nie był dość miły, żeby dać mi jedną. Czuję teraz w powietrzu dym, palący się metal, smród zwęglonych polimerów. Jeszcze jedna kapsuła abordażowa uderza o niższe pokłady wypełniona kolejnymi żołnierzami. Czuję uderzenie przez podłogę i wibracje przebiegają mi w górę po całym kręgosłupie. Nie wiem, ile jeszcze zniesie *Andarael*.

I wtedy odzywa się przyboczny Saedii, jego słowa sprawiają, że nagle zamiera cały mostek. Wychwytuje tylko trzy. Tyle że to znowu są te trzy najważniejsze.

Transmisja.

Archont Caersan.

To imię jest dla mnie jak cios w brzuch. Zamieram i wszystkie myśli o bitwie uciekają mi z głowy. Saedii odwraca się od ekranów taktycznych, mówi coś cicho, centralna projekcja bitwy szalejącej na zewnątrz blaknie i zastępuje ją inny obraz.

Obraz mężczyzny.

Powiem szczerze, że nie wiem, czego się spodziewałem. Bez względu na to, co mówią książki, potwory rzadko wyglądają jak potwory. Nauczyłem się nienawidzić tego mężczyzny każdą cząstką mojej istoty, ale patrząc na najbardziej niesławnego masowego mordercę w historii Galaktyki, na mężczyznę odpowiedzialnego za Inwazję na Oriona, za zniszczenie własnego rodzinnego świata, śmierć mojego ojca, wiem, że spodziewałem się kogoś chociaż trochę potwornego.

A Gwiazdobójca jest...

Stwórco, nie wiem, jak go określić...

Jest... olśniewający?

Archont Nieugiętych jest wysoki jak wszyscy jego ludzie, odziany w ozdobną syldrańską zbroję z długą, ciemną peleryną. Ma okrutne rysy twarzy, mocne kości policzkowe, uszy zwężają mu się tak, że na końcach są ostre jak nóż. Długie srebrne włosy nosi upięte wysoko nad symbolem Zbrojnych i splecione w dziesięć warkoczy opadających na jedną stronę twarzy. Sama twarz ma w sobie coś z symulacji – jest zbyt piękna, żeby była prawdziwa. To niemal łamie serce – pomyśleć, że coś tak idealnego może skrywać tak ogromne zepsucie.

Jednakże najbardziej uderza mnie widok oczu Gwiazdobójcy. Tu, w Fałdzie, nie mogę widzieć fioleto- tęczówek, ale jego spojrzenie wciąż jest świdrujące. Łapię się na tym, że ten wzrok mnie przyspila i sprawia, że czuję się bezradny, jakby naprawdę był w stanie zajrzeć mi w głąb duszy.

Już samo jego pojawienie się ucisza mostek, chociaż właśnie trwa walka. Archont promieniuje autorytetem, powagą, strachem, jak gwiazda promieniuje ciepłem.

Odzywa się do Saedii, a jego głos jest ciemny jak dym i gładki jak laraski semptar. Transmisja nadchodzi Stwórcą jeden wie skąd, więc Saedii mówi szybko, niczego nie zatajając. Słyszę, jak wypowiada imię Aurory. Imię Kala. Słowa „atak”, „Terranie”, „bitwa” i „niemożliwe”.

Minie kilka minut, zanim jej wiadomość dotrze do niego przez przestrzeń międzygwiazdną, nawet jeśli Fałda skraca dystans. W tym czasie Saedii odwraca się do trwającej bitwy. Z całego statku napływają raporty o uszkodzeniach. Silniki *Andarael* już nie działają. Syreny alarmów nadal wyją, smród dymu jest coraz mocniejszy, ekrany taktyczne napełniają się tańcem i wzorem ognia myśliciów, które nadal walczą na zewnątrz.

W końcu widzę, jak piękna twarz Gwiazdobójcy się krzywi – odpowiedź Saedii dotarła do niego. Jego wzrok ciemnieje. Archont zaciska usta w wąską linię. Widzę niedowierzanie, szybko przechodzące w furję i nienawiść – tego rodzaju wściekłość, która może sprawić, że mężczyzna rozniesie na strzępy własny świat. Wściekłość, która każe mu wymordować miliardy ludzi.

– Ośmielili się? – warczy.

Otwiera usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nigdy nie udaje nam się usłyszeć reszty jego wypowiedzi. Coś trafia mocno w mostek *Andarael*, rozbłyskuje białe światło, bucha ogień i nagle lecę w bok, uderzam w ścianę za sobą i cały świat obraca się do góry nogami. Wybuch jest osłepiający, niemal ogłuszający i przez krótką chwilę zastanawiam się, czy to już koniec. Czy w tym miejscu umrę.

Przestrzegąłem przykazań Wiary Zjednoczonej, żyłem zgodnie z nimi najlepiej, jak potrafiłem. Powinienem czuć spokój. Nie chcę jednak na razie odchodzić, za dużo zostawiam za sobą, zbyt wielu ludzi, na których mi zależy. O zbyt dużą stawkę toczy się tu gra. Czepiam się więc z ponurą desperacją życia, wbijam paznokcie i nie chcę puścić. Wrzeszczę na ciemność.

Jeszcze nie.

Jeszcze nie!

Otwieram oczy. Widzę poskręcany metal. Dławię się czarnym dymem.

Mostek został bezpośrednio trafiony, uderzenie rozerwało kadłub, jakby był z folii aluminiowej. Straciliśmy moc, ekrany pogasły. Ciała Nieugiętych leżą tam, gdzie padły, fioletowa syldrańska krew jest szara w Fałdzie i obryzgała całą podłogę. Strażnik, który mnie pilnował, został nadziany na poskręcany słup, w jego oczach nie ma życia. Ogień płonie wśród komputerów. Pokład przekrzywia się na lewo – system sztucznej grawitacji nadal działa, ale silniki padły, *Andarael* dryfuje przekrzywiona i bezradna w ciemności.

Sprawdzam, czy coś zламаłem, i chociaż za parę godzin będę cały sino-fioletowy (zakładając, że opuszczę żywy Fałdę), to najgorszym, co mi się przytrafiło, jest kilka głębokich rozcięć. Krew sączy mi się z uszu. Oczy mnie pieką od dymu. Wstaję chwiejnie z jękiem, zdejmuję maskę tlenową z głowy martwego strażnika i zabieram mu pistolet-dezelator. Wszyscy Syldranie na mostku leżą na plecach albo brzuchach, ale wśród potrzaskanego metalu i gradu iskier widzę, że więcej niż kilku się rusza, otrząsając się po wybuchu.

Muszę się stąd wynosić.

Muszę znaleźć Scarlett i pozostałych.

Niestety moje szanse na to są zerowe. Studiowałem okręty wojenne Syldran, ale nie znam rozkładu pomieszczeń tak dobrze jak na terrańskich statkach – tylko zgrubnie orientuję się, gdzie są hangary, nie wspominając o więzieniu. A nawet jeśli dolne pokłady nie wypełniły się żołnierzami piechoty morskiej, to wciąż będą tam Nieugięci, z którymi musiałbym sobie poradzić. Nie mam żadnej przewagi, żadnej możliwości...

...wywarcia nacisku.

Słyszę gadzi syk i widzę Ishę w dymie – ma rozłożone skrzydła, krzyczy zaniepokojona. Mały drakkan przysiadł na zawalonym kawałku sufitu, a pod nim widzę leżącą na plecach Saedii. Nogi ma przygwożdżone, szczerzy zęby, warcząc. Próbuje się wydostać, ale nie ma szansy z takim ciężarem.

Podłogi z duroplianu i instrumenty płoną, alarmy wyją. System przeciwpożarowy najwyraźniej nie działa, płomienie przesuwają się w stronę Saedii, która przeklina, sfrustrowana uderza pięścią w metal. Isha znów wrzeszczy, drapie drobnymi pazurami metal, desperacko próbując uwolnić swoją panią.

Podchodzę chwiejnie do płonącego mostka, schodzę po przekrzywionej podłodze. Saedii patrzy na mnie, gdy nad nią staję, i przelotna ulga znika, gdy zdaje sobie sprawę, że nie jestem członkiem jej załogi, który przyszedł jej na ratunek.

Isha wrzeszczy ostrzegawczo, kiedy ustawiam dezelator na zabijanie i mierzę Saedii w twarz. Templariuszka patrzy mi w oczy.

Nieulekła.

Niezlamana.

– Zrób to – warczy. – Terrański tchórz.

Obacam lufę i strzelam w kawał zwałonego metalu, częściowo go topiąc. Schylam się, żeby go unieść, czerwienieję z wysiłku. Saedii krzywi się, pcha, udaje jej się wyczołgać spod gruzowiska. Kiedy się wydostaje, widzę, że krew przesiąkła przez spodnie jej munduru, które przybrały ciemniejszy odcień czerni. Pada ze ściągniętą i mokrą od potu twarzą. Stara się tego nie okazać, ale widzę ból w jej oczach.

– Dlaczego? – szepcze, patrząc na mnie. – Dlaczego mnie ratujesz?

– Nie ratuję cię.

Pochylam się, zarzucam sobie jej rękę na ramiona i ją podnoszę. Stęka z bólu, ale prostuje się, zaciska zęby. Twarz ma umazaną krwią.

– Ratuję moich przyjaciół.

Powinienem ją tam zostawić, pozwolić, żeby spaliła się razem z resztą tych morderców. Saedii może jednak poprowadzić mnie przez statek i pomóc mi ominąć nadchodzących Terran. Dzięki niej Nieugięci mnie nie zaatakują. I chociaż potwornie sobą gardzą, nie jestem pewien, czy Kal byłby mi wdzięczny, gdybym zostawił tu jego siostrę, żeby się spaliła.

– Którędy na poziom więzienny? – pytam.

Pluje mi w twarz, przeklina po syldrańsku. Kopię ją w uszkodzoną nogę, a ona wrzeszczy z bólu – pierwszy raz widzę, żeby okazała słabość. Wsuwam jej dezelator pod podbródek nadal ustawiony na zabijanie.

– Nie rób tego więcej – ostrzegam.

- Bo co?

Pochylam się i patrzę jej w oczy. Równie twardo. Z taką samą desperacją.

- Bo odpłacę ci za to, co twoi ludzie zrobili mojemu ojcu - warczę. - A teraz zabierz mnie na poziom więzienny.

Patrzy mi w twarz, ma lodowate spojrzenie. Dociskam pistolet do jej podbródka tak mocno, że aż się krzywi. Wreszcie kiwa głową w stronę drzwi mostku i ruszam, na wpół ją niosąc, na wpół wyciągając z narastającego pożaru na korytarz. Isha leci za nami, przeskakując z jednego miejsca na drugie i krzycząc z niepokojem.

- Każ jej się zamknąć - mówię. - Ściągnie nam na głowę wszystkie TSO.

- Tchórz. - Saedii celuje tym słowem we mnie, jakby to była broń.

Przyciskam pistolet mocniej do jej skóry.

- Którędy?

Znowu kiwa głową, szczerząc zęby. Oczy jej błyszczą nienawiścią. Idziemy. Powoli, chwiejnie. Poruszamy się po omacku w gęstniejącym dymie, wśród wyjących alarmów. Oddział Nieugiętych natyka się na nas, kiedy docieramy do pomocniczych schodów, ich przywódca krzyczy, żebym się zatrzymał. Kiedy unoszę broń, pluton żołnierzy piechoty morskiej TSO wypada schodami za naszymi plecami. Powietrze wypełnia się strzałami z dezelatorów, szcękaniem ostrzy, krzykami umierających.

Wlekę Saedii na schody. Żołnierze TSO ryczą na nas, żebyśmy się zatrzymali, przekrzykując tumult walki, huk kolejnego pocisku uderzającego w okręt. Schodzimy, Isha wrzeszczy za nami, Saedii prawie spada. Oddech mi płonie w płucach mimo maski, dym wypełnia klatkę schodową i uniemożliwia widzenie. Wypadamy na niższy poziom, gdzie panuje potworny żar i dym jest jeszcze gęstszy.

- Którędy?! - krzyczę.

Siostra Kala krzywi się i kiwa głową. Zataczamy się. *Andarael* przekrzywia się mocno, prawie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Saedii mocno krwawi, zostawia za sobą krwawe ślady na podłodze. Pewnie tylko z powodu tych ran jeszcze nie próbowała mnie obezwładnić, ale nie jestem pewien, jak długo utrzyma się na nogach. Nie mam czasu do stracenia, ale jeśli ona padnie...

Sadam ją pod ścianą. Rzęsy trzepoczą jej o policzki. Isha łąduje w pobliżu, krzyczy na mnie, drobne małe kły błyszczą w migoczącym świetle. Obrzucam Saedii spojrzeniem, widzę, że spodnie ma przemoczone od krwi, która wylewa jej się z butów. Padający sufit przeciął albo zmiażdżył jakiś ważny narząd. Kiedy zrywam koszulę i odrywam z niej pasy, z głośników płyną ostrzeżenia. Saedii krzywi się, kiedy opatruję jej ranę mocno, żeby powstrzymać krwawienie.

- Słabeusz - szepcze.

- Jasne - mówię, wiążąc prowizoryczną opaskę uciskową.

- Nędznik.

- Przymknij się. - Wzdycham, zarzucając sobie na ramiona jej rękę i podnosząc ją znowu. - Nim zapomnę o dobrym wychowaniu.

Słyszę ciężkie kroki - ktoś zbiega schodami za nami. Samotna Syldranka wypada na wypełniony dymem korytarz i wytrzeszcza oczy na widok swojej templariuszki zwieszającej się bez-

władnie w ramionach Terranina bez koszuli. Podnosi broń, ale ja już trzymam własną. Rozlega się huk i Syldranka pada na pokład.

Poruszam się tak szybko, jak się da z Saedii, ale jest mi ciężko. Docieramy do skrzyżowania, gdzie znowu pytam którądy. Saedii mamrocze coś w odpowiedzi. Żołnierze TSO na pewno depczą mi już po piętach – nie zdołam im się przeciwstawić, jeśli nas złapia, a nie mam gdzie się schować. Szybko dociera do mnie, że jeśli mamy wyjść z tego cało, to potrzebujemy czegoś, co w nieprzyjemnym stopniu byłoby zbliżone do cudu.

I wtedy ją widzę.

Na końcu korytarza, pędzi przez dym z karabinem-dezelatorem w rękach. Płomiennorude włosy, wielkie oczy niebieskie jak moje własne, wszystko wypłowiawe do szarości w Fałdzie. Twarz wokół brzegów maski ma brudną od sadzy, kurzu i krwi, ale jeszcze nigdy nie widziałam jej równie pięknej.

– Scarlett – szepczę.

Towarzyszy jej Finian, trzyma się nisko. On pierwszy mnie widzi, przekrzykuje alarmy i huk pożaru.

– Tam jest!

Chwiejnie, noga za nogą, wlekę siebie i Saedii z kretyńskim uśmiechem na twarzy. Scarlett pędzi do mnie korytarzem. Mój cud, zgodnie z zamówieniem.

I wtedy coś w nas trafia.

Nie jest to dość duże, żeby było pociskiem. Może jakiś wrak, może myśliwiec, który stracił panowanie nad lotem wali w burtę *Andarael*. Trafia w pokłady nad nami, wygina kadłub. Uderzenie jest jak grom, razem z Saedii uderzam o ścianę. Wyrwa mi się słaby okrzyk, Syldranka wpada na mnie i oboje koziolkujemy po pokładzie, dezelator wylatuje mi z rąk. Jestem bliski utraty świadomości, ciepła ciemność i cisza przywołują, ale je odpycham. Mam krew w ustach.

Otwieram oczy. Alarmy ostrzegają przed dekompresją, poza nimi słyszę śmiertelny syk gazu uciekającego w próżnię. Z zaciśniętym sercem widzę, że korytarz przed nami wykrzywił się – sufit się zawalił, porwane kable skrzą się elektrycznością. Dalej widzę Finiana na kolanach i moją siostrę, która właśnie się podnosi.

– Scarlett! – ryczę. – Nic ci nie jest?

– Dam radę! – Kaszle. – A tobie?

– Wszystko w porządku!

– Czy chcę wiedzieć, dlaczego nie masz koszuli?

– Taki kaloryferek pragnie pokazać się światu.

Scarlett śmieje się, ale uśmiech natychmiast gaśnie na jej ustach. Korytarzem nie da się przejść – nie dotrzemy do siebie bez palnika albo materiałów wybuchowych. Powietrze ucieka z kadłuba i chociaż wszyscy mamy na twarzach maski tlenowe, to jeśli systemy awaryjne *Andarael* nadal działają, korytarz zostanie odcięty, żeby zapobiec dalszej utracie tlenu na całym okręcie.

– Musisz się stąd wynosić! – wołam do Scarlett.

– Zamknij się – odpowiada. – Finian, pomóż mi.

Zaczyna szarpać szczątki sufitu. Próbuje zrobić przejście dość duże, żebym się zmieścił. Przecięty kabel skwierczy i skrzy się, kiedy Finian napiera plecami na metal.

- Scar, nie dasz rady...

- Nie zostawię cię! - krzyczy. - Zamknij się wreszcie!

Serce mi się zaciska na brzmienie jej głosu. Na widok łez w jej oczach. Bo nawet jeśli udaje, to nie jest prostą dziewczyną. Wie, jakie mamy szanse.

Słyszę wtedy tupot ciężkich buciorów za sobą. Dźwięk włączanych dezeleratorów. Dudniący głos i terrański język.

- Ręce do góry!

Odwracam się i widzę pluton żołnierzy piechoty morskiej TSO. Ich wspomagane pancerze są wielkie, zwaliste, pozbawione wdzięku, ozdobione graffiti, jakie trepy lubią sobie malować w przerwie między walkami. „Wal się!”. „Wojna to piekło”. Porucznik ma na napierśniku napis „Pożeram ludzi”. Oczy za hełmami płoną, serwomechanizmy jęczą, kiedy laserowe celowniki na ich karabinach zapalają się na mojej piersi.

Ich jest tuzin. Ja jestem jeden.

Niezbyt równe szanse nawet, kiedy jestem w szczytowej formie. A daleko mi teraz do niej.

- Wynoś się stąd, Scar! - mówię cicho.

- Tyler...

- Liczy się tylko Auri.

- Na kolana, legionisto Jones! - warczy pożeraczka ludzi. - Powoli!

Znają mnie. Założę się, że princeps kazał nas sprowadzić żywych. Przede wszystkim Aurorę. Unoszę ręce i osuwam się na podłogę. Saedii przeklina, próbując wstać, ale strzał ogłuszający powala ją z powrotem. Isha wrzeszczy i szczyrzy zęby, rzuca się na żołnierzy. W korytarzu rozlega się tuzin strzałów i mały drakkan pada na podkład w rozbryzgu ciemnej krwi.

- Nie! - krzyczy Saedii, znowu próbując wstać.

Padają kolejne strzały ogłuszające:

BACH!

BACH!

BACH!

...i templariuszka Nieugiętych osuwa się cicha i nieruchoma.

Oglądam się przez ramię, widzę twarz siostry za gruzowiskiem, łyzy płynące po jej policzkach. Słyszę głos taty w głowie. Czuję jego rękę mierzwiącą mi włosy w sposób, którego nie cierpiałem. Słyszę, jak mówi do mnie w sposób, który uwielbiałem. Jakby mówił coś Ważnego. A ja byłem godny tego słuchać.

„Opiekuj się siostrą”.

- Wskaż drogę, Scarlett.

- Tyler... - szepcze.

- Powiedziałem, że pewnego dnia będziesz być może musiała poradzić sobie beze mnie, pamiętasz? - Zerkam na chłopaka obok niej, na jego twarz pobladłą tak, że przybrała najbielszy odcień bieli. - Opiekuj się nią w moim imieniu, Fin. To rozkaz.

- Tak jest, dowódco. - Kiwa głową. Bierze Scarlett delikatnie za rękę i mówi do niej cicho: -  
Musimy iść.

- Nie - odpowiada Scarlett, kręcąc głową. - Nie!

- Scar, przykro mi, ale musimy iść! - krzyczy Finian.

Metalowe ręce mnie łapia, pchają na pokład, ktoś zapina magnetokajdanki na moich nadgarstkach. Żołnierze przyciskają mi twarz do pokładu, więc nie muszę patrzeć na Scarlett, kiedy pęka jej serce. Słyszę jednak jej płacz, gdy w końcu daje się odciągnąć Finianowi z dala od ostatniego członka rodziny.

- Kocham cię, Scar!

Karabin-dezelator szumi. Palec zaciska się na spuście.

BACH!

Ciemność spada jak młot.

Bieg z powrotem na *Zero* jest jak jedna rozmazana plama. Oczy mnie pieką od potu i łez. Cały statek przechyla się potwornie, pokład ucieka nam spod nóg, kiedy biegniemy chwiejnie przez dym i jatkę w stronę hangaru. Światło migocze i gaśnie – nawet systemy awaryjnego zasilania na *Andarael* ledwie sobie radzą. Korytarze są zawałone trupami Terran i Syldran, ich krew jest lepka pod moimi butami. Statek zamienił się w rzeźnię. I jeśli nie wydostaniemy się z niego szybko, to w najlepszym razie skończymy martwi, a w najgorszym z powrotem wylądujemy w rękach GAW.

Myślę o Tylerze i serce tak mnie boli, że prawie upadam. Przez chwilę tylko Finian sprawia, że ruszam nogami. Obejmuje mnie za ramiona, ciągnie pośród wycia alarmów przez kłębiącą się szarość i deszcz iskier. Mam wrażenie, że w jakiś sposób zdradziłam Ty'a. Zostawiłam za sobą najważniejszą część siebie. Słyszę jednak głos brata w głowie, widzę jego oczy, gdy do mnie mówił.

„Wskaż drogę, Scarlett”.

To właśnie robi dobry przywódca według niezjącego wielkiego Jericho Jonesa:

„Poznaj drogę.

Wskaż drogę.

Przebądź drogę”.

Ty zawsze kierował się w życiu tymi słowami. To dlatego przez całe życie opiekował się mną i wszystkimi wokół. To była spuścizna ojca. Wiem, że przekazał ją mnie, bo sam dłużej nie mógł jej dźwigać. Powierzył ją mnie. Zaufał mi, że dopilnuję, by reszta drużyny wyszła z tego cało.

Wskaż drogę.

Dlatego prostuję się nieco, wysuwam się z chwytu Finiana, mocniej przyciskam karabin do piersi. Nadal mam maskę na twarzy, więc nie mogę wytrzeć łez. Mogę jednak je zdławić. Zamknąć je i odłożyć na inną okazję, na inne miejsce, kiedy losy całej przeklętej Galaktyki nie będą się ważyć.

– Nic ci nie jest? – pyta Finian.

Pociągam główno nosem, z trudem przetykam ślinę. Pukam w ekran unikronu.

– Kał, słyszysz mnie?

– Tak, Scarlett – pada jak zawsze spokojna odpowiedź. – Jaka jest wasza pozycja?

– Zmierzamy do *Zera*, utrzymacie pozycję?



- Niezbyt długo. Musicie się pośpieszyć.

- Powiedz Zili, żeby grała silniki i przygotowała się do startu. Jeśli nie dotrzemy tam za pięć minut albo Auri będzie coś zagrażać, macie się stąd wynosić, jasne?

- Tak jest. Jakie jest status Tylera?

Biorę głęboki wdech. Wpycham wszystkie odczucia w podeszwy stóp.

- Powiedz Zili, że mam nadzieję, że pilotuje statek równie dobrze, jak prowadzi furgonetkę.

- Zrozumiałem – odpowiada cicho Kal.

Pukam w ekran, żeby przerwać połączenie, i patrzę Finianowi w oczy.

- Ruszajmy.

Musimy ominąć co najmniej cztery walki w drodze na dół, uskakujemy na schody, zawracamy albo po prostu uciekamy ile sił w nogach. Terrańska piechota morska i wojownicy Nieugiętych nadal siekają się na kawałki na całym okręcie, ale zwycięstwo TSO to tylko kwestia czasu. Ci żołnierze zwrócili się do Ty'a po imieniu, wiedzieli, kim jesteśmy, a ja wiem, po co się zjawili. Musimy zabrać stąd Auri, bo inaczej wszystkie nasze wysiłki pójdą na marne.

Mijamy biegiem szyb windy, kiedy Finian zatrzymuje mnie nagle.

- Czekaj – mówi, wyjmując multitool z ramienia egzoszkieletu. Zaczyna pracować nad pulpitem sterowania, podważa go i wyjmuje ze ściany. Światło znowu mruga, gaśnie i znowu z mozołem się zapala.

- Zasilanie awaryjne prawie padło – mówię. – Nie możemy zjechać windą.

Fin podnosi wzrok znad swojej robótki i mruga porozumiewawczo.

- A kto mówi o jeźdźeniu?

Słyszę brzęk zamka, zgrzyt metalu. Fin wsuwa zakończone srebrem palce w szparę w drzwiach i powoli, przy wtórce jęku egzoszkieletu, je rozsuwa. Drzwi prowadzą w pustkę – widzę tylko pusty szyb biegnący przez całą głębokość potężnego okrętu. Fin puka w klawisz na egzoszkielecie, kule na jego palcach się zapalają, rzucając jasny snop w mrok.

- Mamy zlecieć? – pytam. – Zostawiłam miotłę w moich drugich spodniach.

Fin się dziwi.

- Albo miotła to coś innego, niż myślę, albo znowu posługujesz się swoim scarkazmem.

- Jak, u diabła, mamy zejść na dół? – pytam, tracąc nad sobą panowanie. – To setka stóp w dół, a nie ma mocy, która napędzałaby windę. Nawet system awaryjny pada!

- A co się stanie, kiedy system awaryjny padnie?

- Wszyscy udusimy się i umrzemy?

- No... tak, właściwie to masz rację. Ale zanim do tego dojdzie?

- Nie mam pojęcia! – wykrzykuję, machając rękami. – Podczas moich jedyńskich zajęć z systemów podtrzymywania życia całowałam się w ostatnim rzędzie sali wykładowej!

(Jorge Trent. Były chłopak nr 24. Plusy: uwielbia musicale, świetnie się ubiera, dzwoni o matki trzy razy dziennie. Minusy: widzicie, dokąd to zmierza, prawda?).

Finian puka palcem wskazującym w skroń i się uśmiecha.

- Patrz i ucź się!

Czekamy w korytarzu jeszcze kilka chwil, nasłuchując odgłosów walk w oddali, ciężkiego kroku zbliżających się ludzi. Światła w górze mrugają w rytm bicia mojego serca, każda sekunda, którą marnujemy, zbliża nas do pojmania albo egzekucji. Nie mogę uwierzyć, że stoję tu i czekam, aż...

Awaryjny system zasilania *Andarael* wydaje z siebie ostatnie przedśmiertne tchnienie.

Moc po raz ostatni dławi się i umiera.

A wraz z nią, rzecz jasna, znika sztuczna grawitacja.

Potrzebuję chwili, żeby to zrozumieć. Potem jednak widzę w świetle jarzących się opuszków Finiana, jak pasma moich włosów unoszą się przy najdrobniejszym ruchu mojej głowy. Zalewają mnie przyprawiające o mdłości zawroty głowy, jakie zawsze odczuwam w niskiej grawitacji, ogarnia mnie wrażenie, że moje wnętrzości przesuwały się i unoszą swobodnie w moim ciele. Dławię chęć zwymiotowania wprost do maski tlenowej i udaje mi się uśmiechnąć.

- Przez większość czasu jesteś nieznośnie przemądrzały, Finianie de Seel. - Wzdycham. - Ale miewasz swoje wielkie chwile.

Finian wymachuje nogą na próbę, unosi się nad ziemię i jedną ręką wyhamowuje, łapiąc się drzwi windy. Odpycha się do szybu, poruszając się jak ryba w wodzie, uśmiecha się szeroko i podaje mi rękę.

- Milady?

Łapię go za rękę, a on zaciska wspomaganą egzozszkieletem dłoń bardzo delikatnie. A potem odbija się nogą od ściany i opadamy w dół szybem. Jedną ręką Fin trzyma mnie, drugą oświetla nam drogę. Włosy wzbijają się wokół mojej twarzy chmurą i mam wrażenie, że zarazem spadam i lecę. Na jedną chwilę zapominam, gdzie i kim jestem.

Jednakże nie zapominam o tym, z kim jestem, prawda?

Zerkam kątem oka na Fina i...

Z dołu dobiega dudnienie ciężkiej broni, czuję zapach ognia w gwałtownie rzedającym powietrzu. Docieramy do niższych poziomów szybu i Fin zwalnia nasz lot, dotykając ręką ściany, aż w końcu zatrzymujemy się przed drzwiami do hangaru. Wtedy znowu zabiera się do pracy. Korzystając z multitoola, podważa i wyciąga ręczny mechanizm zwalniający drzwi, a potem znowu jego sprytnie palce działają błyskawicznie, gdy zamek szczęka, i drzwi rozwierają się tylko odrobinę.

Zerkamy w ciemny hangar i szybko odkrywamy, skąd się bierze hałas - ktoś na pokładzie *Zera* strzela z działek elektromagnetycznych w oddział terrańskiej piechoty morskiej na drugim końcu hangaru. Tamci odpowiadają ogniem z dezeleratorów, ich strzały rozświetlają ciemność. Nie wystarczą, żeby uszkodzić kadłub *Zera*, ale to tylko kwestia czasu, nim żołnierze sięgną po cięższe uzbrojenie.

- Idioci - warczę. - Powiedziałam im, że mają odlecieć, jeśli pojawią się problemy.

- Jestem pewien, że Zila właśnie im o tym przypomina - mówi Fin. - Lepiej ruszajmy.

- Spróbujemy przemknąć w ciemności?

- Ci żołnierze mają termowizory w hełmach - odpowiada Finian. - Miejmy nadzieję, że są zbyt zajęci tym, żeby nie dać się zastrzelić, by zwrócić na nas uwagę. Dorastałem jednak

w zerowej grawitacji, doprowadzę nas na miejsce.

Pukam w unikron.

- Kal, tu Scar. Jesteśmy z Finem w jednej z wind od strony waszej sterburty.

- Ehm – mruczy Fin. – Od strony bakburty.

- Na miłość... – warczę. – Jesteśmy w windach na lewo od was. Na lewo. Postaraj się zapewnić nam taką osłonę, jaką zdołasz, i otwórz tylny właz. Bądźcie gotowi do startu.

- Przyjąłem – odpowiada Kal.

*Zero* strzela kolejną przecięgłą salwą, tnie po ścianach i ładunkach. Żołnierze TSO chowają się, gdzie zdołają, a póki mają schowane głowy, nie mogą nas zobaczyć.

Finian łapie mnie za rękę i razem odbijamy się od podłogi, unosimy się i wylatujemy do hangaru. Widzę pomieszczenie rozciągające się pod nami, oświetlone przez kilka przypadkowych płomieni i rozbłyski przednich działek *Zera*.

- Trzymaj się mnie – szepcze Fin.

Obejmuję go mocno w pasie, jakby od tego zależało moje życie. Uderzamy o sufit, Fin koziółkuje, wykorzystując nasz pęd, wykręca piruet w powietrzu i jednym skokiem kieruje nas ku włazowi *Zera*. To zdumiewający wyczyn. Naprawdę, zapiera mi dech. Ruchy Fina zwykle są przemyślane, a ostatnio wręcz wysilone, ale tutaj, gdy szybuje przez rozbłyskującą biel i czerni wolny od grawitacji, czuje się jak ryba w wodzie.

Opadamy spod sufitu. Fin wyciąga rękę, żeby złapać się słupa, obraca nas wokół niego, puszcza i wtedy lecimy po idealnym łuku prosto do tylnego włazu *Zera*. Słyszę, że jeden z żołnierzy krzyczy, zaczynają strzelać z dezperatorów, a ja łapię się mocniej, żałując, że nie jestem dość religijna, żeby zacząć się modlić. I chociaż nie ma we mnie nawet uncji wiary, wreszcie lądujemy na tylnej rampie *Zera* i po ostatnim odbiciu lecimy do środka.

- Dobra, gaz do dechy, Zila! Już! JUŻ!

Właz obraca się do pozycji zamkniętej i ze stłumionym rykiem startujemy. Finem i mną ciska o ścianę, kiedy statek zatacza koło, sztuczna grawitacja *Zera* włącza się, a ja łapię się w desperacji czegoś, kiedy Kal strzela w zamknięte drzwi hangaru *Andarael*. Ogluszająca eksplozja przetacza się po hangarze, czuję żar promieniujący mimo zamkniętych włazów. Wylatujemy na wolność prosto w burzę ognia, między szczątki zniszczonych myśliwców i płonących kadłubów. Długi strumień gazów z reaktora wypada z burty *Andarael* prosto w zimną czerni Faldy.

- Silniki, pełna moc – oznajmia przez system łączności Zila. – Będzie trzęsło.

Wybiegam z ładowni korytarzem, Finian tuż za mną. *Zero* trzęsie się wokół nas. Zanim docieramy do mostka, już jesteśmy zadyszani. Widzę Zilę na fotelu pilota, Kal siedzi przy stanowisku ogniowym. Auri podrywa się z siedzenia i obejmuje mnie, a potem Fina. Łzy błyszczą jej w oczach.

- Scar, nic ci nie jest? – szepcze. – Czy...

- Proszę wracać na swoje miejsca – oznajmia Zila nieco urażonym tonem. – Zbliżają się terrańskie myśliwce.

Pewnie żołnierze z hangaru *Andarael* ostrzegli, że startujemy. Na naszych czujnikach pojawia się banda terrańskich myśliwców o pyskach jak u buldogów. Pędzą, żeby nas przechwycić.

Kiedy jednak Auri, Fin i ja dopadamy foteli i zapinamy pasy, widzę, że dragoni Saedii wciąż jeszcze mają zapał do walki. Oddział smukłych syldrańskich korwet rusza, żeby zaatakować Terran. Pędzą za nimi przez pole koziołkujących wraków, pociski i ogień z działek rozświetlają ciemność i przy okazji zapewniają nam parę bezcennych minut, których potrzebujemy, żeby uciec.

- Pole maskujące włączone - melduje Kal. - Powinniśmy być już niewidoczni dla ich radarów. Musimy tylko zniknąć im z pola widzenia.

- Zostaw to mnie - mruczy Zila.

Zerka na Koniczynkę, który nadal siedzi nad stanowiskiem pilota. Wyciąga rękę, dotyka pluszowego zielonego smoka, może na szczęście.

- Trzymajcie się mocno - mówi.

Nasze silniki manewrowe ryczą.

I odlatujemy.

\* \* \*

Okazuje się, że Zila rzeczywiście lata równie dobrze, jak prowadzi. Nie dorównuje Cat, daleko jej do tego, ale najwyraźniej w te wszystkie samotne wieczory w swoim pokoju, bez przyjaciół, miała więcej czasu niż to konieczne, żeby studiować teorię i ćwiczyć w symulatorach. Jazda jest szaleńcza, Zila zdecydowanie poświęciła więcej czasu na teorię niż na praktykę.

Ścigające nas terrańskie myśliwce nie mają takiego zasięgu, żeby dotrzymać kroku *Zeru*, a wszystkie okręty wojenne TSO biorące udział w ataku odniosły poważne uszkodzenia, zanim działa *Andarael* ostatecznie uciły. Chociaż syldrański okręt został pokonany, to walczył z szóstką terrańskich statków i każdemu, jeśli nie przetrzącił karku, to chociaż rozkwaśił nos. Nie potrafię sobie wyobrazić, co może znaczyć wojna między nami. Mój ojciec walczył przez pół życia, żeby doprowadzić do pokoju między nami.

A teraz wszystko to idzie z dymem...

Wypadliśmy z *Faldy* w pobliżu bezimiennej gwiazdy daleko w głębi strefy neutralnej. Ten układ planetarny wyróżnia jedynie istnienie naturalnej Bramy *Faldowej* - według rejestrów i instrumentów nie ma tu żadnych osiedli, kopalń, niczego. To dobre miejsce, żeby się przyczaić i zastanowić, co do diabła mamy teraz zrobić.

- To co, do diabła, mamy teraz zrobić? - pyta Finian.

Zila wprowadziła nas na orbitę pierwszej planety układu - skały wielkości Ziemi spalonej na węgiel przez białego karła, wokół którego krąży. Siedzi razem z nami przy konsolach na mostku. Patrzymy sobie w twarze. Kal i Auri siedzą razem, splatają zakrwawione palce. Fin zajął miejsce naprzeciwko mnie, podpiął unikron do terminala, ekran jarzy się od przewijających arkuszy danych. Zila siedzi u szczytu konsoli, tam gdzie siadywał Ty.

Gdzie siadywał Ty...

- Musimy wrócić, nie? - mówi Auri, patrząc po nas. - Nie możemy zostawić Tylera w rękach GAW.

- Właśnie to musimy zrobić - mówi Zila.

- Ale to moja wina! - gorączkuje się Auri. - Oni szukają mnie, a nie jego. To wszystko przeze mnie!

- Nie. - Kal wzdycha. - Saedii ściagała mnie. Gdyby się nie wtrąciła, GAW nie dopadłaby nas. To wszystko moja wina. Wstyd mi. De'sai.

- Słuchajcie - odzywa się Fin, podnosząc wzrok znad strumienia danych. - Wiem, że nie robię tu zwykle za optymistę, ale nie jestem pewien, czy powinniśmy teraz wytykać się palcami.

- Zgadzam się. - Kiwam głową. - To niczyja wina. Nie prosiłaś, żeby się stać tym, czym jesteś, Auri. A ty, Kal, nic nie poradzisz na to, że twoja siostra jest morderczą psychopatką i maszyną do zabijania. Bez urazy.

Kal uśmiecha się słabo, ale widzę ból w jego fiołkowych oczach.

- Nie zawsze taka była - mruczy.

Biorę głęboki wdech, zagryzam usta i zastanawiam się nad wydarzeniami ostatniego dnia. Wygląda na to, że ściga nas cała Galaktyka. Nie możemy liczyć na niczyją pomoc. Nadal jesteśmy poszukiwani za galaktyczny terroryzm. A nie mogę powiedzieć, że więzienie Nieugiętych nastawiło mnie pozytywnie do myśli o życiu w kolonii karnej.

- Ci Wędrowcy, których Saedii pojmą... - mruczę, myśląc o celach *Andarael*. - Po co Zbrojni zamykaliby syldrańskich empatów, Kal?

Kręci głową.

- Nie wiem.

- Saedii sprawiała wrażenie poważnie zainteresowanej Auri po jej pokazie mocy - mówię. - Powiedziała wprost, że Auri zostanie przetransportowana do Gwiazdobójcy. - Patrzę Auri w oczy. - Czego miałbyś chcieć od ciebie Caersan?

- To wszystko jest pozbawione znaczenia - warczy Zila.

Patrzę zdziwiona na nasz Mózg. Zwykle Zila mówi beznamiętnie, zachowaniem bardziej przypominającym kartonowe pudełko niż człowieka, ale teraz robi wrażenie wręcz...

Drażliwej?

- Dobrze się czujesz? - pytam.

- Tyler, Saedii, Gwiazdobójca, żadne z nich się nie liczy - mówi, patrząc na nas po kolei. - Nie możemy zejść z naszej drogi. Gramy o niewyobrażalnie wysoką stawkę. Musimy znaleźć Broń Eshvarenów. Trzeba powstrzymać Ra'haam. Wszystko inne musi zejść na drugi plan.

Fin odchrząkuje.

- Zila...

- Nic z tego nie dzieje się bez powodu - mówi Zila. - Musimy przeć przed siebie. Wiadomość od Adamsa i de Stoy, ten statek, pudełko na cygaretki, które uratowało życie Kalowi. To wszystko rozgrywa się tak, jak powinno. Musi iść dalej.

Kal dotyka piersi, gdzie oberwał z dezelatora, jakby przypomniał sobie strzał, który prawie go zabił. Auri ściska mu rękę z troską w oczach.

- Nie waż się nigdy więcej na coś podobnego, jasne? Następnym razem masz mnie posłuchać.

- Dobrze, be'shmai - odpowiada. - Przysięgam.

Fin patrzy na tę dwójkę, na Kala, z dziwnym wyrazem oczu. Kiwam głową, patrząc na unikon, który podpiął do terminala.

- Dane z Hefajstosa coś nam mówią?

- Daj mi sekundę - odpowiada. - Szukam nietypowych odczytów i anomalii, ale jest tu mnóstwo danych do przejrzenia.

Zapada napięta cisza, którą zakłóca tylko pulsowanie LiDAR-u i pukanie zakończonych metalem palców Finiana w ekran. Patrzę na Auri i widzę, że nadal jest rozdarta. Uważa, że to jej wina. Ma wyrzuty sumienia z powodu porzucenia Ty'a, utraty kontroli na *Hadfieldzie*, słabości okazanej na *Andarael*. Wiem, że się stara, ale te jej moce... musi nauczyć się nad nimi panować. Zastanawiam się, jak ma tego dokonać, jeśli nie chce nawet się do tego przyznać.

- Kiedy Nieugięci mnie uśpili... - zaczyna.

Głos Auri się łamie i Kal ściska jej rękę. Ona najwyraźniej czerpie siłę z tego dotyku, nabiera powietrza i znowu zaczyna.

- Śniłam - mówi i kręci głową. - Czułam to. Widziałam.

- Ra'haam - odzywa się Kal.

Auri kiwa głową.

- Staje się silniejszy. W jakiś sposób... to wyczuwam. To jest jak drzazga w głębi mojego umysłu. Z każdą chwilą, jaką tu spędzamy, on rośnie. W moich snach... widzę całe światy pokryte niebieskim pyłkiem. Widziałam Ziemię. Inne planety. Wszystkie wyglądały jak Octavia III. Całkowicie pochłonięte. Kwitły i buchały.

- Ile czasu? - pytam z zaciskającym się żołądkiem.

- Nie wiem. - Auri wzdycha, pochyla się i opiera łokcie na kolanach. - Ale wkrótce.

Żołądek znowu mi się zaciska i myślę o Cat i jej ostatnich chwilach. Wyobrażam sobie, jakie to uczucie być pochłanianym. Zatracić się w tym czymś większym tak, jak jej przyszło. Wyobrażam sobie całe światy asymilowane, anihilowane i przez chwilę czuję się tak mała i tak bardzo niewiele znacząca, że nie mogę złapać oddechu. Już straciłam najlepszą przyjaciółkę. Teraz straciłam brata. Kogo jeszcze stracę, zanim to wszystko się skończy?

- Chwileczkę... - mruczy Finian.

Zila zastyga i siada jeszcze prościej niż dotąd (o ile to możliwe).

- Finian? Co znalazłeś?

Mruży oczy, pochylając się nad strumieniem danych z *Hadfielda*.

- Tu jest coś dziwnego. Anomalia przestrzenna. Potężna fluktuacja mocy w rdzeniu *Hadfielda*. Nieodwracalne uszkodzenie większości kriosystemów. Czujniki statku nie były szczególnie zaawansowane, ale te odczyty... - Podnosi na mnie wzrok. - Taak, coś naprawdę dziwnego wydarzyło się na pokładzie tego statku.

- Kiedy? - pyta Auri, wytrzeszczając różnobarwne oczy. - Gdzie?

- Prawie sto lat temu. - Fin gwizdże i wystukuje kilka komend na ekranie. - Mam przybliżone współrzędne. Jakies dwadzieścia godzin Fałdą z naszej obecnej pozycji, jeśli wyciśniemy z *Zera* wszystko.

Wszyscy patrzą wtedy na mnie. Nędzne resztki drużyny 312 Legionu Aurory. Może dlatego, że jestem Jones. Do diabła, może dlatego, że nie mają na kogo spojrzeć. Ja jednak nie jestem

do tego stworzona. Nie powinnam podejmować takich decyzji. To rola Tylera.

Za kogo ja się uważam?

Za kogo my się uważamy, rzucając się do walki z czymś równie ogromnym w pojedynkę?

Zila patrzy mi w oczy i mówi cicho:

– Możemy tylko przeć przed siebie, Scarlett.

– W porządku – mówię, siląc się na spokojny ton. – Fin, zorientuje się, co wyciągniesz z tych odczytów. Dowiedz się jak najwięcej na temat tego, do czego lecimy. Kal, przeprowadź diagnostykę naszych systemów obronnych i ofensywnych, przygotuj nas na wypadek kolejnych kłopotów. Zila, wprowadź kurs do tych współrzędnych. Maksymalna prędkość.

Drużyna rusza do pracy, pewnie wdzięczna, że ma się czym zająć. Nie mamy pojęcia, w co się wpakujemy. Co znajdziemy, kiedy tam dotrzemy, zakładając, że w ogóle coś znajdziemy. Jednak ostatecznie jaki mamy wybór?

Możemy tylko przeć przed siebie, Scarlett.

Możemy tylko przeć przed siebie.

# CZĘŚĆ 3

**CZAS POŻOGI**



## **Legion Aurory**

► Akademia Aurory

▼ Założenie

Akademia Aurory została założona w 2214 roku przez terrański i betraskański rząd po podpisaniu Traktatu w Naidu.

Pierwszymi dyrektorami szkoły, którzy pociągali tam za wszystkie sznurki, były terrańska admirał Nari Kim i nadkomendantka klanów Raya de Monoko de Seel. Żadne oficjalne zapiski nie wyjaśniają, jak ta para się zaprzyjaźniła. Zważywszy, ile wysiłku Betraskanie i Terranie włożyli w wysadzanie się nawzajem przed podpisaniem traktatu pokojowego, to musiała być zabójcza imprezka.

Syldranie dołączyli do Legionu Aurory po podpisaniu Traktatu S'lath Mor w 2378 roku. Dopiero po tym, jak przybyli pierwsi kadeci, wszyscy zdali sobie sprawę, że framugi drzwi są pięć centymetrów niższe, niż wynosi średni wzrost Syldran.

Niezręczna sytuacja.

Próbuję skupić się na obliczeniach i w żaden sposób mi to nie wychodzi. Dane, które wyciągam z czarnej skrzynki *Hadfielda*, to niekończący się strumień ruchomych celów, wszystkie wirują i tańczą wokół siebie w kompletnie nieprzewidywalnej grze.

Lecimy do miejsca o współrzędnych z oryginalnych odczytów, gdzie coś sprawiło, że systemy kolonijnego statku sflksowały. Do miejsca, gdzie prawdopodobnie coś stało się z Auri. Kłopot w tym, że cokolwiek to spowodowało – o ile to był jakiś fizycznie istniejący obiekt – pewnie do tego czasu podryfował dalej, więc muszę wziąć to pod uwagę. Drugi kłopot jest w tym, że przybliżona lokalizacja nie wystarczy. Kosmos jest naprawdę duży i stwierdzenie „gdzieś w tej okolicy” niczego nie załatwi.

Kal skończył diagnozę systemów uzbrojenia, a Zila po wyznaczeniu kursu przez Falde zabrała go do izby chorych; wzięła sobie do pomocy Auri, pewnie, żeby mówiła mu, że ma się nie ruszać i przestać się mazać, zerkając kątem oka na jego mięśnie brzucha (za co nie mogę jej winić). Kiedy ja pracuję, Scarlett obserwuje monitory, wypatrując najmniejszego sygnału, że ktoś nas śledzi albo lecimy ku czemuś niebezpiecznemu. Jednakże, prawdę mówiąc, wpatruje się w ekrany praktycznie niewidzącym wzrokiem, zaciska mocno usta, oddycha powoli i z rozmysłem, jakby próbowała wziąć się w garść.

– Wszystko w porządku? – mruczę, wiedząc, że to idiotyczne pytanie.

Ze mną nic nie jest w porządku, a w końcu Tyler nie był... to znaczy nie jest moim bratem bliźniakiem.

Scarlett podnosi wzrok i zmusza się do bladego uśmiechu.

– Nie całkiem – przyznaje.

Kiwam głową, bo cóż...

– Nie przekreślamy go – mówię jej cicho. – Wiesz, że GAW go sobie zatrzyma. Jest dla nich, dla princepsa bardziej użyteczny żywy. Czy to ze względu na informacje, czy też jako przynętą.

– Wiem – przytakuje mi szeptem. – Nadal jednak nie mogę uwierzyć, że go zostawiłam. Miałam go na wyciągnięcie ręki, a uciekliśmy.

Jej słowa niosą się echem między nami na tle w postaci cichego szumu systemów *Zera*. Wiem, że oboje myślimy o dziewczynie, na której część nazwano statek. O Cat, która też była na wyciągnięcie ręki, gdy uciekaliśmy.

Scarlett z trudem przełyka ślinę, próbuje usiąść trochę prościej w fotelu, a mi serce pęka na ten widok.

- W porządku – mówię. – Jaki jest najbardziej denerwujący nawyk Tylera?

Scarlett patrzy zdumiona.

- Co takiego?

- Pomóż mi trochę – zachęcam ją z uśmiechem, który, modłę się, żeby był silniejszy niż jej własny. – Co naprawdę doprowadza cię w nim do szału?

Scarlett zastanawia się nad pytaniem.

- Podpisuje swoje rzeczy – mówi, krzywiąc leciutko usta.

- Słucham?

- Umieszcza na nich swoje imię. Odkąd byliśmy dziećmi. Na wszystkim. Nigdy nie sprawdzałam, ale jestem przekonana, że nawet bielizna ma naszywki z jego imieniem.

- Co jeszcze?

- Nigdy mu nie przeszkadza, kiedy ktoś coś schrzani – dodaje. – Sam jest ideałem, ale kiedy ktoś inny nie dorasta do tych standardów, nigdy nie patrzy na niego, jakby zdaniem Tylera mógł i powinien bardziej się wykazać. Traktuje ulgowo każdego, ale nigdy samego siebie. Jest pod tym względem straszliwie świętoszkowaty.

Przechyliłam głowę i rozciągam napięte pasmo w szyi.

- Jaką formę przybiera ta świętoszkowość?

Scarlett macha ręką.

- Sam wiesz. Zagrzewające przemowy. Cierpliwy wyraz twarzy. Mówienie, żebyś wciąż próbował.

Przyglądam jej się przez dłuższą chwilę.

- Ej, Scar?

- Hmm?

- Próbuj dalej.

Mnie w kulkę puste opakowanie po truskawkowym cieście z budyniem i ciska nim we mnie, ale się śmieje. Potem ściska moje palce, a mi serce prawie wrywa się z piersi.

- Dzięki – mówi cicho. – I dzięki, że poszedłeś ze mną po niego. Nie zapomnę ci tego.

- Nie ma sprawy – odpowiadam.

- Mam się uciszyć, żebyś mógł się skupić?

- Nie, bo jestem porażająco sprytny i potrafię robić kilka rzeczy naraz.

Jej uśmiech jest zmęczony i trochę smutny, ale szczerzy.

- W porządku, Mózgowcu. Jak myślisz, czego szukamy?

Zerkam na ekran.

- Czegoś jak... falująca, rozlana konfluencja czasoprzestrzennych aberracji – odpowiadam, wkładając do głosu tyle przekonania, ile się da.

- Czyli nie masz pojęcia.

- Nie mam pojęcia. Jeśli jednak to jest coś, co zostawili po sobie Eshvarenowie, to nie jestem pewien, skąd miałbym wiedzieć. Będę pracował nad sprecyzowaniem lokalizacji. Nadal mamy czas, zanim się zbliżymy. A na razie jest szansa, że przespaliśmy się, gdybyś dostała coś na sen? Mogę pilnować monitorów do powrotu Zili i wrzasnę, gdyby coś się pojawiło.

– Wszyscy powinniśmy się przespać. – Scarlett marszczy brwi. Przełącza się na tryb opie-kunki grupy.

– Wykorzystam swoją kolej, obiecuję – mówię, unosząc rękę, i macham dwoma palcami, jak widziałem, że robią Terranie, gdy coś obiecują. Po jej minie orientuję się, że robię to źle.

– Dobrze, już dobrze. – Scar wstaje i przeciąga się powoli. – Wezmę coś i idę do łóżka.

– Potrzebujesz, żeby ktoś cię przykrył?

Mruga do mnie tylko i odchodzi w stronę naszych kajut, a ja pozostaję z obliczeniami. Na-dal odtwarzam w myślach to mrugnięcie, kiedy Zila i Auri wracają.

– Jak się ma pacjent? – pytam.

– Zająłam się ranami Kala – melduje Zila. – Są bolesne, ale dobrze się goją. Zgodził się na sugestię Aurory, żeby zmyć ogromne ilości krwi, którą... był pokryty, i potem spróbować się przespać.

– Scar też próbuje się przespać – odpowiadam. – A na radarze niczego nie ma.

– Powinniśmy więc sprawdzić, czy pojawiły się jakieś informacje na temat bitwy – propo-nuje Zila, siada na swoim miejscu i wyciąga obraz na centralny monitor.

Wiadomości prezentują się ponuro.

Raporty dotarły do kanałów dla cywilów – tylko do tych mamy dostęp – na temat starcia między Nieugiętymi i TSO. Pojawia się sprzeczne informacje na temat tego, kto strzelił pierw-szy, na temat liczby ofiar, a nawet dokładnej lokalizacji potyczki, ale co do jednego wszyscy są zgodni: potężna flota Nieugiętych zbiera się i zmierza w kierunku przestrzeni terrańskiej. Galaktyka wstrzymuje oddech, czekając, co się stanie.

Twarz Zili jak zwykle jest nieodgadniona.

Auri ma minę, jakby chciała wymiotować.

– Cóż, przynajmniej ja mam dobre wiadomości – mówię, wrzucając na monitor moje naj-nowsze kalkulacje. – Wziąłem poprawkę na dryft zgodnie z naszą linią czasu. Jeśli wpisemy te poprawki do kursu, to powinniśmy wylądować dokładnie tam, gdzie doszło do incydentu na *Hadfieldzie*.

Palce Zili tańczą po jej pulpicie sterowniczym.

– Auroro, masz jakieś przeczucia co do tego, co tam znajdziemy?

– Żadnych – mamrocze Auri, spuszczaając wzrok na ręce. Przesuwa kciukiem po nadgarstku drugiej ręki, gdzie nadal ma czerwony ślad po plastrze z substancjami uspakajającymi. Kiedy podnosi wzrok, zerka w stronę izby chorych, gdzie leży Kal.

– Nie wiem, co tam jest – szepcze. – Nie wiem, co to jest. Nie wiem, czym ja jestem. Nie wiem, co się stało. – Bierze rozdygotany wdech. – I nie wiem, co mam teraz zrobić.

Zila i ja patrzymy po sobie. Aurora nie robi wrażenia gotowej na cokolwiek, już nie mówiąc o ratowaniu Drogi Mlecznej. Stawiamy wszystko na jedną kartę, już poświęciliśmy dwoje swo-ich dla niepewnej szansy, jaką reprezentuje Auri. Niestety tylko nią dysponujemy.

– Coś ci powiem – odzywam się, znowu siląc się na wesołość. – Może ty i ja też się prze-śpimy? Zila będzie nad nami czuwać.

Nasz oficer naukowy kiwa głową.

– Obudzę Scarlett, kiedy będę musiała odpocząć.

Chcę zaproponować, że sam zostanę, ale oboje z Zilą wiemy, że potrzebuję odpoczynku. Dlatego wstaję, podaję Auri rękę, żeby pomóc jej wstać. Łapie moją dłoń, podnosi się, a ja trzymam jej palce i przyglądam jej się uważnie.

- Kiepsko wyglądasz - mówię jej.

- A ty jak zwykle wyglądasz wytwornie - odpowiada oschle.

Wyglądam włosy wolną ręką, ale one natychmiast stroszą się z powrotem i znowu są potwornie potargane, tak jak chwilę temu.

- Przytulic?

Auri waha się, a potem kiwa głową - niemal niewidocznie. Obejmuję ją wtedy. Mam tyczkowatą budowę ciała, jak to zwykle bywa, gdy dorasta się przy zerowym ciężeniu, więc Auri wsuwa głowę pod moją brodę i mieści się idealnie. Mój egzozskielet pewnie kluje ją w parę miejsc, ale dziewczyna nie narzeka.

Przez długą chwilę stoimy razem, ona obejmuje mnie w pasie, kładzie policzek na moim ramieniu, ja opieram brodę na jej głowie.

Kiedy podnoszę wzrok, Zila nam się przygląda. Zastanawiam się, co czasem sobie o nas myśli. Jak dużo czasu minęło, odkąd ktoś ją objął? Czy kiedykolwiek ktoś ją przytulał?

Gdy idziemy korytarzem, Aurora podnosi rękę i przesuwa ją po zamkniętych drzwiach do pokoju Ty'a. Zerka, jakby mogła widzieć poprzez nie, zobaczyć naszego nieobecnego Alfę. Raz za razem słyszała, jak powtarzaliśmy, gdy go porzuciliśmy - „bezpieczeństwo Aurory jest najważniejsze, to nasz priorytet”. Nosi to teraz ze sobą razem ze świadomością, że wszystko zależy od mocy, nad którą nie panuje. Od mocy, która ją przeraża.

- Śpij dobrze, Pasażerko na Gapę - mówię, gdy drzwi zamykają się za nią z cichym szumem. A potem z lekkim westchnieniem odwracam się od własnej kwatery i idę do izby chorych, gdzie czeka na mnie następne wyzwanie.

Światła przygaszono, Kal odpoczywa na biokoi z medopatrunkiem na ramieniu. Ma nagą pierś, siniaki na jego skórze przybrały w Fałdzie czarny i szary kolor. Jednakże widok Kaliisa Idrabana Gilwraetha bez koszuli, nawet pobitego, sprawia, że chcę podziękować Stwórcy za to, że dożyłem tej chwili. Jest naprawdę piękny. Same wyrzeźbione linie i twarde mięśnie - on ma ośmiopak i to idiotyczne „V”, które schodzi w dół i znika (co za tragedia!) poniżej pasa spodni, a przecież jedno i drugie to stworzenia rodem z mitów i legend.

Zaraz zemdleję.

Szczęściara z tej Auri.

- Coś jest nie tak, Finianie?

Aż podskakuję, kiedy dostrzegam, że Kal patrzy na mnie, więc natychmiast zamykam usta.

- Tak tylko chciałem sprawdzić, co u ciebie - mówię, podchodząc i wskazując brodą jego biceps. - Ma pan licencję na tę broń, proszę pana?

Skonsternowany ściąga brwi, z czym bardzo ładnie wygląda.

- Biegle posługuję się bronią, która... - Urywa jednak, bo zorientował się, że nie o to mi chodzi.

- Nieważne - mówię mu. - Mam do ciebie pytanie.

Skądś wie, że powinien być teraz czujny, bo odwraca się, żeby mnie lepiej widzieć.

- Pytaj.

- Na holowniku... - zaczynam, wskazując miejsce na wysokości jego serca, gdzie siniak jest najczarniejszy - ...kiedy odkryłem, że pudełko na cygaretki zablokowało strzał z dezeltora ustawionego na zabijanie i już przestałem dziękować Stwórcy za to, że żyjesz, zdałem sobie sprawę, że mogę to pudełko otworzyć.

To wzbudza zainteresowanie naszego Czołgu.

- Rozumiem, że to zrobiłeś.

- Tak - potwierdzam. - I nadal tego nie ogarniam, Kal. W środku był liścik. Napisany moim charakterem pisma. Co do którego jestem absolutnie pewien, że nigdy go nie napisałem.

Na jego twarz powraca uroczy wyraz konsternacji.

- I jak brzmiała treść tego liściku?

- „Powiedz jej prawdę”. - Przyglądam mu się teraz uważnie. - Wiesz, co to znaczy?

Kręci ledwie zauważalnie głową.

- Nie wiem.

- Bo nie stać nas teraz na to, żeby ktokolwiek ukrywał cokolwiek przed pozostałymi - mówię. - Jeśli jest coś, czego nie mówisz Auri, Scar albo Zili, czy choćby swojej szurniętej stronie, to wszystko rozumiem, ale nadszedł czas, Kal.

Wyraz jego twarzy staje się lodowaty.

- Może liścik był skierowany do ciebie. Uważasz, że sam go napisałeś. I ty go odczytałeś.

- Ale to był podarunek dla ciebie - odpowiadam z naciskiem.

- A jednak nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie.

Nie mam najmniejszego pojęcia, czy jest ze mną szczerzy. Równie dobrze mógłby być Zilą, jeśli idzie o to, ile potrafię z niego wyczytać. Po długiej pauzie wdycham.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie.

- Zila jest na mostku - informuję go. - Krzyknij, gdybyś miał kłopoty.

- Del'nai, przyjacielu.

Kiedy wracam do swojej kajuty, zastanawiam się, jaki ja sekret ukrywam. Co mógłby znaczyć ten liścik, gdyby był skierowany do mnie. Poza tym, że nie mówię Scar, że przeczołgałbym się po tłuczonym szkłe, byle pójść z nią na randkę, jeśli oboje przeżyjemy, to nic nie przychodzi mi do głowy. Jednak zwykłe nieodwzajemnione zauroczenie nie zasługuje na zawracanie sobie głowy pisaniem liściku, jakkolwiek do tego pisania w ogóle doszło.

Drzwi zamykają się za mną z szumem, uderzam guzik wyłączający grawitację. Nadal się zastanawiam, kiedy kończy się ciche odliczenie i zmniejsza się nacisk na moje ciało. Nie znajduję żadnych odpowiedzi.

Co więcej, kiedy zdejmuję egzoszkielet, odbijam się od ziemi i zwijam się w kłębek, żeby zasnąć, mam w głowie tylko same pytania.

\* \* \*

Budzi mnie ciche dzwonięcie, przeciągam się powoli, rozkoszuję się tym, że czuję się o wiele lepiej – obolałe mięśnie rozluźniły się i ciało znowu jest jak moje własne.

A potem przypominam sobie, że Ty jesteś więźniem GAW, że Galaktyka stoi o krok od wojny, a drużyna 312 nie ma pojęcia, jak temu wszystkiemu zaradzić.

I to sprowadza mnie na ziemię z głuchym łoskotem.

Po dzwonku rozlega się przez intercom głos Scar.

– Dzień dobry, niewiarygodnie piękni ludzie. Mamy godzinę ósmą czasu lokalnego. Za sześćdziesiąt minut znajdziemy się u celu. Zobaczymy się na mostku, gdy już przebudzicie się ze snu i zadbać, żeby wyglądać jeszcze piękniej. O ile to możliwe.

Zdejmuję mundur i odpychając się delikatnie od sufitu, szybuję do miejsca, gdzie znajduje się prysznic hydrosoniczny. Aktywuję pole siłowe, dzięki któremu reszta pokoju pozostanie sucha, zamykam oczy, poddając się przyjemności, kiedy dysze w ścianie emitują delikatną mgiełkę, podczas gdy soniczna część prysznicza zajmuje się resztą – wibracje w połączeniu z wilgocią usuną wszelki brud, pot i panikę z ostatnich paru dni. Moi dziadkowie mieli praktycznie taki sam prysznic na stacji, gdzie mieszkali, i chociaż początkowo uważałem, że to dziwne – na Trasku nie brakuje wody – ostatnio doceniam to, że naprawdę doprowadza człowieka do porządku.

Po paru minutach niechętnie wyłączam prysznic i znajduję świeży mundur. Kiedy wsuwam egzoszkielec i włączam diagnostykę, okazuje się, że jest w dobrym stanie, co zakrawa na cud.

Idę na mostek, powracając do stanu typowego przy pełnej grawitacji – wszystko odrobinę protestuje, bo ciążenie wymaga dodatkowego wysiłku. Widzę, że reszta drużyny siedzi już przy konsolach i je śniadanie. Auri przesuwa do mnie po stole foliowe opakowanie. Sprawdzam etykietę i od razu tego żałuję. Nie wiem, co to jest „Śniadaniowa Smakowita Mieszanka!!™”, ale jestem przekonany, że dodatkowe wyjaśnienia nie sprawią, że będzie lepiej smakowała.

Zerkam na Scarlett i potrząsam śniadaniem, żeby się podgrzało.

– Nie powinnaś była pozwalać, żebym tak długo spał.

Mruka do mnie.

– Niektórym z nas wystarczy krótsza drzemka dla urody.

– Jakież wieści? – pytam z uśmiechem.

– Terra, Trask i kilka pobliskich układów wydały oficjalne oświadczenia. Nikt nie chce wojny. Wszyscy wiedzą, że mogą nie mieć wyboru. Nieugięci nie odezwali się na razie słowem, ale ich flota nadal się mobilizuje i wygląda na ogromną.

To wywołuje ponury nastrój. Szczególnie Kal sprawia wrażenie zatroskanego. Kończymy jeść, Zila i ja zaczynamy badać, czego właściwie szukamy.

– Biorąc pod uwagę dryft przez ostatnie stulecie, powinniśmy już znajdować się na miejscu, plus minusz tysiąc kilometrów – melduję.

– Rozpaczynam skanowanie – mówi Zila do ekranu.

– Przetwarzanie danych – mruczę, kiedy zaczynają do mnie napływać. Nie mijają nawet dwie minuty, kiedy coś rzuca mi się w oczy. – Czy to...?

- Potwierdzam – mówi Zila, odwracając się od swojej konsoli do pulpitu pilota. – Wykryto niezidentyfikowany obiekt. Zmiana kursu.

Uśmiecham się szeroko do pozostałych.

- Położenie wyznaczone z dokładnością trzydziestu siedmiu kilometrów, moi drodzy!

To oświadczenie na temat moich niezrównanych umiejętności zostaje skwitowane uprzejmymi skinieniami głowy.

- Dajcie spokój! – protestuję. – To, jakby znaleźć... jak wy, Ziemiaki, to mówicie? Żuka w stogu siana?

Auri chichocze.

- Igłę.

- Jest jeszcze mniejsza. Wobec tego, czymkolwiek jest „stóg siana”, to w tym wypadku potrzeba byłoby całego dnia na jego przejście. A ja doprowadziłem was prosto do celu.

- Godny pochwały wysiłek – mówi Zila, nie odwracając głowy.

- Wyraz najwyższego uznania – wtrąca Scarlett, próbując ukryć uśmiech.

- Czy obiekt jest niebezpieczny? – pyta Kal.

Kręcę głową.

- Odczyt energii wynosi prawie zero. Wygląda na zupełnie bezwładny. Szczerze mówiąc, mamy szczęście, że w ogóle to tutaj znaleźliśmy.

- Kal, jak twoje ramię? – pyta Scarlett.

- Dostatecznie dobrze. Mam przygotować hangar?

Scar odchyła się w fotelu i zagryza usta, na jej czole pojawia się drobna zmarszczka.

- Tak. Wciągnijmy to na pokład i sprawdźmy, ile zdołamy się dowiedzieć.

\* \* \*

Widzimy hangar przez plastalowe okienko, przy którym zgromadziliśmy się, żeby popatrzeć na przedmiot, który Kal wciągnął do środka. Ma kształt lży i jest mniej więcej połowy mojego wzrostu. Wygląda na zrobiony... z kryształu? Być może? Jest rżnięty jak klejnot, ma tysiące faset, światło tańczy na jego powierzchni. Nie widać żadnych oznaczeń ani innych szczegółów.

Obiekt osiada, gdy tylne drzwi się zamykają i w hangarze zaczyna wyrównywać się ciśnienie. Jakimś cudem obiekt utrzymuje się w pionie, unosząc się kilka centymetrów nad pokładem.

- To jest to? – pyta Aurora, wypowiadając słowa, które większość z nas ma na końcu języka.

- Tak – odpowiadam.

- Wyczuwasz coś, be'shmai? – pyta Kal.

Auri marszczy brwi w skupieniu, ale ostatecznie kręci głową.

- Nic.

- Małe to trochę – dodaje Scarlett, zerkając na obiekt.

- To jakaś aluzja?

Zapada milczenie. Jak jeden mąż rozglądamy się, a potem zerkamy w dół. Te słowa wypowiedziała Zila, najniższa z naszej drużyny. Czy to był...



Czy ona właśnie zażartowała?

- POPIERAM LEGIONISTKĘ MADRAN! - dobiega z kieszeni Aurory cieniutki, wesoły głosik. - ROZMIAR ZWYKLE NIE MA ZNACZENIA.

- Siedź cicho, Magellanie - mruczy Auri.

- PEWNIEM POWINIENEM ZNOWU CI PRZYPOMNIEĆ, ŻE JESTEM TRZY RAZY INTELIGENTNIEJ-SZY OD KAŻDEGO Z WAS, A CIĄGLE MI MÓWICIE, ŻEBYM SIĘ UCI...

- Tryb cichy - rozkazuje Scarlett.

- LUDZIE! - rzuca cicho Unikron i milknie.

- Możemy tam wejść i to obejrzyć? - pyta Auri.

- Odradzam - odpowiada Zila, zajęta panelem sterującym systemem podtrzymywania życia w hangarze. - Zewnętrzna temperatura wynosi minus 270,45 stopni Celsjusza.

- Na oddech Stwórcy - mówię, zerkając na dane. - Z czego to jest zrobione?

- Nasz skaner nie jest w stanie przeprowadzić analizy struktury molekularnej tego obiektu - odpowiada Zila, przyglądając się danym. - Nie wykrywam jednak szkodliwego promieniowania ani mikroobów. Spróbuję zwiększyć temperaturę obiektu. Bądźcie w gotowości.

Czekamy wszyscy niecierpliwie i wreszcie, jakieś sto lat później, Zila kiwa głową. Wygląda na to, że możemy wejść do hangaru. Kal uderza w przycisk otwierający drzwi, a my wsuwamy się ostrożnie do środka, tłoczmy się wokół obiektu, wyciągając nasze unikrony. Obiekt nie promieniuje żadną energią. Poza tym, że jest fizycznie obecny, nie sposób powiedzieć, czy coś nadaje, czy ma wewnętrzne źródło mocy, co to w ogóle jest. Jednakże zawsze to jakiś początek, więc zaczynamy analizę.

Wszyscy z wyjątkiem Aurory. Ona nie wyjmuje Magellana. Zamiast tego wpatruje się w przedmiot, jakby wpadła w trans. A potem bez mrugnienia okiem, ale z ledwie widocznym uśmiechem, wyciąga rękę, żeby położyć ją na powierzchni.

- NIE JESTEM PEWIEN, CZY TO TAKI DOBRY POMYSŁ, SZEFOWO... - odzywa się Magellan.

- Auroro? - pyta Kal.

Jej palce dotykają powierzchni.

Z unikronu dobiega trzask.

A Aurora pada u moich stóp.

<bląd>

001!)&#(0

<awaria>

<bląd>

Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego.

Na Ziemi nie istniały już tak rozległe zielone przestrzenie. Na Octavii dzikie tereny ciągnęły się w nieskończoność, ale nigdy nie widziałam ich na własne oczy. Dopiero później, kiedy porósł je Ra'haam. Jednakże to miejsce różni się od tamtych.

Gdzie sięgnę okiem, widzę bujny nieskalany ogród. Kaskady kwiatów spadają z łagodnych wzgórz. Kotary czerwonych kwiatów zwisają z drzew. To niekończąca się parada kwiatów i roślin, a każdy jest piękniejszy od poprzedniego, każdy inny od poprzedników.

Krajobraz rozciąga się – a właściwie wzbija się – wokół mnie i nie wiem, na czym zatrzymać wzrok. Raj w porównaniu z tym miejscem wydawałby się nudny. Tutaj wszystko jest olśniewająco klarowne, powietrze krystaliczne, temperatura idealna. Na horyzoncie widzę coś w rodzaju miasta – wysokie kryształowe iglice sięgają ku wspaniałemu złotemu niebu.

Tym, co najbardziej mnie uderza, jest niesamowite uczucie błogostanu. Jakbym upiła się światłem słonecznym, najczystszy powietrzem, jakim kiedykolwiek oddychałam. Chyba ani razu, odkąd obudziłam się na Stacji Aurora, nie pozbyłam się uczucia zmęczenia i strachu, a zrzućcie tego brzemienia sprawia, że mam wrażenie, że nie mogłabym wskoczyć na jedną z tych odległych iglic za jednym zamachem.

Nie mając nic innego do roboty, ruszam w ich stronę. W końcu to jedyny charakterystyczny punkt. Może tam znajdę coś, co wyjaśni mi, gdzie jestem. Wiem, że powinnam się martwić, ale nie jestem w stanie poczuć żadnej troski.

Nie ma tu żadnych ścieżek, ale trawa jest krótka i łatwo się po niej chodzi. Ruszam doliną sprężystym krokiem, idę wzdłuż pola niebieskich kwiatów sięgających mi do pasa. Przesuwam po nich ręką, a one uginają się i kołyszą, odwracając za mną swoje główki.

Trochę trudno mi ocenić upływ czasu, ale mam wrażenie, że idę godzinami, zanim spostrzegam postać. Znajduje się całkiem blisko – zastanawiam się, dlaczego nie zobaczyłam jej wcześniej. Chociaż ma ludzkie kształty, z pewnością nie jest człowiekiem.

Nie rani moich oczu, ale nie mogę patrzeć na nią wprost. To stworzenie ze światła i kryształu, w obrębie jego kształtu zamyka się złota poświata wraz z miriadami tęcz z rozszczępionego światła. Ma trzy palce u każdej ręki. Zdaję sobie sprawę, że jego prawe oko jest białe i jarzy się tak jak moje. W życiu nie widziałam równie dziwnej postaci, a byłam na przyjęciu u Casseldona Bianchiego. Mimo to w ogóle się nie boję. Zamiast tego idę jej na spotkanie i nie dziwię się, gdy mnie wita.

Słowa brzmią jak muzyka, ale wątpię, żebym naprawdę je słyszała. Po prostu... pojawiają się w mojej głowie.

*Witaj – mówi istota. – Witaj w Echu. Jestem Eshvaren.*

– Eshvaren? – powtarzam jak idiotka. – Myślałam, że to cała rasa, a nie po prostu... – obrzucam postać spojrzeniem od stóp do głów – ...osoba?

Sklania się leciutko.

*Jestem zbiorem mądrości. Pamięcią wielu. Tak jak to miejsce jest wspomnieniem naszego świata. Echem miejsca, które kiedyś istniało.*

Nie mam pojęcia, jak należy zareagować na coś takiego, ale uznaję, że odwzajemnienie słów powitania nie może zostać źle odebrane.

– Miło cię poznać. Jestem Aurora Jie-Lin O'Malley.

*Jesteś Zapalnikiem* – odpowiada istota z afekcją w głosie.

– Tak, zgadza się!

Wzbiera we mnie zapał, podchodzę bliżej.

– A jeśli ty jesteś Eshvarenem, to możesz mi wyjaśnić, co to znaczy.

Obcy jeszcze raz skłania się leciutko.

*Być Zapalnikiem to znaczy mieć przed sobą wybory, Auroro Jie-Lin O'Malley.*

Unosi ręce i zwyczajnie odpycha się, unosząc się nad ziemią, jakby nie było tam ciężenia.

Patrzę skonsternowana, jak unosi się kilka metrów nad moją głową.

*Chodź* – zaprasza mnie cierpliwie. – *Dołącz do mnie.*

Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana, prawda? Czuję się idiotycznie, gdy uginam kolana i odpycham się od ziemi, jakbym miała skoczyć. Zamiast tego jednak zupełnie bez najmniejszego wysiłku unoszę się nad ziemią. I kiedy tylko unoszę ręce, zastanawiając się, jak mam się zatrzymać, właśnie to robię. Wyczuwam, że powietrze ma niezwykle subtelną fakturę. Nie jest tak gęste jak woda, ale trochę to przypomina pływanie.

Kolejny wymach nogą sprawia, że unoszę się wyżej. Rozkładam szeroko ręce, wzbiera we mnie śmiech. Krajobraz rozpościera się pode mną. To jak najlepsza część każdego snu o lata-niu, jaki miałam. Przez chwilę czuję się, jakbym wróciła do domu, cofnęła się w czasie – jakbym znowu pędziła po bieżni, wiedząc, że wyprzedzam wszystkich.

To czysta radość.

Drugi szybki wymach nogą sprawia, że robię salto, koziołkuje, pokrzykując z radości. Eshvaren szybuje ze zdecydowanie większą godnością, czekając, aż się otrząsnę.

*Za mną* – mówi do mnie w końcu.

Razem szybujemy nad pięknym światem, który rozciąga się pod nami. Obok ogromnych dolin pojawiają się falujące wzgórza, ich złoto-zielona trawa ustępuje łąkom niebieskich i fioletowych kwiatów, które kołyszają się na wietrze, i czerwonym polom, które falują, gdy nad nimi lecimy. Srebrne rzeki przecinają ziemię, wijąc się, zakręcając i zawracając. Kryształowe miasto przywołuje mnie, gdy skręcamy ku niemu.

Eshvaren znowu przemawia i słyszę go mimo wiatru.

*To miejsce jest Echem dawnych dni. Czasów, kiedy żyliśmy. Nim zaczęliśmy walkę z Ra'haam. Znasz naszego Wielkiego Wroga?*

- Tak - odpowiadam, zerkając na niego. - Poznaliśmy się.

*Zatem wiesz, że Ra'haam wierzy w moc jedności. W sens poświęcenia indywidualności na rzecz harmonii.*

- Owszem.

Pytanie pojawia się w moim umyśle i chociaż wiem, że to może nie być najlepszy czas i miejsce na to, muszę zapytać. Myślę o swoim ojcu. O Cat. O innych kolonistach pchniętych w objęcia Ra'haam, o ich kwitnących błękitem oczach, mchu porastającym skórę, o tym, jak ukrywają się pod mundurami GAW, żeby uniemożliwić innym zbliżenie się do Octavii i zakłócenie spokoju kołyski, w której śpi Ra'haam.

- Widziałam, jak Ra'haam absorbuje ludzi - mówię. - Pochłania ich. Czy... istnieje sposób, by wy dostać kogoś, kto się stał jego częścią?

*Nie* - odpowiada cicho Eshvaren.

Ból w jego głosie odpowiada temu, który czuję w piersi.

- Aha - szepczę, bo tylko to przychodzi mi do głowy.

Takie małe słowo. Tak głęboki sens.

Żadnego „być może”. Po prostu...

Nie.

Nadal próbuję to ogarnąć, kiedy przekraczamy szeroką spienioną rzekę, wartką, srebrną masę wody, tłukącą w skały i tryskającą idealnymi łukami wodnej mgiełki.

*My jesteśmy zupełnie inni niż Ra'haam* - mówi Eshvaren. - *Wierzymy w świętość jednostki, cenimy ją ponad wszystko. Właśnie w jej obronie walczyliśmy. Kosztowało nas to wszystko, ale nie wygraliśmy całkowicie. Ra'haam, chociaż został pokonany, nie umarł. Ukrył się przed nami, zapadł w sen i wiedzieliśmy, że nie dożyjemy jego ponownego przebudzenia. Dlatego przygotowaliśmy to miejsce i to wspomnienie, żeby czekało na ciebie.*

- Jak na ironię, wspomnienia całej waszej rasy znajdują się w jednym ciele - zauważam. - A tak bardzo wierzyliście w indywidualność.

*Te jednostki zgodziły się na ten proces* - odpowiada z powagą istota. - *Ra'haam nie pyta o pozwolenie. Ty jednak jesteś naszą spuścizną, Auroro. Umarliśmy, żeby utrzymać przy życiu nadzieję na pokonanie Ra'haam. Teraz musisz dokończyć nasze dzieło.*

Mój głos brzmi słabo nawet w moich własnych uszach:

- Ale ja nie wiem, co mam zrobić.

*Zostawiliśmy Bron* - odpowiada Eshvaren. - *Jeśli zostanie rozmieszczona, zanim Ra'haam całkowicie się rozbudzi, to zniszczy planety-wylegarnie i raz na zawsze zapobiegnie ponownemu rozkwitowi. Nie wiedzieliśmy, gdzie Wróg zasnął, kiedy stworzyliśmy to miejsce. Jednakże wiele wieków po naszym odejściu nasi agenci nadal szukali światów-nasion Ra'haam. Zostawili wskazówki...*

- Gwiezdna mapa! - Kiwam głową podekscytowana. - Tak, znaleźliśmy ją.

*Zostawiliśmy także urządzenia w Faldzie. Sondy. Jedno z tych urządzeń musiało wyczuć twój potencjał parapsychiczny i dlatego cię aktywowało. Wiedziało, że posiadasz zdolność, która pozwoli ci posłużyć się naszą ostatnią bronią w walce z Ra'haam, więc wyzwoliło twój potencjał. Teraz musisz trenować, żeby przygotować się do jej użycia. Musisz zakończyć cykl.*

Nagle pośród tego nieskażonego piękna czuję się niewiarygodnie mała na bardzo wielkiej planecie. Złote niebo wydaje się mi nieskończone, kryształowe wieże sięgają strasznie wysoko.

– Chcesz powiedzieć, że cały wasz plan opierał się na tym, że znajdę się gdzieś w pobliżu sondy, żeby mogła mnie wyczuć i aktywować? A gdybym nie została wybrana do wyprawy na Octavię? A gdybym nigdy nie trafiła do tej części kosmosu? Skąd wiedzieliście, że do tego dojdzie? Widzicie przyszłość? Bo jeśli tak, to mam wiele pytań.

Eshvaren kręci głową.

*Jesteś specjalna, Auroro, ale nie jedyna w swoim rodzaju. Zostawiliśmy wiele sond dopasowanych do wielu ras, wszystkie szukały w Fałdzie potencjału.*

– Ale nigdzie pod ręką nie ma innego Zapalnika – zauważam. – Czy... może jest?

*Jesteś tu sama – odpowiada Eshvaren. – Tyle że ja nie jestem żywą istotą, a jedynie zbiorem wspomnień. Nagraniami, jeśli tak wolisz to widzieć. Mogło być wiele innych Zapalników przed tobą. Inni, którzy zostali aktywowani i przybyli trenować. Nie wiem. Echo zresetuje się po twoim odejściu, a ja zapomnę, że tu byłaś. Jednak nie byłoby mnie tutaj, a Ra'haam nie istniałby już, gdyby powiodło się innemu Zapalnikowi. Jeśli zawiedziesz, inni pojawią się po tobie. To zadanie musi zostać dokończone.*

To brzmi dla mnie dość ponuro.

– Nie masz talentu do zagrzewania, co? – staram się mówić z większą pewnością siebie, niż naprawdę czuję.

Eshvaren przechyla lekko głowę.

*Zdefiniuj, proszę, zagrzewanie.*

– Nie dodajesz mi za dużo otuchy. Próbuję powiedzieć, że mnie nastraszyłeś.

*Strach to stosowna reakcja – odpowiada pogodnie istota. – Twój trening będzie żmudny. Próby niebezpieczne. Jeśli zawiedziesz, zapłacisz za to życiem.*

– Ehm, życiem?

*Spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność – odpowiada. – Tak jak my musisz poświęcić wszystko.*

Jakby te słowa rzucały cień, robi mi się zimno. Nagle, mimo piękna tego miejsca, nie chcę niczego więcej, jak tylko wrócić na Zero.

– Posłuchaj, przepadłam na wiele godzin – mówię. – Załoga będzie się martwić. Mogą zrobić coś głupiego. Powinnam dać im znać, że nic mi nie jest.

*Czas inaczej płynie w Echu. Dla tych na zewnątrz minęło tylko kilka chwil. A w obliczu tego zadania kwestia twojej załogi jest drugorzędna.*

– Nie dla mnie – odpowiadam i wreszcie słyszę twardą jak stal nutę w swoim głosie. – Powiedz mi, jak mam się obudzić.

*Obudzimy cię i odesłamy z powrotem, jeśli tego sobie życzysz, ale kiedy się obudzisz, musisz przygotować się na powrót tutaj. Wykorzystaj jeden pełny cykl swojego czasu, zrób, co musisz zrobić, i dotknij znowu sondy. Porozmawiamy ponownie, tak jak rozmawialiśmy teraz.*

Eshvaren kiwa głową.

*Wtedy zacznie się twój trening – dodaje.*

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale zanim zdążę się odezwać, mrugam przebudzona. Nieskończone złote niebo nade mną zostaje zastąpione przez sufit hangaru *Zera* i twarze członków mojej drużyny.

Tłoczą się wokół mnie z troską w oczach. Finian trzyma Magellana i widzę, że ekran jest ciemny, martwy. Pewnie gdy dotknęłam sondy...

- Be'shmai, nic ci nie jest? - dopytuje się Kal, trzymając moją głowę.

Zila przesuwając nade mną swój unikron, pewnie przeprowadza jakiś medskan.

- To było niemądre, Auroro.

- Serio, Pasażerko na Gapę, nie możesz dotykać każdej dziwnej sondy, jaką znajdziemy, rozumiesz? - mówi Fin. - Kto wie, gdzie to leżało.

- Ona gdzieś była - odzywa się cicho Scarlett, przyglądając mi się uważnie.

- Jakbyś zgadła - odpowiadam.

- Tak, be'shmai? - dziwi się Kal.

Patrzę mu w oczy i widzę, że odbija się w nich mój strach.

- Właśnie spotkałam Eshvarena.

Budzę się ze smakiem krwi w ustach.

Ściany, podłogi, smuga, którą ścieram z ust – wszystko jest w różnych odcieniach szarości, więc wiem, że nadal jesteśmy w Faldzie. Leżę na biokoi, wpatruję się w sufit, czuję niskie wibracje silnika w obolałej piersi. Po jego tonie natychmiast orientuję się, że znajduję się na pokładzie terrańskiego lotniskowca. Typ VII-b, jak podejrzewam, z nowymi kolektorami fuzji epsilon i tłumikami inercyjnymi serii 9.

Ej, po prostu lubię statki, jasne?

Rzecz w tym, że to okręt TSO. Co znaczy, że jestem w areszcie TSO. Co znaczy, że mam wszelkie możliwe kłopoty, jakie można mieć w Galaktyce. Ale nadal żyję, prawda?

Mogło być gorzej, Jones.

Ryzykuję i próbuję się poruszyć, w nagrodę przeszywa mnie ból w całym ciele. Patrzę po sobie i widzę, że opatrzone mnie z grubsza – na najgorsze rany i rozcięcia nałożono medopatrunki stymulujące gojenie, mam chłodzący kompres przyklejony do nagiej, posiniaczonej piersi dla zmniejszenia opuchlizny. Nadal noszę spodnie od munduru Legionu Aurory i buty z paczki zostawionej w Repozyturze Dominium, ale nikt nie uznał, że należy mi dać koszulę. Przez chwilę panikuję, sięgam do szyi... ale nadal mam srebrny łańcuszek z senackim pierścieniem mojego ojca.

Tata...

Co by o tym wszystkim pomyślał? Co by mi doradził? Wieści o bitwie między TSO a Nieugiętymi pewnie już się rozniosły. Cała Galaktyka może właśnie ruszać na wojnę. A Scar, Auri i pozostali... pewnie są tam sami.

Nie mogę już dłużej ich chronić.

Siadam, krzywię się z bólu i rozglądam po pomieszczeniu. Nikogo nie zaskoczy informacja, że znajduję się w celi. Drzwi są zamknięte, nad nimi znajduje się włączona kamera. Temperatura w pomieszczeniu jest ciut za niska. Dokładnie tego należało się spodziewać.

Nie spodziewałem się jednak tego, że nie znajduję się tam sam.

Leży na drugiej biokoi pod przeciwną ścianą. Ma na sobie galowy mundur Nieugiętych od pasa w górę i tylko czarne figi od pasa w dół. Uda opatrzone jej medopatrunkami, siniaki pociemniały na jej oliwkowej skórze. W pewnej chwili podpięto ją do kroplówki, ale wyrwała ją i krew kapie z jej nadgarstka, rozchlapuje się na podłodze. Leży na plecach. Czarne warkocze, czarne usta, czarne serce. Świdruje sufit wzrokiem mordercy.



Saedii.

- Nareszcie się obudziłeś – odzywa się cicho. – Mam nadzieję, że dobrze ci się odpoczywało?

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Wiele godzin. – Kręci głową. – Wy, Terranie, jesteście... slabeuszami.

- Jesteś więźniem Terran – zwracam jej uwagę. – Na kogo wobec tego ty wychodzisz?

- Na jeńca wojennego. – Odwraca głowę i wbija we mnie miazdzący wzrok. – W wojnie, której nie możecie mieć nadziei wygrać.

- Ostrzegalem cię. – Krzywię się. – Zagrałaś dokładnie tak, jak tego chcieli. Dałaś im dokładnie to, czego chcieli.

- Konflikt, w którym nie może być zwycięstwa? Wrogość archonta, który niszczy całe słońca? – Saedii siada powoli, spuszcza bosa nogi i stawia stopy na podłodze. Mimo obrażeń, jakie otrzymała, w jej oczach ledwie odmalowuje się ból. – Jeśli twoi ludzie pragnęli zniszczenia, to owszem, to im właśnie dałam.

- To nie moi ludzie stoją za tym bałaganem.

- Ta żałosna odznaka Legionu Aurory, za którą się chowasz, nie oszczędzi cię przed zemstą Gwiazdobójcy. Caersan nie będzie robił różnicy między TSO i twoimi legionistami. – Krzywi czarne usta, błyska zaostrzonymi kłami. – Wyrznie was wszystkich. Wasze słońca się zapadną. Wasze układy zostaną pożarte. Cała wasza rasa przepadnie w mrokach dziejów. Wy wszyscy.

- Nie gorączkuj się tak – odpowiadam.

Mruży oczy okolone czarnym pasem sięgającym skroni. Wkurzająco syldrański spokój wraca na miejsce jak znoszona rękawiczka.

- Jesteś głupcem, Tylerze Jonesie – oznajmia. – I umrzesz jak głupiec.

- To nie ja sypię jak głupiec pogrózkami na prawo i lewo, żeby słyszał mnie cały okręt. – Wskazuję małą czarną kropkę nad framugą drzwi. – Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy obserwowani, prawda? Że słyszą wszystko, co mówisz? Widzą, co robisz?

- Jestem templariuszką Nieugiętych. – Odrzuca warkocze na plecy, wskazując trzy ostrza na czole. – Zbrojna z urodzenia i przekonania. Namaszczona krwią samego archonta Caersana. Nie mam się czego bać ze strony twoich ludzi.

- Cały czas ci powtarzam, że ludzie odpowiedzialni za to przedstawienie, nie są moimi ludźmi. Tu się dzieje coś, czego nie jesteś w stanie nawet ogarnąć. Uwierz mi jednak, kiedy ci powiem, że bez względu na twoje urodzenie, przekonanie i krew, sytuacja przerasta cię o głowę.

Kładę się na koi, krzywiąc się, gdy dotykam siniaków na nagiej piersi.

- Więc przestań kłapać dziobem na prawo i lewo, bo ci odpadnie.

Podkładam rękę pod głowę i wpatruję się w sufit, czując płonące spojrzenie Saedii przesuwające się po moim ciele. Wiem, że chce mnie zabić, wyczuwam groźbę i wściekłość promieniujące od niej falami. Wiem jednak, że nie jest tak głupia, żeby spróbować czegoś przy kamerach, a poza tym jej ranom jeszcze daleko do wygojenia. Starając się więc nie myśleć o templariuszce Saedii Gilwraeth, zaczynam się zastanawiać, jak u licha ucieknę z tej celi.

Poza tym, co mam na sobie, nie mam żadnego sprzętu. Zdaję sobie sprawę, że zabrano mi unikon, i nagle robi mi się smutno, bo straciłem ostatnią namacalną rzecz, jaka została mi po Cat.

Zawsze zostaje mi tatuaż, który zrobiliśmy sobie razem...

Zaczynam o niej myśleć. Tęsknić za nią. Była kimś, kto zawsze mnie wspierał. Na chwilę wracam myślami do naszej nocy podczas przepustki, przesuając palcem po tatuażu na bicepsie. Myślę o tym, o jej dotyku, o tym, jak drżała, gdy...

*Jesteś żaloszny.*

Mrugam zaskoczony. Siadam ostrożnie i zerkam na Saedii, która nadal obserwuje mnie zmrużonymi, nienawistnymi ślepiami.

- Czy ty właśnie...

*Nazwałam cię żaloszny? Tak. Fantazjować o nieżyjącej kochance w takiej chwili?*

Mrugam znowu. Zdaję sobie sprawę, że Saedii mówi do mnie, nie poruszając ustami.

Że jakimś cudem potrafi...

*Jesteś... w moim umyśle?*

Prycha cicho i pogardliwie.

*Jeśli można to coś tak nazwać.*

Co... *Jak ty to robisz?*

*Tak bardzo słaby.*

Marszczę mocniej czoło, próbując zrozumieć, co tu, na Stwórce, jest grane. Czy halucynuję, mam wstrząśnienie mózgu, czy może to wszystko mi się śni? W końcu przypominam sobie rozmowę z Kalem w Szmaragdowym Mieście. Przypominam sobie, jak ostrzegwał, że Saedii może go namierzyć... bo jest w stanie go wyczuć.

Patrzę na nią. Wreszcie zaczynam rozumieć.

*Twoja matka była Wędrowczynią...*

Wyczuwam iskrę wściekłości, ciemną i poskręcaną, skrzącą się między nami jak prąd.

*Nigdy więcej nie mów o mojej matce, Terraninie.*

Kręcę głową. Zastanawiam się gorączkowo.

*Kal powiedział, że odziedziczyłaś część jej... niektóre z jej darów Wędrowcy. Wiedziałem, że Wędrowcy są empatami, że potrafią czytać w umysłach. Może nawet wychwytywać myśli z powierzchni umysłu. Nigdy jednak nie słyszałem, żeby twój lud potrafił porozumiewać się telepacyjnie.*

Obrzuca mnie chłodnym i pogardliwym spojrzeniem.

*Najwyraźniej o wielu rzeczach nie wiesz, Tylerze Jonesie.*

*A to co ma niby znaczyć?*

Prycha.

*Naprawdę jesteś synem swojego ojca.*

Ogarnia mnie wtedy gniew, równie mroczny i głęboki jak jej własny. Odruchowo sięgam do łańcuszka na szyi, do zawieszzonego na nim pierścienia.

*Może umówimy się, że nie będziemy poruszać tematu ojców i matek?*

W mojej czaszce rozlega się śmiech.

*Jesteś głupcem.*

*Jeśli wypychasz łeb do mojego własnego po to, żeby mnie obrazić, to wynoś się.*

*„Wpycham swój łeb” jak to elokwentnie ująłeś, ponieważ wyczuwam pożądanie rozbryzgujące się po wszystkich ścianach i chciałam rozpoznać źródło. – Patrzy znacząco na swoje nagie nogi i figi. – Gdybym okazała się obiektem twoich fantazji, obciąłabym ci kciuki.*

*Nie pochlebiaj sobie.*

*Nikomiu nie pochlebiam. Tak właśnie postępuję z mężczyznami, którzy próbują mnie uwodzić, Tylerze Jonesie. – Sięga do sznura z odciętymi i wysuszonymi kciukami, który nadal ma na szyi. – Otrzymują szansę pokonania mnie w walce. A jeśli przegrają...*

*Obrzucam ją spojrzeniem, kręcąc głową.*

*Wielki Stwórco, ty naprawdę jesteś psychopatką, co?*

*Tym więcej masz powodów, żeby trzymać myśl o mnie z dala od własnej głowy, mały Terraninie.*

*Postaram się nad sobą zapanować.*

Saerii kładzie ręce na kolanach i się pochyla. Warkocze opadają jej na policzki, kiedy przeciąga się z gracją, przesuując czarnymi paznokciami po łydkach aż do czubków palców u stóp. Jej ruchy są zmysłowe, niemal uwodzicielskie, ale ewidentnie robi to, żeby mnie sprowokować. Kiedy patrzy mi w oczy, wyczuwam jej złośliwość.

*Lepiej zrób coś więcej niż tylko się „postaraj”, chłopcze.*

*Śluchaj, a może byś tak...*

Syk drzwi do celi przerywa mi myśl. Znowu siadam, krzywięc się, kiedy pół tuzina żołnierzy TSO w lekkich taktycznych zbrojach wchodzi do celi. Saerii piorunuje ich wzrokiem, zaciśnięte ręce w pięści. Oni jednak patrzą tylko na mnie. Widzę nazwę statku na ich mundurach i zdaję sobie sprawę, że muszę być na tym samym statku, co...

Porucznik, która dowodzi grupą, macha dezelatorem wycelowanym w moją twarz.

– Princeps chce z tobą porozmawiać, legionisto Jones.

Ona się boi.

Wyczuwam to jak cień za nią, zimny i ciemny. Jak wilgotny czarny płaszcz zarzucony na jej ramiona, od którego drży zmarznięta. Wyczuwam jej rozczarowanie samą sobą.

Wie, że gra toczy się o losy całej Galaktyki.

Wie, co się stanie, jeśli zawiedzie.

A mimo to się boi.

Przebywa w swojej kajucie, wszystkie kolory wokół niej to odcienie szarości. Stoi przy małym iluminatorze, wpatruje się w bezbarwne pływy Fałdy. Kosmos poza Fałdą to nieskończoność zalana światłem. Kosmiczny balet kształtujący się przez miliardy lat. Niewyraźalne piękno, nieporównywalne z niczym innym.

A jednak przy niej wszystko to wydaje się przyćmione jak płomyk świeczki.

– Be'shmai?

Ogląda się na mnie przez ramię, w jej białej tęczę odbija się światło i serce mi bije mocniej. Stoję w drzwiach i patrzę, jak Aurora obejmuje się, jakby zmarzła. Rozumiem wtedy – i ta świadomość przenika mnie do szpiku kości – że zrobiłbym wszystko, byle zdjąć z niej to brzemie.

– Wejdz – mówi cicho.

Drzwi zamykają się za mną z szeptem, gdy wchodzę do środka. Rozglądam się i widzę, że niewiele rzeczy w tym pokoju świadczy o tym, że należy on do Aurory. Kajuta Finiana została wyposażona stosownie do jego potrzeb. W mojej stoi mały kwiat lias w srebrnym wazonie, jest tam nawet siif, żebym mógł na nim pograć, gdy najdzie mnie taka chęć. Jednakże pokój Aurory jest pozbawiony ozdób, poza pojedynczą świecą, na której widnieje napis w języku jej ojca. Rozpoznaję pismo dzięki temu, że chińska kaligrafia jest więcej niż tylko trochę podobna do syldrańskich znaków. Pamiętam pierwszy raz, kiedy zobaczyłem je w akademii. Zaskoczyło mnie, że istoty ludzkie wyprodukowały coś tak bliskiego pięknu.

Teraz już mnie to nie zaskakuje.

Świeca stoi samotnie w pokoju, z dala od dziewczyny, która musiała ją zapalić. Zupełnie jakby Adams i de Stoy wiedzieli, że to miejsce nie będzie zbyt długo jej domem. Smuci mnie widok jej zagubienia.

– Finian melduje, że Magellana da się naprawić – mówię. – Dotknięcie sondy pewnie przeciążyło jego obwody, ale z czasem zdoła to naprawić.

Aurora tylko kiwa głową, wyglądając przez iluminator. Podejrzewam, że informacja o zepsutym urządzeniu elektronicznym to nie jest to, czego teraz potrzebuje.

Staję więc za nią i ją obejmuję. Opiera się o mnie, zamyka oczy i wzdycha, jakby w moich objęciach wreszcie poczuła, że znalazła się prawie w domu.

Patrzę na nasze odbicie w iluminatorze, ja stojący za nią, my razem. Dociera do mnie, jak do siebie pasujemy. Jak dwa kawałki przedziwnej układanki. Jakby była fragmentem, którego brakowało mi przez całe życie. Pragnienie jest niemal ogłuszające, ale powstrzymuję się, oddycham głęboko i wnoszę nieco spokoju w burzę, która we mnie szaleje. Ponieważ pod uwielbieniem w jej oczach widzę słowa, które Aurora pragnie wypowiedzieć na długo przed tym, zanim zbierze się na odwagę, żeby to rzeczywiście zrobić.

- Boję się, Kal – szepcze.

- Wiem.

Głaszczę jej policzek, a ona znowu zamyka oczy i drży.

- Co takiego powiedzieli Pradawni, że zaczęłaś się bać?

Zagryza dolną wargę i kiedy się odzywa, wiem, że tylko mnie jednemu w Galaktyce by to powiedziała:

- Muszą mnie wyszkolić – mówi. – Nauczyć posługiwać się Bronią. Ale...

Bierze wdech, jakby szykowała się do skoku w głębinę.

- Mówią, że jeśli zawiodę, to mnie zabije. „Tak jak my musisz poświęcić wszystko”.

Ogarnia mnie gniew. Zanim stała się moja, nie wiedziałem, co to znaczy czuć pełnię. Zanim znalazłem to światło, nie obawiałem się ciemności. Jednak odkryć tę dziewczynę, ten brakujący fragment układanki mojego życia tylko po to, żeby stanąć wobec myśli, że mogę ją tak szybko stracić...

- Nie chcę iść – szepcze. - Wiem, że to egoistyczne. Wiem, że po tym wszystkim, o co walczyliśmy... inni tak wiele poświęcili, Cat, Tyler, cała drużyna... - Łzy błyszczą jej na rzesach, gdy kręci głowę. - Ale nie chcę narażać tego. Nas.

Wzdycha, poddaje się moim objęciom, odchyła głowę opartą na mojej piersi.

- Powiedz mi, że tak należy zrobić, Kal.

Gładzę jej włosy, głaszczę policzek.

- Sama to wiesz, be'shmai – mruczę.

Przyciąga moje ręce, żebym objął ją ciaśniej.

- Mimo to powiedz mi.

Biorę głęboki wdech, ciesząc przez chwilę tym, że po prostu stoję i ją obejmuję. Wiem, że Aurora, jest świadoma tego, co musi zrobić. Zdaje sobie z tego sprawę każdym atomem ciała. Jest odważna. Prosi jednak także mnie, o siłę, o pewność, o coś, czego będzie mogła się chwycić, kiedy wejdzie w ogień.

Dlatego mówię jej coś, o czym nie opowiadałem nikomu.

- Moje najwcześniejsze wspomnienia to kłótnie rodziców – mówię.

Wyczuwam jej niepewność – nie rozumiem, dlaczego jej o tym mówię. Ufa mi jednak dostatecznie, żeby nie pytać, i po prostu pozwala słowom wybrzmieć. Obejmuje mnie nieco mocniej.

- Przykro mi – szepcze. – To smutne.

Kiwam głową, patrząc poza nasze odbicie, na Fałdę.

- Rodzice poznali się, kiedy byli młodzi. Ona była nowicjuską w świątyni Pustki, on paladynem z Ligi Zbrojnych. Kiedy pierwszy raz poczuli Przyciąganie, ich przyjaciele i rodziny próbowały odwieść ich od Aliażu.

- Dlaczego?

- Zbrojni i Wędrowcy rzadko tworzą udane związki. Ci, którzy szukają odpowiedzi, i ci, którzy na większość pytań odpowiadają walką, rzadko się dogadują. – Wzruszam ramionami i wdycham. – Mimo to moi rodzice związali się. Kochali się mocno na początku. Tak bardzo, że to ich raniło.

Udaje jej się leciutko uśmiechnąć.

- To brzmi romantycznie. Dwoje ludzi, którzy chcą być razem bez względu na to, co mówią inni.

Kiwam głową.

- Może i jest romantyczne, ale zdecydowanie niemądre. Myślę, że moja matka wyobrażała sobie, że przekształci miłość mojego ojca do konfliktu w miłość do rodziny. Jednak w tamtym czasie Syldra prowadziła wojnę z Terrą. I w miarę jak rozłam między moim ludem a twoim się pogłębiał, on coraz bardziej się zatracił. Rozpad ich Aliażu był już widoczny, kiedy urodziła się Saedii. Jeszcze bardziej się pogłębił, gdy pojawiłem się ja.

Wdycham znowu, zdając sobie sprawę, jakim błogosławieństwem jest móc o tym mówić. Zwyczajnie mieć kogoś, komu ufam na tyle, by się tym podzielić.

- Mój ojciec był okrutnym człowiekiem. Rządził ciężką ręką i nie tolerował sprzeciwu. Rozkazał, że moja siostra i ja mamy zostać wprowadzeni do Ligi Zbrojnych, i osobiście nadzorował nasz trening. Kiedy uczył nas Aen Sunn, nie hamował się. Wiele razy kładliśmy się z Saedii w naszych sypialniach posiniaczeni przez niego i zakrwawieni. On mówił jednak, że dzięki temu będziemy silni. „Litość”, mawiał, „to domena tchórzów”. Początkowo byliśmy z Saedii blisko. Kiedy byliśmy mali, była gwiazdą na moim niebie. Jednak gdy podrośliśmy, ojciec zaczął mnie faworyzować, więc zrobiła się zazdrosna. Saedii kochała naszego ojca. Kochała go z zaciekłością, która przyćmiewała moje uczucie. Bo chociaż wychowywano mnie na Zbrojnego, zawsze czułem się bardziej związany z matką. Nauczyła mnie, ile warte jest życie. Nauczyła mnie radości rozumienia, sprawiedliwości płynącej z bezstronności. Kochałem ją mocno, nawet kiedy ojciec naciskał, żebym poddał się wojnie, która żyje we mnie, i dzięki temu lepiej walczył w wojnie, która trwa wokół mnie. Matka przychodziła do mnie wieczorami, kiedy ojciec spał. Siniaki, jakie zostawiał na jej skórze, miały ten sam odcień, co moje. „Nie ma miłości w przemoc, Kaliisie”, mówiła, przykładając chłodny kompres do moich ran. „Nie ma miłości w przemoc”.

- To okropne – szepcze Aurora. – Tak mi przykro.

Kręcę głową, czując stare, znajome pieczenie.

- Linie frontu, które nakreślili moi rodzice, podzieliły później mnie i Saedii. Ona pragnęła pochwał ojca, gardziła mądrością mojej matki. – Dotykam trzech ostrzy na czole. – W tym czasie mieszkaliśmy na pokładzie statku ojca. Myślę, że chciał trzymać nas blisko siebie. Żeby

lepiej panować nad moją matką, żeby ukształtować mnie i Saedii tak, jak tego sobie życzył. Dorastałem. Stawałem się wyższy, silniejszy. Kiedy Saedii nie była już w stanie pokonać mnie podczas treningów, próbowała mnie ukarać w inny sposób. Z okazji ósmej rocznicy nadania mi imienia matka podarowała mi siif, instrument strunowy podobny do terrańskich skrzypiec. To był podarunek od jej własnej matki. Pewnego dnia, gdy miałem dwanaście lat, kiedy znowu pokonałem ją podczas treningu, Saedii poszła do mojego pokoju i w odwecie zniszczyła instrument. Chociaż zawsze starałem się brać sobie do serca nauki matki, nadal byłem synem swojego ojca. Wtedy po raz pierwszy naprawdę poczułem, że Wewnętrzny Wróg przejął nade mną kontrolę. Czułem smak nienawiści w ustach. I to mi się podobało. Wytropiłem siostrę. Znalazłem ją na dziedzińcach treningowych z przyjaciółmi. Pokazałem jej połamane szczątki siifu, a ona się roześmiała. Dlatego ją nimi uderzyłem.

Zwieszam głowę zawstydzony. W ustach mi zaschło i czuję gorycz, jakby napełniły się popiołem. Aurora patrzy na moje odbicie i widzę pytania w jej oczach. Spozstrzega jednak poczucie winy w moich własnych, więc zamiast mnie oceniać, okazuje współczucie. Delikatnie ścisną mi dłoń.

- Byłeś tylko chłopcem – mówi. – Nie jesteś tą sama osobą co wtedy. Znam cię. Teraz nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego.

- To żadna wymówka – odpowiadam. – Minęło siedem lat, a pogarda, jaką do siebie czuję, nie zmalała ani odrobinę. Saedii była moją siostrą. Uderzyłem ją tylko i wyłącznie po to, żeby ją zranić. Kiedy upadła, uderzyłem znowu. I znowu. Czułem wtedy przy sobie ojca. Słyszałem jego głos w uchu. Przeklinający słabość. Litość. Poczucie winy. „Litość to domena tchórzy”.

Patrzę na Fałdę, na kosmiczny balet za iluminatorem.

- Oczekiwałem kary. Zamiast tego ojciec mnie pochwalił. Powiedział, że nigdy nie był bardziej dumny ze swojego syna, niż kiedy usłyszał, co zrobiłem.

- Kal... – odzywa się cicho Aurora. – Twój ojciec sprawia wrażenie...

- Potwora – mówię. – Był potworem, Auroro. A moja matka widziała, że zamienia w potwory Saedii i mnie, więc w końcu postanowiła odejść. Zerwać Aliaż i uciec z powrotem na Syldrę. Ojciec powiedział, że ją zabije, jeśli go opuści. Porzucając go, zostawiała dom, nie liczących przyjaciół, na których jej pozwolił. Wszystko. Saedii nie chciała odejść, rozstać się z ojcem. Ostatecznie matka porzuciła całe życie ze względu na mnie. To było najtrudniejsze, co w życiu zrobiła. A jednak to zrobiła. „Mai tu sarie amn, tu hae’si, tu kii’rna dae”, powiedziała mi potem.

Aurora kręci głową.

- Co to znaczy?

- „Nic nie jest równie bolesne ani równie proste jak zrobienie tego, co słuszne”.

Aurora wygląda przez iluminator, zaciskając usta.

- Powiedziałeś mi, że twój ojciec...

- Umarł – odpowiadam i serce zaciska mi się z siłą, która mnie zaskakuje. – Umarł na Orionie, be’shmai. W tej samej bitwie, która kosztowała życie Jeriho Jonesa. Tamtego dnia Tyler, Scarlett i ja zostaliśmy sierotami.

- Co... – Znowu patrzy mi w oczy. – Co się stało z twoją matką? Chciałabym ją poznać...

Urywa, widząc ból w moich oczach. Wyczuwam jej obecność w swoim umyśle, ledwie uchwytny dotyk. Widzi tam odbicie słońca rozbłyskującego oslepiającym światłem, które ginie potem w bezdennej ciemności, zamykającej się wokół planet okrążających gwiazdę i wciągającej całe układy planetarne w nicość. Dziesięć miliardów syldrańskich głosów krzyczących, kiedy pustka otwiera się szeroko, żeby pochłonąć je w całości.

- Umarła – szepcze Aurora. – Kiedy umarł twój rodzinny świat.

Zwieszam głowę.

- Gwiazdobójca wiele mi odebrał, Auroro, ale matka dała mi o wiele więcej. Byłbym na Syl-drze, gdy została zniszczona, gdyby nie wpoila mi swojej mądrości i nie zmusiła mnie do spoj-rzenia na gniew w mojej krwi jak na coś dobrego, a na bezpieczeństwo Galaktyki jak na sprawę, do której obrony warto ten gniew wykorzystać. Wstąpiłem do Legionu Aurory z jej powodu. Chociaż zostawienie jej i mojego świata było najtrudniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek dokonałem.

Wzruszam ramionami.

- Ta decyzja jednak sprawiła, że poznałem tę drużynę. I ciebie. Naszą misję. Gdyby nie matka, nie miałbym żadnej z tych rzeczy.

- Jak miała na imię?

- Laeeth.

Aurora kiwa głową, jasne pasmo spada jej na oczy.

- Piękne imię.

- Polubiłaby ciebie, be'shmai – mówię, a ona uśmiecha się przez łzy, bo moje spojrzenie potwierdza prawdziwość moich słów. – Widziałyby w tobie siłę. Brzemie, które dźwigasz, to czego częścią się staliśmy, tę ścieżkę, którą kroczymy... – Kręcę głową zdumiony. – Losy całej Galaktyki leżą w twoich rękach. Odwaga, jaką okazałaś do tej pory... Znam doświadczonych wojowników, którzy rozpadliby się w pył pod takim ciężarem. A jednak ty stoisz. Silna, piękna i niepokonana.

Znowu zaciskam lekko rękę na jej dłoni.

- I chociaż napelnia mnie radością, że to właśnie mnie poprosiłaś, żebym ci powiedział tę prawdę, to nie wątpię, że już ją znałaś. Bo tym właśnie jesteś. I to jeden z nieskończenie wielu powodów, dla których cię kocham.

Patrzy mi w oczy.

- Mogę tam umrzeć.

Serce znowu mi się zaciska, ale staram się nie okazać strachu. Aurora potrzebuje teraz, żebym był silny, i mogę jej dać chociaż tyle.

- Nie umrzesz, be'shmai. Jesteś czymś znacznie więcej, niż sobie wyobrażasz.

- Co będziesz tu robił? – pyta cicho. – Kiedy ja będę w Echu?

- Finian mówi, że zdołał wyizolować trop cząsteczkowy sondy. Włożył bardzo dużo wysiłku w wyjaśnienie, jakie to było trudne. – Aurora uśmiecha się słabo. – Mówi, że możemy określić, gdzie sonda znajdowała się początkowo. Skąd wystrzelili ją Eshvarenowie. Może znajdziemy tam Broń. Albo wskazówki na temat jej lokalizacji.

- Eshvarenowie pewnie mi powiedzą, gdzie ona jest. Jeżeli zdam egzamin.



- Kiedy zdasz egzamin – poprawiam ją, ściskając jej dłoń. – Jednak Scarlett mówi, że nie możemy stawiać wszystkiego na rzut kostką, która ma milion lat. I jestem skłonny się z nią zgodzić. Poza tym będziemy mieli zajęcia, kiedy ty będziesz... w tym ich Echo.

- Eshvarenowie... – zaczyna. – Powiedzieli mi, że czas inaczej tam płynie. Kilka chwil tutaj to wiele godzin tam. Zastanawiałam się, czy może... chciałbyś pójść ze mną? Spędzę tam dużo czasu sama.

Mrugam zaskoczony.

- Możemy to zrobić? To znaczy... to jest dozwolone?

Aurora przechyla głowę.

- Oczekują, że narażę życie, żeby uratować cholerną Galaktykę, Kal. Myślę, że mogą mi pozwolić na odrobinę towarzystwa.

Zastanawiam się nad tym chwilę. Naprawdę nie wiem, z czym to Echo się wiąże, ale jestem pewien, że Scarlett, Finian i Zila sami poradzą sobie z tropieniem sondy. I prawdę mówiąc, myśl o rozstaniu z Aurorą ciążyła mi jak kamień. Dlatego uśmiecham się do niej i kiwam głową, wyrażając zgodę. I uśmiech, jakim obdarza mnie w odpowiedzi, przez chwilę jest pełen tej samej radości, którą ja odczuwam w sercu.

Zaraz jednak powraca cień.

Widzę, jak czai się w jej oczach razem ze strachem.

- Nic nie jest równie bolesne ani równie proste jak zrobienie tego, co słuszne – mówi.

- Owszem.

Stoimy w milczeniu przez bardzo długi czas. Pozwalamy, by zalał nas ogrom tej decyzji – tego, dokąd musi się udać, czemu musi stawić czoło, losów, które się ważą, opierając się na tak drobnym punkcie jak my dwoje. Aurora wpatruje się w mrok na zewnątrz, a jej myśli są jak milczący kalejdoskop.

- Wiesz, zanim go popsulałam, Magellan pokazywał mi codziennie różne przypadkowe fakty naukowe – mruczy w końcu. – Wczoraj czytałam coś na temat atomów.

Jej ciepło, nacisk jej ciała jest jak narkotyk, a ja mam świadomość, jak zaciekłe i głośno serce tłucze mi się o żebra. Kiedy przyciska się plecami do mojej piersi, na pewno musi to czuć. Staram się jednak słuchać uważnie. Być dla niej tu i teraz.

- Atomy – mówię.

- Właśnie. – Aurora kiwa głową. – Każdą komórkę w ciele tworzą jądra otoczone przez elektrony. Elektrony mają ujemny ładunek. Odpychają więc inne elektrony, kiedy te znajdują się za blisko. W tym artykule napisano, że podczas gdy mózg odbiera tę odpychającą siłę między elektronami jako „dotyk”, to atomy tak naprawdę zawsze są oddalone od siebie o maleńki ułamek milimetra.

Przesuwa kciukiem po moim własnym i kręci głową.

- Czyli tak naprawdę nigdy niczego tak do końca nie dotykamy – mówi. – Idziemy przez życie całkiem oddzieleni. Nigdy tak naprawdę nie dotykamy drugiej żywej istoty. Nigdy.

Odzywa się we mnie głód. Wyczuwam go także w niej – myśl, że ten ogień narastający między nami, ten szept zamieniający się w burzę, to wszystko może zostać jutro zgaszone. Delikatnie odwracam ją do siebie. Patrzę jej w oczy. Drży, gdy przesuwam palcem po jej policzku.

Szeptcze, gdy pochylam się bliżej.

- Magellan powiedział, że gdyby dwie cząstki rzeczywiście się dotknęły...

Jeszcze bliżej.

- ...doszłoby do reakcji nuklearnej...

- To brzmi niebezpiecznie - szeptczę, patrząc jej w oczy.

Najbliżej.

- Bardzo - wzdycha.

Nasze usta spotykają się, płomienie zderzają się i w okamgnieniu wszystko jest absolutnie doskonałe. Nie ma statku. Nie ma Fałdy. Jest tylko dziewczyna w moich ramionach, Przyciąganie w mojej istocie, nacisk jej warg, jej rąk, jej ciała. Wzbiera przy mnie zadyszana, głodna, szukając tej samej pociechy, którą czuję, azylu w zapomnieniu, gdy my stajemy się wszystkim, a wszystko poza nami staje się niczym. Jej język muska mój. Aurora kieruje moje ręce tam, gdzie chce je poczuć, i chociaż cząstka mnie wie, że mówiła prawdę, że nigdy naprawdę niczego nie dotykamy, to przez chwilę obawiam się, że rzeczywiście nam się udało, że żar między nami zamienia się w nuklearny ogień, który pożre nas oboje.

Mijają wieki, zanim odsuwa się ode mnie. Patrzy mi w oczy z czymś bliskim uwielbienia, jakie musi widzieć w moich własnych. Przyciska palce do mojej twarzy, uszu, ust, jej dotyk żarzy się na mojej skórze.

- Jesteś ogniem, w którym pragnę spłonąć - mówię.

Bierze mnie za rękę.

Prowadzi do swojego łóżka.

Pociąga mnie za sobą w dół.

- Spalmy się razem - szeptczę.

W celi przesłuchań jest zimno.

Żołnierze, którzy odprowadzili mnie z poziomu więziennego, ignorowali wszystkie moje protesty, wszystkie próby wskazania szaleństwa, w jakie się wplątali. Wiem, dobrzy żołnierze nie słuchają terrorystów. Dobrzy żołnierze nie myślą. Dlatego po prostu odprowadzili mnie do pokoju, przykuli do krzesła magnetokajdankami i po serii krótkich salutów wyszli.

Zostawiając mnie z nimi.

Patrzę na trzy postaci oświetlone reflektorami w górze. Ich oddech – powolny i pusty – nie się świstem. Mają identyczne manieryzmy, identyczne lustrzane maski, identyczne graficzne mundury. Z wyjątkiem tego, który im przewodzi, rzecz jasna, bo on jest odziany w nieskazitelną biel od stóp do głów.

– DOBRY WIECZÓR, LEGIONISTO JONES – mówi princeps. – WITAM NA POKŁADZIE KUSANAGIEGO.

Patrzę na postać tam, gdzie jak domyślam się, znajdują się oczy. Wyobrażam sobie twarz ukrytą za pozbawioną wszelkich rysów fasadą.

– Miło znowu cię widzieć, Zhang Ji – odpowiadam.

Tak się nazywa ojciec Aurory. Tak się nazywa skorupa, którą ten stwór ukradł i teraz nosi jak tani garnitur. Ten stwór, który zraniony spał milion lat, ukrywał się w cieniu, chciał pozostać niezauważony, nieodkryty, nieznany.

Ja jednak znam jego imię.

– Czy może powinienem zwracać się do ciebie Ra’haam?

Patrzę na nich, jeżąc się z gniewu. Czekam na odpowiedź. Na reakcję, na cokolwiek.

Oni jednak tylko patrzą milczący i nieruchomi.

– Wiem, co robicie – warczę. – Prowokujecie wojnę między Terrą i Nieugiętymi, żeby zapewnić sobie zasłonę dymną. Zagwarantujecie sobie czas potrzebny, żeby planety-wylegarnie zdążyły zakwitnąć. Ale wcześniej miliony ludzi umrą. Może miliardy. Wiecie o tym, prawda?

Dwóch agentów GAW w szarych mundurach staje po obu moich stronach. Ten po lewej wyciąga ręce w rękawiczkach i zakłada mi na szyję neurobrozę. Wzdrygam się pod dotykiem zimnego metalu. Czuję, jak drobnitka elektroda wsuwa się i naciska na mój kręgosłup.

– Wykorzystywanie neurobroży zostało zakazane przez Konwencję Madrycką – mówię. – Pewnie powinni byli też tam coś napisać o opętaniu przez obce pasożyty, ale chyba łapiecie...

- GDZIE JEST AURORA JIE-LIN O'MALLEY? - pyta princeps.

Zaciskam zęby, patrzę w lustrzaną twarz.

- Zgodnie z protokołem Legionu Aurory mogę jedynie podać swoje imię, nazwisko, rangę i numer drużyny.

Princeps przechyla głowę.

- GDZIE JEST AURORA JIE-LIN O'MALLEY?

Oblizuję wargi. Szykuję się na najgorsze.

- Tyler Jones. Alfa. Legion Aurory, drużyna 312.

Impuls bólu przesywa mi potylicę i eksploduje w czaszce. Łapię gwałtownie oddech, gdy każdy cal mojej skóry płonie ogniem, jakby nerwy zostały odsłonięte i przeciągnięte po tłuczonym szkle, jakby oczy wybuchły mi w oczodołach, do których potem nalano kwasu, żeby przeżarł się przez zatoki i zaczął mi ściekać gard...

Ból mija. Znika wraz z ruchem palca princepsa. Biorę rozdygotany wdech przez zęby, pot szczypie mnie w rany. To trwało raptem kilka sekund, ale nigdy w życiu nie czułem większego bólu, nawet kiedy w szóstej klasie przyciąłem się suwakiem.

Princeps otwiera dłoń w białej rękawiczce i pokazuje mi pilota do neurobroży. Skala natężenia sięga dziesięciu. Obecnie ustawiony jest na jedynce.

- GDZIE JEST AURORA JIE-LIN O'MALLEY?

- Tyler Jones. Alf...

Reszta słów ginie zdławiona, kiedy neurobroża znowu się włącza.

Jęk wyrywa mi się przez zęby. Trzęsę się na całym ciele. Staram się myśleć o czymś uspokajającym, próbuję przekonać samego siebie, że to nie dzieje się naprawdę. I chociaż logiczna część mojego mózgu wie, że to tylko indukcja nerwowa, że to tylko iluzja bólu, to gadzia część po prostu wrzeszczy. Skóra jest zrywana z mojego ciała zardzewiałymi nożami, po odsłoniętych mięśniach przesuwają się papier ścierny, tępe dłuta wbijają się między kręgi. Krew i płyn rdzeniowy spływają mi po...

Ból mija. Chwila lśniącej, niewiarygodnej ulgi.

- GDZIE JEST AURORA JIE-LIN O'MALLEY?

Biorę wdech. Zamykam oczy. Modlę się do Stwórcy o siłę.

- T-Tyler J...

I tak to leci.

Tracę poczucie czasu.

Tracę rachubę, ile razy włączono obrożę.

Wiem, że docieram do poziomu drugiego, nim zaczynam krzyczeć.

Na poziomie trzecim ryczę, żeby przestali, przestali, na oddech Stwórcy, przestańcie!

Nie przestają, dopóki nie dojdą do czwartego.

- GDZIE JEST AURORA JIE-LIN O'MALLEY?

- Nie wiem!

Szarpię się słabo w trzymających mnie więzach, żeby po prostu mieć przeciwko czemu się buntować. Czuję miedź w ustach, spluwam krwią na podłogę. Dociera do mnie, że wrzeszczałem tak, że popękały mi struny głosowe.

- GDZIE JEST AURORA JIE-LIN O'MALLEY? – powtarza princeps, co doprowadza mnie do szału.

- Nie WIEM! – ryczę, słabym, zachrypłym głosem. – Lokalizacja miejsca, do którego zmierzaliśmy, znajdowała się w czarnej skrzynce z Hefajstosa! Nigdy nie widziałem tych danych!

Kolejna nieprawdopodobna lanca bólu.

Kolejny krwawy, upstrzony śliną wrzask.

- To wszystko może się skończyć, legionisto Jones.

Znowu.

- Po prostu powiedz nam prawdę.

I znowu.

- GDZIE JEST AURORA JIE-LIN O'MALLEY?

I znowu.

- MÓWIĘ CI, ŻE NIE WIEM!

I nagle to wszystko się kończy. Tak po prostu. W głowie mi się kręci. Mam delirium. Każda sekunda bez bólu jest jak błogosławieństwo Stwórcy, a ja modłę się o ciemność, o sen, o koniec tego wszystkiego.

Wtedy jednak... czuję, że ktoś dotyka mojego nagiego ramienia. Delikatne usta przyciskają się do płonącej skóry na moim czole, chłodne jak lód. Ulga zalewa mnie jak wiosenny deszczyk.

- Zawsze uwielbiałeś odgrywać bohatera – rozlega się głos.

Otwieram oczy. Mrugam, żeby pozbyć się potu, świat mi się rozmazuje przed oczami. I już wiem, że śnię. Że straciłem przytomność albo może umarłem, bo twarz, którą widzę przed sobą, nie może być prawdziwa, nie może być prawdziwa

nie

może

- C-Cat...?

Uśmiecha się. Jej ciemne włosy nadal są podgolone z boków i ułożone w irokeza. Ma ten sam tatuaż feniksa na gardle. Tę samą ładną twarz, ostry podbródek i kształtne usta.

- Och, Tyler – szepcze Cat, głaszcząc mój policzek. – Mój piękny Tyler.

Zduszony szloch narasta mi w krwawiącym gardle. Ulga, jaką czuję na jej widok, lawina uczuć: radości, miłości, niedowierzania – to wszystko grozi, że mnie porwie i zasypie. Sposób, w jaki to zakończyliśmy... wszystko, co powinienem był powiedzieć i zrobić...

Wtedy jednak zdaję sobie sprawę, że Cat ma na sobie grafitowy mundur GAW, taki sam jak pozostali. Że trzyma lustrzaną maskę pod pachą. Zerkam w lewo i widzę, że nie ma agenta, który stał tam chwilę temu, i niejasno, jakbym przedzierał się przez mgłę, zdaję sobie sprawę, pośród narastającego gniewu, strachu i desperacji, że to ona właśnie... to ona założyła mi neurobrozę na szyję. A najgorszy – gorszy nawet od bólu, jaki mi zadali i cierpienia, jakie niesie jej ponowny widok po tym, jak myślałem, że ją straciłem – jest moment, kiedy skupiam się na jej oczach. Bo Cat, którą znałem, Cat, którą kochałem... miała brązowe oczy.

A ta ma niebieskie. I lekko fosforyzujące.

A jej tęczęwki mają kształt kwiatów.

- Nie - szepczę. - O, nie...

- Nie rozumiesz, Tyler.

Ona...

Patrzę na princepsa. I z powrotem na stwora, który nosi twarz Cat. Fala zgrozy i wściekłości zalewa mnie, przepływa przeze mnie, przenika mnie do szpiku kości.

- Jesteś jedną z nich - szepczę.

- Ja jestem nimi - mruzczy, dotykając mojej nagiej piersi na wysokości pękającego mi serca.

- Oni są mną. Ja jestem my, Tylerze. Jestem nami wszystkimi.

- Stwórcu - szepczę. - O, Stwórcu, co oni ci zrobili?

Cat kręci głową, uśmiecha się, patrzy na mnie jak na dziecko.

- Tu jest ciepło, Ty. Jest cudownie. Tu jest pełnia, tu jestem kompletna, tu jest mój dom. Nigdy nie czułam się równie mocno kochana i akceptowana. Nigdy nie czułam się równie prawdziwa. Nie mogę się doczekać, kiedy ty też to poczujesz.

Pochyla się, a zgroza, jaka mnie zalewa, kiedy przyciska usta do moich warg, jest po prostu... nie do opisania. Jej skóra jest zimna jak u trupa. Jej oddech pachnie ziemią i lepką słodyczą, jej usta muskają moje, gdy szepcze:

- My nie możemy się doczekać.

Jej oczy błyszczą złowrogo.

- Ale musisz nam powiedzieć, dokąd wybiera się Aurora.

Patrzę jej w oczy.

Czuję, jak łzy płyną mi po policzkach.

- Tyler Jones - mówię. - Alfa. Legion Aurory, drużyna 312.

Ból znowu uderza. Znowu. I znowu. Mam wrażenie, że to trwa wieczność. I chociaż pod koniec już nawet nie krzyczę, chociaż tracę poczucie tego, kim jestem, wiem, że nawet gdybym wiedział, gdzie jest Auri i pozostali, nigdy bym im teraz nie powiedział. Bo chociaż ból jest potworny, choć rani mnie do głębi, to wszystko jest niczym w porównaniu z cierpieniem, jakie niesie jedyna myśl, której się uczepiłem.

Moja Cat przepadła.

Naprawdę przepadła.

Odebrali mi ją.

## Aurora

Walczę, żeby utrzymać się w pionie, szarpie mną wiatr. Wichura wyje, targa za ubranie, próbuje pozbawić mnie równowagi, żebym zwała się bezradnie na ziemię.

Znajduję się jakieś sto metrów ponad bujną trawą Echa, ale nie widzę jej pode mną. Spowija mnie srebrzysta mgła, którą wiatr nieustannie rozrywa, a ona wciąż się odnawia. Celem tej próby – prostej według Eshvarena – jest utrzymać się w pionie, mam kontrolować swoją pozycję za pomocą samej siły mentalnej. Jednakże jest to wyczerpujące i przerażające, jakbym tonęła w miodzie.

Głos Eshvarena rozlega się w moim umyśle.

*Za bardzo polegasz na swojej sile fizycznej – beszta mnie łagodnie. – Musisz skupić się na sile mentalnej.*

Jasne, oczywiście. Siła mentalna.

Już samo myślenie o tym sprawia, że pojawia się szpara w mojej tarczy i wiatr przewraca mnie, porywając mój wrzask. Z trudem odzyskuję równowagę, wymachując rękami, adrenalina buzuje mi w żyłach, gdy walczę, żeby utrzymać się w pionie jeszcze kilka sekund.

Potem z lewej uderza następny podmuch, wali mnie w żebra i pozbawia tchu. Kiedy z trudem łapię oddech, tracę koncentrację i w okamgnieniu spadam z wrzaskiem. Wymachuję rękami, na próżno próbując się zatrzymać, zanim uderzę o ziemię. Zieleń w dole zaczyna przebijać się przez mgiełkę, potem staje się żywa i jaskrawa i pędzi prosto ku mojej twarzy. Uderzam w ziemię jak kometa, grunt wokół mnie pęka.

Nade mną szaleje moja prywatna nawałnica, ale wszędzie poza tym Echo jest złote i piękne jak zawsze. Słońce świeci łagodnie, wieńce czerwonych i żółtych kwiatów zwieszają się z pobliskich drzew. Powietrze pachnie tak dobrze, że można by je jeść. Kiedy podnoszę się z krateru, serce mi wali, twarz mam zalaną łzami. Odwracam głowę i widzę krystaliczną postać Eshvarena, tęcze rozszczerzone w jego kształcie. Obserwuje mnie jak zawsze beznamiętnie. Mam wrażenie, że światło sączy się z niego, przez co jarzą się wszystkie kolory.

*Jeszcze raz? – proponuje natychmiast.*

– D-daj mi minutkę... – proszę, składając się wpool z rękami opartymi na kolanach – ... żebym... z-złapała oddech.

*Nie ma powietrza w twoich płucach – mówi mi Eshvaren. – Nie ma potu na twojej skórze. Nie istniejesz fizycznie w tym miejscu. Tutaj jedynym ograniczeniem jest twoja wyobraźnia. Jedyne przeszkody to te, które sama umieszczasz przed sobą.*

Zamykam oczy, próbując zwalczyć frustrację, jaką wywołuje we mnie kolejna rundka tego pseudopsychologicznego bełkotu. Nawija mi tak już od wielu godzin. Wiem, że Eshvaren wie, co mówi, ale ja naprawdę się staram. A powtarzanie mi, że sama odpowiadam za każdą swoją porażkę, bynajmniej mi nie pomaga.

– To nie działa – mówię, prostując się powoli. – To w ogóle nie działa. Jestem coraz gorsza, a nie coraz lepsza.

*Rzeczywiście można odnieść wrażenie, że twoje postępy są coraz mniejsze – przyznaje Eshvaren.*

– Po co w ogóle to robimy? Jaki to ma sens? – Macham ręką w stronę skłębionego nieba. – Będę musiała stawić czoło burzy w drodze do Broni?

Eshvaren kręci głową.

*Twój trening wymaga cierpliwości. Musisz pokonać dwa etapy, żeby zapanować nad swoją mocą. Drugi jest o wiele trudniejszy. Zaczniemy od pierwszego: musisz nauczyć się przywoływać swoje umiejętności, kiedy tego zechcesz. Najwyraźniej nawet ta prosta lekcja sprawia ci trudność.*

– Do tej pory przywoływanie mocy miało dla mnie mieszane skutki – zwracam mu uwagę. – Jasne, dzięki niej nie jeden raz wykaraskaliśmy się ze sporych kłopotów, ale posługiwanie się nią jest jak wypuszczenie tygrysa, żeby walczył dla ciebie. Nie do końca wiadomo, kogo przy okazji pożre.

*Czy to ważne, kogo pożre, jeśli ostatecznie bitwa zostanie wygrana?*

Mrugam zdumiona.

– A co to ma niby znaczyć?

Eshvaren tylko kręci głową, a powietrze wokół niego rozbrzmiewa jak cichy śmiech. Ciepły blask, który go otacza, sprawia, że wiem, że uśmiecha się do mnie.

*Zaczynij od początku – mówi po prostu. – Zaczynij raz jeszcze pierwszą lekcję.*

## Kal

Złote niebo staje się fioletowe, drobne gwiazdki rozkwitają na nim jak kwiaty, kiedy Aurora wreszcie wraca chwiejnym krokiem do naszego obozu. Wygląda na wyczerpaną, włosy ma skołtunione, pod oczami malują jej się worki, ale nadal jest piękna. Z westchnieniem podchodzi, żebym mógł ją objąć. Całuję ją w czoło. Tulę mocno.

– Jak pierwszy dzień treningu, be'shmai? – pytam.

– Orka na ugorze – odpowiada.

Sadowimy się w naszym obozie. Prawdę mówiąc, to miejsce nie zasługuje na takie określenie – to po prostu miejsce, które wybraliśmy do spania. Znajduje się w łagodnej niecce pod wysokim, srebrzystym drzewem o fioletowych liściach, które pochyla się ku trawie. Nie mamy



łózek. Nie mamy prawdziwego schronienia. Pogoda jest idealna i nie potrzebujemy wokół siebie ścian. Mimo to spanie na otwartym terenie wciąż trochę mnie niepokoi.

- A jak tobie minął dzień? - mruczy Aurora w moich ramionach.

- Bezproduktywnie - odpowiadam. - Próbowałem iść do kryształowego miasta. Myślałem, że przyjrzę mu się lepiej, przekonam się, czy nie ma tam dla nas lepszego miejsca do odpoczynku. Jednak, bez względu na to, jak długo szedłem, wiecznie znajdowało się na horyzoncie.

- Dziwne. Moglibyśmy zapytać o to Eshvarena?

Kręcę głową, zaciskając usta.

- Nie zwracaj mu głowy, Be'shmai. Myślę, że może im mniej mam z nim do czynienia, tym lepiej.

Zerka na mnie.

- Coś ci powiedział?

- Nie, ale kiedy się zjawiliśmy... nie był zadowolony z mojej obecności. Myślę, że nie życzy sobie mnie tutaj.

- Mówi się trudno, legionisto Gilwraeth - odpowiada, wtulając się bardziej. - Bo ja wręcz przeciwnie.

Uśmiecham się, obejmując ją mocniej. Przez pewien czas po prostu siedzimy, rozkoszując się swoim ciepłem i tym, jak nasze ciała pasują do siebie. Kiedy jest tak blisko, wbrew sobie powracam myślami do naszej nocy na *Zerze*, zanim tu przybyliśmy. Tęsknię za tym, żeby znowu zapłonąć w tym ogniu. Na razie jednak wystarcza mi, że z nią jestem.

- Jesteś głodna? - pytam.

- Nie.

- Ja też nie... - zdaję sobie sprawę.

- Eshvaren powiedział mi, że to miejsce nie istnieje tak naprawdę fizycznie, nie jest materialne.

- Czyli to ma pewien sens, że nie odczuwamy fizycznych potrzeb?

Śmieje się w moich ramionach i wtula się mocniej.

- Mów za siebie, legionisto.

Mam wrażenie, że Aurora właśnie... jak to nazywają Terranie?... coś sugeruje? Wtedy jednak ona prostuje się i woła w narastający mrok.

- Halo?! Słyszysz mnie?!

Powietrze faluje i bez najmniejszego dźwięku nagle pojawia się przed nami obraz Eshvarena. Światło załamuje się w nim i migocze na krystalicznej skórce. Patrzy na mnie i znowu czuję, że nie jestem tu mile widziany. Mimo to podziwiam piękno tej istoty.

*Tak?* - pyta melodyjnym głosem.

- Hej, słuchaj, wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale czy moglibyśmy dostać trochę jedzenia? Wiem, że teoretycznie nie potrzebujemy jeść, ale...

*Możesz mieć wszelkie potrzebne napoje i pokarmy* - odpowiada Eshvaren.

- Super - mówi moja be'shmai. - A... może też jakieś meble albo coś takiego? Miło byłoby spać na kocu i poduszkach?

*Możesz mieć wszelkie potrzebne ci wygody.*

- Genialnie. - Aurora się uśmiecha.

Eshvaren nadal unosi się w milczeniu przed nami. Upływają długie chwile i nie pojawia się żadne jedzenie ani koce. Aurora patrzy na zjawę, marszczy czoło.

- No więc? - pyta.

*Wszystko, czego potrzebujesz, możesz mieć. Wystarczy, żebyś zapragnęła, aby to zaistniało.*

- Tak? - Twarz Aurory staje się ponura.

*Tak.*

- Nie potrafię utrzymać się w pionie podczas najprostszego ćwiczenia, a ty chcesz, żebym zaczęła wyczarowywać rzeczy znikąd?

*Jestem tylko zbiorem wspomnień. Niczego nie chcę.*

I bez słowa więcej Eshvaren znika.

Aurora zerka na mnie, nie kryjąc niepewności. Widzę, jaka jest wyczerpana. Ile już kosztował ją ten krótki pobyt tutaj. Dostrzegam jednak także determinację płonąca w głębinach jej dwubarwnych oczu. Aurora bierze głęboki wdech, prostuje się w moich objęciach. Opiera się o mnie, jakbym był skałą podczas sztormu.

Mruży w skupieniu oczy i wyciąga rękę.

Czuję ledwie zauważalne mrowienie na skórze. Wyczuwam, że coś porusza się pod powierzchnią jej istoty. Powietrze dookoła nas jest jak naładowane i przez jedną chwilę mam wrażenie, że przed nami faluje. Migocze. Skręca się.

Jednakże tylko przez chwilę.

Ładunek znika. Stał w mięśniach Aurory słabnie, ona sama się garbi. Krew dudni jej pod skórą, słyszę napięcie w jej głosie, gdy dyszy.

- N-nie mogę...

Zapada się w moich objęciach zadyszana, sfrustrowana i zła. Wiem, co to znaczy trenować więcej, niż pozwala na to wytrzymałość, cierpieć, gdy twój mistrz jest nieustępliwy. Nie wiem, jak jej to ułatwić. Mogę jednak spróbować chociaż trochę jej pomóc.

- Odwagi, be'shmai - mówię. - Będzie dobrze.

Całuję ją w czoło.

- Mamy czas.

Obejmuję ją mocno.

- Mamy siebie.

## **Aurora**

Zaczynam nienawidzić tej skały.

Nie, skreśl to. Już nienawidzę tej skały. Nienawidzę jej każdym skrawkiem mojego istnienia. Nienawidzę jej bardziej niż pana Parkera z piątej klasy, który kazał mi zostać za karę po lekcjach razem z Kassandrą Lim, chociaż to ona odcięła mi pasmo włosów.

Nienawidzę jej bardziej niż Kassandry Lim.

Skała i ja trwamy w impasie już od siedmiu dni i pod każdym względem ten kawałek nieożywionej materii wygrywa. Siedzi pośrodku pięknej niebiesko-zielonej łąki obsypanej drobnymi różowymi kwiatuškami, dzięki którym całe to miejsce nurza się w różanej mgiełce. Niebo ma ten sam różany odcień. Na wschodnim krańcu łąki płynie idealny strumyk ocieniony przez drzewa o fioletowych liściach.

Zadanie powinno być łatwe dla kogoś o takich mocach jak moje. Wystarczy, żebym uniosła skałę i przesunęła ją na drugi koniec łąki.

Oczywiście nie potrafię.

Moja moc nadal nie pojawia się na rozkaz. Nigdy do tej pory nie wykorzystywałam jej do manipulowania przedmiotami. Tylko nimi ciskałam i je rozwalalam.

*Jesteś gotowa do następnej próby?* – pyta Esh.

– Jasne – mruczę przez zaciśnięte zęby. – Na pewno do siedmiu milionów razy sztuka.

*Samodyscyplina przychodzi powoli* – odpowiada Esh. – *Za każdym razem odrobinę zyskujesz.*

Wytykam skałę palcem.

– Ta zadowolona z siebie motyla noga siedzi dokładnie w tym samym miejscu, co tydzień temu. Nie robię żadnych postępów. Ani małych, ani dużych.

*Nie kopnęłaś jej od pięciu dni* – zauważa Esh.

– To nas donikąd nie prowadzi – warczę. – W tym tempie będą staruszką, cała Galaktyka zamieni się w gigantyczną kolonię Ra'haam, a ja nadal nie poruszę tego głazu.

*Czasu nam nie brakuje* – odpowiada Esh. – *Chociaż tu minęły tygodnie, w ocenie twojej załogi nie minęła więcej niż godzina. Jesteś gotowa znowu zacząć?*

Nabieram powietrza do kolejnej riposty, ale się powstrzymuję. Moja załoga. To dla nich to robię. Ratowanie całej Galaktyki i wszystkich jej mieszkańców brzmi idiotycznie. To nie jest coś, co człowiek rzeczywiście może ogarnąć, jednak ratowanie garstki ludzi...

Myślę o Cat, kiedy odplynęła w Ra'haam. Myślę o Tylerze zabranym przez TSO. Myślę o Scarlett, która patrzyła, jak porzucamy jej brata. O Zili i Finie, którzy narażali wszystko, żeby mnie chronić. Oni wszyscy mają coś lub kogoś do stracenia.

I myślę o Kalu. O stałym, cierpliwym, wiernym Kalu.

Kiedy zrozumiałam, co oznacza Przyciąganie, w pierwszej chwili spanikowałam. Kto by nie spanikował? Tyle że on nie spodziewał się, że ja czuję to samo co on. Nigdy niczego ode mnie nie oczekiwał. Zawsze tylko dawał.

A to jest zdecydowanie coś, o co warto walczyć.

– W porządku, Esh – mówię, prostując ramiona. – Ruszmy tę skałę.

*Twój optymizm jest godny pochwały* – odpowiada i znika, żeby nie stać mi na drodze.

Podchodzę do skały i oczyszczam umysł. Odsuwam na bok myśli i emocje, tak jak mi kazał, zostawiam tylko poczucie celu, jakie czuję, gdy myślę o chronieniu tych, których kocham. Biorę wdech. I wydech.

A potem unoszę ręce i skupiam się na skale, wyobrażając sobie, jak przesuwa się na drugi koniec łąki. Pot perli mi się na skórze. Marszczę czoło. Uwalniam swoje przekonanie, pewność, że skała się przesunie, swoją wolę.

Poruszy się.

Poruszy się!

I absolutnie nic się nie dzieje.

– Motyla noga, ja piórkuję!

Ryczę sfrustrowana i kopię w głaz. A potem krzyczę i padam na ziemię ze łzami frustracji i bólu w oczach, ściskając stopę.

Eshvaren unosi się nade mną, jego krystaliczna twarz migocze wszystkimi kolorami tęczy.

*Dlaczego zawodzisz?* – pyta.

– Skąd mam wiedzieć?! – krzyczę. Oczy mnie pieką.

*Pytam. Dlaczego. Zawodzisz?* – powtarza pytanie.

– To ty niby masz mnie uczyć!

*Co ma ci twój umysł?* – pyta Esh. – *Co ci stoi na drodze?*

– Nie w...

*Nie jesteś tylko naczyniem na moc, Auroro Jie-Lin O'Malley. Jesteś mocą. Mocą, która musi strząść planetę. To jest miejsce umysłu. Więzy, które łączą cię z tym... – dotyka mojej piersi migotliwym palcem – ...tylko cię ograniczają. Musisz porzucić to, czym byłaś, żeby stać się tym, czym jesteś.*

Zerka na mnie, a jego oczy błyszczą jasno wszystkimi kolorami tęczy.

*Wypal. To. Wszystko.*

Zwieszam głowę, zdradzieckie łzy wzbierają mi w oczach.

– A jeśli nie jestem w stanie?

Esh wzrusza ramionami.

*Wtedy niczego nie osiągniesz.*

## Kal

Aurora jest niezadowolona.

Spędziliśmy tu wiele tygodni, a wydaje się, że nie czyni żadnych postępów. Kiedy wraca do naszego obozu po kolejnym bezowocnym dniu pracy, wyczuwam frustrację, która przenika jej myśli. Aurora osuwa się w moje ramiona, roztopia się przy moich ustach i na chwilę wszystko jest dobrze. Wiem, że cieszy się, że wróciła. Że jest ze mną. Że jesteśmy razem. Mimo to czuję, jaka jest zniechęcona.

– Jak mogę pomóc, be'shmai? – pytam ją.

– Nie wiem – mruczy. – Nie wiem, co powinnam robić.

Obejmuję ją mocno, Aurora przyciska policzek do mojej piersi, a ja gładzę jej włosy.

– Co mówi Eshvaren?

– Porzuc ograniczenie ciała. – Parodiuje niski głos naszego gospodarza i macha palcami przed moją twarzą. – Musisz porzucić to, czym byłaś, żeby stać się tym, czym jesteś. Wypal to wszystko.

Śmieję się, a jej uśmiech w odpowiedzi sprawia, że moje serce śpiewa.

Na duchy Pustki, ona jest taka piękna...

- Może to normalne, że postępy są tak powolne? - pytam. - Może to po prostu część drogi, jaką pokonują wszystkie Zapalniki?

- Nie wiem nawet, czy jakiegokolwiek inne Zapalniki przybyły tu przede mną. - Wzdycha. - Nic nie wiem, poza tym, że nic nie wiem.

- Znam cię - mówię z naciskiem. - Jesteś jedną z najodważniejszych, najsilniejszych osób, jakie kiedykolwiek poznałem.

Odwracam ją, żeby spojrzała na niebiesko-zieloną polanę dookoła nas, kładę ręce na jej biodrach.

- Zrób to, co ci każe.

- Co masz na myśli?

- Oczyść umysł - ponagliam ją. - Myśl tylko o tym, czym musisz być, a nie czym jesteś. I stwórz coś dla nas.

- Co na przykład?

- Coś prostego? Może ogień?

Aurora bierze głęboki wdech. Nadal jest niepewna. W końcu jednak kiwa głową.

- W porządku.

Zamyka oczy. Sięga w pustą przestrzeń, ku gładkiej, nieskazitelnej trawie kilka metrów od nas. Czuję jej wewnętrzny wysiłek, napięcie mięśni.

- Nie mogę... - stęka, zaciskając zęby.

- Możesz - szepczę.

Krzywi się, ręce jej się trzęsą.

- Wypal to - szepcze do siebie. - Wypal to wszystko.

Trzymam ją mocno. Nakłaniam całą wolą. I nagle, jakby naszła ją zupełnie nowa myśl, zdejmuję moje ręce z talii i wychodzi z kręgu moich objęć. Zdumienie rozkwita w mojej piersi, kiedy widzę, że ziemia pod nią migocze, powietrze faluje, jakby to była woda, do której wrzucano garść kamyczków.

- Odrzuć to - szepcze.

Jak za sprawą czarów płomień bucha z ziemi przed nią. I jest to schludne ognisko z płonącymi polanami, a nie niekontrolowany płomień. Czuję zapach dymu, ciepło, słyszę trzask drewna w ogniu.

Aurora odwraca się do mnie z błyszczącymi oczami.

- Kał, udało mi się!

Piszczy i rzuca mi się w objęcia. Z uniesieniem na twarzy wspina się na palce i miażdży moje usta wargami. Prawie dają się porwać jej radości ze zwycięstwa, ale maleńka cząstka mnie, która czuje się tu niemile widziana, kiedy patrzy na mnie Eshvaren... tę część zablokował, gdy Aurora odepchnęła moje ręce i wyszła z moich objęć. I zdaję sobie sprawę, że owszem udało jej się, ale udało jej się to...

Samej?

Wypal to, powiedziała.

Wypal to wszystko.

## Aurora

Minął miesiąc, a ja nadal czuję dreszcz satysfakcji za każdym razem, gdy przesuwam skałę przez łąkę. Teraz jest lekka jak piórko, wiruje w powietrzu kierowana tylko siłą mojej woli.

- I jak ci się to podoba? – mruczę.

*Skala nie może ci odpowiedzieć* – zauważa nie po raz pierwszy Esh. – *Nie tylko nie jest w stanie myśleć i mówić, ale nie jest nawet prawdziwym kamieniem.*

- Wobec tego nie ma nic przeciwko, bym wygrała jej kosztem – odpowiadam.

Czuję ją. Je wszystkie. Tuzin głązów, które zawiesiłam w powietrzu, które wirują i kręcą się jak motyle na zefirku.

Czuję moc nie tylko w sobie, nie tylko w części mnie, ale całej mnie. Przystaję czuć własne ciało, słońce na skórze, porzucam wrażenie, że jestem czymś poza mocą we mnie, kiedy kolejny głąz unosi się z rzeki i dołącza do pozostałych.

Patrzę na Esha i krzywię usta.

- Nieźle, co?

- Jie-Lin – rozlega się głos za mną.

Serce mi zamiera. Żołądek mi się zaciska. Ponieważ znam brzmienie tego głosu równie dobrze jak własnego i wiem, że to niemożliwe, to niemożliwe, to...

Oglądam się i rzeczywiście, on tam stoi.

Wygląda tak jak kiedyś. Przed... Przed Octavią. Promienny uśmiech i błyszczące oczy, zmarszczki na czole, z powodu których mama tak często się z nim droczyła. Stoi na łące otoczony przez rozkołysane kwiaty i uśmiecha się do mnie.

- Tato? – szepczę.

Ziemia pode mną dygoce, kiedy jeden z głązów spada z hukiem. Wrzeszczę, gdy spada następny, a potem kolejny. Rzucam się w bok, gdy tony skały, jakie podniosłam chwilę temu, wymykają mi się jak piasek przesypany się przez palce. Ziemia trzęsie się, z kwiatów zostaje miazga.

*Dlaczego zawodzisz?*

Wyciągnięta na ziemi podnoszę wzrok i widzę nad sobą Eshvarena, sylwetkę na tle różanego nieba, który patrzy na mnie tęczowymi oczami.

*Co tłumisz swój płomień?* – pyta.

Patrzę w miejsce, gdzie stał mój ojciec. Popękana ziemia, strzaskane głązy. Nigdzie nie ma śladu po nim. Nie pozostało nic poza łzami w moich oczach, które przywołał jego widok. Zdaję sobie sprawę, to było tylko widomo. Duch. Echo.

- Jak to zrobiłeś? – pytam, patrząc na Esha, i gniew wzbiera we mnie jak powódź. – Jeśli jesteś tylko zbiorem wspomnień sprzed miliona lat, to skąd wiedziałeś, jak wyglądał?

*Powiedzieliśmy ci już wcześniej, Auroro Jie-Lin O'Malley* – odpowiada Esh. – *Jedyne przeskody w tym miejscu to te, które sama przed sobą stawiasz. Musisz je porzucić.*

Pochyla się mocniej, a jego głos jest jak pieśń w moim umyśle.

*Wypal. To. Wszystko.*

Otwieram oczy i zastanawiam się, gdzie jestem.

Wyczuwam lekko metaliczny posmak, jaki zostawiają w powietrzu terrańskie skrubery tlenowe, i przez chwilę zastanawiam się, czy jestem znowu w swojej sypialni w Akademii Aurory. Myśl o akademii sprawia, że myślę o drużynie, a to oczywiście sprawia, że myślę o Cat i nagle wszystko zwala się na mnie jak lawina. Cela. Lustrzane maski skrywające twarze. Świdrujące mnie spojrzenie nowych niebieskich oczu Cat. Zimne, suche wargi przyciśnięte do moich ust.

„Tu jest ciepło, Ty. Nie mogę się doczekać, kiedy ty też to poczujesz”.

Podrywam się, łapiąc gwałtownie powietrze, i w nagrodę czuję ból – w głowie, w piersi, w gardle. Krzykiem pozrywałem sobie struny gardłowe – mam wrażenie, jakbym przełknął potłuczone szkło. Krzywię się, dotykając gardła, rozglądam się po celi i widzę dwoje zimnych oczu, które się we mnie wpatrują. Czarne włosy. Czarne usta. Czarne serce.

Saedii.

*Długo cię nie było, mały Terraninie.*

Jej głos rozbrzmiewa w moim umyśle, promieniując syldrańską arogancją, melodią mglistej pogardy. Nadal uważam, że to więcej niż tylko trochę przerażające, że ta psychopatka może odzywać się w mojej głowie, ale zważywszy na stan mojej krtani, pewnie tak będzie lepiej. Nie sądzę, by uszkodzenia były trwale, ale wątpię, żebym wybrał się na karaoke w najbliższym czasie...

*Co oni ci zrobili? – pyta Saedii, obrzucając mnie spojrzeniem.*

*A co cię to obchodzi?*

*Obchodzi mnie, mały Terraninie, bo pewnie zrobią mi później to samo.*

*Boisz się?*

*Poznaj swojego wroga, chłopcze.*

*Unoszę powoli brwi.*

*Serio? Zamierzasz cytować mi teraz terrańską strategię wojskową?*

*Prycha cicho.*

*Oczywiście, że nie. Nie bądź głupcem.*

*To słowa Sun Zi. To był terrański generał. „Poznaj siebie i swojego wroga, a przetrwasz pomyślnie sto bitew”.*

*To słowa Sarai Rael. To była syldrańska templariuszka. „Poznaj serce wroga, jeśli pragniesz je pożreć”.*

*Myślę, że Sun Zi wyraził się nieco bardziej poetycko.*

*Jestem Zbrojną, Tylerze Jonesie. Na co mi potrzebna poezja?*

Saedii wyciąga przed sobą długie nogi i piorunuje mnie wzrokiem. Jestem boleśnie świadomy tego, że nadal od pasa w dół ma na sobie tylko bieliznę, ale jak przystało na dżentelmena, którym jestem, patrzę jej cały czas prosto w twarz. Saedii dotyka przelotnie sznura odciętych kciuków na szyi, a ja znowu zdaję sobie sprawę, że próbuje mnie sprowokować. Wie, że jest piękna. Wie, że uroda wyprowadza ludzi z równowagi, jeśli na to pozwolą, i chce się przekonać, jak podziela na mnie. Wszystko w tej dziewczynie jest wyważone. Wykalkulowane. Zgodne ze strategią.

Poza tym zdaję sobie sprawę, że nadal nie mam koszuli.

A jej nogi ciągną się w nieskończoność...

*Chcieli dowiedzieć się czegoś na temat mojej drużyny – odpowiadam jej. – Szukali informacji, której nie mam. Torturowanie jeńca jest niezgodne z Konwencją Madrycką. Dlatego nie masz się czym martwić.*

Unosi brew.

*Czy sprawiam wrażenie kogoś, kto się szczególnie martwi, Tylerze Jonesie?*

*Gdybyś miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, co naprawdę się tu dzieje, tobys się martwiła.*

*Doskonale wiem, co tu się dzieje: twoi ludzie wybrali samobójstwo. Ciekawi mnie, kogo będziesz najbardziej opłakiwać, kiedy twój świat zostanie zawleczony w czarną dziurę, którą archont Caersan zrobi z twojego słońca?*

Gniew bucha w mojej głowie.

*Wiesz, gadasz tyle o poznaniu wroga – mówię jej – a nie uderza cię, że cała ta sytuacja jest podejrzana? Terrański rząd poświęcił ostatnie dwa lata na trzymanie się tak daleko od spraw Syl-dran, jak to tylko możliwe. A teraz po prostu atakujemy okręt wojenny Nieugiętych dla zabawy?*

*Nieugięci nigdy nie podpisali Porozumienia Jericho, chłopcze. Wojna między nami nigdy się nie zakończyła. To była tylko kwestia czasu, zanim syldrańskie ręce znowu zalśniły od terrańskiej krwi. To sprawa honoru.*

*Nie potrafisz się zorientować, kiedy ktoś tobą pogrywa?*

Patrzy na mnie i prycha.

*Boisz się nadchodzącej burzy.*

*Oczywiście, że się boję! Miliardy ludzi mogą umrzeć!*

*Nie jesteś wart krwi w twoich żyłach.*

Kręcę głową i się odwracam. Wiem, że powinienem spróbować przeciągnąć ją na swoją stronę. Wiem, że wróg mojego wroga to przyjaciel. Czuję jednak, że nawet rozmowa z tą dziewczyną nie ma sensu. Wiem, co to znaczy być żołnierzem, walczyć za coś, w co naprawdę wierzysz. Jednak siostra Kala to sama wściekłość i pogarda.

Mimo to naciska, patrząc na mnie okolonymi czernią oczami.

*Jericho Jones miał odwagę, żeby walczyć, kiedy świat go potrzebował. Kiedy nadeszło wezwanie z Oriona, miał przynajmniej dość honoru, żeby odpowiedzieć.*

Piorunuję ją wzrokiem, zaciskając zęby na wspomnienie ojca.



*Mysłisz, że jest jakiś honor w kolejnej masakrze? Oboje straciliśmy ojców w tej walce, Saedii, czy to nie wystarczy?*

Saedii mruży oczy.

*Kal ci to...*

Drzwi odsuwają się z cichym szepcetem.

Podnoszę wzrok i widzę pół tuzina terrańskich żołnierzy piechoty w pełnych zbrojach taktycznych, z dezelatorami w rękach. Serce mi zamiera, gardło mi się zaciska, gdy przypominam sobie neurobrożę na szyi. Kolejna runda tortur napelnia mi brzuch śliskim lodem.

– O, Stwórco – chrypię.

Żołnierze wchodzą do celi, podzwaniając butami o podłogę. Zamiast jednak złapać mnie, podchodzą do biokoi Saedii i otaczają ją małym kręgiem.

– Ręce, elfia suko – rozkazuje porucznik, wyciągając magnetokajdanki.

– Czego od niej chcecie? – pytam mimo bolącego gardła.

– Ręce – powtarza porucznik, a jego towarzysze unoszą karabiny. – W tej chwili.

– Ona nic nie wie – protestuję. – Nie...

– Stul dziób, zdrajco – warczy na mnie jeden z żołnierzy.

Głos Saedii dzwoni w mojej głowie, jej uśmiezek staje się nieco szerszy.

*Oto odwaga, mały Terraninie. Patrz i się ucz.*

Wstaje powoli, płynnym ruchem, wyciąga ręce, podsuwając smukłe nadgarstki. Żołnierzy jest sześciu, a ona jedna i ranna. Kiedy jednak porucznik podchodzi, żeby zapiąć jej kajdanki, Saedii unosi ręce i wbija mu knykcie w gardło.

Mężczyzna stęka, leci trzy metry do tyłu na ścianę. Mimo obrażeń Saedii kopie drugiego w nogi i go podcina, z osłepiającą szybkością zbija na bok karabin trzeciego. Jednak pozostali już są gotowi i strzelają z dezelatorów prosto w jej pierś. Strzały dzwonią ogłuszająco w celi, Saedii pada na plecy. Prawie zdążam się poderwać z koj, zanim zdaję sobie sprawę, co robie, i widzę, że stoję twarzą w twarz z karabinem drugiego żołnierza. Zerka na mnie wzdłuż lufy, laserowy celownik świeci w moją posiniaczoną i nagą pierś.

– Daj mi pretekst, zdrajco – mówi szeregowy. – Błagam.

– Nie tak to załatwiamy – odpowiadam mimo potwornego bólu w gardle.

– My? – Prycha, patrząc na tatuaż na mojej ręce. – A kim niby jesteśmy „my”, legionisto?

– Jestem Terraninem tak jak ty i nie...

– Te pieprzone długouchy zabiły kilka tysięcy Terran podczas ataku *Andarael* – warczy porucznik, podnosząc się z pokładu. – A ona podejmowała decyzje. Właśnie tak to załatwiamy. Więc zamknij pysk, zanim ciebie też załatwimy.

– Dajecie sobą pogrywać! – syczę. – GAW posługuje się TSO, żeby zacząć...

Szeregowy podchodzi i kolbą dezelatora wali mnie w twarz. Lecę do tyłu i padam na koję.

– Jeszcze jedno słowo, zdrajco, a będziesz zbierać zęby połamanymi palcami – warczy.

Unoszę ręce, przywierając plecami do łóżka. Patrę, jak jeden z żołnierzy przerzuca sobie półprzytomną Saedii przez ramię. Porucznik rzuca mi jeszcze jedno jadowite spojrzenie, wykrzykuje rozkaz i cała grupa wymaszerowuje z celi.

Oblizuję pękniętą wargę, czuję smak krwi, w czasie mi ciągle dzwoni od ciosu.

Nie mam pojęcia, czego od niej chcą, ale to nie może być nic dobrego. A potem powracam myślami do Ra'haam, noszących ciała kolonistów jak drugą skórę. Myślę o Cat i jej nowych niebieskich oczach. O wszystkim, co powinienem był zrobić i jej powiedzieć.

Kręcę głową i wzdycham.

Na oddech Stwórcy, nic z tego nie wygląda dobrze.

## Kal

Aurora tak daleko zaszła w ciągu ostatnich miesięcy.

Obserwuję ją z naszego obozu i zapiera mi dech na widok mocy, jaką włada. Polana, na której śpimy, uległa całkowitej przemianie. Prosty ogień, który przywołała dawno temu, został zastąpiony przez ozdobny kamienny kominek. Na trawie, na której spaliliśmy, stoi najwspanialsze łoże, w jakim kiedykolwiek spałem – ma cztery kolumny, jest z rzeźbionego drewna i leży na nim jedwabna pościel. Moja be'shmai stworzyła dla mnie siif, żebym mógł grać podczas dnia, kiedy ona trenuje.

Siedzę teraz pod naszymi drzewami, uderzam w struny instrumentu i obserwuję ją. Aurora unosi się wysoko nade mną, jest tylko sylwetką na tle oślepiającego nieba. Głazy większe niż *Zero* orbitują wokół niej w idealnej harmonii, poruszając się we wszystkich kierunkach. Ona unosi się pośrodku, jakby siedziała w powietrzu, a jej prawe oko płonie. Patrząc, jak jeden z gładów rozpada się na tysiąc kawałków i odłamki tworzą wokół niej idealną sferę.

Eshvaren unosi się w pobliżu i obserwuje. Nie patrzy na mnie. Nie odzywa się. A ja jak zawsze wyczuwam coś w rodzaju... nie tyle wrogości, ile niechęci, z jaką reaguje na moją obecność. Kiedy jednak wygrywam akordy na siifie, który stworzyła dla mnie be'shmai, widzę, że odcienie w jego kryształowej postaci zmieniają się wraz z moją muzyką.

– Mogę cię o coś zapytać?! – wołam.

Nie patrzy na mnie. Wyczuwam jednak, że ułamek jego uwagi kieruje się ku mnie.

*Pytaj – mówi.*

– Pewna myśl krąży mi po głowie, odkąd tu przybyliśmy. – Wygrywam akord i patrzę, jak odcienie Eshvarena zmieniają się i tańczą. – Dlaczego wyglądasz tak jak my?

Wtedy odwraca ku mnie głowę. Przygląda mi się oczami jak kalejdoskopy.

Nie obawiam się tej istoty. Wojownik boi się tylko tego, że nie zasmakuje zwycięstwa. Wyczuwam w niej moc. Mój lud to jedna z nielicznych ras w Galaktyce, które nadal wierzą w Eshvarenów. Pradawni byli dla mnie mitycznymi postaciami, gdy byłem dzieckiem. A kiedy siedzę tu w obecności ich zebranych wspomnień, wzrok tej istoty odbieram jako... niepokojący.

– Oczywiście nie wyglądacie dokładnie tak jak my, ale jesteście dwunożni, człekokształtni. Ukazujecie się w taki sposób, żeby było nam łatwiej na was patrzeć?

Mija długa chwila, zanim Eshvaren odpowiada.

*Nie wyglądamy tak jak wy, dziecię* – odpowiada w końcu. – *To wy wyglądacie jak my.*

– Nie rozumiem.

*I nie musisz.*

– Może i nie, ale chciałbym.

*Twoje życzenia nie mają znaczenia, dziecię. Ty nie masz znaczenia.*

Staram się zignorować to, że zranił moją dumę. Mówię spokojnie:

– Dlaczego wyglądamy tak jak wy?

Eshvaren nie odpowiada, kierując płonące oko na Aurorę na różanym niebie.

– Terranie, Betraskanie, Chellerianie, setki innych ras – naciskam. – Wszyscy mamy podobne kształty. Wszyscy jesteśmy dwunożni. Nasza chemia opiera się na węglu. Oddychamy tlenem. Prawdopodobieństwo czegoś takiego jest niemal zerowe. Wielu uważa nasze podobieństwo za ostateczny dowód istnienia siły wyższej. Za niepodważalny dowód... boskiej woli. To podstawa Zjednoczonej Wiary. Wiary w istnienie boga. Stwórcy.

Eshvaren znowu nie odpowiada. Ja jednak naciskam.

– Nasz wróg wie więcej niż my. Ra'haam był tu podczas ostatniej bitwy. Nie możemy stawić mu czoła, tkwiąc w niewiedzy. Jeśli pewne informacje mogą nam pomóc w nadchodzącej walce, to ukrywanie ich przed nami może okazać się niebezpieczne.

Eshvaren w końcu zerka na mnie. Dreszcz przechodzi mi po kręgosłupie, moje palce ześlizgują się ze strun, w odpowiedzi na co tęcze rozsypują się w kryształowej postaci.

*Lepiej nie pouczaj mnie na temat ceny ukrywania sekretów.*

Mrugam zaskoczony.

– Co masz na myśli?

*Od eonów przygotowywaliśmy się, żeby wygrać tę wojnę. Kiedy pierwszy raz pokonaliśmy Wielkiego Wroga po tysiącu lat krwi i ognia, wiedzieliśmy, co trzeba zrobić, żeby mieć pewność, że Wróg więcej nie powstanie. I wiemy także teraz. Lepiej niż ty. Nie wyobrażaj sobie, że możesz nas pouczać na temat niebezpieczeństw związanych z kłamstwem, którym sam tak ewidentnie cuchniesz.*

Kieruje spojrzenie płonących oczu na Aurorę.

*Nie waż się.*

Siif staje się ciężki w moich rękach, słowa Eshvarena ciążą mi na piersi.

Odkładam instrument na bok i siedzę w milczeniu.

I boję się.

## Aurora

Esh zabrał mnie dzisiaj w nowe miejsce. Lecieliśmy godzinę, szybując nad teraz już znajomymi miejscami. Nad łąką z jej różowym dywanem kwiatów. Nad szeroką rzeką, do której

musiałam wpaść setki razy, zanim nauczyłam się rozdzielać jej wody. Nad splątana dżunglą, gdzie w końcu każdy liść nieruchomiał, gdy machnęłam ręką.

Znaleźliśmy się na szczycie urwiska z rozległym widokiem na Echo i kryształowe miasto na dalekim horyzoncie. Nigdy nie sądziłam, że to miejsce ma kraniec, ale za nami wznosi się swoista mgła, która wiruje i się kłębi.

Pewnie to koniec świata.

Siadam ze skrzyżowanymi nogami na skraju urwiska, rozglądam się po moim terenie treningowym i czekam. Obok mnie unosi się Esh, który w końcu się odzywa.

*Zawodzisz nas, Auroro Jie-Lin O'Malley – mówi.*

Mrugam zaskoczona, patrząc mu w twarz i próbując ukryć to, że mnie zranił.

*Rozwinęłaś się – mówi. – Ale nie dość.*

– Co masz na myśli? – dopytuję się. – Jestem silniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Potrafię rozdzielać rzeki, roztrzaskiwać głazy...

*Twoje panowanie nad mocą musi być dość silne, żebyś roztrzaskiwała nie głazy, ale całe światy. Wiesz, co musisz zrobić.*

– Nie...

*Wiesz. Dobrze wiesz. Nadal jesteś więźniem dawnej siebie. Zamknęłaś się w wyobrażeniu na temat tego, kim byłaś. Te uczucia, te więzy ciągną cię wstecz, podczas gdy ty powinnaś się skupić na tym, co czeka przed tobą. Żeby naprawdę to ogarnąć, musisz splonąć, Auroro Jie-Lin O'Malley. Albo musisz opuścić to miejsce i pogodzić się z tym, czym nigdy nie będziesz.*

Chociaż minęły miesiące, nadal pamiętam swoje niepowodzenie na polu kwiatów. Obraz ojca. Jakaś cząstka mnie wie, że Esh mówi prawdę – jedno słowo ducha wystarczyło, żebym straciła nad sobą panowanie. Żebym rozpadła się we łzach. Nawet teraz czuję, jak pieką mnie w oczach, jak zbierają się na rzęsach.

– Chcę – mówię.

*Tak?*

– Tak! – krzyczę. – Nienawidzę się tak czuć. Ale... to trudne, Esh. To bardzo trudne. Kiedy wyleciałam na Octavię, miałam obudzić się parę tygodni później i zacząć nowe życie. A zamiast tego przespałam dwieście lat! – Wycieram oczy, wściekła z powodu łez i zła na siebie. – Wiem, że istnieją ważniejsze rzeczy niż dziewczynka z Ziemi, która oplakuje swoje życie, ale może mógłbyś trochę mi odpuścić. – Patrzę oskarżycielsko w tęczowe oczy. – Bo wszystko co straciłam, straciłam przez was.

Esh stoi i migocze. Czuję, że prawie jest... na mnie zły.

*Rozumiemy, czego od ciebie żądamy, jakiego wyrzeczenia. Ale ważą się losy Galaktyki.*

– Wiem!

*Tysiące zamieszkaných światów. Miliardy miliardów dusz. Wszystko to zostanie pożarte, jeśli Ra'haam zdoła rozkwitnąć.*

– To też wiem! – krzyczę, wstając. – Nie jestem idiotką, Esh. Wiem!

*A jednak odmawiasz. Nie chcesz porzucić więzów. Splonąć. Jesteś Zapalnikiem, Auroro Jie-Lin O'Malley. Jesteś stworzoną przez Eshvarenów manifestacją ich mocy. I jeśli nie porzucisz przeszłości, które cię powstrzymują, zawiedziesz.*

- Ale jak?

*Czy tego pragniesz?* – pyta Esh.

Patrzę w różane niebo. Miliard słońc czeka za nim. Myślę o wszystkim, czego losy się ważą. O życiu nieznanym, o życiu moich przyjaciół. Wszystko to przypadnie, jeśli się tu potknę.

Przez całe życie chciałam być badaczem. Chciałam zobaczyć i robić rzeczy, o których większość ludzi mogła tylko pomarzyć. Chciałam dotrzeć do krawędzi świata. Dlatego szkoliłam się na kartografa, dlatego tak wiele poświęciłam, byle zakwalifikować się do misji lecącej na Octavię – do misji, która jakimś cudem dwieście lat później doprowadziła mnie właśnie tutaj.

Na ten kraniec.

- Tak – słyszę własną odpowiedź.

*Naprawdę?*

- Tak!

*Więc zamknij oczy.*

Robię to.

Znajduję się w białym pokoju, popołudniowe słońce wpada przez duże przeszklone okna. Zdaję sobie sprawę, że stoję w jednej z licznych kuchni, jakie moja rodzina miała, kiedy przenosiliśmy się z miejsca na miejsce podczas przygotowań do wyprawy na Octavię. Nagle czuję nacisk w piersi, napływ radości, tęsknoty i miłości, gdy widzę ją tuż obok, tak blisko, że wystarczy wyciągnąć rękę, żeby jej dotknąć.

- Mamo... – szepczę.

Podnosi wzrok i posyła mi uśmiech – jeden z tych, dzięki którym czuję, że wszystko na świecie jest w porządku. Rozglądam się po pomieszczeniu, żeby nasiąknąć tą chwilą, i dociera do mnie, że już tu byłam. To nie jest tylko miejsce z moich wspomnień, to konkretny wieczór, który już przeżyłam.

To były urodziny mojego ojca. Mama kroїła warzywa na ulubione danie mojego ojca z tradycyjnej kuchni jej rodziny – na gęsty gulasz z marchewkami, ziemniakami, jagnięciną i kaszą jęczmienną. Ja właśnie odmierzałam tapiokę na jego ulubiony świeży makaron ryżowy.

Miałam około trzynastu lat i wtedy już nie zawsze się dogadywałyśmy. Ja już podjęłam decyzję i chciałam spróbować zakwalifikować się na wyprawę. Moja mama powiedziała, że jest jeszcze za wcześnie, żebym podejmowała tak ważne życiowe decyzje. Cierpię na wspomnienie naszych kłótni na ten temat, na wspomnienie czasu zmarnowanego na spory o taki drobiazg.

Teraz patrzę na jej szybkie, zręczne ręce, gdy pracuje, na znajomą obrączkę ślubną. Kiedy ten wieczór rzeczywiście miał miejsce, kilka set lat temu, śpiewaliśmy, gotowaliśmy i rozmawialiśmy o jednej z moich prac domowych, dopóki pozostali nie wrócili do domu. Teraz jednak wiem, że mogę zmienić wizję, jeśli zechcę, o ile nie przesadzę.

A chcę to zrobić. Bardzo.

Mówię więc systemowi domowemu, żeby ściszył muzykę, przytulam się do boku mamy, opieram głowę na jej ramieniu. Obejmujemy się. To takie znajome uczucie, jej miękkość jest tak idealna, że łzy napływają mi do oczu.

- Co się stało, Auri J? – pyta, całując mnie we włosy.

Milczę, zastanawiając się, co chcę jej powiedzieć. Wiem, że nie mogę mówić o tym, co się stało – to zniszczyłyby iluzję, kształt tego miejsca. Wiem jednak, że mogę się do tego zbliżyć.

– Myślę o niektórych przyjaciółach ze starej szkoły – mówię.

– Tak?

Zagryzam wargę.

– Wiem, że wiecznie się przeprowadzamy, ale niektórzy... Myślę, że spodziewali się, że zostanę z nimi znacznie dłużej, wiesz? Myślę, że czuli, że mogą na mnie liczyć, a teraz już mnie tam nie ma.

– Och, moja Auroro. – Odwraca się do mnie, przytula mnie tak, że mieszczę się pod jej podbródkiem. Niedługo będę na to za wysoka. – Zawsze tak poważnie podchodziłaś do swoich obowiązków. Bardzo to w tobie szanuję. I wiem, że trudno jest porzucić przeszłość, ale nie możemy stale tkwić w jednym miejscu, kochanie, nie możemy tego zrobić dla nikogo. Życie jest po to, żeby żyć. Ci, których zostawiłaś, poradzą sobie, zapewniam cię. Ci, których zostawisz w przyszłości, też sobie poradzą, nawet jeśli polecisz na inną planetę.

– Ale niektórzy polegają na nas – mówię.

– Tak, to prawda. Ale będziesz miała mnóstwo przygód w przyszłości i będzie się z nimi wiązało wiele pożegnań. Ci, którzy cię kochają, będą dumni, że wysyłają cię na taką przygodę, jestem tego pewna.

Odsuwam się, by na nią spojrzeć. Oczy mnie boją.

– Kocham cię, mamó – mówię, a ona patrzy na mnie z całą miłością wypisaną na twarzy i w czułym wygięciu ust.

– Ja ciebie też kocham, skarbie – mówi cicho. – I jeśli pewnego dnia wyruszysz na jedną z tych przygód, jakie sobie wyobrażasz, to będę dumna, że wychowałam córkę, która jest dość odważna, żeby spełniać swoje marzenia. Słowo daję.

– Nawet jeśli cię zostawię?

– Nigdy mnie nie zostawisz. Ja zawsze będę przy tobie.

\* \* \*

Tej nocy płaczę w ramionach Kala.

– Naprawdę ją zostawiłam – mówię wtulona w jego pierś zduszonym głosem i tak zasmarkana, że nie wiem, czy w ogóle mnie rozumie. – Zostawiłam ją dla przygody, ale z jej punktu widzenia umarłam.

Kal całuje mnie delikatnie w głowę.

– Z jej perspektywy zginęłaś, spełniając swoje marzenie. Żyłaś swoim życiem, tak jak ci powiedziała, że masz robić. Życie dobrze przeżyte, bez względu na długość, to wszystko, na co każdy z nas może liczyć, be'shmai.

Później przywołuję dla nas ziemniaki, marchewki, jagnięcinę, kaszę jęczmienną i sos, pokazuję Kalowi, jak się gotuje gulasz i robi ciemny sodowy chleb mojej mamy. Siedzimy ramię w ramię, dotykając się. Opowiadam mu historie z czasów, kiedy dorastałam na Ziemi.

Zanim zdołam mu wyjaśnić, co to jest hokej na trawie – zdumiewa go fakt, że uderzanie przeciwnika kijem jest niezgodne z regułami – jestem już splakana i nie mam siły więcej się śmiać.

Jest mi lżej na duszy, łatwiej, bo, prawdę mówiąc, już sama bliskość Kala mnie uspokaja. Jego dotyk, spojrzenie, drobne uśmiechy, jakie udaje mi się czasem wywołać – te zwłaszcza są czymś, czego nigdy nie wyobraziłabym sobie, kiedy się poznaliśmy. Jednak to wszystko pomaga mi, kiedy presja tego miejsca mogłaby mnie strzaskać na kawałki. Pobyt w Echu dał nam miesiące, poznaliśmy się tak, jak tylko można, gdy ma się dość czasu, i jestem wdzięczna za ten podarunek tak bardzo, że nawet nie wiem, jak mu to powiedzieć.

Jedna rzecz, jakiej nauczyłam się na jego temat, to fakt, że kiedy jego wzrok przesuwają się na moje usta, tak jak teraz, to myśli o tym, żeby mnie pocałować. Nie chcę czekać, aż się zdecyduje – nie tego wieczoru.

Dlatego łapię go za przód koszuli, a on pozwala, żebym go przyciągnęła. Unoszę podbródek, czuję niecierpliwy dreszczyk między łopatkami, który przemyka mi do krzyża, gdy nasze usta się spotykają.

Siedzimy ramię w ramię, Kal przenosi ciężar, żeby pochylić się nade mną, a ja obejmuję go za szyję. Kal podtrzymuje mnie i kładzie na miękkiej trawie, a ja pociągam go za sobą. Zasłania mi część gwiazd. A słaby odgłos, jaki wyrывa mu się, gdy pogłębiam pocałunek, sprawia, że zapominam, gdzie jesteśmy.

Podniecenie i to, że teraz tak dobrze go znam, sprawiają, że ta chwila jest idealna. I nawet kiedy się wyginam, przyciskając się do niego, uśmiecham się raz za razem.

Tego właśnie potrzebowałam. Po dzisiejszej lekcji z Eshem pocieszająca obecność cichego i stałego Kala – a teraz też niewiarygodnie seksownego – sprawia, że część brzemienia spada mi z ramion. Jakby został zmyty jakiś cień we mnie.

Myślę, że wreszcie rozumiem, co muszę tu zrobić. Ogarniają mnie różne emocje – poczucie winy z powodu porzucenia rodziny, gniew, że zostali mi odebrani, smutek, że nigdy nie będę częścią życia, jakie wiedli po moim odejściu. A jednocześnie łapię się świadomości, że jednak mieli jakieś życie.

Tak jak każdy.

Tu, w obecnej chwili, mam Kala. Jest wszystkim, czego mogłabym pragnąć, i nie muszę czuć Przyciągania, żeby wiedzieć, że go kocham. Nie było to nagłe, gwałtowne uczucie, tylko kształtowało się krok po kroku, chwila za chwilą, każda nowa lekcja dodaje kolejną warstwę do tego, co do niego czuję.

Gdy później tej nocy zwijam się w kłębek w ramionach Kala, przyciskając policzek do jego piersi, wiem, co muszę zrobić z tym ciężarem, który mnie przygniata.

Który mnie powstrzymuje.

Muszę porzucić przeszłość i skupić się na teraźniejszości.

Muszę porzucić to, kim byłam, i pogodzić się z tym, kim jestem.

Muszę to wszystko wypalić.



Następnego ranka wracam z Eshem na szczyt urwiska. Czuję się lekka jak powietrze, gdy szymbujemy nad Echem, gdy pod nami rozciąga się całe jego piękno. Siadam na skraju urwiska i wpatruję w kraniec świata. I tym razem, gdy zamykam oczy, widzę ojca.

Mam sześć albo siedem lat, a on przychodzi, żeby mi poczytać na dobranoc. Mamy wielką książkę z bajkami i ludowymi podaniami z całego świata. Siada na łóżku obok mnie, razem kartkujemy książkę. Kiedy ojciec mi czyta, przesuwam palcem po ilustracjach.

Ojciec obejmuje mnie, a ja wprawnie opieram o niego kolana, żeby mógł przesunąć książkę tak, bym mogła wybrać strony.

Pozwalam mu czytać przez długą chwilę. Wdycham jego zapach, czuję ciepło skóry, przypominam sobie czas, kiedy jego objęcia wydawały mi się najbezpieczniejszym miejscem na świecie. W końcu jednak ojciec patrzy na mnie i marszczy czoło w sposób, który zawsze uwielbiałam.

– Coś chodzi ci po głowie, Jie-Lin? – pyta cicho.

Jest taki dostrojony do mnie, taki uważny. A ja myślę tylko o naszej ostatniej rozmowie, a przynajmniej o ostatniej, jaką odbyliśmy, kiedy jeszcze naprawdę był sobą, a nie częścią Ra'haam.

Nakrzyczałam na niego i Patrice, a potem rozłączyłam się, nim miał szansę odpowiedzieć.

– Myślę o kimś, kogo zostawiłam – mówię mu.

– Ze swojej poprzedniej szkoły?

Kiwam głową.

– Powiedziałam coś podłego. Nie miałam okazji przeprosić, zanim wyjechalismy.

– Ach. – Starannie zamyka książkę i odkłada ją na podłogę obok łóżka. – To trudne. Jeśli możesz, zawsze dobrze jest wrócić i przeprosić. Kiedy jednak to nie jest możliwe, myślę, że należy pamiętać, że żadnej relacji, żadnej przyjaźni nie definiuje jedna chwila. To akumulacja wszystkich chwil, jakie razem spędzamy. Sumują się wszystkie drobne sposoby, na jakie mówimy „kocham cię” i „szanuję cię” i „jesteś dla mnie ważny”. Nie da się tego przekreślić kilkoma nieuwważnymi słowami.

– Skąd wiesz? – pytam szeptem.

– Kiedy twoja babcia umarła, bardzo żałowałam, że nie zadzwoniłem do niej w tamtym tygodniu. Zamierzałem, ale byłem zajęty. Jednak po pewnym czasie dotarło do mnie, że to nie jeden przegapiony telefon definiuje nasz związek, tylko dziesiątki tysięcy „kocham cię”. Doskonale wiedziała, że zależało mi na niej i że ją szanowałem. I to właśnie było ważne. – Ścisła mnie. – To ci pomogło, Jie-Lin?

– Jesteś pewien, że ostatnie słowa się nie liczą? – Zamykam mocno oczy, nasiąkam ciepłem jego objęć. – Jesteś pewien, że by ci wybaczyła?

– W okamgnieniu. Ci, którzy naprawdę nas znają, widzą całość, nie tylko cząstkę.

Sadowię się wygodnie obok niego, zamykam oczy i szepczę:

– Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też kocham, Jie-Lin.

Całuje mnie w czubek głowy, a ja się uśmiecham.

– Zawsze.

Tego wieczoru idziemy z Kalem na łąkę i kładziemy się razem na polu różowych kwiatów, które stuliły płatki na noc. Wpatrujemy się w gwiazdy, które kiedyś pokrywały niebo nad rodzinną planetą Eshvarenów, obejmując się.

Wiem, że utrudniam sobie zadanie. Przez cały dzień odpycham różne rzeczy, a potem wracam każdego wieczoru do obozu i coraz bardziej zakochuję się w Kalu. Mam wrażenie, że on też to wyczuwa; to w nim narasta wraz z miłością, którą do mnie żywi – cień w nim. Tego wieczoru ciąży mu, nawet kiedy patrzy na piękne gwiazdy krążące nad nami.

– Nic ci nie jest? – pytam.

Wyczuwam jego umysł, tkaninę ze złotych nici, słabą empatię, którą odziedziczył po matce splątana z moją własną rosnącą siłą.

– Jestem rozdarty, be'shmai – odpowiada w końcu.

– W związku z czym?

– Zastanawiałem się. – Wzdycha i patrzy na nocne niebo. – Nad darem od Adamsa. Myślałem o pudełku na cygaretki, które uratowało mi życie na pokładzie *Totentanza*.

Mrugam zaskoczona.

– Dlaczego o tym myślałeś?

– W pudełku... był liścik. Napisany ręką Finiana, chociaż on nie pamięta, żeby go napisał. To on go znalazł. Zastanawiam się jednak, czy nie był skierowany do mnie.

– Co tam było napisane? – pytam, chociaż nie wiem, czy chcę wiedzieć.

Patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

– „Powiedz jej prawdę”.

Milczę, przyglądając mu się w ciemności. Jest piękny, eteryczny, niemal magiczny i przez chwilę nie mogę uwierzyć, że jest mój. Widzę jednak, że coś go dręczy. Wyczuwam walkę w jego umyśle.

– Są pewne rzeczy na mój temat, be'shmai – mówi, a ja ze zdumieniem spostrzegam łzy w jego oczach. – O mojej przeszłości, mojej krwi...

– Kał, nie ma sprawy – mówię, dotykając jego twarzy.

Kręci głową.

– To coś we mnie. Obawiam się, że nigdy się tego nie pozbędę.

Przypominam sobie, co opowiadał mi o Saedii. O swoim bolesnym dzieciństwie, okrucieństwie jego ojca wobec niego i jego matki, o cieniu przeszłości, jaki zawsze nad nim wisi. Wiem, że walczy z nim codziennie. Z przemocą, w której został wychowany, z przemocą w jego duszy. Wyczuwam to nawet teraz, gdy czai się za jego pięknymi oczami.

– Nie jesteś swoją przeszłością. – Splątam z nim palce, patrząc na gwiazdozbiory w górze. – Nie jesteś tym, na kogo cię wychowano. Jeśli przebywanie tutaj czegoś mnie nauczyło, to właśnie tego. Nasze żale, nasze lęki hamują nas. Musimy je porzucić, żebyśmy mogli się stać tym, czym mamy być. Musimy to wszystko wypalić.

– Przeszłość sprawia, że jesteśmy tym, kim jesteśmy.

- Nie - mówię mu, przypominając sobie, jaki ciężar spadł mi z ramion, kiedy pożegnałam mamę i tatę. - Nieprawda. Sami wybieramy to, kim jesteśmy. Codziennie. W każdej chwili. Przeszłość odeszła. Jutro jest warte miliona dni wczorajszych. Nie rozumiesz?

Kal patrzy na gwiazdy, marszcząc czoło.

- Tyle że ja... kwestionuję drogę, którą kroczysz, be'shmai - mówi cicho.

- Co masz na myśli?

- Jeśli odetniesz się do tego, czym byłaś, wypalisz wszystko, co ma dla ciebie jakieś znaczenie, tak jak każą ci Pradawni... - Kręci głową. - Co będzie cię motywowało? Co będzie cię napędzać do walki?

- Ocalenie całej Galaktyki to wystarczający cel - mówię stanowczo.

- Twoja walka jest zaszczytna - przyznaje Kal.

- Wyczuwam, że nadciąga wielkie „ale”.

- Ale miłość też jest celem, be'shmai. Miłość napędza nas ku wielkim czynom i ku jeszcze większym ofiarom. Co zostaje bez miłości?

Zabieram rękę.

- Kal, ale ja muszę to zrobić. Jeśli zostawimy planety-wylegarnie Ra'haam w spokoju, to wszyscy w Galaktyce, łącznie z tymi, których kocham, zostaną zasymilowani. Już straciłam ojca na rzecz Ra'haam.

- A teraz stracisz wszystko inne, żeby temu zapobiec?

- Nie mówię, że tego chcę. - Wzdycham. - Mówię, że muszę to zrobić.

Nie wiem, co mu powiedzieć. Wiem, co zrobić. Dlatego ostatecznie, chociaż nie mogę tego ścierpieć, wstaję i odchodzę w milczeniu do obozu.

I chociaż, czuję, że to go rozrywa od środka...

Pozwala mi odejść.

\* \* \*

Spodziewam się, że zobaczę Callie następnego dnia, ale oczekuję, że będzie dzieckiem tak jak wtedy, kiedy ją opuściłam. Zamiast tego, kiedy wchodzę do wizji, widzę kobietę około trzydziestki, której gładkie czarne włosy sięgają do krzyża i falują przy każdym jej ruchu, kiedy gra na skrzypcach. Stoi w rozświetlonym słońcem oknie i gra z pamięci.

- Callie - szepczę. Głos grzęźnie mi w gardle.

Jej uśmiech rozkwita. Callie odkłada skrzypce i smyczek.

- Jesteś - mówi zwyczajnie i otwiera ramiona.

W okamgnieniu pokonuję pokój i wpadam jej w ramiona, a ona obejmuje mnie mocno.

Jest starsza ode mnie - to dziwne uczucie, ale tak ona musiała się czuć przez prawie całe swoje życie. Zastanawiam się, jak to odbierała, gdy doszła do mojego wieku, a potem miała osiemnaste urodziny i wiedziała, że jest starsza, niż ja kiedykolwiek będę.

- Tak mi przykro - płacę i moczę łzami zielony jedwab jej koszuli. - Przepraszam, że cię zostawiłam. Nie miałam takiego zamiaru.

- Przestań - beszta mnie łagodnie, gładząc ręką moje włosy.

- Ale przecież cię zostawiłam - upieram się.

- Nic nie trwa wiecznie, Auri. Na wszystko jest właściwy czas. Świat zmienia się, gwiazdy nadal tańczą, kiedy nas już nie ma, jak to robiły, zanim się pojawiliśmy.

- Byłam twoją starszą siostrą. Powinam się tobą opiekować.

Patrzy mi wtedy w oczy i uśmiecha się leciutko.

- Chodź ze mną.

Objmując mnie ręką za ramiona prowadzi mnie przez drzwi. Idziemy w milczeniu korytarzem i zatrzymujemy się w wejściu do innego pokoju. Widzę malucha w łóżeczku zwiniętego w malutki kłębek. Ma czarną czuprynę i drobną, rozluźnioną we śnie twarzyczkę widoczną nad kołderką.

- To Jie-Lin - mówi cicho Callie.

- Jest śliczna - szepczę ze łzami w oczach.

- Brakuje mi ciebie, Auri - mówi mi młodsza siostra - ale dobrze sobie radzę. Życie nadal się toczy bez nas. Taniec wciąż trwa.

Zaczyna się rozwiewać, a ja chcę wyciągnąć rękę, złapać ją, przytrzymać mocno, nie chcę opuścić tej chwili, ale zamiast tego tylko patrzę po raz ostatni na jej twarz i pozwalam jej odejść.

Pozwalam im wszystkim odejść. Nareszcie, całkowicie. Patrzę na tę małą twarzyczkę, na tę śliczną małą dziewczynkę, która nosi moje imię, i czuję, że to zostaje zmyte. Gniew i wściekłość, ból i smutek. Myśl o tym, że to wszystko przegapiłam. Bo tak naprawdę wcale nie przegapiłam. Byłam tu cały czas. W sercach ludzi, których zostawiłam, ale których nigdy tak naprawdę nie porzuciłam.

Pozwalam im odejść.

I kiedy otwieram oczy, widzę nad sobą Eshvarena. Czuję, jak Echo wokół mnie drży - fale przebiegają przez całą długość i szerokość tej rzeczywistości, zmieniając dźwięk horyzontu i smak nieba. Czuję, że Eshvaren uśmiecha się do mnie wszystkimi kolorami swojej pamięci.

*Nareszcie - mówi.*

## Kal

Świat wokół mnie drży.

Moje palce nieruchomieją. Muzyka, którą wydobywam z siifu, milknie. Patrzę na niebo i zauważam, że przybrało inny odcień doskonałości. Przez chwilę wyczuwam cień na ramieniu i z niewyjaśnionych powodów tak bardzo myślę o moim ojcu, że odwracam się przygotowany na to, że go tam zobaczę.

Zaciskam pięści.

Widzę jednak tylko Eshvarena w kryształowej formie. Przygląda mi się uważnie, jakby naprawdę patrzył na mnie po raz pierwszy. Wyczuwam moc w nim, w tym miejscu, spuściznę po Pradawnych, która opływa każdy atom tego miejsca.

*Pamiętaj, o jaką stawkę toczy się gra - mówi. - To więcej niż ty. Więcej niż my.*

Mrugam zaskoczony.

- Nie rozumiem.

*Pozostała tylko jedna przeszkoda. Tylko jedno ograniczenie, które wiąże ją z tym, czym była, i stoi jej na drodze do tego, czym musi być.*

Marszczę gniewnie czoło, pochmurniejąc.

- A mianowicie?

Eshvaren tylko przekrzywia głowę i uśmiecha się tęczą.

Finian pochyla się nisko nad twarzą Aurory, spoglądając na jej oczy poruszające się szybko pod powiekami.

– Minęło prawie dwanaście godzin, odkąd tam weszli – mówi. – Czy do tej pory nie powinno już coś się wydarzyć?

– Poczesa mnie to, że nic się nie wydarzyło – odpowiadam, ale prawdę mówiąc, chociaż mówię spokojnie, to też się martwię.

Na podstawie opowieści Aurory o jej pierwszej wizycie w Echu można wywnioskować, że podczas dwóch minut utraty przytomności, jakie zaobserwowaliśmy, ona spędziła tam około dwunastu godzin.

To sugeruje, że w cztery minuty minie dla niej dzień, a prawie dwanaście godzin, jakie już minęły, oznacza, że spędziła w Echu z Kalem prawie pół roku. Aktywność ich mózgowi wykracza poza wszelkie normy, co sugeruje, że rzeczywiście doświadczają upływu czasu w zdumiewającym tempie.

Martwi mnie tylko, jak długo Terranka albo Syldraniń zdołają znieść taki wysiłek bez poniesienia trwałych szkód.

– Jak idzie tropienie sygnatury cząsteczkowej sondy? – pytam.

– Mamy trop. – Finian wzrusza ramionami. – Scar jest właśnie na górze, na mostku. Ja nadal próbuję naprawić przeklęty unikron Aurory.

Mrugam, próbując zidentyfikować uczucie w piersi.

W końcu dociera do mnie, że to niepokój.

– Scarlett Isobel Jones kieruje tym statkiem?

Finian uśmiecha się szeroko.

– Nie jest taka zła. A autopilot pomaga. Podobno któryś z byłych chłopaków ją uczył. I podłapała nieco od Cat.

Na te słowa czuję ból. Wspomnienie twarzy Cat, jej uśmiechu, jej końca. Bariery, które powstrzymywały moje reakcje na takie rzeczy, nie są tak mocne jak kiedyś.

Nie jest już tak, że niczego nie czuję.

– Nie sposób jednak orzec, z jak odległych przestrzeni Fałdy pochodzi sonda – mówi Finian. – Możemy podróżować tygodniami.

– Miejmy nadzieję, że nie – odpowiadam. – Nasze mózgi nie są przystosowane do przedłużonego pobytu w Fałdzie. Nie powinniśmy też kusić nieszczęścia, zostawiając zbyt długo Scar-

lett za sterami.

Finian kiwa głową.

- Fakt. I wątpię, żeby Nieugięci czekali zbyt długo z pokazaniem Ziemi, co sobie myślą na temat ataku na ich okręt flagowy.

\* \* \*

- To nadzwyczaj mało prawdopodobne, żeby atak terrańskich sił na zaprawioną w bojach syldrańską templariuszkę pozostał bez odpowiedzi.

Finian patrzy na śpiącą postać Kala, zagryza lekko wargę.

- Starsza siostra elfika to niezła sztuka, co?

- Rzeczywiście... robi duże wrażenie.

Fin rozgląda się po pomieszczeniu, jakby sprawdzał, czy nikt nie słucha.

- Ale przy tym jest całkiem ładna, prawda?

Mrugam zaskoczona.

- Nie sądziłam, że odbierasz psychopatię jako atrakcyjną, Finianie.

- Och, daj spokój. - Uśmiecha się szeroko. - Nie mów, że nie zauważyłaś. Z pewnością nie odmówiłbym krótkiego wypadu do jej sali tortur.

Zaciskam usta, wyobrażając sobie twarz Saedii. Jej sylwetkę. To prawda. Nie można zaprzeczyć, że prezencja siostry Kala... spełnia wiele wymogów estetycznych pomimo jej charakteru.

Mimo wszystko...

- Jest dla mnie za wysoka - oznajmiam w końcu.

Finian przewraca oczami i uśmiecha się przyjaźnie. Czuję, że policzki robią mi się odrobinę cieplejsze na myśl, że rozmawiam z nim o tym, kto się komu podoba. Pochylam głowę, żeby ukryć reakcję moich naczynek, i zastanawiam się, czy to właśnie takie uczucie mieć przyjaciół.

Nie jest już tak, że niczego nie czuję.

Kiwam na Kala i Aurorę, próbując zmienić temat.

- Będę nadal monitorowała ich stan.

- W porządku. - Finian odsuwa się krok, a jego egzoszkielek szumi cicho, kiedy rozciąga ręce. - Idę coś przekąsić. Chcesz coś?

Zastanawiam się.

- Te ciasta, do których zachęcała mnie Scarlett, będą adekwatne.

- Adekwatne?! We dwie zjadłyście praktycznie cały zapas.

- Nadmiar kalorii doprowadzi do zwiększenia mojej masy, co...

Marszczę czoło. Nie sfomułowałam tego prawidłowo.

- Chciałam powiedzieć, że twoje uczucie do mnie wzrośnie, kiedy wzrośnie także moja...

Nie. To też nie tak.

Milknę. Patrzę w puste czarne oczy Finiana.

- Nadal próbujesz opanować humor - mówi.

Zniżam głos do szeptu.

- To nadzwyczaj konsternujące.

- Nie poddawaj się. Ja idę do kambuza. - Uśmiecha się krzywo, zerkając na Aurorę. - Do zobaczenia, dzieciaki, za miesiąc.



Lecę do domu na podmuchach wichury, szybuję na skrzydłach grzmotu. Czuję w sobie moc pędzącą jak wodospad. Wszystkie powstrzymujące mnie okowy – poczucie winy, strach, to, kim byłam – przepadły.

Sunę z rykiem przez Echo, rozoruję ziemię siłą mojego przejścia. Prawe oko płonie mi jak nowo narodzona gwiazda, ciemnogramatowa burza skwierczy w ślad za mną, tornado czyste j mocy psychicznej, którą przywołuję jednym ruchem ręki.

Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę to Kalowi.

Myślę o tym, że czeka na mnie jak zawsze. Myślę o czasie, jaki tu spędziliśmy i jak wiele Kal zaciął dla mnie znaczyć. Myślę o Scarlett, Finianie i Zili, którzy czekają na nas poza Echem, o ludziach, którzy stali się naszą rodziną. O tym, jaką wiarę we mnie pokładają, ile dla mnie poświęcili i że to wszystko było tego warte.

Nie jestem już dziewczyną, która wyruszyła na Octavię. Nie jestem dziewczyną, która obudziła się dwieście lat później odcięta od wszystkiego, czym była. Jestem naczyniem, którym mnie stworzono, zgubą dla wroga, który postanowił pochłonąć całe życie, całe światło, całą nadzieję. Uśmiecham się zaciekle i niemal w głowie mi się kręci na myśl o tym.

Jestem dziewczyną, która ocali tę cholerną Galaktykę...

Kal widzi, że nadchodzę, widzi moc szalejącą za mną, wytrzeszcza oczy zdumiony, kiedy opadam na piękną zieloną trawę dookoła naszego obozu i rzucam mu się w ramiona. Całuję go, zalewam jego umysł, czuję złote pasma jego psyche splatające się z moją. We dwoje jesteśmy kompletni, doskonali.

– Jestem gotowa, Kal – szepczę.

Przyciskam znowu usta do jego warg, pieścuję jego twarz, jego umysł.

– Jestem gotowa.

*Jeszcze nie.*

Rozlega się za nami cichy i melodyjny głos.

Odwracam się i widzę migoczącą tęczaową postać Eshvarena, który mnie obserwuje.

Wyczuwam w powietrzu coś niewłaściwego – fala potrząsa otaczającymi nas drzewami, złote nici umysłu Kala dygocą. I nagle czuję coś, czego nigdy do tej pory w nim nie czułam.

Kal się boi.

*Doszłaś daleko, Auroro Jie-Lin O'Malley – mówi Eshvaren. – Ale nie możesz jeszcze dzierżyć Broni.*

Wyciągam rękę i potężny, tektoniczny wstrząs mentalny przepływa przez Echo, wstrząsając każdym drzewem, każdą skałą, każdym źdźbłem trawy.

- Jestem gotowa - mówię.

*Gotowa, owszem - Esh kiwa głową. - Żeby odrzucić ostatnie przeszkody, jakie wiążą cię z dawną tobą. Każdą swoją myśl. Każdą komórkę. Samo swoje istnienie.*

Te słowa są jak policzek. Zerkam na Kala i wychodzę z jego objęć.

- Moje istnienie...?

Patrzę w płonące oko Eshvarena i wreszcie dociera do mnie...

- To miałeś na myśli - szepczę i serce ściska mi się w piersi. - Kiedy powiedziałaś „Tak jak my musisz poświęcić wszystko”.

Rozglądam się po Echu, po jego pięknie i splendorze, po wszystkim, co pozostało po cywilizacji, która zniknęła całe eony przed moim narodzeniem.

Esh powiedział mi, że jeśli zawiodę podczas próby, zapłacę za to życiem.

Nie powiedział, że nawet jeśli mi się uda...

- Posłużenie się Bronią... bycie Zapalnikiem... - Przelykam z trudem ślinę, kiedy w końcu dociera do mnie prawda. - To mnie zabije, tak?

*Najprawdopodobniej tak* - odpowiada Esh.

- Motyla noga...

- Musi istnieć inny sposób! - krzyczy Kal, tracąc nad sobą panowanie.

*Rozejrzyj się, dziecię - mówi swoim melodyjnym głosem Esh. - Wszystko to, nasz świat, nasza cywilizacja, nasze imię zniknęło w piaskach czasu. Daliśmy z siebie wszystko, co mieliśmy, żeby zniszczyć Ra'haam, kiedy powstał. Tysiąc lat krwi i ognia, po których nigdy nie odzyskaliśmy sił. Cała nasza rasa poświęciła się, żeby oszczędzić przyszłym rasom głodu Wielkiego Wroga.*

Esh patrzy na mnie, a mnie się wydaje, że wyczuwam coś bliskiego litości w jego umyśle.

*Czy oczekujemy zbyt wiele, prosząc o jeszcze jedną dziewczynę?*

Wyczuwam furię Kala. Jego obawę, że mnie straci. Jednakże w głębi ducha wiem...

- Nie - odpowiadam.

Kręcę głową i mówię zgodnie z prawdą:

- Nie prosicie o zbyt wiele.

- Be'shmai... - szepcze Kal, sięgając po moją rękę.

- W porządku. - Odwracam się do niego. - Nie boję się, Kal. Pogodziłam się z tym, kim jestem. Jestem gotowa stać się tym, kim jest mi przeznaczone być.

Myślę o tamtej małej dziewczynce śpiącej w kołysce i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- To wszystko jest częścią cyklu. I jeśli muszę... zatrzymać się, żeby inni mogli iść dalej, to w porządku. Bo tu, z tobą, przez te kilka ostatnich miesięcy żyłam bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Nawet kiedy mnie już nie będzie, nadal będziesz to miał. Nadal będziesz wiedział, że cię kochałam.

Staję na palcach i obejmuję go za szyję. Odchyłam się powoli, ze łzami w oczach całuję go jeszcze bardziej nieśpiesznie i odsuwam się na tyle, żeby szepnąć:

- Kocham cię.

Dotyka mego policzka i scałowuje mi łzy, obejmuje mnie i...

Nie – mówi Esh.

Świat nieruchomieje. Czar między mną i Kalem zostaje zerwany. Trzymając go za rękę, odwracam się, żeby spojrzeć Eshowi w oczy.

– Co masz na myśli?

*Musisz porzucić swoją przeszłość całkowicie. Musisz całkowicie oddać swoją przyszłość. Istnieje tylko chwila, dla której została stworzona, i musisz być gotowa działać bez wahania, kiedy nadejdzie. Nie możesz się wzdrygnąć. Nic nie może cię wiązać z tym miejscem, z tobą samą. Nic a nic. Musisz wszystko wypalić.*

Patrzy na mnie błyszczącym okiem, sięgając w głąb mojego serca.

*Łącznie z nim – dodaje.*

– Ale... ludzie tak nie postępują – protestuję. – Walczymy dla idei, pewnie, ale walczymy też dla ludzi.

Esh przechyla głowę, jakbym powiedziała coś ciekawego.

*Naprawdę nadal uważasz się za ludzką dziewczynę? Musisz stać się pustką, jeśli ma ci się powieść. Kiedy uderzysz w Wielkiego Wroga, żadne ograniczenie nie może tamować przepływu mocy. Musisz być czystą wolą. Bez żalu. Bez bólu. Bez gniewu. Bez smutku. Bez strachu.*

Te słowa uderzają mnie jak cios w pierś.

*Bez miłości.*

Patrzę na Kala i widzę potworny ból w jego oczach, gdy odwzajemnia moje spojrzenie. Słońce tonie za krawędzią świata i wszystkie gwiazdy, te piękne, od dawna martwe gwiazdy, na które razem patrzyliśmy, pojawiają się w górze.

I już rozumiem, wreszcie naprawdę rozumiem, czego oni ode mnie chcą.

Muszę pozwolić mu odejść.

Muszę go wypalić.

Muszę dowieść Eshowi, że więzy mnie nie definiują ani mnie nie powstrzymują. Że kiedy nadejdzie chwila, żeby uruchomić Broń, dla dobra wszystkich wokół mnie będę gotowa poświęcić wszystkich i wszystko.

Przesuwam wzrokiem po twarzy Kala, po rysach oświetlonych światłem gwiazd.

Stały mi się równie znajome jak moje własne w ciągu ostatnich miesięcy.

Mój umysł to wir błękitu i srebra. Wiem, co trzeba zrobić. Muszę to kontrolować i wygładzić, ukształtować jak ostrze noża, które przetnie więzy między nami. On wie to równie dobrze jak ja. Wie, jaka jest stawka. Ile od tego zależy.

– Kal – szepczę.

*Musisz – powtarza Esh.*

– Be'shmai? – szepcze Kal.

To słowo.

To piękne, cudowne, obce słowo. Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o nim na Octavii, Kal powiedział, że nie ma dobrego tłumaczenia dla tego słowa. Patrzy teraz na mnie w milczeniu, oferując mi swoje serce, jak to robił każdego dnia. I w tej chwili wiem, że chociaż nie jestem Syldrąką, chociaż nigdy nie dowiem się, co to znaczy czuć Przyciąganie, to wiem, co to znaczy zakochać się. Wiem, że przyjąłem jego serce i oddałam mu w zamian swoje.

- Przykro mi - mówię.

I wiem, że nie ma takiego wszechświata, w którym byłabym silniejsza bez niego.

- Nie mogę - mówię, odwracając się do Esha.

Cisza aż dzwoni w Echu. Czuję, jak serce Kala wzbiera za mną, jak fale wywołane przez te dwa słowa przepływają przez całą tę rzeczywistość.

- Nie zrobię tego - mówię.

MUSISZ! - rozkazuje Esh.

- Nie.

Nie.

Bo nie zrobię tego, czego chce Esh.

Nie dlatego, że nie chcę się poświęcić.

Nie z powodu strachu.

Ponieważ każda chwila, jaką tu spędziłam podczas treningów i z Kalem, doprowadzały mnie do absolutnej pewności. Jutro może być warte milion dni wczorajszych. Ale jutro bez niego nie będzie nic warte.

*Nie będziesz miała siły - mówi Esh z czymś bliskim furii w głosie. - Jeśli nie staniesz się pustką, zawiedziesz.*

- Przekonamy się - odpowiadam.

*Jesteś Zapalnikiem. Zapalnik to ty!*

- Aha. - Kiwam głową. - Ale jestem również Aurorą Jie-Lin O'Malley.

Sięgam po rękę Kala.

- I jestem gotowa walczyć o to, co kocham.

Chwytam moc. Rozkazuję nam odejść, czuję rozdarcie, pęknięcie szerokie jak niebo i głębokie jak wieczność. W okamgnieniu, w dwa okamgnienia - jego i moje - znikamy z Echa i wracamy do naszych ciał na pokładzie *Zera*.

I pierwsze, co czuję, zanim otworzę oczy, to jego dłoń w mojej.

Przynoszą Saedii do naszej celi jakiś czas później.

Drzwi otwierają się, a żołnierze rzucają jej bezwładne ciało na pokład.

Odgłos uderzenia o podłogę, jej widok sprawiają, że żołądek mi się burzy.

Zerwali jej medopatrunki z nóg. Siniaki na jej udach przybłąkły, ale te na twarzy są całkiem świeże. Ma rozkwaszoną wargę, podpuchnięte oczy, przyciska rękę do żeber. Czarna farba wokół jej oczu i na ustach jest rozmazana, spływa. Nieskazitelną warkocz rozplątały się, kurtyna czarnych włosów zasłania jej twarz, kiedy Saedii próbuje się podnieść.

Wstaję, piorunując wzrokiem żołnierzy. Saedii jest wrogim oficerem. Templariuszka Nieugiętych. Widziałem liczbę ofiar podczas bitwy na *Andarael*. Wiem, że większość tych żołnierzy straciło przyjaciół podczas ataku. Mimo wszystko obowiązują pewne reguły. Pewnej granicy się nie przekracza. Tym powinniśmy różnić się od przeciwnika.

- Na oddech Stwórcy, co jej zrobiliście?

Żołnierze nawet na mnie nie patrzą. Drzwi zasuwiają się bezdźwięcznie i zostają sam z Saedii.

- Czekaj - mruczę, pochylając się, żeby jej pomóc. - Daj mi...

- Nie dotykaj mnie! - ryczy Saedii.

Zakrzywia palce jak szpony, czarna paznokcie błyszczą w antyseptycznym świetle. Cofam się poza jej zasięg.

Saedii bierze głęboki wdech, uspokaja się. Ledwie to wychwytyuję, ale przysięgam, że słyszę drobny, zduszony szloch, który wzbiera w jej gardle.

- Wasze słońce s-splonie - szepcze. - Cała wasza... przeklęta r-rasa...

Syczy, próbując usiąść. Ręce, oddech, całe jej ciało trzęsą się z wysiłku. Za dużo tego jednak i Saedii pada. Robi mi się jej żal, ogarnia mnie wstyd. To Terranie tak ją potraktowali. Moi ludzie.

Pewnie, że jest wrogiem. Jasne, sama rzuciła mnie na pożarcie gadziej maszynie do zabijania. Jej towarzysze są odpowiedzialni za śmierć dziesięciu tysięcy terrańskich żołnierzy, w tym mojego ojca. Jednak mogę go usłyszeć w głowie, gdy się postaram. Słowa, które wpoił mi, gdy jeszcze byłem dzieckiem.

Aby być przywódcą, trzeba dawać przykład. Aby być przywódcą, trzeba być osobą, za jaką sam chciałbyś podążać.

Poznaj drogę.

Wskaż drogę.

Przebądź drogę.

Spędziłem z Kalem dość czasu, żeby wiedzieć, że dotyk to dla Syl dran ważna sprawa. Nie mogę jednak pozwolić, żeby krwawiła na podłodze. Biorę ją więc na ręce. Saedii ożywa, szczerzy zaostrome zęby za kurtyną pozlepianych ciemnych włosów. Boję się, że zrobi sobie jeszcze większą krzywdę, trzymam ją więc mocno, słowa, które wyrzuca z siebie przez zaciśnięte zęby, niosą się echem razem z jej myślami w mojej głowie.

- PUŚĆ MNIE!

- Spokojnie!

- POŁÓŻ MNIE!

- Na oddech Stwórcy, zaraz to zrobię, wyluzuj!

Znowu się szarpie jak dzikie zwierzę w moich ramionach. Podchodzę chwiejnie do jej biokoi, trzymając ją, jakby od tego zależało moje życie. Saedii pluje przez rozkwazzone i opuchnięte usta, ale ja czuję, jak wiele kosztuje ją ta wściekłość, cała się trzęsie, próbując ze mną walczyć. Odkładam ją delikatnie na koję i cofam się, kiedy próbuje się na mnie rzucić. To jednak za duży wysiłek dla niej, po chwili osuwa się, z trudem nabiera powietrza w płuca i trzęsie się jak żrebak zaraz po urodzeniu.

- Jak śmiesz mnie dotykać? - warczy cichym, śmiercionośnym głosem. - Obedrę cię ze skóry, chłopcze. O-oberwę ci klejnoty i będę je n-nosić...

- Aha, pewnie, strasznie się na mnie zdenerwowałaś, zorientowałem się. Nie musisz siłić się na barwne opisy.

Próbuje znowu się odezwać, ale nie daje rady. Jestem obolały. Zmęczony. A kiedy siadam na własnej biokoi, ze zdumieniem odkrywam, że ta fala bólu, wyczerpania...

Nie należy do mnie.

*To jej odczucia?*

Nie jestem pewny, jak to możliwe. Ale mogę je... poczuć? Wylewają się z podświadomości Saedii wprost do mojej. Wychwytyuję obrazy z jej głowy: Terranie w wojskowych mundurach, zakrwawione pięści, które ją okładają, solidna godzina bólu, w milczeniu, jeśli pominąć jej wrzaski. A nawrzeszczała się. Wyła z wściekłości, bólu, dopytywała się, czego od niej chcą. Przez cały ten czas, te kilka razy, kiedy odezwali się do niej... zrobili to tylko po to, żeby ją obrazić.

Ani razu nie zadali jej żadnego pytania.

- Przykro mi - mówię.

Otwiera posiniaczone oczy i wbija we mnie spojrzenie.

- Przykro mi, że tak cię potraktowali - mówię.

- S-spalą się - szepcze. - Tak samo jak ty...

- Saedii, błagam...

- Tchórz! - warczy drżącym głosem. - Nędznik. Terra będzie masowym grobem.

Masuję skronie, próbując zachować cierpliwość, siłać się na spokój. Staram się być osobą, za jaką chciałbym sam podążać.

- Saedii...

- Zasypiemy Pustkę w-waszymi popiołami, Terraninie – przysięga, unosząc się na łokciu. – Będziemy pić krew z waszych wciąż bijących serc. Wrzaski waszych dzieci będą piosenką, do której zatań...

- Na miłość Stwórcy, Saedii, ZAMKNIJ SIĘ I POMYŚL CHOCIAŻ PRZEZ JEDNĄ MINUTĘ!

Nie lubię tracić nad sobą panowania. Dlatego nie piję, niczego nie zażywam. Nawet nie przeklinam. Jednak w tej chwili mam dość. Staram się powstrzymać, ale dłużej już nie mogę. Tygodnie ucieczki. Myśl, że Scarlett, Auri i reszta zostali beze mnie. Wspomnienie ojca i myśl o Nieugiętych i Terrze zmierzających do walki, podczas gdy Ra'haam tylko siedzi i czeka, dyrgując tym wszystkim po cichu, przyglądając się temu nowiutkimi oczami Cat. To wszystko wzbiera we mnie i wypływa, kiedy wstaje, łapię biokoję i ciskam nią o ścianę. Kable pod napięciem skwierczą, ekrany z infoszka sypią się, metal wygina się, kiedy odwracam się do Saedii i ryczę mimo obolałego gardła:

- A jeśli nie zamierzasz myśleć, to proszę, ZAMKNIJ SIĘ, KURWA, ŻEBYM JA MÓGŁ POMYŚLEĆ!

Saedii milknie wtedy. Ewidentnie to ją zaskoczyło. Osuwa się na kolę i obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów. Usta ma lekko rozchylone, jej wzrok zatrzymuje się na mojej zaciśniętej szczęce, nagiej piersi, pięściach. Podnosi rękę, żeby odgarnąć zabłąkane atramentowoczarne pasmo włosów z kącika ust. Czuję to wtedy w niej tak wyraźnie, jakby miała to wypisane w oczach. Fascynację.

Na oddech Stwórcy, wręcz aprobatę.

Zerka na kamerę nad drzwiami. Spluwa krwią na podłogę.

- Jak sobie życzysz.

Siadam w kucki, opierając się plecami o ścianę. Cisza aż dzwoni w pomieszczeniu, a ja po części spodziewam się, że żołnierze lada chwila wparują z powrotem, żeby nas skopać, ale nic się nie dzieje. Ewidentnie nas obserwują. Czekają, co się stanie. Może mają nadzieję, że dowiedzą się czegoś, co będą mogli wykorzystać? Może po prostu robią to dla zabicia czasu?

Jednakże Saedii nie odrywa ode mnie oczu, jej spojrzenie zatrzymuje się najpierw na moich dłoniach i rękach, potem na moich oczach. I wreszcie znowu czuję ją w umyśle.

*Masz temperament, mały Terraninie.*

*Tylko wtedy, gdy nie mogę nic na to poradzić.*

*Widziałeś. Jakie lanie mi spuścili.*

Zerkam na nią, a potem odwracam wzrok. Bez względu na to, jak dziwna jest taka rozmowa, nie chcę zdradzić przed obserwującymi nas ludźmi, że możemy się porozumiewać. To jedna z nielicznych przewag, jakie tu mamy, a potrzebuję każdej, jeśli mam się stąd wy dostać...

*Tak. Widziałem.*

*Intrygujące.*

*Nie chciałem. Twoje myśli jakby... przelały się do moich.*

Saedii prychna cicho, kręci głową i patrzy na ścianę.

*Naprawdę nie masz pojęcia, co?*

*Co to ma znaczyć?*

Nie odpowiada, jej oczy błyszczą, gdy patrzy na mnie.

*Tu nic nie dzieje się tak, jak powinno, Saedii – mówię do niej. – I sama to dostrzegasz. Widziałem, jak prowadziłaś żołnierzy do walki podczas ataku na Andarael. Jesteś strategiem tak samo jak ja. Oni nawet nie zadawali pytań, kiedy cię bili. Po co w ogóle zawracać sobie tym głowę?*

Saedii zagryza pękniętą wargę. Jej głos niesie się echem w mojej głowie.

*Jeśli akt nie ma celu, to akt sam w sobie jest celem.*

*Lecimy przez Faldę prawie sześć godzin – zwracam jej uwagę. – Przy locie z maksymalną mocą Brama Ziemi była raptem pięć, może pięć i pół godziny od miejsca, gdzie Andarael nas zaatakowała. Powinniśmy już być na miejscu.*

Nie zabierają nas na Terrę – podsumowuje.

Właśnie.

Dokąd nas zabierają?

Z trudem przetykam ślinę, myśląc o niebieskich oczach Cat.

*Nie wiem. Mam pewne podejrzenia. Zastanów się jednak. Zaczynają walkę z flagowym okrętem Nieugiętych, ale dopiero po tym, jak zdałyś powiadomić Gwiazdobójcę o ataku. Wbrew wszelkim szansom udaje im się pojąć wysokiej rangi oficera Nieugiętych. Nie wykorzystują jednak tego w negocjacjach. Nawet cię nie przesłuchali. Zamiast tego zdejmują cię z szachownicy i pozwalają, żeby paru chłopaków z nadmiarem testosteronu złało cię na kwaśne jabłko, podczas gdy w ogóle nie lecimy na Ziemię.*

Saedii mruży oczy, wściekłość błyszczy w fiolecie, gdy naciskam.

*Zastanów się. Dlaczego agenci GAW kierują tą operacją? Dlaczego w ogóle wymierzili pierwszy cios w Nieugiętych? Po dwóch latach starań terrańskiego rządu, żeby trzymać się z dala od wojny?*

Oni chcą wojny – odpowiada wreszcie.

*Wojny z Gwiazdobójcą. Z człowiekiem, który niszczy słońca. Dlaczego mieliby tego chcieć? Co w ten sposób Ziemia może zyskać?*

Saedii patrzy na mnie. Podbite oczy, opuchnięte usta.

Nic.

Bierze głęboki wdech i poza złowrogością i wściekłością widzę inteligencję w jej oczach. Caersan nie wybrałby idiotki na templariuszkę, a pomimo swojej wściekłości Saedii nie jest w gorącej wodzie kąpana. Kiedy wreszcie miała chwilę, żeby zdać sobie sprawę, że nie jestem wrogiem, za jakiego mnie bierze...

*Twoja GAW nie prowokowałaby Caersana, gdyby nie mogła na tym zyskać.*

To nie jest moja GAW.

*Już to mówiłeś. Niezależność Legionu Aurory...*

*Na oddech Stwórcy, nie mówię o Legionie. Mówię, że GAW została zinfiltrowana. Na ile się orientują, cała Globalna Agencja Wywiadowcza może działać przeciwko interesom Ziemi. I całej Galaktyki. A personel TSO na pokładzie tego statku jest zbyt dobrze wyszkolony, żeby kwestionować rozkazy. Nawet te podejrzane.*

Saedii mruga zdumiona, nie kryjąc nieufności w spojrzeniu.

Zinfiltrowana? Przez kogo?

Nie przez kogo, tylko przez co.



Zastanawiam się, ile powinienem jej powiedzieć. Zastanawiam się, w ile uwierzy. Idea Ra'haam, jego planów wobec Galaktyki może ją po prostu przerosnąć. Jednakże z tego, co mówił Kal, Syldranie nadal wierzą w Pradawnych, chociaż reszta Galaktyki uznała ich za mit. A Saedii jest dość bystra, żeby się zorientować, że dzieje się tu coś szalonego. Potrzebuję, żeby ta dziewczyna mi zaufała. Potrzebuję, żebyśmy zaczęli współpracować.

Wróg mojego wroga to mój przyjaciel.

A jeśli nie przyjaciel, to może sprzymierzeniec do czasu, kiedy się stąd wydostaniemy.

Bo prędzej czy później dotrzemy tam, dokąd nas zabierają. A jeśli to jedna z tych planet-wylęgarni, jak podejrzewam, to Ra'haam zdoła nas zainfekować, tak jak zainfekował Cat i kolonistów z Octavii III. Wciągnie nas do swojego umysłu zbiorowego, zasymiluje wszystko, czym jesteśmy i to, co wiemy.

Nie jestem pewien, jak zainfekowani agenci GAW zamierzają to wyjaśnić załodze TSO na pokładzie tego statku. Chyba że planują zainfekować wszystkich tu obecnych.

Może Ra'haam jest dostatecznie pewny siebie.

Może jest aż tak zdesperowany, zwłaszcza że Auri wciąż mu się wymyka.

Może przejrzelśmy jego sekret.

A może znaleźli Broń...

Zaciskam zęby, adrenalina zalewa mi trzewia. Przeciagam ręką po szopie blond włosów i patrzę Saedii w oczy.

*W porządku, usiądź sobie wygodnie, bo będziesz musiała sporo przelknąć.*

– Finian, Zila, słyszycie mnie?

Siedzę na mostku *Zera* i patrzę na szaleńcze odczyty i błyskające światełka na konsoli pilota, kiedy cały statek trzęsie się wokół mnie. W żadnej mierze nie da się powiedzieć, że idzie nam dobrze. Więcej nawet: najprawdopodobniej umrzemy. Jedyna rzecz, która nieco mnie uspokaja, to electropop dudniący ponad tym chaosem – cztery godziny temu odkryłam, jak podłączyć unikron do systemu nagłaśniającego na mostku i teraz w kółko puszczam najnowszy singiel Brittneee Vox „Weź”. Wiem, że jestem ateistką i że najprawdopodobniej zaraz przepadnę w środku jakiejś nieoznakowanej anomalii przestrzennej, ALE, NA ODDECH STWÓRCY, JAK JA UWIELBIAM TĘ PIOOOSENKĘ!

Zanim wszyscy zaczniecie mnie oceniać, chcę, żebyście wiedzieli, że jestem najgorszym pilotem w całej Galaktyce. Nie ma powodu, żeby sadzać mnie za sterami, tak samo, jak nie ma powodu fundować pedicure Wielkiemu Ultrazaurowi z Abraaxis IV. Niektórzy ludzie urodzili się po to, żeby latać – to próbuję wam powiedzieć. Ja urodziłam się, żeby mnie zabierać w różne miejsca. Najlepiej pierwszą klasą z nieprzyzwoicie przystojnym stewardem imieniem Julio, który będzie cały czas wokół mnie skakał.

Statek znowu się trzęsie. Tym razem mocniej.

Brittneee doprasza się z głośników – przyjdź i weź. Nie ma punktów dodatkowych za odgadnięcie, co mam wziąć. Dużo można powiedzieć o tej piosence, ale nikt nie zarzuci jej subtelności.

– Ehm, Finian? – znowu pytam przez system łączności. – Zila?

Pewnie, spotykałam się przez krótki czas z Asem na drugim roku – moja pierwsza przymiarka do świata kosmicznych pilotów, którzy „pewnie, że wiedzą, że są fantastyczni, ale przecież ty też to wiesz”. Do świata, w którym Cat poruszała się z taką łatwością. (Kyle Reznor. Były chłopak nr 19. Plusy: rewelacyjnie całował. Minusy: niekończące się żarty na temat kokpitu). Wiem o lataniu dość, żeby nie zabić nas po drodze na miejsce, ale, szczerze mówiąc, więcej spędziłam czasu na fotelu pilota od naszej ucieczki z *Andarael* niż przez całe moje dotychczasowe życie łącznie.

Informacje przesuwają się ekranach, niepokojące słowa, takie jak: ANOMALIA PRZE-STRZENNA, ALARM ZBLIŻENIOWY I NIEBEZPIECZEŃSTWO. Światła na mostku są szare, bo nadal lecimy przez Falde, ale rozbłyskują naprawdę szybko i różne alarmy, które wyskakują mi na

ekranach, zostały pomocnie podpisane jako czerwone, a ja wiem, że żadna z tych rzeczy nie oznacza nic dobrego. Boję się jednak, że jeśli czegoś dotknę, to tylko pogorszę sytuację.

Statek znowu się trzęsie, jakby zgadzał się ze mną.

Zmysłowym głosem Brittneee pyta, czy „naaaaprawdę tego chcę”.

- Finian? - pytam, znowu włączając mikrofon krtaniowy. - Zilaaa?

Zerkam na Koniczynkę, który siedzi nad konsolą pilota. Smok zerka na mnie czarnymi oczami z guzików. Nic nie mówi, bo jest pluszową zabawką, ale...

- Czuję, że mnie oceniasz - mówię do niego.

- Scar?

Słyszę nutę paniki w głosie Fina. Obracam się do niego na fotelu.

- O, heeejka, Finian - rzucam przeciągle.

Zerka na odczyty za moimi plecami i wytrzeszcza oczy.

- Coś ty zrobiła?

- Poleciałam wzdłuż śladu zostawionego przez sondę, tak jak miałam.

- No tak, ale... - Otwiera oczy jeszcze szerzej na widok centralnego ekranu. - Na oddech Stwórcy, a TO co?!

Nad konsolą wisi holograficzny obraz w dużej rozdzielczości przedstawiający... cóż, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co to jest. Ma z tysiąc kilometrów szerokości, co robi wrażenie dużej rzeczy, dopóki nie przesiedzisz trzygodzinnego wykładu z astrometrii na temat tego, że w głowie się nie mieści to, jak ogromne są rozmiary przestrzeni kosmicznej. Wygląda to trochę jak wir - dziwna, nieustannie obracająca się spirala energii w różnych odcieniach szarości. Całkiem to ładne, jednak, sądząc po tym, w jaki szał wpadły wszystkie przyrządy, to pewnie też bardzo niebezpieczne.

- Skąd to się wzięło? - pyta Fin.

- Wskoczyło przed nami jakieś pięć minut temu.

- Dlaczego nadal lecimy w kierunku tego czegoś? - pyta lekko spanikowany.

- Bo nie możemy się zatrzymać.

- Co?! - Fin porzuca lekko spanikowany ton na rzecz całkowitej paniki.

- Próbowałam zawrócić. Próbowałam wyłączyć silniki. Walnęłam nawet w konsolę pilota, jak to robiła Cat, kiedy się wkurzyła. Komputer nawigacyjny tylko na mnie nawrzeszczał.

Statek znowu dygoce, tym razem bardziej gwałtownie. Koniczynka spada ze swojego miejsca. Finian rozgląda się po mostku, marszczy czoło, słysząc dźwięki dobiegające z głośników.

- O co biega z tym electropopem?

- Och, nie udawaj, że nie jesteś fanem Brittneee.

- Właśnie jesteśmy zasysani do anomalii przestrzennej z prędkością setek tysięcy kilometrów na sekundę i nie mamy kontroli nad silnikami ani systemem nawigacyjnym. Czy nie powinna właśnie wrzeszczeć na nas tona alarmów? Nie powinny wyc syreny i temu podobne?

- Wyłączyłam je.

- CO?!

Obracam się na fotelu, naciskam guzik wyłączający dźwięk na konsoli. Wpadające w ucho tony Brittneee zostają zagłuszone i cały mostek tonie w ogłuszającej kakofonii ostrzeżeń od

komputera nawigacyjnego.

- UWAGA: FLUKTUACJE MOCY RDZENIA...
- SYSTEM NAWIGACYJNY ODŁĄCZONY, POWTA...
- GWALTOWNY WZROST ENERGII W JĄDRZE ANOMALII, ZALEC...

Wciskam z powrotem guzik.

Brittneee pyta Finiana, czy chciałby „wziąć”.

- Widzisz? – pytam. – O wiele przyjemniej.
- Wielki Stwórco, zaraz umrzemy... – oznajmia Fin.
- Nie, nieprawda – rozlega się czyjś głos.

Moja starannie kultywowana fasada spokoju w obliczu pewnej śmierci rozpada się, kiedy zerkam za Fina i widzę dziewczynę stojącą na progu mostka.

- Auri! – wrywa mi się.

Wstaję, żeby ją powitać i objąć. Nie posiadam się z radości widząc ją z powrotem na nogach. Nie mam pojęcia, co przeszła w Echu. Wiem, że aktywność jej mózgu przekraczała wszelkie normy – Zila powiedziała, że ona i Kal przeżywali tam całe tygodnie w czasie kilku minut. Jednakże wyraz jej twarzy, postawa, cała reszta...

Auri się zmieniła.

Wyczuwam to, patrząc w jej dwubarwne oczy. Studiując mowę jej ciała. Nawet powietrze wokół niej jest inne. Aurora emanuje... życiem. Skrzy się determinacją, mocą w takim stopniu, że na jej widok dostaję gęsiej skórki. Widzę Kala nad jej ramieniem, jak zawsze stoi tuż przy niej. Zila jest za nimi, wpatruje się w anomalie, do której jesteśmy gwałtownie wciągani.

- Wiesz, co to jest, Pasażerko na Gapę? – pyta Finian.

Aurora wpatruje się w wir, którego światło odbija się w jej prawej tęczę. Przez sekundę mogłabym przysiąc, że widzę w niej pulsujące w odpowiedzi światło.

- To brama – szepcze.
- Dokąd? – pytam.
- Nie dokąd, tylko do czego. – Auri kręci głową.
- W porządku – odpowiadam. – Zaintrygowałaś mnie. Do czego?

Auri bierze głęboki wdech.

Jej prawe oko błyszczy jak małe słońce.

- Do Broni – odpowiada.

\* \* \*

Wpadamy do anomalii czterdzieści sekund później, w tej samej chwili, w której rozbrzmiewają na mostku pierwsze takty dubpunkowego klasyka – pijackiej pościelowy „Ostatnie uderzenie serca w klubie” zespołu Disasterpiece. Nie jest to tak dobre jak Brittneee, ale cóż, jej nikt nie dorasta do pięt.

W każdym razie z przyjemnością melduję, że nie umarliśmy.

Krajobraz barw Galaktyki zmienia się z monochromatycznego na wszystkie barwy tęczy, które walą mnie prosto w mózg. Kiedy pokonujemy wyłom, a Zero całe dygoce, Aurora stoi

pośrodku mostka z wyciągniętymi rękami i okiem płonącym jak latarnia morska. Stoi spokojnie jak skała, podczas gdy my chwytny się kurczowo czego się da. Mam mgliste przecucie, że gdyby nie było jej z nami, zostalibyśmy rozniesieni przez bramę na rozczarowane subatomowe strzępki. A wpadając w anomalie, poczuliśmy się tylko tak, jakbyśmy oberwali po głowie nagim astrofizykiem.

Było to nieco zabawne.

Niewątpliwie strasznie dziwne.

A nade wszystko bolesne.

A teraz jesteśmy po drugiej stronie. Domyślam się, że anomalia była czymś w rodzaju Bramy Fałdy – ukrytym, na wpół świadomym przejściem, czekającym na kogoś takiego jak Aurora, żeby się otworzyć. Alarmy uspokoiły się, zeszyły prawie do poziomu normalności. Wyłączyłam dubpunka, bo chwila wymaga pewnej powagi. Ponieważ, kiedy wszyscy zbieramy się wokół centralnego wyświetlacza holograficznego, wreszcie możemy zobaczyć, skąd pochodzi sonda. Miejsce, w którym ta podróż – podróż Aurory i nas wszystkich – zaczęła się tysiąclecia temu. Punkt w przestrzeni, w którym Eshvarenowie postawili wszystko na jedną kartę, żeby uniemożliwić Ra'haam zmartwychwstanie.

To jest planeta.

Całkowicie martwa.

Bez życia. Bez wody. Wisi w przestrzeni okolona delikatnym światłem pulsującego czerwonego karła, jałowa i samotna.

– Co to za miejsce? – pytam szeptem.

– Ich dom – odpowiada Aurora, nie odrywając oczu od wyświetlacza. – A przynajmniej to, co z niego zostało.

– Dom Pradawnych – mówi z nabożeństwem Kal.

– Eshvarenów – szepcze Finian.

Aurora wzdycha.

– Szkoda, że nie mogliście zobaczyć, jak to kiedyś wyglądało.

– Nie wykrywam żadnej aktywności tektonicznej – mówi Zila, przyglądając się instrumentom. – Jądro jest całkowicie zamrożone. Atmosfera praktycznie nie istnieje. Żadnych oznak życia. – Rozgląda się po mostku i ostatecznie zatrzymuje wzrok na Aurorze. – Nie ma nawet mikrobów.

– To jest to miejsce – mówi Auri głosem jak ze stali. – Tutaj stworzyli sondę. Tutaj stworzyli Broń. Jestem w stanie... ich widzieć. Wyczuwam ich. – Marszczy czoło i przyciska palce do skroni. – Ich echo. Ich głosy.

Patrzy na Kala, sięga po jego rękę.

– Wiem, dokąd powinniśmy się udać.

Kal kiwa głową, oczy mu błyszczą.

– Podążę za tobą aż po kres wszystkiego, be'shmai.

Reszta z nas wygląda na zmęczonych, podminowanych, w połowie drogi między sfatygowaniem a śpiączką. Jak zwykle każdy srebrny włos Kaliisa Idrabana Gilwraetha znajduje się na swoim miejscu. Jednak on też się zmienił.

W sposób, którego nie umiem jeszcze nazwać.

– Co się stało w Echu? – pytam, patrząc na tę dwójkę.

– Czy twój trening był udany? – docieka Zila. – Potrafisz posługiwać się Bronią?

Auri patrzy na martwy świat pod nami. Wyczuwam w niej ogień. Żar płonący jak słońce. Ale też... niepewność?

Patrzy na Kala. Zaciska zęby i pięści.

– Najpierw ją znajdziemy.

\* \* \*

Lądujemy siedemnaście minut później po locie bez najmniejszego tarcia z pozbawionego atmosfery nieba nad światem Eshvarenów. Zila uprzejmie sugeruje, żebym oddała jej kontrolę nad statkiem, to znaczy tak uprzejmie, jak potrafi. Spędziłam tyle czasu przy sterach, że z ulgą przyjął fakt, że teraz naszym statkiem pokieruje ktoś, kto ma jakieś pojęcie o lataniu.

Nie ma już na tym świecie oceanów ani kontynentów. Lądujemy gdzieś w okolicy południowego bieguna. Zila sadza statek idealnie – słabe, stumione dudnienie i cichy brzęk systemu nawigacyjnego to jedyne wskaźniki tego, że w ogóle wylądowaliśmy.

– Popisujesz się – mówię z uśmiechem.

– Tak. Ale nie zakochuj się we mnie, Scarlett, bo tylko złamię ci serce.

Śmieję się i mrugam do niej znacząco.

– Jestem dla ciebie za wysoka, zapomniałaś?

Zila krzywi usta w uśmiešku i odgarnia czarny lok za ucho. Zauważam, że jej spojrzenie zatrzymuje się na mnie, chociaż zwykle szybko odwraca wzrok.

Ciekawe...

Wkrótce zbieramy się w hangarze i szykujemy sprzęt. Zero zostało wyposażone także w odpowiednią liczbę skafandrów planetarnych dla całej drużyny. Są zwaliste, brzydkie, bure, dopasowane do naszych rozmiarów i schludnie złożone w szafkach opisanych naszymi imionami. Zila pomaga Finowi wciągnąć swój na egzozskielet. Auri i Kal pomagają sobie wzajemnie ze swobodą ludzi, którzy zdecydowanie, bez wątpienia, na sto procent sypiają ze sobą.

Szczęściara.

Oczywiście moje myśli na temat zajęć dodatkowych Pana Idealna Fryzura i Panny Zapalniczki urywają się brutalnie na widok szafki Tylera. Wystarczy jedno spojrzenie na imię wypisane na metalu, żeby żołądek mi się zacisnął. Mimo tego, gdzie jesteśmy, mimo skali naszego przedsięwzięcia, łapię się na tym, że potwornie się o niego martwię. Wiem, że ratujemy tu całą cholerną Galaktykę i robimy dokładnie to, co Tyler rozkazał nam robić. Ale to mój brat bliźniak. Nieustannie zastawiam się, co się z nim dzieje, i nadal mam nadzieję, modłę się, żeby nic mu nie było.

Fin najwyraźniej to wyczuwa, bo przysuwa się i próbuje rozładować napięcie.

– Dobrze, że te skafandry zostały tak pomyślane, żeby sporo wytrzymały – żartuje, kiwając na spektrograf obok drzwi hangaru. – Bo tam na zewnątrz pogoda zdecydowanie nie nadaje się na bikini.

- Szkoda. - Uśmiecham się słabo w odpowiedzi. - Wyglądam oszałamiająco w dwuczęściowym.

- Co za zbieg okoliczności, ja też.

Ten żart kiepsko mu wychodzi; Fin zerka na szafkę Tylera i z trudem przelyka ślinę.

- Nic mu nie będzie, prawda?

- Pewnie. - Wzdycham.

- Serio - mówi Fin, rozglądając się po pozostałych w poszukiwaniu wsparcia. - Jak już załatwimy tu, co trzeba, to polecimy po niego, Scar.

Kal kłania się - to po syldrańsku oznacza skinienie głową.

- Przysięgam na swój honor.

- Oczywiście - przytakuje mu Auri.

- Wiem, że nie jest ci łatwo, Scarlett, ale podążamy właściwą ścieżką - mówi dalej Kal, przyglądając mi się uważnie oczami ślicznymi jak z obrazka. - Ze wszystkich ludzi właśnie Tyler Jones najlepiej by to zrozumiał.

Prostuję się nieco. Podniesiona na duchu przez tych ludzi, przez członków mojej drużyny, którzy stali się moimi przyjaciółmi, przez przyjaciół, którzy stali się moją rodziną.

Pociągam nosem i kiwam głową, zakładam hełm od skafandra.

- Wiem, że zrozumiałby.

Fin klepie mnie trochę niezręcznie po ramieniu.

- W porządku - mówię. - Znajdźmy tę cholerną pukawkę.

Ładujemy się do śluzy powietrznej i wkrótce wychodzimy na zamrożoną powierzchnię planety Eshvarenów. Zerkam na Aurorę, przypominając sobie ostatni raz, kiedy to robiliśmy - na Octavii III. Była wtedy kłębkim nerwów, nie mogła pogodzić się z tym, kim jest. Teraz jednak przewodzi nam, maszeruje przez rozpadający się świat. Krajobraz jest szary i pozbawiony życia. Arktyczny wiatr wieje z prędkością setek kilometrów na godzinę, ale atmosfera jest tak rzadka, że ledwie to odczuwamy.

Nawet powietrze w tym miejscu jest martwe.

Kal i Zila niosą karabiny-dezelatory, ja i Fin idziemy z rękami na pistoletach. Nie czujemy rzeczywistego zagrożenia, idąc za Auri. Nie ma tu niczego zbliżonego do przedziwnej, niezemskiej wrogości, z jaką zetknęliśmy się na Octavii III. Uderza mnie niesprawiedliwość tego, że Ra'haam nadal trwa, a rasa, która oddała wszystko, żeby go zniszczyć, skończyła w taki sposób. Ogarnia mnie smutek. Robi mi się zimno mimo skafandra.

Maszerujemy przez dwadzieścia minut stale wznoszącym się stokiem, aż wreszcie wchodzimy na urwisko z widokiem na potężny krater uderzeniowy - ogromne, koliste zagłębienie w skórze martwego świata, sięgające po horyzont. Jednak pośrodku ze zdumieniem widzę...

- Drzwi - szepcze Finian.

A przynajmniej tak to wygląda. Są ogromne - mają co najmniej dziesięć kilometrów. Otwierają się jak usta skierowane w niebo i prowadzą do rozległego, ciemnego przejścia. Powierzchnia planety to pustkowie, ale wewnątrz tunelu robi wrażenie nietkniętego przez żywy.

- Powinny... być otwarte? - pytam.

Zerkam z ukosa na Aurorę i wyczuwam napięcie buchające z niej falami.

– Be'shmai? – pyta Kal, patrząc na nią uważnie.

– Tu wznosiło się kryształowe miasto – mówi do niego nie do końca własnym głosem. – Tu...

Kręci głową.

– Trzymajcie się mnie, wszyscy. Trzymajcie się razem.

Wyciąga ręce, nadal wpatrując się w przepaść pod nami. Kal bierze ją za prawą, ja za lewą i trzymam mocno. Zila łapie za rękę Kala, Finian splata palce ze mną i ściska lekko moją dłoń, żeby dodać mi otuchy.

– Wszystko w porządku, Pasażerko na Gapę? – pyta Auri Fin.

– Po prostu trzymajcie się – odpowiada.

Czuję mrowienie na karku. Moc, pęd, tłustawy posmak w powietrzu. I bez ostrzeżenia zostają uniesiona w bezbarwne niebo.

Łapię gwałtownie powietrze, przez chwilę kusi mnie, by pisnąć po dziewczynsku. Patrzę na Aurorę i widzę jej zaciśnięte usta, oko płonące oslepiającym białym światłem. Zdaję sobie sprawę, że to jej robota – porusza nami samą mocą umysłu.

Kiedy Ra'haam zaatakował nas na Octavii III, też przeniosła nas w bezpieczne miejsce. Utrzymała Ra'haam z dala od nas, ale ledwie nad tym panowała. Mam przecucie, że nie była wtedy do końca sobą, ale jedynie marionetką własnej mocy. Teraz widzę jednak, wręcz czuję, że jest w pełni sobą. To Aurora kieruje darem od Eshvarenów i robi to po mistrzowsku. Unosi nas jak dziecinne zabawki ponad zniszczonym krajobrazem w dół krateru, a potem w długi, ciemny tunel.

– Rety – mówi Finian, obserwując twarz Aurory.

– Popieram – mruczy Zila.

Zagłębiamy się w tunel, przyśpieszamy pod wpływem woli Aurory. Czuję, że każde z nas świetnie się bawi, każde reaguje na ten pokaz nowo odkrytej mocy w inny sposób. Kal przyjmuje to najlepiej – pewnie miał już przedsmak tego w Echu. Wyczuwam uwielbienie, z jakim patrzy na swoją dziewczynę, podziw, że zaszła tak daleko. Z drugiej strony wychwytyuję też jakąś niepewność. Nie mam pojęcia, czego dotyczy.

Zila patrzy na Auri z czymś w rodzaju fascynacji. Sprawdza odczyty na unikronie. Ten jej wielgachny mózg wchodzi na najwyższe obroty. Fina zatkało, a mnie razem z nim. Niecały dzień temu Auri była drobnym przestraszonym dzieckiem, który bał się posługiwać tym, co się w nim kryje z obawy o ludzi wokół. A teraz kieruje tą mocą, jakby się z nią urodziła. Jakby dokładnie to miała robić.

Zostawiamy za sobą powierzchnię. Światło czerwonego karła, wokół którego planeta krąży, słabnie, ale blask z oka Auri oświetla tunel przed nami. Szyb ma kilometry szerokości. Jest tak wielki, że nie widzę krańców. Kamień jest idealnie gładki, w warstwach skał osadowych, które przecinamy, wycięto piękne wzory. Czujniki skafandra ostrzegają mnie, że temperatura spada, grawitacja wzrasta, nasza prędkość rośnie. Patrzę na Auri nieco zaniepokojona, ale ona sprawia wrażenie, jakby nad wszystkim panowała, ma determinację wypisaną w każdej linii twarzy.



Skała ścian zmienia się w tęczy kryształ. Temperatura na zewnątrz naszych skafandrów spada poniżej stu stopni. Słyszę, jak serce tłucze mi się o żebra. Tunel ciągnie się tak długo i jest tak całkiem pusty, kiedy lecimy w kierunku jądra martwego świata, że już mam coś powiedzieć, już otwieram usta, kiedy...

- Wielki Stwórco... - szepcze Finian.

Przed nami tunel otwiera się na ogromną komnatę. Gigantyczna pusta przestrzeń wycięta głęboko pod powierzchnią świata Eshvarenów jest pokryta kurzem milionów lat. Widzę dziwaczne struktury o nieodgadnionym przeznaczeniu zrobione z tego samego krysztalu, którym obłożono ściany. Wrażenie ogromu przestrzeni, jej całkowitej obcości jest niemal przerażające. Wszyscy rozglądamy się zdumieni i jesteśmy pod wrażeniem tych niemożliwych kształtów, lśniących i zmieniających się w świetle oka Aurory.

- Co to za miejsce? - pytam szeptem.

- Jakaś... pracownia? - mruczy Finian.

- Fabryka broni - mówi Zila.

Podlatujemy ku środkowi, pomiędzy obcą maszynериę, a w mojej piersi narasta uczucie podniecenia. Cały poświęcony czas, straty, jakie ponieśliśmy - to wszystko było tego warte. Widzę przed nami potężne rusztowanie wznoszące się w ciemności. Wyczuwam uniesienie Aurory przelewające się do mnie, dreszczyk odkrycia, myśl, że chociaż musimy stawić czoło potężnemu wrogowi, możemy wygrać w tej wojnie, że Ra'haam może zostać pokonany, bo dziewczyna obok mnie, ta małeńka elektrownia, która dudni ciemnogrnatową mocą, jest Zapalnikiem i teraz nareszcie...

...mamy Broń.

Docieramy do kryształowego rusztowania. Wysokiego jak wieżowce. Szerokiego jak miasto. Wysiłam wzrok, żeby przebić ciemność, szukam klucza do tego wszystkiego.

- Ehm... - mruczy Finian.

- Aha... - Marszczę czoło. - Ehm.

- O, nie - szepcze Aurora.

- Be'shmai? - mruczy Kal.

- Nie, nie, nie...

Wszyscy patrzymy na Auri, na jej twarz i nie trzeba wytrenowanego przez Legion dyplomaty, żeby wiedzieć, że coś tu jest potwornie nie tak. Wznosimy się w ciemności, kluczymy wśród rusztowań, wokół nas migocze kryształ. To oczywiste, że rusztowanie zbudowano, żeby coś podtrzymywało. I chociaż to jest całkowicie obca konstrukcja, wszyscy łatwo możemy stwierdzić, że jest pusta.

Kiedy lży spływają po policzkach Auri, jej twarz się krzywi, kiedy czuję, jak powietrze faluje, gdy jej frustracja, zgroza i rozpacz w końcu wypływają na wierzch, znam już potworną prawdę.

- Broni tu nie ma - szepczę.

Patrę na Finiana, Zilę, Kala i wreszcie na Aurorę.

Serce zaciska mi się w piersi, gdy Aurora szepcze:

- Broń przepadła.

Wracamy do *Zera*. A potem do *Faldy*.

Nie wiemy, co teraz robić.

Szkoda, że nie ma tu Tylera. Tak bardzo tego żałuję, że to uczucie jest jak nóż wbity między żebra. Dzieliłiśmy razem łono, dzieliliśmy się wszystkim i kiedy teraz go zabrakło, gdy drżyny jest pozbawiona dowódcy i steru, do wszystkich dociera, jak bardzo go potrzebujemy. Stoimy na mostku *Zera*, barwy znowu zostały zredukowane do czerni i bieli.

Aurora krąży w kółko z tak ponurą miną, jakiej jeszcze u niej nie widziałam. Kal stoi z boku, marszczy czoło w zamyśleniu. Fin stanął naprzeciwko mnie przy centralnej konsoli, przegląda wiadomości, a Zila zajęła miejsce u szczytu konsoli, gryząc czarne pasmo włosów.

- Jak to możliwe, że zniknęła? - pytam. - Jak to w ogóle możliwe?

- Nie wiem - odpowiada Auri drżącym głosem.

Finian kręci głową.

- Przejście przez anomalie zniszczyłoby każdy normalny statek. I żeby dowiedzieć się, gdzie ona się znajduje... musieliby znaleźć sondę.

- Albo Pradawni musieliby wyjawić im lokalizację - odzywa się Kal.

Odpowiedź jest oczywista.

- Inny Zapalnik - mówi Zila.

Auri zaciska usta.

- Eshvaren powiedział, że mogli być inni przede mną. Echo resetuje się, kiedy ktoś je opuszcza, a plan działa od miliona lat. Powiedzieli jednak też, że ktokolwiek przyszedł przede mną, musiał zawieść, bo Ra'haam wciąż żyje.

Kręci głową, powietrze wokół niej faluje od jej frustracji.

- Nie rozumiem!

Finian zaczyna rzucać różnymi pomysłami:

- Może ten inny Zapalnik zakończył trening, wziął Broń, a potem... Sam nie wiem... Spadł ze schodów, udułwił się cresh-pączkiem czy coś takiego?

- Może ukończył trening - odzywa się Kal, patrząc na Aurorę. - A potem wycofał się w obliczu ceny, jakiej wymagało pokonanie Ra'haam?

Auri patrzy na Kala i odpowiada cicho:

- Nie rozmawiajmy o tym, dobrze?

Zila unosi brwi o dwa milimetry, co w jej przypadku praktycznie jest krzykiem przerażenia.

- Jakiej ceny?

- To nieważne - jeży się Auri. - To nie ma znaczenia, bo nawet nie ma tam tej przeklętej Broni! - Powietrze wokół niej skrzy się, blade światło rozpala jej tęczę. - Po tym wszystkim! Po wszystkim, co musieliśmy przejść, ktoś ukradł nam ją tuż spod nosa! Motyla noga, aż chce mi się... krzyknąć.

Zerkam na Kala, ale ten dobry chłopak już wziął się do roboty - bierze Auri w swoje jakże atrakcyjne ramiona. Całuje ją czule w czoło, gładzi włosy.

- Wszystko będzie dobrze, be'shmai - obiecuje. - Zaufaj temu. Zaufaj nam. Słońce wzejdzie.

Aurora zapada się w jego objęciach, a ja przyglądam im się i dociera do mnie, jak bardzo się związali. Wyczuwam, że więź między nimi pogłębiła się w czasie, jaki spędzili w Echu, nasze godziny były dla nich miesiącami. Miłość. I ja, pożeraczka serc, pogromczyni zalotników, która ma w swoim czarnym notesiku ponad pięćdziesiąt potwierdzonych ofiar, zastanawiam się, czy kiedykolwiek miałam kogoś, kto znaczyłby dla mnie tyle, ile oni znaczą dla siebie.

- Ehm - mruczy Finian.

Zerkam na naszego Machera, jego wielkie czarne oczy są skierowane na ekrany.

Staram się, jak mogę, żeby naśladować Tylera, gdy unoszę brwi i pytam:

- Czy chce się pan czymś podzielić z resztą klasy, legionisto de Seel?

Bez słowa rusza zakończonym metalem palcem, jego egzozskielet szumi cicho, gdy przesuwa wiadomość na wyświetlacz holograficzny nad główną konsolą. To komunikat z TerraNetu, najbardziej wiarygodnego źródła informacji na Ziemi. Słowa „najnowsze informacje” przesuwiają się na pasku na dole ekranu. Widzimy nagranie przedstawiające potężną syldrańską armadę, tysiące tysięcy statków sunących jak rekiny przez Fałdę.

Nigdy w życiu nie widziałam większej floty.

- Amna diir - szepcze Kal.

Fin przyciska inny guzik, włączając dźwięk.

- „...armada Nieugiętych gromadzi się obecnie w Fałdzie w pobliżu Bramy do przestrzeni terrańskiej. Siły terrańskie na razie nie podjęły działań, zamiast tego gromadzą się wewnątrz Układu Słonecznego w szyku obronnym. Admirał Emi Hotep, dowódca Terrańskich Sił Obronnych, wystosowała oświadczenie godzinę temu”.

Pojawia się obraz poważnej kobiety o brązowej skórze i krótkich, ciemnych włosach, w niegagannym mundurze oficera TSO.

- „Wysłałam tę wiadomość na wszystkich kanałach, zwracając się do floty Nieugiętych: chociaż dzieliły nas w przeszłości różnice, Syldranie są przyjaciółmi Ziemi. Uważamy was za honorowych ludzi, urodzonych wojowników, i nie pragniemy podejmować wrogich działań wobec Nieugiętych. Jeśli jednakże syldrańskie statki naruszą terrańską przestrzeń, odpowiemy z całą siłą”.

Na ekranie pojawia się Betraskanin w mundurze oficera. Na pasku pod nim widnieje podpis:

NADKOMENDANT KLANÓW ANALI DE TREN.

- „Betraskanie zawsze walczą o pokój w swoich sercach, w swoich domostwach, na swoim niebie. Jeśli jednak jakikolwiek świat lub siła podejmie nieuzasadnione wrogie kroki, Trask stanie u boku naszych terrańskich sojuszników”.

Serce mi się zaciska, gdy rozglądam się po mostku. Widzę tę samą rozpacz na twarzach mojej drużyny. Galaktyka stoi o krok od wojny.

Przekaz trwa:

– „Dodatkowo niepokojące jest to, że w obrębie syldrańskiej floty wykryto nieznaną statek. Dowództwo TSO odrzuciło twierdzenia o „superbroni”, ale nie można ignorować losu, jaki zgotował przywódca Nieugiętych, archont Caersan, znany jako Gwiazdobójca, swojemu ojczystemu światu, ataku, w którym zginęło dziesięć miliardów Syldran. Kilka chwil temu, zanim nasz dron został zniszczony, TerraNet zdołał zdobyć zdjęcia nieznanego syldrańskiego statku”.

W przekazie pojawia się teraz obraz armady sunącej przez Fałdę. I znowu uderzają mnie jej rozmiary, siła ognia, po jaką Gwiazdobójca sięgnął, żeby wziąć odwet za atak na *Andarael*.

– Caersan wziął ten incydent bardzo do siebie – mruczy Finian.

– Aha. – Kiwam głową. – Ciekawe, dlaczego...

– Ja piórkuję – szepcze Auri, wytrzeszczając oczy.

Kal pobladł, twarz ma ściągniętą, gdy patrzy na wiadomości, okrucy strachu i smutku przeblyskują przez szpary w jego masce lodowatego syldrańskiego spokoju. Słyszając jednak coś w głosie Auri, odwraca się do niej.

– Tak, be’shmai?

Patrzę na ekran. Zdjęcia są rozmazane, kilka kadrów zrobionych w sekundę albo dwie, zanim dron TerraNetu został zniszczony. Widać statek między sylwetkami dwóch syldrańskich pancerników. Jest potężny. To spokojnie największy statek, jaki w życiu widziałam. Ma kilometry długości, jest wielki jak miasto. Przez kontrast z gładkim czarnym metalem syldrańskich okrętów rzuca się w oczy dziwny stożkowaty kształt, trochę podobny do oboju lub klarnetu. I wygląda, jakby był zrobiony z...

Kryształu?

– Motyla noga, to ona – szepcze Auri.

Fin dziwi się.

– Co takiego?

– To ona – mówi Auri, podnosząc głos. – To Broń! To Broń Eshvarenów!

Cisza aż dzwoni na mostku, gdy pomału szokująca informacja do nas dociera. Zastanawiam się gorączkowo, serce mi wali jak szalone. To, co niemożliwe, zaczyna do mnie trafiać.

– Aurora miała posłużyć się Bronią, żeby zniszczyć światy-nasiona Ra’haam – odzywa się cicho Zila. – A Gwiazdobójca w jakiś sposób zniszczył syldrańskie słońce.

– Właśnie w taki sposób tego dokonał! – szepcze Auri. – Posłużył się Bronią przeciwko własnemu światu!

– Czyli Caersan... – szepcze Fin.

– Jest kolejnym Zapalnikiem? – pytam.

Kalowi oczy robią się okrągłe ze zgrozy.

– Sai’nuit – szepcze, wpatrując się w ekran.

– Co to znaczy? – pyta Fin.

– Gwiazdobójca – odpowiadam cicho.

– „Ta wiadomość właśnie do nas nadeszła” – informuje TerraNet. – „Transmisja jest wysyłana z floty Nieugiętych wszystkimi kanałami na wszystkich częstotliwościach. Pokażemy ją teraz na żywo”.

Obraz Broni znika i zastępuje ją mężczyzna.

Jest wysoki, nosi czarną ozdobną syldrańską zbroję, ciemna peleryna zwiesza się z jego szerokich ramion. Twarz ma bladą i gładką, tak piękną, że można by dla niej umrzeć, z kośćmi policzkowymi ostrymi jak brzytwa i przeszywającym spojrzeniem fiołkowych oczu. Srebrne włosy nosi zaplecione w dziesięć warkoczy opadających na jedną stronę twarzy. Uszy zwięzają mu się ostro, między jego siwymi brwiami widnieje symbol Zbrojnych. Jest świetlisty, posępny i straszny, jarzy się mrocznym blaskiem. Już na sam jego widok dostają gęsiej skórki, żołądek mi się burzy i serce trzepocze.

Ten mężczyzna dowodził atakiem na Oriona.

Ten mężczyzna zabił mojego ojca.

A potem odzywa się i chociaż to okropne, to jakaś cząstka mnie zakochuje się w melodyjności jego głosu.

– „Jestem Caersan. Archont Nieugiętych. Pogromca Gwiazd”.

Rozglądam się po mostku i widzę, że jego widok w jakimś stopniu wstrząsnął wszystkimi. Auri jeży się mocą, wściekłością i strachem, Fin osunął się na fotel, Zila kręci głową, gryząc pasemko włosów. Kal jest blady jak śmierć, splata ręce, żyłka pulsuje mu na szyi. Z nas wszystkich on wygląda najgorzej: jakby ktoś otworzył mu żyły w nadgarstkach i wykrwawił na podłogę do ostatniej kropli. Jest ewidentnie przerażony, wstrząśnięty do szpiku kości widokiem potwora, który zniszczył jego planetę.

Caersan znowu się odzywa. Każde słowo jest jak uderzenie błyskawicy.

– „Moje siły zgromadziły się na obrzeżach terrańskiej przestrzeni. Nie ma zwycięstwa w walce z Nieugiętymi. Ludu Ziemi, usłysz mnie. Daję wam jedną szansę. Jeden wybór. Jedną ścieżkę, która może ocalić waszych ludzi, wasz świat, wasze słońce, od zniszczenia, jakie czeka was pod moimi pięściami”.

Gwiazdobójca piorunuje wzrokiem kamerę i wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale przysięgam, że czuję jak jego wzrok przepala mi duszę.

– „Jeden z moich templariuszy został pojmany przez terrańskie siły podczas potyczki w Fałdzie. Daję wam dwanaście godzin na jej uwolnienie”.

Zerkam na Kala i szepczę:

– Saedii...

– „Jeśli pod koniec tego czasu ona do mnie nie wróci, zniszczę wasze słońce. Skażę cały wasz świat na zapomnienie w Pustce. Jeśli stanie się jej krzywda podczas uwięzienia, zapamiętajcie jedno: za każdą sekundę jej cierpienia, odpłacę się waszej rasie po dziesięcio- i tysiącokroć. Nie zadowolę się zniszczeniem waszej planety. Poświęcę stulecia życia, jakie mi zostały, na polowanie na wasz rodzaj, aż nie pozostanie ani jedna żywa istota ludzka w Galaktyce.”

Caersan pochyla się i piorunuje wzrokiem obiektyw. A potem wypowiada cztery proste słowa, które sprawiają, że cała Galaktyka zwała nam się na głowy.

– „Oddajcie mi moją córkę”.

I wiadomość się urywa.

Nie mogę zaczerpnąć tchu.

Nie mogę patrzeć.

Nie mogę mówić.

Myśl zalewa mnie jak czarna lodowata woda. Jej ciężar uderza mnie w pierś tak mocno, że kładę rękę na obolałym sercu.

- Córka... - udaje mi się wykrztusić.

Wszyscy patrzymy na Kala, a on wpatruje się w Auri ze zgrozą w oczach. Tę samą zgrozę widzę w jej wzroku i wyczuwam we własnym spojrzeniu.

- I'na Sai'nuit - szepcze Aurora drżącym głosem. - Tamci Nieugięci na Statko-Świecie... Tak cię nazwali, kiedy Tyler posłużył się twoim imieniem.

- Be'shmai, błagam - prosi. - Pozwól mi wyjaśnić...

I'na Sai'nuit.

Syn Gwiazdobójcy.

- Jesteś jego synem.

Wstaję powoli, nogi mi się trzęsą, krzywię twarz, gdy łzy spływają mi po policzkach.

Nie mogę w to uwierzyć. Byliśmy tak bardzo ślepi.

- Jesteś synem tego łajdaka.

# **CZĘŚĆ 4**



**CIEŃ NA SŁOŃCU**

„Powiedz jej prawdę”.

To mówił liścik. Wiadomość doręczona mi przez niewiarygodny, niewyjaśniony zwrot w czasie. To nie ja go odkryłem. Mimo to wiedziałem w głębi serca, że wiadomość jest skierowana do mnie. I widząc ból w jej oczach – tej, która jest dla mnie wszystkim, a teraz być może stanie się dla mnie niczym – wiem, że powinienem był posłuchać.

– On jest twoim ojcem? – pyta mnie zdumiona Aurora.

Dlaczego nie dałem jej prawdy, kiedy ona dała mi tak wiele?

Bo się bałem.

– Be’shmai... – szepczę.

– Powiedziałeś mi, że on nie żyje – mów i lży wzbierają jej w oczach. – Powiedziałeś mi, że zginął na Orionie. Okłamałeś mnie.

– Nie kłamałem – mówię i uszy mi się rumienia. – On nie żyje. Dla mnie on nie żyje.

Finian kręci głową wstrząśnięty.

– Na oddech Stwórcy, Kal...

– Umarł dla mnie w dniu, kiedy wybrał dumę zamiast lojalności – niemal krzyczę. – Umarł w dniu, kiedy odrzucił na bok honor na rzecz zwycięstwa. Zabił dziesiątki tysięcy żołnierzy na Orionie pod sztandarem oszustwa i na zawsze pozostał martwy w moim sercu. On nie jest moim ojcem. – Zaciskam pięści. – A ja nie jestem jego synem.

Czuję furję. Szepcze we mnie.

„Poniżasz się przed tymi robakami? Urodziłeś się wojownikiem. My, Syldranie, nazywaliśmy gwiazdy naszym domem, kiedy te robaki jeszcze nie zeszły z drzew. Nie jesteś im nic winien, Kaliisie”.

– Milcz – warczę.

On nie słucha. Znowu się odzywa.

Mówi głosem mojego ojca.

I’na Sai’nuit.

Jednakże głos Scarlett go zagłusza.

– On zabił mojego ojca.

Patrzę na Scarlett, gdy się odzywa, i widzę zdradę. Policzki ma mokre od łez, dolna warga jej drży. Mimo to mówi głosem twardym jak żelazo.



- Zabił mojego tatę, a ty o tym wiedziałeś. Wiedziałeś, co on zrobił. Co nam odebrał. Patrzyłeś nam w oczy i nie zdradziłeś się nawet słowem. Mieliśmy prawo wiedzieć. - Kręci głową z odrazą. - Zamiast tego miałaś chelność udawać naszego przyjaciela.

- Scarlett, ale ja jestem waszym przyjacielem.

- Naraziłeś nas wszystkich na niebezpieczeństwo! - krzyczy. - Saedii ściagała ciebie dla niego! Gdyby nie ona, gdyby nie ty, nigdy nie znaleźlibyśmy się na pokładzie *Andarael*! Tyler nie zostałby złapany przez TSO! Ra'haam nie miałby jak sprowokować twojego przekłętego ojca do wojny, w której spłonie cała Galaktyka! - Piorunuje mnie wzrokiem, podpierając się pod boki pięściami. - To twoja wina!

Zila odchrząkuje cicho.

- Scarlett, to lekka przesada...

- Tak? - krzyczy Scarlett. - Myślisz, że gdyby powiedział nam, kim jest, to kiedykolwiek zostałby przyjęty do tej drużyny? Że zostałby przyjęty do Akademii Aurory? - Odwraca się do mnie i mruży oczy. - Założę się, że skłamałeś, składając podanie, co? Adams i de Stoy za nic w świecie nie przyjęliby do Legionu syna najbardziej niesławnego mordercy w Galaktyce. Za nic!

Patrzę jej w oczy i zaciskam usta. Czuję, jak gniew wzbiera we mnie, ale dławię go z całej siły.

- No więc? - dopytuje się Scarlett.

- Po Orionie przyjąłem nazwisko matki - przyznaję. - Nie chciałem mieć nic wspólnego z Caersanem i Nieugiętymi. Wstąpiłem do Akademii Aurory, bo chciałem odpokutować za to, co on zrobił! Wiedziałem jednak, że dowódcy nigdy nie pozwoliliby mi wstąpić do Legionu, gdyby wiedzieli, kim naprawdę jestem.

- Czyli kłamałeś - mówi Scarlett.

Tracę nad sobą panowanie.

- To nie była ich sprawa!

- Ale była nasza! On zabił naszego tatę! - warczy, patrząc na pozostałych i upewniając się, że jej cios trafił w cel. - Chcesz wyznać nam coś jeszcze, skoro już przy tym jesteśmy? Masz na imię Kaliis, co? Czy na ten temat też skłamałeś?

Wszyscy patrzą wtedy na mnie. Nawet Aurora i na ten widok serce mi pęka. Widzę, jak ta myśl przebiega przez głowy ich wszystkich - może wszystko w związku ze mną było oszustwem. Może w ogóle mnie nie znają.

- Jestem Kaliis - mówię. - Scarlett, przecież mnie znasz.

Ona jednak kręci głową, ztraca się w swoim słusznym gniewie.

- Nic na twój temat nie wiem, ty elfi łajdaku. Wiem tylko, że nie możemy wierzyć w ani jedno słowo, które pada z twoich ust.

Zila gryzie zaciekle włosy, ewidentnie zdenerwowana tą konfrontacją. Garbi się, chowa się w sobie.

Finian odzywa się cicho:

- Wiedziałeś, że twój tata... - Kręci głową i patrzy na mnie ewidentnie zraniony. - Wiedziałeś, że Gwiazdობójca jest Zapalnikiem? Że ma Bron?

- Nie - odpowiadam z uporem. - Nie miałem pojęcia. Moja matka i ja opuściliśmy go wiele lat temu. Miałem jedenaście lat, kiedy ostatni raz widziałem go na własne oczy, i nie miał wtedy żadnych darów Aurory. Wędrował latami od czasu Oriony. Może odkrył inną sondę w Faldzie podczas swoich podróży. Może natknął się na bramę albo...

- Albo może kłamiesz na ten temat tak jak kłamałeś na każdy inny - warczy Scarlett.

- Nie kłamię!

Finian patrzy mi w oczy.

- Skąd mamy to wiedzieć? Jak możemy wierzyć w jakiegokolwiek twoje słowa?

Serce zaciska mi się w piersi. Czuję, jak zwracają się przeciwko mnie, zdrada, jaką odczuwają, zaślepia ich na to, kim byłem. Zwracam się więc do tej, która zna mnie najlepiej.

- Auroro...

A ona patrzy na mnie, jakbym ją spoliczkował. Przypominam sobie, że jako dziecko widziałem ten sam wyraz oczu u matki, gdy patrzyła na mojego ojca. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie jest mężczyzną, za jakiego go uważała.

- Auroro, przepraszam - mówię. - Wybacz mi, proszę.

- Okłamałeś mnie - odpowiada. - Tamtej nocy w moim pokoju. Kiedy pierwszy raz... - Kręci głową i obejmuje się ciasno rękami. - Kiedy opowiedziałeś mi historię o swoich rodzicach. Patrzyłeś mi w oczy i kłamałeś.

- On naprawdę dla mnie nie żyje. Mój ojciec zginął na Orionie, be'shmai. Umarł znowu, gdy spalili mój świat na popiół. Kiedy odebrał mi matkę. Potem zostało już tylko to, czym się stał. Sai'nuit. - Wyrzucam z siebie to imię, jakbym splunął. - Gwiazdობჯა.

Robię krok naprzód, a ona się cofa. Serce mi krwawi, pęka w piersi. Powinienem być się tego spodziewać. Nigdy w życiu nie czułem się równie bezradny i pozbawiony nadziei jak właśnie teraz. Czuję, że wymyka mi się przez palce z każdym oddechem.

- Próbowałem ci powiedzieć - mówię. - W Echu. Tamtej nocy na łące. Próbowałem powiedzieć bez względu na cenę, ale powiedziałaś mi, że nie jestem tym, na kogo mnie wychowywano. Powiedziałaś mi, że jutro jest warte tysiąca dni wczorajszych. Pamiętasz?

- Pamiętam - szepcze. - I pamiętam, że powiedziałaś, że przeszłość czyni nas tym, kim jesteśmy. Powiedziałaś, że miłość to cel.

- Bo tak jest.

- Ale jak możesz mówić, że mnie kochasz? - pyta zdumiona. - Skoro potrafisz kłamać mi prosto w oczy? Jak mogę powiedzieć, że cię kocham, skoro...

Kręci głową. Łzy lśnią jej na rzęsach.

- Skoro nawet nie wiem, kim jesteś?

- Znasz mnie - mówię błagalnie. - Jesteś moim księżycem i słońcem. Jesteś dla mnie wszystkim.

Łzy nie spadają. Zlatują z takim hukiem, że statek się trzęsie. Patrzę na Finiana, Zilę, Scarlett, rozpaczliwie szukając ulaskawienia.

- Walczyłem razem z wami. Krwawiłem dla was. Nie znam domu, odkąd Gwiazdობჯა mi go odebrał, poza tym, który znalazłem przy was. - Walę pięścią w serce. - W drużynie 312. Wiem, że potrafię robić wrażenie zimnego. Wiem, że trudno mnie odczytać, a jeszcze ciężiej

znieść. – Patrzę po ich twarzach. – Ale znam swoich przyjaciół i są oni nieliczni. A za tych nielicznych oddałbym życie.

Cisza dzwoni na mostku.

I w tej ciszy Scarlett warczy:

– Powiedz to Cat.

Te słowa są jak cios w moją pierś.

Przez chwilę nie mogę nawet oddychać.

– Scarlett... to nie w porządku.

– Nie w porządku?

Jeżąc się z wściekłości, podchodzi do mnie. Finian wstaje ostrożnie, ale się nie zbliża. Zila obejmuje łydki i chowa twarz w kolanach. Scarlett jednak stoi teraz twarzą w twarz ze mną i wrzeszczy. Sięga mi raptem do brody, ale wściekłość pozwala jej nadrobić braki we wzroście.

– Ty mówisz o tym, co jest w porządku?! – krzyczy. – Przez ciebie mój brat jest w rękach GAW, ty sukinsynu! Czy to jest w porządku? A jeśli jego też zabrali na Octavię? Pomyślałeś chociaż o tym? A jeśli zrobili mu to samo, co C... co Ca...

– Gdybym mógł, zamieniłbym się z nim miejscami. Ogromnie mi przykro.

– W dupę wsadź sobie te przeprosiny – warczy, unosząc rękę. – I całą resztę.

Bierze zamach. Wściekła. Niezręczna. Wewnętrzny Wróg reaguje i przemoc, dla której się urodziłem, przemoc w mojej krwi buzuje mi w żyłach jak grzmot. Reaguję instynktownie, uruchamia się pamięć mięśni, łapię Scarlett za nadgarstek tak mocno, że krzyczy z bólu.

– Nie dotykaj mnie – ostrzegam ją.

– Ej! – krzyczy Finian i robi krok naprzód. – Puść ją!

– Finian... – zaczyna Zila.

– Puść ją! – krzyczy znowu Fin.

Opiera ręce na mojej piersi i popycha, egzoszkielec warczy. Cały się najeżam, każdy mój instynkt płonie wobec zagrożenia.

Złam go, Kaliisie.

ZŁAM GO!

Robię krok w bok płynnie jak woda. Scarlett, którą trzymam, musi się obrócić, a wtedy puszczam ją i z rozpędu leci na Finiana. Oboje zwalają się na pokład. Fin krzyczy, ma skręconą nogę, a kiedy unoszę rękę, czuję kolejne uderzenie w pierś – twarda jak żelazo ciemnograna-towa moc skwierczy wokół mnie w powietrzu.

Podnoszę wzrok i widzę, że Aurora uniosła rękę. Celuje we mnie. Jej oko płonie jak umierające słońce, włosy łopoczą wokół jej czoła na wietrze dawno zaginionego świata.

– Nie – mówi.

– Nigdy bym...

Widzę to. To, co zawsze widzieli ci, którzy dowiedzieli się prawdy na mój temat. Pochodzę od potwora, mordercy miliardów. I to widzą, kiedy teraz na mnie patrzą. Cień, z którego nigdy nie wyszedłem, bez względu na wszystkie starania.

Aurora patrzy na mnie, lzy błyszczą jak diamenty na jej skórze. Wiem, co powie, zanim to zrobi.

- Musisz odejść, Kal.

- Auroro, nie – proszę. – Nie.

Kiwa głową.

- Odejdź.

Jestem rozdarty. Zrozpaczony. Szukam czegokolwiek, co mogłoby wpłynąć na jej decyzję.

- Nie znasz go, be'shmai – mówię, zerkając na ekran, gdzie przemawiał mężczyzna, który mnie spłodził. – Nie potrafisz nawet wyobrazić sobie, jaki on jest. Był potworem jeszcze przed końcem Syldry. Jeśli jakimś cudem stał się tym, czym ty jesteś, nasączony mocą Pradawnych...

- Chcesz mi powiedzieć, że nie mam szansy w walce z nim?

Patrzę twardo i głos mam jak ze stali.

- Nie znasz go.

- Wiem jedno, Kal – odpowiada cicho, ocierając łzy z policzków grzbietem dłoni. – Wiem, że teraz jestem gotowa. Naprawdę gotowa, tak jak chcieli Eshvarenowie. Jestem Zapalnikiem. Zapalnik jest mną. Kiedy uderzę w Wielkiego Wroga, nic nie będzie mnie powstrzymywało. Żaden ból. Żaden gniew. Żaden strach.

Kręci głową.

- Żadna miłość.

Słyszę słowa Eshvarena w głowie. To pamiętne ostrzeżenie, jakie wypowiedział naszego ostatniego dnia w Echu.

*Pamiętaj, o jaką stawkę toczy się gra. To więcej niż ty. Więcej niż my.*

Wypal.

Wypal to wszystko.

Aurora opuszcza rękę i łamie mi serce.

- Żegnaj, Kal.

Jakieś czterysta lat świetlnych od Traska istnieje gwiazda, która nazywa się Meridia. Jądrem tej gwiazdy jest diament wielkości księżyca Traska oceniany na jakieś dziesięć decylionów karatów. Moi ludzie zbudowali tam port kosmiczny – potężny węzeł tranzytowy, jedno z najbardziej ruchliwych miejsc w całej Galaktyce. Z Meridii można dostać się do każdego miejsca w Drodze Mlecznej. To bardzo dużo mówi na temat Betraskan, że zbudowali sobie ruchliwy dworzec autobusowy wokół największego diamentu w Galaktyce.

W każdym razie tam właśnie zostawiamy Kala.

Nadal jesteśmy poszukiwanymi terrorystami i w ogóle, więc nie marnujemy czasu na pożegnania. Zila sprowadza *Zero* do jednego z doków usługowych, zatrzymuje się tylko na chwilę potrzebną, żeby Kal wysiadł. Nikt go nie żegna. Patrzą na niego przez kamery w hangarze, jak wychodzi z plecakiem na pokład stacji. Nosi cywilne ubranie – długi, ciemny płaszcz, idiotyczne spodnie z winylu, które Scarlett kupiła mu w Szmaragdowym Mieście, z kieszeniami wypchanymi jego częścią kredytów, jakie zostawili dla nas Adams i de Stoy w skrytce.

Chyba nie wziął swojego munduru Legionu.

Jeżąc się z gniewu, prostuje ramiona i odchodzi.

Nikt nie odzywa się przez chwilę, kiedy zostawiamy Meridię za sobą, wylatujemy z układu i wpadamy z powrotem do Fałdy. Jeśli o mnie chodzi, to po prostu nie wiem, co powiedzieć. Szukam czegokolwiek – wiem, że powinienem być tym, który jakoś przerwie ciężkie, kłopotliwe, przykre milczenie, ale nie wiem, od czego zacząć.

Cokolwiek my, Betraskanie, robimy, wszystko, w co wierzymy, wszystko, czym jesteśmy, kręci się wokół rodziny. Po utracie Cat i porzuceniu Tylera, a teraz po zdradzie Kala, coraz trudniej jest mi patrzeć w przyszłość. Mam wrażenie, jakbym został postrzelony, ale wciąż się ruszam. Do tej pory działałem na automatycznym pilocie, ale teraz, kiedy kurz opadł, nie wiem co robić.

Mostek wydaje się za duży – jest nas teraz tylko czwórka, a Koniczynka na pulpicie sterowniczym i puste siedzenie Tylera i Kala przypominają nam o tych, których straciliśmy. To nie przelewki, zważywszy, że straciliśmy niezrównaną pilotkę, taktycznego geniusza i grupowego siłacza.

Scarlett patrzy tępo. Tak jak ja nie potrafię wpaść na żaden dowcipny tekst, który pozwoliłby nam jakoś wytrwać, tak ona nie potrafi znaleźć niczego w księdze sztuczek Twarzy, co sprawiłoby, że sytuacja zaprezentowałaby się lepiej, niż jest w rzeczywistości. Wiem, że obwi-

nia się za to, że tego nie przewidziała, ale jej umiejętność odczytywania każdego, kogo pozna, chociaż jest niemal nadludzka, to ma jednak swoje ograniczenia. Po raz pierwszy, odką pamiętam, sprawia wrażenie... nie jestem pewien, jak to nazwać? Pokonanej? Przestraszzonej?

Auri siedzi na swoim miejscu, patrzy w dal. Wszystko w niej się zmieniło – nawet sylwetka. Nie jest już dziewczyną, którą znaleźliśmy. Teraz jest całkowicie skupiona. Myślałem, że bez wsparcia Kala stanie się słabsza, ale wydaje się, że żar i ogień, przez które właśnie przeszliśmy, wykuły z niej coś twardszego.

Coś niezniszczalnego.

To Zila przerywa milczenie. Siedzi do nas tyłem, przeprowadzając *Zero* przez Bramę, w bezpieczną czerni i biel. Teraz obraca się z równie pustą twarzą jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Nie zdawałem sobie do tej pory sprawy, jak wiele drobnych rzeczy zmieniło się w niej, dopóki teraz nie zniknęły wraz z Kalem. Znowu się odcięła, mówi ostrożnie i spokojnie bezbarwnym, beznamiętnym głosem.

– Musimy rozważyć nasze kolejne kroki.

Auri reaguje natychmiast i bez wahania.

– Musimy przejąć kontrolę nad Bronią.

Scarlett kiwa głową.

– Najlepiej, zanim Caersan wysadzi za jej pomocą Ziemię. Już straciliśmy trzy godziny z jego dwunastu.

Auri rozgląda się z płonąącym wzrokiem. Unosi podbródek.

– I musimy posłużyć się nią przeciwko Ra'haam.

– Jasne – zgadzam się. – To znaczy, że musimy dostać się na jej pokład, prawda? Ominąć potężną syldrańską flotę wojenną w stanie najwyższego pogotowia, gotową w każdej chwili strzelić ze swoich jakże licznych dział we wszystko, co wygląda chociaż odrobinę wrogo.

Zila kiwa głową.

– To trafne podsumowanie.

– Mamy jakąś przewagę? – pyta Scarlett.

Myślę, że próbuje zrobić to, co robiłby Tyler. Rozpaczliwe stara się wypełnić dziurę, jaką zostawił po sobie jej brat.

– A z pewnością nie będą się nas spodziewać.

Chciałabym, żeby Zila właśnie żartowała, trenowała swoje nowo odkryte poczucie humoru, ale ona tylko oznajmia oczywistości. Nie będą się spodziewali, że ktokolwiek zrobi coś równie brawurowego, podejmie aż tak wielkie ryzyko. Bo to jest samobójstwo.

– Auri może ich załatwić mentalnymi kulami – podsuwam. – Dopisz to do naszych atutów.

Aurora nawet się nie uśmiecha.

– To prawda – odpowiada równie poważnie Zila. – Ale pokaz niszczycielskiej siły psychicznej może zwrócić uwagę syldrańskiej armady. Jeśli chcemy zachować przewagę wynikającą z zaskoczenia, to musimy się wmieszać w tłum.

Auri zerka na Zilę.

– Potrzebujemy syldrańskiego statku.

Marszczę brwi.

- A gdzie...

Słowa więzną mi w gardle na widok wyrazu oczu Scarlett. Błyszczą w nich inteligencja, którą Scarlett chowa pod maską zuchwalstwa i obojętności. Powiedziała mi kiedyś, że nie chciała nawet wstępować do Legionu. Zrobiła to tylko po to, żeby opiekować się Tylerem. Wiem, że odczuwa brak brata bardziej niż ktokolwiek z nas, ale nagle okazuje się, że całkiem nieźle go zastępuje.

- Raliin Kendare Aminath - mówi.

Na oddech Stwórcy, no jasne. Starszy Wędrowiec, którego uwolniliśmy na pokładzie *Andarael*. Powiedział, gdzie go szukać, gdyby mógł w jakiś sposób spłacić dług wobec nas.

Scar zerka na Zilę, która kiwa głową, jej palce już śmigają po konsoli pilota.

- Możemy tam dotrzeć za cztery godziny. Mam ustawić kurs?

Scarlett kiwa głową.

- Pędź tak szybko, jak się da.

\* \* \*

Każdy z nas znajduje sposób, żeby zabić następne godziny. Zila siedzi przy konsolach, sprawdza raz za razem odczyty. Auri znika w swoim pokoju i zamyka za sobą drzwi. Scarlett wyciąga pliki na temat Syl dran i zaczyna czytać.

A ja? Nie mam żadnego zajęcia poza naprawą Magellana, a szczerze mówiąc, słuchanie nieustająco radosnego podsumowania tego, jaki jestem głupi, nie zapowiada się w tej chwili szczególnie zabawnie. Dlatego zamiast tego biorę sobie coś do jedzenia, karmię Zilę i Scarlett (Auri nie odpowiada na moje pukanie), a potem kręcę się trochę po statku. Wpatruję się w zamknięte drzwi do kajuty Kala, próbując zorientować się, co myślę o jego postępkach. Chociaż jestem galaktycznej klasy mistrzem w wymyślaniu ripost w godzinę albo dwie po tym, jak minęła okazja, żeby je wypowiedzieć, to tym razem nic nie przychodzi mi do głowy. Wiem tylko, jakie to uczucie stracić Kala. I szczerze mówiąc, po tym, co razem przeszliśmy, mam wrażenie, że ktoś wyrwał część naszego drużynowego serca.

W końcu pod wpływem przecucia idę do magazynu. I oczywiście w kącie za zapasowymi ogniwoami paliwowymi i częściami zamiennymi stoją beczki z gęstą czarną farbą. Właśnie tego potrzebowaliśmy.

Na tym statku naprawdę jest wszystko.

To mnie zmusza do zastanowienia. Myślę o liściku w pojemniku na cygaretki Kala. To małe metalowe pudełeczko okazało się bardzo użyteczne, a słowa liściku w środku - słuszne.

Zatem co z pozostałymi darami, które zostawiono dla nas w skrytce w Szmaragdowym Mieście? Kolczyki Zili, wisiorek Scar, nowiutkie błyszczące buty Tylera. Jakby Adams i de Stoy dobrze wiedzieli, co nas czeka, gdzie się znajdziemy, co będziemy robić. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, jakim cudem to możliwe.

Sięgam do kieszeni spodni i znajduję długopis, który mi dali. Marszczę brwi. Na Stwórcę, zastanawiam się, do czego mi on potrzebny. Myślę sobie, że skoro dowódcy Legionu wiedzieli o tym, że Kal zostanie postrzelony, jeśli wiedzieli dość, żeby go ostrzec, że powinien wyjawic

prawdę, to może ten przedmiot w mojej ręce też ma dokonać czegoś magicznego w naszej najtrudniejszej chwili.

Naciskam końcówkę, włączając go i wyłączając. Mam nadzieję, że stanie się jakiś cud.

Nic.

Nie dzieje się absolutnie nic.

– Wyrolowano mnie. – Wzdycham.

\* \* \*

Kiedy docieramy na stację Tiernan – Zila rzeczywiście pędziła, ale czas ucieka – nie wiemy, jak zostaniemy powitani. Dlatego ostrożnie wylatujemy przez Bramę Fałdy. Kolory powracają na statek. Konstrukcja stacji jest piękna jak wszystkie projekty Syl dran. Ma kształt wielkiego jaja obsypanego światełkami. Potężny symbol Wędrowców namalowano na boku eleganckim pismem i prawie setka myśliców i krążowników tłoczy się wokół stacji, kreśląc łuki.

I każdy celuje w nas ze swojej broni, kiedy tylko się pojawiaamy.

Scar pochyla się i mówi bardzo starannie do mikrofonu. Nie znam języka syl drańskiego, ale orientuję się w treści, dzięki tłumaczeniu na unikronie. To spotkanie jest tak ważne, że Scarlett przećwiczyła sobie tekst przed przylotem.

– Przybyliśmy, żeby zobaczyć się ze Starszym Raliinem Kendare'em Aminathem.

Zapada cisza, a potem pada pytanie:

– W jakim celu?

Scarlett bierze głęboki wdech i wzdycha. Kiedy nie mamy innej możliwości, najlepiej mówić prawdę, jak wyjaśniła mi wcześniej. Dlatego przyciska guzik transmisji i podkreca swoją szczerłość do poziomu „11”.

– Potrzebujemy jego pomocy w uratowaniu Galaktyki.

\* \* \*

Jakieś pół godziny później stoję w jednym z hangarów stacji Tiernan i starannie maluję syl drańskie symbole na burcie starego promu. Symbole Nieugiętych są piękne, eleganckie... ale kryje się w nich też okrucieństwo. Sugestia przemocy, którą wojownicy Gwiazdobójcy tak bardzo uwielbiają. Trzymam się wskazówek, które Scar podesłała na mój unikron, a obserwuję mnie kilku bardzo sceptycznych Wędrowców.

Zila siedzi w promie i uczy się pilotażu.

Auri w końcu wyszła ze swojej kwatery i krąży powoli po lądowisku. Porusza się z gracją, jaka kojarzy mi się bardziej z Kalem. Przypomina niespokojnego drapieżnika. Robi wrażenie, jakby nie była świadoma obecności innych osób. Jednakże Wędrowcy, których uratowaliśmy z więzienia na *Andarael*, są nią zafascynowani, obserwują każdy jej ruch. Wszyscy Wędrowcy posiadają w mniejszym lub większym stopniu parapsychoiczne zdolności. To empaci. Rezonatory. Słyszałem plotki, że potrafią porozumiewać się między sobą telepatycznie. Może wyczuwają jej nowo podrasowany mózg.



Scar rozmawia ze Starszym, który sprawia wrażenie głęboko zaniepokojonego jej życiowymi wyborami. Chociaż ma potworny akcent, przez wzgląd na Auri mówi łamanym językiem terrańskim.

- Nie możemy wam pomóc - tłumaczy dziewczynom. - Caersan, niech Pustka przeklnie jego imię, już zniszczył nasz świat. Potrzebowaliśmy wielu cykli, żeby zgromadzić tę enklawę. Nie możemy ryzykować, że narazimy się na jego gniew, młodzi Terranie.

- Rozumiem - odpowiada Scarlett.

Raliin uśmiecha się łagodnie.

- Doceniam twoje kłamstwo. Bez wątpienia mamy u ciebie dług za to, że uratowałaś nas na pokładzie *Andarael*, ale my, Wędrowcy, byliśmy najmniejszą ligą pośród naszego ludu jeszcze przed zniszczeniem naszego świata. Od upadku Syldry agencji Caersana nieustannie na nas polowali.

Auri mruży wtedy oczy. Przestaje krążyć i patrzy w oczy Raliinowi.

- Dlaczego na was polowali?

Syldrane kiwają głowami, zamiast się kłaniać, więc kiedy Starszy urywa i skłania głowę długim, powolnym ruchem, dociera do mnie, że ci ludzie mają pewne pojęcie na temat tego, czym ona jest. Co zamierza.

- Nie udajemy, że znamy zamiary tego szaleńca - odpowiada. - Wiemy tylko tyle, ile udało nam się dowiedzieć dyskretnie i w sekrecie. Nie możemy ściągnąć na siebie uwagi. - Wskazuje statek, który maluje. - Jednak, jak powiedziałem, uratowanie nas z rąk Nieugiętych zostanie nagrodzone. To najszybszy statek, jaki może obsługiwać czteroosobowa załoga. Kody identyfikacyjne, jakie wam daliśmy, zostały bardzo niedawno zdobyte przez paru agentów wywiadu, którzy nadal pozostają w terenie. Jeśli Pustka pozwoli, sam rozmiar armady Gwiazdobjcy i dreszczyk związany z planowanym atakiem sprawią, że Nieugięci was nie zauważą.

- Dziękuję, Starszy Raliinie. - Scar kiwa głową z wielkim szacunkiem. - Jeśli nie skontaktujemy się z wami w ciągu jednego dnia, *Zero* należy do was. Bez względu na to, jak bezpiecznie się tutaj czujecie, sugeruję, żebyście wykorzystali ten statek i resztę swojej floty do ucieczki. Jeśli nam się nie uda, Nieugięci będą najmniejszym problemem Galaktyki.

Szczerze mówiąc, ten jeden dzień brzmi dla mnie optymistycznie. Zostało już tylko dwie i pół godziny, zanim Gwiazdobjca wpakuje się do układu terrańskiego, żeby poprzestawiać im meble. A zważywszy na to, że pędzimy mu na spotkanie, żeby spróbować go powstrzymać, to istnieje spora szansa, że za dwie i pół godziny Caersan i nam poprzestawia meble.

Just mnóstwo rzeczy, których żałuję, że nie zrobiłem ani nie powiedziałem.

Prawda jednak jest taka, że nie chciałbym teraz być nigdzie indziej.

Ra'haam.

Saedii gapi się na mnie z drugiego końca celi, zaciskając usta. W czasie, jakiego potrzebowalem, żeby jej wszystko wyłożyć, powiedzieć o Aurorze, Eshvarenach, Ra'haam, Octavii III, Cat, skrytce w Szmaragdowym Mieście, GAW i całej reszcie – krew zaschła jej na twarzy i na podłodze między nami. Nie wrzuciła ani jednej myśli do mojej głowy. Wyraz jej twarzy zmienił się tylko raz – na ułamek sekundy zmrużyła oczy, kiedy wspomniałem o Broni, która, mam nadzieję, pozostali znaleźli już beze mnie.

Scarlett.

Auri.

Wielki Stwórco, mam nadzieję, że nic im nie jest...

Saedii siedzi nieruchomo po tym, co ode mnie usłyszała. Oczekuję, że się roześmieje. Że nazwie mnie kłamcą i wariatem, że zareaguje tak, jak mogłaby zareagować normalna osoba, kiedy mówisz jej o starożytnej istocie podobnej do rośliny, która przegrała w wojnie z rasą pradawnych istot obdarzonych parapsychofizycznymi mocami i ma się obudzić po milionie lat drzemki, żeby pożreć całą Galaktykę.

Kiedy jednak w końcu odzywa się w mojej głowie, jej myśli są ciche.

*To wyjaśnia, dlaczego ciągle myślisz o tej dziewczynie.*

Mrugam zaskoczony.

Co?

*Cat, jak mi się wydaje? Bardzo cięży na twoich myślach, Tylerze Jonesie.*

Z trudem przetykam ślinę. Pierś mnie boli.

*Była... moją przyjaciółką.*

Saedii mruży oczy.

*Była czymś więcej.*

Możliwe.

*I to ją zabrało. Ten Ra'haam. Zmienił ją. Wchłonął.*

Narasta we mnie gniew. Mile widziany i ciepły.

*Tak. Tak właśnie.*

*Tak samo jak pochłonie Galaktykę, jeśli na to pozwolimy.*

*Tak. Kiwam głową. To właśnie zrobi.*

*Musimy stąd uciec, Tylerze Jonesie.*

Unoszę brew. Tę z bliźną. Dla zwiększenia efektu.

*Cieszę się, że tu jesteś i możesz mi to powiedzieć, Saedii.*

*To był sarkazm, mały Terraninie?*

Wzruszam ramionami.

*Większość odziedziczyła moja siostra, ale trochę przeszło i na mnie.*

Mruży oczy na słowo „odziedziczyła”. Przygląda mi się długo i uważnie. Jej błyszczące oczy w oprawie ciemnych rzęs i ciemnej farby. Jej wzrok zatrzymuje się na ułamek sekundy za długo na mojej nagiej piersi.

*Sluchaj, wiem, że te mięśnie piersiowe mogłyby ubiegać się o prezydenturę i wygrać – myślę do niej bardziej niż tylko trochę poirytowany – ale mogłabyś gapić się trochę dyskretniej. Na wypadek gdybyś to przegapiła: siedzimy w gównie po uszy.*

Templariuszka Nieugiętych przechyla głowę. Powoli, bardzo powoli kładzie się na biokoi i wyciąga długie, nagie nogi.

Wiem, co robi. Wiem, czego chce. Wypełniam głowę ogniem zaporowym nieseksownych myśli – o moim starym kumplu z pokoju, Björkmanie obgryzającym sobie paznokcie u stóp, o tym, jak przyciąłem się raz suwakiem, o bieliźnie mojej babci: ogromnych potwornościach w kremowym kolorze wydymających się jak żagle na...

Nic na to nie poradzę, że zerkam na ułamek sekundy.

Do diabła.

Patrzę Saedii w oczy.

Wykrzywia usta w uśmiešku.

*Wcale się nie gapię, jak to elokwentnie ująłeś.*

Zerka na moją pierś w zamyśleniu.

*Zastanawiam się, jakie serce bije pod tymi żebrami.*

*Co masz na myśli?*

*Mam na myśli to, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Że mimo dzielącej nas wrogości i uraz szanuję zaufanie, jakim mnie obdarzasz, wyjawiając swoje sekrety. I że może w zamian za to ty powinieneś poznać pewne sekrety. Na mój temat.*

Patrzy mi w oczy.

*Na twój temat.*

Marszczę brwi.

*Mój?*

Wzrusza delikatnie ramionami, bawiąc się pasemkiem czarnych włosów, i znowu na mnie zerka.

*Twój i twojej siostry, jak mniemam.*

*A co ma do tego Scar?*

*Jesteście bliźniętami, prawda?*

*Aha, i co z tego?*

*Jericho Jones uciekł z syldrańskiej niewoli przed bitwą na Kireinie IV, zgadza się?*

Jeszcze mocniej marszczę czoło.

*Skąd to wiesz?*

Uśmiecha się znowu.

*Na Kireinie twój ojciec powstrzymał flotę dwa razy większą od własnej. To była największa klęska, jaką ponieśliśmy w czasie całej wojny. Poznaj swojego wroga, Tylerze Jonesie.*

*Nie r...*

*Jericho Jones został kontradmirałem niecały rok po tym zwycięstwie. Wojownik z urodzenia i wychowania, który walczył z najlepszymi Zbrojnymi, aż doszło do zastoju i straciliśmy przewagę w Wewnętrznej Radzie Syldry. A mimo to wycofał się. Został najzacieklejszym adwokatem pokoju w waszym senacie. Skąd ta zmiana?*

Nie mam pojęcia, do czego Saedii zmierza, jednak coś w jej spojrzeniu każe mi za nią podążać.

*Wygłosił przemowę na ten temat w dwa tysiące trzysta sześćdziesiątym siódmym – odpowiadam i duma wzbiera mi w piersi. – Nadal uczy się o niej w Akademii Aurory. „Nie mogę już patrzeć własnym dzieciom w oczy i nie widzieć zła w zabijaniu dzieci innych ludzi”.*

Saedii pociąga nosem.

*Ładne kłamstwo.*

Jeżę się.

*Uważaj, co mówisz na temat mojego ojca.*

*Kiedy pierwszy raz odezwałam się w twoim umyśle, powiedziałeś, że nie wiedziałeś, że ci, którzy mają dary Wędrowców, potrafią porozumiewać się z innymi telepatycznie.*

Wzruszam ramionami.

*Nie wiedziałem o tym.*

Saedii kręci głową, łagodna pogarda wlewa się do mojego umysłu, chociaż stara się nad tym zapanować.

*To dlatego, że nie potrafimy porozumiewać się w ten sposób z innymi, Tylerze Jonesie. Możemy mówić tak tylko do tych, którzy mają dar.*

Żołądek mi się zaciska.

*Nie r...*

*Jestem Zbrojną z urodzenia i przekonania – odpowiada Saedii. – Ale... chociaż nią pogardzałam, to odziedziczyłem część talentów mojej matki.*

Patrzy mi w oczy. Jej własne błyszczą jak szkło.

*Najwyraźniej twoja matka podzieliła się swoimi darami z tobą.*

Ta myśl pozbawia mnie oddechu. Serce mi wali, moje myśli pędzą. Staram się pochwycić różne wątki w głowie, powiązać je w całość, która miałaby jakiś sens, ale Saedii patrzy chłodno i wyniośle.

Nigdy nie poznaliśmy naszej mamy. Zawsze się zastanawiałem, kim była, ale widziałem, że mówienie o niej rani ojca. Dlatego nie naciskałem. Myślałem, że mamy całe życie, żeby zapytać go, co się stało. Co się z nią stało.

Tata rzeczywiście przepadł za liniami wroga na długie miesiące. Przyznaję, że zawsze uderzało mnie to jako dziwne, że z największego wroga Syldran zmienił się w człowieka, który najzacieklej zabiegał o pokój. Pewnie jakaś częśćka mnie chciała go postawić na piedestale. Szła-

chetny bohater wojenny, który nauczył się szanować wroga, z którym walczył. Zrozumiał, że zasadniczo wszyscy jesteśmy tacy sami.

To jednak miałyby o wiele więcej sensu, gdyby...

Gdyby, kiedy był jeńcem...

To zabawne być bliźniakiem. Czasem mam wrażenie, że wiem, co powie moja siostra, zanim to zrobi. Czasem przysięgam, że potrafi powiedzieć, co myślę, po prostu patrząc na mnie. Jako dzieci byliśmy ze Scar nierozłączni. Tata mówił, że wymyśliliśmy własny język, zanim nauczyliśmy się mówić. A sposób, w jaki moja siostra instynktownie odczytuje innych ludzi, jakby byli książkami, jakby potrafiła czasem zająrzeć im do głów...

- Na oddech Stwórcy - mówię.

*Nie widać tego specjalnie po tobie* - odpowiada Saedii. - *Pewnie dlatego matka cię odesłała. Jednak nie da się zaprzeczyć temu, że ty i twoja siostra posiadacie pewną...* - zerkła znowu na moje ciało - *...grację. Wzrost. Postawę. Widziałeś obraz z moich tortur w swojej głowie, możesz przemawiać wprost do mojego umysłu. Czuję cię tu...* - Dotyka czoła. - *Równie wyraźnie jak ty mnie. Istnieje tylko jedno wyjaśnienie.* - Saedii odsuwa za ucho czarne pasmo. - *Twoja matka była Wędrowniczynią.*

Z trudem przelatykam ślinę. Zerkam na przedramię. Na ogorzałą skórę. Na żyły pod mięśniami rysujące się długimi, bładoniebieskimi liniami.

- Scar i ja... mamy w swoich żyłach syldrańską krew?

Saedii dotyka sznura z odciętymi kciukami. Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów, przyciskając język do czubka jednego ze spiłowanych na ostro kłów.

*Pytanie brzmi: czy jesteś tego wart?*

W głowie mi się kręci, kiedy próbuję to ogarnąć. Jak do tego doszło? Dlaczego tata nam nie powiedział? Kim była nasza matka?

Czy ona żyje?

*Weź się w garść, chłopcze* - mówi Saedii. - *Trzymaj nerwy na wodzy.*

*Właśnie spadła mi na głowę największa bomba w życiu. Potrzebuję minuty, żeby...*

*Nie mamy minuty. Jeśli to, co mi powiedziałeś na temat tego... starożytnego wroga, jest prawdą, to każda zmarnowana w tej celi sekunda, pośród tych insektów, to sekunda bliżej do zagłady Galaktyki.*

Krzywię się, a mój gniew rozbłyskuje krwawą czerwień w naszych umysłach.

*Myslisz, że o tym nie wiem?*

Saedii obserwuje mnie przez długą chwilę w milczeniu. Wyczuwam ją, jej emocje, myśli. Trudno zapanować nad tym w głowie, oddzielić to, co jest moje własne, od jej odczuć. Jakbyśmy się dotykali... tyle że bez dotyku.

*Myślę, że nie wiesz o bardzo wielu rzeczach* - odpowiada.

*Na oddech Stwórcy, co jeszcze?*

Saedii krzyżuje gołe nogi, opiera się o ścianę i zaplata ręce na piersi.

*Lepiej usiądź sobie wygodnie, chłopcze, bo będziesz musiał naprawdę dużo przelknąć.*

Grawitacja dotyczy wszystkiego.

Nie tak dawno sam to powiedziałem Aurorze. Gdy, patrząc jej w oczy, wyznałem w końcu, co do niej czuję. Każdy atom w naszym ciele, każdy atom we wszechświecie wpływa grawitacyjnie na inne atomy. Grawitacja to jedna z tych sił, która łączy wszystko w całość. Jest niepostrzymana. Nic nie unosi się, żeby w końcu nie spaść. To tylko kwestia czasu.

My, Syldranie, wierzymy, że wszystko stanowi część cyklu. Niekończącego się koła. Że pewnego dnia rozszerzanie się wszechświata zakończy się, że siła wygenerowana przez eksplozję, która go zaczęła, zostanie w końcu przewyżczona przez grawitację. Tego dnia wszechświat zacznie się kurczyć. Nie będzie już się rozrastać, ale zacznie osuwać się w głąb siebie, każdy istniejący atom będzie ciągnięty do miejsca swojego powstania, aż zapadną się z powrotem w osobliwość, od której wszystko się zaczęło. Żeby wszystko rozpoczęło się od nowa.

Wszyscy jesteśmy niewolnikami grawitacji.

Wszystkich nas popycha.

Z powrotem do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło i gdzie wiemy, że wszystko musi się skończyć.

Nie potrzebowałem wiele czasu, żeby znaleźć transport z Meridii. Nie brakuje ludzi w Galaktyce, którzy boją się Gwiazdobjcy i obserwują konflikt między Terrą i Nieugiętymi, mając całkowitą pewność, kto zatriumfuje. Chelleriańskiego przemytnika, który zgodził się mnie przewieźć do armady Nieugiętych, musiałem długo przekonywać, żeby zbliżył się do największej floty Nieugiętych, jaka zebrała się od czasu upadku Syldry. Jednakże moja część małej fortuny, jaką admirał Adams i nadkomendantka de Stoy zostawili nam w szmaragdowym Mieście, wystarczyła, żeby kupić jego spokój umysłu.

Zastanawiam się, czy nasi dowódcy wiedzieli, do czego pieniądze zostaną wykorzystane, kiedy nam je zostawili.

Czy wiedzieli, dokąd poprowadzi mnie moja ścieżka.

Stoję w kokpicie obok przemytnika i jego drugiego pilota – gburowatego Rikeryjczyka z jednym rogiem złamanym u samego korzenia. Przemysłnik lubi leiriumski dymek i cały kokpit śmierdzi metalicznym i gęstym odorem, sączącym się z palnika na konsoli. Trajkot wiadomości wylewa się z głośników kokpitu.

Fałda jest jak zawsze pozbawiona barw, szara jak burzowe chmury wokół mojej głowy. Obserwuję na skanerach statki Nieugiętych – cztery statki zwiadowcze klasy Widmo na kursie

przechwytyjącym. Tną Fałdę, lecąc w naszym kierunku. Za nimi widzę niezliczone statki – smukłe, ciemne i śmiercionośne, zebrane na progu terrańskiego systemu. Siła dostateczna, by podpalić niebo.

A on czeka na mnie w samym jej sercu.

Cień, z którego nigdy nie zdołałem wyjść.

Transmisja od dowódcy zwiadowców przebija się przez bełkot dzienników, jednym ruchem palca przemytnik przerzuca ją na ekran. Widzę młodego adepta Nieugiętych z symbolem Zbrojnych na czole i z czarnymi wojennymi barwami wokół błyszczących szarych oczu.

– Załogo niezidentyfikowanego statku, albo całkiem oszaleliście, albo jesteście samobójcami – mówi chłodnym tonem. – Wycofajcie się albo zostaniecie zniszczeni. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Przemytnik patrzy na mnie. Przyciskam palec do pulpitu sterowniczego.

– Przybyłem zobaczyć się z ojcem – odpowiadam.

Spojrzenie adepta staje się surowsze, gdy widzi symbol na moim czole i siedem warkoczy we włosach.

– Stoimy w gotowości, żeby odzyskać honor, jaki porzuciła Rada Syldry tak dawno temu, chłopcze. Jesteśmy śmiercią na czarnych skrzydłach i zabijemy dzisiaj gwiazdę. To nie miejsce i czas na spotkanie rodzinne.

Przyciskam znowu guzik transmisji i mówię głosem nabrzmiałym łagodną groźbą:

– Archont Caersan może się z tobą nie zgodzić, adepcie.

Adept mruży oczy, a potem powoli coś zaczyna do niego docierać. Nabiera powietrza, oddech mu się rwie, z bezkrwistych ust wymyka się syk.

– I'na Sai'nuit.

Przyciskam guzik nadajnika i mówię głosem równie szarym jak otaczająca nas Fałda:

– Powiedz mojemu ojcu, że pragnę z nim porozmawiać.

\* \* \*

Serce bije mi jak wojenny taraban, tłucze się o żebra.

Stoję na pokładzie promu, który przysłał po mnie, ręce trzymam złożone za plecami, otacza mnie sześciu paladynów. Wystrój syldrańskiego statku jest czarny, Fałda tłumi szkarłatne światło do szarości. Wojownicy Nieugiętych są ubrani w ceremonialne zbroje, obserwują mnie spod srebrnych rżęs. Żaden nie jest dość odważny, żeby wypowiedzieć na głos swoje myśli, ale prawdę mówiąc, nie muszą. I tak je wyczuwam.

Ich ciekawość. Urazę. Strach.

Syn marnotrawny powrócił.

Obserwuję przednie ekrany promu, kiedy kluczymy wśród armady Nieugiętych. Widok budzi grozę i podziw – niezliczone statki gotowe rozpętać chaos w odpowiedzi na jedno jego słowo. Mój ojciec wzbudza szacunek. Już samo jego imię wywołuje strach. Mężczyzna, który wolał spalić własny świat niż poświęcić honor. Mężczyzna, który wolał wymordować miliardy niż się poddać.

Pamiętam, jak stał za mną pod drzewami lias. Z ręką na moim ramieniu. Kierował moimi ciosami, ucząc mnie Drogi Fali.

Mogę go teraz poczuć, jeśli tylko spróbuję.

Mojego Wewnętrznego Wroga.

I wtedy ją widzę.

Miga mi między półksiężycami dwóch potężnych lotniskowców. Pełen widok odsłania się, gdy statki rozstępują się przed nami jak woda. Zapiera mi dech. Czuję się jak insekt przed obliczem boga.

Broń.

To największy statek, jaki w życiu widziałem, ciągnie się kilometrami od dziobu po ogon, przez co nawet najpotężniejsze okręty wyglądają przy nim jak zabawki. Ma z grubsza stożkowy kształt, seria masywnych wklęsłości znajduje się na czymś, co uznaję za dziób; wyglądają jak ogromne soczewki, asymetryczne, zagadkowe i całkowicie obce. Statek został wycięty z tego samego żywego kryształu, który nosił Eshvaren w Echu, tęczne światło migocze na jego powierzchni, hipnotyzujące i melodyjne. Byłoby oszałamiające i bez myśli, która nagle mnie uderza: przecież jesteśmy w Fałdzie.

Wszystko wokół nas powinno być monochromatyczne. W stłumionych odcieniach szarości. Jednakże Broń Eshvarenów jest symfonią barw, której piękno prawie łamie serce. To urządzenie stworzono do niszczenia słońc, a jednak serce mi rośnie na jego widok.

Wojna w mojej krwi wzbiera. Coś w Broni mnie przyzywa, sięga przez dzielącą nas przestrzeń jak rozpędzona, spieniona fala, i sprawia, że puls mi przyśpiesza, mrowią mnie opuszki palców. Głos, którego nie słyszałem od lat, a zarazem słyszałem go codziennie przez całe życie, rozlega się echem w mojej głowie.

Kaliiiiiissss.

Prom zbliża się do Broni, mijamy jakieś pole – migoczące słabo, półprzezroczyste. Statek dygoce pode mną. Paladyni wokół mnie kotłują się, a ja czuję zalew... mocy w głowie. Gęstej jak syrop. Ciężkiej jak żelazo. Wzrok mi się mgli.

Prom ląduje w dziwnym hangarze pośród krystalicznych struktur na suficie i podłodze, barwy są niemal oślepiające w swojej intensywności. Zerkam na otaczających mnie paladynów, ale ci milczą. Hangar nie ma drzwi – nic nie chroni wnętrza przed zimnem i próżnią. Wojownicy jednak prowadzą mnie do śluzy promu i bez wahania otwierają drzwi.

Nie zamierzamy. Nie dusimy się.

Dowódca paladynów wbija we mnie szary wzrok.

– Nie możemy iść dalej, I'na Sai'nuit – mówi do mnie.

Wychodzę do hangaru, powierzchnia wibruje pod moimi stopami. Nie potrafię powiedzieć, skąd, ale... znam drogę. Jakbym był igłą, którą przyciąga północ, idę krętymi ścieżkami z kryształu, który śpiewa, szepcze i wibruje mocą.

Czuję się... dziwnie. Wszystkie emocje we mnie wydają się głośniejsze. Widzę obraz Aurory stojącej z uniesioną ręką na pokładzie mostka *Zera*, gdy uderzyła mnie mocą w pierś i rozkażała mi przestać. Słyszę jad w głosie Scarlett, gdy mnie przeklinała, oskarżała, uderzyła. Wyczuwam zdumienie i ból Finiana, milczącą zgodę Zili, gdy mnie wyrzucili. Mnie, który za



nich walczył. Przelewał za nich własną krew. Ryzykował wszystko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Żadne z nich nie rozumiało, co to dla mnie znaczyło wstąpić do Legionu, ile porzuciłem, ile wycierpiałem, jakie to uczucie być całkiem samotnym nawet w tłocznej sali.

Odkąd moja matka uciekła z powrotem na Syldrę, nie zaznałem chwili spokoju. Byłem wyrzutkiem wśród własnego ludu z powodu symbolu Zbrojnych na czole i krwi w moich żyłach. Byłem wyrzutkiem pośród kadetów akademii jako były wróg, „elfik”, dziwak – „Pamiętajcie o Orionie, pamiętajcie o Orionie”. Wśród członków drużyny 312 myślałem, że znalazłem dom. Swoje miejsce. Coś, o co warto walczyć.

Byłem jednak głupcem.

Powinienem być wiedzieć, że cień przeszłości zawsze będzie nas dzielił. Nie można zaprzeczyć temu, kim naprawdę jesteście.

A Aurora...

– Aurora – szepczę jej imię, jakby to była trucizna na moich ustach.

Odpycham myśli o niej na bok, wspomnienie wspólnie spędzonego czasu w Echu, rzeczy, którymi się dzieliliśmy, zamykam to wszystko razem z nią w pokoju w swojej głowie i wyrzucam klucz.

Jestem teraz nikim.

Jest tylko tym.

Czym zawsze byłem.

Nie ma żywej duszy w tych rozległych i błyszczących korytarzach. Ani jednego żołnierza, naukowca czy sługi. Cały statek jest pusty, wypełnia go tylko moc, znajoma i zarazem niepoznawalna. Kiedy idę dalej kryształową drogą, ogarnia mnie niemal katatoniczny stupor, zawroty głowy, i wreszcie osiągam idealną klarowność myśli. Serce bije mi szybko, nierytmicznie. W ustach czuję smak rdzy.

Statek jest ogromny. Korytarze ciągną się w nieskończoność. W końcu jednak ścieżki łączą się i prowadzą do rozległej sferycznej komnaty.

Moc kapie z powietrza, czerwona i dudniąca na mojej skórze. Ściany giną w cieniu, a mój wzrok przyciąga światło, jarzące się kryształowe koncentryczne iglice pośrodku sali. Wysokie podwyższenie zwieńczone ogromnym błyszczącym tronem. Kryształowe gałęzie sięgają ku niemu ze sklepienia i ścian jak korzenie drzewa wyciągające się ku wodzie. Mrużę oczy, osłanianiam je dłonią przed tęczowym światłem i widzę, że na tronie siedzi postać.

Cień pada na moje słońce.

Jest odziany w czarną zbroję z wysokim kołnierzem, długa peleryna spływa mu z ramion na schody szkarłatnym potokiem. Włosy ma jasnosrebrne, zaplecione w dziesięć warkoczy i udrapowane długimi, gęstymi falami po jednej stronie twarzy. Ta twarz to wszystko, co pamiętam, i więcej. Piękna, straszliwa. Promieniuje mrocznym majestatem. Patrzy beznamiętnie, kiedy wspinam się na podwyższenie, moc wokół mnie gęstnieje, moje kroki dzwonią pusto w rozległej kryształowej sferze. Przyciąga mnie jego grawitacja. Przyciąga mnie z powrotem.

Wszystko jest cyklem, niekończącym się kręgiem.

Wszystko prowadziło do tego.

Staję przed nim.

- Ojciec.

- Synu - odpowiada.

I w końcu klękam.

Kal...

Saedii tylko się we mnie wpatruje. Odkrycie, kim jest jej brat, kim – i czym – jest ich ojciec, niemal mnie przerasta, nie mogę tego ogarnąć. Cała rozmowa odbyła się z prędkością myśli. Upłynęło może z dziesięć minut od jej początku. Mam jednak wrażenie, że minęło całe życie.

Myślałem, że Kal to przyjaciel. Ktoś, komu mogę zaufać. Ktoś silny, pewny, niezachwiany. Nawet kiedy zostałem oderwany od drużyny, łatwiej mi było się z tym pogodzić, wiedząc, że on będzie o nich dbał. Jednak odkrycie, że jest synem mężczyzny, który zabił mojego ojca, że przez cały czas nas okłamywał...

„Pójdę za tobą, bracie” – powiedział mi.

Niezły z niego brat...

Odsuwam jednak na bok urazę, poczucie, że mnie zdradzono. Skupiam się na problemie, z którym rzeczywiście mogę coś zrobić. Galaktyka nadal stoi krok od wojny. TSO i Nieugięci mogą właśnie roznosić się na strzępy. Jeśli jednak Saedii powiedziała mi prawdę, jeżeli Broń, jaką posłużył się Gwiazdobjca do zniszczenia syldrańskiego słońca...

*Mówiłaś, że jak ją nazwał? – pytam Saedii.*

*Ojciec nazwał ją Neridaa.*

*Kręcę głową.*

*Moja znajomość syldrańskiego nie jest tak dobra jak mojej siostry.*

*Saedii prycha.*

*Twoje buty są w lepszym stanie niż twój syldrański.*

Zerkam ponuro na buty, które pochodzą ze skrytki w Szmaragdowym Mieście. Są poobcierane, podniszczone, zakrwawione. Zabiłbym za odrobinę pasty do butów. Mówię serio.

*Rety, to były okrutne słowa, moja pani.*

Saedii unosi odrobinę brew. To właściwie zdumiewające, ile potrafi wyrazić w taki prosty sposób. Rozbawienie. Pogardę. Arogancję. Poczucie wyższości. Scar mogłaby się od niej uczyć.

*Neridaa to zbyt skomplikowane pojęcie, żeby dało się je przełożyć na wasz prymitywny terrański język.*

*Zostawmy język terrański w spokoju, co?*

*Unosi brew jeszcze wyżej.*

*To słowo wyraża... paradoks. Stan początku i końca. Akt zniszczenia i tworzenia.*

*I jesteś pewna, że ten statek to Broń Eshvarenów?*

Odbieram okruch strachu gdzieś z głębi jej umysłu.

*Niczego nie jestem pewna. Ojciec zachowuje swoje zdanie dla siebie. Nie byłam obecna, gdy odkrył pierwszy relik.*

*Jaki relik?*

*Jakiegoś rodzaju sondę. Trzy lata temu. Byłam już wtedy templariuszką i służyłam na pokładzie Andarael. Walczyłam ze zdrajcami z Rady Syldry. Otrzymałam jednak spanikowaną wiadomość po tym, jak okręt flagowy ojca odkrył obiekt dryfujący w Fałdzie. Najwyraźniej ojciec... snił o niej. Powiedział sekcji naukowej, że obiekt go przyzwał. Kiedy sprowadzili sondę na pokład, dotknął jej i padł nieruchomo na pokład.*

*Saedii kręci głową.*

*Wszystkich naukowców rzuciłam za to drakkanowi na pożarcie. Głupcy. Obiekt, który znaleźli, był zbudowany z kryształu. Opierał się wszelkim próbom zbadania jego struktury. Ojciec leżał obok niego. Nic nie było w stanie go obudzić. Myślałam, że to już koniec. Tak wiele poświęciliśmy, a teraz nasz archont leżał powalony przez dziwne znalezisko, starożytną ciekawostkę odkrytą w przestrzeni między wymiarami? Miałam wrażenie, że to okrutne zakończenie dla naszej pieśni.*

*Jednakże osiemnaście godzin później ojciec wstał, jakby obudził się z głębokiego snu. Skrzył się nową mocą. Prawie płakałam z ulgi. Zapytałam go, co się stało, a on popatrzył na mnie jak na kogoś obcego. A potem rozkazał wprowadzić nowy kurs. Szczelina w Fałdzie doprowadziła nas na od dawna martwą planetę. A potem do Broni, dzięki której zwyciężyliśmy w wojnie, raz na zawsze potożyliśmy kres zdradzie syldrańskiej rady i zapisaliśmy jego imię krwawym i pięknym pismem pośród gwiazd.*

*Patrzę na Saedii, nie posiadając się ze zdumienia.*

*Nie zapytałaś go o to? Żadne z was nie zastanawiało się, skąd wiedział, że to tam jest, nikomu nawet brew nie drgnęła na widok broni zdolnej niszczyć całe układy planetarne, którą po prostu zostawiono, żeby na was czekała? Nie zastanawialiście się, do czego służy?*

*Saedii prycha.*

*Oczywiście, że się zastanawialiśmy. On był jednak naszym archontem, a my jego templariuszami, paladynami, adeptami. Wiernymi mu po grób. Syldrańska wojna domowa szalała od czasu napaści na Oriona. A on wreszcie poprowadził nas ku zwycięstwu w walce z tchórzami i psami, którzy przynieśli nam wstyd – Tkaczami, Obserwatorami i Robotnikami, którzy ugięli kolano i podpisałi przekłętą traktat pokojowy twojego ojca.*

*Kręcę głową.*

*Pokój to aż tak straszna rzecz?*

*Poprzez konflikt osiągamy perfekcję. Ostrze staje się tępe, jeśli śpi w pochwie. Staje się ostre, gdy docisnąć je do kamienia.*

*Saedii piorunuje mnie wzrokiem, oczy jej rozbłyskują. Widzę... nie, wyczuwam jej przekonanie. Ogień płonący w piersi. Wojna to dla tej dziewczyny coś więcej niż styl życia. A najokropniejsze jest to, że widzę swego rodzaju prawdę w jej słowach – bo rzeczywiście rozwijamy się poprzez wyzwania, dzięki nim rośniemy w siłę.*

*Tyle że to nie jest cała prawda.*

*Nie boję się walczyć – odpowiadam jej. – Jednak zawsze walczyłem za coś. Za rodzinę. Wiarę. Stwórcu, nawet za pokój. Walka dla samej walki...*

*Urodziłam się dla wojny, Tylerze Jonesie – odpowiada, ściągając idealne brwi w idealnym marsie. – A jeśli ty jesteś wart swojej syldrańskiej krwi, to lepiej zapoznaj się z tą ideą. Bo będziemy musieli wyciąć sobie drogę ucieczki z tego statku, jeśli mamy się stąd wydostać. Musimy pomalować ten okręt na czerwono.*

*Lecimy przez Faldę. Wszystko jest biało-czarne.*

*Saedii się krzywi.*

*Ach, ten cudowny terrański sarkazm.*

*Kręcę głową, zaciskając zęby.*

*Ci ludzie wypełniają rozkazy. To żołnierze wykonujący swoją pracę. To Ra'haam jest wrogiem. GAW, nie TSO.*

*Torturowali mnie.*

*Bo wymordowałaś ich przyjaciół!*

*I to jest twoim zdaniem usprawiedliwienie?*

*Biorę głęboki wdech. Zerkam na jej posiniaczoną twarz. Wiedziała, jak odpowiem na to pytanie, zanim je zadała.*

*Nie, to nie jest żadne usprawiedliwienie, ale ojciec nauczył mnie, że przywódca musi dawać przykład. Aby być przywódcą, trzeba być uosobieniem takich ludzi, jakich chcesz za sobą pociągnąć.*

*Pewnie, wojownikiem – warczy, prostując się nieco. – Nieulekłym i niezwykczonym.*

*Nie. Kimś lepszym. Musimy być lepsi od wroga, z którym walczymy. Ra'haam chce, żebyśmy roznieśli się wzajemnie na strzępy. Chce, żebyśmy rzucili się sobie do gardła. Wystarczy, że zaczeka. Zasieje chaos i zamęt na dość długo, żeby wylęgnąć się z planet-nasion i rozplenić przez Faldę.*

*Saedii krzyżuje ręce na piersi i potrząsa głową, żeby odrzucić włosy z oczu.*

*Nie wiem, czy mój ojciec rozumie do czego jest przeznaczona Broń, którą zagarnął. Musimy jednak wydostać się z tego statku i ostrzec go, że istnieje większy wróg. Jesteśmy Nieugięci. Nie będziemy niczymi pionkami. Stwierdzenie, że będzie niezadowolony z tego, że nim manipulowano, to wielkie niedopowiedzenie.*

*Na tyle niezadowolony, żeby nadal chciał wysadzić moją planetę, gdy do niego dotrzemy?*

*Saedii mruży oczy.*

*Jeśli wrócę, oszczędzi Ziemię. Uwierz mi, gdy ci powiem, Tylerze Jonesie, że mój ojciec nie chce korzystać z Neridai, o ile nie musi.*

*Robił wrażenie, jakby się rwał do jej użycia przeciwko Syldrze.*

*To była kwestia honoru. Poza tym to był pierwszy raz, kiedy uruchomił pełen potencjał Broni. Nie będzie się rwał do powtórki.*

*Dlaczego nie?*

*Saedii przygląda mi się chłodno i z wyrachowaniem. Widzę, że podejrzliwość walczy z jej instynktem. Wie, że musimy sobie ufać. I że sprawa jest znacznie większa, niż początkowo jej się wydawało. Mimo to mija długa chwila, zanim odpowiada.*

*Ojciec zapłacił sporą cenę za postużenie się Bronią.*

*Jaka cenę?*

*Nie było mnie przy nim, gdy strzelił... – Kręci głową. – Jednak poczułam to nawet na pokładzie Andarael, sześć tysięcy kilometrów od rufy Neridai. Jakby wyssano ze mnie esencję. Jakby to była woda, która wsiąka w gąbkę. A ojciec stał w sercu Broni, kiedy uwolnił moc.*

*Chcesz powiedzieć, że to go... osłabiło? Jak baterię?*

*Saedii wzrusza ramionami.*

*Potrzebował wielu cykli, żeby dojść do siebie.*

*Czyli nie może strzelać z Broni, kiedy tylko najdzie go chęćka. Chcesz powiedzieć, że groźba zniszczenia Ziemi to tylko blef?*

*O, nie. Nie ma wśród gwiazd mężczyzny bardziej bezwzględnego niż mój ojciec. Jeśli nie wrócę do niego, to zniszczy wasz dom. Zadbał, żeby, kiedy następnym razem zostanie zmuszony posłużyć się Neridaą, ubytek sił był mniejszy. Stworzył własną baterię, jeśli można tak to ująć.*

*Wyczuwam przelotny dreszcz, który ją przebiega.*

*Nie będzie jednak marnował tej możliwości, o ile nie zostanie zmuszony. Muszę do niego wrócić.*

*Odchyłam głowę i patrzę jej w oczy.*

*Jesteś tak samo dobrym taktikiem jak ja. Widzisz drogę wyjścia z tej celi? Już nie mówiąc o przedostaniu się do hangaru?*

*Kiedy strażnicy przyjdą nas nakarmić. Obezwładnimy ich. Zabierzemy im broń.*

*Zakładając, że w ogóle przyjdą nas nakarmić.*

*To będziemy udawać, że moje rany są poważniejsze niż naprawdę. Złapię się za brzuch, padnę. Kiedy przyślą personel medyczny i ochronę, uderzymy.*

*Odegrać słabość. – Kiwam głową. – Tak, pomyślałem o tym, ale zwracam ci uwagę, że przysyłać chłopaków w sześciopakach, bo chyba to przeoczyłaś.*

*W żadnym razie tego nie przeoczyłam – warczy.*

*Zakładając więc, że pokonamy pół tuzina w pełni uzbrojonych i opancerzonych żołnierzy piechoty morskiej TSO, ta kamera nad drzwiami prześle sygnał, kiedy tylko zaatakujemy. Cały statek będzie zablokowany, nim opuścimy ten poziom.*

*Może zechcesz sam coś zaproponować, zamiast krytykować moje pomysły.*

*Ej, nie czepiaj się mnie, paniusiu.*

*Saedii tak piorunuje mnie wzrokiem, że mogłaby przepalić drzwi celi.*

*Czy do wszystkich kobiet zwracasz się „paniusiu”, gdy chcesz je obrazić, chłopcze?*

*Tylko do tych, które nazywają mnie „chłopcem”.*

*Rozglądam się po celi, zagryzając wargę. Od dziecka studiowałem statki TSO. Dobra wiadomość jest taka, że gdybyśmy wydostali się z celi, to wiem, jak dotrzeć do lądowisk. Zła jest taka, że doskonale wiem, jak skonstruowano te cele i że ucieczka z nich jest praktycznie niemożliwa.*

*Patrzę na pobojojwisko w miejscu mojej biokoi, którą zniszczyłem w przypiływie złości. Zerkam na instalację tryskaczową na suficie. Na małe, wąziutkie kratki systemu wentylacyjnego. Przypominam sobie plany i zaraz je odrzucam.*

*Nie mamy żadnej szansy.*

*No więc? – dopytuje się Saedii. – Zaimponuj mi.*

Znowu ogarnia mnie frustracja. Myśl o wszystkim, co właśnie może się dziać, kiedy my tu siedzimy, rozprzęga mnie. Ogarnia mnie bezradność. Czuję się bezużyteczny. Biorę głęboki wdech, zaciskam pięści i zaraz rozluźniam. Zastanawiam się gorączkowo. Wiem, że żadna cela więzienna nie jest doskonała. Nie ma problemu, którego nie da się rozwiązać. Gdzieś tu musi się kryć klucz. Muszę tylko wiedzieć, gdzie go szukać.

*Nie zaimponowałeś mi, Tylerze Jonesie.*

*Przestań. Łamiesz mi serce.*

*Mogę wyrwać je zza twoich żeber i poskładać z powrotem do kupy, chcesz?*

*Zamknij się i daj mi pomyśleć, dobra?*

Saerii wzdycha i podnosi się z koi. Unosi ręce nad głową, długie czarne włosy opadają falującą kaskadą. Przeciąga się jak kot i zaczyna krążyć po celi mimo ran.

*To mi nie pomaga – mówię jej.*

*Za to mnie pomaga zebrać myśli.*

Zamykam oczy i wzdycham.

*Stuchaj, rozumiem powagę sytuacji, ale zdajesz sobie sprawę, że łożenie pod moim nosem w samej białźnie niespecjalnie mi pomaga zachować klarowność myślenia?*

Saerii piorunuje mnie wzrokiem i kopie kawał zniszczonej biokoi w moją stronę. Zatrzymuję go piętą buta, zanim uderzyłby mnie w nogi.

*Dorośnij – mówi.*

Odkopuję odłamek od siebie.

*Właśnie rośnięcia próbuję tu uniknąć.*

Saerii przewraca oczami, robi jeszcze jedno kółko po celi, obraca się w miejscu i pada z powrotem na koję. Odymam wargi, patrząc na kawałek, który do mnie kopnęła, wyjmując odłamek szkła z zagłębienia podeszwy. Krzywię się, widząc kolejne zadrapanie na bucie. Na oddech Stwórcy, te buty naprawdę potrzebują pasty i...

Szczęk.

Mrugam zaskoczony. Zerkam na kamerę i równie szybko odwracam wzrok. Siadam ze skrzyżowanymi nogami i garbię się tak, żeby zasłonić stopy. Zerkam znowu na buty. Czekały na mnie w skrytce depozytowej w Szmaragdowym Mieście osiem lat. Admirał Adams i nadkomendantka de Stoy chcieli, żebym je miał. Najwolniej, jak mogę, sięgam i przyciskam szczerelinę, która pojawiła się w pięcie.

Widzę metaliczny błysk tajnego schowka.

Saerii wychwytuje zmianę w moim nastroju. Celowo odwraca wzrok ode mnie, ale jej głos wkrada się do mojej głowy.

*Co to? – pyta.*

Po raz pierwszy od długiego czasu prawie się uśmiecham.

*Coś, co ci zaimponuje – odpowiadam jej.*

Flota Gwiazdobójcy jest większa od wszystkiego, co sobie wyobrażaliśmy. Czarno-biały krajobraz Fałdy jest upstrzony syldrańskimi statkami. Mrowią się przy wylocie Bramy Fałdy, która prowadzi do Terry, ich ścieżki krzyżują się, statki mijają się w odległości zaledwie paru metrów. To coś pomiędzy nieskazitelnym pokazem zawilej choreografii a grą w cykora w skali floty wojennej.

Dotarliśmy na sam skraj stada, podczas gdy wciąż trwa gromadzenie się floty. Chowamy się wśród zalewu ostatnich statków i oceniamy nasze położenie. Ja pilotuję, Scarlett i Finian siedzą przypięci pasami do foteli przy dodatkowych stanowiskach za mną. Aurora stoi obok mnie jak ogar gotowy do polowania, prawie się trzęsie, gdy wskazuje kierunek, jakby wystawiała zwierzynę.

Pod żadnym względem nie jest sobą. Patrzy w stronę Broni, która chociaż jest ogromna, pozostaje przesłonięta przez masę okrętów pod dowództwem archonta. Jakby Aurora, którą znaleźliśmy, odeszła, zostawiając za sobą skorupę zamieszkaną przez nowego drapieźnika skupionego tylko na celu.

Kiedy zaczynam kluczyć wśród statków, zastanawiam się, czy ta skorupa choćby zarejestrowała w swoim umyśle fakt, że mężczyzna, do którego się zbliżamy, to ojciec Kala.

Kala, którego kochała.

Ja osobiście przyswoiłam sobie tę lekcję dawno temu. Otwórz serce dla kogokolwiek, a na pewno źle to się skończy. Ta osoba zdradzi cię, jak zrobiła to Miriam, gotowa wydać sześciolatkę, żeby ocalić własną skórę. Albo cię opuści, jak zrobili to moi rodzice, nie będąc w stanie zapewnić bezpieczeństwa rodzinie. Odeszli zimni i martwi, a ja wylądowałam na łasce rządowego systemu opieki tak samotna, jak nigdy do tej pory.

Otwórz serce przed kimkolwiek, a doświadczysz zdrady albo porzucenia.

A teraz Cat, Tyler i Kaliis dali mi tę lekcję ponownie.

Wkrótce dołączy do nich Aurora.

Wiem, że lepiej byłoby cofnąć się do mojego poprzedniego stanu, ale... wbrew swoim życzeniom nie jest już tak, że nic nie czuję.

Najwyraźniej wyszłam z wprawy.

Wylatuję zza rufy krążownika, a za mną Scarlett pomrukuje, tłumacząc nazwę okrętu:

– *Belzhora*. Ten, który spija krew.



Jest coś surrealistycznego, widmowego we flocie, której częścią się staliśmy. Panuje doskonała cisza, przerywana jedynie cichym szumem naszego napędu. Nigdy nie widziałam równie wielkiego potencjału wojskowego w jednym miejscu. To jest jak ściśnięta sprężyna, która tylko czeka, żeby się rozprostować. Jak wojownik, który tylko czeka, aż przeciwnik mrugnie.

- Na co oni czekają? - pyta Fin.

- Może Terranie nadal próbują negocjować - sugeruję cicho.

- Zaraz skończy się im czas według zegara Caersana - odpowiada Scarlett.

I wtedy statki Nieugiętych rozstępują się i widzimy Broń. Błyszczący cud pośród stłumionej czerni i bieli, tęcza rozszczerzonego w kryształ światła, niekończące się kolory. Niemożliwe kolory. Nie powinniśmy ich widzieć w Fałdzie.

- Jakby teleskop i żyrandol dorobili się dziecka - mówi Fin, próbując zmniejszyć nieco napięcie, jakie wypełnia nasz mały statek.

Pogwizduje w mroku, jakby chciał w ten sposób umniejszyć moc obiektu. Kiedy jednak wpatrujemy się w statek, wszyscy jesteśmy pod jego wrażeniem, z wyjątkiem Aurory. Broń łamie każdą zasadę, promieniuje mocą i wszyscy o tym wiemy.

Broń.

Zmuszam się do wyrażenia przyziemnego spostrzeżenia:

- Statek otacza pusta przestrzeń. Podejście będzie trudne. Zobaczą nas.

Aurora obok mnie przenosi ciężar z nogi na nogę.

- To krótkotrwały problem.

Do tej pory była cicha, całkowicie skupiona, ale teraz zaczynam widzieć, czym była ta cisza - to był lont, który powoli płonął, zbliżając się do materiału wybuchowego. Aurora skrzy się mocą, skupieniem i niezłomną determinacją.

Nie chcę, żeby przebywała na naszym promie, kiedy ta iskra dotrze do celu.

- Jakie mamy możliwości? - pyta Scarlett, pochylając się i mrużąc oczy na widok statku.

- Dwie - odpowiada Fin. - Jeśli Auri ma dotrzeć na pokład, to albo powinniśmy zbliżyć się w sposób mniej oczywisty, albo powinniśmy zrobić coś dla odwrócenia uwagi.

- Odwrócenie uwagi może się skończyć naszą śmiercią - zauważam.

Na chwilę zapada milczenie. Tak czy inaczej, misja skończy się naszą śmiercią, jak wszyscy dobrze wiemy. Mam tylko na myśli to, że śmierć nie musi nastąpić już teraz.

- Mówię to bardzo niechętnie... - zaczyna Finian - ...ale jeśli poczekamy dostatecznie długo, to flota skoczy do układu terrańskiego i wtedy będziemy mieli zamieszania pod dostatkami.

- Co najpewniej zakończy się masową śmiercią po stronie Terran i Syldran, kiedy TSO zacznie walczyć z flotą Nieugiętych - zauważam.

- Nie mówiłem, że to doskonały plan. - Finian wzrusza ramionami. - Nie jestem gościem od strategii. Mam głębokie podejrzenie, że zdałem taktykę na pierwszym roku tylko dlatego, że instruktor nie chciał mieć mnie w klasie przez następny rok...

Finian milknie, kiedy zdaje sobie sprawę, co zrobił.

Swoim żartem przypomniał, że nie ma z nami Tylera.

Kolejne przypomnienie strat, jakie ponieśliśmy.

Scarlett prostuje ramiona i zaciska zęby.

- Możemy podłączyć się do systemu łączności Nieugiętych i posłuchać, co mówią?

Kiwam głową.

- To będzie wymagało wykorzystania kodów, które dał nam Starszy, ale jeśli są dobre, to powinno nam się udać.

- Zrób to - każe mi Auri.

Podłączam się do systemu komunikacji Nieugiętych, wprowadzam kod dostępu i staram się oddychać spokojnie, kiedy czekam, czy kody przejdą. Lodowaty palec przesuwam mi się po kręgosłupie, ale się nie odzywam. Nagle syldrański głos wylewa się z naszych głośników.

Scarlett słucha kilka chwil, marszcząc czoło.

- O, w mordę.

- Złe wieści? - pyta Fin.

- Przygotowuję się do przejścia przez Bramę.

Fala przepływa przez morze statków, gdy ustawiają się na swoich pozycjach. Zmniejszają odległości między sobą, żeby przelecieć przez Bramę Fałdy zwartą masą. Niezmierzoną, niepowstrzymaną falą.

Auri zaciska rękę na moim fotelu tak mocno, że słyszę, jak trzeszczy jego szkielet konstrukcyjny.

- Zbliź nas do Broni! Jeszcze trochę, a sama się tam dostanę.

- Chcesz przejść przez przestrzeń kosmiczną? - pyta Fin. - Jesteś o połowę mniejsza od przeciętnego Syldranina. Żaden z ich skafandrów...

- Nie potrzebuję skafandra. - Patrzy mi w oczy. - Zila, po prostu podlec bliżej.

Zerkam na Scarlett, która kiwa głową, więc wypełniam jego polecenie.

Fin przeklina, pośpiesznie biegnie na rufę promu i do służby powietrznej, Aurora tuż za nim. Nie żegna się nawet.

Skęcąc w bok, wsuwam się między dwa potężne krążowniki i zbliżam się do tęczyowych blasków Broni. Scarlett kładzie rękę na moim ramieniu i ściska.

- Kiedy tylko wlecimy do przestrzeni terrańskiej, statki TSO zaczną do nas strzelać - mówię cicho.

- Tak.

- Nie możemy odpowiedzieć ogniem. Nie będziemy walczyć ze swoimi.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby uniknąć walki. - Reszty zdania nie wypowiadam. „Tak długo, jak się da”.

Głos rozlega się w systemie łączności Nieugiętych. Głęboki i melodyjny. Głos, który wszyscy natychmiast rozpoznajemy.

- *De'na vosh, tellanai* - mówi Gwiazdobójca.

- Nie znajcie strachu, moje dzieci - tłumaczy cicho Scarlett.

- *De'na siir*.

- Nie znajcie żalu.

- *Tur, si mai'lesh de'sai*.

- Dzisiaj wypalimy swoją hańbę.
- *Turæ, si aire'na aire no'suut.*
- Tej nocy odtańczymy taniec krwi.

Z oślepiającym błyskiem światła flota Nieugiętych zaczyna wylatywać przez Bramę Fałdy. Pancerniki i lotnikowce. Kolejne fale krążowników i niszczycieli, myśliwców i dronów. Wreszcie sama Broń znika nam z oczu. Biorę się w garść, włączam silniki manewrowe i chwilę potem my też przelatujemy, odbierając każdym porem odczucia towarzyszące wyjściu z Fałdy.

Po wyjściu wpadamy w kompletny chaos walki, pociski latają wokół nas, flota Nieugiętych rozprasza się, żeby stawić czoło terrańskim obrońcom. Statki zawracają i skręcają, robią uniki i koziołkują, wybuchają bezgłośnie i rozlatują się na kawałki. Syldrańskie instrukcje są wykrzykiwane lub rzucone oschłymi warknięciami przez system łączności, rozbrzmiewają na naszym mostku zbyt szybko, żebym za nimi nadażyła.

- Niech to szlag! - krzyczy Scarlett.

Flota Nieugiętych rozpada się na eskadry, rozprasza się szerokim wachlarzem, rozjaśniając ciemność ogniem. Chociaż w wiadomościach powątpiewano w istnienie superbroni Nieugiętych, wygląda na to, że dowództwo TSO potraktowało to podejrzenie poważnie. Falanga terrańskich okrętów uderza wszystkim, co ma, w statki Syldran, mając nadzieję przebić się przez obronę Nieugiętych.

- To Betraskanie - szepcze Scarlett, wskazując statki na naszych czujnikach.

To prawda - wśród płaskodziobych kadłubów terrańskiej floty widzimy gładkie podobne do żuków kształty betraskańskich niszczycieli i pancerników walczących z siłami Nieugiętych. Najwyraźniej sprzymierzeńcy Ziemi dotrzymali słowa i stanęli w obronie Terry. Z drżeniem serca zdaję sobie sprawę, że widzimy początek czegoś, co może się przerodzić w pierwszą galaktyczną wojnę. Robię, co mogę, żeby to zignorować, ale biologiczna reakcja na ten widok jest silna.

Statki eksplodują wokół nas w całkowitej ciszy. W kokpicie huczy od kakofonii alarmów, ostrzeżeń generowanych przez komputer nawigacyjny, wykrzykiwanych przez Scarlett niepotrzebnych rad i grzmotu naszych silników. Czuję się pośród tego tak bardzo mała i tak nic nieznacząca, że zastanawiam się, co ja w ogóle tu robię. Lecę najlepiej, jak potrafię, ale wiem, że to nie wystarczy na zbyt długo, palce mi pobielają zaciśnięte na sterach. Zerkam na pluszowego smoka nad fotelem. Koniczynka przygląda mi się paciorkami oczu, nadzorując mnie pod nieobecność Cat.

- Szkoda, że cię tu nie ma, myślę sobie.

I wtedy, prawie jakby Cat sama mi to podsunęła, spostrzegam właściwą chwilę. Lotnikowce osłaniające Broń wypuściły eskadry myśliwców, które wyleciały, żeby zatrzymać nadlatujące krążowniki TSO. Dżgam przyciski układu sterowania, przelatuję pod brzuchem pancernika Nieugiętych, który jeży się od broni. Przez chwilę nie ma niczego między nami a Bronią. Kiedy podlatuję bliżej, klucząc między wystrzałami z dział elektromagnetycznych, włącza się światełko na mojej konsoli - ostrzeżenie, że tylna śluza została otwarta.

- Siedem uderzeń serca później ponownie się zamyka.

- Powodzenia, Auri - mruczy Scarlett.

Grad pocisków z okrętu TSO uderza nas w dziób, a ja instynktownie wykonuję manewr wymijający. Kiedy odlatuję od błyszczącej Broni z powrotem w większy chaos, widok przede mną jakbyś się poszerzał. Bitwa staje się coraz większa i większa, aż obejmuję ocean tysięcy okrętów, ciągnący się tak daleko, jak sięga wzrok.

Nie widzę w ogóle Aurory.

Biorę głęboki powolny wdech i luzuję chwyt na sterach, zmuszam się do skupienia na obecnym zadaniu – musimy żyć dość długo, żeby w miarę możliwości pomóc Aurorze. Czuję się jednak mała i naprawdę nie wiem, czy moje starania wystarczą.

Tyle że nie pozostaje mi nic innego, jak próbować.

– Scarlett, trzymaj się.

Wystarcza zaledwie maleńki kącik w moim umyśle, żeby utrzymała bąbel powietrza i ciśnienia wokół siebie, najmniejszy ułamek mojej jaźni, żeby pokierować mną przez lodowato zimną próżnię kosmosu w kierunku Broni. Wokół mnie tysiąc statków wiruje w tańcu śmierci i zniszczenia, ale dla mnie czas zwalnia. Widzę każdy ruch, zanim go wykonają. Znam ich los, nim zostanie przypieczętowany.

I coraz bardziej zbliżam się do mojego celu.

Ku mojemu przeznaczeniu.

Przelatuję przez błyszczące, półprzezroczyste pole, zbliżając się do Broni, i wewnątrz niego wyczuwam energię Eshvarenów. Twórców tej rzeczy, która wisi przede mną i jarzy się w ciemności. Jest coś znajomego w tym wrażeniu, jakby stary przyjaciel sięgał po moją rękę. Przez chwilę znowu stoję przed Eshem w Echu i słyszę jego proste instrukcje.

„Jedynie przeszkody to te, które sama stawiasz przed sobą”.

„Musisz je porzucić.”

„Skup się”.

I to właśnie robię.

Mężczyzna, który czeka na mnie wewnątrz Broni, będzie wiedział, że przybyłam. Jestem tego pewna. Ale nie boję się, nie waham się. Jestem pewna tego, co muszę zrobić.

Wypaliłam całą miłość i wszystkie więzy.

Nie pozostaje nic poza celem.

Hangar jest ogromną krystaliczną jaskinią, błyszczącą i przytłaczającą. Jest pusty, kiedy tam wlatuję. Ląduję na podłodze i gdy tylko stykam się z kryształową konstrukcją, wiem, że jestem w domu, na właściwym miejscu, stanowiąc integralną cząstkę tej rozległej refrakcyjnej tęczy. Moc śpiewa poprzez mnie i do mnie.

Wiem, że mężczyzna, którego mam tu znaleźć, przebywa w samym centrum, i tam właśnie się udaję. Ścieżki ciągną się bez celu, wiją się, krzyżują, wspinają i opadają. Mimo to kroczę nimi cierpliwie. Czuję, jak kanalizują energię tego miejsca, skupiają moc Broni i moją, rozkoszując się uczuciem, że moc płynie pod moimi stopami.

Przykucam, żeby rozwiązać buty, zdejmuję skarpetki, porzucam je i idę dalej boso. Jestem teraz całkowicie, absolutnie połączona z otaczającą mnie powierzchnią. Broń Eshvarenów śpiewa do mnie. We mnie. Poprzez mnie. Jestem częścią tego miejsca. Jakby od zawsze było mi pisane znaleźć się tutaj. Jestem Zapalnikiem i Zapalnik jest mną.

Dlatego nie czuję zaskoczenia, kiedy widzę, jak stoi przede mną na skrzyżowaniu ścieżek.  
Kal.

Jest ubrany na czarno jak Nieugięci, stoi wyprostowany, tak piękny i wyzywający jak za pierwszym razem, gdy go zobaczyłam. Wtedy był tylko wizją, pojawił się w moim pokoju w Akademii Aurory, zanim w ogóle się dowiedziałam, że Syldranie istnieją. Teraz wita mnie tym samym aroganckim uniesieniem podbródka.

- Nie powinnaś była przybywać – mówi cicho.

- Wiedziałaś, że się zjawię.

- Nie rozumiesz, czemu stawisz czoło.

- Nie, Kal, to ty nie rozumiesz. Czym jestem. Czym się stałam.

- Tego, co oni ci zrobili.

- Próbowali uratować Galaktykę. Starali się zrobić to, co właściwe.

- Nie pojmujesz – mówi Kal i patrzy zbolalym wzrokiem w korytarz. – Obawiam się jednak, że wkrótce zrozumiesz. On ci pokaże.

Wykrzywiam usta. Które jeszcze nie tak dawno przyciskałam do jego warg.

- Teraz ty też jesteś jego uczniem, tak? Tak jak wszyscy pozostali?

- Nie chciałem tego, Auroro. Nie chciałem, żeby doszło do czegoś takiego. Kochałem cię.

- Ale nie można budować miłości na kłamstwie.

- Spójrz zatem do mojego serca. Powiedz mi, co czujesz.

Sięgam. Na chwilę. Nawet tu i teraz nie potrafię się oprzeć. Czuję znajomy dotyk złota, sugestię tego, kim i czym byliśmy. Odcinam się ruchem ręki.

- Wyczułaś kłamstwo czy oddanie? – pyta.

- Jedno i drugie – dociera do mnie.

- I tylko jedna z tych rzeczy jest dla ciebie.

- Po prostu... – Obrzucam go spojrzeniem od stóp do głów. Ogarniam wszystko, co dla mnie znaczył, zawiązuję to ciasno i w świadomym wysiłku wypalam to po raz kolejny. – Jeśli przyszedłeś, żeby zaprowadzić mnie do niego, zrób to.

Krzywi się. Prostuje ramiona, zaciska mocno zęby.

Wyczuwam w nim wtedy ten cień, o którym mówił. Jego Wewnętrzny Wroga.

I już wiem, że on czeka na mnie dalej, za tym korytarzem.

- Za mną – mówi Kal.

Idziemy pięknymi kryształowymi ścieżkami, on przodem, ja za nim. Moc wzbiera dookoła nas teraz, napierając na moją skórę i czaszkę.

Ta część mnie, która cierpi, pragnie i marzy, by wziąć Kala za rękę, gdy idę ku światłu, milczy. Częśćka mnie, która żałuje i wołałaby, żeby to się potoczyło inaczej, zniknęła. Teraz jest tylko moc, to, czym mnie uczynili, dziewczyna, która uratuje Galaktykę, idąca błyszczącą ścieżką za chłopcem, o którym myślała, że go kocha. Wreszcie docieramy do serca statku.

To miejsce jest piękne. Doskonałe. Jedna potężna sferyczna komnata, której ściany prawie giną w cieniu, wznosząc się łukami od podstawy, żeby znowu spotkać się u szczytu. W najniższym punkcie na kryształowych iglicach stoi tron – ogromny i wyszczerbiony, błyszcząca wszystkimi kolorami tęczy.

To jest centrum Broni, centrum wszystkiego. Odłamki kryształu wystają ze ścian i sięgają do środka jak wyciągnięte ręce, jakby chciały złapać tego, który siedzi na tronie, albo jakby składały mu hołd.

Widzę Kala w jego twarzy – znajome kości policzkowe, uniesienie podbródka, arogancki łuk czoła. Nosi czarną zbroję z wysokim kołnierzem, czerwona jak krew peleryna spływa po schodach, które prowadzą do tronu. Srebrne warkoczki zasłaniają mu pół twarzy. Unosi kącik ust w leciutkim uśmiechu.

Archont Caersan.

Gwiazdobójca.

Ojciec chłopca, którego kochałam.

Zapalnik Eshvarenów.

Zdrajca Eshvarenów.

Kal cofa się i staje pod zakrzywioną ścianą, a ja szukam słów, którymi poddam próbie jego ojca, szturchnę go lekko, żeby się przekonać, co robi.

– To bardzo dramatyczny kostium – mówię. – Gdzie się kupuje takie pelerynki? Czy może zakałaś ją sobie uszyć?

Nie odpowiada. Wstaje jednak i powoli schodzi ku mnie po schodach. Peleryna rozpościera się za nim. Muszę przyznać, że to naprawdę wygląda imponująco. Nie odzywa się, dopóki nie stanie raptem parę metrów przede mną. Góruje nade mną. Nie śpieszy się, obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów, jakby mnie oceniał i uznał, że się nie nadaje.

– Myślałam, że będziesz wyższa – mówi w końcu pięknym, melodyjnym, niemal hipnotyzującym głosem.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam – odpowiadam, nie próbując się nawet wyprostować. Jestem, kim jestem, a to oznacza, że jestem niska, zwłaszcza w porównaniu z Syldranami.

– Czekałam na ciebie. Poczulem twoje przebudzenie.

– A teraz jestem. I wiem, co muszę zrobić.

Unosi brew.

– Poświęcić się sprawie Eshvarenów?

– Pokonać Ra’haam – poprawiam go. – Ocalić tysiące światów.

– Żeby chronić ich plac zabaw – odpowiada z zadumą. – I lalki, które zrobili, żeby na nim żyły.

Mrugam zaskoczona.

– Co to ma niby znaczyć?

– Nie wiesz, czym jesteś.

– Wiem, że jestem dziewczyną, która zrobi to, czego ty nie zdołałaś.

– Nie zdołałam? – Uśmiecha się. – Nie zdołałam uklęknąć, tak jak oni sobie tego życzyli.

– To Eshvarenowie uczynili cię tym, czym jesteś. Dali ci moc, żeby uratować Galaktykę, a ty posłużyłaś się nią, żeby wymordować miliardy.

– W to właśnie wierzysz? – pyta i uśmiecha się. – Że chcieli uratować Galaktykę? Że naprawdę interesuje ich nasz los? – Prycha cicho i szyderczo. – Jesteśmy dla nich przedmiotami, dziecko. Zwykłymi narzędziami. To oni nas stworzyli.

– Oczywiście, że tak – powtarzam beznamiętnie. – Stworzyli nas, żebyśmy bronili...

– Nie nas dwoje – syczy. – Nie ciebie i mnie. Nas wszystkich.

Wskazuje na zewnątrz, na trwającą bitwę, którą wyczuwam nawet teraz.

– Wszystko wokół ciebie, każda rasa, każda jednostka, od najbardziej siwego starca do najmniejszego dziecka. Wszyscy zostaliśmy stworzeni przez Eshvarenów, w nadziei, że wśród tych miliardów znajdą kogoś, kto podejmie ich walkę z Ra'haam. Naczynie zdolne wyrzucić zemstę na rasie, która ich pokonała. – Wykrzywia usta w niemal konspiracyjnym uśmiechu. – Eshvarenowie nie są ucieleśnieniem cnót, za jakich chcą uchodzić. Nie są altruistycznymi męczennikami, którzy oddali za nas życie. To demony. Demony, które chciały być bogami.

– I mam niby w to uwierzyć? – szudzę.

Kręci ledwie zauważalnie głową, jakbym była nieco tępym uczniem.

– Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego jesteśmy tacy podobni? Pomyśl, dziecko. Każda rasa w Galaktyce. Wszyscy chodzimy na dwóch nogach. Oddychamy takim samym powietrzem. Mówimy w językach, które inni są w stanie pojąć. Prawdopodobieństwo, że setki ras wyewoluują w podobny sposób na przestrzeni tak rozległego czasu i w tak odległych miejscach, jest zerowe. – Krzyżuje ręce i się krzywi. – Eshvarenowie obsiali Galaktykę życiem na swoje podobieństwo. Jesteśmy dla nich wirusem na szalce Petriego. Niczym lepszym od insektów.

Słowa dźwięczą w mojej głowie, wywołując dreszcze w każdej cząstce mojej osoby. Słyszałam, jak Tyler i Fin rozmawiali o Wierze Zjednoczonej. Religii, która wyrosła między galaktycznymi rasami, żeby wyjaśnić te podobieństwa.

Zerkam na Kala, który przyciska się do ściany komnaty.

– Ale... Stwórca – mówię.

Gwiazdobójca kręci głową.

– Nie Stwórca, dziecko – poprawia mnie. – Stwórcy.

To słowo wstrząsa mną i ścina mi krew lodem.

– Eshvarenowie pociągają za nasze sznurki, a my jesteśmy ich marionetkami – mówi Caersan z błyskiem w fioletowych oczach. – Wyobraź sobie arogancję potrzebną, żeby zasiać życie na swój obraz na setkach planet. I to wszystko dla drobnej zemsty? – Wskazuje Broń, tęcze tańczące na kryształach. – Do tego się to sprowadza, Auroro Jie-Lin O'Malley. Tym właśnie jesteśmy. Nie ma bogów. Nie ma wielkiego planu. Nie ma żadnego celu poza ostatnim desperackim ciosem upadającego imperium. Loteria milionów lat i niezliczonych żywotów dla ostatniej szansy na zemstę.

Ta myśl to niemal zbyt dużo, żeby to przelknąć. Jednakże poprzez moc, która nas łączy, wiążę, wiem, że Caersan nie kłamie. Wszystkie religie na wszystkich światach, wszystkie opowieści o stworzeniu, wszystkie przekonania na temat powodu i sposobu, w jaki to się zaczęło...

Naprawdę stworzyli nas Eshvarenowie?

To kamień w mojej piersi. Zimna dłoń ściskająca moje wnętrze. Zastanawiam się, co pomyślałby Finian, gdyby to wiedział. Co powiedziałby Tyler, gdybym mu powiedziała.

Stwórcy...



Zaraz jednak odsuwam na bok tę myśl, jej ciężar. Zmuszam się do skupienia na Caersanie, który obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów i kpi.

- Jesteś niczym dla Eshvarenów, a mimo to jesteś gotowa dla nich umrzeć?

- Oczywiście. Bez względu na to, co powiesz, Ra'haam nadal chce pożreć całą Galaktykę i każdą żyjącą w nim istotę. Prośba o jeszcze jedno życie, żeby go powstrzymać, to dla mnie niewielka cena.

Mierzę go spojrzeniem. Bez pośpiechu.

- Szkoda, że ty jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby ją zapłacić.

I na jedną milisekundę widzę gniew w jego spojrzeniu.

Ciekawe.

- Byłem dość silny, żeby wykuć własne przeznaczenie - odpowiada chłodno. - Żeby zejść ze ścieżki wyznaczonej przez moich potencjalnych panów.

Prycham.

- Zniszczenie rodzinnego świata to twoje pojmowanie siły? Zabicie miliardów własnych ludzi?

Kątem oka zauważam, że Kal przenosi ciężar ciała z nogi na nogę.

Jego ojciec tylko wzrusza ramionami.

- Mówisz o tym tak, jakby to mnie coś kosztowało, ale wszystkie moje więzi były już wypalone. Tak jak nas uczyli.

„Wypal wszystko”.

Uznaję, że to ma sens. Jeśli Caersan przeciął wszelkie więzi - z rodziną, miłością, honorem, wiernością - ale nie zastąpił tego pragnieniem zniszczenia Ra'haam, co mu zostało? Tylko pusta skorupa ze wszystkimi mocami Zapalnika.

Jednakże z jakiegoś powodu nie jestem pewna, czy mam rację. Jest coś w jego spojrzeniu - ten błysk gniewu, który wypływa na powierzchnię jak srebrzysta ryba, a potem znika - co mówi mi, że cokolwiek wypalił, powoli zaczyna wracać.

I może wobec tego jestem silniejsza.

Uderzam w niego falą czystej mocy z szybkością strzału z bicz. Zatacza się krok do tyłu, a potem prostuje i promieniuje pogardą.

- Co to było, dziecko?

- Powitanie - odpowiadam najśłodziej, jak potrafię.

Caersan odpowiada, ale ja natychmiast instynktownie unoszę ręce. Moja energia jest ciemnoniebieska, poprzecinana srebrnymi smugami, jak mgławice, jak gwiazdny blask. Jego to ciemna, rdzawa czerwień jak zaschła krew poprzecinana starym złotem. Jest w tym głębia, bogactwo i moc, którą uznałabym za przerażające, gdybym nadal była sobą.

Tyle że nie jestem. Eshvarenowie już o to zadbali i teraz wiem dlaczego.

Caersan znowu uwalnia energię, atakując błyskawicznie jak wąż, ale ja ją odpieram. Ciemny granat i rdzawa czerwień splatają się między nami, próbując wzajemnie się zdławić. Napieram beznamietnie, bo wiem, że jego pasja go osłabia. Wiem, że poczucie celu wystarczy, żeby mnie ponieść.

Uderzam znowu, najmocniej, jak potrafię, cios siły psychicznej jest jak policzek wymierzony w jego twarz. Głowa Caersana obraca się w bok, drobne rozcięcie pojawia się na nieskazitelnym policzku. Srebrne warkocz, które drapuje na jednej połowie twarzy, odlatują w bok, ukazując oko, które ukrywał przed resztą Galaktyki.

Oczywiście, tak jak moje, jarzy się czystą bielą.

Wokół błyszczącego oka widzę blizny jak splekane dno wyschniętej rzeki. Prawa strona jego twarzy jest przywiedła, stara, jakby wyssano z niej całe życie. Blask z oka sączy się przez splekania w policzku, kiedy Caersan piorunuje mnie wzrokiem i zasłania warkoczami twarz, jakby się wstydził. Zerka na Broń, na kryształowe włócznie skierowane ku tronowi, który stoi w jej sercu.

– Teraz więc widzisz. Ile mnie kosztowało posłuszenie się nią. I ile ciebie to będzie kosztować. – Szczerzy spiczaste zęby, warcząc. – Powierzyli nam swoją moc, ale sprawili, że to coś znowu ją z nas wydrze. Rozbierze nas kawałek po kawałku. Nie będzie pięknej śmierci. Żadnej ostatecznej ofiary. Zaplanowali to tak, żebyśmy umierali po kawałku. Dwadzieścia dwie planety do zniszczenia, dwadzieścia dwa okruchy duszy wyrwane jeden po drugim, żeby nakarmić ich machinę zemsty.

Sama myśl wystarczy, żebym się wzdrygnęła. Wyczuwam w nim wspomnienie, wibrujące w więzi między nami. Odbieram sugestię bólu, jaki poczuł, odpalając Broń, i już samo to jest niemal nie do zniesienia. Wiem jednak, że zasłużył na cierpienie, zważywszy, do czego użył Broni.

Unosi ręce, jego moc kotłuje się w przestrzeni między nami. Broń drży, gdy odpycham go, jego buty ślizgają się na kryształach. Kiedy moc szaleje wokół, zalewając nas falami błękitu i czerwieni, piękny, potężny mężczyzna przede mną niechętnie cofa się o krok. Popycham, waląc w niego wszystkim, co mam, a on zatacza się i postępuje z wysiłku. Jego elegancja rozpada się, pewność siebie słabnie. Pochyla się jak mężczyzna walczący z wiatrem, srebrne warkocz furkoczą za nim. Ciemny granat wiruje wokół mnie, zamieniając się w burzę i grzmiąc, gdy mówię twardo:

– Spługawiłeś dar, który otrzymałeś. Wybrałeś lata mocy dla siebie w więzieniu umierającej Galaktyki zamiast mileniów życia dla setek rozumnych ras.

Moja moc uderza w niego, kiedy przywołuję wszystko, czym dysponuję. Siła we mnie, czysta i nieograniczona moc, uderza weń jak przypyływ. Macha rękami poderwany z ziemi, leci na ścianę, uderza o kryształ z potwornym hukiem. Atakuję znowu, znowu i znowu, kiedy cieniutka strużka fioletowej krwi wylewa mu się z nosa i sływa po wargach. Ciemny błękit zaczyna pożerać starą krew, otacza ją, srebro oplata się wokół złota. Wreszcie Caersan pada na pokład.

– Jedno życie to nie jest zbyt wysoka cena – odpowiadam mu.

Robię krok w jego stronę skąpana ciemnym granatem.

– Ani dwa, Gwiazdobójco.

Podnosi wtedy wzrok, warkocz opadają mu na twarz, widzę dumę i nienawiść skrzące się w jego wzroku. Czuję, jak jego moc wzbiera, zmuszam się do pełnej koncentracji, by trzymać go pewnie. Kal idzie w stronę burzy, przekrzykując ryk.

– Aurora!

Nie zważam jednak na niego, wpatrując się w jego ojca.

- Czuję to - odpowiadam mu. - Co straciłeś, kiedy strzeliłeś z Broni.

Caersan zaciska pięści, powietrze trzaska.

- Co mi odebrali.

- A kiedy to odchodzi, odchodzi na zawsze.

- Tak.

Uśmiecham się.

- Co znaczy, że jesteś słabszy, niż byłeś, Gwiazdobójco.

Sięgam w głąb siebie gotowa to zakończyć.

- Jesteś słabszy ode mnie.

- Być może - szepcze. - Ale nie bierzesz pod uwagę jednej rzeczy.

Na jego twarzy pojawia się przelotnie coś, co mi się nie podoba i budzi moją podejrzliwość.

- Czego takiego?

- Że nie jestem sam.

Jego moc rozbłyskuje jak słońce wynurzające się zza horyzontu i kryształowe ściany reagują, zapalając się od środka.

Wtedy ich widzę, bo nie ukrywają się już w cieniach, ale są podświetleni od tyłu krwawo-czerwonym światłem. Kolejne rzędy Syldran, setki, a wszystkich przyspila do ścian komnaty nade mną niewidzialna siła. Ich wzrok jest pusty, ręce mają rozłożone na boki.

- Motyla noga - szepczę.

Symbole na ich czołach mówią mi, że to Wędrowcy. Sami Wędrowcy. Przechodzi mnie dreszcz, gdy nagle dociera do mnie, dlaczego Nieugięci polowali na nich w całej Galaktyce.

Każdy Wędrowiec krzyczy, porusza palcami, krzywi twarz. Nagły zalew ich mocy spływający do Caersana jest jak fala, która porywa człowieka, kołtuję nim, aż nie pozostaje mu nic innego, jak wstrzymać oddech, chociaż płuca pękają, walczyć o jeszcze jedną sekundę, modlić się do kogokolwiek, kto słucha.

Jego oczy - takie same jak oczy jego syna - spoglądają na mnie, gdy znowu się odzywa.

- Jestem urodzonym wojownikiem. Wyciąłem swoje imię krwią pośród gwiazd, kiedy ty smacznie spałaś w kołysce. Jestem Zbrojny. Jestem Nieugięty. Pożeram światy i zabijam słońca. Nie jestem słabszy, niż byłem. Jestem silniejszy.

Wstaje powoli i wyciąga ręce. Moc wokół niego podwaja się, potraja, mentalna burza krwawej czerwieni i błyszczącego złota. Komnata wokół nas, cała Broń, drży, krzyki Wędrowców wypełniają mój umysł.

I ze zgrozą zdają sobie sprawę, że powstrzymał się do tej pory.

- Dałaś z siebie wszystko, mała Terranko - mówi.

Powoli zaciska dłoń w pięści.

- A teraz pokażę ci, czym ja dysponuję.

Nazywają to gremlinem.

Na terrańskich wojennych plakatach propagandowych, które studiowałem podczas historii konfliktów na czwartym roku przedstawiano je jako małe, złośliwe ludziki o szpiczastych uszach i długich pazurach. Zasadniczo miały pomóc ratować morale pilotów. Za kłopoty ze sprzętem obwiniano gremliny, więc piloci nie wytykali palcem załogi, od której zależało ich życie, tylko wygrywali wojny.

Teraz nazywa się tak najróżniejsze przenośne urządzenia rozbrajające wszelką elektronikę – tłumiki sygnałów, zagłuszacze sieci albo – jak to jest w przypadku cudeńka, które właśnie znalazłem w obcasie buta – generator impulsów elektromagnetycznych.

*Skąd mogli wiedzieć?*

Zerkam na Saedii, która udaje, że nie zwraca na mnie uwagi ze względu na kamerę nad drzwiami. Dostrzegła jednak błysk gremlina w obcasie i ponieważ jest bystra, doskonale wie, ile to może zdziałać w naszym przypadku.

*Ci, którzy to dla ciebie zostawili, skąd mogli wiedzieć? – pyta.*

*Nie mam pojęcia – przyznaję.*

*Jak to możliwe, że terrańscy żołnierze tego nie odkryli? Na pewno cię przeskanowali?*

*Obcas wygląda na osłonięty. Ktokolwiek schował tam to urządzenie, wiedział, że będę musiał je ukryć.*

*Jak? – dopytuje się Saedii. – Jak to w ogóle jest możliwe?*

*To nieważne. Musimy się stąd wydostać. Nie wiem, dokąd zmierzymy, ale dosłownie żadne miejsce, jakie wybierze Ra'haam, nie oznacza dla nas niczego dobrego. A Nieugięci i TSO właśnie roznoszą się na strzępy.*

Zerka na mnie.

*W takim razie znowu ze sobą walczymy, mały Terranine.*

*Później możesz mi wydtubać oczy, dobrze? Tak po wyglądzie oceniam, że ten gremlin ma przyzwoity zasięg. Niestety pancerniki TSO są ogromne. Kiedy impuls pójdzie, musimy natychmiast ruszać. Dotrzeć do wyrzutni i wydostać się z tego statku. Bądź więc gotowa.*

Saedii prycha.

Pewnie zawsze jest gotowa do walki i moje ostrzeżenie jest odrobinę obraźliwe. Mimo kary, jaką jej wymierzono, promieniuje stalowym zimnem, oczy ma zmrużone i skupione. Zwijam

się w kłębek, żeby schować buty przed kamerą, sięgam do gremlina i modłę się do Stwórcy, żeby mimo wszystkiego, na co naraziłem te buty w ciągu ostatnich dni, urządzenie zadziało.

Natrafiam palcami na guzik aktywujący. Patrzę Saedii w oczy.

*Teraz!*

Naciskam guzik. Czuję lekką wibrację w bucie, brzęczenie na skraju słyszalności. I nagle wszystkie światła w celi gasną.

Kamera się wyłącza.

Magnetyczny zamek się wyłącza.

Saedii podrywa się w okamgnieniu. Światła awaryjne też padły – wszelkie urządzenia elektroniczne w naszym otoczeniu, które nie były ekranowane, zamieniły się teraz w przyciski do papieru. Bez światła jest tu ciemno, że oko wykol, ale dostrzegam zarys sylwetki Saedii, gdy podnosi kawałek biokoi, którą rozwaliłem, i wbija we framugę. Podrywam się, łapię poskręcany kawałek metalu pełniący teraz rolę łomu i pomagam Saedii pociągnąć. Napieramy, Saedii bezgłośnie, ja nieco stękając. Uchylamy drzwi celi po paru sekundach.

W korytarzu też panuje niemal całkowita ciemność, wszystkie terminale się usmażyły. Ale, jak już powiedziałem, studiowałem terrańskie okręty od dziecka i mimo ciemności wiem dokładnie, dokąd iść.

Łapię Saedii za rękę.

Natychmiast się wyrывa.

– Nie udzieliłam ci pozwolenia, żeby mnie dotykać, Tylerze Jonesie – warczy. – Zrób to raz jeszcze, a zapłacisz za to.

Piorunuję ją wzrokiem, chociaż nie widzę jej twarzy.

– To co powiesz na to? – warchę w odpowiedzi. – Daję ci pozwolenie, żebyś ty dotykała mnie. Znam rozkład pomieszczeń na tym statku jak własną kieszeń. Możesz więc błądzić po omacku sama albo możemy zapiąć pasy i pobiec razem.

Wyciągam rękę w ciemności.

– Panie wybierają.

Cisza przeciąga się, zakłóca ją tylko szum silników Fałdowych. Zaniepokojone okrzyki. Tupot nadbiegających ludzi. Widzę laserowy celownik przecinający ciemność na końcu korytarza. Sylwetka Saedii rysuje się teraz czarną plamą na tle odległego światła.

Dziewczyna bierze głęboki wdech.

Wkłada dłoń do mojej.

Ręka w rękę odbiegamy w ciemność.

\* \* \*

Osiem minut później siedzimy z Saedii w schowku na szczotki i próbujemy nie patrzeć na siebie, gdy rozbieramy się do bielizny.

Przestrzeni jest mało, światło jest słabe – z latarki podwieszanej do lufy karabinu-dezeltora. Mężczyzna, który był właścicielem karabinu, i jego towarzyszka siedzą w szafce na szczotki po drugiej stronie korytarza, tyle że bez mundurów. Zagadnęliśmy ich podczas

obchodu i obezwładniliśmy. Pomógł element zaskoczenia. Fakt, że towarzyszy mi mistrzyni Aen Suun, też nie zaszkodził. Oboje są pobici tak, że cał dzieli ich od śmierci – gdybym nie powstrzymał Saedii, to załatwiłaby ich na amen.

– Pilnuj oczu, Terraninie, bo ci je wydlubię – ostrzega mnie cicho.

– Walczymy tu o przeżycie. Myślę, że jestem w stanie skupić się na zadaniu. – Wbijam wzrok w buty, gdy je zdejmuję. – Poza tym widziałem już w życiu stanik i zaufaj mi, twój nie jest aż tak olśniewający.

Zamiera w połowie ruchu, oglądając kamizelkę taktyczną żołnierki.

– Noszę strój templariusza Nieugiętych. Nie został pomyślany do tego, żeby olśniewać.

– I dobrze – odpowiadam, rozpinając spodnie. – Doskonale spełnia to zadanie.

Saedii piorunuje mnie wzrokiem tak, że mogłaby wypalić mi dziurę w piersi. Robię, co mogę, żeby nie zwracać na nią uwagi. Jestem już w samych bokserkach, a ona ma na sobie bardzo niewiele ze stroju templariuszki, kiedy pierwszy strzał trafia w statek.

I to solidnie.

Saedii łapie się regału, ale ja reaguję za wolno. Lecę jak szmaciana lalka i wpadam prosto na nią. RzUCA z warknięciem słowo, które wiem, że ma pięcioliterowe tłumaczenie w terrańskim i oboje zwalamy się na podłogę. Ja ląduję na plecach, a Saedii na mnie, jej długie czarne włosy opadają dookoła nas, nasze twarze znajdują się ledwie kilka centymetrów od siebie.

– Co się...

– Milcz! – warczy, przekrzywiając głowę.

Leżymy tak kilka chwil i, na oddech Stwórcy, staram się, naprawdę staram się ignorować fakt, że leżą na mnie dwa metry syldrańskiej wojowniczej księżniczki w samej bieliźnie. I chociaż Legion Aurory pewnie nie przyznaje za to medali, to naprawdę uważam, że zasługuję na medal za to, co mówię po chwili:

– Złaż ze mnie.

– Bądź cicho, Tylerze Jonesie!

Leżę tak w ciemności z Saedii wyciągniętą na mnie i wpatrującą się w sufit, z dłońmi przyściśniętymi do podłogi po obu moich stronach.

Myśl o nieseksownych rzeczach, mówię sobie.

*Myśl o nieseksownych rzeczach.*

– Słyszałam to – szepcze, zerkając na mnie.

– Słuchaj, wiem, że dałem ci pozwolenie na dotykanie mnie, ale trochę przeginasz...

Kolejny strzał trafia w statek. Ogłoszający. Huk niesie się przez metal pod nami. Saedii patrzy mi w oczy, które płoną jej triumfalnie.

– No proszę. – Uśmiecha się.

Marszczę brwi, patrząc na nią, i zastanawiam się gorączkowo.

– To brzmiało jak...

– Syldrańskie działo pulsacyjne – mówi. Przyciska język do zaostrego kła. – Przylecieli.

– Uwaga! – rozlega się w głośnikach. W oddali wycie syreny przeszywa ciemność. – Uwaga!

Cała załoga na stanowiska bojowe.

Mrugam zdziwiony.

- Kto przyleciał?

- Mój przyboczny Erien, jak podejrzewam – odpowiada Saedii. – Moi paladyni. Cokolwiek zostało z moich adeptów. Czekalaby ich śmierć, gdyby wrócili beze mnie do mojego ojca. Spodziewam się, że tropili nas przez Fałdę od bitwy na *Andarael*.

- Powtarzam: cała załoga na stanowiska bojowe – pokrzykuje system nagłaśniający. – Zbliży się syldrański okręt. To nie jest próbny alarm. To nie jest próbny alarm.

Marszczę brwi, patrząc na dziewczynę patrzącą na mnie.

- Wiedziałaś, że przylecą?

- Podejrzewałam.

- I nic mi nie powiedziałaś?

- Nie ufałam ci – odpowiada z grymasem. – Nadal ci nie ufam. – Jesteś Terraninem. Synem Jericho Jonesa, naszego wielkiego wroga. Nasi ludzie toczą ze sobą wojnę.

- Nasi ludzie? – powtarzam. – Właśnie mi powiedziałaś, że jestem w połowie Syldraninem. Moi ludzie to twoi ludzie.

Zamiera na te słowa. Przygląda mi się.

- Możliwe – stwierdza.

Wyskakuje mi gęsia skórka, kiedy Saedii przyciska opuszki do mojej piersi, leciutko jak piórko. Następne trafienie kołysz statkiem, kolejne alarmy zaczynają wyć. Krzywię się, gdy jej paznokcie drapią moją skórę.

- Ciekawa jestem jaka krew naprawdę płonie w tych żyłach.

- Jeśli nie opuścimy tego statku, to popatrzysz na nią sobie, bo będzie rozbryzgana po całej podłodze.

Uśmiecha się powoli.

- Mmm.

Kolejny strzał kołysz statkiem, a Saedii zsuwa się ze mnie, siada w kucki, łapie skradziony kawałek jednej ze zbroi taktycznych, które leżą teraz razem pomieszane. Biorę głęboki wdech, a potem wstaję i zaczynam wyciągać rzeczy, których będę potrzebował, podczas gdy syreny nadal wyją. Zerkam na nią, kiedy już jesteśmy ubrani, i widzę, że ona już mi się przygląda. Oboje natychmiast odwracamy wzrok.

W parę minut jesteśmy ubrani, uzbrojeni i odziani w taktyczne zbroje TSO, twarze chowamy za hełmami.

- Sądząc po odgłosach, atakujący nas statek ma cztery do sześciu baterii dział pulsacyjnych – mówi Saedii.

- Aha. – Kiwam głową – Co najmniej klasy Eidolon. Okręt wojenny.

- Chaos towarzyszący takiemu starciu będzie naszym sprzymierzeńcem. Jeśli dotrzemy do kapsuł ratunkowych, to mogę ustawić łącze tak, żeby przebić się na awaryjne częstotliwości Nieugiętych. Przy odrobinie szczęścia załoga zdoła nas odnaleźć.

- Chyba że TSO wysadzi nasze kapsuły.

Saedii wzrusza ramionami.

- Wojownik czy gnida, Tylerze Jonesie?

Ważę w ręce karabin obezwładnionego żołnierza ustawiony na ogłuszanie.

- Ruszajmy.



Bitwa, która szaleje na naszych wyświetlaczach holograficznych, to najbardziej szalona rzecz, jaką w życiu widziałam. A mówię to po tym, jak raz udało mi się przebić przez sześć warstw ochrony, żeby wkręcić się na imprezę promocyjną multiplatynowej galaktycznej kapeli rockowej Envied Dead, która to eskapada wiązała się z dwunastoma skrzynkami laraskiego semp-taru, kąpielą na golasa na planecie wulkanicznej, sześćdziesięcioma i jednym aresztowaniem i przelotną katastrofą miłosną. (N1kk1 Gunzz. Były chłopak nr 34. Plusy: gwiazda rocka. Minusy: perkusista).

Ciemność wokół nas dosłownie roi się od statków: syldrańskich, terrańskich, betraskańskich. Działa pulsacyjne, strzały z działek elektromagnetycznych i pociski przeszywają mrok, wybuchy rozrywają bezgłośnie wielką pustkę. Dziesiątki tysięcy ludzi walczą, zabijają i umierają. Nigdy w życiu nie byłam równie przerażona.

- Uważaj! - wrzeszczy Finian.

- Ścisż, proszę, głos - odzywa się Zila, obracając stery. - Podnoszenie głosu nie przekłada się na zwiększenie moich umiejętności w pilotażu.

- Wybaczcie, że...

- Finian, stul dziób! - krzyczę.

Zila garbi się nad pulpitem sterowniczym, jej palce poruszają się tak szybko, że są jak rozmazana plama. Fin i ja siedzimy za nią przy dodatkowych stanowiskach, holograficzne obrazy bitwy unoszą się nad konsolami. Nasz statek leci blisko Broni, z dala od krwawej strzelaniny na zewnętrznym obwodzie pola bitwy, ale, szczerze mówiąc, to cud, że nadal w ogóle lecimy. Przestrzeń roi się od myśliwców, a Zila skupia się na obronie, nie strzela do nikogo, kto otwoczy do nas ogień, mając nadzieję, że tysiące statków w otaczającej nas przestrzeni będą bardziej zainteresowane zabiciem kogoś, kto wygląda choćby odrobinę niebezpiecznie. Jednak prędzej czy później szczęście przestanie nam sprzyjać.

Broń jakby... migocze. Zrobiła to teraz raz albo dwa i nikt z nas nie wie do końca dlaczego. Jest jak latarka w ciemności, jak kryształowe serce bijące pośród jatki. A jatka jest coraz gorsza.

- Myślisz, że Auri nic się nie stało? - szepcze Finian, wpatrując się w Broń.

- Mam nadzieję. - Wzdycham.

- Zapnijcie, proszę pasy - mówi Zila.

– Żartujesz sobie? – prycha Finian, zerkając na nią z ukosa. – Zila, jeśli zapnę się jeszcze trochę mocniej, to ożenię się...

Fin wrzeszczy, kiedy Zila wali w silniki manewrowe i koziołkując, ucieka przed rozbryzgiem ognia z działek elektromagnetycznych. Pocisk eksploduje bezgłośnie obok naszego skrzydła, drugi dokładnie przed nami, inercyjne tłumiki, które utrzymują grawitację wokół naszego małego statku, z trudem kompensują, kiedy Zila pikuje spiralą. Zerkam na nasze instrumenty i zdaję sobie sprawę, że ktoś nas ściga – płaskodziobe myśliwce TSO, które wyglądają na wkurzone. Nie dziwię im się, że do nas strzelają – nosimy w końcu barwy Nieugiętych. Jednak...

– Czterech wkurzonych gości zbliża się do naszego dziobu! – melduję.

– Ruffy! – Fin krzywi się, gdy kolejny pocisk wybucha. – To jest rufa, Scar!

– Do diabła, mówiłam, że nie znam się na statkach! – krzyczę. – Mamy ich na tyłku, jasne? Cztery bardzo agresywne statki dobiegają się do naszych bardzo kształtnych tyłków, Zila!

– Widzę – odpowiada Zila. – Trzymajcie się.

– Kształtnych tyłków? – mruczy Fin.

– Nie mów mi, że nie zauważyłeś, de Seel.

Kluczmy i koziołkujemy wśród chaosu, czerń na zewnątrz płonie jak fajerwerki w Świętej Federacji. Zila bez wątplenia wyczynia cuda, ale daleko jej do asa i zastanawiam się, jak długo da radę tak latać, nawet jeśli korzysta z pomocy autonaprowadzania. Za naszymi przednimi osłonami czerń jest czerwona od ognia i krwi. Ziemia uderza w syldrańską flotę wszystkim, co ma, ale ci Syldranie to Nieugięci, którzy przez całe życie trenowali walkę. Są fanatycznie wierni dowodzącemu nimi psychopacie – do tego stopnia, że byli gotowi siedzieć i przyklaskiwać, kiedy zniszczył ich cholerne słońce.

Serce powoli mi zamiera, bo rzecz w tym, że stanowimy część tej ruchomej bitwy. Szarżujemy prosto w serce terrańskiego Układu Słonecznego. Już minęliśmy Pas Kuipera, zbliżamy się szybko do Neptuna. Nie wiem, jaki zasięg ma Broń, ale z każdą kolejną minutą flota Nieugiętych zbliża się do mojego ojczystego świata i Słońca, wokół którego on krąży.

Słońca, które zamierzają zniszczyć.

Broń znowu migocze od wewnątrz, jakby pulsowało w niej serce z czystego światła. Blask bucha z tylnej części statku, ale zaraz cała Broń reaguje, rozświetlając się jak kryształowy kabel optyczny.

– Dlaczego Broń tak się zachowuje? – szepcze Fin.

– Nie wiem – odpowiadam.

– To trochę przerażające...

Biorę gwałtowny wdech, gdy przyśpieszenie wgniata mnie w fotel, bo Zila kręci beczkę i spadamy spiralą między dwa syldrańskie krążowniki. Myśliwce TSO na naszym ogonie same są teraz ścigane i dwa porzucają pogoń, żeby ostrzelać przeciwnika. Jednak dwa inne nadal leczą za nami, ścigają nas, jakbyśmy zwinęli im kasę na lunch.

Broń znowu pulsuje. Gdy zmruję oczy, widzę, że światło gromadzi się na jednym końcu. Te dziwne abstrakcyjne kształty na dziobie (Ha! Czasem się czegoś uczę!) wyglądają, jakby z każdym kolejnym mignięciem jarzyły się coraz jaśniej.

- Musimy zmienić strategię - oznajmia Zila, klucząc przez grad ognia.

- Masz na myśli plan B? - pytam ją.

Zerka przez ramię i kiwa głową.

- I potrzebujemy go w tej chwili.

- Skąd ta pewność? - pytam.

- Nie mam pewności, ale Broń Eshvarenów ewidentnie gromadzi moc.

- Zila, też mamy oczy... - odpowiada Fin - ...ale to nie znaczy...

- Może twoje oczy zauważyły położenie okrętów Nieugiętych? - rzuca Zila. - Jak zmienia się ich szyk?

Wybuch pocisku, który omija nas o włos, sprawia, że cały statek dygoce, a ja prawie połkam własny język. Jednak zerkając na wyświetlacze holograficzne, odczyty z komputera taktycznego, zdaję sobie sprawę...

- Flota Nieugiętych schodzi jej z drogi.

- Opuszczają przednią strefę rażenia już od trzech minut - melduje Zila. - Ewidentnie wiedzą, że Broń szykuje się do strzału.

- W mordę - szepczę.

Zerkam na czujniki, na wyświetlacze holograficzne z naszym małym Układem Słonecznym. Gazowe olbrzymy - Neptun i Uran. Saturn z pięknymi lodowymi pierścieniami. Jowisz z ogromną czerwoną burzą, która szaleje od ostatnich siedmiuset lat. Za pasem asteroid znajduje się pierwsza ziemską kolonia: czerwona kula Marsa. Potem nasza niebieska kropka - Ziemia - planeta, na której dorastałam, mój dom, mój świat. Za nią wypalona Wenus, gdzie jest tak gorąco, że z nieba spada płynny ołów. I wreszcie Merkury. A pośrodku tego wszystkiego, pośród tych miliardów żywych istot, w centrum naszej historii, naszej cywilizacji, płonie małe żółte słońce. Gwiazda w sercu Układu Słonecznego.

Gwiazda, którą Caersan zabije.

- Co możemy zrobić? - pytam. - Jak możemy to powstrzymać?

- Ten statek nie ma dostatecznej siły ognia, żeby uszkodzić Broń - mówi Zila - ale mamy barwy Nieugiętych. Możemy zbliżyć się do niej.

Fin robi zdziwioną minę.

- Jak bardzo?

Zila zerka na niego i skręca stery.

- Bardzo.

Broń znowu pulsuje. Światło zbiera się, zakrzywia się w Broni. Wyglądałoby to pięknie, gdyby nie było takie potworne. Koniec we wszystkich kolorach tęczy.

- Chcesz ją staranować - szepczę.

- Ten statek waży ponad dwieście ton - mówi Zila. - Jest w stanie osiągnąć sześciocyfrowe prędkości, jeśli dać mu dość czasu na przyśpieszenie. Jeśli zderzymy się z Bronią, mając maksymalną prędkość, uderzymy z siłą stanowiącą odpowiednik kilku wysoko wydajnych ładunków termonuklearnych.

- Ale nie możemy zniszczyć Broni - odpowiadam, marszcząc czoło. - Potrzebujemy jej, żeby pokonać Ra'haam.

- Nie mamy szans zniszczyć Broni. Jest zbyt wielka. Jednak zderzenie tej skali przy odrobinię szczęścia może wystarczyć, żeby uszkodzić albo przynajmniej decentrować soczewki. Może dzięki temu Aurora zyska na czasie.

Finian patrzy na mnie. Z powrotem na Zilę.

- Imponujący plan B, legionistko Madran.

- Jeśli masz lepszy, to jestem gotowa go wysłuchać, legionisto de Seel.

I wtedy coś do mnie dociera.

Pośród gradu ognia, pośród roju myśliwców TSO, syldrańskich krążowników i betraskańskich pancerników, które wysadzają się wzajemnie na kawałki, gdy gotuje się los mojego świata, całej mojej cywilizacji, może nawet całej Galaktyki... przypominam sobie.

Tak!

Sięgam pod mundur, a Finian obserwuje, gdy grzebię w swoim dekolcie.

- Ehm... - mruczy.

- Do diabła, można by tu zgubić wielkiego ultrazaura z Abraaxis IV - warczę.

- Scar...? - pyta Fin.

- Aha! - wykrzykuję, łapiąc wreszcie srebrny łańcuszek.

Wyciągam zdobycz spod kurtki munduru i trzymam triumfalnie w dwóch palcach.

Srebrny medalik. Medalik, który czekał na nas osiem lat w skrytce w Repozyturze Dominium. W skrytce, którą otwierało moje DNA, założonej na długie lata przed tym, zanim wstąpiłam do Legionu czy choćby miałam okazję poznać naszych dowódców.

Po jednej stronie wstawiono nieoszlifowany kawał diamentu. Po drugiej wypisano ozdobnym pismem...

- Zila? - mówię.

- Tak?

- Trzymaj się planu B.

- Dałaś z siebie wszystko, mała Terranko. A teraz pokażę ci, czym ja dysponuję.

Komnata dygoce.

Wędrowcy nade mną krzyczą.

Ojciec wznosi rękę.

Siła parapsychiczna uderza jak młot dwuręczny w Aurorę, która przelatuje z poślizgiem po podłodze. Lśniące odłamki kryształu sypią się jak deszcz w ślad za nią. Twarz ma wykrzywioną, usta otwarte w bezgłośnym krzyku, włókna ciemnego granatu i płonącej czerwieni skrzą się wokół niej w powietrzu.

Ściana, do której się przyciskam, wibruje, moc ich walki łączy się w kryształ. Za każdym razem gdy Aurora i mój ojciec uderzają w siebie, Broń pulsuje jaśniejszym światłem, powietrze gęstnieje. Mam wrażenie, że ktoś za mocno nakręcił mechanizm i sprężyna jest o włos od zerwania. Czuję, że broń jest prawie gotowa do strzału, tonie pod zalewem mocy, którą oboje się atakują.

Niech duchy Pustki ratują wszystko, co stanie tej mocy na drodze, gdy już zostanie uwolniona.

Aurora znowu atakuje, ostra jak nóż i błyskawiczna wstążka siły przecina powietrze. Ojciec unosi rękę niemal leniwym gestem, jak mógł to robić, gdy byłem dzieckiem atakującym go pod drzewami na Syldrze. Nigdy nie zawahał się, czy wykorzystać swoją przewagę, chociaż był większy i silniejszy. Karał każdą niedoskonałość, każdy błąd, każdą pomyłkę, posyłał mnie do łóżka posiniaczonego i pobitego.

To samo robi teraz z Aurorą. Patrzę bezradny, jak niszczy jej obronę i ciska nią. Aurora znowu uderza o ścianę, kryształ pęka pod wpływem siły uderzenia.

Osuwa się na kolana, ale zaraz wstaje, moc wypływa z niej falami, kiedy przesuwają dłońią po zakrwawionym nosie.

- Niezły strzał - mruczy.

Nie chciałem, żeby tak to wyglądało.

Aurora wzbiera mocą na drugim końcu sali, niemal migocze od środka kłębiącą się burzą. Jej oko płonie jak słońce, któremu dorównuje tylko blask oka ojca. Widzę teraz, ile wysiłku ją to kosztuje. I chociaż ojciec jej ustępuje, to jednak nie jest sam. Czerpie moc z tych biednych uwięzionych tutaj dusz.

Uderza raz za razem jak szkarłatna rozmazana plama, poruszająca się tak szybko, że zostawia po sobie powidok w powietrzu. Aurora leci w górę i roztrzaskuje sklepienie.

Spada pośród deszczu migoczącego kryształu, a on w rozbłysku karmazynowej mocy pojawia się pod nią i znowu uderza. Ciska bezwładną Aurorą przez salę. Dziewczyna koziołkuje po podłodze, kolory tęczy zderzają się jak fale na brzegu o zachodzie słońca. Wędrowcy znowu krzyczą. I chociaż Aurora podnosi się z zaciśniętymi pięściami, to porusza się nieco wolniej niż chwilę temu.

Zderzają się jak proch i ogień. On góruje nad nią, czerpiąc moc z otaczającej nas rzeszy. Jej twarz to maska bólu i krwi, jej oko płonie w ciemności. Wydaje się mała. Patrzę na nią, na tę, która była dla mnie wszystkim, a teraz być może jest niczym i znam prawdę.

W końcu powiedziałem jej to, zanim się tu zjawiała.

Nie mogę jej winić za to, że mnie nienawidzi. Nie powinienem był okłamywać jej i pozostawiać. Ostrzegłem ją jednak, żeby tu nie przybywała. Chciałam sam się z nim rozprawić. Z moją hańbą. Z moją krwią. Krwia w żyłach i na rękach. Myślałem, że może obalę olbrzyma. Zabiję potwora, którego pamiętam z dzieciństwa. Człowieka, który fundował siniaki mnie, mojej siostrze i matce.

Jednakże, kiedy tylko zobaczyłem ojca, wiedziałem, że stał się czymś więcej i zarazem czymś znacznie mniej w porównaniu z tym, czym był wcześniej. Pomyślałem, że poczekam. Może gdy będzie się przygotowywał do użycia Broni, poświęci temu tyle uwagi, że zdołam go zaatakować. A może już po tym, jak z niej wystrzeli, będzie dostatecznie osłabiony, żebym ściął go raz na zawsze. Nie miałem prawdziwego planu, chciałem tylko oszczędzić Aurorze tej walki.

Moje kłamstwo i oddanie. I tylko jedna z tych rzeczy jest dla niej.

Ale teraz...

Teraz.

Rozglądam się po Wędrowcach przyszpilonych do zakrzywionej ściany jak insekty do tablicy. Mają otwarte oczy, ale nic nie widzą. Syldranie i Syldranki, nawet dzieci, symbol Wędrowców – oko z pięcioma łzami – znaczy ich czoła.

Taki sam znak nosiła na czole moja matka.

„Nie ma miłości w przemocy, Kaliisie” – mawiała.

Schylam się i szukam na podłodze strzaskanego odłamka kryształu ze ściany. Natrafiam na jeden – długi i zaostroszony jak sztylet.

Patrzę na biedaków, z których mój ojciec czerpie moc. Kryształ rozcina mi skórę, gdy zaciskam dłoń.

Nie trzeba wiele, żeby ich zabić. Odciąć od tego życia, od niego. Osłabić go. Może dostatecznie, by dało się go pokonać?

„Litość to domena tchórzy, Kaliisie”.

A jednak nie. To on dokonałby takiego wyboru, nie ja. I jeśli mam wreszcie wyjść z tego cienia, to nie mogę zrobić tego, wkraczając w ciemność. Nie jestem moją przeszłością. Nie jestem tym, kim on mnie uczynił. Muszę stać w świetle słońca.

Bez względu na cenę.

Skradam się po drżącej podłodze z kryształowym sztyletem w ręce, z trudem pokonuję burzę mocy, jaka wokół nich narasta. Mój ojciec i moja be'shmai walczą, Broń wokół nas dygoce jak przy wstrząsach tektonicznych. Krew kapie Aurorze z nosa, uszu, oczu. Trzęsą jej się ręce. Kolana się pod nią uginają.

Nie wygra sama.

Prawda jest taka...

...że nigdy nie była sama.

Staję za ojcem. Jak cień. Jak przeszłość, które wróciła, żeby go nawiedzać. Jak głosy dziesięciu miliardów ludzi, którzy odeszli w Pustkę, a wśród nich moja matka. Łapię go za gardło i wbijam kryształowe ostrze w czuły punkt między piątym a szóstym zębem.

Kryształ przebija zbroję ojca i przez jedną ulotną, piękną chwilę, czuję, jak ciało ustępuje pod nią i ostrze zagłębia się w kierunku serca, które, jak zakładam, mój ojciec wciąż ma.

Zaraz jednak się zatrzymuje.

Czuję jego uścisk na nadgarstku, chociaż mnie nie dotyka. Czuję jego rękę na gardle, chociaż nadal trzyma Aurorę. Szarpnię się bezradnie, nie mogę złapać powietrza, gdy jego chwyt się zaciska. Ojciec ogląda się na mnie przez ramię, a jego oko płonie zimnym ogniem.

Cmoka z niesmakiem.

I ruchem głowy odrzuca moją be'shmai do tyłu. Zakrwawiona i zadyszana Aurora przelatuje z poślizgiem po podłodze.

A potem ojciec odwraca się do mnie.

Unieruchamia mnie. Podwieszono go trzy stopy nad ziemią. Całkowicie.

Patrzy na mnie, wokół nas szaleje burza. Tak bardzo się teraz zmienił. Odcięty od więzi, które kiedyś go pętały. Jednak gdy patrzę mu głęboko w oczy, myślę, że widzę coś, co z niego zostało. Coś z mężczyzny, którego bałem się, kochałem i którego nienawidziłem.

- Zatem nadal jesteś synem swojej matki - mówi rozczarowany.

I chociaż nie mogę się ruszyć, żeby go uderzyć, choć ledwie mam siłę, by odetchnąć, udaje mi się nabrać dość powietrza, żeby powiedzieć:

- Nie jestem twoim.

Mruży oczy. Wichura dokoła nas przybiera na sile, Wędrowcy zaczynają krzyczeć, a ja patrzę na dziewczynę, która była dla mnie wszystkim. Widzę, jak unosi głowę i patrzy na mnie.

- K-Kal...

- Be'shmai - szepczę.

I wtedy ojciec sięga w głąb mojego umysłu.

Rozrywa mnie...

Uruchomiono awaryjne zasilanie w tej sekcji statku. Pędzimy z Saedii do kapsuł ratunkowych w słabym blasku światła awaryjnych. Zakładam, że żołnierze TSO nadal nas szukają na poziomie więziennym, ale atak Nieugiętych zajął większość załogi. Na pokładach panuje gorączkowa atmosfera – żołnierze, technicy, ekipy naprawcze i piloci biegną na swoje stanowiska, statek trzęsie się podczas walki w Fałdzie.

Meldunki, które odbieramy przez słuchawki zamontowane w skradzionych hełmach, nie są dobre. Okazuje się, że oboje z Saedii myliliśmy się – to nie okręt klasy Eidolon nas zaatakował, ale syldrańskie krążowniki klasy Banshee. Statek, na którym jesteśmy, *Kusanagi*, to ciężki lotniskowiec, ale Banshee dysponują technologią maskującą, dzięki której są praktycznie niewidzialne dla konwencjonalnych radarów. Pewnie dzięki temu podkradli się do nas. To znaczy, że artylerzyści *Kusanagiego* muszą namierzać cel ręcznie, a to nie jest takie łatwe, kiedy przeciwnik porusza się z prędkością paru tysięcy kilometrów na sekundę. Jednym słowem próbuję powiedzieć, że chociaż syldrańskie statki są mniejsze, zapowiada się niezła burda.

I naprawdę nie wiem, kto wyjdzie z tego zwycięski.

Kolejny strzał wstrząsa *Kusanagim*, Saedii zatacza się i wpada na mnie, a ja wpadam na ścianę. Pół tuzina terrańskich techników przebiega obok nas, alarmy wciąż wyją, gdy się podnoszę.

– Tak na przyszłość, jeśli będziesz upadać, a ja cię złapię, to zamierzasz znowu przykopać mi w klejnoty? – pytam, łapiąc równowagę.

– Zamilcz, Tylerze Jonesie. – Saedii wzdycha i idzie chwiejnym krokiem przed siebie.

*Może powinienem po prostu pozwolić, żeby zwała się na arogancki tyłek* – myślę sobie.

*Słyszałam* – rozlega się jej głos w mojej głowie.

– PIERWSZY WROGI STATEK ZNISZCZONY – dobiega z systemu nagłaśniającego. – DRUGI POWAŻNIE USZKODZONY. USZKODZENIE KADŁUBA NA POZIOMIE CZWARTYM, DZIAŁA NA BAKBURCIE NIESPRAWNE. EKIPY TECHNICZNE MAJĄ NATYCHMIAST ZGŁOSIĆ SIĘ NA POZIOM SZÓSTY, KORYTARZ SZÓSTY BETA I EPSILON.

– Kapsuły ratunkowe powinny być tuż przed nami – mówię.

– Widzę – odpowiada Saedii i puszcza się biegiem w ciemność.

Transportery TSO mają kapsuły ratunkowe na każdym poziomie – jednoosobowe jednostki niezależnie zasilane na wypadek katastrofalnego uszkodzenia reaktora. Widzę parę za rozwidleniem w kształcie litery „T” – kilka tuzinów włazów w ścianie. Mechanizm ich uruchamiania



sprowadza się właściwie do wielkich czerwonych guzików za szybkami opatrzonymi napisem „stłuc w sytuacji awaryjnej”. Pomyślano to tak, żeby było proste w obsłudze nawet w tragicznej sytuacji. Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, to...

Strzał z dezelatora trafia Saedii prosto w głowę. Taktyczny hełm absorbuje siłę uderzenia, ale strzał i tak sprawia, że obraca się w miejscu jak bączek.

– Kontakt wzrokowy! Widzę ich! – krzyczy żołnierz za nami. – Sekcja A poziom trzeci!

Odskakuję od kapsuł ratunkowych, ciągnąc Saedii do przyległego korytarza, kiedy kolejne karabiny w nas celują. Strzały omijają nas szerokim łukiem, gdy *Kusanagi* znowu obrywa. Widzę pół tuzina żołnierzy piechoty morskiej kryjących się za osłoną na końcu naszego korytarza. Nie jestem pewien, jak nas namierzili – może dzięki numerom identyfikacyjnym na naszych napierśnikach – ale jakkolwiek tego dokonali, to mają dezelatory ustawione na zabijanie. Wciskam się do kąta rozwidlenia i strzelam kilka razy na oślep. Kapsuły ratunkowe są tuż obok, około pięciu metrów od nas, ale równie dobrze mogłyby znajdować się pięć kilometrów dalej.

*Nic ci nie jest?! – krzyczę do głowy Saedii.*

*Ścisł głos, Tylerze Jonesie – odpowiada, zdejmując dymiący hełm.*

Odrzuca włosy z oczu, unosi karabin i zaczyna strzelać zza rogu. Nagle musimy walczyć o życie. Rozbłyśki z luf przecinają półmrok, strzały dezelatorów zagłuszają wrzask alarmów. Saedii krzyczy ostrzegawczo do mojego umysłu, kiedy kolejna grupa żołnierzy strzela z drugiego końca korytarza. Jeśli zajdą nas od tyłu, to już nie żyjemy.

Powietrze wypełnia się skwierczącymi wystrzałami z dezelatorów, karabin szarpie mi się w rękach. Nie strzelam ze szczególną finezją, po prostu staram się dopilnować, żeby żołnierze TSO nie wychylali się zza osłony. Wystarczy jednak, żebym raz zerknął przez ramię, i widzę, że Saedii już załatwiła trzech. Dwóch trafieniem w twarz, a trzeciego strzałem w wiszącą za nim na ścianie gaśnicę, która eksplodowała i go ogłuszyła. I wszystko to po tym, jak oberwała w głowę z dezelatora nastawionego na zabijanie.

*Na oddech Stwórcy, ta dziewczyna jest niezła...*

*Słyszałam.*

*Do diabła, przestań!*

Saedii uśmiecha się z wyższością, a ja oddaję fartowny strzał i ogłuszam sierżanta trafieniem prosto w hełm. Pada nieprzytomny.

*Świetny strzał, Tylerze Jonesie.*

*Wszystkie te świetnie strzały nic nam nie dadzą. Oni mają dziesięciokrotną przewagę liczebną!*

Kolejne trafienie wstrząsa *Kusanagim*, następna salwa zmusza mnie do schowania się za rogiem. Jeśli zostaniemy tu dłużej, to będziemy skończeni. Zrywam hełm, żeby lepiej mi się oddychało, ocieram pot z oczu i zerkam na kapsuły ratunkowe po drugiej stronie korytarza. Zrobiono je tak, żeby otwierały się szybko w nagłych sytuacjach, nie trzeba dużo czasu, by dostać się do środka. Jednak przebiec do nich przez korytarz, ryzykując dostanie się w ogień krzyżowy...

*Daj mi swój karabin – mówię do Saedii, wyciągając rękę.*

*Dlaczego?*

*Ty biegnij pierwsza. Będę cię osłaniać.*

Saedii się krzywi.

*Nie potrzebuję twojej pomocy.*

*Na oddech Stwórcy, czy z tobą o wszystko trzeba walczyć?*

Tak – odpowiada i strzela do kolejnego żołnierza. – *Urodziłam się dla wojny.*

*Ale nie będziesz mogła walczyć w wojnie, jeśli zginiesz! Ładuj się do kapsuły ratunkowej i powiadom swoją załogę psychopatów, żeby nas zabrali, zanim nas wysadzą.*

*I mam cię tu zostawić?*

*Pobiegnę za tobą.*

Pochyliłam się nisko, kiedy strzał z dezelatora skwierczy nad moją głową i rozbłyskuje na ścianie za mną. Strzelam, udaje mi się ogłuszyć żołnierza, który nadbiegał, szukając osłony. Oglądam się przez ramię i widzę, że Saedii wpatruje się we mnie.

*Czego?*

Saedii nie odpowiada. Sięga do pasa zbroi taktycznej, wyjmując zapasową baterię do dezelatora i rzuca nią w panel uruchamiający kapsuły ratunkowej. Trafia idealnie (czemu nie jestem zaskoczony?), szkło pęka tak, jak powinno w sytuacji awaryjnej, czerwone światło zamienia się w zielone i właz zaczyna się otwierać. Nie przestaję strzelać, ale czuję, jak Saedii sięga do mojego pasa, łapie zapasową baterię i powtarza procedurę – kolejne doskonałe trafienie, szkło pęka, drugie drzwi do kapsuły otwierają się, tym razem dla mnie. Żołnierze zbliżają się i mamy tylko kilka sekund.

Saedii oddaje mi karabin. Patrzy mi w oczy.

*Masz odwagę, Tylerze Jonesie. Twoja krew jest prawdziwa.*

Łapie mnie za napierśnik, przysuwa się i całuje mnie w policzek.

*Niech czuwają nad tobą duchy Pustki – mówi.*

Przetykam z trudem ślinę i patrzę jej w oczy.

*Wzajemnie – udaje mi się odpowiedzieć.*

*Jeśli pozwolisz, żeby mnie trafili, wyrwę ci serce z piersi i cię nim nakarmię.*

Prawie parskam śmiechem.

*Idź. Będę cię osłaniał.*

Wychylam się w korytarz i strzelam seriami, trzymając karabiny w obu rękach. Strzelam na oślepe, nie ma szansy, żebym w cokolwiek trafił. Jednak chaotyczny grad strzałów sprawia, że żołnierze zostają za osłoną na dość długo, by Saedii zdołała przebiec. Śmiga przez korytarz, daje nura jak włócznia, czarne włosy unoszą się za nią, podczas gdy strzały skwierczą wokół niej. Wpada prosto przez otwarte drzwi do bezpiecznego wnętrza kapsuły.

Drzwi zatraskują się za nią. Dioda z zielonej zmienia się w niebieską. Kolejny strzał kołysze *Kusanagim*, a kapsuła Saedii wyrывa się na wolność.

Czuję teraz smak dymu, który wylewa się gęstą i szybką chmurą z głośników, kiedy *Kusanagi* znowu obrywa. Dziękuję Stwórcy za to, że nie nadbiegli jeszcze kolejni żołnierze, ale domyślałam się, że są za bardzo zajęci syldrańskimi Banshee, które próbują roznieść ich na strzępy. Łapię się na tym, że przelotnie modłę się, żeby Saedii bezpiecznie uciekła. Żeby jej

ludzie znaleźli ją, zanim TSO ją zestrzela. A potem dociera do mnie, że powinienem modlić się o siebie.

Mój karabin nagle milknie. Zerkam na poziom mocy na broni, którą dała mi Saedii – zostało tylko trzynastcie procent. A kiedy patrzę przez korytarz wypełniony strzałami z dezeltatorów, widzę moje jedyne dwie zapasowe baterie leżące na podłodze obok odłamków szkła.

Hmm, może jednak nie jestem takim genialnym taktykiem.

Wychylam się i w nagrodę otrzymuję grad strzałów z dezeltatorów z dwóch kierunków. Żołnierze szybko się zbliżają. To tylko kwestia czasu, kiedy zajdą mnie od tyłu i uderzą z dwóch stron naraz.

Nie jestem pewien, jak mam się z tego wykaraskać...

– WSTRZYMAĆ OSTRZAŁ – rozlega się zimny, metaliczny rozkaz.

– Wstrzymać ostrzał! – krzyczy porucznik TSO. – Żołnierze, wstrzymać ostrzał!

Przyciskam plecy do ściany. Serce mi się tłucze o żebra. Stoi tam jeden z agentów GAW. Może princeps przyszedł zawlec mnie z powrotem do celi? A może po prostu kazał załatwić mnie raz na za...?

– TYLER?

Serce mi się zaciska.

Mimo metalu i lustrzanej maski poznaję ten głos. Znam go, odkąd mieliśmy pięć lat, od pierwszego dnia w przedszkolu, kiedy popchnąłem ją, a ona roztrzaskała mi krzesło na głowie.

Głos mojej najlepszej przyjaciółki. Dziewczyny, które zawsze się o mnie troszczyła. Dziewczyny, o którą w zamian za to ja zawsze miałem się troszczyć. Dziewczyny, którą kochałem, i dziewczyny, którą zawiodłem.

Zerkam w korytarz i ona tam stoi. Ubrana od stóp do głów w grafitową szarość agencji. Lustrzana maska zasłania jej twarz.

Mimo to wiem, że to ona.

– TYLER, NIE ODCHODŹ – mówi Cat.

– Ale ten więzień uciekł z celi i... – warczy za nią żołnierz.

– MOŻE PAN ODEJŚĆ, PORUCZNIKU – odpowiada Cat, nawet na niego nie patrząc.

Porucznik nie jest przekonany.

– Ale mamy rozkazy...

– UNIEWAŻNIAM TE ROZKAZY – ucina Cat. – WŁAŚNIE TRZY ZAMASKOWANE SYLDRAŃSKIE KRAŻOWNIKI PRÓBUJĄ ROZNIĘĆ NAS NA SKŁADOWE CZĄSTECZKI. JESTEM PEWNA, ŻE PAN I PAŃSCY LUDZIE ZNAJDZIECIE LEPSZY SPOSÓB NA WYKORZYSTANIE TEGO CZASU.

– Ale więzień...

Cat nadal patrzy na mnie, przechylając głowę.

– ON NIGDZIE SIĘ NIE WYBIERA, PRAWDA, TYLER?

Wpatruję się w lustrzaną maskę. W ustach mi zaschło na popiół.

– NIECH PAN ROZKAŻE SWOIM LUDZIOM SIĘ WYCOFAĆ, PORUCZNIKU – mówi Cat. – NA PEWNO NIE MUSZĘ PANU PRZYPOMINAĆ, ŻE TĄ OPERACJĄ KIERUJE GLOBALNA AGENCJA WYWIADOWCZA.

Widzę konflikt malujący się w oczach porucznika. Rozkaz nie robi wrażenia rozsądnego, o czym wiedzą zarówno on, jak i jego ludzie. Powiedziałem to raz i powtórzę znowu: wojsko terrańskie nie uczy człowieka myśleć podczas walki. Uczy wypełniać rozkazy, bo inaczej ludzie umierają. A w tej chwili, podczas ataku w Fałdzie, żołnierze rzeczywiście mają lepsze zajęcie niż szarpanie się tu ze mną.

– Tak jest. – Porucznik kiwa głową i się wycofuje.

Nasłuchuję, jak odchodzą. Zerkam na wskaźnik mocy na karabinie.

Osiem procent.

Stwór noszący ciało Cat czeka, aż zostaniemy sami w wypełnionym dymem, dygocącym korytarzu. A potem słyszę cichy, wilgotny syk. Cały statek się trzęsie.

– Tyler?! – Stwór znowu woła jej głosem.

Nic nie mówię, zagryzam usta.

– Ty?!

– Czego chcesz?! – odkrzykuję wreszcie.

– Chcę, żebyś został.

Ryzykuję i zerkam. Stwór stoi sam w korytarzu. Nadal ma na sobie grafitowy mundur GAW. Zdjął jednak teraz lustrzaną maskę i widzę twarz, nos, usta, które należały do Cat. Wszystko poza oczami, które jarzą się słabo i jadowniczo.

– Zostań z nami, Tyler – prosi stwór noszący ciało Cat. – Proszę.

– Nie jesteś Cat! – krzyczę. – Przestań udawać!

– Ale przecież jestem – odpowiada stwór. – Nie rozumiesz? Jestem czymś więcej niż kiedyś, ale nadal tu jestem! Nadal jestem sobą!

– W niczym jej nie przypominasz! Aranżujesz wojnę, w której mogą zginąć miliardy ludzi. I po co? Żeby zainfekować resztę Galaktyki?

– Próbuję cię uratować – tłumaczy stwór. – Nie rozumiesz tego?

Słyszę, jak głos mu się łamie. To brzmi tak, jakby był bliski łez. Odważam się znowu zerknąć zza osłony i widzę, że stoi tam z rękami zaciśniętymi po bokach, i żołądek mi się zaciska w węzełek, gdy widzę... że to coś rzeczywiście płacze. Łzy lśnią w poświacie źrenic w kształcie kwiatów. *Kusanagi* trzęsie się pode mną, ale to nie ten ruch sprawia, że niemal padam na kolana, tylko słowa, które stwór wypowiada zaraz potem:

– Kocham cię, Tyler.

Zamykam oczy. Każde z tych słów jest jak pocisk wbijający mi się w piersi. Część mnie wiedziała, co Cat do mnie czuła. Część mnie zawsze to wiedziała. Jednak Cat nigdy nie powiedziała tego na głos. Nawet po wspólnie spędzonej nocy. A usłyszeć je teraz...

– Kocham cię – mówi stwór. – Więc Ra'haam też cię kocha.

Zalewa mnie zimna zgroza. Moje najgorsze lęki zostały potwierdzone.

– Wiedziałem – szepczę. – To tam nas zabierasz. To dlatego nadal jesteśmy w Fałdzie. Chcesz... chcesz...

– Chcę, żebyś znalazł się tu z nami – odpowiada stwór, łzy spływają mu po policzkach. Robi krok do przodu. – Chcemy, żebyś został.

Zerkam znowu w korytarz. Widzę ją tam. Dziewczynę, która zawsze mnie wspierała, gdy jej potrzebowałem. Dziewczyna, która siedziała obok mnie w salonie tatuaży podczas przepustki i śmiała się, kiedy nalewała mi potem kolejny kieliszek w barze, która z westchnieniem wypowiedziała moje imię, ściągając mi przez głowę koszulę i opadając ze mną na łóżko. Widzę ją teraz.

Naprawdę ją widzę.

- Cat? - szepczę.

- Tak - odpowiada cicho.

- Ty mnie... słyszysz?

- Tak - szepcze. - To ja, Ty. To naprawdę ja.

Myślałem, że przepadła. Myślałem, że już nigdy nie będę miał okazji z nią porozmawiać. Powiedzieć jej wszystko, co powinienem, kiedy jeszcze żyła. Wiem, że nikt nie dostaje drugiej takiej szansy. Wiem, że powinienem jej powiedzieć, co do niej czułem, wyznać, że inaczej zachowałem się, gdybym miał szansę zmienić przeszłość, że zawsze ją kochałem i zawsze będę. Wiem, że to chce usłyszeć. Wiem, że chce to wiedzieć. Żołądek mi się zaciska, serce mi bije szaleńczo i nie mogę zaprzeczyć temu, co mi ono mówi. Ona tu jest. Patrzy na mnie tymi nowymi dziwnymi oczami.

Jednak ostatecznie to tylko pogarsza sprawę.

- Przykro mi, że cię zawiodłem, Cat.

Bo ona naprawdę tam jest.

- Mogę ci tylko obiecać, że więcej tego nie zrobię.

Ale nie jest tam sama.

Unoszę karabin. Widzę, jak krzywi twarz, i wyczuwam coś rozległego, coś starodawnego, coś potwornego za blaskiem jej oczu. Pociągam za spust, zużywając całą resztkę mocy, trafiam prosto w stwora, który jest Cat i który nią nie jest. Stwór leci do tyłu w rozbryzgu szarej krwi. Zaraz się podrywam, biegnę przez korytarz i daję nura do wjazdu kapsuły ratunkowej. Zatrzasną go za sobą, gdy stwór wrzeszczy.

- Tyler!

Przepraszam.

- Tyler, nie odchodź!

Strasznie mi przykro.

Zapinam pasy bezpieczeństwa.

Naciskam guzik wyrzutni.

I wylatuję w płonącej Falde.

Zila leci jak demon, ale nie jest Cat Brannock.

Wokół nas panuje chaos. Krążą statki wszelkich kształtów i rozmiarów, od jednoosobowych myśliwców po największe okręty, jakie dowództwo terrańskiej floty i wojsk betraskańskich mogło rzucić do walki. Cały Układ Słoneczny płonie. I chociaż to zabrzmiało jak wariactwo, to łapię się na tym, że myślę o mojej najlepszej przyjaciółce. Mojej współlokatorce. Mojej dziewczynie. Gdyby Cat siedziała za sterami tego złomu, to sprawiłaby, że by zatańczył. Nie ma drugiego pilota na tym świecie, który dorastałby jej do pięt.

Niestety odeszła.

Tyler też. I Kal. I Auri.

Zostaliśmy tylko Fin, Zila i ja.

Trójka z siódemki.

Silniki wyją, gdy Zila wyciska z nich absolutne maksimum i pędzimy przez czerni w stronę Broni. Zila musiała zatoczyć szeroki łuk, żeby wreszcie pozbyć się dwóch myśliwców na ogonie, klucząc pośród płonącej burzy pocisków, kul i sama nie wiem czego jeszcze. Jej palce są jak rozmazana plama, kiedy kalkuluje naszą trajektorię, celując w jeden z cieńszych filarów podporowych, które utrzymują w miejscu masywne kryształowe soczewki. Lecimy teraz prosto na Broń. Ostatnia szaleńcza szarża, żeby uratować nasz świat.

A może całą Galaktykę.

– Czterdzieści pięć sekund do uderzenia – melduje Zila.

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czy to w ogóle ma szansę zadziałać. Nie mam pojęcia, czy robimy to, co należy. Jednak medalion na mojej szyi błyszczy, kiedy patrzę na niego, czerwone światła alarmów odbijają się od powierzchni diamentu, podczas gdy wokół wyją sygnały ostrzegawcze.

„Trzymaj się planu B”.

Nigdy nie byłam wierząca. Nigdy nie kupiłam idei Stwórcy ani Wiary Zjednoczonej. Ciągle się z Ty'em o to kłóciliśmy – jakie to wydawało mi się niemądre, jakie dla niego było oczywiste. Ostatecznie Tyler wierzył dość mocno za nas dwoje. Nie wiem dokładnie, jak mamy wykręcić ten numer, ale dowództwo Aurory powiedziało nam, że jesteśmy na właściwej drodze.

„Wiedziecie, że w was wierzymy. I musicie wierzyć w siebie nawzajem. Jesteśmy Legionem. Jesteśmy światłem. Płonącym jasno pośród nocy”.

Kiedy pędzimy ku własnej śmierci, łapię się na tym, że rozglądam się po ostatnich członkach drużyny 312 Legionu Aurory. I dociera do mnie, że Tyler ma rację, mówiąc: „Czasem trzeba po prostu mieć wiarę”.

- Trzydzieści sekund – mówi Zila.

Z trudem przelękam ślinę. Serce mi wali w piersi.

- Wszystko w porządku? – pyta cicho Finian.

Patrzę na niego. Stoi obok mnie. Broń z każdą sekundą zajmuje coraz więcej naszego pola widzenia. Widzę, że Finian się boi. Wiem, co chce usłyszeć: że to właśnie powinniśmy zrobić. Że jestem tego pewna. Że chociaż mam dopiero osiemnaście lat i całe życie przed sobą, to będzie dobrze. Bo chodzi o coś większego niż my. O coś wspanialszego.

Ale to bzdura.

Jestem śmiertelnie przerażona.

- Nie – opowiadam.

Biorę go za rękę.

- Ale cieszę się, że jesteś tu ze mną, Fin.

I wtedy obrywamy. Pociskiem. Albo strzałem z działa pulsacyjnego. Nie mam pojęcia czym. Jednak zakolysało nami porządnie. Jakby przywalił we mnie wyładowany po brzegi frachtowiec, uderzam mocno w oparcie fotela i lecę do przodu, zatrzymując się w pasach. Gwiazdy płoną mi pod powiekami. Ekran przede mną sypie iskrami i gaśnie, alarmy wyją, ożywa system przeciwpożarowy, wypełniając kokpit chemiczną mgłą. Czuję smak krwi w ustach, w głowie mi dzwoni i...

- Scar, nic ci nie jest?! – krzyczy Fin, odpinając swoje pasy.

- Wszystko... w porządku – udaje mi się wykrztusić.

Klęka obok mnie i sprawdza.

- Zila?

Nasz pilot prostuje się nad migoczącymi i skwierczącymi panelami sterującymi, odgarnia z twarzy gęstą zasłonę czarnych loków. Po raz pierwszy zauważam, że nosi kolczyki, które czekały na nią w skrytce Repozytury Dominium. Małe sokoły zostawione dla niej przez kogoś, kto wiedział, że zawsze nosi złote obręcze w uszach.

Zastanawiam się, czy istnieje szansa, że pożyjemy dość długo, by dowiedzieć się, kto to był.

- Żyję – oznajmia.

- C-co w nas trafiło? – dopytuję się.

- Chyba przypadkowy strzał z działka elektromagnetycznego. – Potrząsa głową, strumyk krwi kapie jej z rozciętego czoła, kiedy uderza w przyciski na pulpicie. – Może szybko lecący kawałek wysadzonego statku.

- Jakie uszkodzenia? – pytam, kaszląc i rozglądając się po zadymionym kokpicie.

- Włączam pomocniczy system naprowadzania i pomocnicze zasilanie. Za chwilę powinniśmy odzyskać kontrolę nad statkiem. – Jej palce śmigają po pulpitych sterowniczych. – Ale cewka napędu została poważnie uszkodzona. Silniki nie działają.

Broń znowu pulsuje, jaśniej niż kiedykolwiek dotąd. Uderzenie nie zbiło nas aż tak bardzo z kursu, wciąż wpatrujemy się w masywne kryształowe soczewki. Nadal znajdują się dokładnie

na naszej drodze. Tyle że straciliśmy rozpęd.

Jesteśmy załatwieni.

Patrzę na Broń i widzę kolizję tęczy kolorów łączącą się jakby w oku cyklonu. Wiem, że kosmos to próżnia i dźwięk przez nią nie wędruje, ale przysięgam, przysięgam, że coś słyszę. Narastający powoli odgłos. Mijający właśnie granicę słyszalności. Coraz wyraźniejszy.

I wszyscy już wiemy.

- Zaraz wystrzeli – mówi Zila z drżeniem głosu.

- Nie zdążymy – szepczę.

- Właśnie, że tak – warczy Finian, wciągając maskę tlenową.

Unoszę brew.

- Fin?

- Niedziałające silniki to brzmi jak robota dla najlepszego Machera w całym cholernym Legionie Aurory, jeśli chcecie znać moje zdanie.

- Dasz radę je naprawić?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Macha nadgarstkami i multitoolem wyskakuję ze skrytki w egzozskielecie. Cały strach, który słyszałam w jego głosie, wyparował i zastąpił go ostry jak brzytwa uśmiech. – Bądźmy szczerzy, za dużo czasu minęło, odkąd zrobiłem coś niewiarygodnie olśniewającego i heroicznego.

- Idę z tobą – mówię, wyplątując się z pasów.

- Uważajcie – przestrzega nas Zila. – I śpieszcie się.

Finian łapie mnie za rękę i otwiera z hukiem drzwi kokpitu.

Wkładam maskę na twarz.

I biegniemy.



## Aurora

Kal pada na ziemię, znajomy fiolet i złoto jego umysłu zostają zalane przez ciemną, zaschłą krew mocy jego ojca.

Dopiero kiedy zagarnia go całkowita ciemność, dociera do mnie, że wciąż dotykał mojego umysłu, aż do ostatniej sekundy, najdelikatniej jak to możliwe.

Bliskość, której nie potrafił porzucić.

Bliskość, której nigdy nie zdołałam całkowicie wypalić.

Kłamstwo i oddanie. Wyczułam w nim jedno i drugie.

„I tylko jedna z tych rzeczy jest dla ciebie” – powiedział.

Wędrowcy krzyczą nade mną, ich głosy zamieniają się w kakofoniczne wycie.

Kiedy ojciec porzuca Kala, jakby był niczym, i odwraca się z powrotem do mnie, przypominam sobie coś jeszcze, co powiedział mi kiedyś Kal.

„Miłość jest celem, be'shmai. Miłość napędza nas ku wielkim czynom i ku jeszcze większym ofiarom. Co zostaje bez miłości?”

## Tyler

Fałda płonie. Płomienie są czarno-białe.

Myśliwce TSO roją się w ciemności, wybuchy rozświetlają otaczającą mnie noc. Wrak syl-drańskiej Banshee wisi koło dziobu *Kusanagiego*, czarny i martwy. Drugi dryfuje, wycieka z niego paliwo, ciągną się smużki ognia, kiedy powolną spiralą oddala się od toczącej się walki.

Jednakże dwa pozostałe statki klasy Banshee tną *Kusanagiego* na kawałeczki.

Zapalony taktyk we mnie daje się całkowicie wciągnąć walce, ale, szczerze mówiąc, mam teraz większe problemy na głowie niż martwienie się tą bijatyką. Większe pewnie niż nawet wojna tocząca się wokół Ziemi.

Kłopot w tym, że kapsuły ratunkowe TSO to zasadniczo pociski, które mają odlecieć od statku, z którego zostały wyrzuczone, najszybciej, jak tylko ich małe silniczki pozwolą. Fałda wokół mnie jest pełna szczątków – rozwalonych myśliwców, potężnych koziółkujących odłam-

ków z Banshee – i łuków płonącej plazmy. I chociaż kapsuła wygląda jak rybka i śmiga jak rybka, to w sterowaniu jest równie zwrotna jak krowa.

Walczę ze sterami, mówiąc przez system łączności i oddalając się od jatki.

– Saedii, tu Tyler, odbiór?

## **Finian**

Łapię się rozpaczliwie poręczy, prawie spadam z zejściówki, tak mi się śpieszy, żeby dotrzeć do silników. Wszystko tutaj jest odrobinę dla mnie za duże – Syldranie, te cholerne dryblasy.

Krzyczę, gdy noga ześlizguje mi się ze stopnia, Scarlett łapie mnie z tyłu i jakimś cudem utrzymuje mnie za jedną rękę, aż odzyskam równowagę. Nie marnuję oddechu na podziękowania, z trudem schodzimy na korytarz i zaraz rzucamy się biegiem.

Część mnie jest świadoma tego, że biegnę, by powrócić do realizacji własnego samobójstwa, i nie jest to coś, czego bym się kiedykolwiek spodziewał.

Jednakże Scarlett nie wypuściła mojej ręki, chociaż jesteśmy już na dolnym poziomie. A to jest coś.

Drzwi do maszynowni są szczelnie zamknięte, sięgam ręką do panelu i zaraz ją gwałtownie cofam, w ostatniej sekundzie, przerażony tym, co prawie zrobiłem.

Ostrzegawcze światło obok panelu rozbłyskuje miarowo na czerwono.

Staję na palcach (cholerne dryblasy) i zerkam przez iluminator do środka.

Rety.

– Co tam się dzieje? – dopytuje się Scarlett.

Kiedy nie odpowiadam, odpycha mnie na bok. I chociaż nie jest naszym największym talentem w dziedzinie mechaniki, to od razu rozumie, dlaczego oniemiałem. Gaz i płyny uciekają z maszynowni prosto w kosmos.

Wielka dziura zionie w tym złomie wartym tyle co kupa chakki. Nierówne brzegi są zagięte do środka i widzę przez nią bitwę toczącą się na zewnątrz. Widzę gwiazdy. Cokolwiek nas trafiło, przebiło nas na wylot.

Nasze silniki poszły w rozsypkę.

Nie dam rady tego naprawić.

## **Zila**

Broń przed nami rozświecła się, kolory wirują, tysiące tęczy odbijają się w tę i z powrotem.

Powoli zdejmuję ręce ze sterów. Pozwalam umysłowi odpocząć. Moje myśli milkną.

Nie muszę już wykonywać dalszych obliczeń.

Robi się przedziwnie spokojnie.

Pochyliam się do mikrofonu i mówię do członków drużyny:

– Finian, Scarlett, to był przywilej służyć razem z wami w drużynie 312.

I nie jest już tak, że niczego nie czuję.

## Tyler

Syldrańska Banshee przelatuje obok mnie milcząca jak śmierć, czarna, wygięta jak sierp księżycy. Moje alarmy zbliżeniowe wyją, ręce mam mokre od potu, kiedy kluczę między szczątkami myśliwca TSO, o włos omijając wirujący kawał kadłuba Banshee.

- Statki Nieugiętych, tu Tyler Jones, czy mnie słyszycie, odbiór?

Znowu uderzam w przełącznik systemu łączności. Zastanawiam się, czy coś się stało Saedii. Czy jej załoga zdołała ją wyłowić. Zastanawiam się...

...czy nie postanowiła zostawić mnie tu na pewną śmierć.

Nie zrobiłaby tego, co?

- Saedii, czy mnie słyszysz?

- Słyszemy cię, Tyler.

Odpowiedź rozbrzmiewa na kanale awaryjnym i sprawia, że bijące mi szaleńczo serce zamiera. Głos jest zimny jak stal. Obramowany zakłóceniami. Mimo to rozpoznałem go.

Znam ten głos, odkąd oboje mieliśmy pięć lat.

- Cat.

## Scarlett

Mam nadzieję, że Tyler nadal gdzieś żyje.

Wiem, że zrozumie, że nie chciałam go opuszczać.

Nigdy nie wyobrażałam sobie, że zginę heroicznie. Raczej, że umrę, mając sto pięćdziesiąt siedem lat, uprawiając skandaliczny seks z chłopakiem od czyszczenia basenów, nie?

Ale... tak też będzie w porządku.

Patrząc Finowi w oczy. Są całe czarne i soczewki powinny uniemożliwić mi odczytanie ich wyrazu, ale dla mnie to nigdy nie było trudne.

Dociera do mnie, że nadal trzymamy się za ręce.

Odwracam się więc do niego i łapię go za drugą rękę.

## Aurora

Wstaję chwiejnie, każdy miesiąc w moim ciele krzyczy, umysł z trudem stara się odeprzeć ataki Gwiazdobjęcy. Energia psychiczna Wędrowców wlewa się teraz do niego strumieniami i stał się tak wielki, że nie widzę już nawet brzegów.

Śmieje się, a ja ledwie mogę się bronić, przed oczami zaczyna mi się robić ciemno.

Kal nadal leży nieruchomo.

Ja jednak płonę.

Ogarnia mnie pożoga  
pożoga  
pożoga.

## Zila

Zawsze byłam agnostyczką. Wiara jest dla mnie trudna. Nie jestem do niej stworzona.  
Zastanawiam się jednak, czy rodzice będą na mnie czekali.  
Zawiedliśmy, ale mam nadzieję, że dostrzegą, jak bardzo się staraliśmy.

## Tyler

- PRZYKRO NAM, TYLER – mówi Cat.

Marszczę czoło.

- Z jakiego powodu?

Ostrzegawczy sygnał odzywa się na wewnętrznym wyświetlaczu kapsuły, a zaraz potem rozlega się alarm z głównego komputera.

- UWAGA: KAPSUŁA ZOSTAŁA NAMIERZONA PRZEZ WYRZUTNIĘ POCISKÓW.

Żołądek mi się zaciska i wywraca.

Chwilę potem kolejny alarm rozlega się w kokpicie kapsuły, światła rozbłyskują, kiedy nowa kropka pojawia się na wyświetlaczu.

- UWAGA: ZBLIŻA SIĘ POCISK. POWTARZAM: ZBLIŻA SIĘ POCISK.

Leci prosto na mnie.

- Stwórcu, dopomóż – szepczę.

## Finian

Nie mogę oderwać od niej wzroku.

Ścisła moje ręce i chociaż to niemożliwe, uśmiecha się szeroko. Stwórcu, jest taka promienna.

Jakimś cudem udaje jej się wywołać u mnie uśmiech.

## Scarlett

Jeszcze nigdy do tej pory nie widziałam, żeby Finian po prostu się uśmiechał – bez cynizmu, bez osłony.

Jest piękny.

Zagryza usta, kiedy patrzymy na siebie, i, rety, za parę sekund Broń wystrzeli albo zestrzeli nas statek TSO.

Zatem korzystam z tego, że trzymamy się za ręce, i przyciągam go bliżej. Jest dokładnie mojego wzrostu.

Wystarczy, że tylko lekko odchyłę głowę.

## **Finian**

Dziękuję ci, Stwórco, dziękuję, dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Wbrew sobie spuszczam nieco wzrok i już mam zamknąć oczy, żeby umrzeć stylowo: całując Scarlett Isobel Jones.

I przysięgam, że wcale nie zaglądam jej do dekoltu, gdy opuszczam wzrok, ale wtedy dostrzegam jej medalik.

„Trzymaj się planu B”.

Plan B, dobre sobie. Kompletny niewypał. Nigdy się nawet nie dowiedziałem, do czego miał posłużyć mój długopis.

Ale do diabła z tym. Zaraz...

...ej, chwileczkę!

## **Scarlett**

Fin wypuszcza moje ręce i sięga do moich pie... ach, do mojego medalika.

– Scar... – szepcze. – To nie jest diament.

Podnosi zdumiony wzrok i patrzy mi w oczy.

– To jest kryształ Eshvarenów.

## **Tyler**

– TU JEST TAK PIĘKNIE, TYLER – mówi Cat. – ŻAŁUJE, ŻE TEGO NIE ZOBACZYSZ.

Patrę, jak pulsujący punkt się zbliża, a wszędzie wokół mnie wyją alarmy.

– TRAFIENIE POCISKIEM ZA PIĘĆ SEKUND.

Myślę o swojej załodze i mam nadzieję, że nic im nie jest.

– ZA CZTERY SEKUNDY.

Myślę o siostrze i boli mnie myśl, że ją zostawiam.

– TRZY SEKUNDY.

Sięgam do pierścienia senackiego, który noszę na łańcuszku na szyi.

– DWIE SEKUNDY.

Zastanawiam się, czy byłby ze mnie dumny.

- JEDNAK SEKUNDA.
- Do zobaczenia wkrótce, tato – szepczę.
- TRAF...

## **Aurora**

Wszystko jest bólem i już nie wyczuwam Kala.

A Eshvarenowie się mylili. Nigdy nie powinnam była wszystkiego wypalać.

„Miłość jest celem, be'shmai.

Miłość napędza nas ku wielkim czynom i ku jeszcze większym ofiarom.

Co zostaje bez miłości?”

Nie muszę szukać odpowiedzi na to pytanie.

Bo go kocham.

Mam swoją siłę. Swój cel.

Zatruty umysł jego ojca jest teraz zharmonizowany z Bronią – kryształ wokół nas brzęczy, śpiewa, krzyczy, przygotowując się do zniszczenia słońca moich ludzi.

Nie mogę tego powstrzymać. To zaszło za daleko, zbyt blisko jest chwila, kiedy ten niewiarygodny, niemożliwy przyływ mocy zostanie uwolniony.

Ale może, może gdyby...

Zila

Promień czystego światła zapala się przede mną.

To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

A potem wszystko

staje się

ciemnością

ciemnością

ciemnością

ciemnością

ciemnością

### **Witajcie, kadeci!**

Okazuje się, że napisaliśmy tak długą książkę, że nasz wydawca mówi, że została nam tylko jedna strona na podziękowania. Ups. No to walimy, najkrócej, jak się da: lista przestępców i potępieńców, dzięki którym ta książka stała się rzeczywistością. Ostrzegamy: to niebezpieczni ludzie.

Zatem oto oni: Barbara, Melanie, Karen, Artie, Jake, Judith, Josh, Amy, Dawn, Kathleen, John, Arely, Heather, Trish, Ray i Natalia, plus załogi od sprzedaży, marketingu i reklamy oraz redaktorzy, Deb i Charlie, i, rzecz jasna, Anna, Nicola, Sophie oraz szemrane osoby, z którymi się zadają. Do listy dopisują się również: Juliet, Shadi, Aimee, Mark, Kate, Molly, Ben, Hayley, Paul, Laura i Lucy. I nie zapominajmy, że część winy trzeba zrzucić na naszych zagranicznych wydawców i tłumaczy.

Inne osoby, którym nie damy się wyłgać, to: Josh, Tracey, Cathy i Stephen; miejcie też na oku naszych zagranicznych agentów. Nie ufajcie załodze księgarzy, bibliotekarzy, czytelników, vlogerów, bloggerów, tweeterów i bookstagramerów, którzy roznoszą wieść o książce. Wymienię jeszcze Nicka, naszą załogę audio i drużynę narratorów. Są oni absolutnie niegodni zaufania.

Cokolwiek robicie, zawsze patrzcie na ręce naszej własnej rozległej siatce współników w zbrodni, a są to: Meg, Michelle, Marie, Leigh, Kacey, The Kates, Soraya, Eliza, Dave, Pete, Kiersten, LT, Ryan, The Cats, The Roti Boti Crew, The House Of Progress, Tsana, Nic, Sarah, Marc, B-Money, Rafe, Weez, Paris, Batman, Surly Jim, Glen, Spiv, Orrsome, Toves, Sam, Tony, Kath, Kylie, Nicole, Kurt, Jack, Max, Poppy, Marilyn, Flic, George, Kay, Neville, Shannon, Adam, Bode i Luca. A także Sam i Jack.

Na końcu, ale nade wszystko i ponad wszystko są jeszcze Amanda i Brendan... a teraz także Pip.

## **Przypisy**